

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

330162

Wilhelm Bölsche

MIŁOŚĆ W PRZYRODZIE

Przekład D-ra Maurycego Bornsteina

Wydanie drugie

WARSZAWA 1913 KRAKÓW,
KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWERA I S-KI

Rej. No 438.

MIŁOŚĆ
W PRZYRODZIE

Wilhelm Bölsche. Miłość w przyrodzie. Serja II.

Miłość w przyrodzie

Wilhelm Bölsche. Miłość w przyrodzie. Serja II.
Przekład D-ra Zygmunta Szymanowskiego

40.
Wilhelm Bölsche

MIŁOŚĆ W PRZYRODZIE

Przekład D-ra Maurycego Bornsteina

Wydanie drugie

WARSZAWA 1913 KRAKÓW
KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWER A I S-KI

Wilhelm Bölsche

MIEOŚ W PRZYRODNIE

Przełożył D-rz Maurycy Borsowski

330162



Warszawa 1913
Czcionkami Drukarni Naukowej, Warszawa, Mazowiecka 8.

K.2601/62

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

Idziemy, jako ciury, za wspaniałym rydwanem nauki europejskiej... Kwiaty wonne, jakie spadają, podejmujemy, o ile nam sił starczy, z drogi, po której się toczy, i niesiemy dodom, ażeby je nadal pielęgnować. Zabiegamy koło nich, jak umiemy, a kwiaty mimo wszystko wędną, woń tracą swoją pierwotną, nie sprawiają rozkoszy nikomu, nie orzeźwiają nikogo w ciężkich chwilach życia... Śnać duszno im tu, brak im tej atmosfery, której dla rozkwitu dalszego potrzeba, brak troskliwości, co z ukochania płynie... Wiedza wogóle, a nauka specjalnie nie wyźłobiła sobie jeszcze trwałego łożyska w duszach naszych, nie stanęła jeszcze w szeregu naszych pragnień i ukochań, a jest jeszcze wciąż owym pokostem zewnętrznym, który tak łatwo zrzucić, zetrzeć i pod nim pustkę obnażyć. I tę obojętność uczuciową w stosunku do nauki znać na naszej literaturze popularnej. Ażeby wiedzę popularyzować, nie dość jest jeszcze coś wiedzieć, coś umieć, nie dość nawet posiadać umiejętność jasnego i przystępnego wykładu; trzeba jeszcze czegoś nierównie ważniejszego: miłości dla wiedzy. Samemu ją mieć w ser-

cu trzeba i przez to sprawiać, ażeby promieniowała z kartek na czytelnika.

I tę oto niezbędną, naszym zdaniem, cechę, która wynosi talent popularyzatorski na wyżyny apostołstwa, posiada w wysokim stopniu Wilhelm Bölsche. Przyrodoznawstwo społeczne ze swą nicją przewodnią, darwinizmem, ściślej mówiąc: ewolucjonizmem, tak wżarło się w jego mózg i krew, że stało się dla niego nie tylko wyznaniem myślowym, naukowym, ale oraz dotarło do najwewnętrzniejszych zakątków jego duszy, przejęło go nawskroś, jako indywiduum, przestąpiło szranki jego sfery emocjonalnej, wrażeniowo-uczuciowej, stało się dla niego kultem, religją... I dlatego w wędrówce swej po wielkiej świątyni przyrody, świątyni nieprzebranych skarbów i cudów, umie on łączyć spostrzeżenie naukowe z religijną niemal ekstazą, której daje wyraz w obrazach o dużej wartości artystycznej, w nieskończonych porównaniach i analogjach. I to, co na pierwszy rzut oka może uprzędzić niejednego do książek Bölschego, stanowi, dla mnie przynajmniej, o ich cenie wysokiej, szerzą one bowiem nie tylko wiedzę samą, ale i kult dla wiedzy, świadczą o tym, że nie można i nie należy jedynie rozumieć zjawiska przyrody, że trzeba klękać jeszcze u ołtarzy jej cudów, wchłaniać blask ich całym jestestwem i podnosić dusze do tych wyżyn doskonałej harmonji, jaka rozbrzmiewa dookoła, niby hosanna nadziemska.

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy, jako całość samodzielna, oddajemy do rąk czytelnikom w przekładzie polskim, to jeden z hymnów, jakie śpiewa Bölsche na cześć przyrody. To hymn o mi-

łości. Chwilami może się wydać dziwacznym, groteskowym to podnoszenie popędu płciowego zwierząt do wyżyn najświętszego z uczuć ludzkich, ale jeżeli ową hiperbolę autora wyrozumieć sobie zdolamy w myśl przesłanek powyższych, to szybko oswoimy się z tym nowym dla nas ujmowaniem nagich faktów przyrodniczych i wyłuszczymy to jądro cenne, jakie niewątpliwie wyziera z poza mglistych nieraz fantasmagorji autora.

Dr. Maurycy Bornstein.

Warszawa, w czerwcu 1905 r.

Książka moja zwraca się do tych wszystkich, którzy myślą rozumnie i mają odwagę stworzyć sobie własny pogląd na świat. Świat — to grząskie bagno, i kto je przebrnąć pragnie, tego nie powinny trwożyć żadne potęgi nieba ani piekła. Oczywiście, mam tu na myśli ludzi dojrzałych. A dojrzałym jest każdy, kto raz przeżył tę chwilę słoneczną, kiedy weszło w nim pragnienie poznania, kiedy pojął, że całe to przelotne życie ludzkie z gorączką tych marnych kilku lat i wszystkimi rozczarowaniami jest bezdennym głupstwem, jeżeli nie nadać mu większej wartości przez poznanie, przez „myśl“ — ten jedyny punkt świetlany w otaczających nas, grozy pełnych ciemnościach. Kto szuka poznania — nagi jest, jedna go tylko okrywa szata: szata prawdy. Ale też zmierza on z żelazną mocą ku jednemu świetlanemu celowi, i nie masz dla niego żadnych nieporozumień. Z takim człowiekiem mogę się porozumieć — pozostali są mi obojętni. Fakty, które tworzą tu dla mnie rusztowanie, wybrałem mniej lub więcej szczęśliwie z dziedziny nowoczesnych badań fizjologicznych i zoologicznych. Faktów tych powiązanie i ich oświetlenie filozoficzne jest wyłącznie subiektywne, i sam biorę za to na siebie całą odpowiedzialność. Kto sam obejmuje wzrokiem to morze faktów, temu nie będę zwracał specjalnej uwagi na to, jak wszystko znajduje się tam w nieustannym biegu i często starzeje się wprost w oczach. Ale gdyby pominąć nawet dużą część szczegółów, to pozostaje jednak myśl przewodnia całości i wpływ swój rozciąga daleko poza tę lub ową nitkę pajęczą faktu poszczególnego. A potężny szaniec raz zdobytych faktów zasadniczych dziś już zaprawdę trudno jest zniweczyć, choćbyśmy pozostawili jak najlepsze prawa sceptycyzmowi, za którym ja sam wreszcie najgoręcej przemawiam. Formę, w której się będę wypowiadał, uważam za najodpowiedniejszą dla dopięcia pożądanego celu. Wydaje mi się, że sztuka jest właśnie

owym pomostem, który łączyć winien dziedzinę wiedzy ścisłej, gdzie gromadzi się pewne fakty zupełnie lub też nawpół prawdziwe, i popularyzację jej w tych sferach, gdzie wymagane są już szerzej rzucone linje ogólnych myśli i światopoglądów. I wszystkie środki, jakimi sztuka rozporządza, winne być w tym celu zużytkowane: od barwnego patosu począwszy, a skończywszy na jaskrawym humorze. Rozumie się, że sztuka ma jeszcze cele zupełnie inne. Ale i tu ma jeden z wielu cel mały, sympatyczny, a jednak niezmiernie ważny, jeżeli uprzytomnimy sobie, ilu ludzi chce myśleć i tylko w tym jednym znajduje zadowolenie, którzy jednak nigdy nie opanowaliby pewnych ciężkostrawnych faktów naukowych. Tom niniejszy stanowi całość w sobie zamkniętą; odsłania on prosto przed czytelnikiem część drogi naszej i nie wymaga przeto żadnych komentarzy. A z treści samej wypływa, że nastąpić może część następna, i tak też będzie. Ta druga część poświęcona będzie wyłącznie człowiekowi samemu.

Fiedrichshagen pod Berlinem, w sierpniu 1898 r.

Biały tu blask ponad ziemią spoczywa
i morzem
I wonny drga eter w bezobłocznej toni.

Goethe (Fragment z „Nausikaa“).

I tam opowiadać ci będę... W miejsce pełne czaru
uprowadzić cię pragnę... Na wschód od San Re-
mo, w raju Riviery, wpija się w szerokie morze
ostrzem swym brunatna skała Capo Verde. Na
tle miękkiej zieleni wybrzeża sterczą, niby gród jakiś
bajeczny, złomy skalne, które niegdyś, przed lat mi-
ljonem, były również miękkim dnem morskim. Nie-
bieskie morze Śródziemne wydzwignęło je w te złomy
skalne. A uczyniło to nie siłą bezwzględną pięści:
pieściło je delikatnym dotknięciem swych rąk biało-
piennych cichutko i bez przerwy, w nieskończonym
okresie czasu. I oto spoczywają nadgryzione, obnażo-
ne warstwy skalne, niby szkielety jakiegoś bardzo
dawnego zwierzęcia - olbrzymia, który znalazł ongi
śmierć nagłą nad wód brzegami. Skały tworzą za-
głębienia z cicho płynącą płytką wodą o barwie zie-
lonawej; na wodzie powstają i nikną fioletowo-czer-
wone cienie chybotających się roślin morskich. Tylko
na samym skraju skalnym błyszczy w słońcu wie-
niec z piany napływających bezustannie wolnych fal
morskich, niby zwiewne ruchy oślepiająco białych
skrzydeł.

A w oddali już tylko niebieski, sino-niebieski
czar... Na samym szczycie przylądka stoi samotny
kościółek o ścianach bladeżółtych i bladoróżowym
dachu pod wezwaniem Madonna della Guardia. Po-
między nim a skałą lśni w słońcu przełęcz górska,
obwieszona krzakami janowcu, niby kulami złotemi,
pod nią zaś unosi się gorący zapach—pył fioletowej
macierzanki. Kościółka strzeże gromada starych cy-
prysów. Wydaje się, jakoby los-kruk rozpostarł tu
przez chwilę pióra swych skrzydeł czarnych ponad
tym zaświatowym objawieniem jasnych, w rozblasku

konających barw. Stoją cyprysów blade pnie bez ruchu wobec błękitu bezkresnego, ponad płonącą w słońcu żółtą skałą. Obok kościołka — równie skromna oberża, jak śnieg biała, o zielonych okiennicach. Wewnątrz — parę kiwających się stołów, łyk dobrego wina krajowego. Z nad urwiska przechyla się w dół drzewo figowe, pokryte teraz, w kwietniu, młodziutkimi, zielonemi pędami, które wyglądają zewsząd z szarego gąszczu krzewów, jak delikatne macki polipów.

Jak tu błogo!

Wzrok błądzi z ponad olśniewającego błękitu morskiego hen ku dolinom, ku pagórkom, w stronę lądu. Na tarasach łąk szmaragdowych, którym kwitnący w przepychu lwi ząb odcień nadaje złotawy, wszędy porozrzucane korony drzew oliwkowych, niby srebrnoszare chmury. Oto w pobliżu ponad jednym brzegiem skalnym strzela w błękit nieba jakieś samotne drzewo oliwkowe od wiatrów opętane. To majaczy się jako ciemna sylweta, to znów rzuca migotliwe blaski od srebrnych liści swoich, a tak klasycznie szlachetne jest w kształcie, jak gdyby stworzone było przez artystę. W oddali, gdzie drzewa oliwkowe zlewają się w jednolity szary obłok, widać tam i siam jakby z łamigłówki wyjętą małą, czerwono-białą wioskę. Gdzie góry stają się bardziej strome, żółcieją kamieniołomy, porośłe czarną wełną lasu, a ponad tym fioletowe wyżyny, gdzie wszystko spływa w jeden ton. Wreszcie ponad lekuchnym błękitnym fioletem parę wierzchołków, pokrytych oślepiająco białym śniegiem.

Bladożółty motyl w czarne prążki chybotrze się sennie. Z morza idzie cichy wietrzyk, cichy, a jednak olbrzymiejący na tej wyżynie, gdzie wszystko płynie z bezbrzeżnej dali morskiej ku bezkresnym błękitom nieba.

A teraz morze samo. W rozblasku południa błękit morza promienieje i przybiera odcień mleczny;

wiatr ściele po nim prawie białe pasma, a w dalszej perspektywie zlewa się ono zupełnie z białym, o niebieskawym zlekka odcieniu widnokregiem, tworząc biały, wonny akord światła. Tylko tam, gdzie ponad morzem stoi słońce, widać glorię srebrną; od przodu błyszczą na uroczym miękkim błękitnie porozdzielane kosmyki srebrne, a w oddali olbrzymie jezioro szczerogo, cicho migoczącego srebra bez żadnej przymieszki błękitnej.

Oto w tej chwili właśnie w sam środek tej masy srebra wjeżdża małe czółno żaglowe. Samo ono wydaje się srebrem, tylko troszeczkę mniej przezroczystym, i oto chwieje się ono w świetle, niby światło obce, wyzwolone ze świata wszystkich naturalnych, szorstkich barw, niby holender latający jakiegoś wiecznego, migotliwego, słonecznego snu, który śni się tylko w taką godzinę południa, kiedy pomiędzy niebem a oceanem szerzy się blask ponad siły ludzkiego wzroku...

Tu będziemy mówili o miłości.

Czy znasz starą księgę z wczesnych dni chrześcijaństwa: dialog filozoficzny Minuciusa Feliksa „Okta-wjusz?” Jest to może najmiłsza apologja młodego chrześcijaństwa, pozbawiona wszelakiego prozelityzmu. W okresie burz, kiedy ziemia jęczała pod orężem cesarów, a nowa wiara ginęła na arenie pod stopami panter, prowadzi młody filozof przyjaciół swoich na morze błękitne, nad jego brzeg przy Ostji. Odpoczywając na miękkim piasku, szukają oni barwnych muszli i zabawiają się ciskaniem płaskich kamyków, które skaczą po nieruchomej, srebrnej, lustrzanej toni. Zdaje się, jakoby w ciszy tej sielanki ginęły wszystkie burze świata i wszystek jego pył, wygnane różdżką czarodziejską poza jakieś niewidzialne szranki.

„I tu, w tym dobrym miejscu, mówiliśmy o Bogu” — powiedziane jest w tej książce.

A my o miłości mówić będziemy.

I poprzez nasze dni przechodzi burza. Wszystko znajduje się w ciągłym wirze, o każdą najprostszą sprawę toczy się walka. Rozsypują się w gruz światopoglądy, i pyłem nieprzejrzanym przesycone jest powietrze. Któż nie odczuwał gorącej potrzeby otoczyć się również takim murem tajemniczym w chwili, kiedy pragnąłby pomyśleć, kiedy pragnąłby rozważyć jakiś wielki problemat świata?...

O wielu rzeczach chciałbym z tobą pomówić... O tym, jak miłość wschodziła poprzez czasy ubiegłe... Jak się stawała w zwierzęciu i jak się stała człowiekiem. Człowiekiem dzikim—i człowiekiem ducha. Muszę opowiadać rzeczy przykre i miłe. Spójrz tylko tam, w ten bezbrzeżny blask morza. Z tego niepokalanego błękitu powstało życie i przeobrażało się bez przerwy w tysiączne postaci wzwyż ku sobie samemu. Spójrz w niebo, w jego czystość bezmierną, oślepiającą. Z tej błękitnej odwiecznej przestrzeni posypały się światy, jako pył srebrny... Ile trwogi, ile obłędnej ohydy kryły i kryją w sobie potopu tego otchłanie... A mimo to wszystko jest ten błękit cudowny, w którym kąpie się dusza, jak w ukojenia toni... Czyż może to nie być symbolem? Symbolem tego, jak wszystko zło poszczególne spływa wreszcie w jednolite, niepokalanie czyste światło? A samo niebo? To niebo, w którym spoczywa tyle tęsknoty i rozpacz ludzkiej, tyle szamotań i walk ludzkości, że każda gwiazda mogłaby być krzyżem nadgrobnym? To niebo, które nas wszystkich, mrocznych gości na tej mrocznej ziemi, obejmuje właściwie, jako trumna?... I ono wszak zlewa na nas taki sam niepokalany przepych swych błękitów.

Wydaje mi się, że na takim miejscu wieść można tylko cichą samotną rozmowę, jak gdyby zmiłkła wszystka burza świata i jak gdyby dwoje ludzi wymawiało najświętsze słowa tak bezpretensjonalnie, jak bawią się dzieci rzucaniem na wodę kamyków płaskich.

Można wtedy mówić o wszelkiej pierwotności i dzikości, jak gdyby wszystko już było bardzo blizkie zlania się z odwiecznym promiennym błękitem i chwiała się tylko tuż obok jeszcze, jako srebrna chmurka, podobna do tej srebrnej łodzi, drżącej tam w blasku słońca na morzu.

Wszak jesteśmy oboje rozsądnymi ludźmi, co się wzajem rozumieją — nieprawdaż? Zawrzyjmyż więc umowę, iż żadne gąszcze ani upiory najdziksze nie zdołają nas odstraszyć od tej krótkiej wędrówki drogą prawdy, jaką społem przejść zamierzamy. Z błękitu w błękit pójdziemy. Wszystko, co po drodze, przyjmijmyż więc śmiało, ochoczo, z pogodnym spokojem ducha.

Będziemy mówili o miłości.

O miłości we wszechświecie, o ile my, ludzie dzisiejsi, z naszą odwagą i w skromności naszej wszechświat objąć jesteśmy w stanie. Żyjemy w innych czasach, pod innym znakiem, aniżeli ów stary Minucius Feliks. I on, kiedy z przyjaciółmi swemi na Ostyjskim brzegu o Bogu rozmawiał, myślał wtedy o miłości. W owe czasy zdawało się, że na ziemi, pośród upadłych, grzesznych, umęczonych ludzi, miłość umarła właściwa. Zdawało się, że sstała ponownie na ziemię z błękitu mistycznego, z poza granic wszelkiej rzeczywistości i wszystkiego, co było poznane, w przeciwieństwie do przyrody, przez odwrócenie jej najistotniejszego życia. Nie było żadnej nici, która by wiązała ten i tamten świat. Grzech i upadek wyobrażały rozwój naturalny, wszystko zaś światło było z owego mistycznego, pozaświatowego, mżącego błękitu. Ale od tego czasu upłynęło znowu prawie dwa tysiące lat! W ludzkości rozżarzył się młody, płomienny duch, co się wzwyż przebojem rwie, duch badawczy, poznający duch, co ów stary świat rzeczywisty przeczuwa i ujmuje, jako nową jakąś zdobycz; po raz pierwszy z całą mocą narzuca się świadomość

nowego świata, świata bez zasłony, bez rysy, bez mistycznej dwoistości.

Przyjrzyj się temu białemu kościołkowi tam naprzeciwko, pomiędzy cyprysami, czarnymi jak kruki. Oto są owe chwile prastare, których echo dziś jeszcze słyszymy. Wewnątrz żółtawej wieżyczki z małą kopułką wisi zielony od starości dzwon; wydzwania on miłość nie z tego świata. Ale przyjrzyj się uważniej. Krzyż, co wznosi się nad kopułką ku bezkresnym, cudownym błękitom, posiada u samej góry jakieś długie, podejrżane ostrze. To piorunochron. Stanowi on podwójne świadectwo o czasach nowych. Nad krzyżem mistycznym metalowy trzon, który ukróca gromy niebieskie przy pomocy praw fizyki—przy pomocy nauki... I woła na twogę stary, zielony dzwon, kiedy czarna groźna chmura zwiesza się ponad tą wolną wyżyną, jak ptak drapieżny, i drapie swemi ognistemi pazurami — ale piorunochron jest silniejszy—to jest krzyż naszych czasów.

Więc kiedy mówić mamy o miłości, to mowa nasza musi być inna w tych naszych dzisiejszych, zupełnie odmiennych czasach. Przyjrzyj się tam temu pięknemu motylowi, jak majestatycznie opuszcza się ku macierzance. Z niższych zwierząt, aniżeli ten kołyszający się motyl, powstałeś, człowieku, ty, jako człowiek, według nauki współczesnej. Ród twój wywodzi się z prątworków mniej jeszcze doskonałych, aniżeli owa macierzanka, co się nieruchomie w płomiennym słońcu kąpie. Twory groteskowe bez śladu twojej postaci były już „tobą“. Pełzały one nad brzegiem morza wtedy, kiedy brzeg ten był miękkim łem, co dzisiaj tworzy owe jak stal twarde zręby skał, o które tu u spodu przylądka rozpryskuje się w pianę błękitna fala. I oto związany jesteś z temi wszystkimi tworam, co przed wiekami były już tobą, a jednak nie tym, co ty—związany jesteś dzięki olbrzymiej, wszechświatowej potędze miłości, potędze tworzenia, wiecznego odradzania się i stawania. Po tysiącokroć,

po milionkroć razy już tam, w otchłaniach prabytu twego, kochał, cierpiał i krwawił, byłeś ukrzyżowany, skonałeś i jednak znowu zmartwychwstałeś dnia trzeciego. Tam w praprzyszłości, w niezmiernym łańcuchu wszystkich tych prajaźni twego własnego ja, które dziś na Capo Verde przeżywa pośród pięknej przyrody swój cichy Wielki Piątek, tam spoczywa rozwiązanie wszystkich twych zagadek, twych najgłębszych tajemnic, co omotują cię niby siatka przez srogi los rzucona, niby czarna pajęczyna, na której, jako rosy krople, błyszczą łzy twoje... Tam również spoczywa rozwiązanie zagadki twojej miłości.

I więcej, aniżeli wrzyski od starości zielone dzwony, mówi ci o tym ten oto motyl, co spoczywa obecnie bez ruchu na fioletowych kwiatach, jakby odurzony tym słońcem świątecznym. Więc pozwól, że o nim właśnie i o stworzeniach jemu podobnych opowiadać ci będę. Opowiadać ci o tym będę w takim duchu, jakiego dawniej nigdy jeszcze nie odczuwano.

Ale zamknij jeszcze oczy na chwilę. Niechaj ci zniknie z przed oczu cały ów obraz, pełen ciszy uroczystej: ów kościółek biały z krzyżem i piorunochronem, owe czarne cyprysy, srebrno-sine morze. Niechaj wszystko w ciemnościach utonie—a ty przypomnij sobie dwa fakty ze swego życia, fakty, któreś przeżył, które znów powróciły, ażeby ponownie zniknąć... Muszę ci o nich przypomnieć, ażebyś zrozumiał istotną treść tego, o co mi chodzi.

Dwie chwile przypomnij sobie, kiedyś zaprzepaścił swoje „ja“ w miłości, kiedyś je zatracił pośród pulsującego życia bez śladu trwogi przed śmiercią, kiedyś umarł, jako „ty“, cieleśnie i duchowo, ale umarłeś dla nowego życia.

Przypomnij sobie...

Dawałeś miłość swoją kobiecie i sam ją brałeś wzajem—miłość zmysłową. W wyobraźni twojej tłoczyła się do tej chwili obrazy brzydkie lub takie, które

kiedyś uznałeś przynajmniej, jako brzydkie. Są one jednak jednocześnie cudownie rozkoszne. Przypominasz sobie teraz niepokoje i błędy młodości. Przywołujesz przed sąd pamięci owe chwile okrutne, co w pył ścierałyby ezlitośnie złoty przepych twych snów na wzór tego, jak złociste listowie pogrąża się w kałużę. Ale obok tego przychodzą ci na pamięć owe chwile złote, które tworzyły z ciebie nowego człowieka, o jakim nie marzyłeś nawet w swych snach niedoświadczonych; owe chwile p r a w d y pośród miłości zmysłowej, co święte były, jak każda chwila, w której istotna objawia się prawda; chwile, kiedy oślepił cię przykry blask, który jednak był światłem promiennym, co dusze hartuje i spiżu trwałość nadaje ludzkiemu „ja“.

Twoje „ja“ utonęło zmysłami w innym „ja“; ukazało się, wypłynęło ono na nowo — i znowu byłeś sobą. Ale pewnego dnia zjawiono się jeszcze inne — spojrzaly na ciebie dziecięca niebieskie oczy, w których było coś z ciebie; powstało nowe życie zagadek pełne, nowy człowiek, który jednak zawierał w sobie część ciebie samego... Zjaw wielkiego misterjum.

Przypomnij sobie.

Nastaly później inne jeszcze chwile. Wtedy również zatraciłeś siebie, lecz znowu inaczej. Zlałeś się duchem z inną istotą; dusze wasze stopiły się w jedność; i było obojętne, czy to był mężczyzna, czy kobieta.

I nie skończyło się na jednym człowieku. Miłość ta wezbrała i objęła wszystkich — i stała się wszechmiłością. Święte, dalekie cele rozszerzyły twój ciasny widnokrug. Twoje „ja“ stało się dźwiękiem jakiejś wszechmelodji... tym razem wszechmelodji ducha.

I z ducha, co wzbił się ponad indywidua, zrodziły się nowe sny, nowe ideały i dzieła. Sklepił się nowy błękit niebieski, z którego sypały się światy, jako pył srebrny. Powstał związek duchów, potoczyło

się życie poza jednostkę. Życie, które przejmą kiedyś dzieci twoje, kiedy duch w nich się zbudzi, kiedy w nich „ja“ o tyle dojrzeje, ażeby utonąć całkowicie w otchłaniach wielkiej melodji.

Azali te obie chwile, które wspominasz, nie były najpotężniejsze, najcudowniejsze w twoim życiu? Jaką potęgą o władnęła wówczas tobą? Azali jaźń twoja zdarła tajemniczą zasłonę z owego zatracania siebie i zmartwychwstania?

Od tych wspomnień i od tego pytania chciałbym rozpocząć z tobą gawędę.

Istotę tego, co omówić z sobą mamy, posiadasz w sobie, jako przeżycie najgłębsze. Musi ona być w tobie samym, jeżeli mamy się porozumieć. Dwukrotnie przeżyć musiałeś ową świętą chwilę, kiedy olśniła cię powódź światła, kiedy zrozumiałeś, że w tych najszczytniejszych, błogosławionych chwilach miłosnych twego bytowania nie padasz pokonany przemożną siłą grzechu, ale że wstępujesz w kręgi jakiejś świętości, czegoś, co wyższe jest ponad ciebie, w kręgi głębokiej, sonej wszechświatowej fali, która ongi ciebie samego wyniosła na powierzchnię, a teraz przeszła ponad tobą.

Tylko w ten sposób jedynie może mowa moja przykuć cię do siebie, jeżeli ciągle myśleć będziesz przytym o sobie. Wszak o tobie właściwie toczy się opowiadanie. A wszechświatowe dzieje miłości, o których mam ci opowiadać, są w tym sensie tylko rozdziałem twoich własnych dziejów. Będzie to prawspomnienie, co sięga daleko wstecz poprzez przestrzeń i czas do tych wszystkich pradawnych braci w świecie zwierzęcym i roślinnym i wraca do ciebie znów, ażeby się wcielić w czyn — w twoją miłość.

Spójrz odnowa... Coraz niżej przed oczyma naszymi spada cisza południowa na dnie morza. Słychać za ledwie trwożliwe świergotanie ptactwa wśród srebrnego oliwek listowia, głuchy, jakby w podziemiach ginący łoskot pociągu, co przebiega w tunelu

przez Capo Verde, a potem jeszcze ostatni podźwięk dzwonów wioskowych w dolinie. Widać teraz wszędzie, jak kołyszą się cicho i sennie motyle ponad złotym janowcem i fioletową macierzanką. Nad ziemią i morzem drga teraz jakby zapach czystości, jakby pierwszy poranek tworzenia. Nie wierzymy już w tworzenie się, tylko w stawanie się wierzymy jeszcze, w stawanie się według odwiecznego biegu praw przyrody, w stawanie się przez miłość. Tu jest świat wiecznym dniem wiosennym. Od wiosny, która otacza nas tu taką niewymowną słodyczą, pójdziemy naprzód w słońce tej wiecznej wiosny.

Trzy nasuwają mi się obrazy, kiedy spoglądam w dół na migocący srebrem błękit tego morza. Wydaje mi się, że w nim właśnie jest droga, którą powinna byłaby kroczyć historia miłości.

Trzy obrazy — trzy stacje...

Dziwny wieczór letni nad rzeką. Upał parny dyshy ponad tobą. Gdzieś w jakiejś oddalonej obłoków warstwie przemknęła skra elektryczna.

Ponad wodami, zapadającymi w ciemność, wisi księżyc, jak kwiat maku o groźnej, czerwonej barwie.

Jest to chwila zmartwychwstania dziwnego rodzaju zwierzęcego. Bez dźwięku, niby duchy, wyłaniają się ponad falę drobniutkie, delikatne postaci, tak delikatne i przezroczyście, jak gdyby każda z nich utkana była wyłącznie z najdrobniejszego pyłku bezbarwnego światła.

Nasamprzód jest ich tylko kilka, które jakoś giną w oparze; później jest ich coraz więcej, jest ich wiele, wreszcie tysiące, mirjady, jak gdyby szara fala stała się nagle wiosnianym, pełnym kwieciami drzewem, z którego sypią się naokół niezliczone śnieżnobiałe płatki kwietne...

Na dalekiej wieży kościelnej bije dziewiąta. Echo uderzeń zegara unosi się ponad sennymi polami.

I jak gdyby to bicie godziny jakąś uroczną zakłęto potęgę—wszystkie te małe twory wrywają się ponad oporną powierzchnię fali ku gorącej atmosferze wieczora... Poblaskują srebrne skrzydełka, powiewają ni-by zasłony wiotkie z perłowej macicy, toną, stapiają się z sobą, tworząc miękki, w świetle księżycowym błyszczący obłok, który lśni ponad mroczną powierzchnią wody, jak gdyby ona sama własnym promieniowała światłem... A obłok przewala się coraz dalej, przez całą szerokość fali. Na brzegu, gdzie olchy drzemią, mży bez przerwy jakby deszcz jaśniejących w świetle księżycowym płatków, u czarnych gałęzi olch wiesz się jakby jakaś piana świetlna, piana, z której rodzi się Afrodyta, bogini miłości.

Wszystkie te bowiem szalejące elfy, przeżywające godzinę burzy—to owady z rodzaju jednodniówek. A to chwila ostatnia ich życiowego blasku, którego użycza im błogosławieństwem brzemienny szal miłosny; oto zapłodnienia godzina burzliwa, która stanowi koronę ich życia całego...

Każda z tych rozpląsanych w srebrnym oparze bachantek ma za sobą długi okres pracy, jako indywidualium. Żyła ona od dwóch, trzech lat w ile lub piasku nadbrzeżnym, jako brzydka, żarłoczna gąsienica. Żarła, grubiała, liniała od czasu do czasu. I, choć mała, była jako ów barbarzyński, bezwzględny rabuś, co z najwytrwalszą energią dzień w dzień walczył o utrzymanie siebie jako jednostki. Dosyć miało czasu to małe, obdarte, zajadłe zwierzątko, ażeby w rozmaitych kierunkach wyćwiczyć się w walce o byt. Wiecznie w niebezpieczeństwie i w obawie być samemu zjedzonym albo z głodu umrzeć, zdołało ono jednak z niepomiernym wysiłkiem ostać się do chwili, kiedy dosięgło pewnej miary życia, pewnego punktu w swym rozwoju indywidualnym.

I oto nagle w ten parny wieczór sierpniowy,

około godziny dziewiątej, przełom w całym istnieniu nad śmierć dziwniejszy, zmartwychpowstanie dla nowej postaci życia, dla nowego żywiołu, dla zupełnie odmiennego celu...

Ostatnie, gwałtownie następujące po sobie linie-
nia przetwarzają ciało z gąsienicy, przystosowanej do życia w głębinie wodnej, na ową kryształowo-jasną postać sylfidy, co, skąpiana obecnie w księżycowej światłości, miasto w fali mętnej, mży ponad wodą, jako płynne srebro. Z dawną postacią zewnętrzną znikł jednocześnie naczelny cel dawnego życia — odżywanie się. Delikatne, oskrzydłone ciało nowej jakby istoty nie posiada już zdatnych do użytku narządów trawienia... W nicość zapadły nagle lata rabunku, dławienia i wchłaniania innych tworów, lata walki niszczyielskiej. Natomiast powstały narządy nowe, i widać, jak prężą się pożądliwie na przezroczystym ciełe: narządy miłości.

I oto życie, długie jeszcze, czy krótkie, posiada cel nowy, cel, co sięga poza indywiduum.

W księżycowym oparze mieni się rozlicznymi barwami obłok, jak piórko lekkich, oskrzydłonych istot powietrznych. Nie stanowią już one rzeszy samotników, którzy zdawali się istnieć tam w głębi obok siebie w jednym miejscu, jakby przez przypadek zakłęte, a każdy z nich właściwie szedł uparcie własną drogą i walczył o własne obrane przez siebie miejsce, a wzajem najwyżej wyrywali sobie pożywienie...

Tam chmura burzą brzemienią niedaleko czerwieni księżycowej drga w dreszczach gwałtownych od iskry elektrycznej... Tak samo całym obłokiem chwiejących się w powietrzu owadów wstrząsa jedno niewypowiedziane pragnienie połączenia się, zlania własnego indywiduum z innym w rozlewnej chwili miłosnej rozkoszy, co przetapia wszelką jedność i skończoność we wspólność i wieczność gatunku... Wszyscy pragną być we dwoje, i w ogniu tych pragnień niedawni samotnicy tłoczą się wzajem ku sobie i w zu-

pełnym zapomnieniu o sobie, pełni uczuć towarzyskich.

...Wciąż nowi bracia i nowe siostry wychylają się z czarnej bezdni w dążeniu ku przepychowi przesyconego burzą powietrza i księżycowego rozblasku— i na falach powietrznych, odurzone wirem niezliczonego tłumu, chwytają się wzajem w pary i spełniają wielki akt nowego celu życia, akt zapłodnienia, w ekstazie takich dreszczów błogich, jakie przeniesć zdoła aż do zatracenia swego ten drobny, jak kwiat delikatny ustrój za jedną chwilę zupełnego wyzwolenia i harmonji.

Ponad pola upałem dyszące, spragnione rosy, co po burzy padać zwykła na nie, znowu płyną dźwięki wioskowego zegara: bije dziesiąta. Szał miłośny owadów dosięgnął szczytu. Nasze elfy to wynurzają się na powierzchni wody, to znikają, tworząc białe, świetlne wysepki, które bez przerwy zapadają się i powstają odnowa. A u brzegu wiruje obłok, jak nieprzejrzana zadymka śnieżna. Ty sam, jako wędrowiec samotny, w jednej chwili otoczony jesteś tym obłokiem, wszystek pokryty jesteś tak, że z trudem musisz torować sobie drogę. Łódka znika za tą żywą zasłoną. Na stopniach, prowadzących do łodzi, roi się na wysokości kilku cali, warstwa za warstwą, wiruje w oszołomieniu; owady latają bez końca, chwytają powietrze, szukają się wzajem, aż wreszcie omdlewają z rozkoszy, wyładowanej tak burzliwie...

Atoli pośród tej hosanny widać już omdlewanie. Para za parą kończy dzieło swoje. Chwila szczęścia—i wiosna minęła. I oto wir opada, jak powiędłe liście. Samica rzuca zapłodnione jajka w wodę i umiera, jako ofiara. Zdaje się, jakoby to biedne miękkie ciało sylfidy zabite zostało przez nadmiar szczęścia, przez rozkosz miłości i rozkosz matczyną, przeżyta w ciągu jednego mgnienia. A samiec, odegnany precz przez wiew powietrza, co idzie od chmury burzą brzemiennej, ginie jednocześnie ze swoją kochanką,

zabity przez piorun miłości, który wszystkie zmysły jego rozżarzył i odebrał mu je też nazawsze w tym szale miłosnym... Całe to słabe życie skruszyło się w chwili, kiedy wszystkie struny jego wyśpiewały swą najpotężniejszą pieśń, pełną nigdy przedtem nie-
doścignionej harmonji.

Przewala się pierwszy grzmot w oddali. Wiatr, scicha zawodząc, wpada w sitowie nadbrzeżne. Godzina jedenasta. Rozwiało się widmo elfów morskich. Ciemna, bezustannie wdal sunąca powierzchnia rzeki pochłoneła, spłókała mirjady białych trupów—uczte weselną dla małych rybek srebrnych w głębinach wód. Ostatni słabi maruderzy ze śmierci stygmatem opadną z deszczem. Dwie godziny tylko—i przeminął cały szal weselny, spełnione zostały wszystkie cele nowej istoty—aż po śmierć samą. A pośród samej bachanalji szła śmierć i żęła snop za snopem, aż ostatni błyszczący pyłek srebrny przyjęty został napowrót na łono fali-rodzicielki i przez prąd uniesiony precz w otchłanie nocy.

Pewien stary Grek powiada: „Szczęśliwe stworzenie! Tak szybko żyło, że oprócz śmierci nie mógł osiągnąć go żaden ból własny ani zasmucić widok czyjegoś bólu“.

Dwie godziny—ale w ciągu tych dwu godzin jednego wieczora, kiedy w powietrzu wisiała burza, utrwalony został gatunek na lata całe naprzód. Zapłodnione jaja, pogrążone cichutko w głębi wodnej, jak te tysiące trupów, ofiar miłości, same nie są trupami, przeciwnie, pełne najbujniejszego życia, na drogach tajemnicy ukształtują się z czasem jako gąsienice. A po latach długich znów nastąpi zmartwychwstanie, szal bachiczny, miłości spełnienie i śmierć ofiarna.

Dwie godziny — ale w ciągu tych dwu godzin powtórzyło się widowisko, na które patrzą już lat miliony.

Jednodniówka jest starszą od człowieka. Tęcza

jej wzlotów weselnych sięga jednym końcem swoim daleko wstecz, w pradawną historję ziemi. Widziała ona już błękitne morze praformacji dewońskiej, kiedy nie było ani gór, jak dzisiaj, ani żadnej rzeki. Była obecna już w chwili, kiedy wiatr hulał po lasach, pośród wysokich, jak drzewa, paproci i skrzypów, któremi dziś, jako węglem czarnym, podsyca my nasze na kominkach. Wykwitły ongi z wód owe miłości żadne elfy, jako biały, połyskujący w księżycowych promieniach obłok świetlany—jak dziś, tak i ongi, w pełnej wydarzeń epoce jurasowej, kiedy pływał Ichtyosaurus i polatywał przez powietrze jaszczurptak Archaeopteryx. Cudowny sen ziemski jednodniówki pozostał ten sam i wtedy, kiedy zamiast paproci palmowej z owej epoki jurasowej zwieszały się w okresie trzeciorzędowym ponad prądem, unoszącym muchy jednodniówki, gałęzie gaju sosnowego. Z gałęzi tych spływała złota smoła, co stwardniała później w bursztyn... Dziś jeszcze widać często w jego wnętrzu wiotkie ciało jakiejś pradawnej muchy-sylfidy.

Dopiero w tym okresie trzeciorzędowym ukazał się człowiek.

W ciągu tych lat tysiąca jego stawania się, od dzikiej epoki kamiennej począwszy z mamutem i niedźwiedziem jaskiniowym aż do świętych chwil, kiedy naradzać się poczęła kultura, przez cały ten niezmierny okres czasu towarzyszył mu bądź nad rzeką samotną, bądź nad cichym stawem, ów wiecznie jednaki bieg życia jednodniówki. Przeżywała ona chwile swych wzlotów i wtedy, kiedy człowiek czytał nasamprzód w gwiazdach nad Eufratem, kiedy rozmyślał o tajnikach życia nad Nilem, kiedy w nagrodę za ten świat pełen trosk i pomroków stwarzał sobie nad Ilissos inny, wyższy, świetlany świat z rytmu i marmurów.

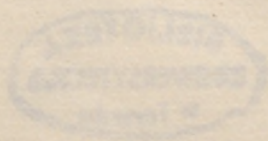
I wiecznie to samo. Wiecznie ta zagłada jednostek dla gatunku, ten sam szal zmysłów — wszystko stłoczone w krótkim momencie, ta sama nagła, nie-



wyjaśniona przemiana celów. Dwie godziny, w ciągu których jednostka prawie w chwili śmierci staje się historją świata, ogniwnem w łańcuchu, który ciągnie się aż po dzień dzisiejszy od pierwszych dni stworzenia, ciągnie się pomiędzy zamierzchłemi, bajecznemi lasami, pośród potworów nieznaných, pośród gwiazd, co z dawien dawna pogasły albo precz się potoczyły.

Jednodniówka nie myśli. Budzi się, szaleje, płodzi się — i ginie. Ale ty, samotny, późny epigonie tego nizkiego świata zwierzęcego, ty, któryś odbiegł od niego tak niezmiernie daleko, stoisz na brzegu i patrzysz się nieruchomo na te małe blade trupy, po uczcie miłosnej pozostałe, i myślisz — myślisz nad tajemnicą, jaką kryje w sobie tajemnicę miłości i śmierci...

Co to jest miłość?



Koniec... Teraz znów inny obraz, odbijający swą dziwaczością prostacką od tamtego, pełnego tragicznej słodyczy. Ale ton zasadniczy jest ten sam w obu.

Czy słyszysz, jak wiatr gwiżdże i woda pluszcze? Norwegja... Wiew szorstkiego powietrza morskiego, przesyconego solą i zapachem rybim. Fale rozpryskują się o granitowy brzeg. O ten prastary brzeg! Tu wznosiła się już olbrzymia warownia skalna wtedy, kiedy reszta Europy stanowiła jeszcze archipelag koralowy, dookoła którego pływały smoki z formacji jurasowej. Stąd stoczyły się później na obumierające, mroźne pustkowie północnych Niemiec wały lodowców... Wielki, groźny, tajemnic pełny, zaczarowany zamek na drodze, którą szła historia ziemi, zamek, sięgający pochodzeniem swym tych czasów, kiedy Wikingowie na łodziach-smokach wyruszali stąd w nieznaną olbrzymią srebrnopienną pustynię wód ku wulkanom islandzkim, z których biją krasne płomienie, ku zielonym latoroślom winnym mitycznej Ameryki z roku tysięcznego.

Atmosfera upiorów... Nad lądem ciężą chmury deszczowe. Ponad skałami przymorskimi błyszczy szorstkie, płowe światło. Jest coś na niebie i wodzie, jak gdyby z otwartego morza zbliżała się rzecz niepojęta — holender latający, jak go sobie wymarzyła legienda, z upiornie czarnymi linami okrętowemi na tle żółtego, jako siarka, nieba; albo bajki rybackiej szatańska dłoń, co wysuwa swe olbrzymie czerwone pazury ponad grzebieniami z piany morskiej. Ptaki morskie wydają smutne okrzyki.

Atmosfera upiorów... Ileż rzeczy przypłynęło już ludziom właśnie do tego brzegu! Tu po raz pierwszy dokładnie poznano wieloryba—to olbrzymie zwierzę ssące otwartego morza. Tu narodziła się legienda o Kraku, co z otchłani wyłonił się, jako wyspa, i, tonąc znowu, zatopił olbrzymiemi swemi pajęczemi ramionami największy okręt. Legienda ta znalazła wy-

jaśnienie dzięki mątwom olbrzymim, co w otchłaniach morskich żyją... Tu wciąż odnowa ukazywał się wąż morski z falującą grzywą, wijący się w groźnych, nieprzerwanych skrętach, od których gotowała się woda fjordu—owo zjawisko tajemnicze, tak stare, jak istnienie ludów, uprawiających żeglugę morską, a mimo to wciąż niewyjaśnione. W otchłaniach tego morza, tam, gdzie w pewnym oddaleniu od skalnego wybrzeża spada ono nagle w przeraźliwą głębię, jak gdyby ocean pograżał się w inny, głębszy i bliższy środka ziemi—tam żyje liljowiec w królewskim pióropuszu na mocno osadzonej łodydze, podobny do jakiejś lilji cudownej na tle barwnych głębin koralowych; w rzeczywistości jednak jest to zwierzę, które obcym się czuje w swoim otoczeniu, to maruder samotny z błękitnego dziwomorza okresu kredowego, kiedy olbrzymie lilje wodne chygotały się i mieniły, jako lasy palmowe głębin morskich, i kryły w zakątkach swych przebrzydłe gady owych czasów, jak dziś dżungla indyjska daje schronienie królewskiemu tygrysowi.

Azali znów zbliża się teraz ku brzegowi jeden z owych cudów morza?

Zmierzch rozsnuwa po morzu swe chłodne cienie. Ale oto błysnęły wody same jakby światłem magicznym, które zdaje się zbliżać do starego granitowego brzegu z otwartego morza. Blask odbija się w jarze, w powietrzu, i widać, jak się zbliża tam w oparach srebrnych. Wprawdzie potężniej daleko, ale w sposób zbliżony, zdała na niebie ukazuje się podróżnikowi podbiegunowemu odblask lodowy, wskazujący na bliskość mas kryształowych, które zamkną mu drogę, jako forpoczty pustyni, co stacza się ze skostniałego bieguna kuli ziemskiej, jak gdyby tam łączyła się kraina odwiecznego, mroźnego zimna grobowego swobodnych przestrzeni międzyplanetarnych z olbrzymią szumiącą kulą, co wiruje dokoła

słońca obarczona na swej ciepłej powierzchni środ-
kowej ciężarem istot żyjących.

Lecz o tej porze nie poruszają się tędy lody. To
lśnienie srebrzyste wielogłowego dziwotworu, co się tu
coraz bliżej i bliżej pomyka. I nie jako pojedynczy
potwór jawi się to w dali. Na nieogarniętej przestrzeni
morza słoczone przewala się to w zamęcie, niby wy-
spa srebrzysta od chmury zwierząt rojna.

Śledź to ciągnie, miljonową zbliża się ławicą.

Blask świetlny na mgłach—to odbicie niezli-
czonych błyszczących ciał, które, opanowane maso-
wym szaleń, dążą ku samej powierzchni morza i po-
nad nią nawet, aż tam znów tworzą się wypukłości,
niby olbrzymi żółw, którego gładki grzbiet odbija
światło księżycowe. Ale nawet w prastarych epokach
bajecznych zwierząt-olbrzymów nigdy nie było takie-
go wielkiego żółwia. Wyspa z ryb żywych rozciąga
się na długość i szerokość mili. Ponad tym unoszą
się gromady białych mew, jak gdyby ponad jedną
z tych samotnych skał morskich, gdzie gnieźdzą się
zazwyczaj mirjady hałaśliwego ptactwa morskiego.

To tu, to tam wybłyśnie ciało jakieś pojedyncze,
jak gdyby ze wzburzonego, szumiącego żywiołu wybu-
chały biało-niebieskie płomyki, jak gdyby wyspa owa
wyładować się chciała w drgawkach wulkanicznych.

Podobny, zda się, mielibyśmy widok, gdyby rę-
ka jakiegoś olbrzymia rozpostarła w poprzek morza
sieć i zwolna zbliżała się z nią do lądu, tłocząc
przed sobą wszystkie twory żywe z całego wód rojo-
wiska, aż wreszcie w zanurzonej sieci nie starczyłoby
miejsca dla owej masy żywej: spiętrzyłaby się u brze-
gu, niby olbrzymia piramida tych żywych, drga-
jących istot, którym to życie w głębinach wód na-
daje tak nieraz dziwaczne, potworne kształty.

Tytanem tym jest miłość.

Śledź pojedynczy ginie na otwartym morzu, ja-
ko pyłek w powodzi słonecznego światła. Dotąd jesz-
cze człowiek nie zdołał nawet dociec, gdzie właściwie

kryje się on w cichych, beznamiętnych okresach swego życia: czy w otchłaniach dolin podmorskich, czy też, co prawdopodobniejsze, na nieznaczej głębi na otwartym morzu, zdala od brzegów.

Aż oto nagle jak gdyby zagrział odgłos trąby z wizji starego proroka, który kazał w dolinie pozbierać kości swoje. Poprzez najtajniejsze wnętrza wszystkich tych istot, samotnie rozsianych po oceanie, przemknęło niejasne pragnienie cieśni, pragnienie płytkiego dna pomiędzy skałami, gdzie można lubieżnie ocierać się o siebie. A są w tym pragnieniu obrazy wczesnej bardzo młodości. Kiedyś wszystkie one urodziły się tu, w cieśninach nadbrzeżnych, zanim ujrzały otwarte morze.

Któż wiedzieć może, jakiej wyrazistości dosięga teraz w tym nagłym a tak głębokim podnieceniu ogólnym ów dawno wypełzły obraz, związany z pewnym określonym miejscem. To pewna, że następuje obecnie zupełna przemiana w zwyczajach życiowych. Śledź prze ku brzegom. Zrazu skupia się tylko w gromadki jednym ożywione hasłem. Gromada łączy się z gromadą. Jest to jakieś nieskończone, niejasne, ślepe poprostu kierowanie się w jedną stronę; chcąc wyobrazić sobie tę niezmierną przestrzeń oceanu, skąd miłość spędza masy owych tworów, doznaje się w głowie uczucia zamętu. Wreszcie coraz płycej, i upragniony brzeg jest już blisko. Wszystkie promienie tego ruchu masowego dążą teraz do jednego punktu... i z ciemnych wód przeblyskuje srebrna wyspa, utworzona z miliona owych tworów, która rzuca blask swój aż pod obłoki.

Ale jest chwila, kiedy w tym olbrzymim tłumie rybim ruch ustaje i następuje zastój. Na skutek panującego tłoku wyładowuje się nagle wszystka hamowana dotąd namiętność miłosna w taki sposób, że zjawisko to, jak cała zresztą ta burza masowa, ma w sobie prawie coś brutalnego, a w każdym razie coś tytanicznego. Falę morską pokrywają nagle gęste ob-

łoki męskiego płynu nasiennego, obłoki tak potężne, że ocean na dalekiej przestrzeni przybiera odcień mętny, że cała wyspa srebrna rozkoszą upojonych ryb kąpie się w nich — i pływa.

Ale jednocześnie i ciało samiec przebiega ta sama iskra najwyższego uczuć wyładowania, i w obłoki nasienne padają miliony, miliony nagle rzuconych jajeczek. Na te jajeczka działa swobodnie pływające nasienie, jak złotodajne źródło życia; nasienie otacza je, obejmuje, poprostu wchłania je w siebie, a później w każdą komórkę jajową wdraża się komórka nasienna, stapia się z nią i w ten sposób budzi w niej właściwą siłę twórczą, dzięki której wykwitnie z niej istota nowa...

Nieporównane to widowisko!

Płodzenie jako akt gromadny. Od konwulsyjnego, dzikiego wylewu uczuć miłosnych ocean wznosi się i burzy. Każdy osobnik płynie pośród siły życiowej milionów, oddając wszystko do źródła ogólnego i stamtąd też czerpiąc wszystko.

Tak myśl naiwna wyobrażała sobie kiedyś akt stworzenia: w jakąś wielką, świętą godzinę wylała ongi ręka potężnego Boga niewyczerpane nasienie wszystkiego, co żyje, w martwą pustkę oceanu. Z wyżyn obłocznych rzucił Brahma złote jaje, z którego po zapłodnieniu w Bogu wyłoniła się stubarwna opona życia...

Atoli żadna fantazja poetycka nie mogła wymarzyć całej groteskowej, bezlitosnej zarazem potworności, jaką nadała w rzeczywistości przyroda tej orgji rybiej.

Jednoczą się tu momenty wzniosłe z komicznymi i budzącymi grozę.

Oto na ten srebrny kłęb z miłości oszalałych ryb, której potęga wyładowuje się w nieprzerwanych strumieniach, jakby po oberwaniu się chmury, na te miliony skrzących się, drgających ciał, zmysłowo poruszanych pletw i wielkich, nieruchomych, jak

w tęsknocie jakiejś zastygłych oczu spadają wszystkie plagi Egiptu. Dawniej każda z osobna kryła się w głębinach lekko, zwinnie, niby akrobaci w żywiole morskim — a teraz, jako gęsto zbita masa, zespolona w dzikim szale miłosnym, są one prawie bezbronne i narażone na wszelakie klęski.

A klęska czyha tuż! Dzicy rabusie zbliżają się gromadami ku wyspie miłosnej, zdaleka już wabieni przez olśniewający blask, który, jak rozpalona pochodnia weselna, żarzy się w obłokach. Dla nich ów kłębek weselny nie stanowi nic innego, jak olbrzymi, bardzo pożądaný śpichlerz żywego mięsa.

Z nad powierzchni morza biją na kilka metrów wysokie fontanny pyłu wodnego ze stłumionym, rozlegającym się daleko hałasem, jak gdyby gejzery kipiły w otchłani tajemnej: oto zbliża się olbrzym-wieloryb, kolos długości około 30 metrów. Mechanicznie rozwiera tylko swą bezdenną gardziel, i oto wraz z gwałtownym prądem wód wpadają w nią setki miłością rozplómiionych śledzi, które on później swym wielkim mięsistym językiem zwolna rozciera o twarde podniebienie paszczy bezzębnej, dopóki nie stają się przydatnymi do przełknięcia. Za wielorybem ciągną pomniejszych ssawce morskie, wesołe delfiny i psy morskie, a potem o niemniej niszczycielskich zapędach gromada prawdziwych ryb, jak łupaki, sztokwisze, pomuchle, wreszcie i rekiny, których straszne zęby rozcierają miękkiego śledzia, jak masło. A z góry, z obłoków zmierzchowych napadają bez przerwy roje skrzydlate krwiożerczych mew i twar-dym dziobem odrywają kawał za kawałem z żywej tarczy srebrnej, jak chciwi poszukiwacze skarbów, urywający coś niecoś po wierzchu z ukrytej w głębinach żyły kruszcowej.

Aż oto wreszcie zbliża się najniebezpieczniejszy łowca — człowiek. Poprzez mgłę suną na łodziach szeregiem rybacy z sieciami. Wdzierają się nieubłaganie w sam środek, tam, gdzie róż weselny jest najgęstszy.

Łódź staje nieruchoma w ciżbie, bywa chwilami podnoszona z nad powierzchni morza przez przyplawy szalu miliardów ryb—wiosło, wtłoczone w ich masę, bywa porywane i przez chwilę trzyma się prosto dzięki zwartej masie, otaczającej łódź.

Oka sieci pokrywają się gęstym, opornym śluzem: dostały się one w morze spokojnie pływającego nasienia; wkrótce potem uginają się pod ciężarem samych ryb. Ale napróżno próbują owe twory bezbronnie obezwładnić przeciwnika samą potęgą szalu, któremu uległy ich miliony. Śledzie wrzucane bywają przy pomocy szufli w łódź wprost z powierzchni, z pośród chwil rozkoszy wyrwane. Później oddzielne części roju wtłaczane bywają przez sieci w wąskie ramiona fjordów, gdzie padają gromadnie w objęcia nieubłaganej śmierci.

I tak oto znika wreszcie wyspa srebrna, ze wszystkich stron niszczona. Na miliony rozkoszujących się miłością osobników spadł jakby dzień sądu ostatecznego. Atoli ów wielki, tajemniczy cel spełnił się. Z jaj zapłodnionych, o które nie dbał żaden z następców, powstanie rzesza drobniutkich nowych rybek. W swoim czasie powędrują one znowu z nad brzegów na pełne morze, aż wreszcie i na nie w pełnym wybujałym rozkwicie dojrzałości przyjdzie chwila tęsknoty, tej tęsknoty, co porywa je za sobą ku brzegom na miłość i śmierć ofiarną. I później wyłoni się znów z ciemnych głębin nowa, srebrnym blaskiem promienna wyspa miłości...

I te oto gody weselne ryb powtarzają się od niepamiętnych czasów. I ryba jest o wiele, wiele starsza od człowieka. W jej dzikim, nieruchomym spojrzeniu przegląda prastary świat, który oglądał ten różnobarwny ogród ziemski jeszcze bez człowieka. I więcej jeszcze: człowiek nie mógłby wcale powstać, gdyby przedtem nie było ryby. Na miliony lat przedtem człowiek był rybą, jakąś prarybą czasów zamierzch-

łych, w której tkwił zaledwie zawiązek tego, co kiedyś miało się stać człowiekiem.

W tęsknocie miłosnej szukają się dziś wzajem i znajdują mężczyzna i kobieta — w jasnym świetle dziewiętnastego wieku, w 19 wieków po narodzeniu się wielkiego reformatora, poza którym w tyle biegnie historia ludzkości w dal niepamiętną aż do krwawej mgły pierwszych zaczątków. Z płomiennych dreszczów tej chwili miłosnej wyrastać poczyna w łonie matki dziecko. I po tylu tysiącach lat od czasu powstania człowieka na ziemi, po tych wędrówkach, które przebył duch ludzki od mżących przedświtów aż do promiennego południa kultury,—po tylu tysiącach lat dokonywa się głęboko w łonie brzemiennej matki nad tylko co zalęgłym zarodkiem wielkie, znamienne misterjum...

W ciemni macicznej, gdzie niema ani ładu, ani morza, ukazują się na drobnym, delikatnym pączku przyszłego homunkulusa szpary skrzelowe u szyi, które potrzebne są rybie po to, ażeby ze swego żywiołu wodnego wydobywać specjalnym, sztucznym sposobem tlen odżywczy. I występują kończyny w postaci krągłych pletw. Jeszcze raz, jakby we mgle, ukazuje się na chwilę chwiejny obraz praryby, która kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, dała życie istotom wyższym. Istoty te rozwijały się wciąż dalej wzwyż ku człowiekowi, co wyłonił się z ich korony, jako płomienny, nowy, wyższy świat,—ku człowiekowi, co dźwiga na swych barkach wszystkich smutek i wszystką radość stworzenia...

Tak więc i ten dziki, groteskowy obraz jest najściślej z tobą związany.

Znowu stoisz, spóźniony marzycielu, na skale granitowej i myślisz, rozważasz...

A z tego rozgwaru dziko tłoczących się ryb powstaje znowu to samo pytanie:

Po co? Co to jest miłość?

I jak ongi głos Jehowy rzekł do Hjoba: „Opasz

biodra swoje, jak mąż: chcę cię pytać — ucz mię! —
tak i ty wołasz ku miłości w tym jej widmowym obja-
wieniu.

Odpowiedzi! Morze, to prastare, szare morze,
które pochłoneło światy, szemrze i szumi i wchłania
miljony w miłości oszalałych ryb. I milczy.

Wyżej!

Musisz pójść o wiele wyżej jeszcze, ażeby móc
wyobrazić sobie, co to wszystko znaczy, co miało na
celu i czego dopięło. Opasz biodra swoje—ja cię po-
prowadzę!

Wzwyż! Obraz trzeci!
Obraz, który wyłania się cichy i wspa-
niały ze szczytów płomienistych wszyst-
kiego, co ziemskie.

Patrzac na jeden z tych świętych skarbów ludz-
kości, na których spoczywa blask wielkiej godziny
wszechświatowej, jednej z takich godzin, kiedy je-
dnemu człowiekowi udał się czyn potężny, olbrzymi:
odnalazł on w sobie ducha wielu stuleci, jakie prze-
żyła ludzkość walcząca. Poprzez kryształowe wysokie
okno sączy się złote światło jasnego dnia jesienne-
go i delikatną falą, jako glorja święta, połyskuje
ponad Madonną sykstyńską Rafaela.

Za słabym wydaje się tu wyraz „świętość“. Po-
chodzi on z tej dziedziny myśli, gdzie to, co jest
najwznioślejszego, może być uzmysłowione tylko jako
luka w tym stubarwnym świecie rzeczywistym, luka,
która prowadzi w ową bezbrzeżną ciemność, gdzie
oko wyteża się aż do wysiłku krwawego, ażeby od-
kryć blade, jako duchy, gwiazdy pozaświatowego ob-
jawienia.

Wielcy mistrze Odrodzenia nie malowali luk.
Kiedy Rafael stworzył dla Matki Boskiej z Dzieciąt-
kiem ten kształt indywidualny, w jakim widzimy ją
dziś jeszcze, to złożył on tam wszystko, czego do-
świadczyła po owe czasy ludzkość w miłości.

Wszystko, co przejęła była jeszcze ze świata
zwierzęcego, oraz wszystko, co ją w szeregu stuleci
ponad zwierzęcość wyniosło. Potęga wielkiego artysty
zespoliła to wszystko w jeden moment.

Atoli poza płótnem przesuwiają się w procesji
ziemskiej niezliczone pokolenia ludzkie. A ponad pro-
cesją powiewają jako chorągwie i nazwy narodów,
wielkich ognisk kulturalnych i idei. Przecudowne oczy
tego dziecięcia to nie są luki — nie spoglądają one
nieruchomie z rzeczywistości w wieczną ciemność.
Ale jest w nich coś, jak gdyby senne marzenie o bez-
kresnych przestrzeniach i nieskończonym różańcu go-

dzin,—coś z pełnego wspomnień snu ludzkości, którą potęga artysty na jedną chwilę zakłęła w postać indywidualną.

Trwały, zasadniczy rys rafaelowskiej Madonny— to kobiecość jej postaci. Prawdopodobnie w otoczeniu Rafaela istniały kobiety, które były do niej zupełnie podobne i w których widz poznałby jej model ziemski. Z chwilą jednak, kiedy zgasł Rafael, jako osobnik ludzki, Rafael, którego czaszka śpi w starej pogańskiej okrągłej kaplicy rzymskiego Panteonu, z tą chwilą również zapadło się w nicość to wszystko, co go najbardziej z ziemią wiązało; pod zaklęcia czarem rzucone zostało w wielką przepaść zapomnienia również wszystko to, co jest w tym indywidualne — być może i cienie silnych, namiętnych, miłością dyszących dziewcząt, które mogłyby zamącić wierzącemu ascecie zapamiętanie się w Madonnie. Zginęło to wszystko w niepamięci wraz z wieloraką inną, różami ukwieconą miłością ludzką, która odczuwać musiała, jako coś sobie bliskiego, los jednodniówek z ich dwiema godzinami szału miłosnego... Ale ze wszystkich cech indywidualnych pozostaje w Madonnie jedna tylko— kobiecość.

Zjawia się na ziemi człowiek w dwoistości płci swojej. Mężczyzna i kobieta. Nie zostało to dopiero osiągnięte na przestrzeni, dzielącej goryla od Rafaela. Zaczęła się ta dwoistość z wystąpieniem wyższego rozwoju organicznego i to zarówno w świecie zwierzęcym, jak roślinnym. Parła ku temu głęboka konieczność przyrodnicza, o której ci później opowiadać będę. Twór jednokomórkowy najniższego rzędu, znajdujący się jeszcze poza zwierzęciem i rośliną, rozmnaża się przez dzielenie—i każda nowopowstała cząstka stanowi nowy osobnik. Ale ten sposób był zarzucany w miarę tego, jak ustroje rozwijały się coraz dalej; już nawet w czasach prastarych przez większość roślin i zwierząt poniechana została. Gdyby prawdziwą była legiendra indyjska, według której czło-

wiek miał powstać z różowego kwiatu lotosu przez gorący pocałunek złotego spojrzenia boskiego, już musiałby po tym kwiecie odziedziczyć dwoistość płci. Wprawdzie lilja wodna ma jeszcze w jednym kielichu kwietnym oba rodzaje narządów płciowych; ale słupek wymaga zapłodnienia przez pyłek nasienny z innego kielicha, tak że już i tu dla właściwego zapłodnienia potrzeba życia podwójnego, dwoistego, sił dwóch oddzielnych osobników.

W rzeczywistości zaś człowiek nie jest dzieckiem rośliny—choć pięknie brzmi owa legienda. Powstał on ze zwierzęcia. Najprostsza postać dwoistej miłości płciowej, jaką widzimy w kwiecie lotosu, wczesnie poniechana została w świecie zwierząt wyższych, u kręgowców, już przez ryby nawet, na korzyść zupełnego podziału na pierwiastek męski i żeński, z których każdy uosabia prawdziwą płęć z męskim lub żeńskim narządem płciowym, z męskim lub żeńskim światem uczuć płciowych. Począwszy od ryby, nie masz już odstępstwa od trwałej zasady. Od ryb przeszła ona do płazów, gady odziedziczyły ją po płazach, a zwierzę ssące od gadów. W łańcuchu wstępującym ssawców małpie przypadła rola bezpośrednia przekazania dwoistości płciowej człowiekowi. I człowiek wkracza do historii jako mężczyzna i kobieta. I Adam przed stworzeniem Ewy stanowi również, jak ów człowiek z kwiatu lotosu zrodzony, piękną bajkę... To prawdziwy dziki praczłowiek, co polował na mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego i leniwca-olbrzyma i od pierwszego dnia obejmował dziką swą pratowarzystkę w jaskini lub dole jakimś piaskowym, które służyły mu za kryjówkę.

Madonna Rafaela—najwyższy symbol kobiety—trzyma na ręku dziecko. Wobec czysto ludzkiej, podniesionej tylko do ideału najwyższego postaci, jaką nadał Madonnie swej mistrz, nie należy zaraz przypominać sobie misterjum religijnego, jakim dogmat chrześcijański otoczył powstanie tego właśnie dziec-

ka, jako dzieciątka Jezusowego, i tym samym wysunął je zupełnie poza szranki wszystkiego, co ogólnoludzkie. Zwykły spostrzegacz, którego nie dotyczą te problemy, widzi tylko w cudownym, niezmiernym blasku matkę. A w tym misterjum „niepokalanego poczęcia“ było jednak coś, co dało możność artysty otoczyć typ matczyny, typ dojrzałej kobiety, lekkim, niedostrzegalnym prawie powiewem niepokalanego, dziewiczego czaru.

I przez to Madonna w obrazie Rafaela wyobraża już więcej, niż zwykłą matkę—wyobraża kobietę-człowieka: w tej jednej postaci zbiega się szereg całych momentów, cała historia kobiety, jako indywidualium.

Poprzez czarujący błękit tej szaty wzrok ludzki wyobraża sobie ciało, które niosło we wnętrzu swoim dziecko. Biała chustka, zarzucona na kaftan czerwony, kryje wstydliwie pierś, która dawała dziecku pierwsze pożywienie. Wszystkie te akty najściślej-szego zespolenia matki z dzieckiem nie wskazują na nic niezmiernego, rozważane wyłącznie z ludzkiego punktu widzenia, ale wskazują w granicach historii człowieka przede wszystkim i na to, co sięga wstecz poza człowieka, tak samo jak i dwoistość jego płci. Wskazuje na rodzaj zwierzęcy, z którego powstał, tylko że punkt wyjścia jest teraz znacznie bliższy. Cóż wie o tych zjawiskach kwiat lotosu?—płód jego polatuje ponad wodami, szuka sobie miejsca i wzrasta jako obca roślina. Co może wiedzieć o tym wszystkim mucha jednodniowa? umiera ona prawie w tej samej chwili, w której została matką... Dopiero w dziedzinie najwyższej rozwiniętych kręgowców widzimy dążenie konsekwentne do pewnego trwałego celu. Od promiennych barw Madonny Rafaela cofa się wzrok twój w dal, na dzikie bagna australskie. Tam kryje się zwierzę najniżej wśród ssawców stojące, które dziś stanowi jeszcze wzór pierwszych ssawców na ziemi. To tak zwany dziobak. Kładzie on

jeszcze jaja, jak gad; brak jeszcze tu zupełnie owego najściślejszego zespolenia, jakie istnieje u ludzi pomiędzy dzieckiem a organizmem matki. Ale jeden z dwóch gatunków tych zwierząt, które się ostały, nosi już jaja z sobą w miękkim worku skórnym. A młode, które się tu wylęgnie, ssie mleko z gruczołu matczynego. Jest to prawzór matki w rozumieniu ludzkim. Od tego punktu począwszy, następuje szereg coraz to nowych postaci zwierzęcych—ssawce, które już wogóle jaj nie kładą, ale noszą w sobie młode swoje i długo jeszcze odżywiają je w ciele swym przy pomocy wspólnego obiegu krwi, która, jako święte źródło życia, z żył matki przesiąka w żyły niezrodzonego jeszcze płodu; a potem karmią je jeszcze po urodzeniu u prawdziwych piersi matczynych. I tu również małpa przekazuje dziedzicznie człowiekowi gotowe już zupełnie prawa naturalne.

A jednak, kiedy myśl twa, która od promiennego przepychu Madonny sykstyńskiej odwróciła się była ku dziobakom i teraz znów dosięga człowieka, wydaje się, jakoby zbyt brutalnie, zbyt nagle opadła wielka zasłona, która ongi, w prastarych czasach, spajała z sobą człowieka i zwierzę.

Pojęcie macierzyństwa odziedziczone zostało od zwierząt w całym łańcuchu postaci demonicznych, począwszy od groteskowego dziobaka wzwyż ku orangutanowi i goryłowi; z chwilą jednak, kiedy to pojęcie wkracza w dziedzinę historii ludzkości, wybuchają ono płomieniem zupełnie odmiennym. Oto przyroda w całym promiennym blasku swoim wyzwala z siebie kulturę.

I po prawiekach przyrody następują tysiące lat rozwoju ludzkości—kultura. Wtedy już to wszystko, co odziedziczone zostało po zwierzętach, nie przechodzi wprost z pokolenia w pokolenie, jako wiecznie niezmiennie dziedzictwo zwierzęce.

Ciało rafałowskiej Madonny, mimo całego uroku, jest jednak jeszcze symbolem ograniczonej zasady

dwupłciowości, a dziecko na obrazie każe pamiętać, że to jest matka. Atoli jednocześnie postać ta unosi się jakby w jakimś wyższym świecie, jako kreacja wolnego ducha ludzkiego.

Tak samo i miłość wznosiła się coraz wyżej w historii ludzkości, jako coraz lotniejsza postać promienna, u której stóp zapadało się w głąb wszystko, co zwierzęce, co brutalne.

Człowiek stał się człowiekiem.

Na surowym podłożu jego zwierzęcości, niby na cokole granitowym, tworzyły się w nim samym nowe nawarstwienia duszne.

I oto strzelają one ku górze, jako świątynia, której marmur śnieżny ku świętym wznosi się błękitom.

Brak odpowiedniej analogji dla odtworzenia obrazu, jaki oczyma duszy widzimy. Wiemy tylko o jednej jedynej ludzkości, co w długim okresie czasu od chwili, kiedy w oddali błyszczał zielonym światłem wszechświat cały, aż do epoki zwartego łańcucha złotych gór granitowych rozwijała się z pośród masy postaci zwierzęcych. Czy na innej jakiej planecie, śląc ku nam białe lub czerwone światło, powstało również coś podobnego pod zaklęciem tych samych sił—o tym nauka milczy... Domyślać się zaledwie wolno. Nieświadomość nasza w tym względzie otacza „planetę życia“ ze wszech stron aż po przestrzenie gwiazdne, niby bezbrzeżna, naga pustynia, i stwarza dla nas w każdym razie stanowisko wyodrębnione, uprzywilejowane, wobec którego milknie wszelakie porównanie.

Atoli oczyma duszy dojrzeć można, jak owa jedna jedyna nieporównana ludzkość przekształcała na tej planecie pojęcie swoje, a pomiędzy innemi i pojęcie miłości.

Powstało ono samo z siebie i wyrosło ponad siebie. Tak jak ująć je pragnie przy pomocy symbolu ta Madonna, w jego najszczytniejszym wyrazie, olśniewa ono potęgą, do której miłość zwierzęca pozostaje

w takim samym stosunku, jak proste legowisko z gałęzi, przygotowane w gąszczu wyspy Borneo przez orangutanga, wobec Panteonu Fidjasza lub kopuły Piotrowej Michała Anioła. W tych budowlach promiennych znajdujemy nie tylko ciała znikomych indywiduów, ale poza tym żyją w nich myśli lat tysięcy, wyzwolone dla jakiegoś wyższego życia...

W prometeowej kuźni ludzkości, gdzie od wieków przekazywany ciemny kruszec przetapiał się w ogniu ducha dla nowego życia, chuć i żądza w zwykłej miłości płciowej stała się wszechobejmującą siłą i tęsknotą wyższego, nowego, uduchowionego rzędu. Popęd, który zbliżał ku sobie obie płci, który sprawiał, że osobnik sam zatraczał się w płodzeniu nowych indywiduów, popęd ten rozwijał się w nieskończonych przemianach wzwyż aż do tęsknoty za wspólnym zjednoczeniem wszystkich na zasadzie miłości idealnej, aż do potęgi, któraby pozwałała na takie zjednoczenie się.

I bezbrzeżna błogość, zupełna niepamięć zjednoczonych osobników płciowych dla świata całego, dla bólu i śmierci, zlały się z tęsknotą za harmonją całego świata, za jakimś wzwyż ku światłu wiodącym porządkiem wszechrzeczy, ponad człowieka i ponad jego miłość.

I obok siły rozrodczej, która wciąż stwarzała jakieś nowe życie w odwiecznym rozumieniu tego wyrazu, zjawił się nowy popęd, podsycany ową tęsknotą za harmonją—popęd do własnej, uduchowionej, harmonijnej twórczości odrębnego rodzaju: pośród starej przyrody stwarzał sobie człowiek nową, uduchowioną a własną przyrodę w kamieniu i barwie, w mowie rytmicznej i w czystym dźwięku...

Miłość stała się miłością ludzką.

Stała się sprężyną podniesienia religijnego.

Stała się sztuką.

O tym wszystkim opowiada ci właśnie Madonna Rafaela.

Dziecię, które tuli się do pięknej piersi tej kobiety, nie tylko jest zwykłym dziecięciem ludzkim, spłodzonym w uścisku miłosnym dwojga ludzi według odwiecznego prawa przyrody, obejmującego również płodzenie się ryb i jednodniówek. Dziecię to jest jednocześnie symbolem miłości wszechludzkiej. W tym właśnie, co dziecko owo wynosi ponad zwykłą miarę, miłość występuje jakby wyzwolona ze swego pierwotnego pochodzenia, do nowego, wyższego bytowania gotowa.

Istnieją zwierzątka morskie na dnie morza, z których jaj rozwija się polip, mocno do dna przytwierdzony; w pewnym okresie dojrzewania nagle odpada korona tego polipa i płynie bez przeszkód w bezmiar tego oceanu, jako cudnie piękne ciało, przezroczyste, niby dzwon szklany, o barwie błękitnej bławatka, a nocą własnym oświetlony światłem, jak gwiazda złota. Tak samo z miłością. Zdaje się, jakoby przerwany został młodzieńczy, niedojrzały okres dojrzewania w tym celu, ażeby zamiast niego rozpoczął się wolny, bez porównania bogatszy okres wędrowania. Miłość błądzi, błądzi po wszystkich krajach pośród ludzkości, jako wartość duszna. I zamiast zwykłego związku płciowego pragnie ona związku społecznego wszystkich jednostek dla wspólnej pracy, wzajemnej pomocy w celu osiągnięcia możliwej sumy szczęścia.

Rafaël miał na myśli zupełnie określone zjawisko z historii człowieka na ziemi, kiedy tworzył to dziecko o wielkich płomiennych oczach ludzkości, oczach, których nie posiadało nigdy żadne dziecko, możliwych tylko jako symbol budzących się ze snu oczu ludzkości, które, niby olbrzymi pęk, rozwierają się przed widzem w tym spojrzeniu dziecięcym. Wtedy wzrok duszny Rafaëla sięgał przeszło półtora tysiąca lat wstecz i zatrzymał się na bardziej ku wschodowi leżącym kącie morza Śródziemnego, tam, gdzie pomiędzy morze i pustynię wtłoczone jest wążkie

pasmo łądu stałego. To jest owo morze, po którym Fenicjanie ongi przewozili na zachód złoto kultury. To jest owa pustynia, na której białej powierzchni wcześniej jeszcze, w zaraniu wszelkiej tradycji, wyłoniły się od strony wschodu pierwsze narody kulturalne, jako cienie z przepastnych, tajnych głębin.

A kiedy wzrok Rafaela błędził po owym starym lądzie, to natknął się na zielone wzgórze palmowe ponad błyszczącym błękitem morza. Na tym wzgórzu objawił samotny myśliciel lęklivemu tłumowi z głębin serca swego ewangelję o przebudzeniu się miłości wszechludzkiej. I odtąd było już to słowo na świecie i już umrzeć nie mogło. Pojęcie tego wyrazu istniało wprawdzie już wtedy od dawien dawna. Nie powstało ono w jednej godzinie, nie wyszło ono z ust jednego człowieka. Przynajmniej na tysiąc lat przed Chrystusem świat we wszystkich głębiach swych brzemienny był tą ideą. Tylko teraz właśnie nagle wybuchła ona płomieniem swym, ogarnęła narody, podobnie do tych tajemnych źródeł gazów podziemnych w Baku, znanych pod nazwą ogni wiecznych, które wydobywać się mogą z ziemi niewidzialne poprzez wieki całe, dopóki ręka czyjaś, chociażby ręka dziecka, nie rzuci iskry i w ten sposób nie wznieci pożaru, co znów płonąć może przez wieki...

A i wtedy wyraz „miłość“, ta iskra chwilowa, co rzuciła nagle z ciemności ów bezprzykładny snop światła, wydał się tak olbrzymim, że ziemia zdawała się być dlań za małą. Naturalny bieg rzeczy miał być przerwany. I wierzono wtedy, że piorun miłości wszechludzkiej błysnął z jakiegoś innego, nieznanego dotąd świata, z jakiejś ciemnej chmury, leżącej poza wszystkim, co ziemskie, poza całą dotychczasową drogą, którą szedł rozwój ludzkości. I wśród tych dreszczy przerażenia przerwany został związek pomiędzy miłością a miłością. Miłość wszechludzka nie miała — według pojęć ówczesnych — nic wspólnego

z miłością płciową. Nie miała ona być pąkiem, a me-
teorem, co spadł na ziemskie posiewy miłosne, jako
coś, co jest im obce zupełnie, co je niszczy nawet.

Takie pojmowanie rzeczy było za czasów Ra-
faela prawie panujące. Dziś żyje ono właściwie tylko
w przekazywanej święcie tradycji. Nam wydają się
dość wielkimi cuda rzeczywistości, cuda naturalnego
rozwoju, ażeby i chwila tak potężna, jak objawienie
miłości wszechludzkiej, mogła być przez nie w zu-
pełności objęta. Tu nie trzeba jeszcze jakiegoś spe-
cjalnego cudu. Właśnie wtedy, kiedy i w tym obja-
wieniu staramy się dojrzeć tylko zgodne z prawami
przyrody i niezbędne w rozwoju ludzkości *stawanie*
się, wtedy przejmuje nas dreszcz najwyższego dosto-
jeństwa.

Teraz dopiero właśnie obraz staje się tak po-
tężnym, że wywołuje uczucie zawrotu. Oko patrzy
weń jakby w lejek, gdzie podnoszą się i opadają
okruchy jednostek w nicość zapadłych i idei prze-
brzmiałych, co potonęły w morzu niepamięci, jak
uwiędłe listowie — unoszą się i opadają, jak cienie
podziemnego świata Homera, co dźwięki wydają pta-
szęce i podobne są do nietoperzy. Nie powstaje wcale
myśl, że rzeczywiście istnieć może przepaść pomiędzy
jedną miłością a drugą. Cała olbrzymia surowa pod-
walina miłości płciowej — począwszy od zwierzę-
cia — ryby i muchy jednodniowej — potrzebna jest
po to, ażeby wielki twór ludzki — miłość duchowa —
stać się mógł ogniwem rozwoju organicznego. Dzikie,
samotne, w walce o pożywienie zaszcute osobniki
musiały się przez miłość płciową ukrócić, znaleźć się
wzajem, jako samiec i samica, jako matka i dziecko,
jako ród węzłami krwi związany. Z miłości płciowej
wyrósły związki społeczne, najpierw w świecie zwie-
rzęcym, później zaś, jako coś trwałego, niewzruszo-
nego, wśród ludzi. I przez długie lat tysiące i tu po-
wstawały owe związki społeczne dzięki krwi, tej go-

rającej krwi, co źródło swe miała w narządach płciowych i tam ją wchłaniała.

A potem powoli, bardzo powoli wszystko to przeobrażało się w ducha.

I oto jest wielka, zasadnicza a tajemna epopeja ludzka — jak z krwi oparów wyłonił się duch. I to jest zarazem historia wszechludzkiej miłości.

Na gruncie realnego powinowactwa krwi, niby skromny pierwiosnek, który pod promieniami zimowego słońca bladą jeszcze zachował barwę, weszło idealne pojęcie duchowej jedności pochodzenia, pojęcie świętości i nietykalności jednostki bez względu na wszelkie pożądania płciowe.

Olbrzymi jeszcze pozostawał krok do chwili, w której pojęcie to mogło być rozszerzone na ród, niezwiązany bezpośrednimi węzłami krwi, albo na naród cały, którego krew mogła kiedyś w mitycznej praprzyszłości tętnić jeszcze w zgodnym rytmie.

Ale tymczasem pierwiastek duszny rósł wciąż dalej w gwałtownym tempie.

I pojęcie duchowe, które stworzyło „naród“, stało się później również pomostem poprzez naród ku wspólnocie wszystkich ludzi kulturalnych, a w końcu wszystkich ludzi wogóle.

I, patrząc w ten ferment rozwojowy w lejku, czujesz jakby błyskawicę, która wzrok twój gwałtownie rwie wzwyż.

Zdawało ci się, że stoisz na brzeżku i patrzysz tylko w dół. Aż oto wir cię porywa, i jesteś w samym jego środku.

Pod tobą z głębin ciemnej wznosi się wir ku górze i przewala się poprzez siebie w promiennych postaciach w przeczuwaną za ledwie przyszłość, za coraz dalsze zasłony z mgły i oparów utkane. Kiedy wszechludzka miłość stała się słowem na owym wzgórzu palmowym ponad błyskotliwym morzem, słowo to obejmowało sobą, niby obręcz złota, nie tylko niezmierną, w otchłaniach przeszłości ginącą pracę;

już zaznacza ono to wszystko, co stać się miało prawdą przez pracę następnych tysiącleci. W tym jednym wyrazie „wszechmiłość“ zawarte było najgłębsze rozumienie tego wszystkiego, w co dzisiaj wpatrzeni jesteśmy oczyma duszy naszej, jako w najśmielszy ideał przyszłości społecznej.

Ideał społeczny... Jaki opar dymu, jaka krwi fala wdziera się przez to pojęcie w jasną, do okrucieństwa prawie jasną rzeczywistość dnia naszego, Ale i to wreszcie jest tylko kwestją miłości. Jest to kwestja, dotycząca łańcucha owych czuć, które mimo biegu rzeczy i ich przemiany trzymane są przez wyraz „miłość“ w wiecznie jednakim stalowym spojeniu; kwestji tej zawiązek tkwi w owych jednodniówkach; w samotnych, zaborecznych poczwarkach-indywiduach budzi się popęd zmysłowy i powołuje je do wspólnego życia płciowego bez trosk o byt, w ciągu dwu godzin szczęściem jasnych; w tych rybach, które z głębin oceanu wypiera miłość płciowa, aż dopóki nie ukażą się na powierzchni w postaci wysp srebrnych, jako społeczność rozmnażających się istot płciowych, dla których wązki, płytki fjord stanowi jedno jedyne łożo ślubne.

Wszystko to rozwijało się wciąż dalej, wciąż wzwyż i uduchowiło się przez ludzkość. Stało się nowym słowem w owe dni święceń, które opiewa ewangelja, a czynem staje się dopiero pośród nas, pośród tysięcy i milionów krzyżów, wznoszących się niewidzialnie ku temu jednemu, który legiendą przyoblokła w święty blask lilji przezroczej; wydziera się ono z ciemnych jam okiennych społecznego wielkiego miasta, z fabryk, gdzie żelazne koło przewala się po drgających w bólu ciałach ludzkich, z więzień, lupanarów, domów dla obłąkanych i przytułków.

A ponad to wszystko wznosi się jednak zwycięsko jako miecz i ogień naszych czasów, jako ciche, zapóźnione światelko u najodleglejszego wyjścia ol-

brzymiego, w ciemnościach tonącego szybu, w którym się wszyscy dusimy...

Czy czujesz już teraz, na jakich chwiejesz się wyżynach?

Czy słyszysz, jak nowy głos, niby odgłos trąby, miesza się z twoim dawnym pytaniem: co to jest miłość?

Atoli Rafael pragnął wznieść się wyżej jeszcze. Jego Madonna wyłania się z jasnych obłoków. Promienieje ona jakimś blaskiem wszechświatowym, który zdaje się wytryskać z najtajniejszych głębin wszystkich rzeczy, z poza wszystkich słońc i planet wszechświata. Jej stopy nie potrzebują ziemi, jak gdyby istniała w takiej przestrzeni, gdzie wszystkie siły ciężenia się równoważą. Rafael nie marzył tylko o kobiecie ani o ludzkości nawet w postaci kobiecej. O Madonnie marzył. Tworząc tą miłością wyanielone twarze kobiety i dziecka, marzył on o miłości, tętniącej aż do istotnego serca świata. Wszystkie tajniki nieba i ziemi posiadało jej łono. Stała się symbolem świata oraz symbolem jego wyzwolenia.

I nowa, niezmierna wędrówka ludzkości staje przed twymi oczyma. A miłość idzie po środku, jako Ahaswer niestrudzony. Miłość stała się wiarą, miłość stała się religią. Zrazu naga, dzika i pierwotna, potem doskonali się coraz bardziej, krwi się wyzbywając i stając się duchem.

Zmienne obrazy przesuwiają się przed twoim wzrokiem. Oto święte gaje Hjerapolisowe. Męskie narządy płciowe, wykute w kamieniu, o rozmiarach olbrzymich prężą się ku błękitom, jako symbole boskiej siły płodności. Oto świątynia Astarty, gdzie prostytutka jest ofiarą boską, gdzie oddają się młode dziewczęta, aby w ten sposób okupić sobie wyższą, religijną czystość. Zapłodniona, rodząca kobieta staje się Izydą, wszechmacierzą, której łono wiecznie od-

nowa świat rodzi. W Eleusis płodzenie staje się misterjum, gdzie zwykle ziarno kłosu—to cud, co zbawia wiernych.

A potem w tym świecie zjawia się Chrystus. I oto nagle zdobywa sobie olbrzymie znaczenie ów idealny rozwój miłości płciowej, mający na celu wyzwolenie społeczne przez wspólną, uduchowioną miłość-pracę.

I przejawia się ten rozwój w takiej formie, która grozi zagładą skrajnemu kultowi ciała, kultowi rozmnażania się, kobiecie samej. Atoli jednak kult ten znów podnosi głowę. Na gruzach jaskrawych cokołów tych słupów, co ongi otaczały świątynię wszechmacierzy Izydy, miłości żaru pełną oraz owianą gorącą atmosferą płodzenia i rozradzania się, wzrasta kościół Marji z blado-złotymi gwiazdami na dyskretnym błękitcie. I jest to znowu to samo, tylko dosięgło tu niewymownej miękkości w wyrazie uduchowionego ideału. I oto teraz czczony jest jako coś nieskończonego, obejmującego wszechświat cały: nie tylko dziki szal płodzących, błogości pełen ból rodzących kobiet, ale i czystość Dziewicy, czystość rozkwitającej dopiero miłości.

Z tego na świat poglądu wyrósł Rafael. Jego wiara w to, że w sercu świata stoi kobieta, zlała się w nim z wiarą, że miłość wszechludzka nie z człowieka samego powstała, a sstała z niebios. Przy piersi Madonny, która stała ponad słońcem i ziemią, spoczywało w wyobraźni Rafaela Dzieciątko Boże, co niosło z tamtego świata przykazania owej miłości wszechludzkiej.

Ale i to dziś przebrzmiało, przebrzmiało bez echa.

Astarte i Marja—to tylko forma przejściowa do czegoś jeszcze czystszeo. Dopiero w epoce Goethego zdaje się, jakoby z Astarty, Izydy i Marji nowy powstawał obraz.

I znowu obraz miłości aureolą najgłębszych naszych myśli o wszechświecie opromieniony. To natura.

Jeszcze nie oddajemy się bez oporu we władzę tego obrazu. Sceptycyzm szepece nam na ucho, że zbudowaliśmy piramidę z czaszek, że w bóstwa pozabawionej przyrodzie nigdy miłość więcej przebywać nie będzie.

A jednak... Tu już Rafael nie unosi cię z sobą, musisz o własnych siłach wzwyż się wspinać.

Więdnie stara, prawdziwa wiara w kochającego Ojca Niebieskiego, jak mała girlanda, którą uwił sobie człowiek z biednych kwiatów ziemskich. Zrywa ją wichru wiew, i poprzez lukę w ten sposób powstałą widzisz przed sobą płonące w oddali tajemnicze gwiazdy bezbrzeżnego sklepienia.

Znika w miłującym Chrystusie wszystko mistyczne, i to, co nauczał, staje się ciężko wywalczonym dobrem ludzkim.

A mimo to bądź silny. Ideę rozwoju zaszczepia ci natura. Gwiazdy stają się życiem. I życie wznosi się coraz wyżej, przez coraz nowe postaci wzwyż do ducha, który nie tylko sam przeżywa rozwój, ale go i poznaje. Oto w tym znaleźć winienes wielką pociechę. Tu naradza się nowy optymizm.

Spójrz jednak w ten rozgwar rozwojowy. Jak to się tam wszystko płące z sobą i pochłania się wzajem. Czy nie widzisz tam wszędzie miłości?

Na miłości opiera się szereg następujących po sobie pokoleń; przez miłość wznosi się na tej wędrownej planecie wciąż wyżej, gałąź za gałęzią, drzewo życia, aż nakoniec wykwita pęk ducha.

Miłość — to siła rozpędowa, a zarazem stanowi przykład tego, jak ciemność światłem się staje, jak

sama ona wyzbywa się tego, co jest w niej pierwotne, i uduchawia się.

Małeńki jest szmat obszaru rozwojowego, jaki objąć jesteśmy zdolni. Życie na jednej jedynej planecie — i to tylko przez pół. Marna jest nasza dola. Z nielicznych oznak czerpać musimy wiarę w całość, czerpać musimy tę naszą pociechę w świecie. Atoli czyż miłość nie jest najpotężniejszym znakiem po wsze czasy, kędy sięga wiedza nasza? Z miłości wyłonił się nie tylko rozwój. Wraz z nią wionął też nad tą falą rozwojową pierwszy, lekuchny powiew pokoju; pierwszy szmer śpiewny, niby podzwiek kędyś wyśniony i przebrzmiały o zwycięstwie jakiejś potężniejszej, harmonijnej zasady nad pierwotną walką o byt. Cóż my wiemy tu, na jednej małeńskiej planecie pośród miliona innych planet, o odkupieniu świata, o jego wyzwoleniu i niezamąconym szczęściu! A jednak na tej małej gwiazdzie-ziemi kwitnie miłość ludzka jako kwiat tak piękny i słodki, że wyrazy „pokój wszechświata“ cisną nam się na usta. W ten sposób miłość osładza nam walkę naszą — to najgorsze tu na ziemi. Ale więcej jeszcze. Wiara śniła ongi o tym, ażeby rozstrzygnąć nie tylko problem walki, ale i śmierci. Tylko jedna jedyna miłość, nie ta pełna ciemności mistycznych, ale ta prawdziwa miłość w przyrodzie, poucza nas o tym, jak nieruchome indywiduum ujmowane jest w spojenia, z których wprawdzie wyzwala się powoli, jak z krępującego wiaźadła, tylko bez gorzkiego przeczucia śmierci, a z nadzieją jakiejś wyższej, błogiej jedności. Mąż i żona, rodzice i dziecko, człowiek i ludzkość, krew i duch, duch i ideał — oto co się wiąże z sobą w przemożnym śnie świata. Miłość — to jedyne dowolne zatracenie jednostki, to jedyna bezbolesna, niewymownie błoga śmierć, której pragnie każde stworzenie w bezbrzeżnej, palącej tęsknocie...

Czy nie masz w tym miejscu takiej zjawy, jak gdyby piętrzyły się w górę uduchowione ręce, które

wskazują na jakąś głęboką tajemnicę — nie na tę, co leży poza wszelkimi rzeczami rzeczywistymi, ale właśnie pośród namacalnej przyrody? na tajemnicę, która kiedyś być może nabierze takiej potęgi, że wy-
czarowywać będzie uśmiech na ustach wnuków naszych z powodu wszelkiej obawy śmierci, i zbytecznym będzie, ażeby zmartwychwstała stara wiara z jej sennemi widziadłami?

Wprawdzie wydaje się, jakoby nasz rzeczywisty obraz rozwoju świata, ten właśnie, na którego pochodzeniu wspiera się nasz optymizm, rozbrzmiewał bezlitosnym żądaniem: zagłady jednostki. Wydaje się, jakoby rozwój szedł właśnie poza ten punkt, gdzie zatracą się jednostka. I dusza drży w bladym strachu przed śmiercią. A gdyby miłość jednak była owym symbolem? Ona poucza nas o jedynej postaci, w której zagłada nie jest grozy pełna, gdzie jest ona błogim wstąpieniem w jakiś wyższy zespół. A gdyby śmierć jednostki w tej smutnej dzisiejszej formie swojej nie była niczym innym, jak tylko zaniepoznanym aktem miłosnym? Gdyby rzeczywiście po całej gorzkiej walce człowiek jako jednostka żywa zlewał się z wyższym zespołem, doznając uczucia zupełnej błogości, jakie daje miłość?

Smiertelny kres życiowych mąk
Tak trwoży wraz wszelaki twór,
Że z przeznaczenia ciemnych rąk
Jasnym nie chwyta życia czar.
W śmiertelnych trwóg złowróźbny wtór,
W zaniku lęk drży serce mdłe,
Kiedy miłością żyzny dar
Tyraństwu „ja“ wieść skonu śle.
Niech szcześnie — zwól! — tyrana moc,
Rozproszy świt niewoli noc.

(Rückert, według Rûmi, około 1250 r. po Chr.) *)

*) Przekładu wierszy dokonał łaskawie p. W. Berent.
(P. tłum.)

Dziś widzieć możesz to wszystko za ledwie jakby przez szparę w obłokach, nowy bowiem pogląd na świat dopiero się tworzy, krystalizuje i sam dopiero, jak wschodząca gwiazda, zatacza wokoło siebie pierścienie. Któż przewidywać dziś zechce, co kiedyś krążyć będzie dookoła i kto stanie się słońcem w tej konstelacji? Jednak dziś wystarczy ci jedno wejrzenie. I ta wędrówka ludzka ku światłu w coraz dalsze zmierza powiaty. A wszędzie towarzyszem jej niestrudzonym jest ów stary Ahaswer—miłość.

Wzwyż!

Wyżej roztocz raz jeszcze skrzydła swoje!

Raz jeszcze sił ci doda Madonna Rafaela.

Raz jeszcze obejmij ją całą wzrokiem: w jej złotych ramach, z jej cudownymi barwami, jej obliczem, w które spłynęła, zda się, wszystka piękność kobieca lat tysięcy; ją, która jest ludzkością i tajemnicą świata.

Jakie jest pochodzenie tego cudownego dzieła, które obnosi na sobie dookoła słońca od 400 lat prawie stara ziemia? Gdzie wyrosło ono z pradrzewa wszechrzeczy w wielkim ogrodzie świata, pomiędzy okiem ludzkim, gwiazdą podwójną?

Jest to sztuka.

Od Madonny wzrok swój przenosisz na tłum podobnych skończenie pięknych kobiet. Jedne malowane, jak ta oto, farbami na płótnie, inne wykute w marmurze w całej okazałości swych kształtów. Wenus z Milo z jej potężną, niezwalczoną, pogodną czystością. Pietà Michała Anioła, której potęga rozplywa się we współczuciu miłosnym.

We florenckiej Trybunie jasna, jak jutrzeńka, naga Wenus tycjanowska przeżywa raz jeszcze we śnie najrozkoszniejsze chwile swoje. Jest to ściśle spokrewnione z sobą bractwo, co wyłania się gdzie-

niegdzie w cichej piękności swojej z rwącej, zmiennej, szarej fali pokoleń ludzkich.

Żadna z tych kobiet nie „żyła“ nigdy w prostym ludzkim rozumieniu tego wyrazu. Żadna nie powstała przez akt cielesny organicznego rozmnażania się. A jednak stoją one w całej swej piękności pośród nas. Stoją oto stworzone z bezgranicznej, płomiennej miłości, zupełnego zapamiętania się ludzkiego indywiduum w czymś nowym, w czymś innym, w „tworzeniu“; są one przeniesieniem we własnym „ja“ najwyższego ideału na coś innego, trwałego, co ma przetrwać śmierć tego „ja“. Wydał je duch, stworzyła je ręka aż do najsłabszego mięśnia gorącym tchnieniem ducha owiana dla tej samej przyrody, tej samej rzeczywistości, do której należy również i dziecko spłodzone w uścisku miłosnym—ale jednak stanowią one pośród tej rzeczywistości byt odrębny, którego nie pokrywa pojęcie owego dziecka oraz nie obejmuje stwarzanie nowego życia na drodze płciowej.

A za temi obrazami, za temi posągami nowy szereg postaci, nieskończony korowód królów myśli i potęgi, którzy wszyscy odnowa do życia wstają, kiedy rozbrzmiewa słowo wieszczą, kiedy rozbrzmiewa mowa rytmiczna, nie zasłyszana nigdy w całym tym rozgwarze głosów przyrody, jak gdyby to była jakaś mowa z nadświata; kiedy rozlega się czysty dźwięk, co grzmi hosanną, jak głos najistotniejszej harmonji wszechświata... A wszystko to zrodzone zostało z tej najgorętszej miłości duchowej i rzucone w świat rzeczywisty, jak gdyby duch, który z miłości zmysłowej stworzył wszechludzką, wreszcie ujął również w ręce swoje misterjum tworzenia czegoś dla nowych cudownych celów...

Po raz trzeci wielkie przeobrażenie. Miłość stała się sztuką.

I miłość leży na drodze, wiodącej od krwi do ducha. I ona nie spadła na ziemię, jako obcy jej

meteor. Stworzył ją ten sam człowiek z krwi i kości, który płodził dzieci według niezłomnych praw przyrody. Człowiek, co powstał ze zwierzęcia. Od tego zwierzęcia odziedziczył on już zarodek sztuki, a zwierzę posiało go w godzinach swych miłosnych.

Czy słyszysz rytmu pełną pieśń słowika?... Widzisz, jak motyl kołysze się w swej precudownej, stubarwnej szacie?...

Jakaż daleka droga—stamtąd wzwyż! A jednak była to właśnie ta droga.

Z ciemnych głębin wszechświatowego rogu obfitości spłynęły ku nam wartko poprzez wieki światło, barwy, dźwięki i wszelakie wiązadła rytmiczne.

Aż oto na ogrzanej przez słońce ziemi ukazały się twory żyjące. Odczuwają one światło, chwytają dźwięk zrazu niejasno, blado. Potym walka o byt i rozwój stwarzają dla nich narządy zmysłowe o trwałej wartości — oko i ucho. Pierwszy ich cel — to samoobrona.

Pełne lęku spojrzenie rzuca wokoło siebie zwierzę i drży przed niebezpieczeństwem. Wszystko dookoła napada na nie, albo też ono samo dba o to, ażeby się utrzymać, i napada; wtedy wszystko dookoła staje się zdobyczą, która z dziką chciwością może być schwytna i poszarpana. Aż oto nagle błysnie w życiu indywiduum chwila o innej zupełnie wartości—miłość. Zwierzę pożąda innego z tego samego gatunku. Szuka go nie jako wróg, ale z tęsknotą miłosną, oczyma pełnemi miłości. W takich oczach po raz pierwszy zaśnił promień ideału. A potęga miłości stworzyła po raz pierwszy „piękno“ — w czynnym znaczeniu tego wyrazu—w owych kochających się tworach. Motylowi ubarwiła skrzydła, ptaka przybrała w ślubną sukienkę, słowikowi skomponowała pieśń. Miłość była zwierciadłem, co skupiło w jedno ognisko—zrazu powierzchownie tylko—wszystek rytm, wszystko porozrzucane na ślepo piękno żywej przyrody...

A tymczasem coraz bardziej rósł duch. Prócz tego zewnętrznego, patrzącego oka powstało to wewnętrzne, twórcze oko: wyobraźnia. Powstał duch ludzki. Człowiek nie stwarzał sobie samemu na ciele żadnych barwnych skrzydeł, żadnych piór weselnych. Wszystko to widział on tylko wewnętrznym okiem ducha, w wyobraźni swej, jako światło i harmonję, jako tęsknotę i ideał. Podobnie nie potrzebował już więcej lwich pazurów i pancerza: on myślał tylko i w wyobraźni widział narzędzie swej obrony. Ale ręka jego, jeszcze miękka i plastyczna, pozostająca cała pod kierunkiem mózgu, wyrabiała później w istocie te narzędzia z kamienia, rogu i metalu, oddawała je życiu rzeczywistemu przez samodzielnie twórczą pracę i położyła kamień węgielny pod technikę, jako jądro całego przyszłego panowania nad przyrodą... I tą samą ręką stworzył człowiek również wszystko: te obrazy pełne rytmu, tęsknoty i piękna, które widział w wyobraźni swej — stworzył sztukę świadomą jako plód najwyższego zmysłu twórczego, jako źródło, skąd w przyszłości człowiek miał czerpać pomysły do rozszerzenia pojęcia przyrody.

Tysiącolecia szedł człowiek po tej drodze, i powstał Rafael, jego Madonna. Rozkwita nowe królestwo przyrody: nie gwiazda, nie przedmiot nieorganiczny, nie roślina lub zwierzę, nie człowiek nawet w sensie tworu organicznego, ale dźwięki, postaci, wytwory sztuki. Świat pełen żaru, przepojony gorącym tchnieniem miłosnym, przejęty wszystkimi dreszczami nieokiełznanej twórczości, a jednak mimo to opromieniony świętym blaskiem, wyzwolony ze wszystkich mroków ziemi i uniesiony w czysty błękit atmosfery duchowej.

To jest miłość, która dosięgła wyżyn — miłość w rozkwicie najwyższym. Stąd, z kopyły złotej, musisz jej się przyjrzeć, ażeby móc domyślić się, co było

na początku. Musisz sprawić, ażeby ten blask złoty oświecił ci mroki, w których pograżone są pierwociny wszystkiego. Dlatego też uczyniłem cię świadkiem tańca jednodniowego oraz dziwaczego po nocy korowodu śledzi. Tam w dole, w głębi szarego pramorza, kipi ta sama potęga naturalna, co z błękitnego zwierciadła ku słońcu się wznosi, jako purpurowy kwiat lotosu. I dlatego właśnie, że tak jest, cała przeszłość nie może być czymś jałowym; musi ona wydać ci się szlachetnym zawiązkiem tego, co miało przyjść. Wszystko tu ma swe znaczenie istotne. I na muchy jednodniowe nad stawem i na ryby w oceanie pada światło z wyżyn naszych. Zdaje ci się, jak gdyby to były prądusze miłości, pragnące z mroków się wyzwolić, jak gdyby to były senne widziadła ducha miłości, który rwie się w górę. Ta ryba, ta mucha jednodniowa—to zwiastuny Chrystusa, Goethego, Rafaela; zwiastuny Ewangelji, Fausta i Madonny; zasiew, z którego wzejść miała miłość wszechludzka, gwiazdny sen człowieka, jego sztuka.

A teraz zejdz ze mną napowrót w głąb, na najniższy szczebel.

Zacniemy od początku, o ile wogóle jest jakiś początek. Będziemy gwarzyć sobie mile i spoglądać spokojnie, bez pośpiechu, tam, gdzie błysnie nam jakieś światło, gdzie okaże się nam coś zasadniczego, pierwotnego. Wiemy, jak wielkie w ostatecznym rezultacie powstają rzeczy; ale teraz tę wszystką wielkość sprowadzimy raz wreszcie do możliwie małych rozmiarów, do najmniejszego niebieskiego płomyka w głębiach szybu.

Podaj mi rękę; muszę cię nasamprzód z zupełną powagą sprowadzić do szybu i uczynić cię świadkiem cudownego misterjum. Powołaj do życia całą swą wyobraźnię i chodź za mną bez lęku.

samego wnętrza. Natomiast miga tam ogromna liczba stałych, bezładnie porzuczanych ciał, pomiędzy które wciska się przezroczysta masa podstawowa, ni-
by płyn lepki. A w jednym miejscu, prawie na sa-
mym środku, odcina się od otoczenia jakby dru-
ga kula, jeszcze bardziej nawewnątrz leżąca, kula-
jądro, jaśniejsza od żółtawej masy głównej; w je-
dnym punkcie tylko tkwi w niej jeszcze jakieś ciemne
ciało, zdające się pływać we własnym z kolei pły-
nie, podobnie jak ta kula wewnętrzna pływa we
większym morzu olbrzymiej kuli żółtej. Od owego
najbardziej wewnątrz leżącego ciała rozchodzą się
nitki, połączone z sobą na podobieństwo siatki, i, de-
likatnie rozgałęziając się, tworzą w całej kuli środ-
kowej rodzaj rusztowania.

A poza temi szczegółami, dość jaskrawo zresz-
tą uwydatnionemi, nie możemy nic innego wykryć
w naszej kuli tajemniczej, choćbyśmy jak najsilniej
wzrok nasz wyteżali—być może, że światło nasze jest
niedostateczne. Atoli zaciekawienie twoje wzrasta
z chwilą, kiedyś zauważył, że zachodzą w kuli jakieś
zmiany. Można się było tego spodziewać, sądząc
z miękkości jej masy wewnętrznej. A jednak to, cze-
go jesteś świadkiem, jest mimo to w wysokim stopniu
uwagi godne i pozwala domyślać się jakichś sił mi-
stycznych, które najwidoczniej czynne są w tym two-
rzywiewie świata podziemnego.

Niezależnie od powolnego posuwania się naprzód
kuli całej na grzbiecie olbrzymiego snopa, mała kula
wewnętrzna nagle i zupełnie samodzielnie opuszcza
swoje dotychczasowe miejsce w samym środku ciała
i zaczyna przesuwac się ku zewnętrznej powierzchni
otaczającej ją kuli głównej. Jednocześnie staje się ona
mniej wyraźną, chwilami tak niewyraźną, że zdaje
się prawie, jakoby rozplynęła się zupełnie w żółta-
wej masie podstawowej, jakoby była przez ostatnią
wypróżniona i pochłonięta... Jednakże, wpatrując się
uważnie, można dojrzeć jeszcze do cienia podobną

pozostałość, po pewnym zaś czasie zarysy jej stają się znowu wyraźniejsze.

A tymczasem mała kula lub przynajmniej to, co pozostało z jej pierwotnych części składowych, dotarła w swym ruchu odśrodkowym do brzegu, do tego miejsca, gdzie wielka kula żółtawa odcina się od przezroczystej szklistej otoczki. Tutaj przedstawia kula znów obraz wyraźniejszy, i zdaje się, jakoby była w przededniu zasadniczych przeobrażeń. Zamiast okrągłego tworzywa z siatką włókienek i jądrem zjawia się w oczach naszych przedmiot wrzecionowaty o dwóch końcach, skąd rozchodzą się gwiaździsto promienie. Jeden koniec dotyka brzegu wielkiej kuli, i ma się to wrażenie, jak gdyby ten wewnątrz leżący mały twór chciał wydostać się zupełnie nazewnątrz z masy podstawowej.

I w rzeczy samej wysuwa się naprzód jego ostrze zewnętrzne, uwypuklając przytym cząstkę wielkiej kuli i tworząc w ten sposób jakby brodawkę. Czekasz, rychło przebita zostanie i powłoka szklista. Ale to nie następuje. Natomiast teraz dopiero możesz zauważyć, że otoczka ta i żółta masa wewnątrz nie przylegają do siebie zupełnie ściśle, ale pozostawiają pomiędzy sobą wąską przestrzeń, w którą wgłębia się owo uwypuklenie brodawkowate, nie rozsadzając przytym otoczki zewnętrznej.

Czy wszystko ciało wrzecionowate przedostanie się w tę nowoutworzoną przestrzeń? Wydaje się to trudnym, i nie dochodzi też do tego. To parcie naprzód raczej nagle ustaje, natomiast całe wrzeciono odrazu pęka. Jedna jego połowa, która wraz z uwypukloną cząstką masy, leżącej u brzegu, tworzyła na ciele kuli coś w rodzaju brodawki, rozluźnia zupełnie węzły, łączące ją z owym wielkim ciałem kulistym: brodawka jakby się oddziela i wreszcie, jako osobna mała kulka, zajmuje wąską przestrzeń pomiędzy żółtą kulą główną a przezroczystą powłoką szklistą.

A tymczasem druga połowa wrzeczona znów dała nurka w głąb wielkiej kuli. Wydaje się jednak, że daleka jeszcze jest chwila, kiedy skończą się tam wszystkie jej ruchy i przeobrażenia. Bezpośrednio po tym zdumiewasz się, widząc, że znów przybrała postać skończoną wrzeczionowatego ciała o dwóch końcach. I po raz wtóry jej koniec zewnętrzny wypycha brodawkowatą wypukłość poza granicę żółtej kuli w wąską przestrzeń pomiędzy kulę a powłokę szklistą. Po raz wtóry pęka w środku wrzeczono, i zupełnie tą samą drogą do pierwszej małej kuli, która już pływa w ogólnej otoczce obok wielkiej kuli, niby złożone jaje, przyłącza się druga taka sama kulka.

Po tym drugim akcie wydaje się, jakoby rzeczywiście to czynne ciało wewnętrzne było bardziej wyczerpane. Powraca ono znów na swe dawne miejsce, mniej więcej na środek wielkiej kuli. Po dojściu do tego miejsca wydaje się ono znowu kulą centralną, jak na początku, tylko z tą różnicą, że po dwukrotnym dzieleniu się jest teraz o wiele mniejsze. I to ciało twarde, które poprzednio w niej się znajdowało, znikło najwidoczniej na skutek jej wędrówek i dzielenia się. W całej kuli następuje spokój. Tylko jak przedtem, tak i teraz faluje mokra powierzchnia snopu, na której kula spoczywa i cicho posuwa się naprzód. I teraz właśnie zdaje się nawet, że fale te przyniosły kulę na takie miejsce, gdzie poza wąską bramą rozszerza się sklepienie, i zdaje się, jakoby szyb tu przekształcał się w jakąś halę.

W jakiż to świat uniosła nas nasza wyobraźnia? Azali przyglądaliśmy się przewrotom upiornym w jakimś praświecie, w jednej z owych mgławic kosmicznych, co były na początku wszechrzeczy? Czy może drganiom jakiejś planety, co nie zastygła je-

szcze zupełnie, planety, dookoła której płynie, niby woda wrząca, biała opona z obłoków, jak to się dzieje z Jowiszem, tym olbrzymem naszego systemu słonecznego, którego kula istotna zdaje się tylko czasami przebłyскиwać poprzez oponę, jako ciemno-czerwona plama? Może owe obydwie małe ciała, które zrodziły się wobec nas z naszej kuli, choć nie odpadły od niej całkowicie, to twory jakiejś gwiazdy rodzącej do naszego księżyca podobne, o którym również istnieje urojone mniemanie, jakoby kiedyś oderwał się jako pęk od wielkiej kuli ziemskiej i jednak nie mógł odtąd już nigdy ująć urokliwej sile przyciągającej tej ziemi?

Nie, nic podobnego nie było.

W najśmielszej fantazji nie opuszczaliśmy ziemi. Pozostawaliśmy na jej zamieszkałej powierzchni, w samym rozgwarze ludzkim. I z pośród osobników ludzkich obraliśmy sobie jednego: człowieka — kobietę w jej latach dojrzałości płciowej. I oto spojrzeliśmy w głąb pewnych narządów ciała kobiecego w czasie, kiedy to ciało „żyło“ normalnie, a owe narządy właśnie sprawiały uwagi godną czynność. Niechaj będzie obojętne, jakieśmy tego dokonali. Może wiek przyszły wynajdzie wreszcie odpowiednie do tego przyrządy, przyrządy, które, analogicznie do naszych promieni Roentgena, prześwietlą całe ciało ludzkie podczas jego czynności normalnych, które może zdolne będą odtworzyć na białym ekranie dokładny obraz wszystkich najpodobniejszych części wewnętrznych i jednocześnie przedstawić te wszystkie części i odbywające się tam ruchy w ogromnym powiększeniu.

Ale wszystko jedno, czy to się kiedyś zrealizuje pośród nas. Tymczasem oddała nam tę samą przysługę wyobraźnia: oświetliła nam wszystko i wyolbrzymiła do dowolnych rozmiarów.

Misterjum, którego oto byliśmy świadkami, misterjum, które, zdaje się, nie dobiegło jeszcze końca, to były zjawiska, odbywające się w ludzkim jaju ko-

biecym krótko lub też bezpośrednio przed wielkim aktem zapłodnienia tego jaja przez nasienie męskie.

Kobieta wytwarza jaja w celach przedłużenia gatunku tak samo, jak kura np., z tą tylko różnicą, że jaj tych nie składa; wszystek rozwój przedwstępny odbywa się wszak konsekwentnie aż do końca w macicy samej, w „łonie matczynym“. Zresztą jaja ludzkie wytwarzają się zupełnie tak samo, jak jaja kurze, w specjalnym narządzie, t. zw. jajniku. Każda normalnie rozwinięta kobieta ma w sobie od dzieciństwa dwa jajniki, podobnie do tego, jak posiada dwoje płuc, dwie nerki, dwie półkule mózgowe. W tych jajnikach tworzą się tysiące jaj, z których każde po dojściu do zupełnej dojrzałości i po zapłodnieniu wydałoby mogło nowego człowieka. Niezbędne jest do tego zapłodnienie. I oto właśnie w celu przygotowania się do tego aktu, w którym musi wziąć udział jeszcze drugi, męski twór, jajo podlega tym swoistym procesom, w których rozgwar wprowadziła nas poprzednio wyobraźnia nasza.

Sklepienie, w które nas ona przeniosła, to jeden z obu t. zw. jajowodów kobiecych (wyołbrzymiony do rozmiarów bajecznych). Te jajowody łączą właściwie jajniki z większym wydrążeniem, stanowiącym macicę.

Kula, która toczyła się ku nam w tym sklepieniu, to jaje samo.

W warunkach, odpowiadających rzeczywistości, wydałoby się ono oczom naszym jako zaledwie dostrzegalny punkt. Szklista powłoka otacza żółtawą masę żółtka. W tej głównej części całej zawartości jaja pływa t. zw. pęcherzyk zarodkowy, który z początku zawiera w sobie jeszcze specjalną plamę zarodkową. Musimy sobie wyobrazić, że to jaje wydo stało się już z jajowodu, gdzie tkwiło dotąd na podobieństwo pączka w specjalnej otoczce, w t. zw. pęcherzyku Graaffa.

Teraz oto znajduje się na drodze z jajnika do macicy w pośredniczącym szybie jajowodu.

Mokre włosy żytnie, które sterczały, jak się zdało, w szybie i niosły kulę naszą miękkiem falowaniem swoim, to w rzeczywistości nic innego, jak delikatne włoskowate wyrostki t. zw. komórek migawkowych, któremi wyłożone są wszystkie ścianki całego narządu płciowego kobiety i których ruch przeprowadza przez jajowód do macicy wolne, ku zapłodnieniu dążące jaje.

A tymczasem w samym jajku dokonywa się ostatni jeszcze, niezbędny proces dojrzewania, który wyprzedzić musi owo oczekiwane zapłodnienie. Widzieliśmy już, na czym on polega. Jądro jaja czyli t. zw. pęcherzyk zarodkowy opuszcza od czasu do czasu swoje miejsce, przeobraża się i przyczynia się przez akt dwukrotnego podziału swego do utworzenia dwu małych ciałek pomiędzy powłoką szklaną a żółtkiem.

Ciałka te nazywamy „ciałkami biegunowemi“. Dotąd nie wiadomo absolutnie, co one oznaczają.

W każdym razie tworzenie się ich wskazuje, że już teraz w jajku kobiecym, przed zapłodnieniem jeszcze, budzi się samodzielne, bujne życie wewnętrzne. Tajemne siły są już w pełni działania, jak w jakimś budzącym się do życia świecie, a kiedy następuje zapłodnienie, zastaje ono już wszystko w stanie wrzenia, w stanie pełnym oczekiwania czegoś.

Z dziedziny suchych wyjaśnień powrócimy znów do obrazu, jaki stwarza wyobraźnia nasza o tych rzeczach. Jaje przedostało się przez wąską szparę jajowodu do macicy. I oto odbywa się sprawa o wysoce dramatycznym napięciu—sprawa zapłodnienia.

Nasza wielka kula opuściła szyb i weszła do hali. W tej hali zbliżają się teraz ku niej jacyś obcy goście o swoistej postaci. W porównaniu z kulą — to karły. Natomiast suną one naprzód w okazałej

liczbie, w ruchu bardzo zwawym. Zdawaćby się mogło na pierwszy rzut oka, że zbliża się gromada upiornych miętusów. Gruba głowa przechodzi ku tyłowi bezpośrednio prawie w dość długi ogon. Jeżeli przypatrzeć się bliżej, to rzekoma głowa okazuje się zwykłym krążkiem, który, widziany z boku, ma kształt gruszki i na obu powierzchniach ma wgłębienia w postaci miedniczek. Żadnej struktury wewnętrznej ani wogóle żadnych narządów dopatrzeć się w nim nie można. Do tego krążka, do tej widocznie najważniejszej części małego potworka przyłącza się rzekomy ogon, zrazu jako jeszcze zgrubiała nitka, która później staje się coraz cieńszą.

Zrazu zbliżają się wszystkie z pewnej określonej strony hali, zresztą zupełnie bezładnie.

Ruch ich jest przytym skoczny: główna część ciała idzie przodem, a za nią w drganiach posuwa się ogonek. Aż oto nagle znajdują się one w pobliżu wielkiej kuli, i odrazu wydaje się, jak gdyby zdążyły do jednego wspólnego celu. Wydaje się, jak gdyby z kuli wydzielał się ku nim jakiś oddech, jakiś zapach, który je nagle zniewala do skupiania się w jednym kierunku, jak to bywa u motyli, kiedy w parny wieczór letni rzucają się gromadnie na rozkosznie pachnący kwiat...

Rojem otaczają one kulę dookoła. Teraz dopiero, kiedy są tak blisko, jaskrawo uwydatnia się kontrast pomiędzy nimi a kulą, jak są małe w porównaniu z nią. Owe wązkie kanały w napiętej powłoce szklistej, które zauważyliśmy na samym początku, stanowią dla ogoniastych przybyszów dostatecznie obszerne przejście, przez które przedostać się mogą do wnętrza kuli. A tam właśnie najoczywiściej zmierzają. I oto już kilka z nich, jednocześnie wyciągnięte wzdłuż kanałów, wślizgują się jak jamniki w głąb kotła. Wydaje się, jak gdyby odbywał się tu wyścig, kto pierwszy dostanie się do wnętrza pomiędzy otoczkę szklistą a żółtą masę, stanowiącą zawartość kuli

(w przestrzeń, gdzie pierwiej złożone zostały „ciałka biegunowe“).

Jeden z napastników jest na przedzie. I nagle w chwili, kiedy widzimy, jak główka jego przedostaje się z kanału w otwartą przestrzeń wspomnianą, w żółtej masie kuli nieoczekiwane czyni się żywienie.

I tam wydaje się teraz, jak gdyby jakiś nagle obudzony zmysł zwiastował zbliżanie się pierwszego zuchwałego napastnika. Akuratna przeciwko tego miejsca, gdzie on wysunął swą główkę z kanału otoczki szklistej, żółta kula tworzy jakby na powitanie wżórkowatą wyniosłość, która wdraża się w wolną przestrzeń. Jedna chwila — i główka owego obcego tworu schwyciła tę niby wyciągniętą ku niemu rękę, pogrąża się wprost w tę wyniosłość żółtawej masy. A masa ta, jakby sama zadowolona z tego, otacza główkę dookoła, ażeby jej już nigdy nie wypuścić.

Napróżno czekają inni, spóźnieni nieco napastnicy, wychylając się teraz również ze swych kanałów ku wnętrzu, rychło spotka ich takie same przyjęcie uprzejme ze strony żółtej masy. Ale im kula względów nie okazuje, przeciwnie, zaledwie ów pierwszy, ów najszczęśliwszy gość pogrążył się w niej po głowę, wszystka żółta masa pokrywa się natychmiast mocną, odrębną zupełnie otoczką, która uniemożliwia odtąd przedostawanie się do wnętrza jej miękkiego ciała. Wszystko, cokolwiek znajduje się poza tą nową otoczką, musi wreszcie po beznadziejnym wyczekiwaniu marnie zginąć.

Natomiast odważny zwycięzca, ów pierwszy napastnik, czuje się, jak się zdaje, wciąż doskonale we wnętrzu kuli. Przez krótką chwilę chyboce się jeszcze to w jedną, to w drugą stronę jego ogonek ponad miejscem, które pochłoneło jego główkę, ale potem wydaje się, jak gdyby ogonek obumierał, jako coś zupełnie zbytecznego, a wszystko, co później się dzieje,

wydaje się wyłącznie pracą wewnętrzną owej główki — i to pracą bardzo intensywną.

W przejrzystej masie widać teraz wyraźnie, jak ten mały, ale energiczny gość, pogrążając się zrazu coraz głębiej w żółtawą istotę, przebiera w rozmaitych świecących ciałkach i ziarenkach, które się w niej znajdują. Nie kończy się jednak na bezładnym szperaniu. Czy jakaś siła elektryczna, czy inna może swoista siła tego przybysza, dość, że na pewnej głębokości przerywa on to zwykłe, bezładne grzebanie i układa dookoła siebie w postaci pięknego, równomiernego systemu promieni najbliższe części żółtych mas kuli.

Ma się to wrażenie, jak gdyby wschodziło małe słońce wewnątrz kuli samej. I podobnie jak słońce prawdziwe, wschodząc coraz wyżej i wysyłając swe promienie na przestrzeń daleką, budzi wszędzie stworzenia do życia i ruchu, tak samo i to głęboko ukryte słońce naszej kuli, rosnąc wciąż i rosnąc, wywiera nagle cudownie podniecający wpływ na coś, co znajduje się w sercu samej kuli, co przez czas dłuższy spoczywało zupełnie beczynnje, a może w istocie spało nawet.

Ów mały pęcherzyk, którego losy poprzednio tak dokładnie już poznaliśmy, zaczyna się nagle poruszać. Promienie istoty żółtej wydłużyły się aż do niego. Siła, która promienie owe wytworzyła, udziela się teraz, jak widać, bezpośrednio i jemu; jest to ta siła, której źródłem jest ów nowy przybysz natrętny. I mała kula środkowa porusza się i poczyną powoli posuwać się naprzeciw gościowi, obdarzonemu widocznie jakąś siłą magiczną.

Posuwa się ona w promienistej masie, jak zwierzątko jakieś.

Atoli nie zdążyła ona jeszcze ujść daleko, a oto tuż przedmiot jej tęsknoty, co wybuchła tak nagle. Pierwotna główka „miętusa“ uległa jednocześnie pewnym zmianom od chwili, kiedy stała się małym

słońcem w wianku promieni; teraz sama ona wydaje się pęcherzykiem, bardzo podobnym do owej małej kulki-jądra z przeciwka, tylko o wiele mniejszym. I oto ten nowy pęcherzyk porusza się gwałtownie ku starymu pęcherzowi środkowemu w tempie daleko szybszym, aniżeli to, które zainicjował ten ostatni.

Wkrótce dosięgnął swego *vis-à-vis*. Pierwotna kulka-jądro zachowuje się w najistotniejszym znaczeniu tego wyrazu tak, jak gdyby chciała gościa objąć w ramiona. Wypuszcza ona palcowate wyrostki, które układają się dokoła owej kuli, tuli przyjaciela do siebie, wgłębia się ku wewnątrz na miejscu zetknięcia... i nagle znikły dwie kule, zlały się z sobą, stały się jednością. Słońce promieniste, które wniósł z sobą natrętny przybysz, płonie teraz w pełnej glorii dookoła nowo powstałej wspólnej kuli środkowej, a wielka kula żółta posiada, jak przedtem, tak i teraz, znowu tylko jedną jedyną w samym środku pływającą kulę wewnętrzną, jedno jedyne „jądro“.

Rozumiesz, co się stało, biorąc rzecz ogólnie. Dla wyjaśnienia szczegółów potrzeba kilku zaledwie wyrazów. Zjawisko, którego świadkiem byłeś tym razem, rozegrało się całe wewnątrz macicy kobiecej, a więc wewnątrz tego samego narządu, gdzie później przebywa i dojrzewa dziecko aż do przyjścia na świat.

Nosicielka tej macicy bezpośrednio lub też nie bardzo dawno przed aktem, któregośmy byli świadkami, weszła w stosunki z drugą ludzką istotą. U ostatniej, jako kompensata za jajniki kobiece, znajdowały się pewne narządy, które zwykły wytwarzać w wielkiej liczbie owe miętusowate twory, które, jakżeś to widział, wdzierały się jako obcy przybysze do macicy kobiecej. Te mikroskopijnie małe ciała o niezmiernej żywotności nazywamy ciałkami nasien-

nemi lub zwierzątkami nasiennymi. Nie są to jednak bynajmniej żadne specjalne „zwierzątka“, ale małe produkty lub kawały, wyzwolone z żywego ciała mężczyzny tak samo, jak jaja z jajnika kobiety.

Akt przenoszenia się jednych tworów na drugie już znałeś. Przyroda pomyślała o tym, ażeby macica kobieca, gdzie jaje czeka zapłodnienia, połączona była ze światem zewnętrznym przejściem swobodnym. I z chwilą, kiedy owe ciała nasienne rzucone zostały w to przejście, dzięki własnym ruchom przedostają się w górę do samej macicy. W razie, jeżeli wszystko dzieje się pomyślnie, natrafiają wprost na świeżą kobiecą komórkę jajową.

Jedno z nich wdiera się aż do kuli żółtkowej jaja. Pęcherzyk zarodkowy jaja zlewa się z główką ciała nasiennego... zapłodnienie w istotnym znaczeniu tego wyrazu dokonało się.

A to, jak się to odbyło, widziałeś szczegółowo. Istota tych sił wyjątkowych i „sympatji“, które się przy tym ujawniają, stanowią jeszcze i dla społecznej nauki zupełnie niewyjaśnioną zagadkę.

A teraz nawias jeszcze. Widziałeś w wyobraźni coś, czego żaden najbardziej pomysłowy badacz dotąd nigdy jeszcze nie spostrzegął, jako proces rzeczywisty, odbywający się wewnątrz ciała. Znanе jest jaje ludzkie, znane są ciała nasienne, poznane są ogólne warunki całej sprawy oraz późniejszy rozwój małego człowieka z zapłodnionego jaja. Natomiast nikt dotąd nie spojrział jeszcze wewnątrz siebie dla sprawdzenia owych bardzo subtelnych szczegółów. Atoli jedna rzecz jest równie pewna. Co dotyczy specjalnie samego aktu zapłodnienia — poczynając od chwili, kiedy wydzielają się owe mistyczne ciała biegunowe, aż do zlania się jądra jajowego z główką ciała nasiennego — wyższe zwierzęta są do siebie bajecznie podobne. Wszędzie prawie powtarza się zupełnie ta sama sprawa, a w jej istocie, w samym schemacie niema, zda się, żadnej różnicy.

A więc w rzeczywistości nie czynimy żadnego skoku, jeżeli na zasadzie tego, co jest u zwierząt, gdzie przypadkowo zdołaliśmy wysledzić dokładnie całą sprawę, wnosimy wprost nawet co do pewnych szczegółów o tym, jak sprawy te odbywają się u ludzi, i stosownie do tego fantazjujemy. Do zwierząt takich należy np. jeż morski. Jest on o tyle uprzejmy, że dostarcza przezroczyстых jaj, które pozwalają się zapładniać sztucznie przez żywe nasienie samca nawewnątrz ciała samicy i bezpośrednio pod mikroskopem badacza. I widzisz tu wszystko, jak na dłoni.

Jeżeli jeszcze pozatym dodasz to, co wiadomo o najbliższych krewnych człowieka—ssawcach, i z temi wiadomościami zastanowisz się głębiej nad stosunkami anatomicznymi, dotyczącymi ciała ludzkiego, to nie powstanie już żadna wątpliwość, że obraz twój w grubych zarysach — a wszak niczego więcej ci nie dałem — ma znaczenie i w stosunku do człowieka. A więc!

Na tym miejscu nie będę rozpatrywał bliżej, co dzieje się z zapłodnionym jajem ludzkim i jak ono staje się gotowym człowiekiem. Jest to w szczegółach jeszcze długa, nadzwyczaj skomplikowana historia. Z dawnego jaja i nowej główki nasiennej powstało coś nowego, jednolitego, coś, co zawiera w sobie jednak materję z dwu źródeł: część od ojca, część zaś od matki.

Zaraz potym żółtko wraz z jądrem swym wewnątrz otoczki jajowej dzieli się teraz znowu na dwie części, później na cztery i t. d., aż wreszcie tworzy się cała kupa jakby cegiełek organicznych, z których powstać może budowa — cud ciała dziecięcego. Owe żywe cegły układają się w warstwy, a z każdej takiej warstwy rozwijają się pewne narządy i systematy narządów. Wszystko to kurczy się, fałduje, grupuje, jak w jakimś istotnym kotle czarodziejskim,

z którego ukazać się ma *homunculus*. Ni stąd, ni zowąd zjawia się rdzeń kręgowy, to głowa, to znów oczy, nogi. Przez długi czas całość wydaje się jeszcze jakimś ogoniastym potworkiem, z którego mógłby tak samo powstać prosiak albo zając. Ale potem i ten okres przemija, i oto wreszcie w istocie powstaje pocieszne, małe, ale najprawdziwsze stworzenie ludzkie, które osiągnąć musi jeszcze pewnej wielkości i wagi, ażeby po gwałtownym zerwaniu wszelkich cielesnych więzów, łączących je z matką, wydostać się nazewnątrz na świat przez otwór macicy i wreszcie otwór zewnętrzny w ciele kobiecym. Ten „poród“ właściwie stanowi koniec sprawy, którą rozpoczęło stanowczo i nieubłagane „spłodzenie“, mianowicie zamyka proces tworzenia się nowego człowieka, zdolnego do życia samodzielnego.

I jeszcze jedno tylko wiedzieć musisz, ażeby cały ten proces zrozumieć.

Powiedziałem ci, że zarówno jaje kobiece, jak i męskie ciało nasienne, wyobrażały każde mały „kawałek“ żywej substancji, która oderwała się od żywego kobiecego lub męskiego ciała. Nauka w mojej swej określa to nieco ściślej, stosując w tym razie wyraz, który nieraz jeszcze napotkamy w tych wywodach naszych. Mówi ona: jaje i ciało nasienne stanowią każde jedną, żywą, od rodzicielskiego ustroju oderwaną „komórkę“. Potrzeba jeszcze oto, ażebyś uprzytomnił sobie dość prosty zresztą fakt przyrodniczy, który nie przeszedł jednak jeszcze dotąd do naszego konwencjonalnego wykształcenia ogólnego.

Wyobraź sobie wielki dom z ogromną liczbą pokoi. Pokoje są rozmaitej wysokości i wielkości i rozmaicie umeblowane. Jeden pokój służy do tego celu, inny do innego: sypialnia, jadalnia, kuchnia i t. d. Więc pokoje jak najbardziej różnią się pomiędzy sobą, choć naogół spełniają tylko róż-

nolite funkcje jednego wielkiego gospodarstwa domowego. Atoli, jeżeli zbadasz ściany poza meblami i obiciem, znajdziesz wszędzie jedno i to samo: wszędzie natkniesz się w tych ścianach na jednakowe składowe części budowli, mianowicie na cegły.

Ściana może być wysoka lub niska, może być ściana salonu, korytarza lub nawet ustępu—zawsze składa się ona z jednorodnych cegieł, które leżą jedna na drugiej sklezione z sobą, i cały dom z nich właściwie się składa, jako z materiału podstawowego. A teraz przyjrzyj się jakiemu zwierzęciu, np. psu. I on jest wielkim, skomplikowanym domem w swoim rodzaju. Jeżeli wejrzysz w jego ciało, to znajdziesz komory i przejścia rozmaite.

Oto serce, oto oba skrzydła płucne, tam znów żołądek, кишки — słowem, rozmaite narządy. Różnią się one oczywiście wyglądem, a cele ich są jeszcze bardziej różne: serce pompuje krew, w płucu się ona oczyszcza, w żołądku i кишkach przetwarzają się pokarmy i t. d.

A jednak, gdybyś i tutaj poddał badaniu ściankę takiego narządu, gdybyś wyciął kawałek кишки i położył go pod dobre szkła powiększające, zobaczyłbyś coś podobnego do tego, co było z prawdziwą ścianą domu. Ta ścianka кишки nie składa się oczywiście z cegieł, ale składa się również z pewnych małych części, które prawie jak drobne kamyczki przylegają jedna do drugiej i stanowią równomierną ściankę кишки tak samo, jak owe cegły składają się na masywną ścianę domu. Pomijając mikroskopowy wymiar tych „cegiełek“, zasadniczą różnicę stanowi to, że nie są to twory mocne, w rodzaju kamieni, ale wszystkie bez wyjątku stanowią miękkie zlepki zupełnie swoistej jakiejś masy. Kiszka—to część, jeden „pokój“ żywego ustroju: zwierzęcia, psa np., i „żyje“, dopóki cały pies żyje. Życie zaś tego psa, jak każde życie na ziemi, związane jest z pewną materją ożywioną o niezwyklej mieszaninie chemicznej.

Każda „cegiełka“ kiszki odpowiada skupieniu tej materji żywej. Niezliczona masa takich skupień składa się na kiszkę i warunkuje jej „życie“. I nie tylko tworzą one ściankę kiszki, ale i warunkują to wszystko, co się w niej odbywa (pod tym względem w każdym razie ścianka owa o wiele przewyższa mur z cegieł prawdziwych złożony).

A teraz weź dla przykładu inny „pokój“ żywego domu, zwanego psem, np. płuco. Oglądaj kawałek płuca pod drobnowidzem. W płucu odbywają się sprawy, mające inne znaczenie dla całego ustroju psa, aniżeli sprawy w kiszkach. A mimo to, podobnie jak w naszym prawdziwym domu te same cegły tworzą ścianę salonu i ścianę ustępu, tu na ściankę płuca składają się, leżąc na sobie na podobieństwo cegiełek, zupełnie podobne, nawet w istocie swej jednakowe części żywej materji, jakie widzieliśmy w ściance kiszki. Wprawdzie czynność ich jest tu w płucu inna, aniżeli w kiszce; to jednak nie obniża wartości tego zasadniczego faktu, że w istocie są one zarówno tu, jak i tam, właściwą częścią składową w budowli żywego narządu.

I w ten sposób możesz całego psa na kawałki podzielić aż do najmniejszego skrawka skóry, aż do każdego kawałka mięśnia lub każdej kropli krwi: zawsze okaże się ten sam podstawowy element w postaci małych zlepeków żywej materji, które leżą wzajem na sobie zupełnie jak cegły i zupełnie tak samo tworzą ciało psa, jak cegły prawdziwe tworzą dom istotny.

Trzeba było wynaleźć odpowiedni wyraz i wreszcie przyjęto konwencjonalnie jeden nie bardzo zły, ale też nie zupełnie trafny: owe poszczególne skupienia żywej materji nazywamy „komórkami“—cały pies ze wszystkimi swemi narządami co do jednego utworzony jest z miliardów takich żywych „komórek“ — stanowi on wielki gmach, którego cegłą pojedynczą jest „komórka“. Przymyczenia życiowe, „czynności“,

tych komórek są bardzo rozmaite. Komórki kiszko-
we wchłaniają soki pożywne, komórki płucne prze-
twarzają powietrze potrzebne ustrojowi, komórki móz-
gowe odczuwają, rozumują i rządzą, niby władza
zwierzchnia, całym ustrojem cielesnym — i t. d. Ale
komórki same mimo tych funkcji najróżnolitszych po-
zostają w istocie swej jakby równemi sobie i sta-
nowią wszystkie wzór zasadniczy jednorodnej „cegieł-
ki życia“.

Pies, którego obraliśmy jako przykład, jest zwie-
rzęciem, stojącym na stopniu rozwoju stosunkowo
już bardzo wysokim. Weź zwierzę o niższym ustroju,
np. dżdżownicę. Znajdziesz wtedy to samo. I ona nie
składa się z jednolitej materji życiowej, ale i tu oka-
zuje się ona przedewszystkim rozczłonkowaną na
„komórki“, i niezliczona liczba takich komórek two-
rzy jej ciało, jej narządy. Jest ona mniejsza od psa
i nie ma tak skomplikowanych narządów; a składa
się też z mniejszej liczby komórek, podobnie jak
chata zawiera mniej cegieł, aniżeli pałac. Jest to
jednak jedyna różnica istotna. Na samym dole dra-
biny rozwojowej znajdziesz twory żywe, które skła-
dają się wreszcie z jednej tylko komórki.

Jedna jedyna cegła, położona na nagą rolę, two-
rzy „dom“ sam w sobie; tak też i tutaj. Jeżeli teraz
zwrócisz się do roślin, znów zobaczysz, że wyższe
rośliny składają się z wielu milionów komórek. Oto
to drzewo oliwne naprzeciwno w każdym listku po-
siada cały bezmiar komórek, a ile takich liści drży
przy wiatru powiewie!

A teraz pójdźmy wzwyż ponad psa, ku tobie sa-
memu, do człowieka. I ty ze zwierzęcia powstałeś,
i ty, językiem zoologicznym mówiąc, jeszcze teraz jes-
teś zwierzęciem. I twoje płuco, twoje kiszki, twój
mózg wykazują jak najwyraźniej budowę z oddziel-
nych, odwiecznych cegiełek. Ciało twoje, twoje na-
rządy, całe twoje „ja“ stanowi jedną wielką cudowną

budowlę z miliona drobniutkich komórek złożoną, tak samo jak pies, dżdżownica i drzewo oliwkowe.

Aliści przedtym mówiliśmy o kilku narządach twoich w szczególności. O narządach płciowych u mężczyzny i kobiety. Są to właściwie narządy takie same, jak wszystkie inne. Czy weźmiesz jajnik kobiecy, czy kiszkę, czy płuco — zawsze mieć będziesz przed sobą narząd. I jajnik, zarówno jak i męski narząd nasienny, są też oczywiście, jako prawdziwe narządy, złożone z komórek. Tylko że te komórki i tu mają swoje specjalne nawyknięcia, swoją zupełnie odrębną „pracę“, im tylko w całym wielkim ustroju ludzkim przypadającą w udziale. Nie wchłaniają one pokarmów, jak kiszka, ani krwi nie pompują, jak serce. Ich zadanie jest niezwyklej uwagi godne.

Wyobraź sobie pokój w domu o wspomnianych ścianach z cegieł. W tym pokoju straszy jakieś widmo. Od czasu do czasu rusza się coś w ścianie, obicie odstaje, i ze spojenia cegieł wypada jedna na środek pokoju. W chwilę po wypadnięciu zaczyna się czołgać po podłodze, prześlizguje się poprzez drzwi i wreszcie wydostaje się zupełnie poza próg domu. A tam nazewnątrz domu po wielu przygodach, zetknąwszy się z drugą jakąś cegłą wolną z domu sąsiedniego, urasta w nowy samodzielny mały domek.

Literalnie tak samo dzieje się z naszymi ludzkiemi domami komórkowemi: mężczyzną i kobietą. Od czasu do czasu wyzwała się ze ścianki komórkowej męskiego narządu nasiennego jedna komórka i opuszcza zupełnie swój dom rodzicielski. Tam, w jajniku, również zerwała jedna komórka spoidło, łączące ją z innymi komórkami, i również powędrowała sama kawałek drogi.

I oto spotykają się owe obiedwie wolne komórki... a co się z nimi później dzieje, toś już widział. Jaje i ciałko nasienne są niczym innym, jak dwiema komórkami oddzielnymi tego rodzaju, które od narządu swego odpadły. I przez to, że zapłodnienie łączy je

i zlewa w jedność, tworzą one kamień węgielny, ową pierwszą komórkę-podstawę, na której wzrośnie nowa budowla komórkowa, nowy ustrój, nowy człowiek.

Oto w jaki sposób przebiegają zwykle te sprawy. Muszą one oczywiście posiadać w sobie potęgę stworzenia czegoś nowego. Tego cegła uczyniłyby nie zdołała. Tu więc spoczywa wielka tajemnica życia.

W naszym prostym wzorze domu z cegieł tajemnicy tej być nie mogło i nie było jej też potrzeba, przede wszystkim bowiem powinieneś sobie wogóle uprzytomniać historję o „komórce“ jedynie w związku z aktem rozrodczym. Zapamiętaj ją sobie dobrze—nieraz jeszcze do niej powrócimy.

Orzeł bystre oko
Wraża wprost, w słońca twarz—
Tak i ty w wieczny grom,
Gdy serce czyste masz.

Angelus Silesius.

Awięc tak przedstawia się akt rozrodczy u ludzi ze stanowiska nauki społecznej. Oto tak powstaje człowiek nowy, o ile wogóle stać nas dzisiaj na sięganie do samego jądra rzeczy.

Gdybyś się nawet nie wiedzieć jak wykręcał, nic ci nie pomoże: z tym małym słońcem wewnętrznym i tą zwycięską „kijanką“, co pokonywa to serce słoneczne i z nim się zlewa, stoisz oto w samym środku całego problemu miłosnego nasamprzód jako człowiek, poza tym zaś w tym sensie, że wszystko dalsze pojmowanie przyrody wytryska dla nas, niby w promieniach bezkresnych, z tego jednego środkowego punktu: „człowiek“ na cały świat poznawalny.

Możesz odjąć wszystko słowu „miłość“: cały błękit ponad nią rozpięty, wszystko, co z niej wrosło w ducha, w kulturę, w ludzkość idealną, we wzniosłość religijną i sen harmoniji pełny ó sztuce. Tylko tego prostego, realnego aktu rozrodczego nie możesz jej ująć, inaczej bowiem całe pojęcie rozplywa się bez śladu.

Wiem dobrze, że jest bardzo wielu takich ludzi, którzy wzdrygną się przed takim zdaniem, którzy całe to moje opowiadanie poprzednie osądzą jako okrutne. Atoli są to ludzie, którzy nigdy nie przeżyli głębokiego dreszczu myśli filozoficznej; ludzie, co nigdy nie walczyli ze światem pod egidą: „Nie daję ci spokoju, a ty mię błogosławisz“; ludzie, co nigdy nie uświadomili sobie, że błogosławieństwo to płynie wszędy, że niema dla niego nic złego ani gminnego. Ten akt rozrodczy pełen jest błysków filozofji, niby błyskawicą brzemienna chmura. Cóż oni wie-

dzą o tym? Ci właśnie, którzy wrzeszczą z największym oburzeniem z powodu niemoralności w omawianiu tych kwestji, są to przeważnie ci sami, którzy w rzeczywistości akt ten uważają za głupią fraszkę. Nigdy nie odczuwają oni tej ogromnej powagi, jaką nadała mu przyroda. Dla nich mówić o filozofji rozradzania się to conajmniej żart, jeżeli już nie uważać tego za niemoralne.

I ci głupcy nawet czują, że słońce, które ot tam pali się nad srebrnym morzem, stanowi coś wzniosłego, coś, co rwie duszę ludzką w nieskończoność. Czują tej olbrzymiej płomienistej gwiazdy potęgę, która trzyma naszą małą ziemię, niby maleńki biały żagiel na bezkresnym błękitnym widnokregu morza, co od Europy do Afryki sięga; czują oni to słońce z jego ciemnymi plamami, w których utonąłby mogła ziemia czterokrotnie; z jego czerwonymi wyniosłościami, gdzie tryska w powietrze na wysokość pół miliona kilometrów żarzący się wodór. A jednak azali to inne, maleńkie słońce, które tworzy się tu z ciała nasiennego i komórki jajowej, nie jest w swoim rodzaju, dla ciebie zwłaszcza, o wiele potężniejsze i ważniejsze, aniżeli owa płomienna planeta na niebie? Prawdziwe słońce codziennie wschodzi ponad tobą i zachodzi. Wchłaniasz w siebie jego potęgę. Dzięki niemu planeta twoja toczy się, nie zbaczając, po niewzruszonym torze. Ze wszystkiego, co cię otacza, jest ono, być może, obok ziemi samej najsilniejszą potęgą zewnętrzną, która się tobie przeciwstawia. Atoli przez komórkę jajową wiążesz się z wewnętrznym życiem kosmosu, udział bierzesz w korowodzie jestestw żywych nie tylko jako widz, ale zarazem jako działacz samodzielny. Sam stajesz się pośród tego szeregu kosmosem. To słońce nie tylko zewnątrz ponad tobą się wznosi, ale przerzyna twoją własną ścieżkę, oraz pośród dreszczów świętych czujesz, jak wskroś ciebie samego przechodzi.

Dzięki temu słońcu zbliżasz się do tajemnicy
wszelkich tajemnic—do problemu życia i śmierci.
Pójdźmy przez chwilę dalej u tego węgła...

Wiadomości nasze o decydującym akcie rozrod-
czym rozszerzyły się wszak teraz niezmiernie, jako
„wiedza“. Dla ludzi wieków ubiegłych cała realna
strona tej sprawy tonęła jeszcze w nieprzejrzanych
mrokach. Zalegała tu prawie taka ciemność otchłan-
na, jak we wnętrzu ciała kobiecego. Widziano tylko
przedwstępne momenty samego aktu. Widziano, jak
w słońcu, przy blasku księżycowym i śród nocy
gwiazdzistej budzą się uczucia miłosne między męż-
czyzną a kobietą, owe uczucia, które już od tysiąca
wieków historii kultury obejmowały sobą tyle ideal-
nego czaru, coraz pojemniejsze się stawały. Widzia-
no burzę zmysłów, którą dziś uważamy za wyraz
wszystkich z prawieków nagromadzonych instynktów
naturalnych, wyzutyk z naleciałości kultury; widzia-
no, jak śród tej burzy lgnęły ku sobie nieprzepar-
cie obie płci, aż dosięgły punktu kulminacyjnego
w płciowym złączeniu się... Potym zasłona spadła.
I po wielu miesiącach powstawał, jako coś zupełnie
nowego, absolutnie bez związku z całym obrazem,
„nowy człowiek“. Zrazu pukał tylko zlekka, jak gdy-
by był tylko narządem, spoczywającym pod ciepłą
powłoką w ciemnościach ciała matczynego, potym
zaś pośród męczarni matki, męczarni, przypomina-
jących bóle przedśmiertne, zjawiał się gwałtownie na
świecie w gotowym, zda się, rynsztunku, z oczyma,
z możliwością oddychania i poruszania się. A to, co było
pomiędzy jednym a drugim faktem, pozostawało ciem-
nym misterjum.

Teraz poszliśmy już o wiele dalej.

Około roku 1590, a więc akurat w sto lat po
czynie Kolumba, wynaleziony został mikroskop. W kil-

kadziesiąt lat później pewien student Holandczyk odważył się położyć pod te powiększające soczewki ciepłe, żywe nasienie męskie.

Wkrótce rozeznał on w nim owe kijankowate drgające ciała: ciała nasienne. Odkrycie to zostało potwierdzone i dalej opracowane przez pierwszego znakomitego histologa XVII wieku, Leeuwenhoeka. Najserdeczniejszy przyjaciel Leeuwenhoeka, Regnier de Graaf, odkrył jednocześnie, od jego imienia odtąd zwane, pęcherzyki w jajniku kobiecym, gdzie powstają jaja kobiece. Graaf sądził mylnie, że są to jaja same. Prawdziwe jajo samo ujrzał po raz pierwszy wielki Karol Ernest v. Baer o wiele później, w roku 1827.

Od tego czasu zaczęto pojmować w ogólnych zarysach sprawy, dotyczące aktu rozrodczego, z nowoczesnego punktu widzenia. Owe szczegóły o wytwarzaniu się ciałek biegunowych i zlewaniu się główki ciała nasiennego z jądrem kuli jajowej spostrzeżone były nie wcześniej, jak w roku 1875, i opracowywane mozolnie w ciągu ostatnich dwu dziesiątków lat. W każdym razie w przestrzeni, gdzie dawniej noc panowała zupełna, mamy kilka gwiazd, a snując analogję dalej, mamy nawet już dziś trwałą drogę mleczną. Sprawa, która kończyła się ongi w chwili, kiedy mężczyzna przerywał stosunek z kobietą, dla nas dopiero w tej samej chwili się rozpoczyna: teraz dopiero poczynają się tajemnicze praktyki pomiędzy ciałkiem nasennym a jajem, które wiodą dopiero do ostatecznego zapłodnienia, przybierając postać, którą już poprzednio zdążyliśmy poznać. A końcowy poród dojrzałego dziecka wydaje się nam już potym znowu zwykłą konsekwencją tych najwnętrniejszych wydarzeń.

A jednak mimo ten olbrzymio powiększony zakres naszej wiedzy, dotyczącej prawdziwego przebiegu rzeczy, pozostaje przecie nietkniętą najgłębsza jej istota, stanowiąca jądro filozofji rozmnażania się, któ-

ra w rzeczywistości jest równie stara, jak filozofia ludzka wogóle.

Od czterech tysięcy lat przynajmniej dochodzą jej odgłosy poprzez zmienną falę światopoglądów, niby wielka melodia, która już nigdy zmilknąć nie mogła, skoro raz potracone zostały pewne struny myśli ludzkiej.

A że jednak wciąż stanowi ona punkt wyjścia całej naszej mądrości, tej poza mikroskopami i teorjami fizjologicznymi, więc powtarzamy z niej coś dziś jeszcze, choć w istocie jest to wszystko szare, jako pył mumji. Eufrates, Nil, Gangies i Ilissos śpiewną falą się toczą. Wobec tych prastarych idei Chrystus jest — epigonem.

Ta filozofja obejmuje najprostsze, zasadnicze fakty życia ludzkiego.

Człowiek staje się nagle, jako indywiduum, w samym środku życia, czuje swoje własne „ja“, czuje się żywym i kroczy świadomie naprzód. Nie zdolen jest sięgnąć pamięcią do punktu, skąd wzięła początek jego egzystencja. Nie uświadamia sobie bezpośrednio tego, że kiedyś go nie było, ani tego, że w przyszłości kiedyś go nie stanie. Atoli uczy się, a przede wszystkim uczy się dwóch rzeczy.

Samo życie nieubłagane stawia mu przed oczyma fakt śmierci.

Istnieje pewien okres czasu dla życia indywidualnego. Niema tu znaczenia ani wielka wartość duchowa indywiduum, ani jego bezwartościowość pod tym względem: nic nie chroni od tej kosi, która wszędzie brzęczy. Pochowano Patroklesa, ale i Terzytes pewnego dnia musiał uwierzyć w śmierć. Czytasz w Jobsjadzie wielki rejestr umarłych, jako żart udatny. Imiona wszystkich bohaterów wszechświatowych uszykowane są tam w rymy dziwaczne, a przy każdym jest dopisek, że i ten umarł. I Cezar, i Aleksander, i Arystoteles, i Szinderhannes, i kandydat Jobs. Brzmi to śmiesznie; ale poza tym komizmem kryje się utajony tragizm, który wkracza w dziedzinę okropnej powagi, kiedy uprzytomnić sobie rzeczywiście, jakie hekatombi z ludzi dotąd powstały bez względu na ich wartość lub bezwartościowość, na ich wielkość idealną lub zupełną śmieszność. Jednostka w latach bytowania swego na ziemi poznaje ludzi szczęśliwych i zwycięskich, którzy przewędrowali niepoznane powiaty ziemskie, którzy zagłębiali się w szyb przedświatowych otchłani i polatywali oczyma duszy poprzez drogi mleczne i dale Syrjuszowe. I na co się zda cała ta duszy rozlewność? Pokolenie tych badaczy, jako indywiduów, przetrwało lat sto — i oto na opustoszałej planecie ziemi wlecze się jeszcze kilka zgrzybiałych, prawie lub zupełnie ślepych staruszków.

Jeszcze ćwierć wieku — i oto zapanowała cisza pustyni, owa cisza na gwieździe wymarłej, którą wyobrażamy sobie może na naszym księżycu albo też w snach, kiedy jako mary powstają przed nami w głębiach wszechświata kędyś zlodowaciali satelici jak noc ciemnych, zagasłych słońc.

Oto jest jedno pewne spostrzeżenie — śmierć.

A teraz drugie. Człowiek poznaje równie realne, a jednak cudowne zjawisko, które opromienia go, jak słońce jakieś wieczne, tak samo jak śmierć, niby cień wieczny, kładzie się na wszystkie jego nadzieje.

To zjawisko — to akt tworzenia.

Kobieta rozplómienia jego zmysły; uczucie niezmiernej błogości rozlewa się w nim przez chwilę. Ale samo ono zaraz znika, jak pierzcha wszystka rozkosz, wszystka potęga, pozostawiając po sobie cień — wspomnienie; i wraz ze wszystkim, co indywiduum posiada, pograży się wreszcie w śmierci otchłanianie. Atoli z aktu, który się dokonał pomiędzy mężczyzną a kobietą, niezależnie od tego wszystkiego, powstaje coś nowego zupełnie — nowy człowiek. Ten, który go zrodził, ma może lat trzydzieści. Dożyje nawet lat 90-ciu, ale wtedy umiera. I nowy człowiek, którego tamten zrodził, może dożyć lat 90-ciu, więc przetrwa o 30 lat dłużej od tamtego; a jeżeli w ciągu swych lat 90-ciu znowu dopełnił aktu rozrodczego, to pozostanie na ziemi jakaś żywa istota, która przetrwa pewien okres czasu po jego śmierci.

Dzięki takiej zwykłej sztuczce rachmistrzowskiej widzimy, że akt rozmnażania się niweluje przynajmniej w części niszczące działanie śmierci. Zamiast w wieczną otchłań się zapaść wraz z pierwszą śmierci hekatombą pierwszego stulecia, wije się ludzkość poprzez wieków tysiące, niby pnąca się roślina, na małym łanie, który zajmuje za każdym razem pokolenie nowopowstałe, wyprzedzając swoich rodziców.

I stoi oto człowiek wobec tych dwóch faktów za-

sadniczych, wobec śmierci i tworzenia—stoi tak dawno już, jak dawno wogóle myśleć umie. Niejasno przeczuwać mógł je już małpolud, taki, jakim go odtworzył Gabrijel Max, z owym pierwszym błyskiem wschodzącej myśli popod zgrubiałemi, jeszcze zwierzęcemi kośćmi, wystającemi na miejscu brwi. Potym przemyśliwać poczyna dziki człowiek jaskiniowy, co na mamuty polował. Tu napięta została po raz pierwszy i wije się odtąd w nieskończoność nić mitu. Atoli do tego miejsca powracał również bez przerwy, jak do góry magnetycznej, każdy głębiej myślący mędrzec, który przez służbę swoją dla prawdy doskonalił stopniowo mózg ludzkości. I najskromniejszy śmiertelnik zawsze pojmował tego mędrca właśnie ze względu na prostotę tych faktów zasadniczych. Zawsze i wszędzie.

Pod ciemno zielonym baldachimem, rozpiętym nad czarnymi pniami świętych drzew oliwkowych, nad Gangiesem, pod baldachimem, w którym, jak w żywej świątyni, zamykał się świat cały; w obliczu nieba gwiazdzistego, jak eter czystego, na przezroczych wzgórzach Peruańskich; nad bezkresnemi, zgniłozółtymi wodami Chin albo tam, gdzie żarem płonąca pustynia rozpływała się w błyskotliwe fata morgana.

Rozmnażanie okazało się jedyną niedwuznaczną postacią nieśmiertelności w istnieniu ludzkim. Dzięki niemu istniała wogóle ludzkość, istniała myśl poprzez pokolenia, trwała tradycja, snowała się nić treści myślowej.

Nie osiągnie człowiek
Pełni szczęśliwości,
Zacz nie wchłonie jedną
Wszelkiej odmienności.

Angelus Silesius.

Nieśmiertelność!

W migotliwym blasku, jaki bije z tego wyrazu, urastają naraz tysiącoletnia myśli ludzkiej w słupy olbrzymie, co dźwięk wydają potężny, dźwięk, który z rozmaitych względów przywodzi na pamięć ów stary głos znakomitego posągu Memnona w Egipcie.

Wiadomo ogólnie, że co do pochodzenia tego głosu walczyły z sobą o lepsze setki zdań, wygłaszanych przez podróżników, a dziś nie wiadomo jeszcze, azali zawdzięcza on swe pochodzenie oszustwu kapłanów, złudzeniu zmysłów, czy też jakimś realnemu działaniu mechanicznemu (w każdym razie działaniu słońca).

Od czasu, kiedy w historii myśli ludzkiej zakiełkowało poznanie filozoficzne naturalnego biegu rzeczy, dotyczących śmierci i rozmnażania, od tego czasu istnieje dwojakie rozumienie pojęcia nieśmiertelności. Teoretycznie nie wykluczają się wzajem te dwa sposoby ujęcia przedmiotu, przyznać jednak trzeba, że wychodzą z wręcz przeciwnych sobie założeń.

Pojęcie jednostki — to jeden punkt wyjścia. Jednostka — to coś najwznioślejszego. Jednostka — to świat sam sobie, który wciąż rozwija się wzwyż. Powstaje z ciemności oraz zmierza ku ciemnościom, ale wciąż naprzód postępuje. Takie rozumowanie zdobyć się musi na krańcową próbę nadania zupełnie odmiennego znaczenia zasadniczemu faktowi istnienia ludzkiego. Nie dopuszcza ono możliwości, ażeby śmierć stanowiła kres wszystkiego. Może ona być jedynie dziwnym etapem rozwoju jednostki w jej pielgrzymce światowej, etapem, na którym znika ona po prostu z pola widzenia dla tych, co jeszcze nie

dosięgli tego stopnia rozwoju, t. j. dla żywych; nie idzie jednak za tym, ażeby ona przepadała bez śladu. Ten widomy okres, w którym zamyka się życie ludzkie, owe 50 do 100 lat albo mniej jeszcze są z tego stanowiska tylko jakąś przelotną konstelacją, natomiast owa istotna gwiazda jednostki lśni poprzez wieków tysiące. Ma ona swe słońce ukryte, dookoła którego krąży, pewniej jeszcze, aniżeli krąży planeta dookoła widomego słońca naszego systemu. Planeta może wszak spaść, spłonąć—jednostka zaś nieśmiertelna—nigdy. To pojmowanie rzeczy z niebywłą energją zdobywało sobie uznanie w dziedzinie myśli ludzkiej. A podsycane było przez zuchwałość jednostek, w których wrzał bunt przeciwko temu, ażeby świat, ów pstry kalejdoskop, wiecznym miał być, ich zaś „ja“, co królować zdawało się ponad tą szumiącą falą zjawisk, spaść miało pewnego dnia z drzewa tego świata, niby liść bez wartości. Podsycane było to rozumowanie przez najtajniejsze poczucie nielogiczności zjawiska, której nie chciano dać sobie narzucić. I myśl ta rosła, przybierana zarówno w najcudowniejsze, najidealniejsze, jak i w najbanalniejsze formy. Począwszy od Platona, dla którego ziemską rzeczywistość jednostki była tylko szybko przemijającym bladym snem pośród wyższego o wiele, idealnego jakiegoś istnienia poza czasem i przestrzenią, a kończąc na wielkim Fechnerze, który przypuszczał, że dusza ludzka sięga poza śmierć, biegnąc równoległe z owymi mechanicznymi falami, które kiedyś z każdej jednostki wypromieniowały i oraz po jej śmierci płyną w nieskończoność w mechanice świata, wyobrażając działanie następcze.

Ale myśl ta przybierała też inną formę i zestawiana była z nikłym obrazem domu wychowawczego, gdzie po zamknięciu półrocza nauczyciel rozdaje świadectwa, uczniowie zaś otrzymują kary za to, czego ich należycie nie nauczono.

Systemy filozoficzne powstają i przemijają; każdy

nowy filozof to Samson, co kruszy kolumny swego domu. Dogmaty kościelne, które skamieniały ponad temi systematami, zwalane bywają przez huragan myśli, i w końcu tylko ich ułamki unoszą się w pustej przestrzeni, niby pył meteorów. Oceniaj rzeczy sam, jak zechcesz. Pewnym jest tylko jedno: że w miarę zbliżania się do czasów obecnych ponad tą dziedziną gromadzą się coraz ciemniejsze wały chmur. Jeżeli chodzi o nasz cel, to możemy pozwolić chmurom tym spoczywać... wiemy wszak oboje, jaka wielka kwestja kryje się poza niemi. Wystarczy tylko to zaznaczyć. Niechaj wielki sfinks spoczywa na tym miejscu, a my nie pytajmy teraz nawet, azali piasek, w którym teraz jest pogrzebany, podniesie się lub opadnie...

Obok wiary w nieśmiertelność jednostki bez porównania pewniejszym okazuje się poznanie owej drugiej drogi, którą kroczy nieśmiertelność, drogi, na której nie masz wprawdzie ocalenia dla jednostki, ale jest ono przynajmniej dla ludzkości. Jest to droga przez rozmnażanie, przez miłość.

W zasadzie i to pojmowanie jest prastarą mądrością. Nasuwa się ona tak łatwo, że musi już bardzo dawno istnieć.

Te parę tysiącoletni myśli ludzkiej są wobec takich prostoty pełnych wniosków logicznych w istocie tylko strażą nocną, w myśl zwrotu biblijnego. Ojciec umierający błogosławi dziecko swoje—i oto cały proces rozumowania nabiera wyraźnych zupełnie konturów. Ojciec umiera — co znów objaśnić sobie można za każdym razem zgodnie z pierwszym, wzmiankowanym powyżej ujęciem kwestji. Ojciec umiera, ale dziecko żyje, i dzięki niemu linja rodu ciągnie się dalej.

Miljony takich linii krzyżują się, płaczą z sobą, tworzą nowe—i oto powstaje ludzkość. Dziecko stworzy wnuki, od wnuków wywiodą się prawnuki. A wszystko na tej samej ziemi, na której wyrósł naj-

starszy praszczur wiadomy, pod tym samym słońcem, które dostarczało mu ciepła i światła. Na wiecznej ziemi, popod wiecznym słońcem — wieczny człowiek, wsparty na misterjum miłości, które czyni go nieśmiertelnym.

Aczkolwiek pogląd ten sam przez się jest stary, nie ulega wszakże wątpliwości, iż w miarę zbliżania się do terażniejszości odmładza on się coraz bardziej, staje się coraz żywotniejszym. Oczywiście należy tu uczynić pewne zastrzeżenie. Uwzględniwszy je, ma się wrażenie, że rozstępują się chmury coraz szerzej.

Jedno pytanie musi wszakże i tu stanąć w poprzek rozumowaniu.

„Wieczna ludzkość!“ — powiadamy.

Wieczna ziemia — wieczne słońce!

Czy w naszym społecznym pojmowaniu rzeczy może być wogóle cośkolwiek, co dałoby się pomyśleć, jako „wieczne“? Epoka dawna sięgała zaledwie na parę stuleci wstecz w życiu ludzkości. Wzrok jej nie cofał się nawet poza okres kulturalny. Społeczny badacz - przyrodnik natomiast kładzie ci rękę na ten oto bronzowy, przez fale morskie rozdarty odłam skalny. Skała ta sięga pochodzeniem swym tych czasów, kiedy ludzi wcale nie było... A ziemia cała? Czy i ziemia nie jest dla nas tylko pojęciem względnym? Azali nie jest ona tylko pyłkiem świetlnym, co się z czasu otchłani wyłonił, połyskuje i rozwiewa się wnet — „żyje“ i przepada? Azali to „wieczne słońce“ nie jest snem tylko, wyśnionym przez nas samych od tego czasu, kiedy wiemy, że wszystkie gwiazdy stałe — to słońca, że i te gwiazdy stałe również w jesiennej płoną czerwieni, jak ziemski jakiś gaj dębowy? że i one podlegają katastrofom, od których giną w płomieniach, jak młody dąb od pioruna? że przestrzeń lodowata żar ich chłonie serdecznie, aż kostnieją wreszcie w zimnych, śmiertelnych dreszczach?

I w samej rzeczy nasuwa nam się tu dzisiaj nowy zupełnie obraz, nowy zupełnie sposób ujęcia zjawisk wszechświata, dzięki czemu i ta idea nieśmiertelności, idea wieczności przeobrazić się winna w sensie logicznym, zanim gotowa będzie do użytku.

Zarówno niezłożonym, jak i wysubtelnionym umysłem czasów minionych brak było zupełnie jednego pojęcia, które nam w krew i ciało weszło: pojęcia rozwoju. W samej istocie swej nie wypływa ono z tego, co objęte jest wyrazem „wieczne“, ale przez brzmienie tego wyrazu nadaje ono obrazowi rzeczywistości urok zmiany wiecznej, urok bezmiernego bogactwa. Rzuca ono poprzez jednostajnie biały obłok wstęgę świetlną, z której nagle wyłania się kwietny, wiosną dyszący krajobraz, gdzie wszystko w żywym znajduje się ruchu: na drzewach pąki rozkwitają, góry preżą się i pękają, morze wznosi się i szumi. A pośród ciemnego błękitu nad odmienionym widnokretem rozkwitają nowe gwiazdy, jak gdyby i w zimnym wszechświecie cudowna zbudziła się wiosna.

Podczas tej jednej „straży“ w historii kultury ludzkość w rzeczy samej czuwała. Wtedy myśliciele twórczą wykonywali pracę, wtedy wynalezione zostały narzędzia, nagromadziły się księżnice, wznosiły się muzea i obserwatoria. Jeżeli dziś, w końcu tej straży nocnej, powiadamy, że człowiek przez rozmnażanie, przez miłość najbardziej oczywisty bierze udział w „wiecznym“ życiu kosmosu, to właśnie z temi pojęciami „człowiek“ i „kosmos“ spółdziwicy unisono wszystka owa gorąca praca tej wielkiej straży nocnej.

Widzimy, jak kosmos obejmuje nie tylko tonącą w ciemnościach wieczność, która jest jeno melodją, a nie obrazem; obejmuje on również olbrzymie rzeczywiste dale przestrzeni i czasu. Widzimy, jak ludzkość jako całość wynurza się plastycznie w jasnej panoramie, która rozwiera się przed nami w tej świetlnej wstędze wielkiego obłoku.

I o tym, co się dopiero stanie, marzymy również w kręgach miłości.

Zamiast pospolitego wyrazu „wieczny“ uczuwamy nieprzeparty popęd do szukania miłości w tym kosmosie, co się staje, co zwolna wyrasta z błękitnego morza-czasu, niby wyspa jakaś różnobarwna.

Oto co jest właściwie nowego w tym, co nasze czasy dodają do starego, prostego obrazu faktów rzeczywistych.

Płynie ku nam sznur złoty. Spróbujmy na chwilę uwiązać naszą łódź, ażeby się przekonać, jak daleko zajedziemy. Przy społecznych środkach napewno lepiej popłyniemy, aniżeli gdybyśmy to czynili pod hasłem nieśmiertelności jednostki. Ta droga okazałaby się dzisiaj zawodną odyseą. Urocze, nagie syreny zwabia i zjedzą podróżnika, jeżeli im się odda; cyklopy zamkną myśliciela w swej jaskini, tak że może być szczęśliwy, jeśli uda mu się umknąć, kryjąc się pod brzuchem kozła; cyrce-czarodziejka filozofów w osłów przemienia zaklęciem. I lotofagowie, u których, łykając chciwie słodycze, zasypia się snem wiecznym...

Nasza droga jest prostsza, choć również nie pozbawiona zupełnie elementu bajki.

Prowadzi ona poprzez olbrzymie bajeczne powiaty społecznych badań przyrodniczych.

Tęcza błyszczący ponad błękitem — tęcza miłości. Jeden jej koniec ujrzałeś już. Lśni ponad prostym aktem rozrodczym człowieka, który dokonywa się pomiędzy ciałkiem nasiennym a jajem; tego byłeś świadkiem. Spróbujmy dosięgnąć drugiego punktu oparcia tęczy, choćby przelotnie nasamprzód; spróbujmy sięgnąć tam, gdzie miłość wogóle po raz pierwszy wkracza w pole widzenia przyrodnika-badacza.

Rozpatrywać jakieś zjawisko ze stanowiska społecznego badacza przyrody—to znaczy umiejscowić je w przestrzeni, gdzie panuje milion przestrzenny, milion milowy, a dalej—wzniesić je ponad przeszłość,

w której rachuba czasu odbywa się również na miliony, na lat miliony.

Strzaskany jest błękitny dzwon kryształowy ze złotymi gwoździami, wyobrażającemi gwiazdy; dzwon, pod którego sklepieniem żył spokojnie człowiek starożytny, jak za szybą oranżerji; pod którym wierny ogrodnik niebieski hodował rozmaity owoc z nasienia ludzkiego zrodzony, subtelny oraz pospolity. Strzaskał się i rozpadł w gromadę poszczególnych świecących pyłków światowych. Pomiedzy temi pyłkami przestrzeń pusta zalega, przestrzeń lodowato zimna, bezpowietrzna. A pyłki owe wydają się tylko pyłkami, przestrzeń bowiem pomiedzy niemi a nami ulega wszechwładzy milionów przestrzennych.

Po tamtej stronie, poza dostępną nam przestrzenią płoną słońca-olbrzymy, z których światło płynie potężnemi strumieniami, płynie, płynie w najodleglejsze dale wszechświata.

Niewiarogodną jest szybkość tej fali świetlnej: z szybkością, przewyższającą 40 tysięcy mil na sekundę, przelewa się ona w przestrzeń. A jednak trzeba całych czterech lat, ażeby światło z najbliższej gwiazdy stałej dostało się do naszego ludzkiego oka tu, na ziemi. Na południowym niebie płonie gwiazda Centaura, najwspanialsza i najjaśniejsza ze wszystkich gwiazd podwójnych. Owe cztery lata, w ciągu których biegnie ku nam jej światło, stanowią w stosunku do liczby mil na sekundę kilka biljonów mil prawdziwej odległości tej gwiazdy od nas.

A ona ze wszystkich niezliczonych gwiazd stałych na firmamencie uważana jest za najbliższą! Światło innych dosięga ziemi dopiero po setkach lat. Dziś, kiedy je oglądamy, mogą one wyglądać zupełnie inaczej, niż wtedy, kiedy wysłały ku nam promień światła, który teraz wreszcie nas dosięgnął. I naodwrot: jeśliby słaby odbłask naszej ziemi mógł być spostrzegany tam w górze, to ziemia nasza ukazałaby się w tej postaci, jaką miała przed dziesiąt-

kami, przed setkami lat: bez kolei żelaznych, bez Eiffla, bez kanału Sueskiego, z wyspą Ksakatau na drodze Sundajskiej przed strasznym wybuchem wulkanu, wybuchem, od którego w r. 1883 wyleciała owa wyspa w powietrze. Być może, odległości innych gwiazd sięgają tysięcy takich lat, w ciągu których światło ich nas dosięga; a każdy rok ma 365 dni po 24 godziny, a godzina ma 60 minut, minuta 60 sekund—a każda taka sekunda równa się 40 tysiącom mil odległości...

Do niedawna sądzono, że na takich odległościach znajdują się t. zw. plamy mgliste, niezorganizowane masy gazów, mające często wygląd normalnych zarodków, tworzących się dopiero systemów światowych. Dziś budzą się pewne skrupuły w tym względzie: być może, właśnie te bezpostaciowe obłoki niebieskie są nam po części bliższe, aniżeli przypuszczaliśmy. Ale to nie zmienia postaci rzeczy: cyfry mil dla poszczególnych jeszcze jako tako wymierzonych gwiazd stałych są tak olbrzymie, że najśmielszy fantasta kosmiczny może doznać uczucia zadowolenia.

Oto przestrzeń, w którą rzuca się przyrodnik. Powiadam: rzuca, ty bowiem i my wszyscy jesteśmy robactwem na tej grubej kuli ziemskiej, która od czasów niepamiętnych ciśnięta została w przestrzeń i toczy się po swojej drodze eliptycznej, znajdując się pod wpływem tysięcy fal świetlnych, owych bliższych i dalszych światów srebrnych, i zachowując przytym zupełnie te same prawa, według których po niej samej toczy się kula armatnia.

Niemniej przerażającym jest ogrom czasu. Kiedy ludzie siedzieli bezpiecznie pod błękitnym kloszem kryształowym, niby spokojnie dojrzewające owoce w oranżerji, hodowane przez ogrodnika w mistycznym jakimś celu, wtedy rachuba lat minionych była prostą rozrywką. Chodziło wszystkiego o parę tysięcy lat wstecz. Wtedy nie było miejsca dla naj-

troskliwiej pielęgnowanych artystycznych drzew genealogicznych.

Zmilkł rozgwar ludów, i z bezbrzeżnego błękitu wyłonił się ogród, pełen kwiatów różnobarwnych. Oto wśród świętej ciszy jednego poranka, poranka o wszechświatowym blasku, całował Adam Ewę. Ciszę tę mąciło tylko ciche czołganie się węża, wraz z którym przyczołgało się na wilgotną od rosy rajską łąkę całe niewypowiedziane nieszczęście czasów następnych. Jeszcze króciutki okres czasu — i oto Bóg cisnął ziemię w przestrzeń, a słońce o drżący firmament niebieski cisnął owym wspaniałym rzutem twórczym, który może wyczuł całkowicie i odtworzył w sztuce jeden Michał Anioł z pośród wszystkich wierzących i niewierzących chrześcijańsko-dogmatycznej ery, kiedy stworzył swój obraz na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej.

I dzisiejsza nauka nie zmogła sztuki ani indywidualnej potęgi twórczej owego nieśmiertelnego obrazu na kopule. Uderzyła tylko żelazną dłonią w ową idealną kopułę, pod którą kryła się cała ta tradycja, jako rzekomo prawdziwa tradycja historyczna. W tyle poza owymi kilkoma tysiącami lat istnienia ludzkości, poza temi kilkoma dniami, w których dokonał się ów twórczy rzut bajeczny, rozwarły się wrota, poprzez które ukazała się znowu prawdziwa nieskończoność.

Więc oto mamy teraz miliony lat—nie miliony przestrzenne. Miliony lat nieubłaganego historycznego rozwoju.

Dla miary czasu zwróć uwagę przelotną na fakt, że stary Cheops egipski, którego imię nosi wielka piramida—dzieło bezsprzecznie wysoko już rozwiniętej kultury—żył na 3000 lat przed Chrystusem, a więc prawie okrągłe 5000 lat przed nami. Istnieją napisy z Cheopsa czasów, wskazujące na świątynie z bajecznej przeszłości, które, ongi zasypane w piasku, naówczas odnowa zostały wykryte. Wielki sfinks w Cheopsa czasy był już tak stary, że musiał być naprawiany. W jakich otchłaniach czasu ginie tu już kultura ludzka, kultura, co dzieła stwarzała, wobec których dziś jeszcze stoisz zdumiony, z uczuciem pewnej niemocy!...

A oto dzięki najnowszym badaniom znamy o wiele prostszą i starszą prakulturę, która poprzedzała jeszcze okres używania metali, posługiwała się narzędziami z kamienia i przy ich pomocy pokonywała zwierzęta-olbrzymy, co już były zupełnie wymarły wtedy, kiedy rozpoczynało się pisemne przekazywanie faktów. Ta prastara kultura, której istnienie w Europie środkowej stwierdzają ślady niewątpliwe, ginie, licząc wstecz, w epoce, zwanej przez współczesnych geologów epoką lodową. Według rachunku astronomicznego, który zasługuje z wielu względów na wiarę, okres rozkwitu tej epoki lodowej (albo raczej epok lodowych, były tu bowiem przerwy i nawroty) sięga poza rok stotysięczny przed Chrystusem. A jednak czaszki ludzkie z ostatnich okresów epoki lodowej albo nawet może z samego początku tego olbrzymiego szmatu czasu nie są bardzo podobne do małpich; z drugiej zaś strony uzasadnione zostało teoretycznie, że człowiek pierwotnie powstać musiał z postaci zwierzęcych do małp podobnych. Znamy obecnie z Jawy małpę, pochodzącą z końca epoki trzeciorzędowej, a więc tej epoki geologicznej, która poprzedza epokę lodową i bezsprzecznie sięga bardzo daleko wstecz poza owe 100000 lat; a małpa ta miała już zupełnie prawidłowe nogi ludz-

kie i chodziła, trzymając się zazwyczaj prosto, jak człowiek. Wtedy prawdopodobnie miało miejsce właściwe „stawanie się” człowieka. Pojmujesz, w jak dalekie powiodło cię to czasy — a przecież człowiek ze wszystkich ważniejszych postaci zwierzęcych uważany jest bezwarunkowo za najmłodszy twór.

W pierwszej połowie owej epoki trzeciorzędowej wznosiły się jeszcze w Niemczech wysokie drzewa palmowe. Lasy magnolji i wiecznie zielonych dębów ciągnęły się aż do podbiegunowej pustyni lodowej, do krain dziś zupełnie jałowych.

A przecież sama nazwa: „epoka trzeciorzędowa” (t. j. trzecia wielka epoka historii ziemi) wskazuje ci już na to, że chodzi tu o późną, względnie młodą epokę. Niezmierzone okresy dzielą ją od owej epoki jurasowej, kiedy dzisiejsze góry Jura osadzały się w głębi morza w postaci poziomej warstwy iłu, który później stwardniał i dzięki twórczym siłom skorupy ziemskiej wyniósł się wysoko ponad powierzchnię wód w postaci gór. W morzu jurasowym pływał ichtjosaurus, którego nie zna już epoka trzeciorzędowa. I oto tak idzie to wciąż wstecz — ku prastarym okresom rzeczy ziemskich. I sięgamy w ten sposób lasów epoki węglowej, owych tajemniczych lasów olbrzymów, których resztki skamieniałe w piecu dziś spalamy, jako geologowie praktyczni. Sięgamy chwili, kiedy po raz pierwszy wogóle ukazały się istoty organiczne. Tu bezsprzecznie z milionami mamy do czynienia. A jednak i to było znowu tylko stopniem—bez wątpienia stopniem wysokim—na bezkresnej drabinie.

Czy ziemia była może nasamprzód kulą płomienną? Czy musiała się najpierw skupić jakaś luźna materja wszechświatowa, ażeby ziemia powstać mogła? Czy istniał, być może, taki praokres, kiedy wszystkie planety stanowiły ze słońcem jedność, a jeszcze dawniej, być może, słońce samo wyodrębniło się dopiero z kosmosu? Najśmielsza myśl nie zdoła

tego przemysleć należy. Ale również najśmielsza cyfra lat błędnie wobec tego ogromu czasu. Przewalają się wstecz, wstecz, w otchłanie czasu szare korowody milionów lat, tak samo, jak tam w społecznym wszechświecie ginęło wszystko w otchłaniach przestrzeni.

„Spójrz bowiem: chcę stworzyć nowe niebo i nową ziemię“. I rzeczywiście dostąpiliśmy dziś nowego nieba i nowej ziemi, o których kiedyś mówiła nam wizja proroka. Nowa przestrzeń, nowy czas. W takim otoczeniu wszystkie stare pojęcia same przez się nowy przybierają wygląd. Na najdrobniejszą rzecz pada odblask tego w rzeczy samej nowego kosmosu; i pomimo woli doszukujemy się jego znaczenia, które teraz dopiero stało się kosmicznym. Być może, że ten oto blok granitowy był również świadkiem owych ogniem ziejących dni przedhistorycznych rozwoju ziemi. Być może, że ten oto ułamek grafitu powstał wtedy, kiedy ichtjosaury zerował drapieżnie na dnie koralowym; a ten niepokazny kawałek meteorytu pochodzi być może z głębin przestrzennych, przebiegał być może dale syryjszowe i stanowi szczątek jakiegoś świata, który kwitł na długo przed wszelką kulturą ziemską, zamieszkiwany był przez ludzi, owiany ich tęsknotą, w pewnej zaś chwili przebrzmiałych już przerażeń rozpadł się na drobne ułamki. A świat ten jest tak, być może, odległy od nas, że światło, które stamtąd ongi promieniowało, dziś jeszcze dosięga naszego oka...

Największe, najgłębsze sprawy ludzkości muszą wobec takiego stanu rzeczy inne otrzymać oświetlenie. A więc i miłość również. Oko nasze szuka jej w otchłaniach prabytu, w czasie i przestrzeni...

Jest w Stutgarcie uświęcony zakątek — uświęcony dla przyrodnika. Oto zwykłe białe ściany bez

ozdób wszelakich. U ścian tych w długich szafach leżą szeregiem odłamki kamieni ciemnych, na których wzrokiem badawczym spostrzegasz pewne zarysy, przywodzące ci na pamięć mniej lub więcej połamane szkielety zwierząt. Są to płyty czarnego grafitu jurasowego w tej formie, w jakiej łamany bywa u stóp szwabskich gór. A na płytach tych skamieniałe szczątki wielkiego płazu, zamieszkującego głębiny morskie, o silnych pletwach, olbrzymich oczach i pysku krokodylim z okropnemi zębami. Ten potwór — to ów sławny ichtjosaurus, pół-ryba, pół-jaszczur. Płyty kamienne, które przechowały dla ciebie ostatnie resztki jego istnienia, najwidoczniej w wysokim stopniu odporne i imponujące, powstały w głębiach oceanu, zrazu jako miękkie masy iltu, w tym czasie, kiedy nie było jeszcze Alp, a morze Śródziemne zalewało przestrzeń całą aż do Szwabji. Ten okres oddalony jest od nas przez szereg lat, dla którego wyraz „milion“ nie wystarcza w żadnym razie; należałoby tu jeszcze dokonać mnożenia—przez ile? to pytanie pozostawmy na razie na uboczu.

A mimo to ta cieniów gromada, pozostała po ichtjosaurach, które niegdyś żyły na ziemi rzeczywiście, opowiada nam o miłości.

Pomiędzy żebrami takiego ichtjosaura leżą zgrabne minjaturki wielkiego potwora-matki: niezrodzone jeszcze młode, które wraz z brzemienną matką zaduszone zostały jeszcze przed urodzeniem podczas jakiejś burzy i pochowane w iltu morskim. Ichtjosaurus jaj nie składał, ale donaszał swe małe i wydawał je na świat jako żywe potomstwo, podobnie jak to czyni nasza jaszczurka górską o szafranowo-żółtym brzuchu.

Bez wątpienia, małe owe poczęte zostały w normalnym akcie miłosnym, jak to się dzieje dzisiaj ze wszystkiemi płazami, ze wszystkiemi kręgowcami: przez cielesne złączenie się komórki nasiennej i jajowej; przez akt, dokonany spólnie przez samca i samicę;

akt, któremu również towarzyszyło gorące pożądanie miłosne. Ichtjosauiry były w większości wypadków olbrzymiami zwierzętami: miały długości do 10-ciu metrów. Kiedy ich olbrzymia pletwa pionowa sma- gała fale w szale miłosnym, musiało to być widowi- sko potężne. Być może, samce toczyły musiały naprzód zażarte boje o posiadanie samicy, jak to bywa dzi- siał pośród naszych małych jaszczurek, kiedy barasz- kują wiosną na zielonych kopcach: stają one do po- jedynku i nie wcześniej zwykły zaprzestawać walki, dopóki jednemu z obu rywali nie zostanie odgryzio- ny zgrabny ogonek jaszczurczy. Tam musiała to być w każdym razie walka, od której morze kipiało, jak od biblijnego lewjatana. Być może, wtedy pomiędzy szczęśliwym zwycięzcą a tak krwawo zdobytą samicą spełniał się szalony akt miłosny w ten sposób, jak to czynią wieloryby, które nie są wprawdzie płazami, lecz ssawcami, jednak pod wielu względami więcej podobne są do ichtjosaurów, niż jakiegokolwiek inne zwierzę z żyjących lub wymarłych.

Samiec-wieloryb i jego samica, niekiedy olbrzy- my o długości z górą 20-tu metrów, przybierają dla ak- tu spółkowania w wodzie kierunek pionowy i obej- mują się wzajem swemi potężnymi przednimi ple- twami. Jednocześnie samiec chlaszcze ogonem po morzu fal tak potężnie, że morze burzy się i kipi. A ichtjosauiry zapewne jeszcze podczas tego ryczały, na podobieństwo ich bliższych krewnych — krokody- lów. Być może, wznosił się jeszcze ponad miejscem ich miłosnego szału ów obłok przejmującego zapachu piżma, zapachu, który wydają krokodyle w okresie parzenia się.

Oto w ten sposób wyczarowała przed nami wyo- braźnia idylę miłosną, którą dzielą od nas najpew- niej już lat miliony. Jak odległe są to czasy, pojdziesz najlepiej, jeżeli pomyślisz, że ta fala srebrnopienna, którą wzburzył akt spółkowania ichtjosaurów w oko- licy mniej więcej dzisiejszej Szwabji, rozprysnąć się

mogła w oczach tych kochanków o skałę jakiejś wyspy koralowej na podobieństwo fal dzisiejszego morza Południowego. Ponad odłamek koralowym powiewały wielkie wiechcie silnych paproci palmowych i palm sago, jakie dzisiaj rosną w krajach podzwrotnikowych i dostarczają nam gałęzi palmowych dla naszych pogrzebów. Albo chwiało się zielono-złote listowie owych pięknych drzew Ginkgo, które dziś hodowane są jeszcze tylko w świętych gajach Chin i Japonji, drzewa z natury swej iglaste, mające wszakże jasne wystrzępione liście, które kiedyś wyobrażały dla Goethego poetyczny symbol miłości, co z dwojga jedność tworzy: „Nie czujeszże w pieśniach moich, żem jednią jest i dwoistością?“...

Tak jaskrawo zmartwychwstaje przed nami ze swoją miłością ichtjosaurus... Podobnie wyobrazić sobie można, że oto podnoszą się wszystkie te dziwaczne potwory, na płytach kamiennych odcisnięte, w szklanych trumnach naszych muzeów pochowane; wszystkie owe upiory straszliwe, które, licząc od dziś wstecz do epoki ichtjosaurów, przepłynęły morze, przemierzyły przestworza i ziemię. U nich wszystkich można sobie wyobrazić uczucia miłosne, szła miłosny i miłosne pozy i wytworzyć potworną giehennę rozkiełzanych namiętności, wobec których ziemia drży, ocean wzbiera i odwieczne wałą się puszcze.

Wszystka ta miłość czasów dawno minionych skostniała jest i martwa. To wszystko—miłości pełne szkielety w muzeach ludzkości. Szkielety i kamienie, na których badacz nakleja kartę z dziwną nazwą.

I choćby nie wiedzieć jak potężne były owe „namiętności“ płazów, jednak czasu szmat olbrzymi, jaki nas dzieli od nich, sprawia, że stają się one jakimś dalekim, ginącym akordem nawpół przebrzmiałej już melodji. I takimi niknącemi, zaledwie dosłyszalnemi dźwiękami sięga melodja owa jeszcze o wiele

głębiej w mrok czasów. Ichtjosaurus, należący wprawdzie do bardzo dawnej przeszłości, stoi jednak już wysoko na organicznej drabinie rozwojowej, na której szczycie — bez względu na jakiegokolwiek spory co do kwestji poszczególnych — stoi również człowiek. Wciąż jeszcze pozostajemy tutaj w pewnym sensie w „rodzinie“. Atoli ta linja rozwoju biegnie nieprzerwanie jeszcze wstecz poza ichtjosaura daleki szmat drogi, który liczyć wypada na lat miliony znowu.

Mówimy często symbolicznie, obrazowo o ostatnim brzegu poznania. Opuszczone wybrzeże; nic, jedno piasek i piany morskiej płatki. A dalej bezkresne, srebrno-szare, zamglone morze niepoznawalnego z białym widnokretem, rozpiętym ponad wiecznością niepojętą.

Przyrodnik, który śledzi życie organiczne na ziemi aż do dni bardzo odległych, zna takie wybrzeże. Leży ono namacalnie na krawędzi tradycji ziemskiej. I istotnie chodzi tu o wybrzeże.

Szwecja. Znajdujesz tam prastare piaskowce, które osiadły jako najniższa warstwa kambryjskiego okresu w rozwoju skorupy ziemskiej. Te kamienie kambryjskie są nieporównanie starsze od owego grafitu jurasowego, gdzie spoczywają atlantosaurusy, archeopteryksy, ichtjosaurusy. Ale przed badawczym wzrokiem przyrodnika i owe kamienie rozwierają się, jako książka. W tych drobnych śladach, które tam w Szwecji na nich pozostały, ujawnia się cały rozgwar życia jakiegoś przedświatowego brzegu morskiego. I choć spiętrzyły się nad nim miliony lat, niby wieża — stary piasek w kamień skupiony zachował jednak niewidzialne prawie ślady. Oto ślady, jakie pozostawił pełzający robak, rak lub ślimak. Oto z czterech części złożony, o wyglądzie grubego krzyża, odlew żołądka jakiegoś szklistego mięczaka, którego burza rzuciła o brzeg; zginął on później w płytkiej wodzie nadbrzeżnej, podobnie jak to się dzieje jeszcze z jego towarzyszami niedoli, co mienia się bar-

wą błękitną u wschodniego wybrzeża morskiego. Oto linja zygzakowata, którą nakreśliły w delikatnym ił piaskowym lekko przez fale poruszane zielone porosty wybrzeża.

Właściwie nie ma w sobie nic nadzwyczajnego to stare wybrzeże kambryjskie w Szwecji. A jednak sprawia ono na badaczu zupełnie swoiste, magiczne wrażenie. Jest to ostatnie wybrzeże z życiem organicznym z tych wszystkich, które są mu dostępne. Z okresu poprzedzającego warstwę kambryjską Szwecji, z warstw skalnych, które są jeszcze starsze, nie mamy ani jednej resztki roślinnej lub zwierzęcej. Kamienie z epoki bezpośrednio poprzedzającej kambryjską znajdują się w jakimś odrębnym stanie, któremu prędzej czy później ulec musiały. Ich wewnętrzna budowa zupełnie jest przekształcona: jeżeli nawet zawierały resztki organiczne, to rozpuściły się one w masie ogólnej i stały się niewidzialnymi. Nie widać tu już ani muszli, ani skorupy rakowej, ani odcisniętego kształtu liścia. Owo wybrzeże szwedzkie jest to ostatnie nasze wybrzeże z punktu widzenia bezpośredniej, namacalnej tradycji. Tu nic się urywa.

Zwierzęta, które żyły na wybrzeżu kambryjskim, miały swoje życie miłosne — któżby chciał temu przeczyć? Raki, które tam pełzały, należały najpewniej do rodzaju t. zw. trylobitów; były to dziwaczne twory, dziś już w tej postaci nie istniejące zupełnie, których niezliczone gromady igrać musiały w morzach tej i następnej epoki... Właśnie z badań nad takimi trylobitami, pochodzącymi z czeskich skał epoki kambryjskiej (które, jak się zdaje, nie zawierają wprawdzie pokładów wybrzeża morskiego, natomiast pokłady głębin morskich), poznany został cały rozwój młodych. Znajdujemy tam niezliczone drobniutkie czarne kulki, zapewne jaja. A obok — cały łańcuch poczwerek albo stanów młodocianych aż do gotowego raka ostatecznie. I tam niewątpliwie odbywały się akty miłos-

ne, a ze względu na nie istnieć musiały i uczucia erotyczne.

Żyją obecnie pewne gatunki raków, u których nie każde jajo samicze wymaga bezpośredniego zapłodnienia przez samca, ażeby stać się zdolnym do rozwoju—występuje u nich owo dziwne zjawisko t. zw. partenogenezy czyli dzieworództwa. Atoli obok tego zdarza się i tu od czasu do czasu istotne zapłodnienie. Nasze najbardziej znane rakowate, jak rak rzeczny, homar, raczek morski, mazynet — wszystkie one zapładniają się normalnie. Jaja zapłodnione są u nich pielęgnowane często z wyrafinowaną pieczołowitością: specjalne skrytki i jamki ciała samiczego służą do ochrony jaj, albo też są one troskliwie przechowywane, osłonięte wyrostami odwłoka, jak to każdy wie o naszym raku rzeczonym. Owe dawne trylobity przechowywały może swe jaja w zrobionych przez się zagłębieniach w piasku nadbrzeżnym, niby w gniazdach, podobnie do tego, jak czyni to dziś żyjący rak-mięczak, który właśnie największe w budowie ciała swego wykazuje pokrewieństwo z trylobitami. Może młode, samodzielnie już pływające, lecz słabe jeszcze latorośle trzymały się przez czas pewien matki i u niej szukały schronienia przed niebezpieczeństwem na podobieństwo naszych młodych raczków rzecznych, których jedyną ucieczką jest matka, jak kura dla piskląt.

Wybrzeże kambryjskie — to ostatnie znane nam wybrzeże, na którym żyły istoty organiczne, zwierzęta i rośliny, więc i życie miłosne tego wybrzeża stanowi ostatni etap w idomej miłości, o ile umiemy historycznie śledzić ją w otchłani milionów lat minionych.

I tu zrywa się nić, co ku dawniejszej jeszcze przeszłości poprowadziłyby nas mogła.

Ale na chwilę odrzucmy wogóle precz teleskop geologiczny.

Trzeba nam podążyć za jedną myślą. Założyliśmy nieśmiertelność rodzaju ludzkiego, zawarowaną przez miłość. Nauka społeczna miała temu pojęciu nowe odsłonić perspektywy.

I oto nagle jesteśmy na wybrzeżu kambryjskim. Jak przez mgłę widzimy, że miłość jeszcze tam panowała.

Atoli gdzież jest człowiek?

Azali ów piaskowiec szwedzki, co niegdyś był tak delikatnym iłem piaskowym, że pozostały na nim ślady ścieżek po przejściu robaka, po wielonożnym raku, nie wykazuje gdziekolwiek wyraźnego odlewu stopy ludzkiej? nagiej stopy kobiecej, jakiejś pradziwoi kambryjskiej na starym wybrzeżu, która właśnie szła może ku rozkoszom miłości w glorii słonecznej o ginącym gdzieś w dalach nieskończonych blasku?

Tu oto staje wpoprzek wszelkiemu fantazjowaniu tego rodzaju myśl nawskroś społeczna; myśl o potędze żywiołowej, co zdruzgotała całe światopoglądy, jak padający blok marmurowy; myśl, która jednak w istocie swej jest tak prosta, że zdumienie nas ogarnia, jak można było kiedykolwiek mieć co do niej wątpliwości.

Na owym kambryjskim prawybrzeżu i, licząc z góry, wcześniej jeszcze na brzegach oceanu podzwrotnikowego, po którym pływały ichtjosauiry, nie było jeszcze ludzi. Były tylko istoty, które kiedyś miały się stać ludźmi. Mnożyły się one, wobec odwiecznego odumierania jednostek, stały na straży swego istnienia, zupełnie tak samo, jak człowiek dzisiejszy, stosując wielką zasadę nieśmiertelności poprzez miłość. W biegu lat milionów dosięgły postaci ludzkiej. I ona była tą właśnie, która odtąd przez rozradzanie się została nadal zachowana.

Wracamy na chwilę do zwykłej sceny, którą uznaliśmy wyżej jako punkt wyjścia wszelkiej filozofii miłości. Ojciec umierający, co dziecko swe błogosławi—oto ocalone istnienie ludzkości poprzez śmierć

jednostki. Pomyśl głębiej nad tą sytuacją. Spójrz dziecku w oczy i ojcu. Azali zupełnie są do siebie podobni? Obaj są ludźmi. Jest jednak różnica, różnica, co nie polega jedynie na tym, że z jednej strony jest młodość, z drugiej zaś starość. Dziecko zostanie mężczyzną, a jednak pod pewnymi względami różni się od ojca i od matki również, od rodziców swoich i przodków naogół. Nie jest to bowiem jedynie nowe indywiduum w tym rozumieniu, że chodzi na własnych nogach, zamiast pozostać w ciągu życia całego zrosniętym z rodzicami, niby narząd ich ciała, i nie w tym rozumieniu, że żyje ono nadal, wyzwalając energję tworzenia wtedy, kiedy ojciec jako starzec spróchniały umiera.

Jest ono i n d y w i d u u m wogóle, po prostu czymś zupełnie odrębnym pośród całej ludzkości, co była przed nim, co po nim będzie i co istnieje obok niego.

A mimo to mówimy: ludzkość żyje w nim nadal, i indywidualność jego jest ogniwem w owym łańcuchu nieśmiertelnym, zagwarantowanym przez miłość.

To dziecko znowu będzie mieć dzieci, które znowu będą inne.

Dzieci te pozostaną może w otoczeniu podobnym do rodzicielskiego, i to otoczenie pozostawi wnukom pewne cechy przynależności do przodków, której inni ludzie zupełnie nie posiadają; wnukowie zaś wyemigrują bodaj, w inny wejść zespół warunków.

Uczy nas historia, jak powstają nowe ludy ze zmieszania starych.

Narody rasy romańskiej powstały w ten sposób już we względnie późnej epoce historii ludzkości. Spółczesne narody Ameryki tworzą się dzisiaj tak, że ma się wrażenie, jakoby wyrastały w oczach naszych. A mimo wszystko — jak długi okres czasu dzieli później naród od narodu pośród ludzkości! Jakże śmiałym, jak daleko sięgającym jest pogląd, uznawany bez skrupułu od wieków przez naiwniejszych wyznaw-

ców Biblii, że murzyn i Anglik powstałi pierwotnie z tego samego szeregu pokoleń, który unieśmiertelnił się dzięki rozmnażaniu; murzyn, zamieszkujący zarosła australskie, i Anglik, który go wytępił i na tym samym miejscu, gdzie ongi rosły jego lasy eukaliptusowe, pełne kangurów i zwierząt z dziobami, zakłada wielkie miasta dymem fabryk owiane, otoczone siecią kolei żelaznych i rządzone według spólczesnych praw konstytucyjnych.

Myśl ulega tu rzeczywiście przeobrażeniu, ale przeobrażenie to jest konieczne. Wzniesć się musi ona właśnie do poglądu, że miłość zapewnia pokoleniom nieśmiertelność, że natomiast nic ją nie obchodzi, czy pokolenia te jako indywidua i szeregi indywiduów tak odbiegają od siebie, że wreszcie — po kilku wiekach — wnuki i prawnuki oddalają się od przodków swoich aż do niepoznania.

Spólczesny przyrodnik nadaje tej myśli po prostu cechy nieokreślonego uogólnienia. Zadaje on sobie pytanie, czy łańcuch jednostek, który tu zawiera w sobie jako ogniwo negra australskiego, tam zaś Anglika, nie zawierał również kiedyś takiej postaci zwierzęcej, którą musielibyśmy dziś, gdyby istniała, przyrównać, ba, nawet ze względu na cechy najważniejsze zidentyfikować z małpoludem z lasów podzwrotnikowych, z gorylem lub orangutanem?

A wszak wszystkie wiadomości nasze z bardziej odległej przeszłości przemawiają niewątpliwie za takim stanem rzeczy.

Idąc wstecz poza epokę lodową, nie znajdujemy nawet śladów człowieka. Brak tam nie tylko rzeczywistych kości ludzkich, ale i śladów jakiegokolwiek kultury. Dzisiaj kultura ta stanowi zasadniczą cechę sztafażu dla całych części świata.

Wyobraź sobie np., że dzisiejsze terytorjum europejskie, zasłane ruinami przemysłu ludzkiego, zapadło się w głębokie pokłady epoki kamiennej; tam zaś nic więcej nie widzisz, tylko taki sam las dzie-

wiczy, jaki dziś zielenią swą bajeczną czaruje samotnego wędrowca w nowo odkrytych dziedzinach ziemi. A w tym lesie pierwotnym widzisz tylko zwierzęta, stojące pod względem organizacji niżej od człowieka. Pośród jaskrawego kwiecia tych drzew prastarych, gdzie słońce tka delikatne smugi świetlne w tajemniczą zielen, skaczą małpy. Dlaczego one stanowić nie mają dalszych ogniw wstecznych owego łańcucha pokoleń, który dziś zwie się ludzkością?

Znów nieskończony okres czasu — i oto w lesie paproci palmowych i araukarji skaczą zwierzęta workowate o długich ogonach, kryją się w mokradłach istoty w rodzaju dziobaka. Zgodnie z systematyką, ustaloną dziś wreszcie przez naukę po żarliwej, niezmordowanej pracy, owe workowce i dziobaki znajdują się mniej więcej w tym samym stosunku do małp i ssawców małpom podobnych, co ostatnie do stojącego na wysokim stopniu rozwoju człowieka. Znajdują się one o jeden stopień niżej ze względu na budowę kości i mózgu oraz ze względu na to, że pozwalają dojrzeć zupełnie swojemu potomstwu przed urodzeniem się samym.

W owe czasy workowców i dziobaków, odpowiadające mniej więcej epoce ichtjosaurowej, nie ma ludzi, podobnie jak i w starym, podzwrotnikowym lesie, przez małpy zamieszkałym. Atoli małp również nie ma. Dlaczego to, co później stało się małpą, a wreszcie człowiekiem, nie mogło mieć wtedy postaci zwierzęcia workowatego i dziobaka?

I wciąż tak samo wstecz.

Cofamy się w okresy, skąd nie przekazany został najmniejszy ślad dziobaka lub zwierzęcia workowatego, wogóle jakiegokolwiek ssawca. Natomiast ocean roi się od niezliczonych ryb. To, co później żyło na lądzie stałym, oddychało płucami, karmiło swoje małe i znane jest przez nas, jak dziobak — w owe czasy miało najprawdopodobniej skrzele na szyi i pletwy na ciele.

Dziobak, zwierzę workowate, małpa i człowiek wówczas istniały — jako ryba.

Wreszcie na wybrzeżu kambryjskim, gdzie leży kres naszego poznania przyrodniczego, były one zapewne jeszcze robakiem, zwierzęciem, które pod względem swej organizacji cielesnej stoi o wiele niżej od ryby, wyobraża sobą mianowicie o wiele prostszy schemat, który w rybie okazuje się znacznie więcej skomplikowanym.

Ten proces myślowy staje przed oczyma twej duszy w całej swej potędze, nie pozbawionej jednocześnie prostoty. Nigdzie przerwy w łańcuchu miłosnym pomiędzy robakiem kambryjskim a człowiekiem dzisiejszym. Nieprzerwany szereg następujących po sobie pokoleń. Atoli w tym następstwie dokonywa się powolna zmiana w wyglądzie indywiduów zwierzęcych, taka sama zmiana, jaka dzieli ciebie, człowieka dni dzisiejszych, od starego krzyżaka lub rzymianina w todze z czasów Cezara albo pasterza z mitycznej patriarchalnej epoki żydowskiej, od których ty pochodzisz, złączony z niemi silnym łańcuchem niezliczonych historii miłosnych, uścisków i urodzeń, nie będąc sam dzisiaj ani bojownikiem jerozolimowym, ani senatorem rzymskim, ani mistrzem krzyżackim. Nie jesteś również dziewczęciem z praepoki kambryjskiej, co szła po owym ostatnim zamglonym wybrzeżu w objęcia miłości. Atoli w owym robaku, który trwożliwie szukał tam schronienia w piasku na czas odpływu, zawarte są już potencjalnie wszystkie dziewczęta — ludzie czasów przyszłych...

Dopiero przez uświadomienie tej zasadniczej myśli nauki Darwina ostać się może twierdzenie o „nieśmiertelności przez miłość“; teraz dopiero po linii rzeczywistych faktów geologicznych dotrzeć możemy do samego wybrzeża kambryjskiego... Powróćmy więc do niego.

Prawybrzeże! Wybrzeże kambryjskie nie może być rzeczywistym wybrzeżem pierwotnym. Właś-

nie nauka Darwina wzbrania takiego poglądu. Wprawdzie meduzy, robaki i raki, jakie tam zastajesz, są to formy organiczne, stojące niżej od jakiejś muszki np. lub człowieka, stanowią jednak tylko stopień, poza który zniżyć możesz jeszcze niżej. Dziś jeszcze żyją na ziemi całe gromady istot żywych o budowie znacznie prostszej, a więc stoją one zgodnie z schematem rozwojowym znacznie niżej od robaka, a tymbardziej zaś od raka.

Robak składa się, jak i ty, z komórek. Komórki te układają się w ciele jego w narządy. Panuje pomiędzy nimi podział pracy: jedne tworzą jeden narząd, inne znów inny. I choć pod względem organizacji cielesnej stoi od ciebie robak niżej, to w tym względzie wykazuje jeszcze wielkie podobieństwo z tobą. Atoli napotykasz dziś jeszcze pośród nas żyjące twory, które zupełnie żadnych narządów nie posiadają, a składają się z nieorganizowanej masy zupełnie jednorodnych komórek. I nawet możesz pójść dalej wstecz poza stadium, gdzie brak wszelkich narządów.

Słyszałeś o bacylusie, przynajmniej o bacylusie cholery, który jest tej choroby przyczyną albo conajmniej zjawia się zawsze jednocześnie z tą okrutną chorobą. Miljardy podobnych bakterji, wszystkie tak małe, że stają się widocznymi dopiero pod drobnowidzem, unoszą się w powietrzu, roją się w wodzie. O tym czytasz w pismach. Ale czym jest taka bakterja? Jest to żywa istota, i właśnie jej życie intensywne czyni ją w pewnych warunkach tak niebezpieczną. Ale czyż jest ona zwierzęciem, czymś w rodzaju robaczka o minimalnych rozmiarach ciała? albo czy jest rośliną, jakimś wodorostem lub grzybem? Ostatnie określenie słyszy się często, i w istocie naprowadza na to stosowana wprost nazwa naukowa: „grzybek rozszczepiony“. Atoli od rzeczywistego grzyba różni się bakterja jeszcze znacznie: posiada ona orga-

nizację o wiele niższą, nieporównanie zaś niższą od robaka.

Ani wyraz „zwierzę“, ani „roślina“ nie określa jej należycie. Jest ona przedstawicielem takiego prąkrólestwa, skąd powstało zarówno zwierzę, jak roślina, skąd powstały dopiero te dwa królestwa w drodze specjalizacji.

Bakterja wyobraża sobą tylko jedną jedyną komórkę, jedno skupienie żywej materji, jedną cegiełkę w naszym poprzednim obrazie, który dzięki swej możności „samodzielnego istnienia“ stanowi właśnie maleńki „domek“ dla siebie.

W ten sposób dotarłeś w istocie do czegoś najniższego, najprostszego pośród form zwierzęcych, jakie dziś znamy na ziemi.

Mówiłem ci, że jeżeli sięgniemy wstecz poza kambryjskie wybrzeże, to nie znajdziemy nawet śladów zwierzęcych i roślinnych. Oczywiście, że przyczyna tego jest czysto zewnętrzna: starsze jeszcze osady iłu i piasku dzięki specjalnej sprawie krystalizacyjnej porzucane zostały niby motyką, tak że wszelkie przekazywanie form organicznych wykluczone jest samo przez się. Niema jednak dobrej racji, dla której wyobraźnia nasza miałaby się dać kierować temu zjawisku czysto zewnętrznemu i prawdopodobnie następczemu. Jeżeli po kambryjskim wybrzeżu łąziły już robaki, jeżeli morze opłókiwało tam meduzy, to najprawdopodobniej był przedtym taki okres, kiedy w jakimś morzu pierwotnym, dziś już zupełnie nieistniejącym, rozwinęły się takie robaki i meduzy z prostszych jeszcze istot zwierzęcych.

I wreszcie musiało gdzieś rzeczywiście istnieć jakieś pierwotne wybrzeże krańcowe, na którym były tylko najprostsze twory organiczne; twory takiej kategorii, która nie dopuszcza jeszcze wyraźnego podziału na zwierzęta i rośliny, a z której rozwinąć się miały dopiero w następstwie, jako dwa pnie równoległe, zarówno prawdziwe zwierzęta, jak i prawdzi-

we rośliny; twory w rodzaju tych istniejących dziś jeszcze w takiej masie bakterji, których ciało całe stanowi jedno jedyne, pozornie dość jednorodne skupienie żywej materji — jedną komórkę.

I bakterja „kocha“, to znaczy: wykazuje zjawiska zapładniania i rozmnażania się, dzięki czemu z żywych indywiduów powstają nowe. Oczywiście, dzieje się to wszystko w sposób zupełnie pierwotny.

Wszystko do tego stopnia uprościło się w bakterji, sprowadzone zostało do jednej jedynej cegiełki, że i miłość zdaje się istnieć tam w możliwie najbardziej rozrzedzonym wyciągu. Zaraz na tym miejscu powiemy o tym słówko, tymczasem właśnie zaznaczymy tylko nagi fakt. Wilgocią przepojone powietrze pierwotne, w którym roiły się bakterje, lub owa prawoda, w której się one snuły, lub wreszcie owo prawybrzeże iłowe, gdzie pełzały — wszystko to było już widownią najprostszycich zjawisk, dzięki którym indywidua wytwarzały z siebie nowe; odbywało się już tam rozmnażanie, istniała miłość. Nie jest to chwiejna jakaś hipoteza; jest to prosty wniosek logiczny. Podobnie jak niegdyś astronomowie na podstawie zaburzeń w sile ciężenia wykombinowali sobie Neptuna przy Uranie, nie widząc go przedtem bezpośrednio, tak samo stwarza sobie i nasza fantazja biologiczna owo przedkambryjskie wybrzeże z jego czystą miłością bakterji, zdając sobie dokładnie sprawę z tego faktu, że nauka zapewne nigdy nie wykryje widomych śladów tego wybrzeża.

Atoli teraz, drogi mój towarzyszu, sytuacja się wikła. Po drabinie Darwina zeszliśmy dość do szybu milionów lat, jak można było najgłębiej. Szliśmy od najbardziej skomplikowanych do najprostszycich tworów, od człowieka do bakterji. Teorją naszą sięgnęliśmy nawet poza wiedzę. Ale teraz stanęliśmy w miejscu krytycznym. Darwin ściska nam dłoń i odchodzi. „Na początku była bakterja“. Ale skąd się ona wzięła?

Znasz piękną legendę indyjską: Świat spoczywa

na słońcu, słoń stoi na żółwiu. Ale kto podtrzymuje żółwia? Kapłani mówią: jest to boskie misterjum.

I my z naszą bakterją, co była na początku, mamy to wrażenie, jak gdybyśmy stali na żółwiu. Wyraz zaś „misterjum“ zapewne nie zdoła cię zadowolić.

Wreszcie jedna pozostaje prawda. I przyrodnik z ostatecznymi zagadkami świata styka się już z królestwem mistycznym, przynajmniej w tym sensie, że tu nauka jego pograżać się poczyna w ciemność zupełną. Skąd w ostatecznym rezultacie wyłonił się świat cały? jak poczęły się owe wielkie, zasadnicze ruchy we wszechświecie? co wyobrażają owe prawa natury „rozwojowe“? Wszystkie te pytania zapadają się przed oczyma przyrodnika w otchłań ogólnych kwestji teorjopoznawczych. A to w języku praktycznym nic innego nie znaczy, jak że giną we mgłę tajemnicy.

Atoli przykrym jest to, że, o ile się zdaje, to najdalsze pojęcie „kresu“ w przyrodzie nie zlewa się jeszcze wcale z pojęciem naszego wybrzeża, z bakterjami.

Wybrzeże to istniało na ziemi. Przypuściwszy nawet, że powierzchnia ziemi znacznie różniła się od dzisiejszego jej stanu, co dotyczy rozkładu wód i lądów, a być może również ze względu na temperaturę ogólną, w każdym razie przyznać musimy, że już musiała być wtedy podobna do dzisiejszej. Atoli istnieje teraz uznawana powszechnie hipoteza, według której w dawnej bardzo epoce cała kula ziemską była podobno rozżarzoną masą, małym słońcem, dookoła którego kołysał się ognisty opar z metali i wydobywały się słupy gorącego wodoru.

W takiej atmosferze, gdzie metale przechodzą w parę, gdzie żelazo unosi się w postaci obłoku, a ze względu na straszliwe gorąco nie może wreszcie dojść do skutku żadne połączenie chemiczne pomiędzy elementami podstawowymi, — w takiej atmosferze nie

może wytrwać najbardziej nawet wytrzymała bakteria. Składa się ona przecież z jednej tylko komórki, ale ta jedna komórka zawiera w sobie właśnie ową substancję (istotę) chemiczną, na której według przyjętych obecnie poglądów polega „życie“, a ta substancja umiera, skoro rozgrzewa się ją do tego stopnia, że jej skład chemiczny ulega zniszczeniu...

W owej epoce ogólnego żaru, w jakim znajdowała się ziemia, nie mogły tedy istnieć bakterje w naszym rozumieniu tego wyrazu.

Jeżeli hipoteza ta jest wiarogodna, to dopiero pośród procesu rozwojowego ziemi była zapewne taka chwila, kiedy bakterje dopiero powstały, przedtem zaś nigdy nie istniały. I najoczywiściej, jeżeli istotnie tak rzeczy się mają, chwila ta przypada na ten okres, kiedy żar ziemi ochłonał zrazu tak dalece, że nastąpiła temperatura, przydatna dla życia bakterji.

Mając na uwadze nasze środki poznawcze, nie powinienś naturalnie taką hipotezę o pierwotnym rozżarzonem stanie ziemi uważać za niewzruszoną. Najsilniejsze poparcie znajduje ona we wnioskowaniu na zasadzie analogji. Gdziekolwiek z naszego ziemskiego obserwatorjum rzucimy wzrokiem we wszechświat, wszędzie migają przed oczami naszymi fazy ciągłego procesu oziębiania się, jakiemu podlegają ciała niebieskie. Obłoki, mgławice wydają się nam tworam i kosmicznymi, które są jeszcze w stanie lotnym, w jakim byłaby ziemia nasza, gdyby ją ogrzać do możliwie wysokiej temperatury. Pewna liczba gwiazd stałych wykazuje stan białego żaru. Słońce nasze, które w ogólnej budowie wszechświata nie wyobraża nic innego, jak taką samą gwiazdę stałą, jest natomiast już trochę mniej rozżarzone i zaliczane bywa do typu żółtych gwiazd, a wielu astronomów sądzi, że plamy słoneczne stanowią zapowiedź jeszcze bardziej umiarkowanego, poczynającego się dopiero stadjum, które nazwaćby było można żarem czerwonym.

Co do niektórych innych gwiazd stałych jest prawie pewne, że już istotnie ostygły do słabego żaru czerwonego. Wobec faktu, że przestrzeń wszechświatowa jest lodowato zimna, łatwo wyrozumieć, dlaczego w ciągu niezliczonych szeregów lat gorąco wszędzie się zmniejsza. Ale najprawdopodobniej na samym początku panował wszędzie żar, doprowadzony do najwyższego stopnia. Więc dlaczegożby z ziemią nie miało być to samo? Taka malutka, jaką jest, oddawna już dziś ostygła do tego stopnia, że nie promienieje już własnym światłem ani własnym ciepłem, które zmierzyćby się dało. I to jeszcze popiera naszą analogję, że księżyc, o wiele mniejszy od ziemi jej satelita, wykazuje pewne cechy, które pozwalają przypuszczać, że jest on być może w stadium jeszcze bardziej posuętym, to znaczy jeszcze więcej wystygłym, niż ziemia.

To wielkie wnioskowanie na zasadzie analogji popierane jest jeszcze przez inne wtórne znaczenia motywy. Przemyśleć sobie można szereg przeobrażeń aż do kresu, kiedy ziemia, jako pierścień płonący, oderwała się ongi od słońca. Ziemia byłaby niejako słońca potomkiem, księżyc zaś z ziemi by się wywodził, a słońce naturalnie z innych znowu gwiazd stałych. Ten sposób rozumowania, przedstawiający w kwestiach poszczególnych wiele trudności, ma jednak tę jedną wielką wartość, że trzyma nas wciąż w atmosferze pojęć rozwojowych. I ziemia i słońce, wszystkie wreszcie systemy gwiazd i mgławice okazują się w tym świetle jako latorośla jednego jedyne go kosmicznego drzewa-olbrzyma, co rośnie wciąż i rośnie od lat milionów. Hipoteza zaś o pierwotnym rozżarzonem stanie ziemi jest jednym z logicznych wniosków tego poglądu, i jeżeli całość wydaje się, z ogólnych logicznych zasad wychodząc, prawdopodobną, to wniosek ten znowu znajduje przy tym nowe dla siebie poparcie.

I takich motywów jest więcej. Jeżeli zespolicimy

je wszystkie, zauważysz zapewne, że każdy z nich poszczególne wzięty nie mógłby wprawdzie wystarczyć na poparcie hipotezy o praziemi, płonącej, niby słońce; natomiast wzięte razem wszystkie wystarczają, ażeby tymczasem przynajmniej nadać możliwie najlepsze zarysy czerwonej mgły, która zwykła unosić się ponad taką prafantasmagorją.

A więc w ogólnym rozwoju wszechrzeczy fantazją naszą sięgamy o wiele dalej wstecz poza owo pierwotne wybrzeże, przez bakterje zamieszkałe. Dopiero owo pierwotne tworzenie się systemów, odrzucanie pierścieni, kosmiczne zgęszczanie i stygnięcie stanowią kres, poza którym fantazja nasza pada omdlała w objęcia zupełnie czegoś niepojętego, w objęcia misterjum. W zakresie zaś tych krańcowych momentów rozwojowych rozpoczyna się natychmiast poza owym pierwotnym wybrzeżem bakteryjnym żar czerwony kuli ziemskiej, który zdaje się zakreślać już cel bakterjom, życiu, miłości...

Jeszcze raz dobrze sobie uprzytomnij: w pierwotnej bakterji tkwi już człowiek, najstarszy człowiek, w tym sensie, że łańcuch tworzenia, ulegający zmianom przez rozwój, zachowuje nieprzerwaną ciągłość wewnętrzną. Od człowieka do bakterji ciągnie się mocna, nigdzie niezrywana nić nieśmiertelności przez miłość.

Ale co dalej? Skąd wzięły się pierwsze bakterje w okresie przejściowym pomiędzy rozżarzoną do czerwieni a ostygłą ziemią?

Przyrodnik nagłym cięciem urywa całą kwestję. Wszystko, począwszy od bakterji z czasów przedkambryjnych aż do człowieka dzisiejszego, biegnie wzdłuż złotej liny przeznaczeniowej, której imię jest: rozrządzenie się. Pierwsza zaś bakterja miała powstać—przez samorództwo.

Jest to pojęcie najzupełniej odrębne. Rozważania nasze, które miały za punkt wyjścia wielki obraz rozradzania się płciowego u dzisiejszego żywego człowieka i zeszyły potem w szyb prawników minionych, szukając najgłębszego, filozoficznego sensu tego zjawiska, muszą tu przez chwilę się zatrzymać.

Samorództwo!

Jeżeli zajrzysz do zwykłego podręcznika i odszukasz rozdział p. t. „Rozmnażanie“, to przeważnie napotkasz dwojakie określenie. Nasamprzód znajdziesz o zwykłym rozmnażaniu się, t. j. o tym, któremu sam zawdzięczasz swoje istnienie, a pozatym spotkasz się z wyrazem „samorództwo“. Zazwyczaj rozdział taki opatrzony bywa uwagą, że samorództwo nigdy przez oko ludzkie nie było spostrzegane, że więc w istocie nigdy się nie zdarza. Atoli odpowiednio do swego zabarwienia darwinistycznego zastrzega się taka książka otwarciem lub oględnie w tym sensie, że samorództwo musiało jednak kiedyś przynajmniej istnieć, biorąc rzecz ze stanowiska historycznego, mianowicie na początku wszelakiego życia wogóle.

Kiedy czytam taki rozdział, brzęczy mi cicho w uszach znakomita odpowiedź Kandydata Jobsa:

Z dwóch części dobre składa się kazanie:
Pierwszej — nikt nigdy nie pochwyci wążku,
Drugą — kiep pojmie z samego początku.

Zaprawdę, samorództwo stanowi najbardziej zawiły rozdział w całej filozofji rozradzania się.

Podręcznik słusznie twierdzi: nie było ono dotąd nigdzie spostrzegane. W czasach starego Arystotelesa stwierdzano jeszcze z zadowoleniem, jak myszy i pchły rozwijały się z ekskrementów.

„Robaki“ w serze powstały rzeczywiście samorodnie z sera samego. I jeszcze aż do naszego stulecia, właściwie aż do czasów niedawno zmarłego Leukarta, trwał pogląd, jakoby tasiemiec w ciele stanowił sierocy wytwór własnych swoich trzewi. Wszystko to uznane zostało dzisiaj za nonsens: mysz w twej podłodze oraz pchła w twoim łóżku, robak w odleżałym serze limburskim, jako też tasiemiec twoich trzewi, zrodzone zostały według tych samych praw, jak i wszystkie wyższe zwierzęta. Istnienie ich na wiel-

kim drzewie życia zależy niezbitcie od ciągłego, nieprzerwanego rozmnażania się. Ale i tam, gdzie podejmowano ściśle naukowe poszukiwania nawet nad najniższymi tworam, nad dzisiejszą bakterją — wszystkie doświadczenia pozostały bezowocne. I jedno z dwojga przypuścić wobec tego należy: albo w istocie nigdzie dziś niema samoródtwa, albo też środki nasze są zbyt słabe, aby je wykryć.

Jeden tylko uczynić należy wyjątek — dla owego „pierwszego razu“, dla pierwszych bakterji na ziemi. Dla tych bakterji przyjąć należy coś, co odróżniałoby je zasadniczo od wszystkich ich potomków aż do ciebie włącznie. Ujawniały one wprawdzie akty miłości w sensie najzwyczajszego rozmnażania się, atoli same na sobie nie doświadczyły żadnych.

Zdaje się, że w istocie tutaj dotarliśmy do miejsca „powstania miłości“. Wyobraź sobie — o szczegóły w tych starych historjach niewiele wszak chodzi — wyobraź sobie, jak na pograniczu morza, powietrza i ziemi, na wybrzeżu morskim chociażby, powstał z „martwej“, materji, z jakiejś nieorganicznej mieszaniny pierwszy bacylus. Chwila jego powstania byłaby również chwilą narodzenia się miłości, jako jednej z tych wszystkich cech, z którymi na świat przyszedł. Dlaczego, mówiąc ściśle, mógł to być tylko jeden jedyny bacylus i jak dzięki niezwykłemu procesowi, t. zw. dzieleniu się samoistnemu, mógł on stworzyć sam swoją Ewę — o tym opowiem ci zaraz coś więcej. W każdym razie ten pierwszy bacylus był Adamem życia — oraz Afrodytą.

Jest to więcej, niż żart, jeżeli wspominasz tu o starym micie, według którego Afrodyta łaską błogosławionej chwili wyszła z piany w swej nagiej piękności kobiecej...

Zaprawdę, wielka to droga od surowej masy materji życiowej jednej „komórki“, którą wyobraża

tak pierwotny bacylus, aż do skończenie wspaniałego, nagiego ciała kobiecego, które miłość najwyższą opromienia pięknnością. Aliści w ostatecznym rezultacie droga ta zrozumiała się staje sama przez się przez ową zdolność miłości, ów dar miłości.

Bakterja stwarza niezliczone potomstwo, na które bezustannie działają warunki zewnętrzne i wewnętrzne, aż dopóki w łańcuchu mirjadów z miłości spłodzonych indywiduów nie powstała z bezkształtnego tworu Afrodyta, t. j. idealnie piękna, naga postać kobieca. Mit zbliża to wszystko nieco i wyprowadza wprost Afrodytę, jako taką, z piany. Przyrodnikowi potrzeba jeszcze do tego kilku milionów lat i szeregu uciesznych postaci zwierzęcych, w które wcielały się ogniwa życia wzwyż aż do człowieka, przez miłość zrodzone, a więc: jamochłony, robaki, ryby, płazy, dziobaki, workowate, wreszcie małpy i małpoludy. W zasadzie jednak nie ma to wielkiego znaczenia. W każdym razie wydaje się, że miłość powstała ongi z ładu, w jakiś święty dzień przeszłości białej, pozbawionej wszystkich barw ziemskich, jakie znamy.

Uczyni krok jeszcze na drodze, którą prowadzi cię ta myśl, i oto dotrzesz do miejsca, gdziebym cię chciał widzieć. W królestwie baśni starogreckich powstała Afrodyta w pianie przez akt jakiś mistyczny. Gieja, bogini ziemi, płodzi Uranosa, twórczą potęgę nieba. Uranos płodzi z własną matką swoją Tytanów. Tytan Kronos pozbawia ojca męskości i ciska jego członek rozrodczy do oceanu; ten pogrąża się w srebrnopiennej fali, i z tej piany wylania się Afrodyta. Bogowie i mistyka...

Teraz rozważ, dlaczego społeczny przyrodnik stworzył hipotezę samoródtwa, które istnieć musiało na owej granicy życia, w owym okresie czerwonego żaru, którym zionęła kiedyś ziemia.

W ściśle naukowej formie powstała owa hipoteza w naszym stuleciu stopniowo, jako na darwinizmie oparta hipoteza, sprzeciwiająca się twierdzeniu,

które żadną miarą nie wypływało z badania i myślenia naukowego, ale, przeciwnie, związane było z pewną mistyką i niewzruszenie trwałą tradycją.

Zespolone z dogmatyką religijną, tułało się ono przez długi czas jakby bezdomnie, kiedy nagle w samej geologii naukowej ujrzało dla siebie deskę ratunkową. Nasamprzód była ziemia w ogniu — nie było możliwości istnienia dla żywej materji na ziemi. Po tych zaś powstało już życie w dającej się ująć postaci. Więc filozofowie, którzy stali na gruncie pewnych dogmatów religijnych, wyprowadzali z tego wniosek, że w tym miejscu właśnie wmieszać się musiał jakiś „cud twórczy“. Pierwsza bakterja rzucona była ręką Boga dzięki jakiemuś aktowi mistycznemu. A jeżeli mówić tu z naszego stanowiska, to i miłość „stworzona została“ na owej granicy żaru, nieprzyśtępnego dla życia, i chłodu, w którym życie było już możliwe.

Jest coś tragicznego w tym, jak podobne teorie mistyczne w ciągu naszego stulecia szukają sobie miejsca w logice rozumu ludzkiego.

Nasamprzód trwała niewzruszenie tradycja: sześć dni stworzenia — literalnie sześć dni — i wszystko w ciągu tego czasu powstało: ziemia, światło, robactwo, kwiaty, ptaki niebieskie, Adam oraz Ewa z jego biodra — wszystko, jako boski akt twórczy, wszystko za jednym zamachem rzucone zostało w rzeczywistość z niepojętych mistycznych otchłani, jak na obrazie Michała Anioła.

Potym z wolna zbliża się nauka, wysysając soki z tej tradycji, pozbawiając ją sił, niby zły polip morski. Nie można było tak po prostu negować znacznej części geologii z jej olbrzymimi okresami czasu, z nieskończonemi epokami geologicznemi, które następowały po sobie, jak oddzielne akty tytanicznego dramatu społecznej estetyki, co odrzuca z uśmiechem wszystkie arystotelesowe „jedności“. A tymczasem

szmat darwinistycznego rozwoju również stawał się coraz większego uznania godnym.

„Stworzenie“, ten piękny poemat, co pod zaklęciem ciasnej dogmatyki zabłąkał się w dziedzinę „wiedzy“, beznadziejnie bił skrzydłami ponad huczącymi wodami geologicznych podziemi. Aż oto naraz jeszcze jeden jednak punkt, którego wody nie dosięgły — to w ciemnościach tonąca chwila pierwszego zjawienia się „życia“. Wszak tu przynajmniej jest już początek bezwzględny, bez wszelakiego rozwoju.

I oto umęczona trzepotaniem się myśl metafizyczna spoczęła na niezajętym miejscu mapy wszechświata, jak jeden z owych biednych motyli, co w oczach żeglarza lata odurzony pośród lin okrętowych, a żeglarz przygląda mu się z bolesnym spółczuciem i z myślą o tym, jak łatwo jego samego niełaska tego żywiołu zagnałaby mogła kędyś, w obce kraje... Jeżeli Bóg nie brał żadnego udziału w bólach, jakie towarzyszyły historii ziemi, to tu jednak ręka jego grała jakowąś rolę — tu, przed powstaniem pierwszej bakterji...

Aż oto wystąpiła energicznie hipoteza samoródtwa, wzbraniając i tej ostatniej pozycji mistycznym pojęciom o stworzeniu świata. Wymagała ona, ażeby i tu uznać zjawisko mechaniczne. Z mistycznego skarbca pojęć o świecie znasz zapewne piękną legendę o kamieniach, które przemówiły, skoro zamilkła głupota ludzka. Tak samo i tu: kiedy głos życia zdawał się odmawiać posłuszeństwa, wtedy niezmordowany badacz do życia powołał martwą materję: wyrzekł wyraz samoródtwo, t. j. wywiódł pierwsze przejawy życia wprost, bez spółudziału sił mistycznych, z nieożywionej, surowej materji nieorganicznej, która atoli siłą praw swoich wykazuje tendencję do rozwoju.

Musisz się dobrze przejąć treścią tego przeciwiństwa, ażeby pojąć zasadniczo, co znaczy właściwie i co z konieczności znaczyć może hipoteza samoródtwa. Ażeby uchylić ów mistyczny akt z jego gwał-

townością nieumotywowaną, musi ona sama od samego początku poddać się czarowi idei rozwoju. Samoródtwo w żadnym razie nie może wyobrazić skoku — musi ono być mostem.

Z chwilą, kiedy następuje dokładne porozumienie się co do tego punktu, teoria samoródtwa traci, według mego zdania, bardzo wiele cech czegoś nadzwyczajnego. Nabiera ona nieporównanie więcej ruchliwości, staje się dla dalszego myślenia bramą otwartą, zamiast być rygłem. A to jak najbardziej sprzyja rozwiązaniu naszego problemu miłości.

Zastanów się raz jeszcze jak najdokładniej nad tym, co powiem. Jeżeli mówię, że materia nieorganiczna, pozbawiona życia i życia obca, pewnego dnia nagle stała się bacylusem, żywą komórką, to jest to niewątpliwie skok. W takim zdefiniowaniu obie te rzeczy zasadniczo różnią się między sobą. Ja jednak ustanawiam pomiędzy nimi akt, który z jednej czyni drugą. Jest on bez wątpienia i pozostanie aktem gwałtu.

Atoli inaczej rzecz się przedstawia, jeżeli mówię, że bacylus „rozwinął się“ z materji nieorganicznej, która nie była jeszcze bacylusem. Tym samym z góry przypuszczam coś pokrewnego pomiędzy nimi. Materia nieorganiczna mogła stać się bacylusem, musiała więc mieć w sobie już warunki ku temu, zupełnie tak samo jak bacylus nie mógłby nigdy stać się człowiekiem, gdyby nie miał w sobie czegoś pokrewnego z człowiekiem, gdyby już nie posiadał w sobie czegoś, co mogło wzwyż do człowieka prowadzić. Twierdzenie nasze z jednej strony wywodzi bacylusa z materji nieorganicznej, według praw natury, z drugiej zaś z konieczności zakłada w tej materji pewne przepowiednie co do przyszłego istnienia bacylusa — a więc przepowiednie życia. Musiały już w materji nieorganicznej i sńieć pewne zarodki życia, ażeby mogło ono ujawnić się w tej formie, jaką wykazuje bacylus. Nie należy tego oczywiście rozumieć w tym sensie, jakoby bacylusy od wieków schowane były

w „masowej“ przyrodzie, jakby w zamknięciu; rozumieć to należy natomiast w sensie rozwoju, jako możliwość, zdolność do życia, która stosownie do warunków wzrosnąć mogła i rzeczywiście wzrasta.

Ażeby móc z materji nieorganicznej w jednej jakiejś chwili wywieść życie, np. zrozumieć zjawienie się pierwszej bakterji na ostygłej tylko co ziemi, musisz z konieczności wyobrazić sobie tę materję nieorganiczną jako jakieś wielkie, wszechobejmujące pojęcie ogólne, które z samego początku zawierało i dotąd zawiera w sobie również korzenie tego, co nazywamy organicznym lub żywym.

Co zaś do szczegółów, jakimi chciałbyś to sobie później ubarwić, możliwa jest w tym względzie ogromna różnorodność.

Dostępna nam przyroda nieorganiczna dzieli się, jak wiesz, na szereg stałych materji zasadniczych czyli elementów. Takim elementem jest złoto, ołów, tlen powietrza, wodór wody, sód w soli kuchennej, rtęć w twoim termometrze i t. d. Mógłbyś sobie przeto wyobrazić, że którykolwiek z tych elementów zasadniczych obdarzony został z dawien dawna specjalną właściwością życiową.

Dziwnym trafem oto w życiu i istnieniu wszystkich komórek, począwszy od bacylusa, a na tobie, jako na człowieku, skończywszy, we wszystkich tworach organicznych gra taką wyjątkową, ba, prawie zasadniczą rolę jeden element — węgiel. Więc mógłbyś wreszcie pomyśleć, że on to właśnie jest pierwszym źródłem życia.

Kiedy ziemia rozżarzona była do białości, jak Syryusz, i nie zawierała jeszcze w łonie swego straszego pieca chemicznych połączeń z elementami zasadniczymi, kiedy więc napewno nie było jeszcze na niej gęstawej masy komórkowej, żywego bacylusa, wtedy swobodnie płynący w tej rozżarzonej atmosferze czysty węgiel mógłby być uważany jako zapowiedzią brze-

mienne stadium rozwojowe „życia“, gdzie istniał już potencjalnie bacylus, tak samo jak później w bacylusie istniał człowiek. Skoro temperatura spadła i umożliwiła dostateczną liczbę połączeń chemicznych na ziemi, wtedy natychmiast część ziemskiego węgłorodu stała się komórką, bacylusem, „życiem“ w znaczeniu ściślejszym. Już ten bardzo niezłożony pogląd, któremu trudno odmówić słuszności na zasadzie danych nam nielicznych wprowadzie punktów oparcia, prowadzi cię jednak sam przez się o cały olbrzymi szmat dalej.

Zapewne węgloród różni się od innych elementów zasadniczych przyrody swymi zupełnie indywidualnymi, odrębnymi własnościami, a mimo to zaliczasz go do tych elementów, tak samo jak mrówkę i małą również doprowadzasz pod jedną rubrykę: „zwierzę“. Mrówka i zwierzę pod wielu względami są sobie bardzo dalekie, ale mimo to znajdują się one w pewnym stosunku pokrewieństwa ze względu na swe właściwości. Darwin mówi ci nawet wprost, że znajdują się one z sobą w stosunku ze względu na wspólne pochodzenie pierwotne, które łączy je historycznie, choć dziś obie stoją na dwóch dość oddalonych od siebie końcach wspólnego pnia genealogicznego. To samo zupełnie dzieje się z elementami: ze złotem, żelazem, siarką i węglorodem. O jednych mówimy, że są więcej ku sobie zbliżone, o innych znów, że stoją dalej od siebie. Zapewne, że mamy do czynienia z rozmaitym stopniem pokrewieństwa, jednak w ostatecznym rezultacie mają one wszystkie coś wspólnego.

Darwinistyczne idee rozwojowe, z oględnością krytyczną przeniesione w dziedzinę społecznej chemii, pozwalają ci zrozumieć, że i tu ogólnie systematyczne pokrewieństwo najprawdopodobniej nie jest niczym innym, jak pokrewieństwem w sensie rodowodu. Przypuścić można, że elementy dzisiejsze rozwinęły się dopiero wzajem z siebie w biegu historycznym.

Chemik spekulatywny doby dzisiejszej marzy tak samo prawie, jak dawny alchemik (tylko z tą różnicą, że mrzonki jego oparte są na myśleniu bardziej metodycznym!), azali te elementy, dzisiaj tak ściśle zróżnicowane, nie musiałyby po prostu przejść znowu inwolucji i spłynąć wszystkie wreszcie w jeden jedyny praelement, gdyby poddać je działaniu olbrzymio wysokiej temperatury?

I astronom, który w pewnych olbrzymich słońcach pośród nieba gwiazd stałych znajduje przy pomocy analizy spektralnej coraz mniej elementów, aż wreszcie owe zupełnie lotne mgławice zdają się być tylko obłokami z dwóch czy trzech elementów, — astronom ów duma nad tym, czy nie napotkalibyśmy tam jeszcze takich stanów pierwotnych, gdzie istniałoby tylko parę zasadniczych elementów zamiast wielu, które wykazują nasze słońce mniej rozżarzone oraz nasza ziemia ostygła.

Wobec tego trudno sobie wyobrazić, ażeby i twój węgloród z jego właściwością życiową mógł pozostać izolowanym ponad owoczesną do biała rozżarzoną ziemią i ponad słońcem; spływa on w nieskończony kosmiczny szlak rozwojowy elementów zasadniczych wogóle. Ginę również w głębokich otchłaniach tego wszystkiego odrębne właściwości węgliku z jego indywidualnością.

I oto łańcuch, co u szczytu swego miał bacylusa, tonie wreszcie we wszechświecie wraz ze ścisłym pierwotnym ograniczeniem do węgliku. Droga prostej konsekwencji tonie on wreszcie w ostatnim wielkim misterjum...

Mając ten cel na oku, możesz jednak z samego początku skierować rozmyślenia swoje na odmienne tory. Możesz bez specjalnego uwzględniania węgliku wziąć sobie za zupełnie ogólnikowy punkt wyjścia twierdzenie, że wszystka materja nieorganiczna z sa-

mego początku jest w pewnej mierze „ożywiona“. Dopiero pod zaklęciem pewnych okoliczności zewnętrznych wyłaniać się z niej mogą pewne postaci takiego życia. I oto jedną taką postać mamy przed sobą na naszej ostygłej planecie w łańcuchu istot żywych od bacylusa do człowieka, postać najbardziej odpowiadającą pod każdym względem danym tu warunkom przystosowania. Atoli ten widomy dla nas świat węglowodorowych komórek, istniejący na ziemi od chwili jej ostygnięcia, stanowi w samej rzeczy jeden tylko łańcuch rozwojowy z niezliczonego szeregu „możliwych“ wogóle.

Jeżeli pragniesz popuścić cugli fantazji swojej, to możesz sobie wyobrazić, że szereg, poczynający się od bacylusa, rozwinął się już z innych szeregów, odpowiednio inaczej przystosowanych, mianowicie nie do względnie chłodnych, ale do wyższych temperatur. W okresie, kiedy ziemia rozżarzona była jeszcze do czerwieni, mógłby istnieć już szereg istot żywych, oczywiście z takiej materji złożony, która wytrzymała takie gorąco, nie rozkładając się. I tak samo dalej wstecz. Całe nasze t. zw. „życie“ ze swą określoną materją komórkową byłoby w tym sensie tylko przystosowaniem się do pewnej temperatury, które powstało z innych przystosowań w taki sam organiczny sposób, jak np. w zakresie naszych istot żywych zwierzęta lądowe, jako nowe przystosowanie, rozwinęły się ze zwierząt wodnych.

Mysł ta sama przez się jest interesująca również ze względu na dające się z niej wyprowadzić wnioski co do przyszłości.

Kiedy powstały pierwsze bacylusy, było na ziemi najniezawodniej bardziej gorąco naogół, aniżeli dziś. W biegu lat milionów spadła zapewne temperatura do pewnego stopnia. I linja życia na ziemi coraz bardziej przystosowywała się do tego spadku temperatury.

Zjawiły się zwierzęta ciepłokrwiste ze swym silnym

uzbrojeniem przeciwko większemu zimnu. Wreszcie powstał człowiek, który wynalazł środek radykalny: sztuczne wytwarzanie ognia; człowiek, co dziś obojętnie znosi bezsłoneczną zimę podbiegunową. Azali człowiek ze swoim wynalazczym gienjuszem wyobraża nową a ostateczną postać przystosowania z przyrodą, postać, która pozwoli życiu rozwijać się wciąż dalej aż do epoki najsroźszego zimna? Ostygłą będzie wtedy nie tylko ziemia, co ongi uwożliwiło powstanie bacylusa, ale stygnięcie dotknie już i słońca i pograży tym samym ziemię w bezkresną zimę podbiegunową. Azali człowiek, uzbrojony w olbrzymie maszyny swoje, rozwiąże kiedy z łatwością problemat zimna przestrzeni wszechświatowych? Daleki jest człowiek od tego, ażeby w chwili przyszłego zlodowacenia świata przekształcić się z całą swoją kulturą w mumję lodowatą, jak to chętnie już dziś prorokują nasi trwożliwi prorocy.

Azali nie należy raczej przypuścić, że jako człowiek i dzięki swej kulturze stanie się niejako bacylusem nowej ery życia, która urąga kilkusetstopniowemu zimnu, jak ongi pierwszy bacylus urągał spadkowi temperatury od żaru czerwonego do czterdziestu kilku stopni ciepła?...

Ale to tylko zaznaczyliśmy mimochodem.

Najistotniejszym z tego wszystkiego powinno ci być przeświadczenie, że i to drugie rozumowanie prowadzi życie twoje w jej rozwoju domniemanym bez wszelkiej przerwy w otchłanne przestrzenie gwiazdziste i zarazem odsuwa problemat życia w sferę nieujętych dotąd ostatecznych przyczyn wszechrzeczy.

Zdolność wszytkiej materji do niewstrzymanego rozwoju życiowego staje się zupełnie naturalnie objawem zasadniczym materji i tym samym ginie w otchłaniach podstawowej tajemnicy, która otacza istotę tej materji wogóle. W tym sensie ta droga prowadzi zupełnie do tego samego celu, jak każda inna.

Jedna rzecz tylko pozostaje ci do rozważenia w obu możliwych tu rozmyślaniach, a jest to właśnie to, co naprowadzi nas właściwie znowu na nasz problemat miłości. Na chwilę tylko zboczyć musimy z prostej drogi.

Musi się z konieczności nasunąć pytanie, jakie z widomych objawów życiowych bacylusa zechcesz podciągnąć pod rubrykę owej ogólnej zdolności życiowej całej materji (albo, ściślej mówiąc, węgłorodu), a jakie z nich pominiesz. W sensie praktycznym jest to właściwie najdrażliwsza w całej sprawie kwestja. Stosownie do tego, jakie wnioski uznasz za słuszne logicznie, wyciągnąć z nich możesz jak najdalejse konsekwencje. Azali „czucie“ stanowi tę podstawę, która już z góry zawarta być musi w możliwości rozwoju komórki, podstawę, któraby w takim razie miała gdzieś bezpośredni kontakt z materją nieorganiczną? Pytanie to dlatego zwłaszcza jest tak ważne, że czucia nie można sobie dobrze wyobrazić bez świadomości. Azali atom węgłorodu albo może każdy atom wogóle jakiegoś elementu posiada już czującą świadomość? A dalej, czy „pamięć“ jest zasadniczą właściwością materji?

Rozumiesz, że sprawy stają się teraz coraz zawilsze. Wkraczamy w dziedzinę „duszy“. Czy będziesz rozumiał przez „duszę“ tylko wytwór materji; czy będziesz uważał ją w myśl teorii paralelizmu za zjawisko, odwiecznie towarzyszące pewnym sprawom fizycznym, czy też wreszcie całą pozorną różnicę pomiędzy duchowym a mechanicznym złożysz po prostu na karb sposobu naszego spostrzegania, przy którym jedna i ta sama rzecz dwojako może się nam przedstawiać — jakkolwiekbydź, psychiczne cechy życia wraz z mechanicznymi ześlizgują ci się pod palcami w świat nieorganiczny. Ażeby nie wpaść w rozumowania zbyt dalekonośne, ograniczymy naszą

kwestję jak najściślej. I rozradzanie się, miłość należą również do zasadniczych przejawów życia już u bacylusa. I oto powstaje pytanie: azali powinniśmy odsunąć jeszcze te objawy wstecz poza bacylusa, w świat nieorganiczny? Inaczej mówiąc, a raczej używając poprzedniego naszego zwrotu symbolicznego, zapytamy: jeżeli Adam tonie w pramisterjum wszechrzeczy nieskończenie daleko poza bacylusem i całym ziemskim rozgraniczaniem pomiędzy organicznym a nieorganicznym, czy wtedy i Afrodyta sięga pochodzeniem swym tak daleko wstecz?

Wydaje mi się, że doprowadziłem cię w całym tym długim rozumowaniu do takiego punktu, na którym przyznać musisz, że jest to możliwe. Zresztą jednak jesteśmy tu otoczeni mgłą, w której z konieczności ustać muszą odpowiedzi bezpośrednie. Powstaje tylko pytanie, jaką moc nadać pragniesz jeszcze daley idącym analogjom. Od tego wszystko zależy.

W procesie rozradzania się spostrzegasz u istot żywych całą masę zjawisk. Najbardziej zasadnicze zjawisko dla rozradzania się ludzi poznałeś wyżej dokładnie; inne opiszę ci jeszcze w przyszłości. Dla pewnej liczby takich zjawisk można w dziedzinie t. zw. materji nieorganicznej znaleźć pewne podobieństwa i analogje.

Czy chodzi o istotę niżej czy wyżej stojącą na drabinie organizacyjnej, o bacylusa czy o człowieka— dla możliwości rozradzania się wszędzie zasadniczą np. kwestją jest istnienie indywiduum.

Ty jesteś takim indywiduum, żona twoja, twój syn; tak samo indywiduum stanowi oto wróbel, jak i jaszczurka. Wprawdzie po bliższym wejrzeniu w całą sprawę zwrócisz uwagę na to, że w świecie zwierzęcym i roślinnym pojęcie indywiduum nie daje się zawsze tak łatwo ująć; nie idzie za tym jednak, aże-

by z dobrą racją nie można było wygłosić twierdzenia, że cała historia miłości w zakresie istot żywych jest właściwie tylko urywkiem, rozdziałem z książki daleko obszerniejszej, z historii indywiduum, chociażby organizacja jego była najprostsza, chociażby był bacylusem, t. j. chociażby składał się tylko z jednej jedynej komórki w przeciwieństwie do ciebie, który składasz się z mirjadów komórek. Atoli musi istnieć indywiduum, ażeby procesowi rozradzania się nadać cechy logiczności: ażeby z jednego mogło powstać dwoje, musi przedewszystkim istnieć to jedno, jako takie. Już rozradzanie się bacylusów opierało się na istnieniu oddzielnych indywiduów. Co dotyczy ciebie, t. j. człowieka, to niezbędne są nawet, jako warunek aktu rozrodczego, dwa indywidua. Atoli przypuściwszy nawet, że potrzebna jest tylko matka sama dla zrodzenia dziecka, to przecz istnienie tego indywiduum, matki, jest już warunkiem koniecznym i niezbędnym.

Rzecz interesująca, że najoczywiściej już przed bacylusem w prostej „nieorganicznej“ przyrodzie rozpoczął się był proces tworzenia indywidualności. Przykład najjaskrawszy stanowi kryształ. Przyjrzyj się pięknemu złomowi kryształu górnego, albo podziwiaj śliczne kryształy śniegu, co osiadają w dzień zimowy na twym czarnym płaszczu. Atoli są jeszcze inne zwiastuny natury pokrewnej. Przez teleskop spostrzegasz w przestrzeni wszechświatowej cały łańcuch następujących po sobie faz indywidualizacji w królestwie gwiazd. Bezkształtna plama obłoczna rozpada się na gromadki gwiazd, gdzie słońce pobok słońca leży. Każde poszczególne słońce, jak się zdaje, rozpada się znów na planety, każda większa planeta—na księżycę. Jako rezultat, wyłania się nieskończony szereg ściśle wyodrębnionych indywiduów, które wprawdzie stanowią naogół systemy, atoli poszczególne każde stanowi zamkniętą w sobie „całość“ i samodzielnie dalej się rozwija. A ziemia, jako całość, jak jaskra-

wo zaznaczone indywiduum stanowi. Dalej, w dziedzinie chemji, która najwnikliwiej zagłębia się w badanie małej wewnętrznej istoty materji nieorganicznej, napotykasz znowu wszędzie małe i najmniejsze indywidualności pośród połączeń i elementów. Na ich grze wzajemnej i działaniu indywidualnym zbudowana jest istota chemji, i chemik w wyliczeniach swoich wywodzi ich istnienie jako konieczność logiczną nawet tam, gdzie ustaje wszelka możność widzenia. Już poszczególne minerały, a przedewszystkim elementy, mają w sobie coś indywidualnego; atoli poza temi wybitnemi różnicami gatunkowemi wyłaniają się dopiero, jako ostatnia instancja, zarówno w połączeniu chemicznym, jak i w elemencie, właściwe indywidua—cząsteczki i atomy, pomiędzy zaś nimi atom chemiczny wyobraża najbardziej wyodrębnioną i najtrwalszą postać indywidualizacji w całym świecie materialnym, jaką tylko możemy sobie wyobrazić.

Zwróć uwagę na inny fakt.

Zasadniczym przejawem rozradzania się jest podział indywiduum w celu stworzenia istoty nowej. Od ciebie oddzielają się ciała nasienne, od kobiety — komórki jajowe. Z obu tych elementów połączonych powstaje człowiek. U niższych zwierząt podział często jest o wiele radykalniejszy: zamiast oddzielania się drobnutkiej tylko cząstki, całe rodzicielskie indywiduum rozpada się na dwa kawały i więcej, a następuje to wyraźnie po osiągnięciu pewnego wzrostu. Bacylus odżywia się i rośnie aż do pewnego stopnia, aż nagle ma się to wrażenie, jak gdyby nowa jakaś i odrębna siła naturalna obejmowała go w swoje panowanie. Dotąd jakaś siła naturalna trzymała go społem, jako indywiduum, i powiększaniu się jego z początku nic nie przeszkadzało; siła ta zdawała się odpowiadać stopniowemu powiększaniu się. Ale kiedy wzrost przekracza pewną granicę, wyłania się nagle

owa inna siła, rozrywa po prostu indywiduum, i ono rozpada się na dwie części—na dwa nowe indywidua. A wtedy mówimy po prostu, nie znając bliżej istoty czynnych przy tym sił, że indywiduum rozplodziło się. Z tobą nawet w zasadzie nie dzieje się nic innego, niż z bacylusem. Rośniesz od dziecka, zrazu tylko jako pojedynczy człowiek, jako indywiduum, jako „ty“. Ale odżywasz się dobrze, rośniesz wciąż, pewnego dnia stajesz się młodzieńcem—i nagle zbytek twego pożywienia nie idzie już wprost bez przerwy na twój wzrost, na rozwój zarostu i t. p., ale w rezerwarze twego narządu płciowego odpadają od ciebie liczne ciała nasienne, które wszystkimi drogami dążą do ucieczki od ciebie, od twego indywiduum, ażeby znaleźć każde dla siebie komórkę jajową kobiecą, wspólną z którą mogłyby stworzyć nowe indywiduum, nowego, od ciebie niezależnego człowieka.

A teraz obok tego przyjrzyj się nad wyraz prostemu nieorganicznemu zjawisku. Oto wisi kropla sklepienia pieczary. Przesiąkła ona przez szparę w kamiennym suficie i oto dzięki działaniu pewnej siły naturalnej utrzymuje się w równowadze.

Wisząc tak, wyobrażać może przez krótką chwilę indywiduum zamknięte w sobie. Przez szparę w dalszym ciągu sączy się woda. Przez pewien czas kropla nasza spokojnie wchłania ją w siebie i przetwarza na część składową swojej indywidualności. Oczywiście, że przytym rośnie. Siła naturalna, która ją utrzymuje, zdaje się jednak zrazu dotrzymywać kroku temu wzrostowi i działa tak samo, jak poprzednio. Atoli rośnie ona szybko bardzo — i wogóle wszystko się kończy wreszcie. Kropla, bez przerwy odżywiana, staje się za „ciężką“. Olbrzymia siła przyciągająca ziemi, siła, co działa w górę z dna pieczary, przemaga tamtą względnie słabą siłą naturalną, która trzymała dotąd kroplę u sklepienia kamiennego. Za jednym zamachem kropla nagle się rozpada na dwoje—tylko mała resztką pozostaje wierna dawnemu miejscu u góry, część zaś

oderwana z pluskiem spada. Górna resztką kropli uzupełnia się, rosnąc odnowa dzięki odżywianiu się przez szparę w suficie, ta zaś u dołu tworzy nową kroplę, i oto mamy zamiast jednego — dwa indywidua. Czyż nie jest to analogja? Uczynisz zarzut, że tu chodzi po prostu o siłę ciężenia, podczas gdy tam w procesie rozradzania się czynne są zupełnie inne, z wewnątrz działające siły. Oczywiście, przez myśl mi nie przejdzie twierdzić, że bacylus, który się dzieli, lub ty, kiedy wydzielasz z siebie ciała nasienne, zmuszeni jesteście do tego przez zwykłą siłę ciężenia. Atoli nie chodzi tu zupełnie o rodzaj sił; chodzi o analogję całego zjawiska; chodzi o to, ażebyś pojął, że i w świecie nieorganicznym wydaje się zupełnie zrozumiałym podział, jako skutek nadmiernego wzrostu.

A oto trzecia kategoria.

Cała dziedzina rozradzania się przesiąknięta jest, jak sam to widzisz, zjawiskami, które w języku duszy zwiesz sympatją. Wszystka „miłość“ w znaczeniu ściślejszym tu należy. Mężczyzna i kobieta szukają siebie wzajem, czują ku sobie zdecydowaną sympatję, i wreszcie rozpłomięcia się w nich miłość, pełna tęsknoty i pożądania: czują się wzajemnie ku sobie pociąganiem... W ostatnim wyrazie tkwi już po prostu owo słowo mechaniczne, używane w świecie nieorganicznym zamiast pojęcia sympatji—przyciąganie.

Wprawdzie to przyciąganie często odbywa się na drodze dość skomplikowanej, działa nie bezpośrednio, a przy pomocy narządów zmysłowych, i ustrój nerwowy wymaga często pośrednictwa wrażeń wzrokowych, a przedewszystkim prawdopodobnie słuchowych; wszakże w istocie samej, w jądrze rzeczy pozostaje „przyciąganie“.

Przypomnij sobie przedewszystkim owo „zjawisko pierwotne“, które wzięliśmy byli za punkt wyjścia:

jak komórka nasienna podczas ludzkiego aktu płciowego przedostaje się do komórki jajowej. Być może, iż w tym końcowym i zasadniczym akcie miłości droga prowadzi jeszcze przez działanie jakiegoś zmysłowego. Za takim przypuszczeniem przemawia wiele, w każdym razie tutaj niewątpliwie chodzi o wrażenie węchowe, jakie dojrzała i gotowa komórka jajowa i jej jądro wywierają na ciało nasienne. Już napewno trudno zaprzeczyć, że całe to dyskretne zjawisko wykazuje rozpaczliwe podobieństwo do pewnych postaci zwykłego, ogólnie w świecie nieorganicznym znanego przyciągania.

Sumienni i nazbyt już może krytyczni badacze tego aktu nad jajami zwierzęcymi nie zawahali się zestawić go z „przyciąganiem elektrycznym“. W jajach t. zw. ogórków morskich (zwierzątek, pokrewnych rosgwiazdom i jeżom morskim) wykazano pod drobnowidzem takie atakowanie jaja przez ciało nasienne, dalej ich odskakiwanie, podobne atakowanie i przyklepanie się, słowem, taką zmienną grę, że po prostu narzucało się badaczom jej podobieństwo do skoków ciałek w przewodniku maszyny elektrycznej, naprzemian to przyciąganych, to znów odpychanych.

Podobny szal spostrzegany bywał również w jajach roślinnych, np. u znanego porostu, który znajdujesz wszędzie na północnym wybrzeżu morskim. Tu ciała nasienne przypuszczają do tego stopnia gwałtowny atak (zważ tylko: dzieje się to u rośliny!), że cała kula jajowa, względnie olbrzymia i mało ruchoma, zaczyna kręcić się od uderzeń dookoła swej osi.

A teraz przypomnij sobie, jak wszędzie pełno jest w tak zwanej nieorganicznej, „martwej“ naturze bezpośrednich sił przyciągających, które zdają się po prostu działać pomiędzy jednym ciałem a drugim.

Ciążenie, przystawanie, przyciąganie magnetyczne i elektryczne, powinowactwo chemiczne, — cały świat mechaniczny, jak go widzimy, opiera się właściwie na tych siłach przyciągania.

Naturalnie, że i tu wmówiłbym ci nie chciał, ażebyś utożsamiał po prostu pociąg erotyczny z tą lub inną postacią ogólnego przyciągania materialnego. Od długiego czasu dowolne identyfikowanie miłości z magnetyzmem np. wytwarza dosyć zamieszania w świecie, w którym myśli się tylko przez pół lub przez ćwierć, a dotąd nie poprowadziło nawet o cal naprzód. I ciążenie i miłość są to również zjawiska tak różne, jak tylko różnić się mogą pomiędzy sobą dwie rzeczy we wszechświecie. Jeślibyś z okna wypadł, wzięłaby cię siła ciążenia w swe straszne szpony bez względu na to, czy zmysły twoje są silnie zamrozone, czy jesteś głuchy, ślepy i nieczuły, czy też zachowałeś całkowitą wprawność wszystkich zmysłów. Chwyta cię ta siła, stosując się do rzeczywistej masy twego ciała, a nie bacząc zresztą na nic innego. Popęd miłosny natomiast właśnie zmysłów twoich potrzebuje, nie troszcząc się ani przez chwilę o stosunki grawitacyjne. Więc mieszać tego wszystkiego w żadnym razie nie powinieneś.

A jednak i tu ostaje się zasadnicza analogja: rozradzanie się, miłość posługują się takimi środkami, wyzwalają takie siły, które w naturze naogół istnieją już wszędzie i w zasadzie tak samo regulują kompas twój na ziemi i twoje własne stanowisko w systemie słonecznym, jak rządzą losem ciałek nasiennych.

Samo przyciąganie prowadzi cię zaraz w tę dziedzinę, która od czasu wspaniałej poezji Goethego stanowi grunt klasyczny dla swobodnych analogji pomiędzy zjawiskami erotycznymi a nieorganicznymi—w dziedzinę chemicznego powinowactwa z wyboru. Wprawdzie i tu wtedy dopiero analogja staje się przejrzystą, jeżeli tymczasowo pominiesz jeszcze najzawilsze problemy duchowego życia człowieka i pozostaniesz znowu przy komórce jajowej i ciałku nasiennym.

Nasienie, jako przedstawiciel męskiego indywiduum, obarczony, rzecz prosta, trwałym po nim dzie-

dzictwem, a więc sam w pewnej mierze uprawniony do tytułu zupełnie określonej indywidualności, natotyka jaje, które jest w identycznym położeniu, z tą jedyną różnicą, że wyobraża sobie indywiduum odmiennego, żeńskiego rodzaju. Następuje akt zapłodnienia, i oboje zlewają się z sobą. Powstaje oto nowe, trzecie indywiduum, które, czymkolwiek będzie samo, mężczyzną czy kobietą, posiada coś po ojcu i po matce, ale jest jednak czymś trzecim, samodzielny i nowym i tak jednolitym, że większą jednolitość trudno sobie wyobrazić.

A teraz połącz z sobą w przyjaznych warunkach pewne elementy chemiczne. Według prawa zupełnie ścisłego atom zderza się z atomem, i jako rezultat powstaje również absolutnie nowe, trzecie ciało, które nie jest już więcej ani jednym, ani drugim. Wodór, który w naszej przeciętnej temperaturze jest gazem, łączy się z tlenem, również gazem, i obydwie te gazy tworzą wodę, jako rezultat zespolenia swego, płynną, pod każdym względem odmienną.

Podobnych analogji jest więcej jeszcze. Dziwne prawa rządzą połączeniem się nasienia z jajem. Nie możesz stworzyć człowieka przy pomocy nasienia samego; wszędzie, gdzie istnieje płciowe rozmnażanie się, potrzebna jest do tego jeszcze indywidualnie różna od nasienia komórka jajowa. Atoli różnica ta pomiędzy jajem a nasieniem znów ściśle jest ograniczona. Próżny będzie twój trud, jeżeli swe własne żywe ciało nasienne, gotowe do miłosnego związku, zetkniesz z komórką jajową jeża morskiego. Nasienie jeża przypuści do niej atak szalony, obce zaś nasienie pozostanie bezczynne, nie tknie jej po prostu, i żaden akt rozrodczy nie może wtedy dojść do skutku. Panuje tu istotne „powinowactwo z wyboru“, które rządzi grą miłosną w ramach zupełnie określonych praw. I zupełnie tak samo dzieje się z elementarnymi atomami. I tu nie istnieje ślepy związek każdego z każdym, i tu panuje zacięty dobór nadających się part-

nerów, i tu z pomiędzy wielu dobierają się tylko pewne atomy, i tu mamy przed sobą wspaniałą grę tajemniczego powinowactwa z wyboru.

Atoli znowu i tutaj w dziedzinie tego powinowactwa analogja oczywiście nie jest identycznością. Organiczny proces miłosny, sprowadzony nawet do pierwotnej postaci miłości dwu komórek: nasiennej i jajowej — jak wszystko, co organiczne — czyni wrażenie czegoś nieskończonego i wysubtelnionego, z czym gra atomów w żadnym razie iść nie może w porównanie. I jeżeli mówisz nawet „o miłości i nienawiści atomów“, to tym samym nie utożsamiasz tych dwóch zjawisk.

Ze stanowiska pewnych przesłanek logicznych nie można przecież temu zwrotowi nic poważnego zarzucić. Mówiłem już, że przesłanki życia zapadają wszędzie tuż przed nami w świat nieorganiczny, a wraz i psyche i pierwiastek duchowy sięgają poza bacylusa wstecz, w świat nieorganiczny.

Jeżeli mówisz o nienawiści i miłości atomów, to popełniasz w sensie odwrotnym ten sam błąd, jak gdybyś w stosunku do nasienia i komórki jajowej mówił o „przyciąganiu“, a więc o pojęciu pierwotnie czysto mechanicznym. Kiedy mówisz o nasieniu i komórce jajowej, wtedy najbliższym ci jest samo przez się duchowe ujęcie całej sprawy z rozkoszą zmysłową i jej odczuwaniem, widzisz bowiem, jak z takiej zapłodnionej komórki jajowej wyłania się człowiek, i wiesz, żeś sam z takiej komórki powstał. W chemicznym zaś powinowactwie z wyboru najbardziej nadaje się zrazu pogląd mechaniczny, którego wyrazem na wzór jakiejś siły ciężenia lub siły magnetycznej jest „przyciąganie“.

Atoli żadna istotna racja logiczna nie może ci przeszkodzić odwrócić te poszczególne komentarze albo przynajmniej rozszerzyć je w sensie duchowym dla atomów. Ze w organicznym rozmnażaniu się zachodzą również zjawiska psychiczne, to wszak nie jest

twoim bezpośrednim spostrzeżeniem, a tylko wnioskiem logicznym. Wnosisz na zasadzie siebie samego, jak zresztą wogóle przypuszczenie istnienia innych dusz poza twoją własną jest tylko takim wnioskiem, nie zaś spostrzeżeniem: u spółbraci twoich, z którymi wiążą cię jak najzażywsze stosunki, nigdy zmysłami nie spostrzegasz duszy, jeno działanie mechaniczne, które dopiero później na zasadzie wniosku, opartego na analogji, uduchawiasz według własnego wzoru w tym porządku i rodzaju. Jeżeli pod ostatnim względem powinowactwa z wyboru organiczne i chemiczne znakomicie sobie odpowiadają i jeżeli zresztą nie masz żadnych skrupułów z przeniesieniem pojęcia duszy poza świat organiczny, możesz również ze spokojem stosować swój wniosek i do atomu i zamiast przyciągania i odpychania mówić o miłości i nienawiści.

Nie idzie za tym jednak, ażebyś właściwą treść tych zjawisk już zupełnie utożsamiał. Azali nie widzisz tej przepaści, jaka dzieli ciebie, człowieka z jego obejmującą wszechświat psychiką, od bacylusa, mimo że obydwaj wykonywacie zjawiska prawdziwie duchowe? Jakaż istnieć może otchłań różnicy (kto wie, czy nie bardziej jeszcze olbrzymia, niż poprzednia) pomiędzy aktem miłosnym dwu komórek organicznych, z których każda odpowiada np. bacylusowi, a „miłością“ pomiędzy parą atomów tlenu i wodoru w akcie chemicznego zespalania się!

A więc po raz ostatni powtarzamy: nie oczekujemy identyczności ani jej nie znajdujemy. Nie wymagamy, ażeby bacylus, ten etap rozwojowy przyrody o zupełnie skończonej organizacji, albo komórka jajowa, jako taka, zawarte już były w atomie. Stosunku takiego nie należy się zgoła dopatrywać, podobnie jak w bacylusie i komórce jajowej nie można przypuszczać istnienia człowieka, jako homunkulusa, którego dojrzeć będzie można kiedyś przez szkła powiększające. W świecie nieorganicznym szuka tylko podstawy, w której widzimy, jako siłę, zawiązek tego,

co w bacylusie i dalszych jego etapach rozwojowych przyjęło pewną, prawdopodobnie raz jeden tylko powstałą postać przystosowywania się.

I to właśnie, jak sądzę, wykazały ci analogie, brane wszystkie *cum grano salis* (z zastrzeżeniem). Wydaje się, jakoby wszystkie poszczególne pierwiastki pojęcia miłości, rozmnażania się, snowały się już wszędzie w świecie nieorganicznym.

Bacylus i jego potomność wzwyż aż do człowieka zogniskowały je tylko w sobie — że powtórzę tu raz już użyte obrazowe przedstawienie rzeczy — jak w soczewce.

Możemy w tym miejscu spokojnie opuścić pojęcie samoródtwa.

I Afrodyta spływa w miarę możności w nieskończony błękit kosmicznego rozwoju ogólnego, staje się elementem, atomem, gwiazdą, praszubstancją — ostatecznym wreszcie misterjum...

Błąkaliśmy się po drogach mlecznych, na kresach ciemnych otchłani przyrody. „Wtedy był świat, jako głębokie wód przezrocze, na nim zaś błyszczały roje świetlnych wysp“. W otchłannym błękanie tej głębi wodnej kona w blasku drugi koniec wielkiej tęczy miłości. Najśmielszy nurek myśli nie zdoła go tam dosięgnąć.

Atoli wzrok twój spostrzega i teraz jeszcze w górze, pod różnobarwnym łukiem tęczowym, szereg postaci, niezliczony, przeciągający przed tobą tłum — to widome postaci miłości, począwszy od zaczątków życia na ziemi aż do ciebie. Mirjady dziwacznych stworów rojami unoszą się w powietrzu, jak muchy jednodiowe, tłoczą się, jak ryby w oceanie, coraz wyżej i wyżej poprzez lat miliony, wzdłuż brzęczącego łańcucha których toczy się historia ziemi od bacylusa do człowieka. Fantasmagorja potężnieje i staje się wizją dantejską. Piekło, czyściec i raj.

Była wówczas ziemia i zamieszkała też była w dzisiejszym znaczeniu tego wyrazu. Powstały wtedy pierwsze postaci życia tego samego rodzaju, do którego my sami kiedyś mieliśmy należeć. A wraz z nimi zjawiała się miłość w ściślejszym, wyższym znaczeniu tego wyrazu...

W tym miejscu podejmę znowu przerwane opowiadanie.

Pamiętasz, że nasz punkt wyjścia, ów kamień graniczny, na którym igrały różnolite barwy jednego końca tęczy — to był twój własny akt zapładniania. Z ciebie, jako z mężczyzny, wyzwała się jedna jedyna komórka — ciałko nasienne — i łączy się z jajkiem, z komórką kobiecą, w ten sam sposób wyzwoloną. Ze związku tych obu komórek powstaje nowy człowiek. Atoli w zaraniu życia ziemskiego, w pradawnej przeszłości, na długo jeszcze przed owym kresowym wybrzeżem kambryjskim, nie było ani mężczyzny, ani kobiety, nie było ani męskiego nasienia, ani kobiecego jajka. Natomiast były stwory, z których kiedyś, w nieskończonym łańcuchu rozwojowym, ludzie powstać mieli.

Te stwory były tak proste, jak tylko można sobie to wyobrazić. Każdy z nich stanowił jedną jedyną żywą komórkę, zupełnie tak samo, jak każde twoje ciałko nasienne dziś jeszcze jedną komórkę stanowi, jak każde jajko kobiece nie jest niczym więcej, jak komórką pojedynczą. Akt miłosny pomiędzy ludźmi polega na tym, że obie te komórki pojedyncze zspalają się z sobą. Wszystek rozwój polega na nieskończonym łańcuchu aktów miłosnych — rozwój, poczynsz od bacylusa jednokomórkowego wzwyż aż do człowieka. Na czym więc polegał akt miłości owych pierwotnych jednokomórkowych istot na samym początku linii rozwojowej? Azali cała jednokomórkowa istota z owych czasów, podobna do dzisiejszego ciałka nasiennego, szukała drugiej takiej samej jednokomórkowej istoty oraz miłość swoją objawiała w ten spo-

sób, że stapiała się z nią w jedność, jak stapia się ciało nasienne z jajkiem?

Tu musisz przede wszystkim na jedno zwrócić uwagę.

Ten akt, który spostrzegasz u siebie samego, nie jest tylko aktem miłości, aktem zapłodnienia wogóle; jest już czymś więcej: jest aktem płciowym. Dwu płci potrzeba, ażeby się mógł dokonać: mężczyzny i kobiety; każde winno mieć specjalne narządy płciowe i substancje płciowe. Płci te, jako takie, spełniają akt płciowego zapłodnienia.

I nowa, wielka urosła dla ciebie kwestja. Azali miłość w sensie zapłodnienia, rozmnażania się, miłość, pojmowana jako podstawa nieśmiertelnego ostawiania się poprzez indywiduum, zaczęła się była w samym zaraniu życia na ziemi, mając dwie płci w swym rozporządzeniu i ujawniając się w prawdziwym akcie płciowym? Albo też już to było etapem w rozwoju nie tylko miłości wogóle, ale rozwoju w zakresie poznawalnej jeszcze pramiłości najelementarniejszych form życiowych na ziemi?

Zrozumiej mię dobrze. Dla obrazowości przypomnij sobie biblijną legiendę o stworzeniu świata. Bóg tworzy Adama z nieorganicznej bryły ziemi dzięki jakiemuś mistycznemu samoródtwu. Adam z kolei tworzy bezpłciowo z żebra swojego przy boskiej pomocy Ewę. Z Ewą łączy się dopiero sam dla płciowego zapłodnienia, i Ewa wydaje na świat prawdziwe dzieci, jak to codziennie bywa wśród ludzi. W tej legiendzie, jak widać, zapłodnienie płciowe jest dopiero ostatnim, trzecim stopniem. Gradacja jest taka: samoródtwo, potym zwykłe rozmnażanie się bez dwojga rodziców, coś w rodzaju pączkowania, wprost z ciała jednego jedyne indywiduum, wreszcie zapłodnienie płciowe pomiędzy mężczyzną a kobietą. Wprawdzie legienda przetwarza pierwsze i drugie na swój mistyczny sposób, ale to moglibyśmy pominąć. Wszak widziałeś, jak pojęcie samoródtwa bez mistycyzmu,

z czysto naukowego punktu widzenia, zrozumieć się daje, istotny zaś akt zapłodnienia jest nawet w biblji wszelkiego mistycznego pierwiastka pozbawiony. Dlaczegożby nie zastanowić się przez chwilę, zali nie byłoby można etap drugi przyjąć również jako symbol istotnego jakiegoś zjawiska pierwotnego, zupełnie bez mistycyzmu? Przecież w takiej starej legendzie ludów tkwić musi jednak pomimo wszystko pewna logika jako źródło doszukiwania się przyczyn, jeżeli już nie może być mowy o żadnej wiedzy społecznej. Nasz Adam—to pierwszy bacylus: jakiś prątwór jednokomórkowy, w którym istniał już jako pierwszy związek człowiek na równi z wszystkimi innymi późniejszymi stworzeniami. Azali ten pierwszy bacylus istotnie nie rozmnażał się nasamprzód na podobieństwo owego legendowego Adama bez płci podwójnej? Azali nasamprzód nie rozpadł się do pewnego stopnia samodzielnie na Adama i Ewę, t. j. na bacylusa męskiego i żeńskiego?

Dźwięczy w tym trochę nuta scholastycznej subtelności w rozumowaniu — nieprawdaż? A jednak jest to nie tak trudne do zrozumienia. Gdzie scholastyk, filozof-metafizyk lub ktoś wierzący, pochyleni nad tekstem starej książki, istotnie wszyscy wpaśćby musieli w bezpłodne rozstrząsanie i przeżuwanie szczegółów, tam badanie przyrody roztaczać przed tobą poczyna dziś cudowny problemat, który po zgłębieniu istoty samego aktu płciowego zapłodnienia wtóre pod względem powagi zajmuje miejsce w całym poemacie miłosnym.

Bajka...
Była sobie kiedyś we wszechświecie jedna gwiazda pękata. Astronomowie sąsiedniej okolicy świata obserwowali ją już od bardzo dawnego czasu i uważali nie za gwiazdę pojedynczą, ale za planetę w większym znajdującą się zespole. W prastarych legendach przetrwało u nich jeszcze podanie, że gwiazda ta była kiedyś jako krew czerwona i że przy pomocy analizy spektralnej można było stwierdzić u niej własne światło. Ale to musiało być już bardzo dawno. To słabe bardzo światło, które dziś z niej promieniuje, musi być niezawodnie tylko odbłaskiem jakiejś blizkiej, o wiele większej i jaśniejszej gwiazdy, dookoła której nasza gwiazda w ciągu roku raz jeden się obraca.

Na tej to gwiazdzie wyrosło pokolenie wesołych karzełków.

Nikt nie wiedział, skąd się wzięli. Czy spadli pewnego dnia z błękitnego nieba jako twarde, przez zimno utrwalone mumje, w których życie spało, jak pod zaklęciem hipnotycznym? Albo też może niektóre ostre i o twardych kantach kryształły górne ich szyby zrobiły się nagle miękkie i ruchome, i wyłonił się z nich istotni karzełkowie w spiczastych czapkach?

Tego już nikt nie wiedział; dość, że byli. Żyli oni każdy dla siebie, jak zjadliwi samotnicy; zajmowali się według upodobania polowaniem i połowem ryb i przy sposobności porządnie sobie wzajem dopiekali. Atoli najdziwniejsze było to, że wśród tego karlego plemienia nie było ani męskiego, ani żeńskiego rodzaju. Wszyscy byli sobie zupełnie równi, pomijając to, że jeden był, być może, grubszy i mocniejszy w ramieniu, niż drugi, albo że istniały pomiędzy nimi inne podobne małe różnice, które jednak nic spólnego nie miały z właściwościami samca lub samicy. A mimo to miewali oni dzieci—i to w sposób najdziwniejszy pod słońcem.

Znasz historję o złym karzełku, co w rozpaczę schwycił się jedną ręką za koniec brody, drugą zaś za duży palec u nogi i odważnie za jednym zamachem rozdarł siebie na dwie części? Otóż nasi karzełkowie byli właściwie wszyscy takimi desperatami, z tą tylko różnicą, że uprawiali to nie ze strachu samego i nie jako system, przydatny do unicestwienia siebie, a zrobili sobie z tego zwykły sport bez złych następstw. Jeżeli który z nich najadł się do syta i przybrał postać okrągłej kuli, a wzrost jego osiągnął pewnej miary, której przekroczenie w karlim świecie uważane było za nieprzyzwoite, wtedy — trzask! — rozłupał się po środku na dwoje, i oto leżały już dwie jego połowy.

Szczególne jednak w tym było jedno: nie odbywało się to zupełnie tak, jak gdyby ktoś z nas dostał się pod nóż rzeźniczy. Każda połowa pozostała przy życiu i dobrym zdrowiu, tak że po kilku dobrych biesiadach i szybkim wzroście stawała się znów proporcjonalnie zbudowanym karłem, który osiągał zupełnie tej samej wielkości, jak ten stary nierozdarty karzeł. I to właśnie nazywało się u nich, że rodziły się dzieci. — Właściwie strasznie głupie jest to wszystko, nieprawdaż?

Atoli odbywało się to w dalszym ciągu, a pokolenie karłów mnożyło się przytym, jako piasek nad brzegiem morza. Dopiero po długim okresie czasu popsuło się coś w całej sprawie, tak że przyszłość jej przedstawiać się poczęła trochę chwiejnie. A stało się to w ten sposób: Kiedy ów pierwszy karzeł rozdarł siebie, to pierwotnie głównym warunkiem było, ażeby obie części stanowiły dokładnie połowy. Tylko wtedy części te miały dostateczną siłę, ażeby osiągnąć w krótkim czasie zwykłych rozmiarów. Ale oto zdarzało się coraz częściej, że owe karły pod tym względem postępowały lekkomyślnie i niedbale. Czy dlatego, że niektórym wskutek złego odżywiania brakowało sił do rozdarcia się na dwoje, inne zaś rozwijały

w sobie nadmiar sił? — Dość, że akt rozpadania się na dwie części był naprzemian to niedostateczny, to znów nazbyt silny. Jedne karły rozdzierały siebie tak niedbale, że jedna część stanowiła około $\frac{3}{4}$ poprzedniego ciała, druga zaś zaledwie ćwiartkę. Oczywiście, w takim wypadku rozwój tej drugiej części pozostawał w tyle i musiał rozpaczliwe czynić wysiłki, ażeby dotrzeć do normalnej wielkości.

Aliści ta postać dzielenia się nie była jeszcze najgorsza. Jak to często bywa, bezmyślna a nadmierna gorliwość więcej jeszcze szkody przynosiła, niż niedbalstwo. Inne karły, które długi okres czasu tuczyły się mięsem egipskim, z chwilą nastania pory rozmnażania się zabrały się do tego z taką energją, że zamiast na dwie części dzieliły się zaraz na 4, 8, nawet 12 i wiele więcej młodych karzełków. Dzieci było zaprawdę dosyć, ale jednocześnie były one tak drobniutkie, takie karzełkowate, że nie starczyło już najsytniejszego pożywienia, ażeby dać im się rozwinąć do jakich takich przyzwoitych rozmiarów. Rzecz w istocie przedstawiała się marnie. W ostatnim przynajmniej wypadku groziło po prostu niebezpieczeństwo, że w całym pokoleniu karzełków, żyjących pośród najlepszych warunków zewnętrznych w kraju mlekiem i miodem płynącym, zaczęłyby coraz bardziej zmniejszać się wzrost, i wreszcie mogliby naprawdę wszyscy wymrzeć przy zastawionym bogato stole, pewna bowiem wielkość i siła stanowiły nieodzowny warunek rozmnażania się. Co było robić? — Pewnego dnia konieczność przyrodnicza nasunęła zabawne wyjście z tej sytuacji.

Oto był sobie taki dziesiątny ułamek karzełka, co już od pewnego czasu czynił rozpaczliwe wysiłki, ażeby przez obfite pożywienie wzmóc się na siłach. Biegał tu i ówdzie i wszędzie wszystko pożerał, ale wszystko to nie pomagało dość szybko. Nagle spotyka to porykujące lwiątko drugie tego samego pokroju, co i ono, takiego samego drobniutkiego karzełka,

pochodzącego z masowego podziału. Ten drugi jest w tym samym położeniu, co nasz przyjaciel; i on marzy o jakimś pysznym kęsie, który odrazu siłąby natchnął jego małe nóżki, ale nie znajduje nic podobnego. Obaj oni oglądają się wzajem, i każdy, zda się, myśli sobie: oto byłby dla ciebie dobry kąsek. I w istocie, oto napadają na siebie, teraz biorą się za bary. Zdaje ci się, że wszak jeden z nich będzie silniejszy, zabije i pożre drugiego; wstrętny ludożerca, dla którego ostatnia najlepsza pomoc, najsilniejszy eliksir stanowi ciało karzełka-druha.

Atoli co się dzieje? U tych karzełków widocznie dzieją się rzeczy warjackie. Obaj zapaśnicy objęli się mocno wzajem, ale w chwili najmocniejszego uścisku przyszła im, zdaje się, zupełnie inna myśl. Po co zabijać drugiego? Azali nie są ciałem z tego samego ciała i krwią z tej samej krwi? Dlaczego nie wchłonąć się wzajemnie, żyjąc dalej pełnym życiem? Coraz silniej przyciskają się ku sobie, aż wreszcie pękają małe ich ciała, i sok życiowy przepływa od jednego do drugiego; jeszcze jedno zderzenie—i obaj stali się jednością. Przejmuje ich ogromna błogość — błogość wielkiej sytości. Przecież w istocie „pożarli się“ wzajem, jako dwa lwy, tak że nawet nie pozostały ogony. Atoli żaden w tym pożeraniu nie doznawał bólu śmierci, życie jedno całe przeszło w drugie życie. I oto teraz w tym oto nowopowstałym ciełe podwójnym jest siła podwójna w porównaniu z każdym poszczególnym ciałem poprzednim. Teraz dosięgnąć pełnego wzrostu—toż to igraszka! Wkrótce będzie to dokonane, a wtedy znowu nastąpi rozdzieranie się samodzielne, rodzenie dzieci, rozmnażanie się karlego rodu w nieskończoność. — Hosanna!

W jednakowych warunkach zewnętrznych powtarzał się ten proces dość często, a wtedy stopniowo utrwalała się ta tradycja u wszystkich karzełków, mających skłonność do wielokrotnego dzielenia się, i w razie niezwykle drobnych rozmiarów własnych

stapianie się w jedność z towarzyszami niedoli stało się tu zwyczajem stale praktykowanym, tak samo jak było zwyczajem ogólnym płodzenie dzieci przez dzielenie się.

Jedną tylko jeszcze przy tym zdobywano naukę, w każdym razie bardzo ważną.

Karzelki nasze, jak już mówiłem, żyły od początku samotnie. O braci swoich własnych troszczyli się tak samo niewiele, jak o obcych. Atoli teraz, kiedy stapianie się w jedność przynajmniej dla tych najmniejszych stało się kwestją życia, jakby życie samo nasunęło im również tę prawdę, że istnieje różnica pomiędzy blizkimi krewnymi a obcymi. Naogół biorąc, rzecz się tak miała, że młode karzelki z jednego gniazda pochodzące rozpraszały się natychmiast w rozmaite strony, nie oglądając się wzajem na siebie. Ale z chwilą, kiedy nastąpiła moda stapiania się wzajemnego, zdarzało się naturalnie dość często, że właśnie dwaj bracia spotykali się jeszcze w jakimś momencie krytycznym i zrastali się z sobą odnowa. W następstwie jednak stopniowo i dość regularnie okazywało się, że takie zrastanie się z własnym bratem przedstawiało mniej pomyślne szanse, aniżeli zrastanie się z zupełnie obcym, przypadkowo napotkanym karzełkiem.

I do prostego zwyczaju stapiania się z sobą wogóle przyłączył się inny, polegający na tym, ażeby możliwie omijać własnego braciszka, a dawać pierwszeństwo dla tych celów obcemu.

A to z kolei miało nowe następstwa. Małe dziesiętne ułamki karzełków, pochodzące z jednego i tego samego podziału, jeszcze bardziej, niż poprzednio, przyzwyczyły się do wędrowania. Ze względu na prawie jednakowy wygląd było przeważnie rozpaczliwie trudno na razie rozróżnić, czy napotkany po drodze karzełek jest bratem, czy też obcym. Natomiast na obczyźnie, daleko od wszystkich braci wogóle, znikało prawie zupełnie to niebezpieczeństwo.

A więc dalej na wędrówkę! Stała się ona już teraz nie tylko kaprysem, ale celem życiowym. I małe te karzełki stopniowo tak się w to wdroszyły, że trudno było ze względu na ich żwawy krok poznać, że to są ci sami, co poprzednio. Wkrótce same wędrówki były źródłem nowych postępów dla całej sprawy. Słyszeliśmy teraz wciąż o tych ułamkowych karzełkach, którzy pochodzili z pęknięcia jednego starego karła na dwanaście części i więcej. Ale przypominasz sobie, że poprzednio wspominaliśmy i o innych karłach, które rozpadały się wprawdzie na dwa kawały, ale na dwa niejednakowej wielkości. Takich karzełków również była dostateczna liczba na szerokich przestrzeniach karlego królestwa. Mówiłem ci już, że i tu mniejszy z dwu zrodzonych karzełków miał po podziale również ciężką przeprawę przed sobą, ażeby przez usilne odżywianie osiągnąć normalnej wielkości. Ale zwyczaj łączenia się wzajemnego nie wszedł był jeszcze tutaj w modę. Taki nierówny karzełek, pochodzący z podziału na dwoje, był, jak rozumiesz dobrze, jeszcze olbrzymem w porównaniu z temi dwunastemi lub dwudziestemi ułamkami; to też metoda łączenia się nie była tu jeszcze niezbędna. Owszem, stosowanie tej metody stawiało ich często w przykre położenie, wtedy mianowicie, kiedy oba kawały były już za duże i, zrastając się z sobą, tworzyły całość, wybiegającą poza normalną wielkość. Słowem, zasadniczo nie sprzeciwiano się tu tej metodzie, ale nie poszukiwano jej też. Połączenie się dwóch braci było tu zresztą poza tym wyłączone (wogóle bowiem nie było spółbraci o jednakowej wielkości), więc i z tego względu powstrzymywano się w daleko znacniejszym stopniu od wędrowania, i ten rodzaj karzełków wiódł życie bardziej osiadłe, grając rolę raczej wyczekującą, niż czynną.

Aż oto nastąpiła chwila, kiedy na tych względnie dużych i osiadłych karzełków natknęli się, wędrując, owi mali karzełkowie. Hejże, co za kasek! Napewno

jest on obcy, jest bowiem o wiele większy, i zresztą po tuszy zaraz można go odróżnić od pałaczkowatego wędrującego karzełka. Jest tylko kwestja, azali ten grubas zgodzi się jeszcze na związek. Ależ naprawdę zgadza się. Wszakżeż i jemu samemu brak jeszcze do pełnego wzrostu małego dodatka, a oto, jakby z nieba spadszy, napatoczył się właśnie obcy przybysz-karzełek, akurat stanowiąc tę brakującą mu część — ani za wiele, ani za mało. A więc otwarte objęcia — chlast! — połączyli się — i oto powstał najpiękniejszy karzełek.

Był to dla obu stron wypadek szczęśliwy. Musiał też być wyzyskany na przyszłość. I, zda się, nowe ogłoszone zostało hasło: szukać tylko takich wielkich, leniwych karłów. Żadnych więcej związków ze spółbraćmi ani nawet z byle jakim obcym, a tylko wyłącznie łączyć się z temi osiadłemi karłami-przybyszami o wyglądzie różnym od nich.

Z biegiem czasu obie partje przywykły wzajem do siebie, jak gdyby tak być musiało, że jedna napatyka drugą. Wielkie karły oczekiwały małych, małe zaś spodziewały się zastać wielkich. Teraz dopiero właściwie zapewniony był los małych karzełków aż do najmniejszego; nawet mogli oni bezpiecznie stać się jeszcze mniejszemi, zawsze bowiem była w odwodzie druga partja „wielkich“ dzięki swym stałym wielkim rozmiarom. Hejże, jak się teraz wszystko pięknie składało! Starodawne, proste płodzenie dzieci stało się wprawdzie obecnie naogół sprawą bardziej skomplikowaną. Teraz hasło nie brzmiało tak prosto, jak dawniej: jedz, rośnij i dziel się. W okres wzrostu wplatał się teraz jeszcze specjalny dodatek: szukaj sobie towarzysza w nieco odmiennym od ciebie rodzaju, albo: czekaj w nadziei pozyskania sobie takiego wędrującego ku tobie towarzysza, a potem oddaj mu się aż do zupełnego samounicestwienia w nim — dopiero z was obojga powstanie owo stworzenie gotowe, co rozmnażać się będzie dalej przez

podział. Atoli o ile piękniejszym, o ile pewniejszym stał się tym samym w zasadzie swej cały proces życiowy! O ile dawniej zwykłe odżywianie się nadmierne było właściwą treścią życia karzełka od urodzenia aż do dnia, w którym sam ulegał podziałowi, o tyle teraz przeżywał on jeszcze cały romans, polegający na szukaniu, nadziejach, wyczekiwaniu i ziszczaniu się pragnień, na błogim samounicestwianiu się w związku z towarzyszem, na poczuciu dwoistości w znajdowaniu spółtowarzysza, zamiast dawnej dwoistości lub wielorakości, które przejawiały się w ostatecznej rozłące.

Taki stan rzeczy wyobrażał jakby najwyższy szczebel rozwoju. W zasadzie nie mogło to ani zniknąć kiedykolwiek, ani zostać przewyciężonym. I właściwie z czasem przyłączyły się do tego tylko jeszcze pewne zjawiska czysto wtórnej natury. Mianowicie:

Nasamprzód zapewne w tobie samym powstawało pytanie: a jakżeż dzieliły się później te karzełki, które powstały ze związku takiego małego karzełka-wędrowca z dużym, osiadłym karłem? Widziałeś wszak, że karzeł wędrowny zawdzięczał istnienie swe podziałowi karła-ojca na 12, 20 albo i więcej jednakowych części, natomiast karzeł osiadły powstawał z podziału na dwie (i to nierówne) części.

Oto cała sprawa wkrótce ułożyła się zupełnie spokojnie. Odpowiednio do warunków, w jakich odbywał się proces stapiania się dwóch karłów, warunków, które wyłaniały się z pewną celowością, nowopowstały karzełek uprawiał to jedną, to drugą metodę dzielenia się. W ostatecznym rezultacie zawsze rodziło się tyluż karłów, uprawiających dzielenie się podwójne, jak i tych, co dzieliły się na mnóstwo części wielorakich, i przytym w takiej liczbie, jaka potrzebna była dla zagwarantowania obu grupom utrwalenia się rodu.

Jedno tylko wszędzie okazywało się dodatkiem: Przypominasz sobie, że owe karzełki, mnożące się

przez podział na dwie nierówne części, dawały w rezultacie swego podziału część większą, jakby matczyną, i mniejszą część, wyobrażającą jakby córkę. Ta metoda „nierównego“ podziału stopniowo przekazywana była dziedzicznie wszystkim potomkom, tym nawet, którzy dzielili się nie na dwie, a na dwanaście i dwadzieścia części. I u ostatnich podział odbywał się teraz w ten sposób, że stary karzeł oddzielał wprawdzie od siebie całą mnogość małych cząstek, pozostawiał jednak część większą, jakby nierówną resztę swojego ciała. A więc z jednej strony odbywał się nadal podział na dwie części: większą i mniejszą, z drugiej zaś — podział, przypuśćmy, na 20 części: jedną wielką i 19 mniejszych. Pozostałe w obydwu wypadkach części główne były dostatecznie wielkie, ażeby bez zlewania się z kimkolwiek, dzięki zwykłemu odżywianiu się, znów osiągnąć normalną wielkość. W obu wypadkach zrazu pozostawały one po prostu na miejscu, tylko zaś owych 19 małych karzełków wyrywało się z jednego, i jeden z nich napotykał wreszcie maleńkiego karzełka innego pochodzenia dla dokonania szczęśliwego związku.

W następstwie powstało pewne udoskonalenie. Owa duża część karzełka, pozostała po dokonanym podziale, z 19-tu małymi karzełkami nie puszczała już samopas na wędrowną tę wesołą zgrai. Sama ona wraz z całą kolonją odbywać zaczynała ową wędrowną.

Szukała sobie karzełka innego gatunku, karzełka, który odłączał właśnie od ciała swego część mniejszą. I, przylegając ściśle do tego drugiego karzełka, wypuszczał jednego ze swych 19-tu małych karzełków, dawał mu się prześlizgnąć ku towarzyszowi i połączyć się tam z wyzwalającą się cząsteczką.

Ta metoda była w każdym razie udoskonaleniem całej sprawy pod względem pewności. Jednocześnie wskazywała ona w każdym razie na zmianę

w postępowaniu karłów, która zapowiadała się bardzo znamienne. System stapiania się wzajemnego wogóle po raz pierwszy znosił klątwę pustelniczego życia i ponurej samotności, ciężącą nad plemieniem karłów. Teraz widocznie płodziło to dalsze następstwa. Owo pozostawanie wspólne dwudziestu karzełków—części pod przewodem jednego większego karła wykazywało pierwszy początek społecznego związku braterskiego w celach wspólnego bytowania i pożytku—stanowiło przejaw znamieny!

Ate to pominąć możemy. Utrwal sobie, proszę, raz jeszcze doskonale w pamięci obraz końcowy. Oto dwa karły. Jeden z nich oddziela od ciała swego 19-tu malutkich karzełków, drugi—tylko jednego, ale dość dużego. Pierwszy porusza się w kierunku drugiego i, przystępując do niego na odległość bardzo bliską, puszcza jednego ze swych 19-tu malców na młodego karzełka — potomka swego towarzysza. Ze związku obu młodych powstaje nowy karzeł pierwszego lub drugiego rodzaju...

...Rzuć krainę baśni. Cóżś widział? Podobno kiedyś było coś... Ależ gdzie to wszystko było?

Owi karzełkowie stanowią w istocie plemię, którego ziemia wszędzie jest pełna. To są potwory jednokomórkowe, Ani zwierzęta, ani rośliny, a raczej jeszcze ani zwierzęta, ani rośliny! Są to w istocie po największej części karły, najmniejsze karzełki, jeżeli bierziesz je w porównaniu z sobą (t. j. ze zwierzęciem, stojącym na wysokim stopniu rozwoju) albo z rybą, ostrygą lub wreszcie z rośliną kartoflową. Łąd, powietrze i morze są wszędzie tego pełne, choć po większej części są one właściwie tak drobne, że gołym okiem wcale ich dojrzeć nie możesz. Poprzednio wciąż używałem dla nich nazwy „bacylusów“, bo chciałem nawiązać je z jakimkolwiek choć w części znanym ci pojęciem. Ale bacylusy stanowią w nieprzebranej

masie tylko pewną grupę, obok zaś nich istnieje cała mnogość innych gatunków. Pomimo niezwykle prostej budowy—wszak całe ciało ich stanowi tylko jedna komórka, jedna jedyna cegiełka organiczna, a w tym ciele o narządach prawie że mowy być jeszcze nie może—pomimo to gatunki te wykazują pomiędzy sobą niektóre różnice.

Z drugiej zaś strony znowu cała kultura ludzka z jej rolnictwem i wytwórczością byłaby prawie niemożliwa bez pomocy pewnych pożytecznych karzełek tego rodzaju, którym zawdzięczamy najważniejsze zjawiska rozkładowe i fermentacyjne. Gdziekolwiek wzrokiem rzucisz, wszędzie od samego urodzenia oplata cię, niby siecią, praca tych dzieci trzeciego królestwa. Kiedy jajko i ciało nasienne raz jeszcze, zda się, stają się wolnymi jednokomórkowymi istotami wewnątrz wyższego organizmu, ażeby spłodzić ciebie samego, aż do śmierci, kiedy bakterje jednokomórkowe inaugurują proces gnicia, który zwraca twoje ciało ogólnej wielkiej przyrodzonej wymianie materji.

Atoli te pratwory jednokomórkowe wzbudzają nasze najwyższe zainteresowanie nie dlatego jedynie, że są dla nas tak „aktualne“. Są one czymś więcej jeszcze. Są one najoczywiściej mało lub wcale niezmiennymi wizerunkami naszych najstarszych przodków na ziemi.

I wszystko jedno, czy są one dzisiaj dzięki nigdy nieprzerwanej ciągłości życia bezpośrednimi i niezmiennymi potomkami owego pierwotnego pokolenia na ziemi, tak samo jak rośliny i my, zwierzęta, stanowimy jego pośrednie i zmienione potomstwo, czy też powstawały one wciąż, po milion razy, według starego wzoru dzięki nieprzerwanemu samoródtwu—w każdym razie są one portretami naszych najstarszych protoplastów. A ich zwyczaje życiowe wciąż jeszcze odtwarzają tam mniej lub więcej ściśle przypuszczalne nawyki życiowe owych praszczurów naszych. I miłość ich jest cieniem, ostatnią w oko

nasze padającą projekcją świetlną „pramiości“ na ziemi.

Zwłaszcza pod względem trybu życia. Jedne odżywiają się na wzór roślin (i z tego gatunku prawdopodobnie w następstwie rozwinęły się rośliny), t. j. bezpośrednio materiałami nieorganicznymi; inne natomiast odżywiają się wyłącznie tym pierwszym gatunkiem, a więc postępują tak, jak zwierzęta, które z nich się rozwinęły, t. j. nie mogą nigdy bezpośrednio rozkładać mineralnej zawartości gruntu i przetrwać ją, tylko używają dla pożywienia swego innych zwierząt, a przede wszystkim roślin. Atoli i w rozmiarach, w charakterze i w samym istnieniu lub nieistnieniu t. zw. jądra w komórce i poza tym w pewnych cechach zauważyć można różnice dość znaczne. Spoglądasz oto w olbrzymie królestwo życia organicznego, co rozlewa się po ziemi narówni z królestwem roślinnym i zwierzęcym, które, jako takie, nie wyobrażają nic innego, jak dwa konary owego wielkiego pierwotnego królestwa, konary, co rozwinęły się wspólnie, podczas kiedy masa owych istot jednokomórkowych dziś jeszcze w pradawnej swej postaci krąży dookoła kuli ziemskiej. Ty sam, ty, co się panem ziemi zwiesz, na każdym kroku napotykasz to wszechobecne królestwo karłów. Czy pełnemi ustami wdychasz powietrze, czy łyk wody bierzesz — wszędzie wraz z powietrzem i wodą łykasz bacylusy. Biada ci, jeżeli istnieje przeciwieństwo pomiędzy komórkami twego ciała a hordą takich jednokomórkowych napastników! Te karły jako bacylusy cholery kładą was, ludzi, jak żyta kłosa żółte, a walka z żadnym innym stworzeniem na ziemi, z tygrysem, czy też z wężem jadowitym, i dziś jeszcze dla człowieka kulturalnego nie jest tak zajadłą i tak wątpliwą co do zwycięstwa, jak z temi prakarłami w postaci pojedynczej komórki.

A oto miłość ta, sama przez się już interesująca, wykazuje ci całą mnogość różnych postaci: wsze-

lacie jakby metody, próby, warjacje zmieniają się tu kalejdoskopowo i na pierwszy rzut oka w sposób dość nieprawidłowy. Atoli jeżeli uważniej spojrzysz, powstaje w umyśle twoim przypuszczenie: owe liczne, często zewnętrznie nieznaczne odmiany w miłości istot jednokomórkowych wydają ci się dość znamienymi, jako rozmaite rozproszone tam i siam reminiscencje pewnej określonej linii rozwojowej, po której kroczyły czasy najodleglejsze—linii rozwojowej w miłości.

Mimowoli zabierasz się do uporządkowania sobie tych wszystkich spraw w umyśle. Wydaje się, jakoby ten oto żyjący jeszcze twór jednokomórkowy zachował w pamięci jeden stopień rozwoju i wyobraża go dziś jeszcze wytrwale w sposobie miłowania, a inny znów—inny stopień i t. d. Czyżby nie można było odtworzyć tu całego łańcucha logicznego?

I uświadamiasz sobie natychmiast następującą rzecz pierwszorzędnej wagi: Liczne metody, któremi posługuje się miłość dzisiejszych tworów jednokomórkowych, sprawiają wrażenie, jak gdyby wałęsały się jeszcze tu i ówdzie wszystkie deski i pale wielkiego prastarego mostu, mostu, łączącego najprostszy sposób rozmnażania się wogóle z zapłodnieniem płciowym. Śród wyższych zwierząt i roślin spostrzegasz, jak to płciowe rozmnażanie odbywa się już regularnie; śród niższych widzisz je jeszcze jakby niedoskonałym, idącym jakby po grudzie, opornie. Ale twory jednokomórkowe, jak się zdaje, po prostu po raz pierwszy odkryły dopiero wogóle drogę, która wiodła do zapłodnienia płciowego.

Na miejscu karłów wyobraź sobie teraz komórki—a zrozumiesz moją bajkę.

Nie wyobraża ona nic innego, jak próbę niewyszukanego symbolu, mającego na celu uplastycznienie ci raz jeszcze owej drogi. Jeżeli nie zechcesz ani jednego słówka nawet z tej bajki na wagę złota

ocenić, to jednak zapamiętasz sobie, że taki a nie inny był bieg tych spraw.

A u istniejących dziś tworów jednokomórkowych na ziemi napotykasz jeszcze zjawiska równoległe do tamtych, rozsiane na podobieństwo oddzielnych odłamów ruin.

Karzelki nasze, jak się zdaje, z samego początku wykazywały indywidualność: stanowiły one rzeszę oddzielnych istot. Tak też wyobrażać sobie musimy jednokomórkowe twory pradawnej przeszłości, od których poczęło się życie w naszym rozumieniu. I oto dziś jeszcze napotykamy ich mirjady na ziemi. O jakimś jednolitym prairle, z którego rzekomo powstać miały dopiero te praindywidua, nie poucza nas ani teoria, ani praktyka, ani przeszłość, ani terażniejszość; jeżeli istotnie miał on istnieć kiedykolwiek, było to bądź co bądź jeszcze przed wszelakim prawdziwym „okresem miłosnym“.

Z samego początku historii były karły zindywidualizowane, ale były one przytym jeszcze zupełnie bezpłciowe: nie było wśród nich ani samców, ani samic. Taki stan wykazują dziś jeszcze twory jednokomórkowe—jest to po prostu zasadnicza cecha całego trzeciego królestwa. Napróżno szukałbyś „samca“ lub „samicy“ pośród maleńkich bezkształtnych grudek śluzu w ile naszych wód, u t. zw. ameb lub u któregoś z popularnych bacylusów. Nie są one jednym ani drugim ani nawet t. zw. hermafrodytami, lub obojnikami, które na jednym ciele dwojakię posiadają narządy płciowe. Nie, nie mają one właśnie wcale narządów płciowych. Wszystkie są sobie równe i, choć „mają dzieci“, w żaden sposób nie mogą mieć ich dzięki zapłodnieniu płciowemu.

Odbywa się to u nich zupełnie tak samo, jak u owych karzełków.

Posiadają oni zdolność wchłaniania w siebie pewnych obcych substancji w ten sposób, że przetwarzają je zupełnie w sobie na własną materję życiodajną. To wchłanianie i przetwarzanie potrzebne jest dla t. zw. przemiany materji, co stanowi zjawisko podstawowe całego życia. Stare cząsteczki składowe ciała zużywają się w procesie życiowym i muszą być wydzielane. Więc trzeba ten brak skompensować — i to właśnie dzieje się dzięki jedzeniu i trawieniu.

To, co my, jako najwyżej uorganizowane zwierzęta, dziś jeszcze czynimy, czynimy i czynią już również twory jednokomórkowe: odżywiają się, trawią i w ten sposób utrzymują się przy życiu — bez ustanku uzupełniają się dzięki przemianie materji.

Ale na tym nie koniec. Dziecko, które je, uzupełnia się nie tylko po prostu przez przemianę materji: powiększa się ono jeszcze pozytywnie — rośnie. Podobnie dzieje się z naszym jednokomórkowym pierwotniakiem, z naszym „karzełkiem“. I on przyjmuje nadmiar pożywienia, staje się większy — rośnie. Aż oto wzrost ten dosięga pewnej miary, i wtedy jakby w tym małym organizmie wyzwalala się jakaś siła odrębna: rozszczepia się, dzieli się na dwie części... „ma dzieci“, to znaczy: po prostu rozpada się na dwoje dzieci. Najwidoczniej i ta zdolność jest taką samą koniecznością i cechą zasadniczą żywota jednokomórkowego, jak odżywanie się i wzrost; musi ona wypływać z zasadniczych potęg tego życia, których istoty nie umiemy jeszcze zgłębić, a przyjmując je musimy po prostu jako coś, co jest dane niezmiennie. Wydawać się może poniekąd, jakoby „rozszczepianie się“ pierwotniaka, ta najprostsza postać rozmnażania się, nie była wyłącznie tylko dalszym ciągiem w y d z i e l a n i a w przemianie materji, podobnie jak wzrost uważać można za pozytywny ciąg dalszy nadmiernego odżywiania się. Ale to jest obojętne: w każdym razie fakt sam pozostaje niezmiennym, z żelazną koniecznością narzucającym się faktem. Każda ameba dzisiejsza odtwarza przed tobą po prostu to zjawisko; jej miękkie ciało śluzowe po osiągnięciu pewnych rozmiarów, zamiast rosnąć w dalszym ciągu, przepukla się po środku, wypukliny te dokoła stron stają się coraz głębsze, pozostaje w pewnej chwili tylko cienka niteczka żywej materji, łączącej obie części z sobą, aż wreszcie i ta nitka się zrywa — i oto masz przed sobą zamiast jednego — dwa twory: każdy jest dokładnie o połowę mniejszy od dawnej ameby, stanowi jednak zamknięte

w sobie indywiduum, gotowe do odżywiania się i wzrastania do dawnych rozmiarów matczynych, ażeby później znowu ulec rozszczepieniu. U bacylusów cały ten proces wzrostu, podziału, powtórnego powiększania się części i ponownego ich dzielenia odbywa się często z niesłychaną szybkością, tak że w ciągu kilku godzin, a nawet prędzej niż w godzinę, wyłaniają się gwałtownie całe pokolenia jakby pod nożem jakiejś maszyny, obracanej z zawrotną szybkością.

Gdyby ta swobodna i bystra fala rozplodowa nie napotykała na drodze swojej pewnych naturalnych przeszkód, byłaby jedna jedyna taka hodowla bacylusowa wypełniła w ciągu paru dni oceany i wzniosłaby góry wysokie. Deszcz przerażenia przejmuje nas, kiedy uprzytomnić sobie chcemy taki rozgwar miłości. I naogół w królestwie tych napozór najmniejszych karzełków wszystkie zjawiska przyrody mają właśnie pozory czegoś wyolbrzymionego, demonicznego.

Ale idźmy dalej za zbiegiem wydarzeń wśród karzełków. Jęły się one rozbieżnych metod, dotyczących dzielenia się: to jeden rozszczepiał się nie na połowy, a na dwie nierówne części, to znowu inny rozpadał się na całą masę drobnych cząstek. Obie metody spotykasz dziś jeszcze u społecznych ci jestestw jednokomórkowych.

Śród licznej rzeszy t. zw. infuzorjów, czyli wymoczków, a więc w grupie istot, które również bezsprzecznie należą jeszcze do prakrólestwa jednokomórkowego, spostrzegasz, że dzielenie się na połowę zastąpione jest przez najprostszą postać t. zw. pączkowania. Zamiast żeby wymoczek rozszczepiał się w celach rozrodczych na równe połowy, oddziela się tylko od ciała drobna część, niby paczek: jest to jeszcze wprawdzie podział na dwie, ale za to bardzo nierówne części.

Natomiast u większej jeszcze znacznie liczby pra-

tworów jednokomórkowych nie napotykasz już wcale podziału na dwie części, zastąpionego przez rozpad tworu rodzicielskiego na całą gromadę samodzielnych cząstek. Sposób ten w jego bardziej rozwiniętej i zmienionej już nieco postaci zazwyczaj nazywa się „tworzeniem spor“: komórka tworu pierwotnego, jakby pękając, rozpada się na cały obłok lotnych komórek lilipucich („spor“), z których każda stanowi teraz samodzielne nowe indywiduum. Jednak w istocie mamy tu do czynienia z ową drugą metodą podziału, uprawianą przez karłów.

Naszym drobnutkim karzełkom, zbyt małym i bezsilnym, ażeby móc się utrzymać przy życiu, groziła śmierć, kiedy w ostatniej chwili przyszło z pomocą złączenie się dwóch takich liliputów. I oto fakt zasadniczy tego zjawiska — stapianie się w jedną dwu jednakowych małych komórek w celu wzmoczenia się na siłach—możesz dziś jeszcze jak najlepiej spostrzeżać u niezliczonej masy istot jednokomórkowych, jako to: u hurmaczków (gregarina), roznózków (rhizopoda), wymoczków (infusoria) i wielu innych. Większość tych istot dziwacznych po prostu podniosła to, jak się zdaje, do potęgi stałego nawyknięcia, ażeby za każdym razem doprowadzić niebezpieczeństwo życia swego do ostateczności i później dopiero, jakby zgodnie z jakimś ustalonym programem, zastosować ów środek ratunkowy.

Dzieli się po prostu bez końca, aż wielkość części oddzielnych spada do minimum; potem pozwalają dwóm indywiduom wejść z sobą w związek, dzięki czemu odnowa następuje szybkie, masowe powiększenie się, a całe pokolenie zdobywa nową energję życiową.

Nie może być chyba żadnej wątpliwości, że to zjawisko w istocie swej i przebiegu wyobraża dla ciebie jakiś zamierzchły etap na drodze, którą kroczyła miłość.

Ta zwykła konjugacja (taką nadano nazwę temu

zjawisku) dwóch jednorodnych, ale bardzo małych i bardzo słabych tworów jednokomórkowych wyobraża w znaczeniu ścisłym pierwszy początek miłości płciowej oraz miłości wogóle, w zakres bardziej ograniczony ujętej.

Rodzaje nie różnią się tu jeszcze od siebie postacią zewnętrzną—a oba twory konjugujące wyglądają wszak zupełnie jednakowo. W niektórych wypadkach możesz taką jednorodność postaci zewnętrznej spotrzeć dziś jeszcze poza królestwem pierwotniaków nawet. Wiesz już, że rośliny i zwierzęta rozwinęły się dopiero w biegu historii naturalnej z trzeciego, jednokomórkowego królestwa. I oto u najniższych prawdziwych już roślin nawet napotykasz zjawisko konjugacji dwu zupełnie jednakowych drobnych indywiduali roślinnych, tak podobnie zbudowanych, że łatwo je zamienić wzajem. Oto cienkie szmaragdowo-zielone nici wodorostów na piasku nadbrzeżnym stawu i w korycie studni. Wodorosty — to najniższe rośliny. Każda nić składa się z luźnego łańcucha komórek. O pewnej porze rozpada się każda z tych komórek oddzielnie na całą kolonję, cały rój drobnutkich komóreczek. Komóreczki te, jako twory nadzwyczaj żywe i ruchliwe, mkną natychmiast w dal po wodzie. Jeżeli dwie takie komóreczki, pochodzące wprawdzie z dwóch rozmaitych kolonji, ale zresztą zupełnie podobne do siebie w swej postaci zewnętrznej, spotykają się, to nie wymijają się wzajem, ale raczej stykają się z sobą, jakby nagłą sympatją zdjęte, mocno do siebie przylegają i wreszcie stapiają się w ostatecznym uścisku, tworząc jedno ciało. Tak dzieje się to jeszcze dziś u prawdziwych wodorostów. Dlaczegoż nie przypuścić wobec tej niezwyklej logiki całej sprawy, że cała przeszłość prastara kroczyła właśnie tą drogą, która wiodła naogół do zjawiska konjugacji, a tym samym w biegu historii do zapłodnienia płciowego?

Oczywiście, pewne tajemnice pozostają przytym niewyjaśnione. Atoli są one właśnie wszędzie, jeżeli chodzi o wyjaśnienie istoty zjawisk życiowych. Jak to jest możliwe, ażeby dwa zamknięte w sobie indywidua, bądź małe, bądź duże, jednakowe lub niejednakowe, mogły wogóle wzajem z sobą się zlewać przy życiu? Jaka zaczyna tu nagle działać „sympatja“, co komórki żywe prze ku połączeniu się wzajemnemu, jak atomy dwóch elementów w tworzeniu się połączenia chemicznego? Tego zaprawdę nie wiemy. Atoli musisz uprzytomnić sobie, że nie znamy również wewnętrznych przyczyn, dla których potrzebna jest przemiana materji w komórce; dlaczego ma miejsce wydzielanie i asymilowanie nowych cząsteczek; dlaczego istnieje wchłanianie i jego przeciwieństwo, wzrost i dzielenie się samodzielne. Zastanawiając się nad tym zjawiskiem żywego zlewania się dwóch komórek, ma się również to wrażenie, jakoby tu ulegał tylko przeobrażeniu jeden z innych procesów. Mówiłem ci już, że najprostsze fakty w życiu komórki sprowadzić się dają najoczywiściej do zwykłej przemiany materji; są to: wchłanianie, mające na celu zastąpienie niezdolnej do użytku materji komórkowej, oraz wydzielanie, mające na celu usuwanie tych nieużytecznych cząsteczek jako też nieprzetworzonych części wchłoniętych. W następstwie prostego nagromadzenia się cząsteczek występuje zjawisko wzrostu, a wzrost, jak się zdaje, staje się znów przyczyną jakiegoś wyższego, żywego wydzielania, mianowicie rozradzania się przez podział albo przynajmniej przez odszczepienie pączka. Mógłbyś bez trudu ciągnąć dalej to rozumowanie i powiedzieć: jak zwykle wchłanianie musi kompensować to, co ginie przez wydzielanie, tak samo w pewnych okolicznościach musi również pewien specjalny rodzaj wchłaniania kompensować brak, powstający przez zbyt energiczne wydzielanie podczas rozmnażania się. Ponieważ jednak rozmnażanie się stanowi „wydzielanie żywe“, musi

więc również odbywać się „żywe wchłanianie“, to jest musi żywa materia jako taka przepłynąć w żywą komórkę. Gdybyś zechciał wyrazić się w sposób bardzo niesubtelny, mógłbyś rzec tak oto: zjawisko płodzenia dzieci jest tylko wyższą postacią wydzielania ekskrementu, miłość zaś w sensie zlewania się dwóch indywidualiów w celu stworzenia trzeciego jest tylko wysubtelnioną postacią wchłaniania. Atoli rozumiesz sens ściślejszy tego, co było powiedziane, rozumiesz, co to ma wszystko znaczyć, jeżeli pozostawić na stronie paradoksalne żarty, a zupełnie trzeźwo pomyśleć nad tym. Trzeba wyznać, że mimo to wszystko nie trafiamy w istotę rzeczy zarówno na początku, jak i w końcu naszego łańcucha rozumowań, bez względu na to, czy mamy do czynienia z „prostemi“, czy z „wysubtelnionymi“ zjawiskami. Wchłanianie i ekskrement pozostają w końcu taką samą głęboką i wzniosłą zagadką życia, jak rozmnażanie się i miłość. I jedna tylko zdaje się przebłyskiwać świadomości: że ostatnio wymienione pojęcia zajmują na drabinie rozwojowej miejsce wtórne, wyższe, naczelne.

Następny obraz w naszej bajce jest nieco drażliwy. Karzełki ze względów utylitarnych przywykły do tego, ażeby w celach konjugacji nie wstępować w związki z najbliższymi spokrewnionymi braćmi swymi, a z obcymi przedstawicielami tego samego rodu. Tu spoczywa wielki problemat dla całej dziedziny badań nad życiem i jego przejawem — miłością.

Problemat krzyżowania się i braku doboru.

Przyjrzyj się raz jeszcze wspomnianym powyżej małym zielonym nitkom wodorostów, owym najniższym roślinom, które już wprawdzie wywyższyły się ponad proste jednokomórkowe twory, ale jeszcze uprawiają najprostszyszy sposób zlewania się w jedno dwóch jednakowych indywidualiów.

Oto widzisz dwie takie drobniutkie cząsteczki

wodorostów, jak krążą w wodzie i szukają sobie towarzysza do konjugacji. Są to prawdziwe siostry, pochodzące z jednej rozszczepionej komórki. Teraz spotykają się — ale wymijają się wzajem. Nie pragną siebie! Ale oto w następnej chwili każda z nich znalazła jakąś obcą, nie siostrzaną komórkę błędzącą — i następuje pomiędzy nimi natychmiast akt jak najściślejszego złączenia. Dlaczegoż siostra siostrą pogardza?

Przypatrz się znów czemuś innemu. Oto wyższe rośliny. Tu mamy już istotny podział na rodzaje: narząd żeński w kwiecie — to słupek, a męskie narządy — to pylniki nasienne. Ale mniejsza o to! W każdym razie widzisz w ogromnej większości wypadków oba narządy (żeński i męski), które mają połączyć się dla aktu rozrodczego tuż obok siebie w tym samym kwiecie. Te wyższe rośliny nie wysyłają już żadnych ruchomych komórek-tułaczek, jak owe wodorosty. Kwiat, jako i cała roślina, jest umocowany na jednym miejscu. Tym szczęśliwszym wydaje się fakt skupienia obu części płciowych na jednym i tym samym kwiecie. Pylnikom wypada, zda się, tylko w określonej porze strącić swe komórki nasienne, a padną one na słupek i zapłodnią przez zlanie się obopólne narząd kobiecy.

Aliści takie mniemanie jest nader dalekie od prawdy. W 99 wypadkach na sto napotykasz najbardziej wyrafinowane środki zapobiegawcze, mające na celu przeszkodzenie temu zlaniu się komórek, temu zapłodnieniu w obrębie jednego i tego samego kwiatu. W niezliczonych wypadkach cały kwiat jest tak zbudowany, że p o m i m o bezpośredniego sąsiedztwa samozapłodnienie staje się niemożliwe. Natomiast kwiat, choć sam nieruchomy, przystosowany jest budową swą jak najlepiej do przyjęcia odwiedzin pewnych ruchliwych, z kwiatka na kwiatek tułających się owadów.

Owady te — pszczoły, trzmiele, muchy, motyle — wabi ku sobie roślina barwą, zapachem i słodką

wydzieliną miodu. Ażeby dotrzeć do miodu, muszą one wleźć w kwiat albo sięgnąć ryjkiem. Przy tej sposobności kwiat posypuje owad swym pyłem, t. j. komórkami nasiennymi, a owad, lecąc teraz dalej do drugiego kwiatka tego samego gatunku, przykleja bezwiednie te komórki nasienne do żeńskiego narządu (rylca i słupka) i pośredniczy w ten sposób w zapłodnieniu skrzyżowanym, które najoczywiściej dla całej sprawy utrzymania się przy życiu również i dla tych roślin stanowi ważny, nawet niezbędny warunek.

Oto tutaj mamy ten sam fakt, co i tam, choć o wiele więcej skomplikowany: nasienie bratnie na własnym kwiecie bywa z trwogą omijane, natomiast nasienie obce, które muska owad, najdoskonalej sprzyja zapłodnieniu. Chcę ci dać przykład, sprawa ta bowiem jest pod każdym względem interesująca.

Zerwij sobie tam u stóp drzew oliwkowych jedną z tych dziwacznych blado-zielonych łodyg, na których wielki liść otacza, zda się, swój kwiat, jak zwinięta chorągiewka. Jest to t. zw. aronowiec. Otwórz z siłą pochewkę kwiatu. Patrzysz w jej głąb, gdzie stanowiła okrągławe sklepienie, i masz wrażenie, że spoglądasz w głąb jakiegoś kotła. I oto w chwili, kiedy łamiesz jego ściankę, wyfruwa cały rój malutkich czarnych komarów. Zdaje się, jakby nagle wyswobodzone zostały z więzienia. Ale w jaki sposób dostały się do wnętrza? Oto masz przed sobą jeden z najcudowniejszych mechanizmów całego świata roślinnego, mechanizm, mający na celu zapłodnienie skrzyżowane.

Aronowiec wydaje zgniły zapach, który wabi małe muchy-ścierwowce, i te włączają z góry w otwartą tutkę zieloną. Ku nim sterczy z otwartego również od wierzchu kociołka mięsista (jędrna) główka, wierzchołek właściwego kwiatu (a raczej kolonji kwietnej), który bez specjalnej otoczki jako naga oś wznosi się wewnątrz kociołka ku górze. Owady po tej kolbce złączają w dół i dostają się do samego kotła. Tu jest

im dobrze w rozwiniętej roślinie; podczas kiedy na dworze pada chłodna rosa, tu wewnątrz rośliny panuje temperatura niezmiernie łagodna, a z ścianki wewnętrznej kociołka aż tryska sok, jak dla uczty najobfitszej. Złaząc w dół, potrąciły one niebacznie wianek uginających się szczoteczek, który obecnie na wzór sieci do łowienia ryb lub pułapki na myszy zamyka im bezlitośnie odwrót. Co czynić? Mali więźniowie przez parę dni wiją się niespokojnie na wszystkie strony, choć są wprawdzie dobrze najedzeni i ogrzani w swym więzieniu, i czekają. Tymczasem w roślinie odbywa się szczególnie jakiś nowy proces, którego muszki zrazu zupełnie, widocznie, nie spostrzegają, gdyż nie obchodzi ich, jak się zdaje, wcale.

Na osi kociołka znajdują się tuż obok siebie, jeden nad drugim, dwa wianki męskich i żeńskich narządów płciowych. Sądząc z ich bezpośredniego i tak niebezpiecznego sąsiedztwa, zdawałoby się, że mogą one jak najłatwiej połączyć się z sobą płciowo, a latanie muszek mogłoby tylko sprzyjać temu połączeniu.

W ten jednak sposób kojarzyłyby się małżeństwa we własnym domu rodzicielskim, a tego właśnie nie życzy sobie roślina; żadną miarą tego nie chce. Cóż więc robi? Owe dwa wianki kwiatowe nie dojrzewają jednocześnie, a jeden po drugim: nasamprzód wianek żeński, dopiero później męski. Więc podczas kiedy więźniowie kręcą się jeszcze niespokojnie, męski wianek nagle dojrzewa płciowo i wydziela z siebie grubą warstwę „pyłu kwiatowego“, t. j. prawdziwego nasienia męskiego. Muchy są gęsto tym pyłem obsypane, nie wiedząc nic o tym, czeka ich bowiem teraz coś o wiele ważniejszego. Oto nagle wiotczeje i więdnie sama przez się owa szczecinka u góry, jak gdyby okres dojrzałości płciowej wyczerpał wszystką jej siłę—droga ku słońcu stoi znowu otworem, i owady radosnym rojem wylatują. Ale to niczym znów tak bardzo aronowcom nie grozi! W chwilę

po wyzwoleniu te same muszki znów oto ulegają pokusie, jaką przedstawia dla nich miły ich powonieniu odór zgnilizny, i włożą w łodygę drugiego kwiatu. Hyc! znowu przeszkodziły sieć i znów są wewnątrz. Po raz wtóry czeka ich parę dni więzienia.

Ale teraz uważnie przypatrz się temu, co się dzieje na długo przed nastąpieniem chwili dojrzałości płciowej w tym drugim kwiecie. Oto na długo przed tą chwilą, zaraz wtedy, kiedy przedostają się do wnętrza owi goście, dojrzewają tutaj żeńskie części osi w kociołku naszym i gotowe są do zapłodnienia. Tym dojrzałym żeńskim częściom kwiatka przynoszą teraz muszki naprawdę dojrzałe nasienie męskie innego, obcego aronowca w całej masie i, kręcąc się, po prostu, bezwiednie, ale zupełnie naturalnym sposobem przylepiają je na najodpowiedniejszym miejscu. Azali nie jest to niezwykłym podejściem, mającym na celu unikanie małżeństw pomiędzy braćmi? Niektóre gatunki aronowca mają nawet dwie sieci w kociołku: jedną u wejścia przed męskim kwiatem, drugą pomiędzy męskim a kobiecym. Dolna sieć więzi nasamprzód włożące muszki przez chwilę na dolnym piętrze u żeńskich kwiatów, druga zatrzymuje je na drodze powrotnej raz jeszcze w pasie męskim w celu obsypiania ich pyłem.

I takich sztuczek jest, jak powiedziałem, legion cały. Tam, gdzie tego przenoszenia pyłu z jednego kwiatu na drugi nie załatwiają owady, pośredniczy w tej czynności wiatr, ten wiatr, który ciebie samego obsypuje pyłem kwiatowym, kiedy wiosną mijasz leszczynę. W rzadkich wypadkach udaje się nawet i wyższym roślinom przewyciężyć w danym razie zupełną swą stałą nieruchliwość. W błękitnych wodach jeziora Garda napotykasz ładniutką roślinkę wodną, Vallisneria zwaną, u której nigdy oba rodzaje narządów płciowych nie mieszczą się na jednym kwiecie, a której jednak nie trzeba żadnego owadu dla zapłodnienia. Jeden jej kwiat, który za-

wiera tylko żeński słupek, rośnie na długiej łodydze od dna ku powierzchni wody, jej zaś drugi, wyłącznie męski kwiatek, który wytwarza lepkie nasienie, już jako pączek odrywa się w głębi wód od swej łodygi, pływa w wodzie ku powierzchni i żegluje wesoło z wiatrem, jak wolne, małe czółenko, po tafli lustrzanej jeziora, póki nie natknie się na żeński kwiat, który zapłodnić może, przybijając doń, jak do ładu...

Ale idź dalej jeszcze, ku wyższym zwierzętom. Zapytaj doświadczonego hodowcy bydła, co myśli o zaniechaniu doboru albo, ściślej mówiąc jeszcze, o kazirodtwie. Jeżeli zwierzęta, np. świnie, z tej samej rodziny, a przede wszystkim rodzeństwo, parzyć wciąż pomiędzy sobą i nie odświeżać krwi ich jakąś domieszką obcą, to w szeregu pokoleń wytwarzają się najdziwaczniejsze objawy zwyrodnienia. Zwierzęta słabną, żyją krótko, aż wreszcie ginie zdolność rozrodcza zarówno w męskim, jak i w żeńskim rodzaju.

Każdy hodowca bydła wie, że musi tu ostrożnie postępować, że zaniechanie doboru, doprowadzone do przesady, spowoduje nieubłagane szkody; mówi ci on po prostu, że parzenie się wśród własnej rodziny jest czymś „nienaturalnym“, czymś, co osłabia, co spowoduje zwyrodnienie, wreszcie do wygaśnięcia całej odnośnej rodziny.

Wreszcie przypomnij sobie siebie samego. Czy ożeniłbyś się ze swoją siostrą? czy wyszłabyś za męża za brata? Prawo w znaczeniu jurystycznym surowo zabrania ci tego w społecznym państwie kulturalnym. A na czym opiera się to prawo? Opiera się ono na poglądach moralnych, które są nieskończenie starsze od wszystkich naszych państw społecznych, starsze nawet od całej naszej kultury. Dzikie ludy bez państwa i bez paragrafów prawa, ludy, stojące prawie poza wszelką kulturą, tak samo, jak i my, uznają za pogardy godne małżeństwa pomiędzy rodzeństwem lub pomiędzy rodzicami a dziećmi.

Czy poglądy te, które panują pośród nas dawniej i bardziej nieubłagane, niż piramidy, niż religie i korony królewskie, są tylko dziwactwem mistycznym ludzkości? Lekarz, którego kodeksem moralnym jest statystyka, odpowiada: nie. Wykazuje ci on w szeregach liczb, że istnieje ogromne prawdopodobieństwo takiego samego niebezpieczeństwa dla ludzi, jak i dla świń, od zaniedbywania prawa doboru lub, co gorsza, od kazirodztwa. Potomstwo małżeństw, skojarzonych pomiędzy bratem a siostrą lub pomiędzy ojcem a córką, tak samo tu, jak i tam, wykazuje cechy zwyrodnienia. Jeżeli zechcemy być powściągliwi, to powołamy się w tym względzie na zdanie ogromnej większości lekarzy. Sprawa staje się jednak po prostu „okropnie prawdopodobną“, jeżeli rozważyć, że człowiek jest tylko poszczególnym okazem w królestwie życia i że głosy potępienia dla kazirodztwa zwałają się na niego jako huk burzy z roślinnego i zwierzęcego świata.

Cóż to ma wszystko znaczyć? Darwin odpowiada ci na to jednym słowem: prawo natury. Prawo natury sprzeciwia się kazirodztwu wśród żyjących istot. Najwyższym tego wyrazem jest nasz wstręt do małżeństw pomiędzy rodzeństwem. Jako zaś pierwszy prawie przejaw tego prawa posłużyćby mógł fakt owego wstrętu, jaki okazują błędzące cząsteczki komórek wodorostów wobec łączenia się z bratnimi komórkami kolonji, z tego samego podziału wytworzonej. A jako pierwszy wyraz symboliczny moglibyśmy przytoczyć naszą bajkę o karłach, która ma wyobrażać istotny stan pierwotny całej sprawy.

Uważałbym za możliwe przypuścić, że pierwotnie wzgląd pożytku mógł być stanowić punkt wyjścia dla późniejszego „prawa przyrodzonego, wymierzonego przeciw kazirodztwu“. Rozumie się, że to wszystko, co nasamprzód jako „nieużyteczne“ wciąż było tępione, później zgodnie z jakimś „prawem“ w sensie darwinistycznym dzięki specjalnym odziedziczonym

środkom obronnym musiało przestać istnieć. Takie zjawisko np., jak zanikanie zdolności rozrodczej u potomków z małżeństw pomiędzy rodzeństwem, należałoby uważać właśnie za coś wtórnego, co rozwinęło się dopiero następnie. Atoli możliwym jest, że w tym wszystkim pierwotnie już tkwiło zasadnicze prawo organiczne, na podobieństwo prawa przemiany materji, prawa wzrostu, rozmażania się i t. d. W świetle tej hipotezy owi prakarzelkowie znajdowali się może po prostu jakby a priori pod zaklęciem jakiegoś prawa biegunowości, które odpychało „jednorodne od jednorodnego“, t. j. prawdziwego brata od prawdziwego brata, i pierwotnie już kazało omijać brata, a zwracać się ku obcemu przybyszowi, kiedy chodziło o konjugację. W każdym razie trudno będzie teraz sprawę tę całkowicie rozwiązać; tylko rzecz główna polega na tym, że pozostaje niewzruszony sam fakt, jako taki. Uprzywilejowane było łączenie się obcego z obcym, a nie brata z bratem.

Ale bez względu na objaśnienie fakt ten sam już siłą logiki wskazuje dalszą drogę naszym wywodom.

Dawanie pierwszeństwa obcym towarzyszom dla aktu łączenia się płciowego zmuszało małych karzełków do wędrowania. Podczas tych wędrówek napotykali oni pewnych obcych nieruchliwych karłów, pochodzących z nierównego podziału na dwie części, i z nimi w najbardziej pomyslny sposób przywykli się łączyć. W ten sposób zjawiała się ta rozmaitość spółtowarzyszy konjugacji; dwupłciowość wykwitła w tym sensie, że już teraz po wyglądzie zewnętrznym można było odróżnić coś małego, ruchliwego, szukającego od czegoś większego, mniej ruchliwego, wyczekującego.

Spójrz na siebie samego, coś jest najwyżej uorganizowanym zwierzęciem na ziemi. Azali nie dostrzegasz jeszcze w sobie samym włokącego się za to-

ba cienia tego prastarego zjawiska z bajki o karłach-pierwotniakach?

Nasamprzód widzisz jeszcze u siebie stałą, wybitną różnicę w postaci zewnętrznej obojga rozmnażających się indywiduów. Nie tylko brat omija brata i szuka obcego człowieka dla aktu płciowego, ale pozatym szuka on jeszcze człowieka zasadniczo różnego od siebie pod względem cielesnym; jako mężczyzna, szuka on kobiety, kobieta zaś, naodwrot, mężczyzny szuka. A spojrzij teraz uważniej w oczy temu przeciwieństwu. Czy widzisz ślad tej prastarej bajki o karzełkach, bajki o ruchliwej komórce, co szukała, i o tej drugiej, osiadłej, co czekała?

W olbrzymich trybach życia i kultury ludzkiej kobieta również stanowi jedno kółko: bierze ona żywy udział w tysiącnych ruchach fizycznej i umysłowej natury, i ta własna jej ruchliwość wzrasta właśnie w oczach naszych niepowstrzymanie. Atoli jeżeli pośród tego wszystkiego wzrok swój stale skierować będziesz w stronę samego życia płciowego, to spostrzeżesz, że zawsze jeszcze mężczyzna jest tu tą stroną, co daje, a kobieta tą, co przyjmuje. Sięgnij wyobraźnią wstecz ku owemu tajemniczemu przejawowi twego ludzkiego zapłodnienia. W ciemnej otchłani kobiecych narządów płciowych spostrzegasz to samo przeciwieństwo w rozmiarach małych, najściślejszych, ale też najbardziej decydujących. W istocie i komórka jajowa żyje życiem własnym. Wyzwała się z jajnika olbrzymiego (w porównaniu z nią) ustroju kobiecego dzięki aktowi rozszczepienia zupełnie tak samo, jak ów osiadły w jednym miejscu karzełek oddzielił się od swego karzełka-rodzica dzięki energicznemu ruchowi. Komórka ta wędruje przez jajowód do macicy, a więc porusza się przez pewien czas sama naprzeciw nasieniu męskiemu. Ale i owi karzełkowie z bajki, którzy naogół względnie osiadłe wiedli życie, również się prawdopodobnie poruszali trochę, choć o wiele mniej, niż inni. I niema żadnej

wątpliwości, że kiedy widzisz oto, jak ciałka nasienia wchodzą w macicę i otaczają jajko, to masz zupełnie to wrażenie, że teraz dopiero przybywa owa czynna, właściwie ruchliwa potęga, która całkowicie odpowiada owym wesołym wędrowcom z bajki. Nawet różnica, dotycząca rozmiarów, ściśle zachowana jest w stosunku ciałka nasiennego do jajka. Jedno ciałko nasienne przedostaje się do jajka—i oto masz znowu równoległe zjawiska, dotyczące obecnie jądra jajka i główki ciałka nasiennego.

Oboje się ruszają, ale jedno bardzo wolno, natomiast druga szybko, jak strzała. Wreszcie jako korona wszystkiego następuje zlanie się tych dwóch tworów, które przysparza siły dla nowego rozwoju całkowitego: ten sam akt ostateczny tu, co i tam, jako rezultat przeciwieństwa pomiędzy ruchomym a nieruchomym, dużym a małym, pomiędzy karzełkiem męskim — męską komórką — a karzełkiem żeńskim — komórką żeńską.

Ale to, co człowiek odtwarza ci tylko jeszcze w postaci najwnętrznego aktu, to samo widzisz bezpośrednio u całego szeregu dwu żyjących jeszcze komórek pojedynczych. Oto kręci się w wodzie szybkim ruchem wirowym drobna zielona kuleczka o grubości niespełna milimetr wynoszącej. Rozpatrujesz ją pod drobnowidzem i przychodzisz do wniosku, że jest to nie pojedyncza komórka, poszczególny twór żyjący, ale cała ich gromadka, tysiące takich tworów, które mocą jakiejś najprostszej spójni społecznej łączą się z sobą i tworzą ruchomą kulę. Badacz nazywa te dziwaczne twory *Volvox*, kulistym wodorostem albo zwierzątkiem kulistym. W rzeczywistości nie są to właściwie ani zwierzęta, ani rośliny, a tylko żyjące towarzysko pierwotniaki, bliższe w każdym razie roślinom, aniżeli zwierzętom. Czynniki społeczny, który tu już się ujawnia, pozostaw tymczasem na uboczu, a zwróć tylko uwagę na poszczególne twory takiej kuli *Volvox* i badaj ich rozmnażanie się. U rozmaitych odmian

takich stworzeń spostrzegasz, jak to się zresztą zdarza często u dzisiaj żyjących pierwotniaków, wszelakie metody rozmnażania, istniejące jeszcze obok siebie. Widzisz zwykle dzielenie się komórek, widzisz rozpad ich na mnóstwo małych ruchliwych komóreczek, widzisz wreszcie konjugację takich zupełnie jednakowych jeszcze komórek. Ale oto dalej spostrzegasz już wyłaniającą się różnicę pomiędzy dwiema komórkami, podlegającymi konjugacji, mianowicie różnicę w ich rozmiarach; aż wreszcie napotykasz wyraźnie zaznaczone przeciwieństwo. U właściwego, zwykłego *Volvox* bywa często tak, że w jednym okazy tego gatunku wytwarzane bywają w celach rozrodczych wyłącznie wielkie, nieruchliwe komórki, w drugim zaś natomiast tylko małe, bardzo żywo się poruszające — i wtedy małe, ruchliwe odszukują dla konjugacji owe wielkie, nieruchliwe.

Podobne zjawiska spostrzegać możesz jeszcze dokładniej na trochę więcej rozwiniętych, prawdziwych roślinach. Idź na wybrzeże morza Północnego i poszukaj sobie ciemno-zielonego fukusa, opłókiwanego tam wszędzie przez fale, rośliny, stojącej na bardzo niskim szczeblu rozwoju. I na niej po jednej stronie oddzielają się równomiernie wielkie, spokojnie wyczekujące komórki, po drugiej zaś jakby wylatują małe, chyżo się poruszające. I tu istnieje stałe odnajdywanie się wzajemne i konjugacja tych dwóch wyraźnie już różnych gatunków komórek. Interesujące jest przytym badanie tego, z jaką pewnością owe komórki wędrownie, które zrazu przez wodę spłókaną roją się bezładnie, umieją wykrywać i ujmować te inne komórki, znajdujące się w stanie spoczynku. Istnieje przypuszczenie, że komórki ostatniego typu przesycają wszystką wodę najbliższą wokoło pewnymi substancjami (kwasami organicznymi), które stanowią niezbędny podniecie dla małych komórek wędrownych.

W naszej bajce o karłach wyrażałem się wprawdzie tak symbolicznie, jak gdyby karzełki wzajemnie

się widziały. Atoli dla jednokomórkowych pierwotnych zwierząt i roślin bez specjalnych narządów zmysłowych musisz ten symbol brać zupełnie ogólnikowo. Tam, gdzie nie było oka, a w każdym razie czucie świetlne było jeszcze niedostateczne, ażeby w każdym poszczególnym wypadku dać towarzyszo- wi obraz drugiej komórki, tam prawdopodobnie trzeba było się zadowolić samymi podnieceniami chemicznymi, które działały na węch albo na smak, podnieceniami, które, zapamiętajmy to sobie, u ustrojów wyższych nawet, zaopatrzonych w sprawne narządy wzroku, bezsprzecznie grają jeszcze wybitną rolę we wszystkich sprawach, dotyczących miłości. Nawiązując to do naszej bajki, możesz sobie w sposób bardzo prosty wyobrazić, że karzełek-poszukiwacz węszył swego towarzysza albo czuł go po smaku przepojonej nim wody na długi czas przed tym, zanim go zobaczył.

Mógłbym ci jeszcze opowiedzieć całą masę faktów, które ilustrowałyby historję o karłach z tego punktu widzenia. Ale z wszystkich tych faktów właściwie wynika jedno: gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie widzisz, że podział na płci ujawniał się nasamprzód jako różnica w rozmiarach obu łączących się komórek. Do tej różnicy przyłącza się później różnica w stopniu ruchliwości: jedna komórka jest bardziej, druga mniej ruchliwą. Nasza historja z karłami wykazuje ci niejako na jednym przykładzie, jak obie różnice rozwinęły się same przez się mocą najprostszyc przyczyn. Atoli ważne jest, ażeby wiedzieć jeszcze fakt następujący.

Całe ogromne masy żyjących jeszcze istot jednokomórkowych zupełnie niezależnie od rozmnażania prowadzą naprzemian to osiadłe, spokojne, to znów ruchliwe, tułacze życie. Ma się to wrażenie, jak gdyby te pierwotniaki już od samego początku zachowywały u siebie tę alternatywę w sposobie życia, dla wszelakich zwykłych celów przydatną. W ciągu ży-

cia jednego i tego samego indywiduum widzisz czasami najbardziej uderzającą kolejność w następowaniu po sobie okresów osiadłego i ruchliwego; przekonywasz się, jak w okresie trawienia, w czasie wysychania miejsca, które zamieszkują, lub w celu obrony przeciwko wszelakim zewnętrznym szkodliwościom i niebezpieczeństwom, swobodnie tułające się pierwotniaki nagle osiadają w jednym miejscu i otaczają się błoną, w której przeżywają okres spokoju. Kiedy przyczyna przygodna lub niebezpieczeństwo mijają, osiadła komóreczka przedzierzga się znowu w wesołą tułającą się tu i ówdzie komórkę. Zaiste, nie jest to nic dziwnego, że ten skądinąd już rozpowszechniony i często praktykowany zwyczaj znalazł również zastosowanie i w życiu miłosnym i tam zyskał wielkie, zasadnicze znaczenie. Przy zlewaniu się dwóch komórek oddawano pierwszeństwo takiej kombinacji, w której jedna strona wiodła osiadłe, a druga ruchliwe życie. Z chwilą, kiedy raz było to już ustalone i łączyło się jednocześnie z różnicą w rozmiarach, mógł się drogą naturalną wytworzyć jako rezultat taki stan rzeczy, że ruchliwość stała się mniej lub więcej stałą cechą jednej (męskiej!) połowy, naodwrot zaś, osiadłość — cechą „kobiecości“.

Koniec idyli karlej stanowi prostą bardzo konsekwencję poprzedniego—sam zresztą zdążyłeś już zapewne to zauważyć. Atoli w istocie sprawy wypada tu uczynić nagły i ogromny zwrot. Obie partje karzełek upodobniają się względem siebie przez to, że dzielą się na części „nierówne“, to znaczy, że każdy karzełek rodziciel dzieli się w jednym i drugim wypadku na jedną większą część główną i na jedną albo wiele mniejszych części odszczepionych, które wyobrażają naprzemian to małych (męskich) „karzełków-tułaczy“, to znów względnie większych (żeńskich) karzełków osiadłych. Cóż to znaczy innemi słowy?

To znaczy: ani męska, ani żeńska część odtąd nie rozpadała się wprost bezpośrednio na swych potomków, jeno przy sposobności odszczepiały od siebie tylko jako potomstwo mniej lub więcej obszerną część masy swego ciała. U „mężczyzny“ rozpadała się ta część na masę małych tułaczy, u „kobiety“ tworzyła się jedna lub nawet więcej wielkich córek osiadłych. W przekładzie na język „komórki“ brzmi to w sposób następujący: dwa twory jednokomórkowe: męski i żeński ujawniały odtąd męskość swoją i kobiecość tylko w ten sposób, że każde z nich poświęcało oznaczoną część swego ciała dla celów rozrodczych: męska część rozpadała się na mnóstwo męskich komórek wędrujących, druga zaś tworzyła jedną lub więcej kobiecych komórek, wiodących żywot spokojny.

Wykonaj znów szybko salto mortale od takiego pierwotniaka do siebie samego, do człowieka. Na czym polega różnica? Oto dwa indywidua ludzkie rozmaitej płci: mężczyzna i kobieta. Przystępują oni do aktu rozrodczego. Cóż się dzieje nasamprzód? Oboje dzielą się. Ale jak? Przecież ani mężczyzna ani kobieta nie rozrywają się dla dokonania aktu miłosnego po prostu na połowy, jak karzełki albo bacylus? Nie, na połowy nie rozpadają się oni. Aliści i karzełki obu płci tego naszego ostatniego wyższego gatunku również nie czynią tego więcej. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta gatunku ludzkiego nasamprzód się dzielą na dwie części, ale na dwie części nierówne. Od ciała-olbrzyma zarówno mężczyzny, jak i kobiety odszczepiają się małe cząsteczki. Te cząsteczki przy uważnym rozpatrywaniu składają się u mężczyzny z grudki drobniutkich ruchomych komórek-tułaczek, t. zw. ciałek nasiennych, a u kobiety składają się z wielkiej dojrzałej komórki, poruszającej się powoli w stronę macicy, komórki „spokojnej“, t. zw. komórki jajowej. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta wiedzą, że nic im z tego nie przyjdzie, jeżeli produkty swego podziału puszcza

samopas na wyprawę miłosną. Trzeba do tego specjalnego zbliżenia obu dorosłych rodziców: kiedy się oni spotykają, jak gdyby sami pragnęli jeszcze raz stopić się wzajem w jedno ciało wzorem owego zamierzchłego zwyczaju przodków, wtedy dają możliwość jednemu z ciałek nasiennych dosięgnąć komórki jajowej i tu, wewnątrz ciała kobiecego, w istocie doprowadzić do aktu połączenia, który jakby przysparza obu komórkom „żywej karmi“ dla stworzenia nowej istoty żywej.

Ależ wtedy nie byłoby znaczniejszej różnicy? Nasi karzełkowie ostatniej kategorii ze swym aktem miłosnym mogliby być uważani pod względem spraw miłosnych już za ludzi?

Tak, w pewnej mierze wydaje się tak w rzeczy samej. Uplastycznij to sobie jeszcze trochę, ażeby zrozumieć to zupełnie dokładnie. Pojedyncza komórka lub pojedynczy karzełek — wszak nazwa jest już dla nas teraz pustym dźwiękiem! — zużywa tylko małą część swego ciała dla celów rozrodczych. Ta część po jednej stronie staje się wszystka komórkami męskimi, po drugiej — jedną albo wieloma komórkami żeńskimi. U ludzi jest to już więcej wyspecjalizowane. Tu ta część ciała już z góry jakby zaopatrzona jest w specjalny szyld, na którym widnieje napis: „Tu odbywa się proces rozrodczy“; tworzy ona narząd rozrodczy. Narząd ten ma za cel główny wytwarzanie komórek męskich, względnie żeńskich. Ale obok tego ma niektóre inne cele pożyteczne. Toruje np. drogę, gdzie odbywa się spotkanie komórki męskiej z kobiecą; stanowi nie tylko rezerwuar wewnętrzny niezupełnie jeszcze dojrzałych komórek rozrodczych, ale i pełni zewnętrzną funkcję jako narząd rozrodczy każdego indywiduum. I tak dalej. Tego powinieś był się jeszcze z bajki o karzełku i z tego, cośmy mówili o ustroju jednokomórkowym, domyślić; właściwie nie jest to nic nowego, ale wydaje się wciąż

jeszcze nader prostą konsekwencją wywodów poprzednich.

I w istocie łatwo sobie uzupełnić w ten sposób bajkę o karzełku, który przecież tak czy owak rozumiany był jako symbol.

A więc karzełek męski i żeński—taki byłby koniec bajki — zdobyli prawidłowe narządy płciowe, zupełnie takie same, jakie posiada człowiek dorosły. Ale jeżeli chodzi o istoty jednokomórkowe, tych właściwych pierwotniaków, to wyłania się jeden punkt, który należałoby omówić.

Jest to ogromnie proste i zrozumiałe. Z chwilą kiedy u tworów jednokomórkowych nastąpił podział na płci, rozwinęły się w nich stałe narządy płciowe z wewnętrznymi rezerwuarami dla nasienia i jajek i zewnętrznymi przystosowaniami płciowymi, przeznaczonymi do przenoszenia odnośnych produktów. A skoro to już raz było „rozwinęte“, to jednokomórkowy pierwotniak był już jakby w rzeczy samej pod względem rozwoju płciowego zasadniczo zupełnie podobny do najpóźniejszej uduchowionej istoty ziemskiej, do wysoko rozwiniętego nad-zwierzęcia — do człowieka.

Twór jednokomórkowy i człowiek mieli teraz nie tylko komórkę życiem obdarzoną z człowiekiem spólną, ale i nieskończenie ważny pod jednym względem narząd. Czegóż brakowało mu jeszcze, ażeby stać się zupełnym człowiekiem? Brakowało mu wielkości. Ależ tę mógł osiągnąć dzięki wzrostowi. Istnieją dziś jeszcze twory bliskie jednokomórkowym, które nie tylko nie odznaczają się rozmiarami drobnowidzowemi, ale, przeciwnie, dosięgają wielkości jednego metra (cewiopławy). A czegóż więcej brakowało? Całej masy innych narządów: żołądka i kiszek, mózgu i rdzenia, płuc, serca, żył i wielu innych. Ale dlaczegóż nie zdobyć i tych, skoro zdobyty został jeden narząd o takiej doniosłości? Istnieją jednokomórkowe rośliny pierwotne i twory, bezpośrednio poprzedzające pod względem rozwoju rośliny właściwe, oraz istnieją

podobne do zwierząt jednokomórkowe wymoczki, a więc prawdziwe, choć względnie bardzo wysoko rozwinięte twory jednokomórkowe, których bezsprzecznie jednokomórkowe ciało wykazuje już w rzeczy samej najdziwniejsze załączki narządów innego rodzaju. U tylko co wspomnianych cewiopławów, mieszkańców wody, największych tworów jednokomórkowych, jedna olbrzymia komórka daje obraz ogólny, podobny wprost łądząco do rośliny wodnej, stojącej na wysokim stopniu rozwoju, posiadającej najzawilsze narządy: podziemne korzenie i naziemne zielone gałęzie z językowatymi liśćmi o zębatych brzegach. A poszczególne takie cewiopławy stanowią właściwie jeszcze najlepszy wzór istotnego płciowego rozmnażania się w obrębie jednej komórki! A jeszcze bardziej interesujące są zjawiska u wymoczków, już więcej do zwierząt podobnych tworów jednokomórkowych.

Mówiliśmy już powyżej kilkakrotnie o procesach wchłaniania i wydzielania u jednokomórkowców. Ale jak to się odbywa u takiego najpierwotniejszego tworu, u bacylusa czy ameby? Czy ma on żołądek i кишки, jak my? Bynajmniej. Wchłania on w dosłownym znaczeniu całym ciałem swym i całym ciałem również wydziela. Jeżeli karmisz amebę zabarwionym ziarnkiem jakiejś materji pożywnej, przekonywasz się wtedy, jak ziarnko to wejść może w miękkie ciało komórkowe w każdym miejscu dowolnym, jak ono w całej komórce w jednaki sposób bywa rozpuszczane i przetwarzane i jak wreszcie w każdym dowolnym miejscu jakaś resztką ziarnka, do użytku niezdatną, może być wydzielona jako ekskrement. Zupełnie tak samo rzecz się ma z wchłanianiem powietrza — z oddychaniem, tak samo z czuciem, którym, zdaje się, równomiernie obdarzone jest całe to małe ciało; a wreszcie wyżej już słyszałeś, że to samo powiedziec można o ich miłości wtedy, kiedy się dzielą całkowicie i całkowicie się z sobą zlewają; powiedziec można

wtedy, że te ameby drobne w bezpośrednim dosłownym znaczeniu tego wyrazu „kochają całym ciałem“.

Atoli inaczej rzecz się ma, jeżeli chodzi o jednego z grupy wymoczków. Składa się on jeszcze z jednej komórki, jak ameba; ale przyjrzyj mu się, jak on wchłania i trawi. Na pierwszy rzut oka spostrzeżasz sformowany, niezmienny otwór ust, przez który przechodzi zarówno stały, jak i płynny pokarm. Te „usta komórkowe“ prowadzą przeważnie do krótkiego kanału, paszczy, której ścianka zaopatrzona jest często w pałeczki, jak w więcierze, co zapewne grają niejako rolę zębów. Często usta mają już wargi, nawet długi ryjek do ssania. Często również spostrzec można otwór i na przeciwległym końcu ciała, „odchodowy otwór komórki“. Brak tylko żołądka właściwego: pomiędzy paszczą a otworem odchodowym pokarm leży po prostu swobodnie w masie komórkowej. Ale widzisz już i tam, że pokarm ten porusza się według pewnego planu, że przetwarzany bywa przynajmniej na wzór tego, jak się to odbywa w żołądku, i nieświadomie szuka się wtedy, azali u jakiegoś wymocзка, stojącego na wysokim szczeblu rozwoju, nie powstała jednak już pomiędzy paszczą a odchodowym otworem jaka stała rurka lub pęcherzyk, jako pierwszy załążek żołądka lub kiszki.

A gdyby tak było w istocie, to nic prostszego, jak wyobrazić sobie dalsze rozczłonkowanie ciała na narządy poszczególne, dalszy „podział pracy“ w obrębie tych narządów, zupełnie tak samo, jak przy wyodrębnieniu się narządu rozrodczego—i oto mielibyśmy przed sobą prostą drogę od wymocзка aż do człowieka.

Nie. Istotny postęp od pierwotniaka do człowieka i wogóle do wyższego ustroju nie szedł w rzeczywistości taką prostą drogą, ale o wiele bardziej skomplikowaną. I o tym nie powinniśmy zapominać, chociażbyśmy mieli napotkać w łańcuchu logicznym naszych wywodów o miłości jakiś zawilszy węzeł albo nawet przerwę.

Zalążki narządów u cewiopławów i wymoczków wyobrażają wyjątkowe tylko i bezpłodne próby. Przez długi okres czasu, zanim wystąpiły czynnie i miały sposobność rozwinąć się, miarodajnym stał się dla dalszego rozwoju jeden punkt widzenia, dający się niedwuznacznie określić przez jeden tylko wyraz: „społeczny“.

Już w końcu bajki o karłach skierowałem uwagę czytelnika na czynnik społeczny. To, że karzełek — albo pierwotniak — nie odszczepiał od ciała swego natychmiast swych ciałek nasiennych lub jajeczek, ale zrazu zatrzymywał je przy sobie, to w istocie swej było już rzeczywiście bardzo pierwotnym aktem społecznym.

Takie akty społeczne w zakresie szerszym musiały nabrać wybitnego, nawet decydującego znaczenia dla życia pierwotniaków w tym czasie właśnie, kiedy poczęła torować się droga ku osiągnięciu owego najwyższego szczebla miłości. Nie szukając nawet, natknęliśmy się już poprzednio przy omawianiu istniejących jeszcze dotąd istot jednokomórkowych na taki ogólny fakt o charakterze społecznym — na kulę Volvox. Cóż ona wyobrażała?

Kilka tysięcy drobniutkich jednokomórkowców, dających się jeszcze zupełnie wyraźnie rozpoznać jako indywidua jednokomórkowe, tworzą razem dzięki pewnego rodzaju luźnemu związkowi względnie wielką zieloną kulę, która, niby jednolicie całkowity ustrój, szybkim ruchem pływa po wodzie.

Uprzytomnij sobie dobrze, że te komórki nie są „zlepione“ z sobą mocą jakiegoś aktu miłosnego, któryby z tysiąca zlewających się kulek poszczególnych stwarzał jednolitą wielką kulę, niby jedną olbrzymią masową kulę miłosną. Ma się wprawdzie wrażenie, jak gdyby cząstki, składające Volvox, nauczyły się poniekąd czegoś od miłości; podchwyciły one mianowicie zasadę, której uczyła się dobitnie miłość: że

we dwoje lepiej się dzieje, niż samemu. Atoli tym razem nie doprowadziły one tej zasady do potęgi właściwej zasady miłosnej, nakazującej istotne stopienie się wzajemne. Ułożyły się one tylko blisko siebie, jakby szczepiły się z sobą, i dzięki naturalnej przepuszczalności ich ścianek stworzyły łatwą i niczym nie skrepowaną wymianę materji płynnych — ale pozatym nic więcej.

Atoli tę powściągliwość pod jednym względem powetowały sobie później, dzięki postępowym tendencjom pod innym, mianowicie, że zlepiały się z sobą powierzchownie, już nie parami, ale po dziesięć, sto, tysiąc, nawet po dwanaście tysięcy, jak to bywa w zwykłych kulach Volvox. Poprzez związek miłosny z jego nieograniczoną intensywnością, która dotyczyła jednak wszędzie tylko dwojga spółtowarzyszy, doszły one do związku społecznego o większej daleko ekspansywności, dając natomiast możność przystąpienia do związku wzajemnego tysiącom indywidualów.

A teraz znów uczyni skok do siebie samego. Do kogóż ty, jako człowiek, więcej podobny jesteś w budowie swego ciała: do jednokomórkowego pierwotniaka, czy też do kuli Volvox? Przypomnij sobie naszą gawędę o komórkowej budowie twego ciała. Czymże jest pojedynczy jednokomórkowy pierwotniak, pojedyncza ameba czy pojedynczy baćylus? Jest to jedna komórka, t. j. jedna cegiełka życia. A czym ty jesteś? Związkiem miljarde komórek, t. j. domem olbrzymim, składającym się z niezliczonych takich cegiełek. A czym jest kula Volvox? Stanowi ona związek kilku tysięcy takich cegieł, luźno z sobą zlepionych. Teraz jest zupełnie jasne: kula Volvox wyobraża istotną drogę pomiędzy jednokomórkowym pierwotniakiem a człowiekiem; jest drogą, wiodącą poprzez związek społeczny wielu komórek, wielu żywych cegiełek, do budowli wyższego rzędu: nasamprzód małe lepianki, później chaty, później pałace, wreszcie katedry wy-

niosłe, z których duch ludzki spogląda w niebo gwiazdziste...

Wprawdzie ta kula Volvox sama dzięki systemowi oddychania pokrewna jest bardziej roślinom, aniżeli zwierzętom... Z niej prawdopodobnie rozwinął się w prostej linii nie człowiek, a wyżej uorganizowany świat roślinny. Ale wszak i ten oto cyprys czarny stanowi olbrzymią wierzycę z wielu, wielu milionów komórek-cegiełek złożoną. A zresztą wzięliśmy Volvox jedynie jako nastroczający się przykład. Volvox'owi odpowiadają bliżej świata zwierzęcego stojące takie pierwotne związki komórkowe u wspomnianych powyżej prawdziwych wymoczków, a więc również u samej podstawy królestwa zwierzęcego, np. opisana przez Haeckla Magosfera albo norweska kula-migawka, gdzie 30 i kilka do 60-ciu gruszkowatych komórek tworzy również jedną spólną kulę, nie stapiając się z sobą. Więc wychodzi na jedno.

Ale teraz jeszcze chwila skupionej uwagi. Tu człowiek, tam kula Volvox, jeszcze dalej ameba jednokomórkowa. Azali różnica polega jedynie na tym, że ameba stanowi niejako jedyną izolowaną cegiełkę, kula Volvox — stowarzyszenie kilku tysięcy takich cegieł, tworzących razem pływającą kulę, a człowiek wyobraża olbrzymią budowlę z mirjady takich cegieł?

Nie, nie tylko na tym.

Przypomnij sobie, com ci już raz kiedyś opowiadał. Opowiadałem, że ciało ludzkie, podobnie jak ciało psa lub dżdżownicy, nie stanowi jedynie olbrzymiej bezładnej grupy komórek. Mamy tu do czynienia z subtelnie urządzonym „domem“. W tym domu grupy komórek, jak cegły wielkomiejskiej budowli społecznej, tworzą osobne „pokoje“ dla rozmaitych celów przeznaczone: tworzą całą masę n a r z ą d ó w. Tu kiszka, która trawi, tam płuco, gdzie krew się oczyszcza i nowych nabiera właściwości, tam wreszcie mózg, gdzie odbywa się „myślenie“. I wyraz o niezwyklej prostocie rozwiązuje zagadkę tego całego ustroju do-

mowego: „podział pracy“. Do wyrazu „społeczny“ dołączamy drugi, równie dobrze obejmujący pewien zakres zjawisk, jak i pierwszy.

Mirjady komórek, które tworzą ciało ludzkie, nie tylko stanowią związek społeczny, ale nadto w tym zrzeszeniu społecznym zapanował nader rozumny i szczęśliwy podział pracy. Z mirjady komórek tylko pewna liczba zajęta jest wchłanianiem: one tworzą narządy odżywcze człowieka, np. кишки. Pewna liczba komórek wyłącznie słucha: tworzą one twój narząd słuchu aż do odpowiedniej części mózgu; pewna znów liczba innych komórek obarczona jest tylko obowiązkiem patrzenia: tworzą one aparat wzrokowy, począwszy od oka zewnętrznego aż do mózgu—i tak dalej.

Atoli ze względu na to, że wszystkie komórki poszczególne i wszystkie poszczególne narządy z tych komórek powstałe znajdują się jednocześnie w ścisłym związku społecznym ze wszystkimi innymi, każda praca poszczególna przynosi jednocześnie korzyść wszystkim innym komórkom: kiedy komórki kiszki wchłaniają, to zdobyte w ten sposób pożywienie krąży również swobodnie przez wszystkie inne komórki, które same bezpośrednio nie mają własności chłonnej: komórki wzrokowe, słuchowe, ruchowe i wszystkie inne komórki ciała ludzkiego — mniejsza o nazwę — są z tego samego źródła żywione i wzmacniane; a więc powiedzieć można, że komórki kiszki wchłaniają i dla nich.

Niepodobna jeszcze, oczywiście, takiego cudownego podziału pracy zauważyć u ameby lub bacylusa, niema tam bowiem jeszcze wcale społecznego zrzeszenia się komórek — jest wogóle tylko jedna komórka, która sama stanowi całe ciało i naturalnie również wszystko sama czynić musi jednocześnie: i wchłaniać i oddychać i czuć i t. d. Ale nawet w kuli Volvox

nie widać jeszcze prawie nic z tego wspaniałego podziału pracy.

Jest tu już wprawdzie związek społeczny; ale jeszcze każda komórka zrzeszona wchłania tu np. dla siebie, niema jeszcze „kiszki“ w sensie specjalnej grupy komórek chłonnych, stworzonej przez podział pracy, komórek, które jako narząd wchłaniający wchłaniałyby na korzyść całej kuli komórkowej. Ów bardziej zażyły podział pracy rozwinął się, oczywiście, dopiero po drodze, wiodącej od kul komórkowych, podobnych do Volvox, aż do człowieka.

Że podział pracy powstał na drodze rozwoju, narzucało się to bezpośrednio i było prawie zrozumiałe samo przez się, skoro raz stwierdzony został fakt zrzeszenia się społecznego wielu komórek. Wystarczy zastanowić się nad jednym przykładem. Weźmy wchłanianie.

Kilkadziesiąt komórek skupia się ściśle wzajem, tworzy zrzeszenie społeczne w postaci pływającej kuli. Każda komórka posiada cienki, chwiejący się wyrostek, niby włos wystający, przy którego pomocy pływała w wodzie jako istota pojedyncza. Teraz wszystkie wyrostki chyboczą się razem i przywykają do pewnego rytmu, z którym zgodnie płynie ruchem wirowym cała kula. Nie jest to jeszcze samo przez się podziałem pracy, jest to tylko pierwszy czyn społeczny; ale musi on z chwilą, kiedy się zjawiał, sam przez się doprowadzić do pierwocin podziału pracy

Na początku wszystkie komórki kuli wchłaniają każda dla siebie. Ale ponieważ ścianki komórek, którymi one ściśle wzajem do siebie przystają, przepuszczalne są dla płynów, więc zupełnie naturalnie przetworzone soki odżywcze przepływają z komórki do komórki, z jednej jakiejś, która w danej chwili wchłania i trawi, do otaczających komórek, które nie wchłaniają. Byłaby to tylko wciąż jeszcze zwykła konsekwencja życia gromadzkiego, choć przyznać należy,

że w pewnych warunkach konsekwencja ta dla komórek sąsiednich przedstawia już znaczne korzyści. Ależ oto zrozumiałą jest rzeczą, że takie komórki wchłaniające i trawiące leniwsze są od innych, że od czasu do czasu niedbalej poruszają swym wyrostkiem-wiosłem, a być może jest on zupełnie nieruchomy. I nie potrzebują go też, inne bowiem — i to znów stanowi prostą konsekwencję zrzeszenia społecznego — żywo poruszające swym ogonkiem i chyżo wiosłujące komórki sąsiednie ciągną je wszak za sobą.

Bacność! Już tu poczyna się korzyść wzajemna: jedna komórka wchłania za kilka otaczających, ostatnie natomiast posuwają ją w ciągu tego samego czasu naprzód bezpłatnie. A poruszanie się naprzód jest samo przez się znowu źródłem nowych zasobów żywności, i jeżeli nasza komórka wchłaniająca traci nawet nieco soków odżywczych na korzyść swych sąsiadek, to ma ona wkrótce dzięki ruchowi postępowemu, w którym bierze udział podczas wchłaniania, nowe szanse świeżego pożywienia, którego w innych warunkach byłaby pozbawiona. A ile popłynęłoby korzyści, gdyby z tego pożytecznego stosunku wzajemnego udało się wytworzyć prawdziwy podział pracy?

Z pięciu komórek np. objęłaby, powiedzmy po prostu, jedna, chociażby środkowa, całe odżywianie już za wszystkie cztery otaczające, a wzamian za to i dla wspólnego celu byłaby ona stale i intensywnie posuwana przez owe cztery pozostałe. Jedna wchłaniałaby tylko pożywienie i w tym kierunku ześrodkowałaby wszystkie siły swoje, inne zaś miałyby tylko obowiązek poruszania wszystkich komórek i w tej czynności ujawniałyby całe swe uzdolnienie.

Odrązu spostrzec można niewątpliwy pożytek z takiego obrotu rzeczy. A na tym najprostszym przykładzie spoczywa według wszelakiego prawdopodobieństwa jądro całego zawiłego procesu rozwojowego, który odbywa się pod tym względem pomiędzy kula Volvoxa a człowiekiem.

Na kuli wspomnianej następujący bieg rzeczy był zrozumiały prawie sam przez się. Kula komórkowa poruszała się z przyzwyczajenia w ten sposób, że jeden biegun był stale zwrócony ku przodowi; nieuniknionym więc było, że ten naprzód podany biegun, względnie komórki, które się tam znajdowały, otrzymywały największą część płynącego im naprzeciw pożywienia. Stopniowo na tym biegunie rozwijał się trwały ród komórek o zdecydowanym charakterze wchłaniającym. One dostarczały całemu ustrojowi soków pożywnych, a za to w nagrodę, a raczej, mówiąc ściślej, po prostu ze względów użyteczności, posuwane naprzód były przez resztę komórek, składających ciało drobnoustroju. Ale przestrzeń na biegunie chłonnym komórki była ograniczona, i ze względu na powiększenie się całej kolonii rozszerzenie tej przestrzeni przyniosłoby dużą korzyść. Co robić? Wyobraźmy sobie kulę ziemską i przypuśćmy, że na jej biegunie północnym pada deszcz gołąbków. Pochwycić je może tylko tych kilku ludzi, którzy znajdują się na samym biegunie, a jeżeli niema dostatecznej liczby rąk, to błogosławieństwo wraca w górę, i gołąbki ulatują na powrót w przestrzeń. Co przedsięwzięją sprytnie głowy, ażeby pomnożyć liczbę rąk pomimo ograniczonego miejsca? Wykopią oni dookoła bieguna jamę i ustawią ludzi pionowo jednego nad drugim na szczeblach drabin. Można byłoby zająć wyższe szczeble, ale byłoby to już przedsięwzięciem karkołomnym, drabiny bowiem utraciłyby równowagę. Na wszelki wypadek bezpieczniejsze są szczeble niższe. Tak samo dzieje się i z komórkami wchłaniającymi na biegunie wirującej kuli z komórek. Tworzą one jamkę, zagłębienie, wreszcie dziurę po prostu, której ściany i dno same zajmują. Prąd wody włacza płynące cząsteczki pożywienia w głąb bieguna kuli, a wtedy komórki wchłaniające mogą je tu bezpiecznie i spokojnie przetwarzać. Jakiż jest rezultat tego?

Z chwilą kiedy najbardziej ku przodowi wysu-

nięty biegun kuli zagłębia się lejkowato, z kuli tworzy się kielich. Wreszcie wewnątrz kuli tworzy się wpuklina, która ku przodowi otwiera się „ustami“, a ścianka kuli składa się z dwóch warstw komórek: tych, które pierwotnie stanowiły jej ściankę, oraz tych, które z bieguna stopniowo się wgłębiły na podobieństwo wpuklonego palca od rękawiczki.

Ścianka zewnętrzna zawiera wyłącznie komórki ruchowe, ścianka wewnętrzna natomiast tylko wchłaniające. I oto zamiast zwykłej kuli z komórek powstaje związek komórek z pierwszym podziałem pracy. Dziura na biegunie—to w samej rzeczy usta; ścianka zewnętrzna—to skóra z narządami ruchu; ścianka wewnętrzna—to normalny żołądek albo jelito. Od takiego tworu do człowieka pozostaje już niepomiernie mniejszy krok do zrobienia, wykazuje on bowiem podział pracy w pełni rozwoju: ma usta, skórę, jelita—jak człowiek. Nie jest to już po prostu piramida komórkowa bez treści wewnętrznej: posiada on niejako dwie włożone w siebie „komnaty“, z których jedna jest wyraźnie jadalnią i zaopatrzona jest w drzwi. Jest to już w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu projekt „domu“, jeszcze bardzo prosty wprawdzie, ale dzieli go od człowieka jedynie właśnie prostota, a nie sam rodzaj budowli.

Wszystkie wyższe „budowle“ zwierzęce: człowiek, pies, ostryga, dżdżownica, rozgwiazda morska—wszystkie one jednako wraz z całym skomplikowanym rozkładem ich salonów, gabinetów, ganków i komnat wytwornych pośród ich ciała wielokomórkowego, wszystkie one dadzą się sprowadzić do tego pierwszego prostego domku, gdzie po raz pierwszy wprowadzony został podział pracy. Haeckel przeważał go *Gastraea* od wyrazu *gaster* (żołądek), t. j. pierwsze zwierzątko z żołądkiem. Wszystkie wyżej uorganizowane zwierzęta wywodzą się z niego, jako z pnia pierwotnego. Robaki i polipy, raki i owady, muszle i mątwy, ryby, żaby, jaszczurki, ptaki, ssawce, wreszcie sam człowiek.

I człowiek pochodzi od owej pierwotnej *gastraea*, od tego pierwszego związku komórek, w którym konsekwentnie przestrzegany był podział pracy pomiędzy komórkami ruchowymi a wchłaniającymi, pomiędzy skórą a jelitem . . .

A teraz spostrzegasz tę olbrzymią różnicę? Chciałeś człowieka wyprowadzić w łańcuchu nieprzerwanym istot od wymocзка, który w swej pojedynczej komórce wytworzył sobie usta i otwór odchodowy. Napróżno! Nigdy nie uda ci się zdobyć bezpośredniego połączenia pomiędzy pierwotniakiem (choćby posiadał nawet w swej komórce 100 narządów) a olbrzymim gmachem z komórek złożonym — człowiekiem.

Ma się wprost wrażenie, że zrzeszanie się społeczne wielu komórek, dokonywane w celu wytworzenia spólnymi siłami jakiegoś indywiduum wyższego rzędu, z podziałem pracy w narządach komórkowych, sparaliżowało i odsunęło na dalszy plan zwykłe tworzenie się narządów oraz wogóle dalszy rozwój indywidualny tworów jednokomórkowych. W sprawie rzeczywistego rozwoju postępowego pozostało to gdzieś na jakiejś bocznej, opuszczonej ścieżce. Wyższe ustroje na ziemi i człowiek nie powstały z wymocзка, jako takiego. Wszystkie te ustroje wraz z człowiekiem mają swą podstawę w państwie wymoczków, w zrzeszeniu społecznym wielu wymoczków, które stopniowo rozwinięto się do potęgi podstawowego źródła nowych, wyższych indywiduów.

W tym powstawaniu nowych indywiduów ze zrzeszeń społecznych mamy przed sobą bez wątpienia proces sam przez się niezwykle dziwny. Człowiek jest jednostką, jest „ja“ — prawda? Jest dla siebie po prostu przykładem, prawzorem indywiduum wogóle. A jednak ongi miał on wraz z całą ludzkością powstać w ten sposób, że wiele milionów drobnych indywiduów-komórek złączyło się z sobą społecznie i splotło tak ściśle, że całość znowu przedstawia się jako „ja“,

jako indywiduum, nawet jako istotny typ takiego jednolitego „ja“.

Cała ta sprawa jest godna niezwyklej uwagi zwłaszcza z punktu widzenia „duszy“. Proszę pomyśleć: 50, przypuśćmy, komórek wstępuje do takiego społecznego związku. Dochodzi to do skutku również bez bezpośredniego stapiania się nasamprzód już dlatego, że ścianki komórek są przepuszczalne: soki odżywcze np. mogą swobodnie krążyć przez wszystkie komórki. I oto w ten sposób zupełnie zrozumiały stają się pod względem cielesnym „jednością“ wyższą. Ale jeżeli wyobrazić to sobie teraz pod kątem „duszy“?

Każda komórka poszczególna, każda komórka pierwotna, z której powstało wszystko późniejsze, miała niewątpliwie od samego początku swoją małą indywidualną duszę, swoją „duszę komórkową“. Dziś jeszcze każdy bacylus, każda ameba, każdy wymoczek posiada własną duszę w tym rozumieniu. Jakkolwiek ująć pojęcie duszy jako takiej—już wyżej pozostawiłem pod tym względem swobodę zupełną—to jednak tego prostego faktu pominąć niesposób. Nie ma on sam w sobie nic cudownego, jest on, owszem, przypuszczeniem, które po prostu samo się narzuca. Każdy twór jednokomórkowy ma swą oddzielną duszyczkę. On czuje, orientuje się w sposób najpierwotniejszy co do otoczenia, zdobywa doświadczenie, stanowi więc, co najważniejsza, jednostkę oczywiście i pod względem duchowym, tak samo jak wyobraża sobą jednostkę fizyczną jako wyodrębnioną komórkę.

I oto takie twory jednokomórkowe skupiają się wzajem, tworząc kulę, zwaną *Volvox*. Zrazu każda poszczególna komórka kuli zachowuje swe istnienie indywidualne, a więc i swą duszę. Ale pomimo to znać już niebawem pierwoćiny jakiejś, że się tak wyrażę, fluktuacji psychicznej, zupełnie tak samo, jak zwycajne skupienie wielu komórek w postaci kuli stanowi wszak już conajmniej zarodek jakiegoś cielesnego zjednoczenia, jakiejś nowej, wyższej organizacji. Łatwo

spoznać, że grudka naszych komórek znajduje się pod jednolitym jakimś kierunkiem duchowym, że wtedy, kiedy kula, jako całość, płynie, poruszana przez tysiące migawkowych nici komórkowych, wśród owych licznych dusz komórkowych panuje niejako „spólna myśl“ nad zgodnym orjentowaniem się w sensie pewnego wspólnego ruchu oraz kieruje nimi „spólna wola“. Atoli może mi tu spotkać zarzut, że jest to jednak znacznie odmienne od tego, co się dzieje z armją żołnierzy, którzy maszerują w zgodnym rytmie. Tak, musi tu oczywiście być coś innego, coś więcej. Fizyczne skupienie się komórek, które zrazu prowadzi do bardziej przypadkowej wymiany materji odżywczej, a w końcu do prawidłowej komunikacji soków i t. d., musiało wśród tej grudki komórek budzić stopniowo coraz silniejsze, mówiąc wciąż obrazowo, zlewanie się duchowe, o którym zrzeszenia społeczne wśród ludzi zrazu nie dają ci żadnego pojęcia lub przynajmniej w naszym zdawkowym pojmowaniu nie zwykły go dawać. I bez względu w danym razie na podział pracy sam przez się, który wreszcie na podobieństwo specjalnego narządu odżywczego w postaci żołądka stworzył również u zwierząt wyższych specjalny „narząd duszy“, jako środkowy punkt orjentacyjny w postaci mózgu,—bez względu na to, powtarzam, rezultut był oczywiście ten, że całe państwo komórek pozyskało świadomość jednolitego „ja“, tego „ja“ właśnie, które odczuwa w sobie człowiek. Jak to się stało, że miliony duchowych „ja“ zjednoczyły się z sobą w jakiejś najbardziej tajemniczej twórczości dusznej, aż wreszcie powstało jakieś „nad-ja“, które odnowa objęło treść tych milionów, jako całość? jak to się stało? — oto jedna z tych najciemniejszych kwestji, których rozwiązanie nęcące ginie w nieskończoności zagadnień. Zaprowadziłaby nas ona na „duchowe“ drogi mleczne, tak samo jak przedtem błędziśmy po nich, szukając odpowiedzi na zagadki w ustroju cielesnym. Może warto tylko podznaczyć sobie ten punkt

wyjścia, ażeby kiedyś przy sposobności móc się nad tym zastanowić.

Teraz nie możemy się zbyt w to zagłębiać, w rozgwarze bowiem kwestji wymknie się nam z ręki nasz sznur złoty — miłość. A więc zajmijmy się teraz kwestją, jak rozwijała się miłość wobec owego faktu olbrzymiej wagi, faktu społecznych zrzeszeń z podziałem pracy. Zajmijmy się tą kwestją, zamiast błądzić po wszystkich bocznych ścieżkach duchowych, gdzie tysiącoletni mech myślowy tłumi odgłos kroków człowieka i pochłania wszelki ślad, a w końcu przepaść wypadłoby chyba bez echa w bajeczno zielonym zaczarowanym lesie merlinowskim.

Rzecz przedstawia się w zasadzie bardzo prosto, o wiele, wiele prościej, aniżeli owa kwestja duszy, w istocie zaś swej nie jest niczym innym, jak konsekwencją logiczną wywodów poprzednich.

Doprowadziliśmy prahistorję miłości do miejsca, gdzie w każdym poszczególnym tworze wielokomórkowym oddzielała się część, jako zrąb płciowy, rozrodczy. Zdawałoby się, że oto nastąpił pierwszy podział pracy ze względu na akt miłosny: nie rozpadało się już odtąd całe ciało komórkowe na same komórki nasienne, ale tylko jeden zrąb był na ten cel przeznaczony, i tam miał miejsce rozpad na komórki nasienne. Porównaliśmy to ze zwierzęciem wyższym, z człowiekiem samym, i widzieliśmy, że owa zarezerwowana dla celów specjalnych część ciała rozwinęła się u mężczyzny i u kobiety w ten sposób, że stanowi już prawidłowy „narząd rozrodczy“.

A tymczasem wyrozumieliśmy, że ustroj ludzki nie może być rozpatrywany po prostu równolegle z pierwotniakiem jednokomórkowym, ale że człowiek wyobraża sobą olbrzymie stowarzyszenie społeczne takich jednokomórkowych ustrojów. W tym stowarzyszeniu każdy narząd również stanowi tylko pewną grudkę komórek, które związane są z innymi stosunkiem podziału pracy.

To samo jest z narządem płciowym człowieka. Narząd męski, wytwarzający nasienie, nie jest już tylko zrębem, zarezerwowanym w jednokomórkowym ciele, ale stanowi odnośny dział komórek w wielkim związku komórek, dział, który mocą podziału pracy wytwarza komórki nasienne w zastępstwie wszystkich innych, tak samo jak dział jelitowy za wszystkie komórki uskutecznia trawienie, jak dział mózgowy dba o orjentowanie się ogólne wszystkich komórek, a dział rdzeniowy i dział kończyn dolnych zarządza poruszaniem się ciała i t. d. I tak samo dzieje się u kobiety z jej jajnikiem.

Jedna tylko pozostaje przy tym kwestja interesująca i godna zastanowienia: jakie komórki nasamprzód połączyły się z sobą, np. podczas powstawania takiej kuli Volvox?

Sądzymy, że rzecz się tak miała.

Czytelnik przypomni sobie, że w prawdziwej konjugacji miłosnej, dokonywanej we dwoje, okazało się już bardzo wczesnie rzeczą niezmierniej wagi, ażeby łączyły się z sobą tylko indywidua obce, a nie brat z bratem. Na tej podstawie urosła w biegu historii naturalnej cała różnica pierwotna pomiędzy płciami, całe wszechświatowe i historyczne znaczenia przeciwieństwo pomiędzy „mężczyzną“ a „kobietą“.

Ale ta świeżo wyłaniająca się zasada związku społecznego wielu komórek nie miała nic do czynienia z zespalaniem się w sensie miłosnym. Było to zrzeszanie się w celach samoobrony, a nie akt rozrodczy.

Samo przez się było zrozumiałe, że takie zrzeszenia o charakterze samoobrony właśnie z samego początku (w przeciwieństwie do tego, co się działo w sprawach miłosnych) tworzyły się z rodzeństwa, z komórek jednego pochodzenia, jednego pierwotnego podziału zespolonej męskiej i kobiecej komórki. A wszędzie, gdzie wyodrębnienie płciowe przedtym już powstało i było odziedziczone, składały się one oczy-

wiecie bądź z braci, bądź z sióstr. I, jako fakt najnaturalniejszy, powstawały wciąż kule bratnie na wzór Volvox, składające się bądź z takich komórek, z których każda wytwarzała małe komórki męskie, bądź z takich, z których każda dostarczała wielkich żeńskich komórek. Dla zapłodnienia każda kula poruszała się ku innej o płci odmiennej, a z wytworów, powstałych po konjugacji, wyrastały obok siebie w ogromnej liczbie po części znów męskie, po części żeńskie komórki pojedyncze, które niebawem odnawia (zapewne już mocą odziedziczonej skłonności) zrzeszały się w braterskie i siostrzane związki.

Mówiąc nawiasem, zaznaczymy, że musiały zresztą już z początku samego powstawać od czasu do czasu kule mieszane, zrazu takie, w których łączyły się z sobą bracia i siostry. Prawdopodobnie z początku samego zdarzał się również często fakt, że z konjugacji męskiej i kobiecej komórki w akcie rozrodczym powstawała nie tylko prawdziwa męska albo prawdziwa kobieca komórka, ale taka, co dzieliła się na sposób mieszany: po części na sposób męski, po części na żeński.

Taki mieszany sposób rozmnażania się prowadził również w następstwie do mieszanych zrzeszeń. Nie należy jednakowoż zapominać, że i taka kula mieszana, która w tym ostatnim wypadku wytwarzała nadal z każdej komórki ciała nasienne i komórki jajowe, nie była wolna od trudu szukania sobie dla celów rozrodczych drugiej takiej kuli mieszanej. Wszak należące do niej komórki były jednak, mimo różnej płci, prawdziwym rodzeństwem i potrzebowały dla krwi swej nowych pierwiastków przez krzyżowanie. Ten trzeci wypadek jest sam przez się pouczający, i należy go sobie zapamiętać specjalnie, masa bowiem zwierząt i niezliczona liczba roślin, należących do wielokomórkowych, doskonale rozwiniętych ustrojów, zachowała się jeszcze dotąd jako istoty dwupłciowe. Ale i tu wszędzie musi hermafrodyta pomimo swej

dwupłciowości za każdym razem szukać w celach miłosnych drugiej istoty dwupłciowej i skrzyżować się z nią, zapobiegając zniweczeniu swego gatunku. Później powrócimy jeszcze do tego tematu—tu wspomnieliśmy o tym wszystkim tylko w nawiasie.

Pozostańmy przy zwykłym wypadku: mamy przed sobą kulę w rodzaju Volvox, której komórki pojedyncze są wszystkie rodzaju męskiego i wyłącznie wydzielają komórki nasienne, oraz drugą taką kulę, gdzie, odwrotnie, wszystko jest rodzaju żeńskiego. Teraz wstępuje w swe prawa zwolna podział pracy, który stopniowo surową grudkę komórek kuli zamienia w organizowaną budowlę. Widzieliśmy już, jak tworzyły się np. skóra, żołądek, usta, jak podział pracy stwarza w rzeszy komórkowej te pierwsze narządy. Czemużby to samo, co dzieje się tam z wchłanianiem, nie miało mieć przed tym lub po tym miejsca z miłością?

Każda komórka rzeszy odczuwa pierwiastkowo potrzebę wchłaniania i wydzielania w tym samym stopniu, w jakim odczuwa również jako potrzebę czynności wyższe dzielenia się samoistnego i wyprawiania odszczepionych cząsteczek ciała na szukanie przygód miłosnych. A jednak widzimy, jak stopniowo znaczna część komórek zrzeszonych odwyka od właściwej czynności przyjmowania pokarmów zewnątrz (i zarazem wydzielania nieużytków nazewnętrz), pewna bowiem liczba komórek przyjęła tę czynność na siebie w zastępstwie reszty. Te inne komórki otrzymują oczyszczone soki życiowe dla skompensowania strat podczas przemiany materji wprost od tamtych komórek, nie troszcząc się już zupełnie ani o przyjmowanie pokarmów, ani o trawienie. Czemuż zupełnie to samo nie zachodzi lub nie miało zachodzić przedtem z rozmnażaniem się?

Już w pojedynczej komórce istniała ta prerogatywa, nawet podział pracy pewnego rodzaju, polegający na tym, że nie miała ona już potrzeby rozpa-

dać się całkowicie na części rozrodcze, ale zachowywała sobie dla tych celów tylko pewną część ciała. O ileż korzystniej przedstawia się cała sprawa, kiedy ze 100 komórek 99 może skasować u siebie nawet ów kącik zarezerwowany, natomiast całe rozmnażanie przejmuje na siebie jedna komórka i dzieli się sama w zastępstwie wszystkich innych na komórki nasienne lub jajowe!

Myśl ogólna jest tak doskonała, że niema chyba potrzeby rozwodzić się nad nią dłużej. Na wzór tego, jak w związku komórek mógł się wytworzyć przewód pokarmowy, ogólny „narząd chłonący“, jakby biuro chłonne z wyodrębnionym biegiem interesów, z których korzyści stawały się jednak własnością ogólną całego związku, — zupełnie tak samo wytworzyć się mogły również w ogólnej masie komórek osobne wydziały z funkcją rozrodczą, osobne narządy rozrodcze: tu męskie, które wytworzyć miały dla całego rodu dostateczną liczbę komórek nasiennych, tam znów żeńskie, gdzie odbywało się masowe wytwarzanie jajeczek za wszystkich obywateli państwka komórkowego.

Oczywiście, co do szczegółów jest jeszcze wiele kwestji. Narząd chłonny chłonił i trawił odtąd za wszystkie komórki. Dobrze. Ale działało się to w ten sposób, że skuteczniał on właściwą „twardą“ pracą, ale z rezultatów korzystały również wszystkie inne komórki i narządy w postaci nie bezpośredniego wprowadzie, ale tym nie mniej realnego pożywienia. Narząd rozrodczy (męski albo kobiecy albo nawet obojniczy) również spełniał odtąd za wszystkich ciężką pracę rozrodczą; ale czy wzamian za to otrzymywał w jakikolwiek sposób zasiłki od innych?

Tu rozpoczyna się dziedzina faktów, których rozwoju w przeszłości nie podobna wyjaśnić sobie z tego względu, że nie wiemy jeszcze, jak te rzeczy stoją

u najwyżej uorganizowanych istot dzisiejszych, nawet u człowieka samego.

Ciemną jest jeszcze sama przez się kwestja, w jakim stosunku pozostają wszystkie komórki ciała ludzkiego z nowymi wytworami w naszych narządach płciowych. Azali pomimo podziału pracy albo właśnie dzięki niemu każda z tych mirjad komórek, które stanowią ciało ludzkie poza narządami płciowymi, znajduje się jednak w tajemniczym związku wewnętrznym z tym narządem i każdą poszczególną wytwarzaną tam komórką nasienną? Kwestja ta jest aktualną i dla wyższych ustrojów łącznie z człowiekiem samym i wkracza w obręb badań, nad którymi dzisiejsi uczeni zacięte wiodą spory. Jest to dziedzina t. zw. „dziedziczności“.

Właściwie poruszyliśmy już raz tę kwestję zgruba, mianowicie w historii o karłach. Powiedziane tam było, że z potomstwa tych karzełków, które połączyły się z sobą jako samiec i samica, wyrosły po części osobniki męskie, po części żeńskie. Cóż kierowało tą alternatywą? Jest to ta sama kwestja aktualna, którą poruszył wiedeński profesor Schenk: od czego zależy w płciowym rozmnażaniu się, gdzie mężczyzna i kobieta łączą się z sobą w sposób normalny i wywołują zlanie się w jedno dwóch komórek: nasiennej i jajowej—od czego zależy powstawanie chłopca lub dziewczynki? Oboje powstają naprzemian w jednym mniej więcej stosunku procentowym.

Ale gdzie tkwi przyczyna? Nikt tego nie wie. Zapewne nie wie tego również i profesor wiedeński. A jeżeli nie wiemy nawet, jak się to dzieje u człowieka, to jakżeż rozwikłać mamy tę zagadkę w komórkach pierwotnych? Powyżej zręcznie ominąłem tę całą kwestję, i wolno mi to było uczynić z tego względu, że w istocie zupełnie luźno związana jest ona z przewodnią ideą całości. Pozostaje właściwie tylko nieznaczną luką.

Ale teraz znów napotykaemy tę samą lukę. Do-

piero co słyszeliśmy pytanie, dotyczące tego, co określa płęć dziecka. Teraz kwestja ta staje przed nami w odmiennej postaci: chodzi o to, jaki wpływ posiadają komórki ciała całego wogóle na akt twórczy? Trzeba dobrze wyrozumieć, o co tu chodzi. Oto człowiek. Ma on pewien określony kształt twarzy: taki kształt nosa, piwne oczy o charakterystycznym wyrazie, na lewym policzku ma, przypuśćmy, piętno matczyne. Dziś człowiek ten płodzi dziecko. Dzieje się to nie w ten sposób np., że całe ciało jego dzieli się na dwie części, przyczym i twarz rozpadałaby się również na dwie części, ale dziecko płodzi człowiek przy pomocy narządu płciowego: oddziela od siebie jedną maleńką komóreczkę nasienną, ta znajduje sobie komórkę jajową kobiety, stapia się z nią w jedno — i z wytworu tego procesu wyrasta nowy człowiek, chłopiec albo dziewczynka — dlaczego? tego już nikt nie wie. Ale mniejsza o to: niechaj będzie chłopiec. Przychodzi on na świat... i oto ma twarz podobną do ojcowskiej: te same oczy, to samo piętno na policzku. W jaki to sposób było możliwe? Proszę sobie wyobrazić przez chwilę, że człowiek w samej rzeczy rozpadł się całkowicie na połowy, jak pierwotniak jednokomórkowy. Wtedy jego połowa, t. j. dziecko, otrzymałaby jedno z jego oczu i być może właśnie przypadkowo ów policzek z piętnem. Nie byłoby wtedy w tym wszystkim nic dziwnego... Lecz w danym wypadku? Oto pamiętać należy, że wydzielenie z siebie ciała nasiennego zamiast podziału na dwie części jest skutkiem całego szeregu czynników; ma ono swe źródło, po 1-sze, w zjawiskach, których widownią była owa historia o karłach pierwotnych; po 2-gie — w zrzeszeniu się społecznym niezliczonych komórek w celu utworzenia ciała ludzkiego; po 3-cie — w podziale pracy, który wytworzył narząd płciowy. On ześrodkowuje w sobie wszystką płciową siłę rozrodczą tego zrzeszenia. W chwili kiedy narząd ten wydziela ciało nasienne, powtarza się raz jeszcze, sym-

bolicznie niejako, proces dzielenia się całego ciała. I co najdziwniejsza, że oto ten narząd oczywiście mocen jest w pewnych warunkach wtłoczyć w jedną jedyną drobną komórkę nasienną tak wierny obraz całego zrzeszenia komórkowego, że wreszcie w dziecku wyłonić się mogą zupełnie wyraźnie oczy ojca, piętno matczyne i t. d. Cóż to za czary? któż nadaje temu narządowi taką potęgę? Czyż nie znajduje się on w stałym a tajemniczym związku z wszystkimi komórkami, co umożliwi mu otrzymanie z każdej komórki pewnego udziału w celu oddania go komórce nasiennej?

Istnieli bardzo mądrzy ludzie, którzy wyobrażali to sobie w sposób bardzo realistyczny. Podobnie jak jelita trawią same, a później siły odżywczej udzielają wszystkim komórkom, tak samo i narząd płciowy sam miał wytwarzać substancje rozrodcze, ale przytym otrzymywać miał od każdej poszczególnej komórki trochę siły odżywczej, która (przeniesiona, być może, w postaci drobniutkiej cząstki komórki) miała właśnie sprzyjać dokładnemu odtworzeniu każdej poszczególnej komórki w ciele tworu, pochodzącego od komórki nasiennej, t. j. w ciele dziecka. Każda komórka piętna matczynego np. również dostarczała ponoć narządowi płciowemu drobniutkiej cząsteczki materiału, który, będąc wchłoniętym przez każdą komórkę nasienną, mógł również taką cząstką piętna obdarzyć znów przygodnie każde dziecko z tego nasienia pochodzące! Darwin nadał tej teorii formę najściślej i ochrzcił ją mianem „pangienetycznej”. Jasna, że, gdyby tak rzeczywiście było, dałoby się łatwo całą sprawę wtłoczyć w nasz łańcuch rozwojowy. Ale właśnie jest wielka kwestja, czy tak jest.

Właściwie nie omawialiśmy kwestji dziedziczności, ale przedstawiliśmy tylko hipotezę, podaną przez mądrego człowieka. Są jeszcze inne hipotezy. W dziedzinie dziedziczności roi się i przelewa od hipotez

w obecnej chwili — a żadna właściwie nie jest przekonywająca. Pogląd Darwina jest jakby najprostszy, najprymitywniejszy, najbardziej jednakowoż się nadaje do jasnego postawienia samego problemu. Ale jest więcej niż prawdopodobne, że w rzeczywistości sprawa przedstawia się o wiele bardziej zawile. Przypuszczamy jeszcze poważny zarzut przeciw teorii, zarzut, który poprowadzi nas o krok dalej w dziedzinę społecznych rozpraw naukowych o dziedziczności.

Jeżeli każda komórka związku komórkowego nie przestaje w ciągu całego życia wywierać bezpośredniego wpływu w sensie Darwina na każdą komórkę nasienną, to słusznym byłoby, co następuje.

Przypuśćmy, że dany człowiek nie miał od urodzenia piętna na twarzy. Aż tu pewnego razu ktoś przez nieostrożność poparzył mu policzek, tak że utworzyło się piętno, blizna. Potym płodzi on dziecko. Skądinąd cała twarz podobna jest do ojcowskiej twarzy. Ale czyż będzie miało ono również i bliznę? Gdyby spoglądać na to ze stanowiska darwinistycznej teorii dziedziczności, to dla czegożby nie miało jej mieć? Wszak i te zmienione na skutek oparzenia komórki udzieliły swoich cząsteczek komórce nasiennej w narządzie płciowym, przy której pomocy spłodził on dziecko — więc znak po poparzeniu musiałby również ujawnić się u dziecka. Darwin i liczny szereg innych uczonych zapewniają, że przypadki podobnego dziedziczenia często właśnie się zdarzają. Temu zaprzecza właśnie cała szkoła, która skupia się dookoła Weismanna. Twierdzą oni, że odziedziczenie takich świeżo nabytych cech nigdy i nigdzie nie było jeszcze dotąd spostrzegane. Jeżeli tak jest w istocie, to twierdzenie to oczywiście stanowi ciężki zarzut przeciwko tamtej całej teorii o nieustannym związku każdej komórki zrzeszonej z każdą komórką nasienną w narządzie płciowym. To też Weismann postawił zupełnie inną teorię dziedziczności. Ale znów pytanie, czy Weismann ma słuszość? Przeciwno jego teorii znów występuje

bardzo ogólnikowo tylu innych, którzy wcale nie byli zwolennikami owej teorii Darwina, a kruszą kopje swe na korzyść innych teorii dziedziczności. Koniec końców, stoimy nad otchłanią rozumowań, gdzie najwidoczniej w zakresie punktów najbardziej spornych nie ustalone jest z absolutną pewnością najprostsze nawet spostrzeżenie. A dopóki tak jest, nie może być nigdy trwałego gruntu pod nogami.

Niechaj tymczasem walczą z sobą obozy wrogie, my zaś nie zapuszczajmy się zbyt głęboko w ten labirynt, tak samo jak to uczyniliśmy wobec kwestji o duszy. Już z samej istoty problemu miłości wypływa, że wszędzie jądra rzeczy sięga. Tu wytryskują wtedy wszystkie wody głębin, jak w zbyt śmiało drążonym szybie, — nawet te zupełnie czarne wielkie podziemne potoki, na którym chybczą się, niby jakaś warstewka chwiejna, wiedza i światopogląd społecznego człowieka.

Nie, trzymajmy się roztropnie z wielkim rozmachem nakreślonej linii—bez zagłębiania się w ciemne dziedziny kwestji specjalnych, popod któremi tuż znajdują się purpurowe otchłanie, zaludnione salamandrami i smokami.

Wydaje nam się, że owa linja szeroko zakreślona jest już jako całość zupełnie jasna dla czytelnika. Wiedzie ona od pierwotniaka jednokomórkowego—bezpłciowej istoty, co w celach rozrodczych rozdzierała się po prostu na dwie części — aż do istoty wyższej, która stanowi zrzeszenie wielu komórek, choć jako całość — w sposób zaiste cudowny — wyobraża sobą znowu prawdziwe, jednolite indywiduum; a pozatym dzieli się na narządy dzięki zasadzie podziału pracy i posiada taki narząd, co służy wyłącznie do celów rozrodczych, że pominiemy już kwestję, w jakim związku znajduje się on z wszystkimi innymi komórkami ciała i czy wogóle taki związek istnieje. Narząd ten może być męski lub żeński; wydziela odpowiednio do warunków komórki nasienne lub jajowe, albo je-

dne i drugie, które łączą się z sobą podczas aktu płciowego; na skutek zaś łączenia się komórek odbywa się wreszcie „właściwe rozradzanie się“, powstaje nowa istota.

Z powodu powstawania tej nowej istoty należałoby wtrącić tu ważną uwagę, która wprowadzie raz jeszcze wkracza w dziedzinę drażliwego problematu dziedziczności, ale już w ten sposób, że odsłaniają się nam mniej zasadnicze strony tej kwestji.

Rozważmy i porównajmy dwa szeregi zjawisk. Oto mamy przed sobą kulę z komórek złożoną — na wzór kuli Volvox. Co poprzedza ją w rozwoju historycznym? Cały szereg szczebli. Ongi istniały wyłącznie istoty jednokomórkowe. Rozwój ich szedł w tym kierunku, że szukały się one wzajem po dwie: jedna ruchliwa, druga leniwa; jedna mała, druga większa. Stapiały się w jedno i stwarzały dzięki podziałowi całą masę nowych istot jednokomórkowych. Zapewne w ciągu długich czasu okresów postęp na tym się zatrzymał.

Potym nastąpił dalszy etap rozwojowy: wiele takich istot jednokomórkowych zrzeszyło się z sobą w związek. W tym zrzeszeniu powstał pewien podział pracy. Niektóre komórki przyjęły na siebie wyłącznie czynność rozrodczą; odtąd same dzieliły się w kuli komórkowej na męskie nasienne i żeńskie jajowe komórki.

Zjawisko to w całym swym przebiegu poznaliśmy dokładnie poprzednio — prawdaż? Wprawdzie nie stanowi ono w rozwoju momentu światoburczego, ale jednak wyobraża sobą dość znaczny szmat historii, który naogół rozciągał się na dość długi okres czasu i sięga przeszłości bardzo dawnej, jeszcze wstecz poza ów brzeg kambryjski...

A teraz raz jeszcze obejrzyj sobie poszczególną

taką kulę Volvox, ale tym razem zapomnij o wszystkim, co mogłoby ci przywieść na pamięć jej historję, proces jej pierwotnego stawania się, odległe okresy rozwoju. Weź tę małą kulę wielokomórkową jako oddzielny twór dzisiejszy, żyjący pod promieniami słońca naszego, jako punkcik zielony, sunący tu w tej chwili ochoczo po sino-kryształowej fali. Jak twór ten „powstał“ jako indywiduum sam przez się? Względnie niedawno temu stanowił on jeszcze jedną komórkę, jedną ruchliwą komórkę jajową. Do tej pojedynczej komórki przyłączyła się jeszcze jedna drobniejsza komórka, ruchliwa komórka nasienna. Obie te komórki stopiły się w jedną całość i wytworzyły z siebie przez podział cały rój nowych istot jednokomórkowych. Ostatnie utworzyły związek społeczny pomiędzy sobą; w związku tym powstał pewien podział pracy, który w kuli naszej teraz zaraz doprowadzi pomiędzy innymi i do tego, że niektóre komórki znowu odpadną jako komórki jajowe i odnowa rozpocznie bieg procesu rozrodczego...

Czyż oba te zjawiska nie są prawie równe sobie: owo prastare, co spełniło się prawdopodobnie już kiedyś w okresie przedkambryjskim, przed istnieniem człowieka, i to drugie, zupełnie nowe, które teraz jeszcze co chwila przed oczyma ludzkiemi się powtarza?

To są jednakowe zjawiska. Każda kula Volvox odbywa w swym rozwoju indywidualnym dziś jeszcze zupełnie taki sam mały szereg etapów, przybiera te same formy, które występowały w czasach prastarych, kiedy wogóle po raz pierwszy z pierwotniaków jednokomórkowych rozwinęły się w przebiegu historycznym kule Volvox.

Tylko jedna różnica jest ustalona. To, co w kuli Volvox toczy się szybko w nieprzerwanym tempie jedno po drugim, jak w przekręconej sprężynie zegara, to samo w owe czasy odległe, podczas pierwotnego rozwoju, następowało prawdopodobnie po sobie bardzo wolno, krok za krokiem, w niezmiernych sze-

regach pokoleń. Bardzo, bardzo powoli musiał ów szereg pokoleń zamierzchłych wyszukiwać każdy etap, w dodatku pośród tysięcy powikłań i przeszkód, stopniowo musiało pokolenie za pokoleniem odkrywać szczeble poszczególne, musiało się z nimi oswajać, zdobywać je. Dzisiejsza kula Volvox znajduje się oczywiście w stosunku do tych starych pokoleń, jak spadkobierca do zdobywającego mienie. Pokolenie dzisiejsze „odziedziczyło“ cały ten łańcuch rozwojowy, który narówni z tą lub ową stroną jego istnienia przeszedł mu w krew i ciało, został bez poprawek niejako od początku samego przez nie przejęty, jak jakaś odwieczna tradycja rodowa, został mu wszczepiony jako ślepy akt odruchowy. Z chwilą kiedy Volvox wytwarza z siebie komórkę nasienną, pojedynczą, swobodną komórkę, wydaje się, jak gdyby tę komórkę opanowywało uparte prastare jakieś wspomnienie, niby prawdziwe wyobrażenie natrętne: ona nie może już inaczej, ona musi odnowa pójść dawną drogą wzwyż do prawdziwej kuli.

I znów wyłania się nam przytym napotykanym ów tajemniczy fakt, spoczywający u podstawy życia: „dziedziczność“. Ale tym razem wyłania się nam to zjawisko w takich okolicznościach, kiedy co do faktu samego wprost żadnych niema wątpliwości.

Spróbujmy ten prosty fakt, którego uczy nas kulisty Volvox, ująć wreszcie w jakąś formę naukową, w jakieś „prawo“. Moglibyśmy na przykład powiedzieć, że każda poszczególna kula taka, dzisiaj napotykana, przebiega w swym rozwoju indywidualnym bardzo szybko, niejako automatycznie, jeszcze raz te same etapy rozwojowe, które ongi w biegu historii naturalnej przebiegali jej przodkowie, kiedy w rozwoju swym dosięgali wogóle kuli Volvox.

Z całego przedstawionego tu przez nas przebiegu rzeczy widać, że w „prawie“ tym niema żadnych czarów. Jedyne ciemne trochę punkt—to „dziedziczność“ sama, ale tu właśnie стоимy znów — trzymajmy się

już tymczasem tego punktu widzenia—wobec takiego samego zasadniczego zjawiska, jak wchłanianie, wzrost, dzielenie się samoistne, zespalandie się miłosne i t. p. Wydaje nam się, że właśnie przykład nasz z kulą Volvox posiada takie cechy, iż właściwie trudno sobie wyobrazić, jakby sprawy pójść miały i n n y m torem.

Ale teraz uświadomić sobie musimy, że „prawo“ daje nam w ręce klucz do wszystkich faktów w rozwoju życia miłosnego u wyższych istot na ziemi żyjących. Niejako samodzielnie wykryliśmy wielkie, t. zw. zasadnicze prawo biogienetyczne. Pierwszy Haeckel utrwalił pojęcie tego prawa i tak je nazwał od greckich wyrazów „bios“—życie i „genesis“—rozwój, t. zn. zasadnicze prawo rozwoju życia.

Po raz tysięczny musimy prosić czytelnika, ażeby wrócił myślą do tej prostej historii człowieka, której bohaterkami są dwie komórki: nasienna i jajowa, do tej pysznej historii, od której poczęła się nasza przechadzka miłosna i o której mówiliśmy, że na niej spoczywa jeden koniec wielkiej tęczy miłosnej, rozpiętej nad starą naszą planetą. Ale tym razem wreszcie i tutaj znajdziemy zaklęty klucz złoty.

Sam człowiek ze wszystkimi swymi mirjadami komórek, z narządami, w których komórki te uprawiają podział pracy, nie jest, jak widać z wywodów powyższych, niczym innym, tylko najwspanialszym oraz najwyższym ciągiem dalszym owego rozwoju, który wydał kulę komórkową w postaci Volvox lub jemu podobnych. Bez względu na olbrzymie różnice, jakie człowieka dzielą od tych tworów; bez względu na jego wyżyny umysłowe oraz najwyższy wyraz człowieczeństwa — wszystkie zasadnicze czynniki jego organizacji już w pewnej mierze istnieją w tych tworach, a nawet dalej wstecz w owej *gastrea*: są tu komórki, co skupiły się mocno wzajem do zrzeszenia społecznego; jest podział pracy, co prowadzi do powstawania narządów, pośród zaś tych narządów

istnieją przedewszystkim również narządy rozrodcze: męskie u mężczyzny, a kobiece u kobiety.

Pomiędzy człowiekiem a gastreą lub Volvox'em ciągnie się niewątpliwie niezmierny łańcuch dalszych historycznych etapów rozwojowych.

Pierwszy Volvox i pierwsza gastrea żyły najpewniej na długo przed owym okresem kambryjskim, który sam przecież sięga wstecz poza człowieka na wiele milionów lat. Z gastrei wytworzyć się musiał nasamprzód robak, z robaka najdawniejsze, najprostsze zwierzę kręgowce, coś w tym rodzaju, jak dzisiejsza ryba Amphioxus. Z tego stworzenia powstał minóg, z minoga ryba, podobna do naszych rekinów, z rekina powstała ryba-salamandra, potem salamandra, płaz, dziobak, zwierzę workowate, półmałpa, małpa-gibbon, małpolud; wreszcie powstał człowiek sam, człowiek, który przyrodę przekuł na kulturę w czerwonych błyskach swego sztucznie wytworzonego ogniska...

Niezmierny łańcuch rozwojowy, stokroć bardziej olbrzymi, niż ów mały szereg istot pomiędzy tworem jednokomórkowym a Volvox'em lub gastreą! A jednak w zawartych tam założeniach podstawowych nic się nie zmieniło na przestrzeni tego całego łańcucha, co, zda się, ciągnie się od nieba do ziemi. Wraz z Volvox'em spełniło się prawo biogenetyczne, i człowiek mu również podlega. Spełniało się ono i wówczas, kiedy ty, czytelniku, byłeś w łonie matki, i spełnia się w chwili, kiedy dziecko płodzisz. Przypatrzmy się temu raz jeszcze.

W narządzie rozrodczym ciała kobiecego—a więc w tej dziedzinie jej wielokomórkowego ciała, gdzie na skutek podziału pracy komórki wyłącznie służą procesowi rozmnażania się—oddziela się jedna jedyna mała, nieruchliwa komórka jajowa. Jedna jedyna komórka! Dzięki mężczyźnie zjawia się podczas aktu miłosnego druga jeszcze mniejsza komórka pojedyncza: ruchliwa komórka nasienna. Obie komórki—dokładnie przypatrywaliśmy się już temu małemu mi-

sterjum — stapiają się z sobą w jedno i wytwarzają z siebie przez rozpad rój nowych tworów jednokomórkowych. Ten rój nowych tworów jednokomórkowych łączy się w związek społeczny; w tym związku społecznym powstaje pewien rodzaj podziału pracy, nasamprzód w sensie grupowania się komórek w narządy . . .

Należy zwrócić tu baczną uwagę: człowiek—to już nie Volvox, a jednak i on przebiega raz jeszcze w łonie matki całą tę linię rozwojową, która historycznie doprowadziła do Volvox'a i którą ten ostatni jako indywiduum zgodnie z prawem biogienetycznym jeszcze powtarza. I musi się tak dzieć, człowiek bowiem wyniósł się w przebiegu historii naturalnej ponad Volvox'a lub przynajmniej podobne mu formy zwierzęce, a istnienie człowieka na ziemi obejmuje po prostu sobą istnienie Volvox'a jako jeden z poprzedzających etapów rozwojowych.

Aliści człowiek w rozwoju swym nie zatrzymuje się na tym szczeblu. Zarodek ludzki w łonie matki musi więcej jeszcze objąć, według prawa biogienetycznego musi odtworzyć w swym rodzaju nie tylko Volvox'a, wybiegł bowiem historycznie poza niego poprzez olbrzymi łańcuch przodków, od Volvox'a wzwyż do człowieka się ciągnący.

Można się przekonać naocznie, jak oto z zarodka ludzkiego — z prostej grudki komórek — wyrasta twór o dwóch warstwach komórkowych, zupełnie tak samo, jak w gastrei utworzyły się dwie takie warstwy: skóra i jama chłonna. Z tych dwóch warstw tworzą się następnie cztery, jak u robaka, i z nich powstają narządy, budową zbliżone do narządów robaka. Oto zauważyć już można załążek rdzenia, potym najprostszego kręgosłupa bez czaszki jeszcze, jak u bezczaszkowego Amphioxus'a, stojącego na bardzo niskim szczeblu rozwoju. Potym tworzy się czaszka, ale zrazu taka, jak u bezskrzelowego minoga. Obie pary kończyn występują w postaci pączków, przypomina-

jących zaledwie pletwy; na szyi tworzą się szpary skrzelowe — jest to stadjum, zapowiadające rybę. Ale oto niepowstrzymany w swym biegu automatyczny rozwój prowadzi już ku formom, które tą lub ową cechą swą przypominają płaza, dziobaka i zwierzę workowate. Wreszcie małpka i człowiek. Tak powstaje człowiek — mężczyzną czy kobietą, król czy żebrak, Spinoza czy Hjeronim Jobs, święty czy rozbójnik...

Człowiek w rozwoju swym jeszcze raz staje się tym, czym był kiedyś; to wszystko byli przodkowie. Z chwilą kiedy człowiek powstaje, kiedy odrywa się jako indywiduum od olbrzymiego drzewa ludzkości, własny rozwój jego raz jeszcze przebiega w szumnym, burzliwym pędzie całą drogę od bacylusa do człowieka. Wprawdzie odbywa się to niezmiernie szybko, tak szybko, że całe okresy wyłaniają się zaledwie w półmgle, niby cienie. Droga jest zbyt olbrzymia; w najszaleńszym pędzie jeszcze zbyt dużo byłoby potrzeba czasu dla jej przebycia. Dlatego też niejednen etap bywa przeskoczony, zatarty; ale co dziwne — nic zasadniczego nie bywa pominięte. Przedewszystkim najtrwalszym okazuje się ów najodleglejszy tor, po którym biegł rozwój naturalny, jak gdyby rzeczy najstarsze ostawały się najlepiej. Są one też najważniejsze. Nasamprzód z dwóch zlewających się z sobą komórek musi się wytworzyć pień podstawowy zrzeszenia komórkowego, a z niego dopiero pierwszy załączek narządu. Później zdarzyć się nawet może niejedno uchybienie, ale całość olśniewa jednak swym przeplechem.

I teraz dopiero wyłania się misterjum całe.

Teraz rozumiesz, czytelniku, nasze odległe wędrówki aż na wybrzeże kambryjskie i dalej wstecz jeszcze?

Czy widzisz, jak się ono wyłania, jak się wyłania również wybrzeże jurasowe, gdzie żyły dziobaki i workowate, a jeszcze dawniej o wiele przed nimi

owo prawybrzeże z gastrą, pra-Volvox'em i pierwotniakami? Czy widzisz oczyma duszy, jak wyłania się to wszystko w głębi samego łona matki-człowieka, spowite w magiczną purpurę tajemnicy, i jak dziś jeszcze podporządkowuje sobie wszystkie zjawiska, jak panuje nad otchłannym, ciemnym królestwem ziemskim, na którym wyrasta różany snop w postaci młodego ludzkiego ciała?...

Samotny gaj sosnowy w Marchji. Leżysz plecami na dywanie z wrzosów usłanym i dzięki szparze w lesie, uczynionej przez nasyp kolejowy, patrzysz bezustannie w błękitne o jedwabistym połysku niebo. Wszędzie las i las w oddali. Pnie wysokie o surowej, ciemnej czerwieni, a ponad niemi szaro-zielona wełna pajęczyny iglastej, poprzetykanej wszędy błyskami słonecznej poświaty o połysku brązowym. Leżąc na trawie, ma się wrażenie, jak gdyby w dole był drugi mały las zaczarowany — nieprzejrzany dywan paproci z wzorem koronkowym o intensywnej zielonej barwie. W głębi lasu unosi się szaro-złoty opar, podobny do upału samego, którym dyszy wszystko dookoła.

Leży się i myśli o wszystkich tych cichych odgłosach, o tym ledwie słyszalnym, a jednak wciąż bez przerwy tętniącym życiu lasu. Życie, wszędzie życie, życie organiczne: świat zwierzęcy, roślinny. W gąszczu nawołują się scicha tam i siam zięby. Odezwie się kukułka, niby za lasem, gdzieś bardzo daleko, przebrzmiały odgłos dzwonka. Na błękitnym pasie nieba błysnie nagle biały brzuszek mknącej w dal jaskółki. Niby oderwana plama czerwona, skacze wieiórka z jednego pnia czerwonego na drugi ponad zielenią paproci. Obok słabo coś trzeszczy — to maszerują mrówki w długim brązowym korowodzie. Mrówkolew, ten owad dziwaczny, sypie za niemi piasek ze swego małego lejka. Trzmiel owłosiony, niby niedźwiedź, głucho zapada we wrzos. A w powietrzu na tle mżącego oparu leśnego bezustanny wahadłowy ruch innych owadów, podobny do falowania świetlnych punktów złotych, a od czasu do czasu pośród tego przewinie się srebrnym pasmem sznur napowietrzny pajęczyny.

Wzrok ogarnia nieskończone światy życia, i ty oto jesteś z niemi nierozłącznie związany. Wszystko bowiem stanowi jedną jedyną falę życia na ziemi: i sosna, i paproć, i owad, i ptak, i ty — i wszystko to.

w ruch wprawia jednakowe prawo, wszystko czerpie siły od słońca, od tego słońca, dookoła którego krąży-
cie z waszą starą ziemią. Wszystko to: sosna i paproć,
mrówki, jaskółki, wiewiórki i człowiek — to dzieci
światła przez duch kołysane, rodzeństwo od samego
początku planety, związane wzajem całymi milionami
lat; jeno śród odmiennych losów wędrówki waszej
ku odmiennym doszliście celom.

Wszyscy jesteście dziećmi lądu, i tu ściślejsze
już łączą was węzły. Jesteście dziećmi wielkich wysp
ziemskich, dookoła których płynie błękitne morze,
podobne do właściwej ziemi w jej pierwotnej posta-
ci. Kiedy patrzysz teraz w niebo, wydaje ci się, ja-
koby tam w przeczystym eterze odbijały się, jak
w zwierciadle, owe głębie morskie, które las przed
tobą chowa. I w morzu nieskończone wre życie. Ster-
czą z głębi drzewa koralowe, okryte nie listowiem
zielonym, lecz żółto-pomarańczowemi ustami żarłocz-
nych polipów; swawolą srebrne ryby; płynie w ci-
chym, długim szeregu rzesza mieniących się barwa-
mi tęczy dzwonów — to chełbie, najbajeczniejsze ze
wszystkich dzieci morza. Życie, wszędzie życie — za-
równo w morzu, jak i na lądzie. W jednej kropli
rosy jest świat cały, mirjady drżących dusz. A wsze-
dzie tęsknota pomiędzy dwojgiem. Sosna i liść pa-
proci, zięba i mrówkolew, jaskółka i wiewiórka,
srebrna ryba i owo wielkie różnobarwne oko morza—
chełbia—wszystko kocha, wszystko marzy, jak ty ma-
rzysz miłośnie o swej ukochanej. Wszystko stanowi
jeden jedyny wielki łańcuch życia i miłości.

Przytul głowę do złomu granitowego, co ongi
zniesiony tu został przez lodowce epoki lodowej w tę
piaszczystą równinę zdala, z Norwegji, i przymknij
oczy na chwilę.

Przed oczyma duszy powstaje z otchłani zapo-
mnienia stara legienda... I przyszedł Jakób do miejs-
ca, i został tam przez noc, słońce już bowiem było
zaszło. I wziął kamień, położył go sobie pod głowę

i ułożył się do snu. I śniła mu się drabina, co końcem dotykała nieba, a aniołowie Pana wspinali się i wstępowali po niej i schodzili.

Przyrodnik społeczny dotknie się twego czoła, i oraz tobie wyrośnie w wyobraźni drabina niebiańska. Człowiek—to niebo ziemi. On pierwszy świadomie spojrzął w złote, gwiazdziste niebo, ponad nią rozpięte. On sam współ z nią dźwignął sobie ojczyznę na nadziemskim firmamencie ducha. On stworzył Boga w sztuce, w ideale, w prawdzie, w sobie samym. A ku temu człowiekowi wzwyż wspina się olbrzymia drabina tworów. Przeróżne formy ustrojów, żyjące jeszcze, jak i dawno już zanikłe, wstępują po niej i schodzą: wszystkie te formy życia, co głębiej tkwią w ziemi, niż człowiek! Olbrzymim pasem, społeczny marzycielu, jest drabina twoja niebiańska z każdą latoroślą swą, każdą gałęzią!

U dołu komórka pierwotna, pierwszy twór żywy, co nie jest jeszcze ani rośliną, ani zwierzęciem. Potym stowarzyszenie komórek, jakieś to widzieli w postaci płynącej kuli Volvox. Takie stowarzyszenia komórkowe z jednej strony rozwijały się i dosięgły postaci rośliny i paproci, sosny, macierzanki z tego gaju; z drugiej znów dzięki podziałowi na dwa listki zarodkowe: skórny i jamochłonny, dzięki pewnemu odmiennemu podziałowi pracy odpowiednio do innego sposobu oddychania i odżywiania wydały gastreę, ów twór pierwotny z żołądkiem, ustami i skórą. A dalej, powyżej nad gastreą, powstało całe wielopostaciowe królestwo zwierzęce, coraz wyżej pnąc się po drabinie, aż wreszcie na samym szczycie stanął człowiek o przesłonecznionym oku Goethego.

Opasz biodra swoje i pójdź za mną! Wspinamy się teraz po tej drabinie zwierzęcej w górę, poza szczebel gastrei.

Najstarsze prapostaci znów giną u stóp naszych we mgle. A obok nas przesłania się również mrokiem niezmierna, równoległa stojąca drabina roślinna.

Głęboka przepaść dzieli wyższą roślinę od wyższego zwierzęcia, stojącego pod względem organizacji ponad *Volvox* i *gastreę*. Roślina bierze z powietrza kwas węglowy, a wydziela tlen, ową substancję, która stanowi właśnie czynnik zasadniczy w przemianie materji u zwierząt. Korzeniem tkwi roślina w ziemi i przetwarza w sobie bezpośrednio substancje mineralne, czego nigdy nie bywa u zwierząt. Komórka zwierzęca dla nieustannego odnawiania się i wzrostu potrzebuje materji, przetworzonej już uprzednio organicznie, bądź zwierzęcej, bądź roślinnej; bezpośredniego przetwarzania minerałów nie jest już zdolna dokonywać. Więc choć zwierzę od rośliny na drzewie rodowym daleka bardzo dzieli przestrzeń, to okazuje się jednocześnie, że co do warunków swego istnienia jest ono od niej zależne. Nie dowodzi to jednak jego niższości; przeciwnie, zwierzę jest naogół ogniwem wyższym. Wyobraża ono życie, któremu nie trzeba już głębokiej otchłani ziemskiej i jej duchów życiowych, w ciemnościach pograżonych; takie życie, które już samo wymaga przetworzonego, na światło dzienne wydobytego życia.

Ze zwierzęcia w epoce największego rozkwitu wyrasta potym człowiek, który, jako istota absolutnie po dwakroć wyżej stojąca duchowo, obejmuje sobą zwierzę, tak samo jak zwierzę stanowi stopień wyższy w stosunku do rośliny, roślina zaś w stosunku do padołu ziemskiego. I w miłości wszędzie u zwierząt napotykamy niewątpliwie zasadę wyższą. Wszak zbliżamy się przez nie do człowieka, którego miłość stanowi dopiero klucz do owych wyższych spięrzeń, jak miłość wszechludzka, miłość wszechświata, stwarzanie miłości przez sztukę,

Skoro raz już postanowiliśmy pójść po tej drodze jednostronnej, wspinać się po niej musimy teraz bardzo, bardzo stopniowo.

Przy pomocy prawa biogienetycznego dowiedliśmy, jak człowiek, bądź to mężczyzna, bądź kobie-

ta, związany jest bezpośrednio z całym owym najodleglejszym szmatem rozwojowym organicznej miłości na ziemi. Właśnie ten „najstarszy“ okres miłości ludzkiej okazuje się zupełnie naturalnie najważniejszym, obejmuje on bowiem cały akt rozrodczy i jego następstwa najbliższe, a więc dla mężczyzny całkowitą, że tak powiem, stronę miłości w znaczeniu ściślejszym branej, dla kobiety zaś przynajmniej jej część najważniejszą pod względem duchowym. Atoli nie należy zaniedbywać faktu, że przez wykazanie tej łączności, przez to określenie temat nasz wcale jeszcze nie został wyczerpany; prawdę mówiąc, jest on teraz zaledwie wszczęty. Widzimy dopiero szeroko zakreśloną linię, której początek ginie w pomrokach dziejów; pozatym nic więcej. Obecnie mamy przed sobą nową pracę. Pomiedzy gasterą a człowiekiem znajdujemy niewysłowienie olbrzymi szereg zwierząt wyższych z ich tysiącnymi postaciami miłości. Wszystkie mają jakąś cechę spólną, i tę łatwo czytelnik wszędzie wykryje. Ale owych warjantów, owych tysięcznych możliwości ujawniania się jednego, pierwotnie danego motywu nie znamy jeszcze dotąd. A jednak z tego chaosu wyłonił się człowiek jako wielki, bajecznie cudowny wypadek poszczególny.

Przedewszystkim nie wypadnie nam już teraz śledzić za niechybnie prostą jakąś linią. To będą obrazy poszczególne, kalejdoskopowe. W przelocie pokażą ci one cały świat zwierzęcy z szybkością wizji wprawdzie, z niewyraźnie zaledwie zarysowanym systemem. Tu i ówdzie tylko jakaś wstęga świetlna zalśni.

Ale znów dojdziemy do człowieka, a wtedy odnowa skierujemy nasze kroki na tory jednolite.

Przygotuj się, czytelniku: nieraz będziesz miał teraz wrażenie, jak gdybyś przechodził przez piekło. Ale jednak nie jest to piekło żadne.

Jest to cicha wędrówka poprzez stare komnaty, gdzie stoją stare szafy z marjonetkami twego własne-

go słonecznego świata; komnaty, w których sam kiedyś mieszkałeś, i takie, co położone są obok i stoją tak niezmienione ze starymi sprzętami. I tobie samemu zdarzało się tak samo, żeś w lata męskie, być może z pierwszym puszką dojrzałości, wracał do domu w dawne młodości swej miejsca. Wszystko wydawało ci się dziwnie małym, zakurzonym — sprzęty domowe praocjów; niejedno wydało ci się głupim, dziecięcym, nawet dziecinnym i tak naiwnym, żeś śmiać się musiał. Śmiałeś się, boś wracał zpod tak gorącego wszechsłońca, po tylu gwiazdnych wędrówkach. Stara mateczka, dla której w jej ciasnym pokoiku z bzowym kwiatem i spłowiałymi starymi hatami świat stanął w jednym miejscu, o ścianę tylko granicząc z Kopernikiem, Darwinem i kwestją społeczną... a ty jednak uśmiechasz się, rozumiesz wszystko — i jednak cię to wzrusza. Tu czujesz wiew swej młodości, swej pierwszej miłości, która do ciebie przyszła, i tej pierwszej, która cię odeszła. Wtedy to wszystko nie było śmieszne zupełnie.

Tak też spójrz na dawny świat zwierzęcy. Chełbia, rak, mrówka, gwiazda morska, ryba — to wszystko odpowiada owej mateczce z kwiatem bzowym, do której ty, jako dziecko świata, powracasz w cichą godzinę zmroku. Wracasz, jako dziecko świata, do starych karzełków, którzy cię kołysali! Pomarszczeni są już dziś — nieprawda? Ale myślisz przytym, i oto myśl staje się cichą, wielką, tajemniczą gazą różaną, która swym kwieciem i cierniami spowija całą twą miłość przebrzmiałą. Pośród róż płomieni widzisz wieczne gwiazdy; niema kąta na ziemi, gdzieby ich nie było. A z ich dróg mlecznych dźwięczy pieśń wszechświatowa o duchu: „Spójrz: jestem przy was poprzez wszystkie dni i aż do końca świata pozostanę“...

Wyobraź sobie śliwkę.

Wyobraź sobie dalej, że śliwka ta ma u jednego końca usta, że wewnątrz jej jest wydrążone i że usta te prowadzą do tego wydrążenia; że ścianka wokoło składa się z dwóch skór i że skóra zewnętrzna posiada małe wyrostki czy włoski. Śliwka wpada do oceanu. Nagle włoski poruszać się poczynają według pewnego taktu, tak że cały twór szybko naprzód płynie. Drogę zastępują mu małe zwierzątka—cap! i otwór je pochłania. Są one teraz w wydrążeniu, jak w prawdziwym żołądku; skóra wewnętrzna, jedna z owych dwóch w ściance śliwki, opanowuje te zwierzątka, pochłonięte w ten sam sposób, jakby to uczyniły ścianki naszego żołądka i kiszek z befsztykiem lub pieczenią gęsią; przetwarza je i trawi. Wobec braku otworu odchodowego resztki niestrawione muszą być znów przez usta wyplute.

Pozatym, kiedy „śliwka“ nasza jest rodzaju męskiego, wydziela ona od czasu do czasu małe ruchome komórki nasienne, które oderwały się od jej skóry podwójnej. U „śliwki“ żeńskiej tworzą się natomiast wielkie, leniwe komórki jajowe. A istnieć mogą i takie śliwki, co w jednym ciele obie substancje płciowe posiadają.

To bowiem, cośmy dla plastyczności obrazu przedstawili jako śliwkę, nie jest niczym innym, jak gasterą, owym prazwierzęciem z pierwotnym żołądkiem lub kiszka, ową zasadniczą prapostacią rodową wszystkich prawdziwych zwierząt wyższych. Jest to grudka komórek, która wytworzyła z siebie indywiduum wyższego rzędu i gdzie nastąpił już podział pracy w najpierwotniejszej formie. Po pierwsze, wyodrębniły się już komórki tego zrzeszenia społecznego w dwie kategorie: jedna stanowi „skórę“ (co wszystko osłania i posuwa), druga—„żołądek“ (co wchłania i trawi); powtóre zaś, pod względem płciowym doszły komórki do stadjum, na którym zresztą była już kula Volvox: nie każda komórka pływającej śliwki

wytwarza osobno części nasienne i jajowe, ale pewna grupa komórek wzięła na siebie tę pracę za całą kolonję: sama zarządza całą sprawą rozrodczą, która zresztą stale polega na tym, że komórka jajowa musi połączyć się z komórką nasienną drugiego, obcego indywiduum, ażeby powstać mogła istota nowa. Ostatnia, zgodnie z prawem biogenetycznym, rozwija się znów samodzielnie, i z poszczególnej, ze spółkowania powstałej komórki wytwarza się grudka komórek o budowie gastrei.

Pójdźmy nad staw jaki, weźmy kupkę owych popularnych pływających roślinek, znanych pod nazwą kosaćców. Rzuć je po przyjsciu do domu w miednicę, a skoro się znowu wyprostują, przy pomocy najśłabszego szkła powiększającego odszukaj na nich bardzo drobne, centymetr może lub mniej długości mające zielone pączki lub rozwarte kielichy, które zrazu wyglądają, jak roślina-pasorzyt lub pewien gatunek ukrytych kwiatów kosaćcowych. Aliści wkrótce ruchy tych tworów zdradzają, że mamy do czynienia ze zwierzątkami, które wprawdzie jednym brzegiem są zazwyczaj przymocowane, ale jednak posiadają niewątpliwie wszystkie cechy zwierzęce. Jest to t. zw. hydra, albo polip wód słodkich, jedno z najbardziej interesujących zwierząt pośród całego półmilionu znanych na ziemi gatunków zwierzęcych. Weź je teraz pod silniejsze powiększenie, przypatrz mu się uważnie, rozłóż je na części. Cóż widzisz? Oto masz przed sobą ową śliwkę; istotnie widzisz typową jeszcze gastreę, zwierzątko, składające się tylko z ust, wgłębienia żołądkowego, ścianki żołądkowej i skóry oraz mające po jednym otworze do wydzielania komórek jajowych lub nasiennych. Jedna tylko różnica: ta gastrea już nie pływa. Przywykła już do osiadłego trybu życia, czepiając się podłoża (np. liścia). I w oczywistym związku z tą zmianą trybu życia zamiast narządów ruchu, które dawniej posuwały ją naprzód i pędziły pożywienie do ust, powstały u niej t. zw.

„ramiona polipowate“, t. j. małe wyrosłe dookoła ust, wyrosłe, które pomagają jej chwycić pożywienie i łądować je w usta.

Tu na najprostszym przykładzie widać, jaki mógł być pierwszy etap rozwoju gastrei. Powstały osiadłe „śliwki żołądkowe“ z wiankiem ramion chwytających dookoła otworu ust — polipy. Tylko hydra (stułbia) żyje w naszych wodach słodkich; ogromna większość polipów zamieszkuje morze. Należy do nich również owa piękna pstra róża morska, którą widzieć można w akwariach. Olbrzymie kolonie takich polipów tworzą „ukwiały“, a rusztowanie wapienne przez nie wydzielane stanowi później koral — biżuterję kobiet. W morzach gorących krajów podzwrotnikowych piętrzą się ogromne wyspy koralowe, a w zamierzchłych okresach historii ziemi powstawały z nich skały, które dziś podziwiamy, jako wysokie góry, np. wierzchołki dolomitowe naszych Alp. W dalszym przebiegu rozwinęły się z polipów meduzy (stułbiopławy) oraz pokrewne gąbki, którym zawdzięczamy nasze gąbki do mycia. I wszędzie typ tu pozostaje jednaki: zawsze pozostaje ciało, które rozwinęło się z gastrei, ciało w postaci kielicha, otwarte tylko na miejscu ust, na przeciwnym zaś biegunie zamknięte, bez otworu odchodowego.

Atoli polip wyobraża tylko jedną możliwość dalszego rozwoju gastrei. W tym samym stawie, gdzie szukasz stułbi, napotkać można wszędzie zwierzątka inne, również na bardzo niskim jeszcze szczeblu organizacyjnym stojące i po części dość jeszcze blisko spokrewnione z gastrea; jedne z nich pływają, inne łążą; cały tłum postaci, objęty jednak jednym stałym mianem: robak. Jeżeli z gastrei wyrósł polip, który swój otwór ustny, zaopatrzony w ramiona chwytające, zwracał ku górze, to w robaku widzimy tę samą gastrea, która tu samą budowę ciała swego

przystosowała do poruszenia w jedną stronę — bądź do pływania, bądź do łożenia.

Ciało się tu wydłuża, usta pozostają zawsze na przodzie, ale z tyłu stopniowo tworzy się odwłok, tak że ciało zamiast kielicha staje się podobne do rury. W masie komórek u potomków robaków dzięki podziałowi pracy powstaje coraz więcej narządów, czy to narządy zmysłowe (oczy, uszy i t. d.), czy specjalne narządy wydzielnicze lub naczynia dla obiegu soków (krwi), albo wreszcie zewnętrzne narządy ruchu, jak pletwy, a ostatecznie i kończyny. W miarę przybywania tych narządów grupują się one coraz wyraźniej parami po obu stronach ciała. Jelito pozostaje podłużną osią główną, ale inne narządy grupują się po prawej i lewej stronie, zgodnie z tą samą zasadą, jaką kieruje się dziś jeszcze budowniczy przy budowie okrętu lub powozu, t. j. z zasadą najkorzystniejszego rozmieszczenia części poszczególnych dla postępowego ruchu w jedną stronę. Spójrz, człowieku, na siebie samego: sam jesteś jeszcze w ten sam sposób „dwustronnie“ zbudowany; wyobrażasz sobą — biorąc nasze porównanie — niby śliwkę rozciągniętą z jednym żołądkiem i jednym otworem ust, jedną kiszka i jednym otworem odchodowym w pośrodkowej linii ciała, natomiast posiadasz po jednej ręce, po jednej nodze, po jednej nerce, po jednym narzędziu nasiennym lub jajniku z każdej strony; z prawej i lewej strony masz po jednym uchu do słyszenia dwustronnego oraz mózg nasz nawet na dwie części przepołowiony. A wszystko jest w człowieku tak urządzone dlatego, że sam on pochodzi wszak w ostatecznym rezultacie wprost od robaka z symetrycznie po obu stronach ciała umieszczonemi narządami. Atoli robak z chwilą, kiedy gastrea kształt jego przybrała, musiał dopiero to ugrupowanie narządów zdobyć jako coś nowego, jako cechę dla siebie charakterystyczną, jako pierwszą cechę — pierwszą, jeżeli posuwać się w kierunku od dołu ku górze —

któraby ostatecznie wyraźnie odróżniała go zarówno od zwykłej gastrei, jak i od owego etapu rozwojowego gastrei — polipa; miało to być coś specyficznie „robaczego“, co wraz z robakiem zjawiało się po raz pierwszy w królestwie zwierzęcym.

A więc teraz zrozumiwały jest rozwój dotychczasowy—prawdaz? Z jednokomórkowego pierwotniaka w sposób przedstawiony powyżej rozwinęły się zwierzątka kuliste na podobieństwo Volvox, stanowiące prototyp każdego zrzeszenia społecznego (cóż to za doniosłe narodziło się pojęcie!). Z Volvox dzięki podziałowi pracy powstała gastrea—i tu jest próg prawdziwego królestwa zwierzęcego. Poza gastrea dalsza droga się rozdwaja. Gastrea, wiodąca życie osiadłe, wyrastająca na podobieństwo rośliny, niby kwiat w postaci kielicha, wydaje polipa i gąbkę; gastrea zaś, mająca podobieństwo do rury, rozwijająca się z prawej i lewej strony, łożąca lub wijąca się naprzód, przekształca się w robaka, a dalej już w nieskończoność wzwyż aż do człowieka samego.

Po obu stronach mamy wprost nawał materiału dla naszych wywodów o miłości. Istne karykatury miłości. Czy znasz pyszne stare obrazki Tenniersa, np. ten oto, wyobrażający pokusy św. Antoniego? Zamiast pięknych kobiet—tłum straszliwych poczwarów i potworów, pół-szkielety i pół-zarodki, pół-jeź i pół-czarownica. A święty Antoni siedzi bezradnie nad budującą księgą. I dla nas oto wschodzi w czerwieni księżyc takiej nocy widmowej, a na drogach rozstajnych wyją wilkołaki i dziki zaczarowane. Mamy jednak zakłęcie, którego, jako i wielu innych rzeczy, brak było w budującym traktacie świętego Antoniego — mamy pogląd darwinistyczny, który w całym tym dziwów rozgwarze przepotężny upatruje rozwój. Aż wreszcie zapadają się wszystkie widma, jak puste łuski, i wylania się wtedy w rzeczy samej blaskiem świętym spowita kobieta w dyskretnej nagości bogini... Afrodyta, miłość ludzka, słodki kwiat lotosu,

co wykwita, niby z wód czarnych, z pośród tego rozgwaru widmowego tysiąca postaci, w których przejawia się miłość zwierzęca.

Pragnąłbym zatrzymać przez chwilę uwagę czytelnika na polipie; przez chwilę tylko—ale mam nadzieję, że będzie ona pouczająca. Na polipie i jego świecie.

Mogę ci zaraz zaoszczędzić pomyłki, która mogłaby w przeciwnym razie uczynić nudną całą dalszą naszą pogawędkę o miłości.

Mała stułbia, polip naszych wód słodkich, siedząca na liściu kosaćca, i homo sapiens, najwyższa latorośl małpiego rodu na samym szczycie najwyższej uorganizowanych zwierząt kręgowych — mają oboje aż do gastrei wstecz, do tego pływającego zwierzątka w postaci brzucha, jednych i tych samych najstarszych przodków. A ponieważ zasadnicze prawo biogenetyczne dotyczy jednako ich obu, więc i pochodzenie ich jako indywiduów jest bardzo podobne, przynajmniej do pewnego stopnia, Jest narząd płciowy męski i żeński, komórka nasienna atakuje jajową, zapłodnione jajo dzieli się, powstaje skupienie komórek i t. d., aż powstaje z jednej strony stułbia, z drugiej—człowiek. Tak samo dzieje się wszak nie tylko z polipem i człowiekiem, ale również z robakiem i rakiem, z pajakiem i chrabąszczem, z gwiazdą morską i ostrygą, z mątwą i rybą prawdziwą, z żabą i ptakiem. I oto nasuwa się zarzut, azali wobec tego zasadniczego podobieństwa historia miłości nie będzie okropnie nudną, azali nie będzie ona wiecznie jednakim motaniem jednej nitki, jak w chińskim kółku, służącym do modlitwy, czego snadnie moglibyśmy sobie oszczędzić?

W chińskim kole modlitewnym Tschuan szeleści w ciągłym ruchu wirowym wiecznie ten sam pasek papierowy, i po tysiąc razy czyta się wciąż to

samo: *Om mani padme, hum!* — „Klejnot w lotosie, Amen“. Tak samo i tu wciąż kręci się, jak w młynie: szlak miłosny w postaci mężczyzny i kobiety, komórka jajowa, komórka nasienna, konjugacja, ponowny podział, skupienie komórek—bim! bam!—aż do końca. *Om mani padme, hum!*

Atoli natura nie jest jednak tak nudna. Spójrz przez teleskop. Masz tam planety rozmaite: duże, małe, białe, czerwone, zielonawe, biało-żółte, Wenus, Mars, Neptun, Jowisz, Saturn—a wszystkie podlegają jednakiemu prawu ciężenia, z którym zgodnie toczą się dookoła słońca. I to mogłoby być nudne—a jednak każda planeta stanowi świat o odrębnym przepychu: Wenus ze swemi białymi wałami obłocznymi, Mars ze swemi czerwonymi pustyniami i zielonawymi pasmami wegietycyjnymi, olbrzymi Jowisz ze swemi wstęgami dymu o barwie łososia i krwawymi plamami purpury, Saturn ze swym przejmująco wzniosłym systemem pierścieni—niewyczerpana mnogość dla studentów, nad którymi jeszcze lat tysiące ślęczyć będzie ludzkość.

I oto każda poszczególna grupa zwierzęca, nawet każdy gatunek stoi przed tobą właściwie jako taka planeta oddzielna, stanowiąca największego podziwu godną indywidualność, choć podlega temu samemu, co i wszystkie inne, zasadniczemu prawu. Jak dzięki różnicy w ukształtowaniu pomiędzy np. Jowiszem, Saturnem i ziemią, p o m i m o wspólnej im wszystkim siły zasadniczej, ziemia ta staje się właściwie dopiero zrozumiałą dla ciebie i interesującą, tak samo i życie miłosne człowieka nabierze dopiero właściwego w twych oczach oświetlenia, kiedy przedtym przejdiesz, nie zbacając z drogi, poprzez wszystkie możliwe odmiany, w jakich przejawia się miłość na całym pozostałym obszarze królestwa zwierzęcego. A jak obszerne jest pole dla tych warjantów, mimo zasadniczego podobieństwa w pierwotnej drodze, jaką kroczą wszystkie stworzenia, o tym dać może wyo-

brażenie najlepsze ten oto przykład wstępny, poza polipą wybiegający.

Kochasz—jako człowiek. Zapamiętaj sobie cztery niewzruszenie trwałe tezy ze swego życia miłosnego.

Po pierwsze: miłość ludzka dotyczy dwojga: mężczyzny i kobiety. Kobieta ma jajniki, ty masz ciałka nasienne—każde z dwojga ma narząd dla siebie.

Powtóre: jeżeli mężczyzna i kobieta kochają się wzajem, to jako płód miłości powstaje znowu prawdziwy człowiek — dziecko, które jest jeszcze wprawdzie „małym“ człowiekiem, ale od chwili urodzenia jest bezsprzecznie „człowiekiem“, a nie inną jakąś istotą.

Po trzecie: dziecko, które płodzicie, musi żyć na świecie długi szereg lat, musi osiągnąć zupełnej dojrzałości cielesnej, zanim samo stanie się dojrzałym płciowo i będzie w stanie płodzić lub rodzić dzieci. Nigdy nie bywa tak, ażeby jeszcze nieurodzone dziecko, w łonie matki pozostające, lub tylko co urodzone, mogło „jako dziecko“ wydawać już znowu na świat dzieci.

I wreszcie jeszcze jedno: jakeśmy już widzieli, człowiek właściwie i pierwotnie stanowi państwo w sobie, społeczne zrzeszenie miliona komórek, a jednak człowiek jako indywidualium, choć ściśle bardzo wyodrębnione (jako istotny typ wszelkiej indywidualności!), jest jakby indywidualium drugiego stopnia, które powstało, zda się, dzięki tajemniczemu związkowi miliona najprostszych indywidualności. Ale mniej-
sza o to: na wszelki wypadek człowiek jako taki jest znowu indywidualium trwałym. Z takich indywidualiów składa się ludzkość. Może się zdarzyć, że wiele takich indywidualiów ludzkich znowu czyni coś wspólnie: łączą się w kółka przyjacielskie, towarzyskie, stanowią ciało społeczne lub państwo. Wprowadzony został pewien podział pracy, tak że np. jeden buty podszywa, drugi pisze gazety, inny jeszcze przygotowuje kiełbasy.

Każdy związek miłosny dwojga ludzi jest również niczym więcej, jak takim spółdziałaniem.

Ale mimo to nigdy nie zdarza się, ażeby całkowicie indywidua ludzkie w rzeczy samej odnowa zrastały się z sobą, jak to bywa z komórkami. Najściślejszy związek państwowy nie stwarza w rzeczywistości potwora o stu głowach i stu ramionach. Najkonsekwentniejsze stowarzyszenie nie prowadzi do powstawania człowieczego króla-szczura, gdzieby 50 lub więcej indywiduów zrastało się z sobą odwłokami. I nawet najpłomienniejsza miłość między dwojgiem ludzi, miłość, której pragnieniem jest wzajemne pochłonięcie się, nie doprowadza do tego, żeby mężczyzna i kobieta stopili się z sobą trwale i utworzyli na drodze płciowego stosunku zwierzę podwójne.

Uzbrojony w te cztery tezy zasadnicze, zastukaj teraz do zaczarowanego zamku. Jest on z kryształu błękitnego, a mieszkają w nim piękne różnobarwne i przezrocze elfy. Jedne siedzą na ziemi, niby przepyszne kielichy kwiatowe; inne pływają, jak wielkie mieniące się dzwony, poprzez błękitną poświatę. Jesteś u polipów i meduz.

A teraz użyj swych czterech tez jako miary.

Już zaraz na wstępie mały zielony polip-stułbia, zamieszkujący wody słodkie, obala pierwszą twoją tezę ludzką. Jedno i to samo indywiduum z przodu, blisko wianka macek, wytwarza nasienie, a dalej ku tyłowi—jajka. Rozumie się, że zapładnianie musi być zobopólne, przez wymianę produktów płciowych z dwuch indywiduów — wszak znasz już tajniki prawa konjugacji, nie regulowanej doborem.

Różnica jednak w stosunku do człowieka pozostaje w pełnej sile. A sprawa staje się jeszcze zawilszą, jeżeli nadmienimy, że mała hydra wogóle może nie uprawiać jeszcze płciowego stosunku w celach rozmnażania. Zbliża się ona pod tym względem jeszcze do tego, czego świadkami byliśmy w naszej hi-

storji o karłach, gdzie nowe indywidua powstawały wprost przez „pączkowanie“, przez oddzielanie kawałka ciała, który natychmiast, bez potrzeby łączenia się z obcą istotą, staje się na podobieństwo pączka nowym samodzielnym stworzeniem. Tak samo i hydra może wypuszczać z siebie bezpośrednio małe polipki, zupełnie na podobieństwo tego, co się dzieje z gieranjum: można je sztucznie rozmnażać nie tylko przez nasienie kwietne, ale po prostu przez płonki. W roślinie wydaje się zrozumiałym samo przez się, że obok płciowego zapładniania istnieje jeszcze w dalszym ciągu zwykłe pączkowanie. Ale tę samą cechę napotkać jeszcze można wszędzie u zwierząt niższych. Wprawdzie im wyżej po drabinie rozwojowej wznosił się dany ród zwierzęcy, tym więcej jako jedynie przydatna okazać się musiała miłość płciowa. I temu zawdzięcza człowiek, że sam dziś płodzić może dzieci tylko przez akt płciowy, że później kobieta wydać je musi na świat, zamiast żeby mężczyźni lub kobiecie od czasu do czasu wyrastali jeszcze mali chłopcy lub małe dziewczęta na plecach, kolanie lub nodze, jak główki sałaty na płodnej grzędzie warzywnej.

Ale przejdźmy do drugiej tezy naszej. Z łona matki-człowieka wychodzi znów człowiek-dziecko. Wydaje się to wszak absolutnie zrozumiałym samo przez się. Zobaczmy. Mówiliśmy już o tym, że z owej najprostszej postaci polipa, z milutkiej małej hydry rozwinęły się w następstwie również owe wspaniałe meduzy, których pełne jest każde wybrzeże morskie. Znamy je dobrze. Po przypływie gwałtownym leżą one na białym piasku wybrzeża jako gładkie, mieniające się płytki galaretowe, schnąc beznadziejnie. Ale na otwartym morzu z pokładu okrętu widzieć je można, jak w pełnym swym przepychu ciągną powoli, często w długim korowodzie, te najbardziej podziwu godne twory morza, mieniając się wszystkimi barwami, tworząc widowisko bajeczne. Pośród tej bezbrzeżnej

głębi morskiej czują się one zupełnie bezpiecznie, choć, pozbawione zupełnie punktu oparcia, urągają swym elastycznym szklistym ciałem potędze oceanu, co łamie, jak słomkę, olbrzymi okręt — wytwór rąk ludzkich.

Meduza taka—to zwierzątko, stojące pod względem organizacji wyżej od gastrei. Cały twór podobny jest do pływającego dzwonu, którego części zewnętrzne stanowią jedyny w swym rodzaju wspaniały narząd do pływania. Przez rytmiczne kurczenie się tego narządu zwierzątko zdolne jest do pływania. Na dolnym brzegu dzwonu zwieszają się liczne cienkie maczki, które parzą na podobieństwo pokrzywy. A jako serce dzwonu, znajdujemy znany nam już prawdziwy żołądek gastrei z otworem ust na dole i z ramionami do chwytania dookoła. Ma się zupełnie wrażenie, jak gdyby oderwany został od podłoża mały polip — hydra — i rzucony w wodę z ustami w dół zwróconymi, a w górnych częściach jednocześnie rozszerzony, przybierając postać pięknego pływającego dzwonu. Rozumiemy już teraz dobrze, że ta meduza powinna „wyrodzić się“ od owej hydry. Ale teraz przypatrzmy się rozwojowi takiej meduzy, jej historii miłości i rozmnażania.

Wszystkie prawie meduzy są rozdzielnopłciowe: samiec z nasieniem i samica z jajkami. A więc pod tym względem są bardziej podobne do człowieka, niż stułbia. Są to oczywiście stosunki pierwotne i dalekie od ludzkich, że wytwory płciowe wydzielane bywają przez usta. Ale usta i żołądek stanowią tu jeszcze zasadniczą, integralną część całego ustroju, a tylnych otworów, jak rzyć np., niema jeszcze właściwie zupełnie, tak że rzecz cała nie jest jeszcze tak bardzo dziwaczna. Jeżeli ustrój po prostu wypluwa przez usta resztki niestrawione, zbyteczne, dla czegożby on nie miał również przez usta płodzić dzieci, jak zresztą u człowieka odbywa się to przez tenże kanał, którym wydziela się mocz, a więc również niezużyty pro-

dukt przemiany materji. Sposób tylko jest trochę niezwykły, ale rzecz w osnowie swej pozostaje ta sama.

I dalej właściwie również idzie sprawa pozornie gładko. Komórka nasienna wyszukuje komórkę jajową—i teraz, zdawałoby się, powstanie nowa meduza. Gdyby tak było, nie poruszałibyśmy tutaj tej całej historii...

Z zapłodnionego jajka meduzy wyłania się swobodnie przytwierdzony do podłoża polip o charakterze, podobnym do naszej hydry. Siedzi, jako kielich, z żołądkiem wewnątrz, z ustami na końcu górnym i mackami dookoła, żyje, odżywia się i wydaje się zupełnie dorosłym stworzeniem. Ma się to wrażenie, jakie miałoby się wtedy, gdyby kobieta pewnego dnia zległa i zamiast dziecka wydała na świat dojrzałą zupełnie salamandrę lub dziobaka. Cóż z tym robić? Chwilę cierpliwości! Wyobraźmy sobie, co następuje. Mamy przed sobą filiżankę od kawy. Nagle z filiżanką dzieje się coś niezwykle dziwnego: rodzą się z niej małe filiżanki, mianowicie w ten sposób, że w środku wyrasta nowe dno, pomiędzy tym ostatnim a poprzednim jeszcze jedno, i w końcu otrzymujemy jakby trzy mniejsze filiżanki, jedna w drugą włożone. Aż tu nagle górna filiżanka spada — i oto mamy osobną, nową filiżaneczkę; wkrótce potym to samo dzieje się z drugą, a ponieważ pozostaje również i dolna, choć zmniejszona, więc mamy wszystkiego 3 filiżanki zamiast jednej.

Z prawdziwemi filiżankami udałaby się ta manipulacja oczywiście chyba tylko w zaczarowanym serwisie pana pastora z Resau. Ale z polipem, który powstał z jajka meduzy, udaje się to codziennie przed naszymi oczami.

Oto siedzi polip, istotnie trochę z postaci swej podobny do małej filiżanki... Wydrążenie filiżanki stanowi tu żołądek polipa, a otwór górny — to jego usta. A teraz co następuje?

W żołądek wrastają polipowi ścianki poprzecz-

ne; od zewnątrz w odnośnych miejscach całe zwierzątko się zwięza. Wydaje się, jakoby i tutaj zamiast jednej filiżanki tworzyło się kilka, cały szereg takich filiżanek, które stoją jedna w drugiej. Nasamprzód tylko górna filiżanka posiada zębaty brzeg, odpowiadający mackom. Ale wkrótce i na dole wyrastają dookoła każdego miejsca zwiężenia macki w postaci wianka. Aż tu nagle górna filiżanka z pierwotnym otworem i wiankiem macek odrywa się i staje się samodzielny zwierzątkiem, potym to samo dzieje się z następną i t. d.

I co dziwna: oderwane niby-filiżaneczki nie padają zaraz na dawne swe podłoże i nie stają się polipami, natomiast wywracają się, otwór ust zwracają ku dołowi, na grzbiecie ich tworzy się garb, i przyplływają w otwarte morze — stają się meduzami.

Cóż z naszą drugą tezą, dotyczącą spraw miłosnych człowieka? Z człowieka rodzi się człowiek — a tu z meduzy powstaje polip, a z polipa znów meduza...

Atoli z poprzednich wywodów nauczyliśmy się czegoś, i oto tu miejsce najlepsze do zużytkowania naszych wiadomości. Powiadamy sobie, że wszak nic w tym wszystkim niema cudownego: po prostu ni mniej, ni więcej, tylko wykazało tu swoją władzę zasadnicze prawo biogienetyczne. Meduza historycznie wywodzi się z polipa; a więc w rozwoju każdej jednostki powtarza się przedewszystkim stadjum polipa, później zaś dopiero po przezwyciężeniu tego etapu rozwija się prawdziwa meduza. Stąd wniosek, że w całej sprawie niema ani trochę więcej cudu, niż w tym, że człowiek w łonie matki raz jeszcze otrzymuje szpary skrzelowe, jak ryba, lub ogonek, jak małpa.

I w istocie pod jednym względem jest w tym rozumowaniu sporo racji. Wszak rzeczywiście meduza historycznie pochodzi od polipa, a fakt, że w rozwoju poszczególnych indywiduów - meduz wyłania się raz jeszcze polip, najpewniej wyobraża naogół tylko wspomnienie i repetycję historyczną w myśl zasadniczego

prawa biogenetycznego, zupełnie tak samo, jak skrzele i ogon dziecka w łonie matki.

Atoli pozostaje mimo wszystko coś niezwykłego, coś bardzo niezwykłego. Rozważmy to dobrze...

Zgodnie z naszym porównaniem, możnaby polipa, powstającego z jaja meduzy, uważać za zarodek, za niedojrzałą meduzę, podobnie do zarodka ludzkiego w łonie matki, przypominającego jeszcze rybę.

Aliści „embrjon meduzy“ jest tu jednocześnie dojrzałym zupełnie tworem! On nie przeobraża się w meduzę, rosnąc stopniowo, dopóki nie dojrzeje, jak to się dzieje z zarodkiem ludzkim, który rodzi się wreszcie, rośnie i w końcu staje się dojrzałym człowiekiem. Embrjon-polip meduzy zachowuje się już zupełnie tak samo, jak dorosłe zwierzę: rozmnaża się samodzielnie.

Istotnie, czyni on to niewątpliwie. Czymże bowiem jest to rozpadanie się filizanki, jeżeli nie rozmnażaniem? Wprawdzie nie jest to rozmnażanie na drodze płciowej, ale widzieliśmy już wszak właśnie u prawdziwego polipa-hydry, że u tych nisko stojących zwierzątek płodzenie dzieci na drodze płciowej nie jest jeszcze jedyną i bezwzględnie potrzebną formą rozmnażania się. Jeszcze obok tego istnieje zwykłe dawne pączkowanie bez właściwego aktu miłosnego.

A więc, dokładnie mówiąc, rzecz się ma w ten sposób: embrjon meduzy pod postacią polipa „pączkuje“ — wydaje z siebie piramidę młodych meduz, a te otrzymują jeszcze narządy dla innej, już prawdziwie płciowej metody rozmnażania, wytwarzają nasienie i jajka, i w ten sposób cały bieg spraw może znów normalnie rozpocząć się od początku.

Rozumiemy teraz, że jednak istnieje olbrzymia różnica w stosunku do człowieka. Zarodek ludzki do ryby podobny po prostu, rosnąc, przybiera postać ludzką, a kiedy człowiek osiąga pewnego wieku, staje się dojrzałym płciowo i zdolnym do płodzenia dzieci. Natomiast embrjon meduzy o postaci polipa już jako

taki jest zdolny do zozmnażania się i wydaje z siebie cały pęk gotowych meduz drogą pączkowania, zamiast żeby po prostu, rosnąc, z czasem przybrać postać jednej takiej meduzy.

I oto, jak widzimy, zbliżyliśmy się niepostrzeżenie do trzeciej tezy o miłości ludzkiej i zaraz niedwuznacznie zwężiliśmy jej zakres przynajmniej dla naszego przypadku. Obie tezy nasze, druga i trzecia, pod względem swej nietrwałości zależne tu są jedna od drugiej. Albowiem przyjąć można, że z meduzy powstaje inne zupełnie zwierzę—polip, a ten znów stwarza meduzy; wtedy upada druga teza, t. j. dzieje się tak, jak gdyby kobieta wydała na świat kangura lub dziobaka, a te zwierzęta wydawały dopiero człowieka. Albo też, jeżeli przyjmiemy polipa, wykluwającego się z jajka meduzy, za embrjona lub poczwarkę, za „nie-dojrzałą meduzę“, to wtedy upada trzecia teza, mamy bowiem niedojrzały embrjon (co brzmi już samo przez się paradoksalnie), który jako taki dojrzewa i płodzi małe.

... Doznajesz, czytelniku, uczucia lekkiego zawrotu? Ale to nic, musisz mi dalej towarzyszyć. I księga miłości w przyrodzie ma miejsce, gdzie nowicjusz doznaje takich uczuć, jak poczciwy Sancho, o którym Cervantes mówi: „I szedł już spokojnie dalej, był już bowiem zupełnie pewny, że pan jego istotnie oszalał“. Musimy czytelnika naszego zobowiązać większą jeszcze przysięgą, teraz bowiem czwartą podejmiemy tezę. Tu uzbroić się winniśmy przeciwko jednemu z największych organicznych cudów, jakie istnieją wogóle na tej starej, dziwów pełnej ziemi.

Gdyby znajomość świata zwierzęcego, mimo wszystką popularyzację, nie była dziś jeszcze tak zamkniętym pałacem, do którego od czasu do czasu wnijsć się odważa kilku wtajemniczonych, to oddawna już zastanowiłoby musiało wszystkich polityków, socjolo-

gów i filozofów to niezwykle zjawisko, które mamy teraz właśnie opisać, i musieliby oni myśleć nad nim i uczyć się. Ale nie wiem, ilu jest ludzi na świecie, którzy wogóle kiedykolwiek słyszeli chociażby nazwę tego zjawiska. Ty, czytelniku, nie znasz go napewno, i gdybym chciał zakpić z ciebie i wmówić ci, że opowiadałem ci coś o Marsie, uważałbyś to za niezwykle wesołą satyrę, mającą na celu ośmieszenie ludzkich stosunków społecznych, a więc za coś *ad hoc* stworzonego, co nosi na sobie piętno nieprawdopodobieństwa.

Czwarta teza twoja brzmiała, że całe indywidua ludzkie nie mogą już jako takie zrosnąć się znów na podobieństwo tego, jak zrosły się poszczególne komórki, tworząc ciało ludzkie. Żaden łącznik społeczny, nawet miłość, nie może stworzyć nic podobnego. Bracia sjamscy — to potwór, a nie etap dalszego rozwoju. Ideał społeczny ludzkości opiera się właśnie na tej niezależności i cielesnej samodzielności poszczególnych indywiduów ludzkich. Bierze cię chętka uczynić dygresję socjologiczną, a ja już naprzód, na znak uznania dla twojej zachcianki, dłoń ci ściskam. Ale mimo to jeszcze u węgła wielkiego zaklętego zamku-zwierzyńca, gdzie stoimy obecnie, zatrzymuje cię jedno niewzruszenie prawdziwe zjawisko i wymaga całego wysiłku umysłu, choć zrazu wydaje się, jakoby urągało wszystkim wysiłkom myśli ludzkiej.

Oto płynie chełbia lub meduza — jedno indywiduum. W zasadzie jest ona takim samym tworem pojedynczym, jak człowiek. Tak samo, jak i on, składa się z grudki komórek. Komórki te zawarły pomiędzy sobą najściślejszy związek, zupełnie jak twoje, tak że w rezultacie powstało nowe, wyższe, znów atoli w sobie zupełnie skończone indywiduum, zupełnie takie same, jak i ty. Śród komórek nastąpił podział pracy zupełnie tak samo, jak to miało miejsce w twoim ciele. Tworzą one narządy, nie w takiej wprawdzie ilości, jak komórki ciała ludzkiego, ale jednak kilka bardzo ważnych, jak np. żołądek, pę-

cherz do pływania, jakiś prosty ustrój nerwowy, a przede wszystkim pewne grupy komórkowe, wydzielające nasienie i jajeczka. Słowem, każda poszczególna meduza nie stoi jeszcze naogół, jako zwierzę, na tak wysokim stopniu rozwoju, jak człowiek, atoli, patrząc na nią, jako na indywiduum, trzeba przyznać, że dorównywa pod tym względem człowiekowi, że jest tą a nie inną pojedynczą chełbią, zupełnie tak samo, jak dany człowiek jest pewnym określonym, o pewnym nazwisku indywiduum, zaopatrzonym w papiery legitymacyjne, niejako uznanym i zapisanym przez policję.

Takie pojedyncze chełbie napotkać można, jakżeśmy już powiedzieli, w morzu, przeważnie w wielkich skupieniach. Dlaczegożby nie? Prowadzą one właśnie życie towarzyskie, a mimo to każda zachowuje swoją indywidualność. Aż oto nagle w piękny błękitny lub żółto-pomarańczowy szereg chełbi wciska się jakiś twór, pozornie zupełnie odmiennego gatunku. Chwytasz go z trudem, badasz i stwierdzasz, że jest to niby meduza, a jednak coś innego. Cóż to jest takiego?

Wyobraźmy sobie, że wyłowiliśmy tuzin meduz i porzuciliśmy każdą na części, rozłożyliśmy na oddzielne narządy. Oto tu mamy oddzielnie dzwon do pływania służący, tu żołądek z otworem ust, tu znów macki, łechzczące jakoś dziwnie skórę, niby pokrzywa, wreszcie narządy płciowe męskie lub żeńskie. Przypuśćmy, że narządy te z całego tuzina meduz zdobyte ułożyliśmy w porządku na kupkę, na podobieństwo tego, jak to się czyni z różnobarwnymi różami i gwoździkami, zerwanymi z grządki kwiatowej i rozłożonymi według barw. Więc oto w jednym miejscu powstała np. kupka dzwonek pławnych, w innym kupka, złożona z żołądków, opatrzonych gębami i t. d. A potem moglibyśmy ten cały materiał dowolnie w bukiet ułożyć, bukiet z chełbi, który teraz jako jedna całość posiadałby u jednego

końca dwanaście dzwonek pławnych, u drugiego dwanaście żołądków z gębami, w trzecim miejscu dwanaście bądź męskich, bądź żeńskich narządów płciowych, wreszcie gdzieindziej jeszcze olbrzymi pęk łączących macek.

Chełbie są to twory takie barwne, takie do kwiatów podobne, że znaleźćby się mogła jakaś delikatna ręka, która utworzyłaby z nich bukiet jakby z georginji lub róż, z których również wszak obcina się zawsze tylko pewne narządy i łączy je w sztuczną wiązanke.

Ale oto dzieje się rzecz cudowna. Azali istotnie w głębinie, w tych błękitnych kryształowych pałacach oceanu, żyje jakiś wodnik boecklinowski, który z barwnych meduz małych w chwilach wolnych splata taki wianek, ażeby ustroić weń swoją najmilszą zielonooką nimfę? I, być może, wyslizgnął mu się z rąk taki wianek ze zwierzątek, uniesiony został przez fale, aż wpadł w ręce przyrodnika-szperacza?

Twór bowiem, który zwrócił naszą uwagę, jako pozornie zupełnie dziwaczna meduza, i leży teraz oto przed nami rozczłonkowany—to jest właśnie ni mniej, ni więcej, tylko istotnie taka „wiązanke“. Z tą tylko różnicą, że „żyje“, jako całość.

Nie stworzył go w rzeczywistości żaden wodnik, nie został on sporządzony doraźnie przy pomocy noża. Sam on jako całość płynie po morzu, jako zamknięty w sobie ustrój, do życia i miłości zdolny. Przed nami leży t. zw. cewiopław lub chełbia zrzeszona.

Cewiopław jedną cechą przedewszystkiem różni się zasadniczo od każdej pływającej sobie swobodnie chełbi. Chociażby ostatnie utworzyły szereg z dziesięciu tysięcy pływających jedno za drugim indywiduów, jednak każda z nich pozostałaby zwierzęciem osobnym. Cewiopław natomiast nie jest j e d n y m zwierzęciem: sam jest już wiązanke wielu zwierząt, kolonją, społecznym stowarzyszeniem lub jakkolwiek to nazwać

zechce czytelnik. Kupka pojedynczych meduz, spleciona w jedną całość, jak król-szczur — oto cewiopław.

Znasz wszak to miłe stworzenie, zwane w nauce przyrodniczej królem-szczurem. W jakiejś belce spróchniałej lub w dziurze starego śpichrza, gdzie roi się od szczurów, słysząc czasami w ciągu długiego czasu wstrętny chrzęst i pisk, przewyższający jeszcze zwykły hałas szczurzy. Wreszcie cierpliwość się wyczerpuje, bierze się siekierę i rąbie belkę spróchniałą. Wtedy wyskakuje potwór, który utworzył się w ciasnym, brudnym gnieździe szczurzym przez okropne wyniszczenie lub chorobę: około 20-tu szczurów, a czasem i więcej, skłębiło się wzajem i zlepilo długimi ogonami, tak że żaden z nich nie może się oderwać, i oto muszą tak żyć wspólnie mocą przymusu, tworząc taką sjamską dwudziestkę. Oto jest ów sławny „król-szczur“.

Nie stanowi on oczywiście w sobie monarchji, ale wysoce niepraktyczną republikę z musu, która występuje na tle wolnego aż do anarchji życia szczurów po prostu tylko jako czasowa choroba. Wyobraźmy sobie jednak plastycznie taką kolonję szczurzą ze zrosniętymi ogonami i zastanówmy się nad istotą takiego zjawiska. Zobaczymy wtedy, że zjawisko to ma w sobie cechy odrębne. Ogony tak się pono zrasztają, że przez nie odbywa się obieg krwi od jednego szczura do drugiego. Znajdują się one wzajem do siebie w tym samym stosunku, co matka do swego dziecka, nie wydanego jeszcze na świat. Dziecko w łonie matki otrzymuje jeszcze krew matczyną; nie potrzebuje odżywiać się samodzielnie, karmi je bowiem krew matki; nie ma potrzeby specjalnie dla siebie oddychać, krew bowiem matki już za nie również oczyszcza się i odnawia, płuca matki za nie już oddychają. A gdyby tak owa dwudziestka szczurów, dostatecznie w krew zaopatrzona, zaczęła wprowadzać pewnego pięknego dnia podział pracy pomiędzy swemi całkowitemi indywiduami na podobieństwo

tego, cośmy spostrzegali już raz w komórkach pierwotnych?

Odtąd pięć szczurów, przypuśćmy, tylkoby wchłaniało pożywienie i trawiło; inne pięć tylkoby gryzły w chwili, kiedy zbliżałby się nieprzyjaciół; a jeszcze inne pięć tylkoby biegały i ciągnęły za sobą inne. Ponieważ każdy szczur prócz tych pierwszych pięciu również otrzymuje krew odżywczą, więc wystarcza, jeżeli zje tylko te pięć szczurów; tak samo dostatecznym jest, że gryzie tylko pięć szczurów, przez to bowiem samo już każdy inny jest broniony. Wreszcie trzecia piątka wlecze za sobą wygodnie wszystkie inne. Każda z tych kategorii nie ma przecież, prócz swej czynności, nic innego do roboty, więc wszystkie siły swe może zestrzeć w jednym kierunku.

W ciągu krótkiego czasu konsekwentny podział pracy pociągnie za sobą ślady w ustroju cielesnym naszej kolonii szczurzej. Owe pięć szczurów, co nie nie robią, tylko żrą, będą miały żołądek o coraz intensywniejszej wydajności pracy, natomiast skądinąd zmarnieją, nogi im się skurczą, i stopniowo zupełnie okuleją. U następnych pięciu, co bezustannie tylko syczą i kásają, wzrastać będzie wciąż odwaga i chęć kásania, natomiast żołądek, pozostawiony bez użytku, wciąż będzie się kurczył i niedołęzniał — wszak go nie potrzebują zupełnie. I do czego to w końcu doprowadzi?

Część szczurów, stanowiących „króla“, będzie tylko żołądkiem, inne tylko kásającymi łbami, a jeszcze inne tylko nogami do skakania. Gdyby ktoś obejrzał teraz niespodzianie tego potwora, to sądziłby, że ma przed sobą nie 20 prawdziwych szczurów, ale jednolite jakieś stworzenie najdziwaczniejszego gatunku o pięciu kásających łbach, pięciu żołądkach, dwudziestu (cztery razy po pięć) nogach i t. d. A środkowy kłęb zrosniętych ogonów wydawałby się właściwym ciałem tego szalonego potwora, tego kolektywnego szczura, stworzonego na modłę Cerbera.

Ale ze szczurami nie dzieje się nic podobnego, a biedny król-szczur jest raczej wszystkim innym, niż Cerberem piekielnym: jest on niczym więcej, jak wytworem smutnego przypadku, załęgłym w gnieździe niezdrowym.

Natomiast u naszego cewiopława sprawa ma się tak w istocie.

Kupka chełbi zrosła się z sobą, a przytym tak ściśle, że przez oś spólną, jak tam przez ogony naszych szczurów, krążyć mogą soki odżywcze, jednocześnie zaś dzięki ruchowi postępowemu, mającemu swe źródło u jednej krawędzi tego zrzeszonego tworzywa, cały łańcuch chełbi posuwa się naprzód jako jedno indywiduum i płynie jako całość. Z chwilą kiedy dokonał się zrost, rozpoczął się również i tu podział pracy.

Część chełbi zajęła się wyłącznie wchłanianiem, inne wprowadzały tylko w ruch dzwon pławny, część miała obowiązek obrony całego pnia, inne zaś jeszcze poświęciły się wyłącznie rozmnażaniu. A cóż było naturalną konsekwencją tego? Dzięki temu, że każda poszczególna chełbia, wchodząca w skład zrzeszenia, zaprzęgała do pracy wyłącznie tylko jeden z wszystkich swych narządów, stopniowo doprowadziła ona inne narządy do zaniku, aż wreszcie znikły one zupełnie. Te oto chełbie w górze łodygi, co tylko rozwierają i zamykają swe dzwony pławne, ażeby całość płynąć mogła po błękitnym morzu, są w istocie tylko już dzwonami pławnymi bez żołądka, bez komórek płciowych, bez wici. Te dalej ku dołowi, podobne do rozwartych kielichów polipa, tak długo grały rolę „żołądka gębą opatrzonego“, aż wreszcie, zatraciwszy dzwon pławny, stały się „zwierzętami-żołądkami“ o polipowatym wyglądzie. I tak dalej. Inne jeszcze chełbie nie są już niczym więcej, jak wiciami dla obrony i łowienia zdobyczy; z innych wreszcie wytworzyły się tylko składy dla nasienia i jajek.

Słyszeliśmy już o zwierzęciu, składającym się z wielu komórek — wszak sam człowiek jest takim zwierzęciem. Tu mamy przed sobą zwierzę, złożone z wielu zwierząt. W zwierzęciu wielokomórkowym z komórek przez podział pracy powstawały narządy. Tu mamy stworzenie wielozwierzęce, w którym wiele zwierząt wielokomórkowych znowu przetworzyło się na zwierzęta-narządy i jako całość stanowią jakiś „nadustrój“, przypominający teraz w istocie Cerbera lub Briareusa, o postaci dziwniejszej, aniżeli wymyśliłby ją mogła najbardziej cudowna legienda. Cięższe działał przeciwko naszej czwartej tezie ludzkiej trudno byłoby wytoczyć. A dla pełni obrazu dodajmy jeszcze, że ta chełbia zrzeszona lub cewiopław należy często-kroć do najwspanialszych pod względem estetycznym twórców w całej naturze. Najlepszy znawca ich, Haec- kel, opisuje je jako pływającą łądygę kwiatową, po- krytą nie prawdziwym kwieciami, a przezroczystym róż- nobarwnym kryształem. Te pływające ogrody o pięk- ności niewysłowionej kręcą się we wszystkich kierun- kach po ciemno-błękitnej cieśninie Mesyńskiej, tam, gdzie przyroda i poza tym już nagromadziła rozrzut- nie wszystkie cuda swoje. Napotyka je żeglarz w ocea- nie podzwrotnikowym jako t. zw. pęcherz morski lub *Physalia*. Na zwierciadlanej toni płynie pęcherz morski wielkości główki dziecięcej, jakby ze srebra dętego zrobiony, co mieni się błękitem niebios, fioletem i purpurą; na wierzchu, niby koronę, ma grzebień o połyskliwej czerwieni karminu, a ku dołowi zwie- szają się chełbie wchłaniające, płciowe i broniące o barwie delikatnego błękitu ultramaryny.

I cała ta lśniąca świątynia barw kocha oczy- wiście również. Atoli miłość ta jest jeszcze specjalnie pouczającą, wykazuje ci bowiem jednocześnie, jak powstaje „indywidualnie“ (o ile można tu użyć tego wyrazu) ten dziwotwór zrzeszony.

Pomiędzy zwierzętami, pochłaniającymi pokarm, zwierzętami, zarządzającymi ruchem całego pnia, i temi, które przeznaczone są dla jego obrony, siedzą, jak już wspominaliśmy, zwierzątka płciowe męskie i żeńskie, bądź jedne i drugie na jednej, i tej samej łodydze, bądź męskie lub żeńskie każdego rodzaju osobniki płciowe z osobna. W zewnętrznej postaci swej najbardziej jeszcze podobne są do chełbi z płaszczem w postaci dzwonu i z wyrostkiem u spodu dzwonu, przypominającym z wyglądu otwór ust. Atoli, jeżeli przyjrzeć się uważniej, zauważyć można, że owa rzekoma gęba jest zarosnięta, i tu bowiem również pożywienie przedostaje się bezpośrednio w postaci soków odżywczych od towarzyszy kolonji, specjalnie poświęcających się tej czynności. Natomiast ścianka owego wyrostka wydziela w niezmiernie obfitej liczbie bądź jajeczka żeńskie, bądź męskie komórki nasienne. A zachowany tu jeszcze dzwon pławny ma to jedynie znaczenie, że pozwala w pewnych warunkach takiej chełbi płciowej w okresie zupełnej dojrzałości zerwać związek z innemi, odzyskać samodzielność i na własną rękę pożeglować trochę po otwartym morzu w celu złożenia tam części ładunku płciowego. Istota bowiem rzeczy pozostaje oczywiście i tu absolutnie jednaką i wiecznie jednaką niezbędną: komórki nasienne i jajowa dwóch różnych „nadzwierząt“ muszą się odnaleźć wzajem i połączyć, ażeby bieg spraw zaczął się odnowa. Z produktu takiej konjugacji „nasienia i jajka państwowego“ tworzy się nasamprzód zupełnie normalnie zwierzątko — chełbia. Z tej jednej chełbi pierwotnej wyrasta później przez pączkowanie (a więc bezpłciowo!), jakby z jakiegoś zrazu samotnego, ale obdarzonego niezwykłą pewnością ojca narodu, cały rój innych chełbi, które w sposób wyżej opisany sprzyjają utworzeniu się „państwa“.

Tutaj prawdopodobnie utorowana jest już zupełnie droga prosta: niema już owych przejść od jaja chełbi

do polipa, a od niego dopiero znowu do chełbi, co, jak widzieliśmy, było prawidłem dla rozwoju poszczególnych chełbi innego rodzaju; tu z jajka odrazu wyłania się chełbia pierwotna, a z niej przez pączkowanie tworzy się cała łądyga chełbiasta z jej podziałem pracy. Aliści szczegóły tego zjawiska są dziś przez najlepszych nawet badaczy rozmaicie objaśniane; nam wystarczy powinien niewątpliwy fakt zasadniczy, że z jednego zapłodnionego jajka cewioplawu powstaje odnowa cały cewioplaw ze swą złożoną organizacją.

Tak samo, jak prawdopodobnie dzieje się z królem-szczurem, i tu wszystkie obywatelki królestwa chełbiastego są rodzeństwem jednego pomiotu, z tą tylko różnicą, że tu nie rodzi się naraz, jak u szczurów, wiele chełbi, ale nasamprzód z jednego jaja tworzy się jedna chełbia, która później (na podobieństwo owych poczwarek polipowych z historii naszej o filiżankach) wydaje z siebie następczo pewną liczbę chełbi-siostr.

Nie powinno to czytelnika wprawiać w niemiłe zdziwienie, że tu dla odmiany gotowy już twór wytwarza z siebie gromadkę rodzeństwa. Można to włączyć do szeregu cudów, jakie wykazuje całe to pokolenie.

W zasadzie jednak zachwiane są teraz wszystkie nasze cztery tezy ludzkie — prawda? Wszystkie cztery utonęły w jednej melodji, której motywem są polip i chełbia...

Oba te twory są jednak dopiero pierwszym drobnym pyłkiem świetlnym w tym rojowisku, co wspina się ponad gastreę ku wyżynom królestwa zwierzęcego.

Przejdźmy teraz z kolei do drugiego typu, którego przedstawicielem jest — robak.

Wybieram po prostu pierwszego lepszego potworka, z którego czytelnik mieć będzie prawdziwą rozkosz: tasiemca, czyli solitera.

Ale przedtym jeden jeszcze przynajmniej tęgi łyk, jakby przed uciążliwą podróżą! Należy nam się uzbroić do walki z jednym pojęciem, jednym problematem, jak gdybyśmy ze smokiem walczyć mieli.

Zanim zajmiemy się opisem życia miłosnego solitera, pozwolę sobie na krótką wycieczkę w dziedzinę ogólnie przyjętej obecnie teorii o nieśmiertelności duszy.

Przypomnijmy sobie jeden z najtrwalszych fundamentów tej teorii — ową kolumnę, którą ludzie w myślach swoich i tęsknotach wciąż tę teorię podpierają. Pragniemy, ażeby indywiduum, dusza, „ja“ każdego człowieka nie ginęło bez śladu nie tylko w ten warunkowy sposób, że żyć będzie dalej w dzieciach swych i wnukach, ale bezpośrednio po śmierci własnej. I stosujemy przytym bardzo proste samo przez się rozumowanie: zapewne, uprawnieni jesteśmy do twiedzenia, że człowiek żyje dalej w dzieciach swoich. Przynajmniej żyją w nich częściowo nasze cechy, niejako odłamki naszego własnego „ja“, często pewne talenty, pewne dobre i złe skłonności, wszelakiego rodzaju właściwości osobiste, które oczywiście przeniesione zostały na potomstwo podczas aktu rozrodczego; wszak ten ostatni polega na realnym odszczepianiu się cząsteczki cielesnej, komórki nasiennej lub jajowej — niema więc w tym żadnego cudu. Możliwe jest również, a w warunkach normalnych nawet prawdopodobne, że te dzieci znów spłodzą własne dzieci, którym przekazane będą dalej pewne cechy naszego charakteru, i t. d.; możliwy jest przynajmniej taki rzeczywisty nieskończony łańcuch, dzięki któremu ciągnąć się będą w nieskończoność i utrzymywać przy życiu ułamki i resztki jakiegoś określonego indywiduum. „Ale — słyszymy zarzut

z głębin naszej myśli badawczej—w najlepszych nawet warunkach jednak cała sprawa przedstawia się w ten sposób jednostronnie i połowicznie“. Dziś odziera się od człowieka komórka nasienna, mikroskopowo drobna cząsteczka jego fizycznego „ja“, cząsteczka, o której dziedzictwie i otrzymanej przez nią wyprawie na drogę życia sam wie rozpaczliwie niewiele. Atoli on sam, nie troszcząc się zupełnie o to, co z owej komórki wyrośnie, zostaje 30, 40 i więcej lat po tym akcie rozrodczym całkowitym indywiduum, żyje sobie dalej, rozwija się, myśli, bogaci się; w tych latach dopiero spełnia na świecie, być może, co ma najlepszego do spełnienia, albo wogóle teraz dopiero robi cośkolwiek, co może być brane poważnie. I czyż wszystko to, co objęte jest wyrazem „ja“, może znajdować się poza wszelką drogą, wiodącą ku nieśmiertelności?

Weźmy zaraz jaskrawy przykład w osobie Goethego. Goethe spłodził z Chrystjaną Valpius syna, owego znanego nieszczęśliwego Augusta, którego smutny los odczuwał ojciec aż do samej śmierci. Od tego syna pozostało dwóch również dostatecznie znanych, w chorobie stężyłych wujów w Wejmarze, których najlepszym dziełem życia był testament; ci nie pozostawili już potomstwa. Tu przerywa się już wogóle zupełnie linja miłosna Goethego, o której coś wiadomo. Krótka to „nieskończoność“ — ale to tylko nawiasem. Przypuśćmy, że ciągnęłaby się ona wciąż dalej. Porównajmy. Miejmy wciąż na myśli indywiduum Wolfganga Goethego z jego działalnością tytana jeszcze po r. 1789, kiedy spłodzony został August. Czyż ta indywidualność nie wyobrażała sobą niezrównanie drogocenniejszej części (niż ta odszczepiona w postaci komórki nasiennej), która w rozumnie zorganizowanym świecie miała wielkie prawo do innego, odrębnego rodzaju nieśmiertelności duszy, posiadającego większą siłę odporną i coraz więcej przedstawiającego gwarancji, aniżeli ów szereg następujących

po sobie komórek zarodkowych? Kiedy w rozprawach nad tą kwestją dochodzi się do tego punktu, stawia się po prostu postulat, wypowiada się twierdzenie, że poza tą nieśmiertelnością warunkową, co biegnie szlakiem aktów miłosnych i potomstwa, musi istnieć jakaś specjalna nieśmiertelność dla rodzicielskiego indywiduum, które pozostaje po dokonaniu aktu płciowego, i w tym miejscu jeszcze wydaje się okrzyk: czyż może być inaczej? Wyobraźmy sobie, jakby to być mogło, gdybyśmy nie wpadli na tę myśl o innej nieśmiertelności. Przyjmijmy na chwilę, że akt rozrodczy stał się, z żelazną koniecznością przyrodniczą, musiałby być uważany za akt ostateczny, końcowy każdego rozmnażającego się indywiduum.

Człowiek żyje, rozwija się, spełnia to, co mu w życiu spełnić wypadło, wreszcie płodzi dziecko — i w tej samej chwili pada martwy albo, lepiej jeszcze, po prostu przeobraża się bezpośrednio w dziecko swoje; matka tonie w akcie rozrodczym, jakby w jakimś źródle o tajemniczych własnościach odmładzających; nagle znika, a zamiast niej zjawia się dziecko małe, którego soki odżywcze wchłonęły to wszystko, co poprzednio wchodziło w skład indywiduum fizycznego matki. I w ten sposób wprawdzie sprawa nie przedstawiałaby się w stanie skończonym. Jednak mielibyśmy wtedy przed sobą bardziej namacalnie rozwiniętą linię nieśmiertelności: wtedy przynajmniej dla tego indywiduum, które dosięga okresu rozmnażania się, nie istniałaby śmierć w pewnym uwarunkowanym znaczeniu, przeobrażając się w proces radykalnego odmładzania się.

Jedno ciało nasienne lub komórka jajowa, potrzebne do zapłodnienia, pochłaniałoby niejako całe dorosłe indywiduum rodzicielskie w celu rozpoczęcia odnowa całego procesu. Możliwe byłoby wtedy przypuszczać, że przy akcie tak radykalnym przekazywanie dziecku cech charakteru z ojca i matki odbywałoby się intensywniej, nowe bowiem indywiduum

zawsze obejmowałyby całe zasadnicze dziedzictwo starych. Śmierć byłaby niejako głębokim snem nocnym, z którego budziłby się człowiek o tych samych cechach, ale jakby zepchnięty na niższy szczebel drabiny życiowej i obdarzony odmłodzoną siłą dla zapoczątkowania nowego życia. A cóż to są właściwie nasze wspomnienia? Znaczkki w mózgu, dość niewyraźne po części i z biegiem lat zacierające się. Prawdziwe pismo w postaci notatek i pamiętników ma już dziś dla nas samych ewentualnie więcej wartości, przynajmniej jeżeli chodzi o dłuższy przeciąg czasu.

Może jakimś wynalazczemu umysłowi przyszłości uda się fotograficznie, że tak powiem, rzutować pamięć nazewnątrż, ażeby cała lub zasadnicza jej treść mogła być przekazywana i wtedy jeszcze, kiedy dany mózg uległ już zagładzie. I czyby w ten sposób to nowonarodzone, odmłodzone „ja“ nie mogło odświeżyć na nowo starych wspomnień? Możliwy tu fantazjować jeszcze w nieskończoność.

W świetle tych poglądów zlanie się mężczyzny i kobiety i wytworzenie tej trzeciej istoty byłoby wysoce interesujące i jednocześnie naprawdę zawrotnie skomplikowane. Ale, zdaje mi się, dobrzeby było, gdyby cała ta piękna historia uplastyczyć się mogła w sensie starej bajki o odmładzającym źródle i stworzyła kanon logiczny, według którego cały łańcuch, ewentualnie w nieskończoność idący, spokrewnionych pokoleń wydawałby się w ciągu lat tysiąca jednym i tym samym indywiduum; życie tego indywiduum, rozciągnięte w ten sposób na olbrzymi szmat czasu, byłoby tylko przerywane przez pewne momenty głębokiego, odmładzającego, odnawiającego siły snu, tak samo jak życie poszczególnych jednostek przerywane jest przez tyle i tyle nocy zwykłego snu, podczas którego i świadomość na pewien czas okazuje się przerwana (oczywiście również w celu odświeżenia sił, tylko w prostszej postaci).

Ale po tej całej fantasmagorji marzyciel dodaje

z powagą, że tak właśnie nie jest. Indywiduum rodzicielskie w ustrojach wyższych nie przeobraża się właśnie bez reszty w dziecko, ale, owszem, pozostaje owa olbrzymia reszta, pozostaje np. cały Goethe, o którym wspominaliśmy powyżej. A że tak nie jest i tak być nie może, więc nasz optymizm musi szukać sobie innych gwarancji.

Tu oto jest miejsce, gdzie, ominąwszy zupełnie swobodnie kwestję nieśmiertelności i Goethego, przykuć chciałbym uwagę twoją, czytelniku, do czegoś zupełnie innego, mianowicie do owego miłego tasiemca właśnie. Na co ci się to przyda—sam łącno sobie uświadomisz.

Tasiemiec jest dla nas, ludzi, przykrym towarzyszem. Należy on do najzłośliwszych pasorzytów naszego ciała, a sposób jego życia wśród ciemni kanału jelitowego czyni go ponadto typem istotnym czegoś nieapetycznego. A jednak dzieje się z nim to samo, co z mięsem ludzkim w następującej anegdocie.

Misjonarz wygłasza z zapalem filipikę przeciwko spożywaniu ludzkiego mięsa i piętnuje to jako grzech i zarazem jako objaw niewyrobionego smaku. Dziki człowiek, zmiażdżony wymową misjonarza, zdobywa się na ostatni wysiłek odporny swego sumienia barbarzyńskiego i odpowiada: może w istocie jest to grzechem, ale o tym, że to mięso nie jest smaczne, nie ma pan żadnego wyobrażenia. — Tasiemiec jest naszym śmiertelnym wrogiem, ale twierdzić z tego względu, że jest tworem nieinteresującym, równałoby się zupełnej ignorancji.

Ze stanowiska naiwnego spostrzegania przyrody, które nie dba o żadne zatargi wojenne, tasiemiec jest jednym z najbardziej pouczających tworów na ziemi, prawdziwym cudem przyrody. Zarówno badaczom, jak filozofom, dostarczał nieskończenie wielu tematów do najzarliwszej pracy; już od długiego czasu

wije się on poprzez historję filozofji. Przypuszczano, że powstaje on dzięki samoródtwu z produktów trawienia ciała ludzkiego (a więc z materji martwej). Stosownie do tego, czy takie samoródtwo było dla filozofji materialistycznej lub teologicznej przydatne lub czy, przeciwnie, bywało przez nie zarzucane, prezentowano tasiemca jako przykład odświętny lub też napadano nań z zaciekłością. Wreszcie istotne, rzeczowe badania wykazały, że całe to majaczenie sennie o samoródtwie tasiemca jest niczym więcej, jak bańką mydlaną. I badania te jednocześnie wykryły tajniki życia miłosnego tego potworka w przepastnych uchyłkach naszego wytwornego ciała i rozwiązały szereg zagadek, którym nie sprostałby żaden najśmielszy w poglądach swych filozof.

Tak miłość we wnętrzu żywego szybu prowadzi nas w dziedzinę t. zw. w języku naukowym rozmnażania się za pomocą „mamek“ lub „karmicielek“. Nie powinienes przytym wyobrażać sobie mamek ze Sprewaldu, w czerwone przyodzianych spódnice. I znowu zoolog podaje ci możliwie najgorszą nazwę, i, ażeby dotrzeć do jądra rzeczy, snuć musisz nić myśli swej przynajmniej tak długą, jak rozwinięty tasiemiec barani, mający długości 60 okrągłych metrów. Wreszcie jednak znajdziesz poza nazwą coś, co warte było tego trudu i co pozwoli ci pojąć, że nie tak łatwo nadać temu zjawisku jakąś dobrą nazwę, istotnie z danym pojęciem sprzężoną.

Historja zaczyna się dość prosto, ażeby później ulec zawikłaniom, które przechodzą jeszcze labirynty miłosne w „Rolandzie Szalonym“ Arjosta. O nich powiedziano kiedyś, że są tak nieskończone, jak tasiemce, nie zdając sobie sprawy z tego, jak wspaniale czarowną bajkę w oczach samego mistrza Ludwika stanowiłyby dopiero dzieje miłości samego tasiemca. Przypuśćmy, że w głębiach ciała twego, czytelniku, spoczywa sobie spokojnie tasiemiec. Musimy wszak teraz przyjrzeć się całej sprawie z jego punktu widzenia,

a więc przypuszczam, że czytelnik nie jest człowiekiem, który ze stanowiska tasiemca „chybił w wyborze zawodu swego“, ale że jest, owszem, normalnym jego posiadaczem.

Ale i wtedy jeszcze można wybierać pomiędzy t. zw. uzbrojonym tasiemcem, którego długość przeciętna nie przewyższa $3\frac{1}{2}$ metra, a nieuzbrojonym o długości 8-miu metrów nawet i wreszcie szerokim, który może dojść do 9-ciu metrów długości. Wszystkie trzy mają swe życie miłosne, każde z pewnymi odmianami.

Wyzbądź się na chwilę zupełnie pojęcia brzydoty, wstrętu. Wreszcie i własne twe ciało w swych najsekretniejszych przejawach życiowych nie przedstawia nic odstrasającego. Musisz się jednak zagłębić myślą w arkany tego ciała, niby kiełbasa, co połyka samą siebie; zagłębić się myślą w swój kanał kiszkowy w chwili, kiedy trawi.

Najlepiej tak, jak to przedtym uczyniliśmy z macicą: wyobrazić sobie wszystko wyołbrzymione i zalane błękitnym blaskiem elektrycznego światła...

Otwórz oczy... Krocysz po olbrzymiej galerji, gdzie wre intensywna praca... Jesteś we wnętrzu fabryki chemicznej, w wielkim stylu urządzonej. Oto pracownie, gdzie przetwarza się materiały surowe, gdzie wśród szumu i drżenia przelewa się coś, kształtuje i przesuwają; pompy, które nabierają drogocenne płyny i przepychają je dalej w niezmierny rwący potok innego przemysłu maszynowego. Jakby windą, spływają raz po raz z szerokiej hali (z żołądka) odnośne chemikalja, już mniej lub więcej przetworzone, dla dalszych etapów przygotowane. Natychmiast przejmują je wielkie retorty i pompy, segregują, przetwarzają i przesuwają dalej. Część materiału, jako bezużyteczna, bywa wydzielana i spłókiwana jakbądź w najgłębszy szyb, ale reszta tak długo podlega przekraplaniu i przekształcaniu, dopóki przez liczne, niezmiernie kunsztowne przyrządy ssące nie będzie jako

ekstrakt najczystszy przeprowadzona do jakiegoś nad-systemu szeroko rozgałęzionych rur, gdzie krąży jeszcze według starego rytmu wspaniały płyn czerwony.

Ten płyn — to krew twoja. Dzięki chemicznej i mechanicznej pracy w laboratorium kiszkowym wszystko pożywienie, przygotowane już w ustach i żołądku, jakby na stacjach poprzedzających, przekraplane jest w ekstrakt pożywny. Ten ekstrakt wprowadzony jest potym w obieg krwi, dzięki czemu wypełniona jest jego rola jako paliwo i siła ruchoma o wiele obszerniejszego jeszcze systemu maszynowego, niż same kiszki. Co najcudowniejsza — że cała ta skomplikowana produkcja fabryczna odbywa się napozór zupełnie automatycznie: nawet światła jej nie trzeba, w głębokich ciemnościach działają tam retorty, pompy ssą płyny, materiały rozpuszczają się, oddzielają i oczyszczają, dopóki z chaosu nie pocznie wydzielać się klarowny czerwony strumień. Niezrównany dreszcz przed czymś wzniosłym przejąłby musiał każdego, kto zwiedziłby to wszystko, jak zwiedza człowiek rzeczywistą pracownię wspaniale urządzoną, fabrykę, w której ziszczoneby były wszystkie ideały automatów przyszłości.

Ale oto w ten przepyszny systemat maszynowy wsunął się niepostrzeżenie tasiemiec.

Cała wielka produkcja w hali z tą olbrzymią pracą przetwórczą w celu odżywiania wspaniałego zespołu maszyn jest mu najzupełniej obojętna. Znajduje się on w położeniu małego fabrykanta, któremu dzięki przemyślnej drapieżności udało się kilka własnych drobnych maszyn, służących do jego celów prywatnych, niepostrzeżenie w ten sposób połączyć z wielkim motorem, że otrzymuje on siłę ruchową stamtąd, nie mając potrzeby ani zużywać paliwa, ani wytwarzać siły przy pomocy drogich przyrządów; nie ma on do tego prawa, ale skorzystał z nadarzającej się okazji, uczynił to i śmieje się cichaczem. Zupełnie tak samo postępuje tasiemiec w kiszkach twoich.

Jako zwierzę, stojące na pewnym stopniu rozwoju, jako „robak“, ma on swój własny ustrój cielesny. I jemu potrzeba jako paliwa, podtrzymującego płomień życia, pewnych materiałów odżywczych, które zgodnie z prawem ogólnym powinnyby były być wchłonięte przez usta, przetworzone w kiszkach i wcielone w ustrój w postaci ekstraktu jako źródło sił życiowych. Ale po co pracować samemu!

Kiedy w wielkiej fabryce, którą wyobrażają kiszki ludzkie, retorty zajęte są gotowaniem, pompy są w ruchu i sący się szlachetny ekstrakt odżywczy z aparatu destylacyjnego—tasiemiec leży sobie niepostrzeżenie w ciemnym kącie fabryki, pocichutku połączył swój pas transmisyjny lub przewodnik z olbrzymim systematem automatycznym i po prostu ssie sobie głębokimi łykami czystą, klarowną siłę odżywczą, jak gdyby sam był rezerwuarem krwi wielkiej fabryki, która sama krwi potrzebuje. Chytry ten gość rozwiązał sobie pod stołem niezwykle łatwo wielki problemat społeczny: pokazał na przykładzie, jak drobny przemysł utrzymać się może wobec miażdżącej siły wielkiego przemysłu, wciskając się weń po prostu niepostrzeżenie, korzystając z jego dochodów jako narząd, a pomimo to ostając się sam ze swą własną drobną produkcją.

Jego położenie w najświętszym wnętrzu obcej fabryki pozwala mu obywać się bez takich rzeczy, które w innych warunkach są najpotrzebniejsze. Nie potrzeba mu już więcej otwartego sklepu, któryby utrzymywał ciągły kontakt pomiędzy nim a światem zewnętrznym i tym wszystkim, czego on dostarcza; nie potrzeba mu gęby, która nasamprzód ordynarnie wchłania pożywienie, i w samej rzeczy nie ma też gęby. Nie potrzeba mu własnego żołądka ani jelit własnych: sok pożywny dochodzi go bezpośrednio, ludzki żołądek bowiem i ludzkie kiszki za niego już przetwarzają surowe pożywienie w taki sok odżywczy. Będąc pozbawionym gęby i żołądka, wchłania on po prostu obcy,

ludzki płyn odżywczy całą powierzchnią swego ciała. Jako idealny typ żarłoka-leniucha, gwizdże sobie na zasadę, która głosi, że kto nie pracuje, ten również nie powinien jeść, i tyje w swym lenistwie beztroskim pośród najintensywniejszej pracy, wrócej dookoła. Ukryty w ciemnościach przepastnych tych hal wielkiej fabryki ludzkiej, pozostaje niezauważonym w niezliczonej liczbie przypadków, i tylko kierownicy fabryki tam w górze, w mózgu, zaznaczają od czasu do czasu niezrozumiały deficyt, porównywając dopływ sił i istotny przyrost siły w postaci krwi; cyframi wykazują niejako obecność spółbiednika, nie znajdując go, jako ukrytego pod stołem laboratoryjnym rzeczywistego pasażera, przemykającego się bez biletu. A on tymczasem, utuczony, wysoce zadowolony ze swego gienjalnego rozwiązania problemu społecznego, wyzbyty z wszelkich innych trosk, kroczy ku celowi swego życia przez — miłość.

I choćbyś był najnabożniejszym i najwstrzemięźliwszym ascetą, który zaprzysiągł wyrzec się miłości na zawsze, jednak nie mocen jesteś przeszkodzić temu lekkomyślnemu gościowi swemu w wypełnieniu wielkiego prawa natury bez względu na całą surowość twoich własnych obyczajów i twej świętości, pozostającej w sprzeczności z naturalnym biegiem rzeczy... I wypełnia on też to prawo w głębiach twych jelit z bezprzykładną energią nawet — choć przyznać trzeba, że w dziwnych trochę warunkach.

Wyobrażasz sobie mniej więcej, jak wygląda taśmiec. Na przodzie t. zw. łeb ze specjalnymi narządami, przyssawkami (które mylnie uważane są za oczy) albo haczykami, które służą do tego, ażeby ucześcić się ścianki kiszki; głowa zwięza się ku tyłowi, tworząc jakby szyję, na której jest osadzona. Wreszcie następuje nieskończony łańcuch t. zw. członów, które w oczach profana nadają dopiero właściwie całości wygląd „robaka“ i, jak wiadomo, łatwo się odczepiają. Ogólny ten obraz przez wspomnienie naszki-

cowany należy jednak jeszcze wykoncypować sobie trochę dokładniej pod względem zoologicznym.

To, co nazywamy łbem i szyją, jest to już właściwie sam tasiemiec, prawdziwy robak, należący do rzędu t. zw. płazińców, które stoją w systemacie na stopniu znacznie niższym, niż owi najbardziej znani przedstawiciele pokolenia robaków: dżdżownica i pijawka. Taka głowa solitera z przyssawkami i szyją może znajdować się w kiszce ludzkiej bez wszelkich dodatków, a jednak już stanowi prawdziwe zamknięte w sobie indywiduum-solitera. Zawiera ono pewne załączki mózgu (wprawdzie bez oczu i uszu), odżywia się w przedstawiony powyżej sposób ekstraktem odżywczym przymusowego gospodarza swego, w którego domu mieszka, i byłoby skończone zupełnie, gdyby posiadało jedno jeszcze: narządy płciowe. Ale tego ani śladu!

Wesoły ten spółbiednik nie jest ani męskiego, ani żeńskiego rodzaju, ani również hermafrodytą, któryby łączył w sobie jedno i drugie. A jednak warto go teraz obserwować. Najadł się do syta i czuje się zdolnym do najdojrzalszych czynów. W miejscu, gdzie kończy się tępo rzekoma szyja (właściwie tylny koniec ciała całego robaka), rozpoczyna się nagle „pączkowanie“ w postaci nowego, młodego tworu. Mówimy o „pączkowaniu“ (lepszego wyrażenia i tu również nie mamy), w rzeczy samej bowiem ten młody twór powstaje zupełnie tak samo, jak pączek roślinny: wyrasta on po prostu z tylnego końca ciała rodzicielskiego zwierzęcia bez specjalnego aktu rozrodczego. I na podobieństwo pączka również nie oddziela się odrazu od swego rodzica, a pozostaje z nim związany, tak że ma się wrażenie, jak gdyby owej głowie robaka przybył dalszy człon.

Łączność pomiędzy nimi nie zrywa się i wtedy nawet, kiedy od robaka pierwotnego oddziela się drugi pąk-robak i wsuwa się pomiędzy pierwszą latorośl a robaka-rodzica. Oba pąki, oznaczone jako „dwie“

jednostki przez powierzchowne wgłębienie, ale w rzeczy samej nie oddzielone od siebie, stykają się teraz z sobą i ze swym rodzicem, niby początkowe ogniwa łańcucha.

Niezadługo łańcuch znów się powiększa. Energia miłosa pierwotnego tasiemca okazuje się nadal przy dobrym odżywianiu po prostu niewyczerpaną; pączek za pączkiem z tyłu wyrasta, człon za członem wsuwa się w łańcuch, tak że wreszcie owa pierwsza latorośl tasiemca oddzielona jest nieskończonym prawie szeregiem później zrodzonego rodzeństwa od swego rodzica albo też — co w danym wypadku znaczy to samo — jest z nim przez ten szereg złączona. Zamiast jednego indywiduum przechowuje odtąd fabryka chemiczna twoich jelit całą rodzinę, która w skupionym, ścisłym szeregu tworzy wreszcie ów olbrzymi twór, co jako całość znany jest dopiero profanom, jako właściwy „tasiemiec“, teraz bowiem dopiero, jako całość, na pierwszy rzut oka wygląda właściwie, jak olbrzymi robak z łbem i pierścieniami. Ale najbardziej interesującą w tym wszystkim jest rzecz następująca.

Małe robaczki, które powstały przez pączkowanie, nie zupełnie podobne są do swego rodzica. I one mają swe nerwy i pewne resztki narządów, wchłaniają sok odżywczy — słowem, są prawdziwymi małymi tasiemcami. Ale pozatym posiadają jeszcze zupełnie rozwinięte narządy płciowe, mianowicie męskie i żeńskie w tym samym ciele. Każdy mały robak wytwarza w sobie ciała nasienne, które mogą być wyprawdane nazewnątrz przez członek rozrodczy, mający możność wysuwania się, a prócz tego mają i jajnik z pochwą, przez którą tłoczą się nazewnątrz jajeczka. I podczas kiedy stary tasiemiec wciąż jeszcze przejawia swą zdolność miłosną przez pączkowanie, budzi się już w tych młodych tasiemcach ta sama miłość, z tą tylko różnicą, że tu niema pączkowania, a wszystko odbywa się na prawdziwej drodze płcio-

wego rozmnażania zwierzęcego. Człony tasiemca, będąc jednocześnie męskiego i żeńskiego rodzaju, zapładniają się wzajem parami, ściśle zespolone z sobą w kiszce ludzkiej; odbywa się to w ten sposób, że każdy z nich udziela sąsiadowi nasienia dla zapłodnienia jajek i jednocześnie dostarcza mu jajeczek dla jego nasienia. Samozapłodnienie jest i tu, jak się zdaje, tylko wyjątkowym wypadkiem, jak wszędzie zresztą w hermafrodytyzmie.

Natychmiast po dokonany zapłodnieniu jajeczek ciała nasienne ssychają się, ale jajka zwykle otaczają się mocną błoną, w której po większej części zaraz, jeszcze w łonie matki, rozwija się zarodek młodego tasiemca-wnuka. Olbrzymia jest liczba jajek, które wytwarzają się podczas tych aktów miłosnych w młodych, przez pączkowanie powstałych tasiemcach.

T. zw. uzbrojony tasiemiec (t. j. uczepiony przy pomocy wianka haczyków, umieszczonych dokoła łba) zazwyczaj wytwarza za sobą w postaci łańcucha przez pączkowanie do tysiąca i więcej młodych dwupłciowych tasiemców. Każdy z tych młodych milutkich tasiemców wytwarza znów wewnątrz siebie około 50000 normalnych zapłodnionych jajeczek; to daje nam w ostatecznym rezultacie okrągłą liczbę 50 milionów wnuków.

Z chwilą kiedy zjawiają się dojrzałe jajka, kończy się istotne zadanie życiowe drugiego pokolenia tasiemców. Niemożliwa, ażeby cały ten łańcuch z tysiącem członów stale trzymał się w żywym człowieku. Jeżeli nawet łeb przy pomocy swych haczyków i przyssawek jest mocno przytwierdzony i czasami pozostaje w swym ukryciu lat 12, ssąc pożywienie i pączkując, jednak krańcowe ogniwa łańcucha stopniowo wciąż się odrywają i znikają przez upust, kędy wielka fabryka chemiczna wydziela niepotrzebne i niespożytkowane resztki. Często są one jeszcze wypchane dojrzałymi jajkami, niekiedy znów są już puste —

w ostatnim wypadku jajka same, rozumie się, dostają się do kanału wydzielniczego.

Teraz zapewne rozumiesz, do czego cała rzecz zmierza...

Młode tasiemce, oderwane od swych łańcuchów rodzinnych, spłóskane z wiecznie zastawionego stołu wielkiego laboratorium, gwałtownie strącone w przerażającą otchłań zrazu wewnątrz samej fabryki, później zaś wogóle wygnane zupełnie z budynku fabrycznego nazewnątrz, poruszają się jeszcze wprawdzie troszeczkę tam w dole, gdzie roi się od okropności... a potem marnie giną i, jako dowód swego istnienia, pozostawiają tylko jajeczka. Takie jajeczko jest bardzo trwałe. Tymczasem wszak nie potrzebuje ono pożywienia, a rozkładającym wpływom okropnego otoczenia stawia opór twarzą, chemicznie odporna błona. Ale cóż się z nim staje wobec tego wszystkiego? Oto przede wszystkim podlega ono temu samemu losowi, co całe otoczenie, w którym się znajduje.

A drogi mogą tu być rozmaite. Jedno wędruje w dal, na łono pięknej, szerokiej, zielonej przyrody; inne pogrąża się w rozlewne, przezyste ramiona wód i płynie w kryształowo-zielone morze i błękitne rzeki; jeszcze inne pożerane jest przez świnie z naiwnością stworzenia, cierpiącego nieobłudnie głód, stworzenia, dla którego wszystko jest czyste. Są i takie jajeczka, które padają na nagą skałę, gdzie dla żywego stworzenia niema sposobu ostania się. Natomiast trzy inne ewentualności zastają, o ile się zdaje, owo trzecie pokolenie tasiemców odpowiednio przygotowanym. Oto bydłę pasie się na łące. Nagle jajko takie z zarodkiem tasiemca wewnątrz zostaje przez nie połknięte i wpada do żołądka. Oto szczupak chciwie i odważnie łyknie sobie wody—i zarodek tasiemca, co po pęknięciu otoczki wirował sobie w wodzie, nagle znalazł się w żołądku rybit. Pocziwa stara maciora

pochrząkuje na śniadaniu—i oto trzecie jajko tasiemca, które, być może, nie wydostało się jeszcze nawewnątrz z obumierającego ciała matczynego, natychmiast po odbyciu drogi przez straszną czeluść z góry na dół znów pogrąża się w jakąś nową ciepłą głębię—w żołądek świński.

Ale w każdym z tych trzech wypadków ma się wrażenie, jak gdyby ten mały zarodek wiedział dokładnie, co począć z sobą. Jeżeli jest jeszcze w otoczeniu, to rozpuszcza się ona teraz po prostu w soku żołądkowym, i zarodek odzyskuje wolność. Przy pomocy swoich haczyków wdraża się on w ściankę żołądka, przebija ją na wylot i wędruje sobie po ciele, wyszukując najlepsze części mięśniowe; tam usadawia się na stałe, odrzuca haczyki i pęcznieje, przybierając postać dużego pęcherza. Profan, napotyka go w tej formie, nazywa go teraz robakiem-pęcherzem lub wągrem, nie wiedząc o tym, że ma przed sobą tasiemca zamaskowanego.

Wągr wydaje się być skazanym na bezczynność. Samodzielnie nie może on już się wydostać z wnętrza ciała swego gospodarza. Nie posiada również narządów płciowych, tak że i w tym kierunku nie może działalności rozwinąć. Ale po krótkim przeciągu czasu zaczyna jednak przejawiać się w nim utajone dotąd życie.

Na podobieństwo tego, jak w początkach naszego romansu miłosnego powstało przez pączkowanie, jak u roślin, pierwsze pokolenie młodych tasiemców, tak samo we wnętrzu wągra wrasta w jego pęcherz, niby zaostrzony czopek, łebek z szyjką, który teraz wyobraża sobą ni mniej, ni więcej, tylko pierwotnego tasiemca z łebkiem, takiego, jakiegoś widział wyżej w jelitach człowieka.

W niektórych gatunkach tasiemców nie kończy się wewnątrz wągra na jednym łebku—stopniowo wyrasta przez pączkowanie coraz więcej albo bezpośrednio, jako czopki wewnętrzne pęcherza wągrowatego,

albo też w ten sposób, że wąż przez pączkowanie wydaje z siebie młode węży, z których każdy później wytwarza własnego tasiemca.

Ale trzymajmy się już najprostszego wypadku, t. j. jednego łebka w pęcherzyku.

Sytuacja i tak jest już dość niepowszednia. Wąż siedzi odcięty od świata w mięśniach świni, rogatego bydła lub szczupaka, a w tym wężrze tkwi tasiemiec, dotąd ściśle jeszcze z nim związany, jako pączek, w takiej postaci, która rozwijać się może dalej samodzielnie tylko w kiszka człowieka i tam dopiero stwarzać nowe pokolenia tasiemców. Jakaż na to rada? Wąż wraz z łebkiem tasiemca czekają pełne nadziei. I oto nastaje chwila, kiedy bydło lub świnia idą do rzeźni i wiszą później u rzeźnika w postaci mięsistych ćwiartek tylnych wraz z pęcherzem węża i główką tasiemca. I wybija godzina, kiedy i szczupak wpada w sieć.—I oto nastaje zwrot w losach tasiemca.

Czy—jako biedny poeta—podtrzymujesz płomień swego gienjuszu na poddaszu najtańszą kiełbasą wątrobianą z cebulą, czy obdarzasz mięso świńskie surową pogardą, a napawasz się w nabożnym spokoju swą rybą piątkową—jest to obojętne: spożywasz jedno lub drugie wesoło, a później okazuje się, że masz tasiemca. Ów maleńki wąż bywa połykany wraz z mięsem i dostaje się do żołądka. Sam wąż jest tu u swego ziemskiego celu; sok żołądkowy niszczy pęcherz, „trawi“ go—tak samo jak mięso, w którym pęcherz się znajdował. Ale na podobieństwo tego, jak ostało się ongi jajko w twardej otoczce pośród najszaleńszych zakusów chemicznych, którym uległy stworzenia rodzicielskie, tak samo i teraz ostaje się owa główka tasiemca, która przez pączkowanie z pęcherzyka wyrosła i w żołądku człowieka natychmiast się z niego wyzwoliła zupełnie. I z żołądka przedostaje się teraz do kizek nie jako przetworzony pokarm ludzki, ale jako szczęśliwa zwycięzcy—i te-

raz znów jesteś na samym początku. Ssący tasiemiec w postaci jednej główki, pączkowanie, zapładnianie tasiemców wypączkowanych z narządami płciowymi, wreszcie, jako rezultat, 50 milionów jajeczek w jelitach biednego poety — i t. d.

Nie należy się zanadto przerażać liczbą. Nie wydaje się, jakoby naogół liczba tasiemców wzrastała. Każdy tasiemiec, biorąc rzecz tak, jak się dzieje w życiu, wydaje przynajmniej tylko jednego nowego. Z 50 milionów jajeczek zazwyczaj tylko jedno znów dostaje się do jelit człowieka poprzez zawiłe pośrednictwo węża, w czym zresztą niema nic dziwnego właśnie ze względu na te perypetje podróże.

A teraz zastanówmy się raz jeszcze nad tym wszystkim.

Romans miłosny tasiemca obejmuje oczywiście nie mniej, niż cztery pokolenia. Prawdziwa miłość płciowa z nasieniem, jajeczkami i zapłodnieniem — to cechy pierwszego pokolenia tych młodych tasiemców w jelitach ludzkich, tasiemców, sprzężonych na podobieństwo łańcucha. Ich jajeczka prawidłowo zapłodnione wyrastają w węży. Z węża przez pączkowanie wyłania się tasiemiec, składający się tylko z główki. Z niego znów przez pączkowanie wyrastają dwupłciowe łańcuchy młodych tasiemców.

Przełożmy to sobie na stosunki ludzkie.

Ktoś z żoną swoją płodzi prawidłowo chłopca. Zrazu zapowiada się on zupełnie po ludzku, ale kiedy osiąga pewnego wieku, spostrzega ojciec, że jest jakos dziwnie do niego niepodobny i sposobi się do zupełnie odmiennego życia. Jeszcze kiwa nad nim głową z podziwu ojciec. Aż tu z nosa wyrasta chłopcu inny, znów niepodobny zupełnie do niego samego, natomiast już bardziej podobny, choć jeszcze nie całkiem zapewne, do dziadka. Z wzrastającą ciekawością śledzi on rozwój wnuka: oto z ramienia wyrasta mu

trzeci chłopak, który wreszcie najzupełniej podobny jest do owego pierwotnego ojca; zupełnie tak samo, jak on, szuka sobie kobiety i, zamiast ryzykownego rozmnażania się przy pośrednictwie nosa lub ramienia, obiera znowu uznaną powszechnie ścieżkę miłosną, po której kroczył jego pradziad. Czy spostrzegasz podobieństwo z historją meduzy? Ale cały proces jest tu jeszcze zawilszy. Zoolog musiał znaleźć wyraz, któryby rzucił trochę światła w ten labirynt. Zrozumiał on (i czytelnik sam, gdyby wypadło mu mieć z tym do czynienia, byłby postąpił nie inaczej), że zwykły krótki szereg: ojciec — syn — wnuk — prawnuk i t. d. tu nie wystarcza. W naszym obrazie musiałyby się to jakoś w ten sposób nazywać: ojciec — niepodobny syn — chłopak „nosowy“ — chłopiec „ramieniowy“ = podobnemu synowi.

Zoolog korzysta w opisie przeobrażeń tasiemca z wyrazu „karmicielka“ i ustanawia taki szereg: prawdziwy tasiemiec-ojciec (ogniwo łańcucha w jelicach człowieka) — starsza karmicielka (wągr) — karmicielka (tasiemiec-główka w jelicie człowieka) — prawdziwy potomek tasiemca (nowy młody tasiemiec łańcuchowy, przez pączkowanie z tasiemca-główki zrodzony).

Stąd widać, że cel tego romansu nigdy nie bywa osiągany w jednym pokoleniu, nigdy w tym okresie nie dochodzi do tego, ażeby się tasiemce wzajem „posiąść“ mogły. Romans ten musi w tym celu trwać koniecznie poprzez kilka pokoleń. I choć brzmi to więcej, niż dziwacznie, to powiedzieć można, że, zanim tasiemiec dotrze do istotnego płciowego celu miłości, musi przedtem przynajmniej raz umrzeć (jako wągr) i dwa razy (jako wągr i jako tasiemiec-główka) przetrwać w ciągu całego okresu w celibacie,

Czytelnik doznaje zawrotu głowy — ale niechaj pozwoli na jedno jeszcze zwrócić uwagę. Należy dokładnie zapamiętać, że w tym romansie zdarza się dwa razy fakt następujący: j e d n o i n d y w i d u m

musi umrzeć, ażeby następne mogło żyć. Ogniwio tasiemca-łańcucha, które pod wielu względami jako jedyna postać, zdolna do prawdziwego płciowego zapłodnienia, zajmuje najwyższy szczebel w całym szeregu, musi opuścić za sprawą srogiego losu miłe, ciepłe, pełne pożywienia jelito, gdzie zewsząd sączy się manna w postaci przetworzonych już soków ludzkich, musi pograć się nasamprzód w głąb ludzkiego kanału odchodowego, później zaś w straszną, niszczącą otchłań nazewnątrż ciała ludzkiego i tam musi bez nadziejnie ulec rozkładowi. A wszystko to dzieje się w tym celu, ażeby dobrze opancerzone jajko mogło obrać błogosławieństw pełną drogę w kierunku bydlęcia, świni lub szczupaka.

I po raz wtóry wąż musi z bydlęcia, świni i szczupaka wpaść w żołądek ludzki, musi tam zginąć marnie od kwasu żołądkowego, ażeby tasiemiec-główka dotrzeć mógł do miejsca swego przeznaczenia—do jelit ludzkich.

Wprawdzie jedno pokolenie żyje wciąż bez przerwy pomimo i poza wielkim potomstwem: tasiemiec-główka. Siedzi on u źródła w ciągu 5-ciu, 10-ciu, w pewnych razach i 20-tu lat; poza jego plecami wyrastają wciąż nowe pokolenia, a on siedzi sobie bez troski wszelakiej, niby patryjarcha, o którym śmierć śnać zapomniała. Do niego zastosować można słowa Buscha: „on ma wszystko poza sobą i jest, Bogu dzięki, cnotliwy“. Dopiero wtedy, kiedy jego człowiek-gospodarz umiera, i on ginie od śmierci głodowej. A jednak on właśnie jest tylko owym stworzeniem drugiego stopnia, ową „karmicielką“, której obce pozostają wyżyny miłości, gdzie dwoje—„ja i ty“—obcuje z sobą.

Skoro z jednego wielkiego przykładu poznaliśmy już teraz rozmnażanie przy pośrednictwie karmielek, możemy jeszcze jako ilustracje tego pojęcia dodać kilka historii miłosnych, które właściwie prostszy jeszcze stanowią wyraz stosunku pomiędzy rodzicem a dzieckiem.

Pozostańmy przy tasiemcach.

Nie możemy tu rozwałkować całej klasyfikacji robaków—jest to rzecz rozpaczliwie trudna. Dość już z tego powodu swarów w gronie samych zoologów, i już dawno powiedział gruby Karol Vogt w Genewie, że już najlepiej byłoby powiesić całą tę systematykę na kołku i zgodzić się na wiersz Buscha: „długość robaka jest rozmaita“. A więc tylko słów parę w celu niezbędnego porozumienia się.

Rozrzucmy sobie po prostu wszystkie robaki na trzy gromady.

Jedna — to płazińce. Tu należą równie znane profanom tasiemce. Ta gromada robaków stanowi najniższą latorośl drzewa genealogicznego; prawdopodobnie powstały one bezpośrednio z owego poczciwego pierwotnego brzuchacza, gastrei, o której mówiliśmy wyżej.

Z płazińców w biegu rozwoju historycznego rozwinęły się dopiero później właściwe albo prawdziwe robaki, olbrzymia gromada stworzeń o 15-tu conajmniej klasach i niezliczonych nazwach grup. Mamy tu wrotki, niciowce, cierniogłowy i t. d.

Jako profan, czytelnik zna z tej całej pstrej rzeczy—jestem tego pewny prawie—tylko rzeczywistych przedstawicieli jednej jedynej grupy, mianowicie niektóre niciowce, do nich bowiem należą: włosień, przyjaciel człowieka; glista, która również wiedzie w jelitach ludzkich życie pasorzytnicze; octówki, co używają sobie życia w butelce z octem, i t. d. Więc to są t. zw. robaki prawdziwe.

A teraz oddziel sobie jeszcze trzecią gromadę—pierścienice.

Właściwie odbiegły one już daleko od właściwego typu robaka. Należy zapamiętać, że z prawdziwych robaków rozwinęły się w biegu historii wszystkie wyższe grupy zwierzęce: nasze ślimaki, mątwy, rozwiazdy morskie, jeżowce, raki, pająki, owady, ryby, płazy, gady, ptaki, ssawce, wreszcie na samym

końcu i człowiek. Oczywiście, były również grupy przejściowe, które niezupełnie jeszcze wyzbyły się wszystkich cech robaka, ale jednak już nie odpowiadały mu całkowicie. Taką grupą przejściową są pierścienice; ich pierścienie stanowią pomost pomiędzy istotnymi robakami a rakami i owadami. A tu właśnie należą te „robaki“, które znamy najlepiej: dżdżownica i pijawka, i teraz oto, wzięwszy po jednym lub po dwóch przykładach, możemy uprzytomnić sobie wszystkie trzy główne grupy pokolenia robaków — to wystarcza do celów naszych.

Mimochodem (dla przestrogi) zaznaczymy tylko jeszcze jedno. Cała masa żyjątek, które zwykliście nazywać „robakami“, ze stanowiska zoologii bynajmniej niemi nie jest: wszystkie owe grube żyjątka w gnijącym mięsie, w „żywym“ serze limburskim, w „robaczywym“ jabłku — wszystko to są czerwie czyli nierozwinięte jeszcze postaci młodociane owadów. Kiedy oglądać przez pewien czas czerwia w serze lub mięsie, można zauważyć, że przeobraża się on wreszcie w prawdziwą muchę, która jest nieskończenie bardziej złożonym, wyżej uorganizowanym zwierzęciem, niż istotny robak.

Przez chwilę zatrzymamy się jeszcze przy płazińcach, a więc na samym dole tej drabiny. I tu mamy dosyć dziwacznych historii miłosnych.

Oto mamy przed sobą t. zw. diplozoon (zwierzę podwójne), mały potworek, wiodący życie pasorzytnicze na skrzelach karpia. Wyobraźmy sobie, rozumie się w minjaturze, dwa zrosnięte na krzyż ogórki. Każdy ogórek jest właściwie sam przez się robakiem; każdy z nich wałęsał się też przez pewien czas samodzielnie. Wtedy nie miał jeszcze nawet śladu narządów płciowych, a mimo to pewnego dnia objęło go dziwaczne pożądanie: przyłączyć się do drugiego osobnika tego samego gatunku. Jeden z nich chwycił teraz drugiego przy pomocy małego otworu ssącego na brzuchu za mały wyrostek, umieszczony na ple-

cach po obu stronach, i, sprzężeni w ten sposób na podobieństwo bliźniąt sjamskich, utworzyli odtąd jedno poniekąd zwierzę. Teraz dopiero, jako „zwierzę podwójne“, dojrzewają płciowo, i przytym każda połowa posiada zarówno męskie, jak i żeńskie narządy płciowe. Oto mamy potwór erotyczny z 4-ma ogółem narządami płciowymi, które zapładniają się na krzyż w tym ciele podwójnym...

A oto inny blisko spokrewniony płazinic, który słusznie nosi nazwę „gynaecoforus“ czyli „nosiciel kobiecości“.

Jest on wyjątkowo zupełnie płciowo wyodrębniony; ale dla pewności samica i tu zespała się z samcem, wślizgując się na stałe w specjalną szparę na brzusznej stronie opiekuna-samca, tak że prawie powiedzieć byłoby można, że samiec wyobraża jakby coś w rodzaju kangura, który swoją połowicę jak dziecko nosi w worku. Zwierzątko to specjalnie upodobało sobie pęcherz moczowy małych negrów i, ssąc tam tkanę, jak wszystkie te pasorzyty, wywołuje najgroźniejsze krwotoki.

Ale to wszystko nie było jeszcze właściwie tym, co chcieliśmy dodać w uzupełnieniu historii o tasiemcu.

Przenieśmy się raz jeszcze w kunsztowną fabrykę chemiczną ustroju, zajętego trawieniem—tym razem, przypuśćmy, u barana. Specjalnie ważna hala tej fabryki nazywa się wątroba. Tu przekraplany bywa przepyszny ekstrakt, stanowiący niezbędną potrzebę całego systemu fabrycznego — żółć. Na progu hali znajduje się duży rezerwuar dla tego ekstraktu: pęcherz żółciowy, a z hali, jak i z rezerwuaru, prowadzi specjalny kanał do sali głównej, gdzie pracują aparaty trawiące. Jest to przewód żółciowy, który wpada do jelit.

Tu w tym ważnym przewodzie fabrycznym żyje

sobie motylica, która jako płazinieć również jest tylko korsarzem i niepowołanym spółbiednikiem, jak tasiemiec w jelitach.

Motylica jest poniekąd samodzielniejsza od tasiemca: ma ona jeszcze swoją prawidłową gębę i jelita. I dlatego właśnie jest tym niebezpieczniejsza dla fabryki, do której się wślizgnęła: pije nie żółć, ale po prostu krew wątroby, i naciera na ścianki jej kanałów. Tworząc na jednym miejscu całe roje, motylica doprowadza wreszcie fabrykę do bankructwa: barany zdychają na t. zw. gnicie wątroby.

Ale tymczasem, dopóki dochodzi je jeszcze pożywienie, używają sobie motylice w swym przewodzie żółciowym, poza kulinarnymi, i miłosnych uciech. Będąc same obojniakami, uprawiają one na wzór pierścieni tasiemca miłość na krzyż i wrzucają znaczne masy zapłodnionych jajeczek (miljony całe) do jelit, a jajeczka te wydostają się bez przeszkody nazewnątrz wraz z odchodami.

Baran uczynił teraz to, co do niego należało, i może odejść. Deszcz spłókuje łąkę, gdzie rozrzucone zostały owe odchody fabryczne. Jajeczka motylic dostają się do wody, i z pękniętej otoczki wyskakuje żwawy mały zarodek, poczwarka motylicowa, która przy pomocy gęstego płaszczyka cienkich włosów rzęsowatych wiruje swobodnie w wodzie i posiada nawet oko, ażeby móc napawać się światłem. Wprawdzie szaf jego swobody trwa dość krótko. Migotliwe futerko znów znika, i mała motylica, jak prawdziwy robak, wchodzi już po krótkiej chwili swawoli do ciała jednego z owych ślimaków stawowych z rodu *Limnaea*, których misterne mieszkanka tkwią wszędzie w ile naszych wód. Domyślamy się już: staje się ona, jak to było z tasiemcem, „wągrem“. Ale wszak musi ona znów dostać się do wnętrza barana, a barany nie zwykły właśnie jadać muszli.—Naogół cała sprawa przyjmuje tu przebieg daleko bardziej zawiły.

Kiedy robak nasz dostaje się do ciała ślimaka,

ma on we własnym ciele jakieś dziwaczne sensacje. Jeżeli przodkowie jego stanowili groźbę dla fabryki chemicznej wewnątrz barana, to teraz w samym tym małym robaczku, zda się, coś takiego się zapowiada, co jak Nemezys działa. Nie są to napewno właściwe rozkosze miłosne, do tego bowiem nie posiada on odpowiednich narządów; i wogóle, jak przypuszczać można, nie są to żadne rozkosze.

W jego ciele coś pączkuje—wyrastają młode zwierzątka o postaci rurkowatej w coraz większej i większej liczbie. Wkrótce wypełniają one całe ciało staro robaka, narządy zanikają, skóra napina się, jak pęcherz, całe zwierzę rodzicielskie, w którego łonie wyrasta ten potwór, obumiera, przybierając postać wielkiej, dookoła zamkniętej łupiny w kształcie kiełbasy, gdzie czasowo znajduje dobre schronienie nowe pokolenie robaków w postaci małych, włożonych jedna w drugą kiełbasek.

Śmierć ofiarna—nowe życie... Czekamy, rychło małe kiełbaski w odpowiedniej chwili rozerwą łupinę i dążyć poczną ku własnym celom życiowym. Wszak same one nie są tylko otoczką, ale, jak się zdaje, są zupełnie gotowe do życia indywidualnego, z gębą i jelitem, na podobieństwo początkowych motylic w przewodzie żółciowym barana... Atoli sprawa nie dochodzi do wyłuskiwania się z łupiny. Małe motylce-kielbaski leżą jeszcze nieruchomie w wielkiej pustej łupinie matczynej, a oto już w żywych, dopiero co do życia powołanych kiełbaskach wre odnowa: w nich samych znowu wyrastają młode przez pączkowanie, tym razem najmniejsze już motylce z ogonkiem-sterem, które wyglądają prawie, jak miętusy. I znów te małe trzeciego rzędu wzbierają, dopóki ich robak-rodziciel nie stanie się martwą skórką; mają one na końcu ciała swego, odpowiadającym głowie, żądło-świder, przy którego pomocy przedziurawiają potym wszystkie otoczki; rojem wysypują się do wielkiego ślimaka, stanowiącego ich schronisko,

a w końcu i stamtąd uciekają nazewnątrz i płyną na wody otwarte, skąd ongi powstał ich przodek w swym płaszczu z włosków-migawek. Wraz z wodą dostają się daleko na zalane łąki. Tu w dogodnym miejscu, u rośliny jakiejś, zatrzymują się, odrzucają ogonek; gruczoł jakiś wydziela lepki śluz, który, zasychając, tworzy szybko otoczkę dookoła całego potworka. Teraz nastaje okres wyczekiwania. Otoczką jest równie dobrą ochroną, jak ongi jajko dla przodków. Po pewnym krótszym lub dłuższym czasie—zależnie od losu—zjawia się baran i zjada roślinę wraz z drobnutką otoczką; otoczką roztopia się, motyllica z żołądka przedostaje się do jelit, a stamtąd do przewodu żółciowego—i po trzykrotnym uśmiechu szczęścia zdobywane bywa pierwotne położenie: baran dostaje gnicia wątroby, a miłość w przewodzie żółciowym sprawia, że miliony jaj motylicowych odnowa wydostają się na wędrówkę.

Oto jest romans motylicy. I ten romans wyobraźcie sobie w trawestacji „ludzkiej“.

Bierzesz żonę i płodzisz z nią normalne dziecko, które jednak jest dość do ciebie niepodobne. Kiedy dziecko dorasta pewnego wieku, spostrzegasz nagle, że dostaje ono jakichś poważnych bólów. Nigdy nie zaznało ono miłości, a mimo to wyrastają w nim wnuki w przerażającej liczbie, odsuwają je samo w jego własnym ciele ku ścianie, aż wreszcie staje się ono pustą otoczką dookoła złośliwego pomiotu. A wewnątrz wnuków w groźnym stopniowaniu tego dramatu wyrastają już prawnuki i znów na śmierć gniotą wnuków—aż wreszcie cały ten potwór-grzyb pęka, i te prawnuki rojem wysypują się nazewnątrz. Później wyrastają i przybierają postać człowieka do ciebie podobnego, który znów na podobieństwo twoje znajduje rozkosz w miłości niewieściej.

Tu masz ten sam łańcuch, co u tasiemca: motyllica płciowa—piastunka starsza—pośrednia—prawdziwa motyllica mała. I tu po dwukrotnym celibacie

następuje dwukrotna śmierć ofiarna, dopóki znów w tym łańcuchu nie pojawi się miłość w pełnym znaczeniu wyrazu. Tylko że tu ta śmierć ofiarna rodzicielskiego indywiduum nie jest już spowodowana przez zewnętrzne, młodym indywiduom sprzyjające warunki, jak pogrążanie w ustępie, wywierającym wpływ rozkładowy, lub w pożerającym kwasie żołądkowym—tu następuje zmiążdżenie samej rodzicielki, tak że zostaje z niej tylko łupina; i rosnący wewnątrz jej własnego ciała pomiot czyni z niej jakby pozbawiony życia rozpięty parasol... Czy nie masz wrażenia, jak gdyby trzepotał się ponad tobą ów sławetny pelikan z owej chrześcijańsko-zoologicznej legiendy, co pozwala dzieciom swoim ssać swą krew serdeczną?...

Nawet na to się odważają te biedne robaczki, że wysysają pierś matczyną w najśmielszym wyrazu tego znaczeniu... Mówiliśmy już, że środkowa, najobszerniejsza kondygnacja tego miłego pokolenia robaków obejmuje obok licznych innych grup i t. zw. nitkowate, do których należą trychina i octówka. Niechaj nam wolno będzie dla uzupełnienia obrazu o tasiemcach zatrzymać się na krótką zresztą chwilę przy ostatniej.

Kiedy weźmiesz pod światło butelkę z octem lub—jako prawdziwy literat—butelkę z klejem, płyn skłócisz i pośród powstałych mętów wprawisz w ruch wirowy tych drobnutkich przyjaciół domu, co nie gardzą ani kwasem, ani klejem, to ani się domyślasz, w jak zabawne dostałeś się towarzystwo, zabawne w owym dobrotliwym znaczeniu naiwnej przyrody, niewyczerpanej w swych romansach miłosnych.

Oto zaraz na wstępie masz wężyka pszenicy, co jako poczwara posiada trwałość mumji, lata całe spoczywa w suchych ziarnach pszenicy, czeka w nadziei, rychło wreszcie ziarna będą posiane, ażeby móc swe wyższe życie miłosne pędzić aż w pączkach kłosów przyszłych. Oto tu znów *Heterodera*, t. zw. „robak-niciowiec“, przyczyna zagłady roślin rzepowych, któ-

regu romans rozwojowy rozgrywa się na szmacie świata pomiędzy powłoką zewnętrzną buraka a jego wnętrzem i naodwrot.

Człowiek żyje we wszechświecie, szuka wzrokiem gwiazd najdalszych, i olbrzymia ziemia zaczyna być za małą dla niego. Oddawna zaś już jest za małą dla myśli jego. Już nawet niedługo za małą będzie dla zwykłej podróży poślubnej. Atoli tutaj mamy objętość buraka, a na cząstce tej przestrzeni rozgrywa się cały romans życiowy, nadzwyczaj zawiły, pełen zachwyceń i radości oraz najcięższych tragedji—życie, miłość i śmierć—a wszystko na cząstce przestrzeni, zajętej przez burak.

Pełen kwitnącej siły życiowej rośnie burak w ziemi. Aż oto w najcieńsze końcowe rozgałęzienia jego korzeni wświdrowują się przy pomocy ostrych żądał drobne robaczki, których długość nie dochodzi nawet $\frac{1}{2}$ milimetra. Powoli posuwają się one ku górze w soczysty rdzeń korzenia, przerywając go wszerz i wzdłuż, zażywając w nim takiej rozkoszy, jak owo dziecko z bajki o górze z pierników — i wreszcie pewnego dnia spotykają się tuż pod ścianką zewnętrzną buraka, na rubieży nowego świata. Teraz przedziurawienie ostatniego tunelu wystarcza, ażeby przemknąć się i przez otoczkę korzenia, ową furtkę, wiodącą w świat pozaburaczany.

Ale teraz właśnie na samej granicy pomiędzy jedną a drugą stroną buraka pośród wędrowców powstaje jakieś dziwne wrzenie, budzi się w nich dziwna tęsknota: jeszcze w buraku samym obejmuje je sen miłosny. Dotąd nie posiadali nic, co mogłoby napomykać o miłości; żaden z nich nie był ani samcem, ani samicą — wogóle brak było wszelkiego zawiązku narządów płciowych. Ale teraz nagle następuje przeobrażenie, i z prostego robaczka powstaje nowy zupełnie twór. Każda z drobnutkich żywych niteczek, stłoczonych tuż pod zewnętrzną ścianką korzenia, nabrzmiewając, przybiera postać, przypominającą małą

butelkę. Każda z tych buteleczek stopniowo grubieje, już się elastyczna otoczka korzeniowa uwypukla nazewnątrz, jak gdyby stare buraczysko miało przez pączkowanie wydać na świat pokolenie dziwacznych młodych buraczków. I w rzeczy samej część tych butelek wciąż grubieje, aż butelka staje się podobną do brzuchatej cytryny, która napiera wciąż i napiera, i wreszcie — trzask! — pęka skórka rośliny, ostry koniec cytryny przegląda nazewnątrz. A w istocie ten „wścibski“ koniec cytryny—to żywy odwłok robaka. Okazuje się, że jest tam otwór, otwór płciowy żeński. Zwierzątko „cytrynowe“ pocichutku stało się samicą. Wysunąwszy w ten sposób swój odwłok z otworem płciowym, czeka nieruchomo wydarzeń następnych.

I niedługo czekać na siebie dają. Nie wszyscy wędrowcy z pod znaku buraka nabrali tam wewnątrz cech żeńskich. Niektórzy z nich, najadszy się do syta i przybrawszy kształt butelki, wkrótce potem sami wydobywają się ku dołowi z tej butelkowatej otoczki, jak kielbasa, która wychodzi z własnej skórki. I oto każde z tych niesfornych stworzeń, odnowa przybrawszy postać robaczków-niciowców, stało się jednocześnie z tą zmianą ubrania wierzchniego „mężczyzną“ — z prawidłowym męskim narządem płciowym. I oto ta partja przynajmniej, sił nowych świadoma, zdaje się, ostatecznie uprzykrzyła sobie stary korzeń buraczany: ci świeżo upieczeni „panowie“ przedziurawiają w rzeczy samej błonę roślinną, łążą wzdłuż dachu swego więzienia i pod urokiem starej tajemniczej siły erotycznego „przyciągania“ szukają, miłością gnani, „wiecznie kobiecego“. A ono tuż: wszak zewsząd wystają nazewnątrz owe samice-cytrynki. I nadarżająca się sposobność natychmiast jest wyzyskana.

Tylko upojenie zbyt przemijające! „Miłość wiednie, tylko płód wzrastać musi“.

Zaledwie jajeczka zostały zapłodnione i zaczynają dojrzewać, rozpoczyna się w samicy-cytrynce

niepowstrzymany zanik wszystkich narządów wewnętrznych. Macica pęka i wyrzuca jajeczka wprost do brzucha, natomiast rozpływają się jelita. I szybko kroczy naprzód w swym rozwoju tragedia macierzyństwa: jajeczka nie przeobraziły się jeszcze w istotne młode stworzenia, kiedy z całego macierzystego indywiduum nie pozostało nic prócz brunatnej torebki, która drętwa i martwa tkwi w błonie korzenia. Pewnego dnia spada ta torebka zupełnie z pnia buraczanego, niby owoc dojrzały, i teraz wreszcie pęka i ona od naporu młodych robaczków zwewnątrz, a te rojem rozsypują się po czarnej ziemi i odnowa szukają sobie korzenia buraczanego. Samce, wygnane z ojczystego buraka-karmiciela, również tymczasem przepadły oddawna. A w końcu, jako ostatni akt tragedji, ginie cały burak na skutek zatrzymania się procesu wzrostu, od „znużenia“ — co równa się końcowi świata dla robaków.

Inny jeszcze obrazek kalejdoskopowy. Oto *Sphaerularia bombi*. Z bombą nie ma ona nic wspólnego. *Bombus* — to nazwa łacińska bąka. A więc chodzi o wężyka bąkowego.

Czy znasz bajkę ludową o garnku zaczarowanym, w którym miało się wciąż gotować, dopóki nie padnie słowo zaklęcia, wstrzymujące to gotowanie? Słowo to poszło w niepamięć, i oto w garnku wciąż się gotowało, aż wreszcie cała wieś utonęła w słodkim odwarze ryżowym. Straszna historia, którą tu opowiemy, przypomina tę bajkę — ale jest jeszcze okropniejsza. Początek brzmi wprawdzie słodko, jak idylla miłosna.

Młode wężyki bąka przemieszkują zdala od swego gospodarza. Wszystkie razem przemieszane żyją sobie w ziemi, dojrzewają tam i kochają się wzajem. Zapłodnienie nastąpiło — samice mają zapłodnione jaja w sobie, a samiec umiera. I tu rozpoczy-

na się dopiero najszaleńsza epopeja świata robaczego, coś w rodzaju historii Juljusza Verne'a.

Samica wraz z jajeczkami wdziera się podstępnie w ciała samic-bąków, zimujących pod ziemią, i przyczepia się mocno u ścianki ich jelita. I wydaje się teraz, że złoży ona tam wewnątrz swe jajeczka. Zdaje się, jakoby ona sama do tego się przygotowywała. Rozgościwszy się bowiem w nowym schronieniu, zaczyna zupełnie spokojnie wysuwać swą otoczkę przez otwór płciowy niewątpliwie z tym szlachetnym zamiarem, ażeby tą najprostszą drogą możliwie najprędzej wydobyć nazewnątrz swój żywy ciężar. Ale cóż to się dzieje?

Zamiast żeby młode wyszło i dało spokój matce, otrzymuje się wrażenie, jak gdyby wypchnięta błona sama żywą się stawiała.

Pręży się, rośnie, wzbiera i nadyma się, jak balon, co się urwał z uwięzi i chce się przez wązki otwór wydostać.

Garnek z warzą w bajce! Oto teraz jest to brzydactwo już takie wielkie, jak cała matka umęczona; teraz już jest większe, już dwa razy takie wielkie, trzy razy, dziesięć, sto razy—jakby olbrzymi wąż gumowy o potwornych rozmiarach—i jeszcze wciąż rośnie. Jak owa wioska zniknęła, utopiona w warze, tak samo i tu ciało matczyne kurczy się, staje się zwykłym dodatkiem—już potwór ów jest 1000 razy większy od ciała matczynego—i jeszcze nie koniec. Wreszcie różnica w rozmiarach przekracza 15000 razy...

Jeżeli wyobrazić to sobie w zastosowaniu do człowieka i wziąć ten wzrost na długość, to jako przykład dać możemy wypadnięcie macicy, która wystaje na metr, na 10, 100 metrów, póki wreszcie nie zajmie jednego kilometra przestrzeni. Przypominacie sobie historyjkę Jana Paul'a o jednym panu, który miał taki długi nos, że wystawał na milę, na dwie godziny przed właścicielem ukazywał się z poza bra-

my miejskiej i został zaaresztowany, bo nie miał przy sobie paszportu.

A od tyłu ciało matczyne ginie pod potwornym ciężarem swego płodu. Jeszcze chwilka—i oto odpada ono zupełnie, jako uschnięty, mikroskopijny, bezpożyteczny ogonek swego własnego potwornie rozrosłego narządu—i w trzmiel wpada na podobieństwo dojrzalego strączka grochowego owa olbrzymia otoczka, wypchana wesołym drobiazgiem świeżo wylętych młodych *Sphaerularia*.

Ale i to wszystko znowu w nawiasie. Właściwa rzecz, dla której wprowadzamy czytelnika w to towarzystwo, dotyczy robaka-niciowca z pokolenia tych pasorzytów, które zoolog ochrzcił mianem *Rhabditis* (rhabdos znaczy po grecku: sztaba), ściślej mówiąc: *Rhabditis nigrovenosa* (czarnożylna).

Rhabditis, samiec i samica, zrazu płciowo wyraźnie rozgraniczone, zjawiają się w postaci bardzo drobnych stworzeń w ile; samiec ma $\frac{1}{2}$ milimetra długości, samica prawie milimetr cały. Szybko się wzajem odszukują i zakochują się w sobie szybko w miękkim ile jako wolni, zupełnie pozbawieni instynktów pasorzytnicznych obywatele świata.

Dla tej całej grupy robaków-niciowców przyroda ustanowiła zupełnie prawidłowy akt zapłodnienia. Większa samiczka posiada otwór płciowy po środku albo blisko środka ciała, mały samiec — na końcu; u samca otwór płciowy jest jednocześnie otworem jelita. Dla aktu płciowego nie wystarcza jednak zetknięcie się obu otworów; znajdujemy jeszcze specjalne narządy zapładniające, mające duże znaczenie. Po większej części samiec posiada u swego otworu jelitowego parę mocnych żadeł, które w zwykłych warunkach spoczywają w specjalnym uchyłku i wysuwane bywają tylko w celu zapłodnienia. Czasami wy-

dłuża się cały⁷ odwłok⁷ w postaci dzwonu małego, który obejmuje samicę ruchem ssącym.

Zaledwie mijają chwile miodowe ze swym aparatem miłosnym—w ciele sytej miłości samiczki poczynają się dzieć zupełnie niezwykle cuda. Jak wszystkie jej podobne, posiada i pani Rhabditis w brzuchu prawidłową macicę, która oto teraz zawiera w sobie po dokonanych akcie płciowym zapłodnione jajeczka. W krótkim czasie rozwijają się z nich młode, drobniuteńkie „rabditiski“, które już mogą zupełnie swobodnie wywędrować na wielki obszar łąkowy. Ale nic z tego. Jest ich niewiele—najwyżej cztery; często bywa tylko jedno jedyne. Ale prężą się, zwijają i—trzask!—pęka ścianka macicy wewnątrz zwierzęcia matczynego—i teraz sytuacja staje się przykrą, mianowicie dla matki. Małe robaczki - pelikany zaczynają żreć w dosłownym znaczeniu jelita swej własnej matki—i nie wcześniej ustają, dopóki nie pożrą jej całej aż do powłoki skórnej, aż wreszcie ona stanowi pustą, martwą powłokę, otaczającą dzieci swe—morderce...

Po chwili rozrywają również i skórę matczyną, i młode „rabditiski“ wypelzają w łą. Jeszcze jako istoty bezpłciowe przedostają się z łą do płuc żabich. Tu stają się pasorzytami o dziwnie zmienionej postaci, pozostają przez czas dłuższy i rozwijają każde dla siebie oba rodzaje narządów płciowych na tym samym ciele, w zupełnym przeciwieństwie do rozdzielno-płciowych swych rodziców. Dopiero pokolenie, zrodzone z wzajemnego podwójnego zapłodnienia, dokonanego pomiędzy niemi, znów przez jelito wydostaje się z żaby, wraca w łą, i tu tworzą się rozdzielno-płciowe pary Rhabditis o pierwotnej postaci.

Może ze specjalnych względów warto byłoby zapamiętać sobie ten przykład.

Kiedy świętoszkowie jacyś zechcą ze zbyt wielkim zapałem i lekkomyślnością przekonywać was, że przyroda zbudowana jest na miłości; kiedy wam ka-

zać będą, że najmniejszy robaczek czci miłość dla swego twórcy — wtedy niechaj jako wizja wypłynie w waszej świadomości biedna mała Rhabditis, wijąca się w ile nadbrzeżnym jako ofiara kanibalizmu swych własnych dzieci...

Już dawniej wspominaliśmy raz o naszym najwewnętrzniejszym przekonaniu, że „miłość“ mogłaby nas znów wrócić ku istocie świata; że moglibyśmy pewnego dnia odnowa pojąć, jak wyraz ten, nawet w sensie zupełnie realistycznym brany, staćby się mógł naszym najgłębszym symbolem—symbolem przewyciężenia całego bolesnego i tęsknego osamotnienia jednostki, symbolem uśmiechniętej śmierci, co nie jest prawdziwą śmiercią, ale rozwojem... Dziś raczej przeczuwamy to, niż uświadamiamy sobie zupełnie, ale kiedyś świadomość ta przyjdzie napewno. Atoli ten kwiat myśli, co wyrośnie z kielków w dzisiejszej duszy ludzkiej zasianych, wznosić się będzie nieskończenie wysoko ponad staremi upiorami, co jako piasek w morzu pomiędzy nami dziś się tłuką. I niczym innym, jak takim upiorem właśnie, jest wiara, że przyroda w znaczeniu prostym od samego początku swego opiera się na subtelnościach wyższej ludzkiej miłości, ludzkiego wszechmiłosierdzia i zgodnie z temi uczuciami jest urządzona. Jeden krwawy świadek taki, jak Rhabditis—i cała ta wiara upada. Filozofja drobniotki robaczka miażdży w tym względzie wszystką mędrkującą filozofję ludzką.

O robakach wogóle dałoby się napisać niejeden jeszcze dziwaczny rozdział miłosny.

Tuż obok wężyków napotykamy pośród niciów ców robaczka *Syngamus*. „Syn“ znaczy po grecku: razem, a „gamos“ — małżeństwo. Oto mamy rzecz-wiste stworzenie, co bierze małżeństwo rozpaczliwie poważnie. Jednocześnie *Syngamus* stanowi piękny przykład tego, że można mieszkać wszędzie. Wpadł

ci np. włoszek dość głęboko nie w to gardło należyte, jak mówią nad Renem; tak ci przykro z tego powodu, że omal nie dusisz się od kaszlu. W tej pouczającej chwili wyobraź sobie, że włoszek przeobraził się w żywego robaka, który obrał sobie twoją tchawicę jako zwykłe miejsce pobytu, jako jadalnię i łożę miłosne.

Duża liczba ptaków, jak sroki, szpaki, bażanty, kaczki i inne, jest w tym zazdrości godnym położeniu, że Syngamus zamieszkuje to miejsce ich ciała, jako najbardziej nadające się do tego celu. Robaczki wiją się u wielkiego wentylacyjnego otworu tchawicy, jak drobne, czerwone o barwie płomienia kiełbaski w kominie, i w pewnych warunkach dochodzi do tego, że zapychają sobą cały kanał, aż ptak zginąć musi uduszony. Dorosłego Syngamusa napotyka się zawsze w postaci podwójnej, w ten sposób powstałej, że samiec w ciągu całego swego życia, przy pomocy swego otworu płciowego, umieszczonego na końcu ciała, pozostaje w bezpośrednim zetknięciu z takim samym otworem samicy, znajdującym się mniej więcej po środku jej ciała. Dzieje się to bądź dlatego, że stały prąd wdychanego i wydychanego powietrza powiększa znacznie niebezpieczeństwo rozłąki dla wszystkich zakochanych par, bądź ze względu na żer miłości samej. Oto mamy przed sobą zwierzątko, o którym z małą przesadą powiedzieć można, że żyje w „wiecznym zapładnianiu się”. Zdaje się, że jeszcze krok jeden—a płci wyrastałyby w rzeczywistości znów razem: z samca i samicy powstawałby jeszcze znów podwójno-płciowy obojniak; ale tu w każdym razie, zgodnie z prawem o kazirodztwie, bezpośrednio zapłodnienie musiałyby za jednym zamachem być przerwane (na samym końcu nastąpiłaby niejako druga ostateczność), i trzebaby szukać drugiego obojniaka. Zapamiętajmy sobie ten dziwaczny wypadek; w wywodach naszych jeszcze raz doń powrócimy.

Pobok Syngamusa masz oto robaczka *Bonellia* z przydomkiem „zielona“, jeden z najdziwaczniejszych robaków na świecie, stanowiący prawie wyjątek pod względem sposobu zawierania małżeństwa.

Istnieje wesoła legienda u bataków na Sumatrze. Zły przyjaciel domu pragnie koniecznie skłonić do zdrady żonę jakiegoś poczciwego małżonka. Napróżno! — nie znajduje furtki do jej serca. Cóż czyni? Przeobraża się w słodkie jabłko i błyszczy ponętnie na drzewie. Kobieta akurat doznaje chętki, zdarzającej się podczas ciąży, zrywa jabłko i zjada. Wtedy — jak brzmi legienda — ów młodzieniec zdradziecki wykrzykuje wesoło, wewnątrz w żołądku siedząc: „Hejże, jednak dopiąłem swego“. — Dobrodusznemu batakowi niewiele zależy na anatomji: wszystko mu jedno, czy serce, czy żołądek. Ale kiedy zapoznajesz się ze stosunkami małżeńskimi *Bonellii*, wydaje ci się, że ta piękna historyjka jest legendą, specjalnie stworzoną dla ilustracji pochodzenia *Bonellii*.

W zwykłej postaci swej przypomina ona mały ciemno-zielony ogórek około pięciu centymetrów długości, z którego wyrasta coś w rodzaju rozciągliwej łodygi albo kielka, coś jeszcze kilka razy dłuższego, co z przodu rozwidła się na kształt gałązki winnej. W tej postaci spoczywa ona pod kamieniami w ile nadbrzeżnym Adrjatyku; ogórek — to jej ciało, a łodyżka — to jej ryjek. Całe to brzydkie stworzonko jest jednak tylko samicą *Bonellii*. Problem, polegający na wykryciu obok niej samca, jest o wiele trudniejszy od znanego pytania humorystycznych pism: „gdzież kot?“

Czy znacie piosenkę o dużej kobiecie, co poszła na tańce, i o małym mężu, który „również chciał z nią się zabrać?“ Jest to jeszcze jednak nic wobec stosunków małżeńskich, panujących w domu *Bonellii*. Obok samicy, której długość wraz z wyciągniętym ryjkiem przechodzi 20 centymetrów, stoi samiec, mający zaledwie dwa milimetry miary. Jest to mniej więcej różnica taka, jak pomiędzy człowiekiem i mu-

chę. Najpewniejszy sposób, ażeby być „zabranym“, powinienby dla takiego minjaturowego małżonka polegać po prostu na wślizgnięciu się w kieszeń swej „dużej żony“. I w samej rzeczy linję męską pokolenia Bonellii wymacywać wypada w dosłownym znaczeniu wyrazu w głębi ciała samicy.

Takie zielone stworzenie stanowi wielki przytułek, pod którego dachem znajduje schronienie nie jeden tylko liliput, ale po większej części kilku. Czasami znajdowano ich do osiemnastu. Nasamprzód, kiedy mężowie ci zjawiają się jako bardzo niedoświadczeni jeszcze młodzieńcy, szerokie usta ich damy serca wydają im się najbliższym i najlepszym otworem. W przelyku (a więc prawie jak ów amant batacki) czepiają się one ścianki na podobieństwo tasiemców i przez pewien czas wiodą szczęśliwy żywot pasorzytniczy. Najedzone do syta, zaczynają odczuwać dreszcz miłosny, do którego w zupełności uprawnia olbrzymia w stosunku do ich nędznego ciała cewka nasienna. Przelyk nie wydaje im się już teraz miejscem odpowiednim. Wyłażą znowu przez gardziel przyszęłego przedmiotu swej miłości nazewnątrz, schodzą po zielonym ogórku trochę na dół i natrafiają na lepszy otwór—na otwór płciowy samicy. Wobec stosunku w rozmiarach, jaki tu panuje, i ten otwór narówni z tylko co opuszczoną przez nie gębą jest nie mniej obszerny. O akcie zapłodnienia w zwykłym rozumieniu rzeczy nie może być oczywiście żadnej gawędy, otwór bowiem sam jest szerszy, aniżeli taki samiec w najgrubszym miejscu ciała. Więc musi się to odbywać inaczej.

Jak Münchhausen wjechał śmiało z całym swoim poczem do brzucha wieloryba, tak samo i nasi lilipuci podążają w naturalnej wielkości w głąb, jako świadomi celu swego odkrywcy. Pochłonięci raz przez przepaść, nadal już tam pozostają; osiedlają się tam na stałe w wewnętrznych narządach płciowych samicy, w miejscu, gdzie opuszcza się macica, a ja-

jeczka, żądne zapłodnienia i przygotowane do tego aktu, tuż przed nimi bywają składane. Pomimo swych drobnych rozmiarów, pomimo że przypominają raczej ciała nasienne, niż całkowite samce, znajdują się jednak teraz w pewnym zupełnie miejscu i mogą z zupełnym spokojem dokonywać zapłodnienia: wszak całe olbrzymie ciało zielonej samicy stanowi ochronne sklepienie ponad całym aktem i dzieli zarówno samce, jak i młode, od wszelkich potworów morskich, dopóki każdemu jajeczku nie udzieli się potrzebna część ojcostwa. Gotowe jajeczka znajdują oczywiście potym drogę nazewnątrz. Ale mali tanhojzerzy aż do końca życia swego pozostają wewnątrz góry Wenus.

Od lat wielu swarzą się między sobą zoologowie, w jakiej klatce wielkiej menażerji robaczej należy umieścić właściwie Bonellię. Poprzednio zaliczano ją do t. zw. robaków gwiazdowatych, które bezpośrednio sąsiadują z prawdziwemi robakami (a więc z owemi niciowcami, jak trychiny i wężyki). Stawiano ją obok t. zw. *Priapul*us, który tę nazwę zło-wróźbną zawdzięcza swej dość ciekawej — przyznać trzeba — postaci. Dziś przypuszczają, że Bonellia jest silnie zwyrodniałą pierścienicą, znajdującą się w stanie rozwoju wstecznego. W ten sposób zbliżylibyśmy się już dzięki niej do najwyższej grupy robaków, do owej trzeciej gromadki, o której mówiliśmy.

Tu jest miejsce dla dżdżownicy i pijawki, przedstawicielek wytwornego towarzystwa w porównaniu z owym dzikim rojem tam, w dole.

Z nimi jesteśmy specjalnie spoufaleń, biorą one bowiem niejako udział w historii ludzkiej kultury. Pijawka odegrała swą rolę w historii rozwoju medycyny; a dżdżownica, ta cicha robotnica, co rozgniatła i rozorywa ziemię, bez ustanku wyrzuca w górę okruchy gruntu i czyni to tak długo, aż dopóki nie zagrzebie całą powierzchnię swego terenu w głąb i nie

stworzy w ten sposób powierzchnię nowej — dżdżownica była od lat tysiąca cichą pomocnicą archeologa, dzięki bowiem jej potężde zagrzebywane były i przekazywane potomności podłogi mozaikowe, cokoły posągów, monety i ozdoby.

Życie miłosne pijawki i dżdżownicy jest prawie jednakie i stosunkowo dość niezłożone.

Dżdżownica, jak i pijawka, są to obojniaki, albo hermafrodyty, o isticie typowej doskonałości. Każdy z tych robaków nosi w sobie oba rodzaje narządów płciowych. Atoli pamiętamy wszak o wielkim prawie, które panuje w całym świecie organicznym, o prawie, które głosi: i nie będziesz sam siebie zapładniał. Otóż i dżdżownice, zarówno jak i pijawka, znajdują się w sferze jego niewzruszonego działania.

W chłodną wilgotną noc, kiedy żaden wróg się nie porusza, kiedy żaden promień świetlny nie dotyka ich bezokiego, a jednak dziwnie wrażliwego na światło końca głowy i nie budzi w nich strachu—wyłazą dwie dżdżownice z czarnej bryły ziemi. Przysuwają się blisko bardzo wzajem do siebie, przytym w ten sposób, że ich przednie końce skierowane są w strony przeciwne.

Teraz przypatrujemy się im uważnie. Ciało ich składa się z dobrze znanych pierścieni, czerwonych, jak mięso surowe. Zewnętrznych różnic nie spostrzegamy, nie jest to bowiem samiec i samica, a każdy robak jest jednocześnie jednym i drugim. Ale gdyby owe rozmiłowane w sobie pierścienie mogły się teraz stać we wnętrzu swoim przezroczystymi, jak kryształ, zobaczylibyśmy, co następuje.

W dziesiątym i jedenastym pierścieniu każdego ciała (licząc od głowy, gdzie znajduje się gęba) ujrzeliśmy u każdej z nich dwie pary jąder (wytwarzających nasienie), które przez wielkie przewodniki otwierają się nazewnątrz w pierścieniu piętnastym. W tych samych pierścieniach, gdzie znajdują się jądra, istnieje również u każdego osobnika para t. zw. tore-

bek nasiennych; przyjmują one zzewnątrz nasienie męskie i w odpowiedniej chwili dostarczają go do nieco bardziej ku tyłowi położonych jajowodów, gdzie ono zapłodnić może kobiece jajeczka, gromadzące się tu z jajnika.

Otóż każdy robak-obojniak stara się teraz przybliżyć ową „krytyczną“ okolicę, obejmującą pięć pierścieni (od 10-go do 15-go), do swego spółtowarzysza w ten sposób, ażeby jego własny otwór, przez który wypływa nasienie, trafiał na pustą torebkę nasienną drugiego, własną zaś torebkę nasienną ażeby przytknąć do otworu nasiennego towarzysza. W chwili pobudzenia gruczoły skórne odnośnych pierścieni wydzielają zaczynają szybko schnący płyn, który w ciągu całego aktu tworzy coś w rodzaju wspólnego garnituru kąpielowego dookoła całej okolicy płciowej obu osobników, jednocześnie zaś tak mocno spaja je zzewnątrz, jak gdyby czasowo istotnie były zrosnięte. Pod osłoną tego bandażu wypływa teraz u obu płyn nasienny i przedostaje się do przeciwległych torebek nasiennych.

Z chwilą kiedy się to skończyło, zrywa się również natychmiast ów wiążący oba osobniki pierścień, i każdy robak, uwolniwszy się od swego własnego nasienia, nosi w sobie natomiast rezerwuar, wypełniony obcym nasieniem, przy którego pomocy zapładniać może obecnie, stosownie do zapotrzebowania, swe własne jajeczka żeńskie; uchylone bowiem zostało niebezpieczeństwo istotnego samozapłodnienia.

W bardzo podobny sposób odbywa się akt miłosny u pijawki, z tą różnicą tylko, że w wodzie. Na wiosnę para pijawek kładzie się obok siebie w ten sposób, że główki i ogony obu zwrócone są w jedną stronę. Torebek nasiennych tu niema, i nasienie wprowadzane tu bywa zobopólnie przez narząd spółkujący do żeńskiej pochwy.

Jeżeli wyobrazimy sobie, że i u tych obojniaków na wzór wyższych, nie obojniackich zwierząt

oba rodzaje narządów płciowych obdarzone są zdolnością specjalnego, silnego odczuwania w stosunku do aktu płciowego, to nie da się zaprzeczyć, że w danym wypadku każda pijawka musiałaby jednocześnie doznawać p o d w ó j n y c h uczuć płciowych: zarówno tych, co związane są z wyładowywaniem energii płciowej, jak i tych, które towarzyszą jej przejmowaniu.

Przypomina nam się w tym miejscu cesarz rzymski Heljogabal, który w swym obłędzie królewskim wyznaczył nagrodę temu, kto sprawi, że poza swoją męskością doznawać będzie mógł jeszcze osobiście uczuć, związanych z aktem płciowym u kobiety. Atoli nie podlega dyskusji, że zasadniczy rozdział płci, odziedziczony również przez tego ukoronowanego szaleńca, jako przez wyższe zwierzę kręgowie, stanowił właśnie jeden z najważniejszych warunków wyższego i idealnego rozwoju, którego ku wielkiej naszej szkodzie musielibyśmy się wyprzeć. Obojniactwo jest to etap w miłości, który po prostu zostawiliśmy i zostawić musieliśmy poza sobą. Przypatrzmy się sztuce, która w przyszłości przypuszczalnie coraz więcej składać będzie dowodów, że w niej, jak w przezroczym zwierciadle, mamy przed oczyma odbicie właściwej historii przyrody, naturalnej historii rozwoju ludzkości. Jak biedzili się jeszcze Grecy nad tym, ażeby wykuć z marmuru hermafrodytę, postać idealną, która miała łączyć w sobie męczyznę i kobietę! Już się to im nie udawało, a to, co w tym rodzaju powstawało, było dziwolągiem.

W pijawce jest to jeszcze przejaw prawdziwej wzwyż dążącej przyrody; u ludzi zaś w epoce Fidjaska jest to bezpłodnym sztukowaniem.

Przeciwieństwo pomiędzy mężczyzną a kobietą—ten jedyny podział pracy, który w najdoskonalszym nawet ustroju wybiegł poza kres, gdzie kończy się indywidualium fizyczne—stanowi źródło siły ludzkiej; tu tkwią jej wszystkie korzenie, stąd wyrastają wszystkie jej kwiaty.

Gdybyśmy zapragnęli wstrząsnąć gmachem tych faktów przy pomocy myśli o przyszłości, musielibyśmy już pójść drogą ducha. Zapewne, i nam już w tej wędrówce wykwita słaba jutrzienka przypuszczeń, że i to przeciwieństwo mogłoby się kiedyś w jakikolwiek sposób wygładzić, wtedy, kiedy dokonałoby ono ostatecznie swej pracy nad stworzeniem człowieka. Ale wtedy to nie może się stać w tym sensie, że dokonałby się jakiś ruch wstecz. Droga dla takich przeobrażeń prowadzi poprzez dziedzinę ducha; tu w tych wyższych kondygnacjach mogłyby się one dokonać. A kiedy później nastąpi powrót w dziedzinę ciała, wszystko wyda się zupełnie nowym, zupełnie innym. Ale może ciało, może wszystkie te dzisiejsze pojęcia nie będą miały żadnego znaczenia dla przyszłości, która wybiegła daleko drogą duszną; może wyda się to wszystko pustą powłoką przeszłości, powłoką, którą zdarła potęga ewolucji, jak usunąć musiała robaka, ażeby wznieść się do człowieka...

Atoli chciałbym właściwie przetrzymać jeszcze przez czas jakiś uwagę czytelnika nad rozmnażaniem się piastunkowym i nad mniej lub więcej pokrewnymi zjawiskami, ażeby dać mu możliwość z tej interesującej zasady wydobyć wszystko aż do jej najtajniejszych głębin filozoficznych.

A więc romans miłosny Rhabditis doprowadził nas szczęśliwie do tej krawędzi, gdzie rozmnażanie się nie tylko obejmuje jako konieczność śmierć ofiarną indywiduum matczynego, ale gdzie potomstwo po prostu pochłania matkę, jak kurczę w jajku stopniowo połyka żółtko odżywcze. Narządy wewnętrzne matki okazały się w stanie, zapowiadającym wyniszczenie, a skóra jej przez pewien czas służyła potomstwu, jako zwierchnia otoczka ochronna, jako coś w rodzaju narządu, który od matki na nie przeszedł.

Łatwo możnaby przypuścić, przesadzając jeszcze

trochę myślą w tym kierunku, że młode wrośnie na stałe w tę skórę matczyną, jak w swoją własną, albo że przejmie jednocześnie ten lub ów jej narząd. Przy puszczenie to nasuwa się wtedy, jeżeli się zechce wyobrazić coś najdziwaczniejszego w tych sprawach.

Wyobraźmy sobie kobietę. W niej wzrasta płód dziecięcy. Dziecko już w łonie matki dostaje zębów i poczyną wyjadać wewnątrz matki. Atoli nie zjada jej całkowicie. Przypuśćmy, że zostawia ręce i twarz. Oto naciąga na siebie te ręce i twarz w ten sposób, że te części wprost zrastają się z nim, stają się jego własnością. Znacie zapewne historję, którą pobożny Antoni z Padwy podaje w formie świątobliwej, Edel zaś z Münchhausen w potocznej, jak to niedźwiedź wpija się od tyłu zębami w osła lub w konia, podczas kiedy jeździec jeszcze siedzi na nim, i zaczyna go pożerać stopniowo, aż wreszcie wyjada całkowicie biedną ofiarę z pod jeźdźca—i oto nagle sam, zamiast piewszego zwierzęcia, w uździe i siodle niesie już świętego czy rycerza. Osłem w naszym wypadku jest matka, niedźwiedziem—owo młode zwierzątko, a uzdą—nos matki; tylko że nos miał się wprost zrosnąć z dzieckiem, co stanowi tak szalony pomysł, że nawet legienda nie odważyła się nań zdobyć na użytek swych najbardziej rozpieszczonych dzieci. Ale chcielibyśmy przedstawić czytelnikowi zwierzę, gdzie odbywa się jeżeli nie to samo, to co najmniej coś zdumiewająco podobnego. Ale oczywiście musimy już w takim razie opuścić królestwo robaków!

Proszę odświeżyć sobie raz jeszcze w pamięci kolejność wyższych organizmów zwierzęcych. Z prostego pierwotnego zwierzątka jelitowego, gastrei, powstały z jednej strony polipy, chełbie, gąbki, z drugiej zaś robaki, które rozpadają się na 3 grupy główne: płazińce (tasiemce i inne), właściwe robaki (niciowce, jak trychiny i wiele innych) i pierścienice (dżdżownica).

Ponad robakami znajdujemy cztery najwyżej

stojące rody królestwa zwierzęcego: mięczaki (ślimaki i inne), stawonogi (raki, owady i inne), kręgowce (do których należy sam człowiek wraz z rybą, ptakiem, jaszczurką i t. d.) oraz t. zw. szkarłupnie, dla których typem niechaj będą nam jeżowiec morski i rozgwiazda. Wszystkie te cztery wielkie grupy powstały historycznie z robaków, ale nie jedna za drugą lub jedna z drugiej, lecz jedna obok drugiej. Nigdy rozgwiazda nie stała się muszlą, ani muszla rakiem, ani rak rybą. Raczej w każdym z tych wielkich działów ujawnił się samodzielny i swoisty etap rozwojowy robaka. Pewnego dnia powstały na ziemi rozgwiazdy, muszle, raki i ryby, z których każde znów dla siebie rozwijały się dalej po to, ażeby nigdy się już nie spotkać w wyższych kondygnacjach. Z pnia, który (mówiąc powierzchownie) rozpoczyna się od muszli, rozwinęła się jako forma najwyższa mątwą. Z raka, idąc wzwyż, rozwinęła się, przypuścimy, mrówka. Ryba w ciągu lat tysięcy wydała człowieka. A najmniej rozwijały się postępowo rozgwiazdy i jeżowce morskie; rozgwiazda jakby sama już stanowi szczyt rozwoju w swej gałęzi.

Oto ten stosunek właśnie, owe wszystkie cztery wyższe, acz nie równe co do długości swej paralele, spoczywające na wspólnej niższej podstawie, którą stanowią robaki—ten stosunek należy mieć podczas następnych naszych wywodów ciągle przed oczami, ażeby nie wpaść w gmatwaninę.

Skończyliśmy z robakami i oto teraz mamy do opowiedzenia cały dekameron, złożony z miłosnych historii rozgwiazd, muszli, raków i kręgowców, t. j. ze wszystkich czterech wyższych pni równoległych; musimy jednak z góry uprzytomnić sobie dobrze, że odtąd opisywać będziemy ogółem cztery romanse główne, których rozdziały, wprawdzie zamknięte w sobie, następują po sobie, ale nigdy nie sięgają poza obręb jednego romansu.

Rozpoczniemy od linii rozgwiazd, tu bowiem

jednocześnie znajdujemy się w pasie dziwnych nadmiernie cudów w sensie wyżej zaznaczonym.

Wyobraźmy sobie jeżowca morskiego takim, jakim widzieliśmy go w akwarjum lub kiedyśmy go sami na brzegu morskim znaleźli. Odrazu rozumiemy, dlaczego cała ta grupa zwierzęca ochrzczona została mianem „szkarłupni“. Oto leży przed nami zwierzątko, z wyglądu zupełnie przypominające owoc kolczasty: twarda skorupa z kolcami na wszystkie strony. Dopiero z tego, że się to coś porusza, wnosimy, że nie jest to żaden owoc kasztanu, zabłąkany w morzu, ale zwierzę.

Przy bliższym oglądaniu wykryć można łatwo u większości gatunków na każdym biegunie kuli po jednym otworze, wiodącym do wnętrza. Górny, północny biegun kuli kolczastej — to otwór odchodowy i płciowy, dolny zaś — to gęba; a pomiędzy temi otworami leży w skorupie odwrócone głową w dół prawdziwe dobrze rozwinięte zwierzę, które pod wielu względami jest bardziej rozwinięte od robaka. Najwygodniej skojarzyć to sobie w myśli z takim robakiem, pomyśleć sobie, że się skulił w ten sposób, aż powstała kula z otworem odchodowym u góry i z gębą u dołu, a potem wyobrazić sobie, że miękka skóra przeobraziła się w twarde pancerz przez osadzenie się płytek wapiennych, pancerz, na którym dla doskonalszej jeszcze ochrony tkwią ruchome kolce. Dalšie szczegóły zoologiczne możemy sobie dla naszych celów odrzucić; są one odpowiednio do dziwacznej budowy zwierzątka dość zawiłe.

Nasz zwierzęcy kasztan z kolcami ma oto swoją historję miłosną — i dość ciekawą nawet.

Rybak włoski nad morzem Śródziemnym dobywa sobie pewnych jeżowców jednego gatunku, a inne odrzuca. Pierwsze przydadzą mu się; rozłamuje skorupę i wyjmuje sobie pięć złocistych tworów w postaci gron, które zalicza do delikatesów na swoim stole. Te żółte twory — to jajniki, i te wybrane jeżow-

ce morskie—to wszystko samice. Owe wybrakowane nie miały jajek-gron—były to wszystko samce.

Oto patrzcie: po tylorakim stykaniu się z oboj- niactwem jesteśmy znowu w dziedzinie ustalonego już zupełnie rozdziału płci.

Kiedy księżyc w pełni ściele po sennym, marzą- cym morzu swą srebrną poświatę, kolczasta kula-sa- mica w głębi morza wyrzuca z siebie do wody doj- rzałe jajeczka, samiec zaś natychmiast wylewa na nie swe nasienie, przyczym nie zachodzi tu właściwe we- wnętrzne zapłodnienie. Ta najprostsza postać miłości płciowej, możliwa oczywiście tylko w wodzie, jest w środkowej kondygnacji królestwa zwierzęcego szeroko rozpowszechniona; nawet u ryb jest ona jeszcze prawidłem. Komórka nasienna i jajowa spotykają się w otwartym morzu dla stworzenia nowego szkarłup- nia. Atoli, zanim bywa on zupełnie gotów, dokony- wają się najdziwaczniejsze rzeczy.

Z zespolenia się nasienia i jajeczka tworzy się drobniutki przezroczysty twór, pozornie o zupełnie skończonej budowie, ale raczej do wszystkiego bar- dziej podobny, niż do szkarłupnia z gromady jeżow- ców morskich. To galaretowate miękkie ciało posia- da gębę, jelito i otwór odchodowy (odwłok) i pływa wesoło po otwartym morzu przy pomocy żywo poru- szających się włosków rzęsowatych. Sądząc z całej budowy, należy uważać je za młodego, rozwijającego się robaka, i gdyby ono pewnego razu dojrzało pod względem płciowym i z kolei wydało na świat mło- de, podobne zwierzątka, należałoby je bezpośrednio zaliczyć do pewnej kategorii robaków. Atoli nie do- sięga ono dojrzałości płciowej. Dostaje dziwacznych jakichś kolców i wyrostków, i powstaje w ten sposób twór, który wygląda prawie, jak mała pikielhauba. I pewnego dnia we wnętrzu tej pikielhauby zaczyna się pączkowanie: w pustej przestrzeni pomiędzy ścian- ką brzucha a żołądkiem rozwijać się zaczyna nowe zupełnie zwierzątko o zupełnie odmiennej budowie.

Pikielhauba nie była niczym więcej, jak dopiero „tymczasowym“ niejako indywiduum, w którym przez pączkowanie rozwija się dopiero właściwe stworzenie.

Pączkujący twór-wnuczek jest, jak łatwo teraz poznać, rzeczywistym małym jeżowcem morskim. Rośnie w postaci tabakierki we wnętrzu żywej pikielhauby w ten sposób, że włącza w skład swego ciała jej żołądek. Po prostu przyjmuje go jako własny narząd. Pikielhauba, pozbawiona łączności przez narastającego gościa z własnym narządem odżywczym, oczywiście zanika, umiera i wreszcie, ssychając się, spada z młodego jeżowca, jak zwiędły kwiat. Oto ów niedźwiedź z bajki Münchhausena wdział na siebie uzdę! Jeżowiec morski po dokonaniu wewnętrznego przepołowienia swej matki, szczęśliwy z posiadania matczyne go żołądka, którego czynność została zachowana, nie troszczy się o to, że tam coś z niego spada; żre, rośnie, doskonalą się i wreszcie staje się dojrziałym płciowo, jak byli jego dziadkowie.

Nie chcieliśmy tu wszczynać zawilej dyskusji zoologicznej, azali ten proces bajeczny stanowi przykład istotny rozmnażania się przez piastunkę (pikielhauba grałaby tu rolę piastunki) w sensie historii miłosnej tasiemca, czy też zasługuje na inne miano. Nie jest to jeszcze dotąd zupełnie wyjaśnione, i ostateczna decyzja zależy głównie od tego, jak wyobrażać sobie z punktu widzenia darwinizmu pierwotne powstawanie takiego jeżowca morskiego ze zwierzątka, podobnego do robaka. Oczywiście, że myślącemu przyrodnikowi, który zgłębić się stara „historję“ świata zwierzęcego i doniosły związek pomiędzy pniami oddzielnych grup zwierzęcych, zawiła ta historia dostarczyć może momentów niezwykle pouczających. Przypomina on sobie wtedy o owym wielkim, zasadniczym prawie rozwoju organicznego, według którego w niezliczonych wypadkach stworzenia późniejsze przebiegają wewnątrz jajka, jako zarodek lub poczwarka,

raz jeszcze szybko szereg form organicznych swych przodków.

Człowiek w łonie matki jeszcze raz staje się stworzeniem, podobnym do ryby, z kończynami na podobieństwo płetw i ze skrzelami na szyi. Żaba w okresie kijanki staje się rybą i krzeczkiem. Tak samo, zdaje się, mały jeżowiec morski musi nasamprzód jeszcze raz stać się robakiem dla przeprowadzenia dowodu, że przodkowie jego byli robakami. Jest to w każdym razie zajmujące i uwagi godne; atoli rozwiązanie tej zagadki ze stanowiska logiki jest, jak to łatwo zrozumieć, dla przyrodnika twardym orzechem do zgryzienia, i długo jeszcze będzie się nad nią mozolił. Nas interesuje tu ta rzecz głównie ze względu na jej przebieg czysto zewnętrzny; interesuje nas ona jako nowy zaułek w „labiryncie“, jaki przedstawia pojęcie o indywiduum. Ta cała historia jeżowca morskiego aż do jej ostatniego etapu rozwojowego, kiedy młode nie tylko pożera, jako ciała obce, swą matkę, piastunkę czy nad-poczwarę (wszystko jedno, jak to nazwać), ale po prostu dobiera jej narząd, który wrasta w jego własne wnętrze—ta cała okropna historia powinnaby pobudzić niejednego filozofa do najgłębszych rozmyślań nad indywiduum wogóle...

I oto spójrzcie! Poprzez tyle tasiemców, motylic, wężyków i wreszcie jeżowców wywody nasze siłą własną wracają napowrót do tego, co mówiliśmy o nieśmiertelności.

Mieliśmy dosyć przykładów, gdzie jedno indywiduum w rzeczy samej całkowicie spotrzebowane zostało dla podtrzymania egzystencji bliźniego; widywaliśmy to, aż wdół idąc do naszego jeżowca morskiego, gdzie jedno indywiduum musiało pozostawić swój żołądek, dzięki któremu pozyskało zdolność do życia inne.

Powiecie zapewne: cóż to wszystko obchodzić może człowieka, dla którego właściwie przecież wszystkie rozprawy o nieśmiertelności się toczą? Nie zapominajcie jednak, że człowiek jest zwierzęciem, że jako najwyższe zwierzę kręgowie również powstał z takich robaków i że ów sposób rozmnażania się przy pośrednictwie piastunek zapewne był jednym etapem również i w jego historii rozwoju, jeżeli już dziś nie istnieje dla niego jako coś, co zdoła on przewyciężyć.

Dlaczego, pytam, miałoby indywiduum w tym rozwoju stać się czymś tak ważnym, ażeby zasługiwało na nieśmiertelność, sięgającą jeszcze poza zwykłe przeobrażanie się we własne potomstwo?

Albo czy owe namacalne przykłady niedostatecznie wyjaśniły wam, że powinniśmy uważać problemat, dotyczący indywiduum, za nieskończenie zawilszy, aniżeli obejmuje go zwykły lot naszej wyobraźni?

Jest rzeczą oczywistą, że dokonywamy tu manewrów filozoficznych z pojęciem, które ze stanowiska historyczno-przyrodniczego przedstawia się w postaci nierozwikłanego kłębaka problematów poszczególnych. Dobrze ci jest wygłaszać z emfazą zdanie: indywiduum powinno być nieśmiertelne. Ale co czynić, kiedy wszędzie, im głębiej sstepujesz w królestwo zwierzęce i roślinne, samo to indywiduum niknie ci gdzieś pod palcami? Chcę być dobrze zrozumiany: niknie nie w otchłani śmierci, ale w fali życia.

Rodzice dzielą się, tworząc dzieci; dzieci wrastają w rodziców; rodzice i dzieci zespalają się tak ściśle, że wreszcie spólny posiadają narząd, jak żołądek np.; wszędzie widzimy płynącą falę, przejście od życia do życia. I oto z pośród tych falowań wyłania się pewnego pięknego dnia sam człowiek, jeszcze w każdym fibrze zwierzę zupełnie określonego gatunku, nic innego, jak zespół komórek, zwierzę rozmnażające się płciowo przy pomocy nasiennych i jajowych komórek, zwierzę kręgowie ssące... Nie możemy przecież dla niego specjalnie coś wynajdywać; przecież wszyst-

ko to nasze o nim mędrkowanie musimy umieć zastosować również i tam wszędzie, poniżej.

Widzę wahanie z waszej strony—dotąd nie ilustrowaliście sobie tego wszystkiego przy pomocy takich faktów. Proszę mię tylko dobrze zrozumieć. Nie chciałbym burzyć tego, co wam jest drogie, co jest wam niejako potrzebne do życia. Pragnąłbym tylko podać wam fakty; wnioski możecie sobie potem wprowadzać sami zgodnie z tym, czego wam potrzeba. Jedno tylko musicie sobie dobrze uświadomić. Musicie to wszystko, czego dostarcza wam przyrodnik, wprowadzić do swoich spekulacji. Nie wolno wam przejść obok tego, jak faryzeusz obok człowieka z wrzodami, który leżał w pustyni. Nie wolno wam ani przez chwilę łądzić się co do tego, że całe konwencjonalne podłoże waszych idei o świecie, o indywiduum, o wieczności, nieśmiertelności, o życiu i śmierci, o waszym „ja“ i „ty“, o waszej matce, dziecku i t. d.—że podłoże to zostało wam przekazane z tych czasów, które nie miały jeszcze najsłabszego wyobrażenia o wyniku naszej wiedzy przyrodniczej.

Na tej nikłej podstawie powstały wprawdzie dziwnie głębokie spekulacje, a świetność myśli sprawiła, że wciąż zapominaliśmy o owym nikłym jej podłożu. A tymczasem nauka niestrudzenie w ciszy pracowała nad tym, ażeby tam w dół nanowo podmurowywać, i wreszcie dokonała swego. Ale oto teraz mamy prawo wymagać, ażeby ta praca była przynajmniej uszanowana.

Ogromna masa ludzi sądzi wprawdzie, że z chwilą, kiedy przyzna się przyrodnikowi to prawo, zniknie wszelkie rozmyślanie, na zagładę skazana będzie wszelka filozofja, wszelki wielki wolny polot myśli. Jest to największe głupstwo. Wszak wszystko, czego on dostarcza, jest samo przez się znów materialem zupełnie wolnym. Naszą powinnością jest tylko ten materiał przyjąć, a od nas już zależy, co z nim zrobimy — jak to zresztą i dawniej bywało. Możecie, jak

dawniej, tak i teraz, snuć sobie myśli najśmielsze o indywiduum; życzę wam wszelakiego powodzenia. Ale wysnuwajcie je na podstawie tego materiału i przy jego pomocy. Bierzcie z góry w rachubę rozmnażanie się tasiemca przy pomocy piastunek—przypominamy to jako przykład, chociaż jest on tylko jednym z nieskończonego szeregu — a zresztą zdobywajcie się na wyniki, jakie zechcecie. Wtedy jesteście panami sytuacji. Badanie naukowe jest w tych warunkach ową pewną planetą, która was chroni i prowadzi; w przeciwnym razie pozostanie ono zawsze dla was groźbą w postaci góry magnesowej, która wciąż wrywać wam będzie gwoździe z waszych okrętów filozoficznych.

I z większością ludzi tak dziś jeszcze bywa. Badania przyrodnicze kładą się na ich myśli, niby kłoda, której nie umieją z miejsca ruszyć.

Wszystko pieni się, traci równowagę i tonie. A jednak nauka o przyrodzie jest czymś prawdziwie wielkim, co epoka nasza dodaje wam, jako coś swego własnego. Dzięki niej myśl wasza zakwitnie, jak odmłodniała.

Rozumiecie dobrze, o co mi chodzi, jeżeli mówię: myśl wasza, to znaczy: myśl w każdym sensie tego wyrazu. I dotyczy to wyników, które mogą być tak śmiałe, jak tylko we śnie moglibyśmy o nich zamarzyć; i dotyczy to problemu o indywiduum. Niechaj potęga jego idealna zmartwychwstanie dopiero właśnie jako feniks z pośród ogromu komplikacji, w jaki wplątuje je nagle przyrodnik...

A tymczasem opowiemy jeszcze drugą historję o szkarłupniach, ażebyście mieli w tym względzie jeszcze jeden piękny przykład.

Nazwać ją można historją miłosną tylko z zastrzeżeniem, chodzi tu bowiem wprawdzie o rozmnażanie się, ale sprawa cała wygląda raczej na rozwód, niż na zawarcie małżeństwa; jest to rozwód o specjalnym zupełnie, subtelnym odcieniu, jakiego dotąd nie wyzyskał, zdaje się, żaden romans obyczajowy,

mianowicie, że stworzenie jakiegoś — on albo ona — rozwodzi się samo z sobą.

Chwilami wydaje mi się, że taki rozwód w zakresie własnego „ja“ byłby celem pożądanym dla niejednego zbyt konsekwentnego indywidualisty pośród nas — ludzi.

Ludzie tacy odgraniczają się murem od reszty świata, i małżeństwo budzi w nich grozę, mogłoby bowiem pogwałcić ich wolność osobistą. Jest wielka myśl w takim dążeniu, jeżeli jest ono pozbawione wszelkich przymieszek obcych. Ale kto jest dość silny, ażeby wytrwać? Samotność — to nowa próba ogniowa. A to, co właściwie mąci spokój, tkwi w samym najwewnętrzniejszym „ja“; i oto widzimy konsekwentnego indywidualistę, jak się tuła z mglistą tęsknotą w duszy, z tęsknotą, której daje wyraz w okrzyku: „o gdyby teraz jeszcze ktoś uwolnił mnie ode mnie samego, rozwódł mnie ze mną samym!“

Napróżno! Możesz sobie być szkarłupniem w sensie duchowym, ile ci się tylko podoba. Jako człowiekowi, pozostaje ci jeszcze do wyboru ostateczność — okazja własnej śmierci — jak mówi Busch; ale jeżeli pozostajesz przy życiu, to rozdzielić się już nie możesz. Musiałbyś już wtedy stać się szkarłupniem w sensie zoologicznym.

Przypominacie sobie owe pierwotniaki jednokomórkowe, które rozmnażały się po prostu w ten sposób, że rozpadały się na dwa lub więcej kawałków. Z punktu widzenia problemu, dotyczącego indywidualium, problemu, nad którym dopiero co dyskutowaliśmy z takim zapałem — już i ten fakt stanowi sprawę dostatecznie zawiłą. Ale ostatecznie można byłoby powiedzieć, że u tych najniższych istot właśnie całe pojęcie o indywidualium jest jeszcze tak chwiejne, a istota towarzyszących rozmnażaniu wzruszeń tak niezbadana, że nie należy z tego zanadto wniosków wywodzić.

Ale przyjrzyjcie się następującemu faktowi.

Najbliższa krewniaczka jeżowca morskiego — to rozgwiazda. I ona również jest szkarłupniem, choć już bez owej okrągłej kolczastej otoczki jeżowca. Jeżeli przy opisie jeżowca prosiłem czytelnika, ażeby wyobraził sobie grubego robaka, zgniecionego pięścią na bryłkę, to teraz musicie sobie w wyobraźni postrześć robaka w ten sposób, ażeby przybrał taki kształt, jakoby wydawał z siebie pięć młodych robaczek, które jeszcze jednak w dolnych częściach byłyby z sobą spojone i tworzyły prawidłową gwiazdę-robaka. Taki obraz tymbardziej jest uprawniony, że przyrodnicy pierwszorzędni w pewnym okresie skłaniali się ku hipotezie, orzekającej, iż w biegu rozwoju historycznego rozgwiazda istotnie powstała w ten sposób, że pięć pojedynczych robaczek zrosło się wzajem. Trzeba dodać jednak, że dziś już hipoteza ta została zarzucona.

Taka rozgwiazda w stanie dorosłym i płciowo dojrzałym jest bezsprzecznie dobrze rozwiniętym, cielesnie i duchowo jednolitym „indywiduum“. Jej rozwój młodociany odbył się tak samo, jak u jeżowca morskiego: i ona już kiedyś swej matce-piastunce wydarła za życia żołądek, a później odrzuciła zbyteczne ciało matczyne, jak zrzuca się z głowy czepek nocny. Ale potem pozostał „jednolitym“ w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu i jest ostatecznie, biorąc naogół, po prostu takim samym indywiduum, jak nim jest człowiek.

Chociaż taka rozgwiazda w tej postaci, w jakiej znajdujemy ją na wybrzeżu morskim, wygląda tak nieruchomo, jak skórka od pomarańczy, jednak nie należy mieć żadnych co do tego wątpliwości, że jest stworzeniem o zupełnie dobrze rozwiniętym życiu duchowym. Złożony ustrój nerwowy z wielkim pierścieniem nerwowym, od którego rozchodzą się promieniami nerwy, dowodzi, że stanowi ona duchową jednostkę o pewnej tężyznie. W przeciwieństwie do większości innych szkarłupni posiada ona nawet wyraźnie

zaznaczone oczy w postaci załamujących światło czerwonych punktów na końcach przednich kończyn. Daleka jest ona od tego, ażeby w „ciszy morza“ grać rolę biernego gościa; owszem, wiezie tam życie prawdziwego drapieżnika, napada i połyka dowolnie małe raczki, ostrygi i ryby w purpurowych głębinach morza. I wreszcie w niektórych gatunkach znajdujemy coś, co może silniej, niż wszystko inne, utrwala wrażenie o rozgwieździe, jako o indywiduum skończonym pod względem cielesnym i duchowym.

Dorośla rozgwiadza-samica, która ongi sama powstała dzięki bezwzględniemu zniszczeniu swej piastunki, wykazuje zupełnie wyraźnie pewne uczucia macierzyńskie wobec swego własnego potomstwa. Widzimy oto rozgwiadzę samice, jak z zagiętymi ramionami siedzi niby kokosza, wysiadująca jaja, nad swemi zapłodnionymi jajeczkami i wyłazającymi z nich młodem rozgwiadzkami. Jest to dziwny obraz i jednocześnie wzruszający pierwszy etap olbrzymiej drabiny, której szczyt najwyższy widzimy w uduchowionej miłości ludzkiej dla dziecka, w Madonnie z dzieciątkiem u piersi...

I oto może dojść w pewnych warunkach do tego, że to „pocziwe indywiduum“ mimo całej swej złożonej indywidualności jeszcze raz rozpaść się może na dwa indywidua, jak jakiś pierwotniak, pozbawiony narządów. Przy towarzyszeniu najokropniejszych drgawek nagle powstaje w gwieździe wewnętrzna ryśa wzdłuż całej długości. Jedna część ramion gwiazdy chce jakby oderwać się od innych; ale to możliwe jest tylko wtedy, kiedy i część środkowa po prostu rozcięta będzie przez połowę. Wszystko pęka: zrywają się nerwy i naczynia, łamią się twarde części szkieletu, nawet żołądek bywa rozplątany i dzielony na otwarte połowy.

Literalnie obraz przypomina tę zwrotkę piosenki, gdzie to „na prawo i na lewo po połowie turka spada“. Ale każda połowa żyje. Jeżeli gwiazda miała

5 promieni, to zwykle jedna część zachowuje 2, a druga 3 ramiona. Przy 8-miu albo 6-ciu ramionach podział następuje na równe części: po 4 lub po 3. Wkrótce potem straszna rana szarpana zrazu się zamyka, a później zabliznia się zupełnie w ten sposób, że części, których brak, po prostu w każdej połowie odrastają odnowa. I ramiona brakujące stopniowo wyrastają, tak że prędzej czy później oba indywidua są znów „całe“.

Tylko że oto zjawiły się dwa indywidua zamiast jednego pierwotnego. Teraz wmyślić się proszę w stan duszy indywidualnej tej początkowej rozgwiezdy przed podziałem i wziąć wyobraźnią udział samemu w tym podziale... Co może zwierzątko „myśleć“ sobie podczas takiego aktu? Jak długo może ono myśleć jako „ono“, jako „jedność“, i od jakiej chwili dwie dusze powinny tworzyć jego „myślące ja?“ Czy podział taki równa się „śmierci“, kiedy indywiduum „umiera“, czy też jest on krokiem naprzód ku szerszemu życiu, rozmnażaniem się, podczas którego indywiduum przechodzi w wyższą formę?

Może skorzystasz, czytelniku, z wolnych chwil podczas pobytu nad morzem Północnym, gdzie fala codzien przynosi ci pod nogi małe i duże, czerwone i żółte gwiazdki swego błękitnego nieba wód—ażeby pomyśleć kiedyś nad temi kwestjami. Bądź pewien, że zaprowadzą cię one dalej, aniżeli wiele z tych dróg, na jakich wiąże cię spekulatywna filozofja i teologja. A dokąd zająć wtedy zechcesz—to już jest obojętne.

Uczyłeś się w szkole rozmaitych pięknych rzeczy. Gdybym cię zbudził pogrążonego we śnie i zaczął: *panis, piscis*—dokończyłbyś: *crinis, finis* . . . Jeszcze jako staruszek, kiedy się najesz trochę za dużo sałaty z homara, recytować będziesz w obliczu gniotącej cię zmory sennej greckie słówka nieprawidłowe albo zdania warunkowe o treści nierealnej, jękać się będziesz, i posadzą cię do kozy. I na takich rzeczach strawiłeś na szarej ławie szkolnej swe najpiękniejsze lata, kiedy wyobrażnia twoja puszczała pędy, jak młody ogród kwietny. To było twoim wyposażeniem humanistycznym, na którego podłożu miałeś później skonstruować idealną stronę swego poglądu na świat.

Ale kiedy cię zapytam nie podczas snu, a w najbardziej trzeźwej chwili twojej, co to jest oto ta ostryga, którą masz na stole—będziesz stał bezradnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

I pocieszasz się co najwyżej tym, że ostryga nigdy nie może mieć żadnego związku z twoim na świat poglądem.

Zarabia się pieniądze, ażeby móc zapłacić za nią, a potem się ją zjada z cytryną lub bez. Tyle wiedzieli również owi starzy hulacy przy stole Horacego i czynili to samo, tak samo nie wiedząc, co to za stworzenie. Ale oni znali zdania warunkowe i przekazali je nam, i oto należą one odtąd, jako niezbędnie potrzebna część składowa, do naszego wykształcenia humanistycznego. Ale właśnie co do tego zdaloby się trochę pospierać.

Atoli ostryga w każdym razie jest przedmiotem zbyt przyjemnym, ażeby się o nią spierać — a więc strońmy od tego.

Dla mnie każda ostryga posiada w sobie sporo poezji.

Przypominają mi się ciche godziny życia, które tak pragnąłbym zachować w pamięci; godziny, kiedy zwykła rozkosz przeobrażała się w jakieś świątobliwe

uduchowienie. Wdzięku pełne główki dziewicze wy-
łaniają się w mej wyobraźni — i rozmaite podobne
rzeczy... To pewna, że ze wszystkich przednich dań
kulinarnych ostryga stanowi jedno z najidealniej-
szych. Bardzo niewiele może z nią iść w porównanie,
i — co charakterystyczna — tylko te „czyste“ potrawy,
t. j. takie, które nie wymagają zupełnie właściwego
przyrządzenia, np. trufla. A dalej, ostryga ma won-
ność pewną, co zresztą powiedzieć można tylko o na-
pojach, o winie np. I ma ona również perspektywę.
Podobnie jak zapach trufla prowadzi wyobraźnię wa-
szą daleko w zacisze zakłętego lasu, gdzie wśród po-
płątanych korzeni kryje się leśna różyczka, nad gro-
bem Merlina, który śpi pod tysiącletnimi dębami
o lśniącej zieleni — tak samo i na widok ostrygi wę-
drujesz wyobraźnią daleko nad morze Śródziemne,
przypominasz sobie jego oddech słony, jego pianę,
spoglądasz okiem duszy w przepastne głębiny czarno-
zielonej bajki — wiecznego olbrzyma morza, który wy-
rzuca swe białe grzebienie i ponad którym, jak płatki
śniegowe, bujają mewy.

A duch wraz z mewą buja od jednej bajki do
drugiej. I marzy, jak to kiedyś zasiądą ludzie — wszy-
scy bez wyjątku — przy ostrygach i reńskim winie,
w zgodzie i harmonii zupełnej, czując się wreszcie
u siebie na tej bogatej ziemi, opływającej w ostrygi
i winne grona... A staćby się to mogło, gdyby lu-
dzie chcieli pomóc sobie wzajem, gdyby się chcieli
porozumieć...

„Jak w muszli dźwięczy świętego morza

Żalność i rozmarzenie,

Tak w mojej duszy zawodzi śpiewnie

Marzące utęsknienie...“

Ostryga — to zwierzę. To wiemy przynajmniej
z pewnością — nieprawdaż? Zwierzę bardzo łagodne
wprawdzie — wszak daje się przez nas zjadać żywcem
i nawet się nie rusza. Właściwie ze względu na sen

roślinny, w którym, zda się, jest pogrążona, należałoby zastanowić się, azali jest ona istotnie zwierzęciem. W każdym razie, zgadując, zaliczałbyś ją do bardzo nisko uorganizowanych. Wyobraź sobie, jakby się wykrecał robak, gdybyś mu zniszczył jego kryjówkę i przyniósł go na talerzu jeszcze żywego do oświetlonego elektrycznością gabinetu restauracji wielkemiejskiej. A jednak ta nieruchoma męczenniczka posiada organizację wyższą, aniżeli robak.

Od niej zaczyna się druga z owych czterech kondygnacji wyższego życia zwierzęcego, które stoją ponad robakami.

Stoimy wobec mięczaków. W życiu napotykamy na każdym kroku dwie grupy takich mięczaków, dwie grupy, które zazwyczaj mieszamy z sobą. W mowie zupełnie słusznie odróżniamy je od siebie dzięki dwóm oddzielnym wyrazom, ale profan nie umie właśnie prawidłowo używać tych wyrazów i po prostu uważa je za jednoznaczniki. Jeden wyraz—to małż, drugi—to ślimak...

Jeżeli chodzi o różnicę powierzchowną, o wyodrębnienie z gruba, to da się ją określić w ten sposób: małż—to mięczak, który siedzi pomiędzy dwiema skorupkami, jak skrawek czerwonej szynki pomiędzy dwoma białymi kawałkami chleba. Pyszna ostryga w niepozornej swej sukience jest właśnie takim małżem. Natomiast ślimak jest albo nagi, jak nasz wielki czerwony, czarny lub białawo-zielony ślimak przydrożny, albo też posiada, jak nasz jadalny ślimak winnic, pojedynczą, przeważnie zwiniętą skorupkę, „domek“, z którego dowolnie może wyłazić lub chować się w nim.

Ślimak jest pod każdym względem wyżej uorganizowanym mięczakiem, aniżeli małż. Ma on wyraźnie wyodrębnioną głowę, po większej części zaopatrzoną w ruchome macki i oczy. Żyją ślimaki nie tylko w wodzie, gdzie oddychają przy pomocy skrzelii, jak to czynią bez wyjątku wszystkie małże, ale ist-

nieją również ślimaki lądowe, które wchłaniają powietrze wprost przy pomocy płuc, jak ludzie.

Co dotyczy rozwoju historycznego obu grup, to stosunek ich wzajemny przedstawia się prawdopodobnie w ten sposób: Przed dawnymi czasy z robaków powstawały praślimaki, z których po jednej stronie rozwijały się dzisiejsze ślimaki, po drugiej zaś, drogą przystosowania się do konsekwentnie osiadłego trybu życia i związanego z tym faktem bezsprzecznego zwyrodnienia, powstały małże. A więc podczas kiedy w postaci ładnego ślimaka winnicowego pochłaniamy najwyższą ozdobę królestwa mięczaków, w bezkształtnej bryłce ostrygi łykamy zbutwiałego i nieco zwyrodniałego pachółka i filistra tego samego królestwa.

I oto przeciwieństwo odzwierciedla się bardzo widocznie również w życiu miłosnym ślimaków i małży.

O ile w domku ostrygi i jej cichych uciechach tkwi dużo poezji, o tyle o jej miłości nie daje się przy najlepszych chęciach opowiedzieć coś zajmującego.

Większość małży jest dwupłciowa, ale nie mają one narządów rozrodczych i radzą sobie w najbardziej pierwotny sposób, tylko w płynącej wodzie możliwy do skutecznienia.

Samce i samice, siedząc blisko siebie w skorupkach, wytwarzają i wydzielają o pewnej porze jajeczka i nasienie. Samica zatrzymuje jeszcze przy sobie swe jajeczka, tymczasowo wchłaniając je po prostu narządem oddechowym, t. zw. skrzelami, niby więcierzą rybacką. Samiec natomiast wyrzuca wytwór swój na zewnątrz, i czasami wszystka woda przed rozwartą skorupką samicy wypełniona jest samym nasieniem. Samica oddycha głęboko, t. j. wciąga spory łyk wody w swe skrzela—i rzecz gotowa: nasienie i jajeczka są razem.

Potym młode wylatują z matczynej uchyłki

oddechowego. Mówię: „wylatują“, musimy sobie bowiem raz na zawsze uprzytomnić, że młode, tylko co wylęgłe małże mają wprawdzie już małą skorupkę, ale zwykle nie odznaczają się jeszcze wcale skłonnością do życia osiadłego, jak to bywa u dorosłych. Zwłaszcza młode małże morskie pływają i roją się gromadnie po otwartym morzu ze swemi podwójnymi skorupkami jeszcze przez czas dłuższy, szukając odpowiedniego miejsca, ażeby osiąść na stałe, aż wreszcie w samej rzeczy obierają sobie stałe miejsce zamieszkania, zniewolone wzmagającym się wciąż ciężarem swego naturalnego domku.

Młode małże wód słodkich przynajmniej czepiają się ryb i często dają się przez nie w ciągu kilku miesięcy ciągnąć w wodzie po spacerach.

Ten prosty proces stanowi właściwie, na ogół biorąc, cały romans miłosny naszej ostrygi. Jedną tylko ma ona właściwość: jako wyjątek pomiędzy siostrami swemi jest ona właściwie obojniakiem: wytwarza w tym samym organizmie, niemal w tym samym narządzie zarówno jajeczka, jak nasienie. A mimo to zapłodnienie odbywa się zupełnie tak samo, jak opisaliśmy powyżej. Oto przyroda znowu z naciskiem zadokumentowała prawo, wymierzone przez nią przeciw samozapłodnianiu.

Wprawdzie ten sam narząd tej samej ostrygi wytwarza nasienie i jajeczka, t. j. produkt męski i żeński, ale wytwarza je nie jednocześnie, a naprzemiennie: to jedno, to drugie. Dziś rodzą się i wyłaniają nazewnątrz jajeczka, pływają sobie wzdłuż ciała matczynego w narządzie oddechowym matki; matka łyka wodę, przepojoną nasieniem sąsiadki — i zapłodnienie odbywa się prawidłowo w jednej ostrydze za sprawą drugiego indywiduum. A jutro ta sama nasza ostryga-matka staje się nagle ojcem i wytwarza tylko nasienie. Natomiast obok, u sąsiada, dzieje się teraz przeciwnie, nastął „dzień matczyzny“: tam mamy zamiast nasienia—jajeczka, a nasienie, pochodzące z tej stro-

ny, witane jest przychylnie w postaci łyku, który zapładnia gdzieindziej jajeczka.

Wobec takiej podwójnej pracy miłosnej staje się omal nieprawdopodobną ta masa jajek, którą wytworzyć może oddzielna ostryga: jedna starsza, w miłosnych sprawach doświadczona ostryga może w ciągu roku wytworzyć więcej, niż milion jajeczek. Pełnego rozwoju dosięga z tej liczby oczywiście tylko drobna odsetka.

Mimo to nie ulega wątpliwości, że dzięki racjonalnej hodowli, która postawiłaby sobie za zadanie troskliwą opiekę nad wylęgającymi się młodem, dałoby się właśnie w taki sposób pomnożyć liczbę ostryg na wszystkich wybrzeżach morskich, że mogłyby one stać się najtańszą potrawą ludu, aż po kraje zdala od morza leżące.

Powiadają, że o pełnym brzuchu nauka nie idzie sprawnie. Z punktu widzenia społecznego jest to straszny nonsens. Z sytym, rozumnie odżywianym brzuchem dopiero wogóle wziąć się można do nauki. Azali właśnie ze względu na oświatę ludzkości nie byłoby pożyteczniej trochę więcej troszczyć się o ostrygi, aniżeli o nieprawidłowe słówka greckie i zdania warunkowe nierealne?...

Przy pomocy barw, jakich używał Watteau, wymalujmy sobie w wyobraźni miły obrazek.

Na liściach winnych o pozłocistej zieleni zbliżają się ku sobie z dwóch stron przeciwnych dwa duże ślimaki ogólnie znanego gatunku, z grubym brunatnym domkiem o niezliczonych prążkach. Chwieją się i podnoszą głowy. Nagle widzimy: szare ciała ślimaków przeobraziły się w różowych aniołków, małych filutów-amorków, które jakby na żarty wsadziły sobie na główki, niby czapeczkę błazeńską, długie zgrubieniem zakończone macki.

I oto wyciągają obaj psotnicy z pod swych daszków ochronnych ładne łuki, celują do siebie i ostrzeźliwiają się wzajem drobnymi srebrnymi strzałami, strzałami miłosnemi, które trafiają wprost w serce, choć nie sprawiają rzeczywistych ran krwawych...

A kysz!... Czar prysnął... Znowu mamy tylko dwa stare, obżarte ślimaki winnicowe... A jednak oczyma poezji widzieliśmy coś, o czym umie również na swój sposób opowiedzieć historia naturalna.

W historii miłosnej ślimaków wspomina również i nauka ścisła o „strzałach miłosnych“, które posługują się kochankowie, z tą tyłką różnicą, że cała sprawa odbywa się raczej w duchu Arystofanesa, niż w duchu Petrarcki...

Taki ślimak jest zawsze w całej swej budowie dla profana o wiele zrozumialszym, aniżeli ostryga. W porównaniu z pozornie bezkształtną papką, jaką przedstawia ostryga po otworzeniu muszli, papką, która prawie tak wygląda, jakby ją już ktoś raz rozgryzł i wypluł, wydaje się ślimak zupełnie proporcjonalnie zbudowanym.

Widać, gdzie głowa i odwłok, gdzie plecy i brzuch. Wprawdzie niema nóg, a na głowie zamiast wyraźnych oczu i uszu sterczą owe dziwaczne wyciągliwe macki, które tylko przez dzieci, nieświadome rzeczy, zwane są „uszami“. Większa z dwóch par macek ma w istocie po jednym małym, dość kiepskim oku...

Niedaleko w tył poza prawą macką, opatrzoną okiem, znajduje się mały otwór, a jest on niczym innym, jak otworem płciowym, choć mieści się w tak niezwykłym miejscu, niedaleko głowy. Chcąc dojrzeć ten otwór na żywym ślimaku, należy tylko pamiętać, ażeby nie pomylić tego otworu z otworem oddechowym, który leży jeszcze dalej ku tyłowi.

Trudno znaleźć drugie stworzenie, któreby w głębi pod tak prostym otworem miało taki zawiły narząd, jak ten poczciwy ślimak pod swoim otworem płciowym.

Jako fakt zasadniczy należy pamiętać, że ślimak winny jest tak samo zupełnie, jak ostryga, obojnickiem. W głębi, wewnątrz ciała posiada on t. zw. gruczoł obojnicki, w którym w sposób iście cudowny wytwarzane bywają społem obie substancje: nasienie męskie i jajeczka kobiece.

Atoli i tu nie wolno tym dwom materjom zetknąć się dla zapłodnienia w jednym i tym samym łonie macierzystym. Z gruczołu obojnickiego prowadzi w dół aż do owego otworu płciowego niezwykle zawiły system kanałowy, przez który sprowadzane być mogą na dół zarówno jajeczka, jak i ciała nasienne. W jednym miejscu odchodzi od głównego kanału, który prowadzi prostopadle do otworu, cienki kanał poboczny, dokąd dostać się mogą wyłącznie ciała nasienne. Kanał ten jest krótki i kończy się w olbrzymim rezerwuarze, który wyobraża sobą ogromny dający się wysuwać członek rozrodczy. Ostatni narząd kończy się tuż obok otworu zewnętrznego, a kiedy się wysuwa nazewnątrz, to może równie dobrze w odpowiednich warunkach wyrzucić nazewnątrz ciała nasienne, jak z ciała matczynego wprost przez otwór wychodzą jajeczka, kiedy tego zachodzi potrzeba.

Ale nasamprzód przez pewien czas pozostają ciała nasienne w głębi, we wciągniętym członku rozrodczym, i stroją się jeszcze tu trochę. Tu wydzielany śluz zlepia je w jednolitą bryłkę, w t. zw. nabój

nasienny. Ten nabój nasienny ma swój cel specjalny, jak to zaraz zobaczymy.

Nie koniec jeszcze na tych zawiłych sprawach. Narząd ślimaczy posiada jeszcze dwie maszyny pomocnicze o złożonej budowie. Nasamprzód jest tu jeszcze próżny kocioł, połączony również kanałem specjalnym z wielkim otworem płciowym. Od wewnątrz nie zapełnia się kocioł ów niczym—ani jajkami, ani nasieniem. Wydaje się, jakoby istniał po to, ażeby przez ten otwór przyjmować coś z zewnątrz—i o tym też zaraz się dowiemy.

A pozatym jest jeszcze tuż obok otworu płciowego czwarta rzecz, oczywiście najdziwniejsza. Jest to otwierający się ku otworowi futerał, workowata pochewka, w której siedzi mały jakiś przedmiot o kształcie ostrej szabelki lub strzałki. I ta zagadkowa rzecz nie ma absolutnie żadnego bezpośredniego związku z jajeczkami i nasieniem; musi ona najpewniej na coś czekać, co ma przyjsć z zewnątrz.

Opuśćmy teraz wnętrze naszego ślimaka, gdzie odkryliśmy wszystkie te dziwy, i przypatrzmy się przez chwilę całemu zwierzęciu z zewnątrz. Jego produkty płciowe burzą się w nim od żrałości bujnej, a mimo to nie może ono samo nic począć z niemi. Samozaopłodnienie byłoby wprawdzie dość łatwe do ukutecznienia ze względu na budowę samego aparatu. Ruchomy członek rozrodczy, uzbrojony w swój nabój nasienny, winienby tylko zagiąć się trochę ku górze i dostać się do wielkiego kanału, przez który schodzą jajka, i wystrzelić swój nabój na te jajka, znajdujące się już tu teraz w stanie zupełnie gotowym do zapłodnienia. Albo gdyby narazie jajeczek jeszcze nie było, wystarczyłoby tylko wsunąć tymczasem nabój w ów bezcelowy napozór i pusty rezerwuar-kociołek, a nabój mógłby potem w odpowiedniej chwili, kiedy jajeczka znalazłyby się u dołu, spaść im na łeb.

Ale ślimak nasz daleki jest, zdaje się, od takiego bezsprzecznie „przewrotnego“ postępowania, prze-

wrotnego ze stanowiska zakazu, wydane go przez przyrodę przeciwko samozapłodnieniu. Pozostaje on na gruncie „moralności“, oczywiście w sensie takiego postępowania moralnego, które wypływa raczej z pobudek utylitarnych, aniżeli z imperatywu kategorycznego. Spodziewa się on czegoś osobliwego, czegoś, czego samozapłodnienie nigdy by mu dać nie mogło. I to „coś“ wyłania się oto zaraz w samej rzeczy—po prostu w postaci innego ślimaka jego gatunku.

Oto w wilgotny dzień majowy nadchodzi ów towarzysz z powagą, właściwą ślimakom. Ma on tę samą budowę, co i pierwszy — wyrazy: „narzeczony“ i „narzeczona“ są tu nie na miejscu—i też same żywi pragnienia. Ale poznać odrazu, że nie ma się do czynienia z bardzo nisko stojącymi zwierzętami. Przybywa element psychiczny.

Oba ślimaki nie atakują się odrazu. Okrążają się nasamprzód wzajem jakimś komicznym ruchem tancecznym, zanim się dotkną. Potym nagle unoszą się obydwaj w górę, przyciskają się do siebie, o ile na to pozwala położenie, brzuchami; przez pewien czas flirtują mile mackami. Kiedy wreszcie zbliżą się do siebie dostatecznie oba otwory płciowe, każdy z zakochanych wypuszcza nagle ze swej pochwy ową małą śpiczastą strzałkę zwapniałą — strzałę miłosną.

Cel tego ruchu—cel nie zawsze w zapale miłosnym osiągniany—polega na tym, ażeby trafić dokładnie w otwór miłosny drugiego osobnika. Prawie z pewnością chodzi tu o szczególne jakieś podrażnienie płciowe, którego szczegółów wykryć zupełnie jasno nie umiemy naszym ograniczonym rozumem, przy jego bowiem pomocy nie możemy wejrzeć w tajniki zakochanej duszy ślimaczej. Z chwilą kiedy strzała miłosna wyciągnięta została z kołczanu, właściwy akt przyrodzony odbywa się już dalej prędko i gładko. A kiedy już dokonała ona swej czynności, okazuje się dopiero, dlaczego był tam wewnątrz ów pusty kocioł.

We wnętrze tego kotła wchodzi teraz członek płciowy towarzysza i składa tam ów dobrze zawinięty nabój nasienny w tym celu, ażeby jego zawartość przy nadarzającej się sposobności spływała deszczem dobroczynnym na tłoczące się obok jajeczka i dokonywała zapłodnienia.

A więc i tu każdy ze ślimaków przyjmuje, jako samica, i jednocześnie oddaje, jako samiec. Ale z chwilą kiedy akt doniosły został dokonany, każdy ślimak pozostaje przede wszystkim jednym tylko, mianowicie—matką.

Zapłodnione jajeczka dosięgają zupełnej dojrzałości w ten sposób, że specjalna wydzielina gruczołowa otacza je jeszcze w ciele matki piękną twardą skorupką wapienną, która nadaje im cechy wyjątkowego podobieństwa do białosnieżnych jajeczek ptaków, oczywiście ptaków naszych swojskich gatunków z niezmiernie lilipuciami jajeczkami o przecznicy najwyższej 6-omilimetrowej. Ale w Ameryce Południowej są ślimaki lądowe, które—mówimy zupełnie poważnie—kładą tak wielkie jajka, jak gołębie. Nasz ślimak winnicowy składa przeciętnie jedną kupkę jajek za drugą, z 60-u do 80-u sztuk złożoną. Ale zanim rozpoczyna tę czynność, buduje sobie sam coś w rodzaju kołyski. O ile zwykle nigdy nie myśli o rozkopywaniu ziemi, teraz nagle wdraża się przednią częścią ciała o tyle, o ile zdoła wy dostać się ze swego domku, głęboko w wilgotną ziemię, dopóki nie utworzy głębokiej dziury długości mniej-więcej 7-u centymetrów. Potym ślimak przysuwa się do tej dziury w ten sposób, ażeby domek jego z góry wszystko przykrywał. Wtedy dopiero w przeciągu dwóch dni jajka się leżą i kryją w tej dziurze; a kiedy się ona zapełnia, troskliwa matka znów przysypuje ziemią tę całą kołyskę, ażeby nie można było znaleźć nawet śladu po niej. Po miesiącu dopiero młode, zupełnie rozwinięte i przygotowane do życia na swobodzie, wyłazą wesoło ze swego grobu-kołyski.

Znów na drabinie, wiodącej od rozgwiadzy do Madonny, staje wam przed oczyma nowy szczebel: zamiast dzikiej śmierci ofiarnej za lęgnące się młode, której obraży tak potworne wykazywał robak, mamy tu wzruszającą troskliwość żywej matki o dobro stających się dopiero dzieci. Troskliwość macierzyńska, ta część składowa rozlewnej, ku nowym celom dążącej miłości płciowej, staje na rubieży pomiędzy bierną śmiercią a czynnym życiem—i oto mamy znowu dowód, jak w miłości łączy się życie i śmierć i jak wyższe postaci miłości podnoszą jednocześnie śmierć do wyższego życia...

Pozwólcie, że obraz miłości ślimaczej zakończę jeszcze dzikim widowiskiem, które wyłania się z wód, jako istny dytyramb krańcowej energii miłosnej.

Pamiętacie małą motylicę, o której opowiadaliśmy poprzednio?

Z przewodu żółciowego barana przechodziły młode zwierzątka w ciało owych ładnych ślimaków iłowych z rodu *Limnaea*, które mamy w stawach naszych. Tam w każdej drobnej motylicy wyrastało nowe pokolenie, które miażdżyło wewnątrz matki lub piastunki; a w owych najmniejszych motylicach, zanim jeszcze zdążyły rozerwać skórę matki-trupa, zaradzały się znów mniejsze jeszcze motyllice-wnuczki, które znów dla poprzednich były przyczyną zniszczenia. Ta ohydna piramida trupów piętrzyła się, jak już było zaznaczone, we wnętrzu ślimaków, a ślimaki same zupełnie o to nie dbały.

A teraz pozostanmy już zupełnie przy tych ślimakach i przypatrzmy się zzewnątrz, jakie własne piramidy miłosne wznoszą one pomiędzy sobą.

Ci mieszkańcy bagnisk są prawdziwymi ślimakami, zupełnie tak samo, jak i nasz stary ślimak z winnic; są one też wewnątrznie obojniakami, samcem i samicą w jednym osobniku, jak i tamten. Odrębność ich polega jedynie na tym, że zamiast jednego otworu płciowego, skąd wychodzą obie materje, mają ta-

kich otworów na ciele dwa: jeden męski—blisko maczki, a drugi żeński—trochę dalej ku tyłowi, bliżej otworu oddechowego. Ten rozdział powierzchniowy stanowi podłoże dla nowych komplikacji w zapładnianiu, które znacznie przekraczają napotymane u ślimaka winnicowego.

Wyodrębnienie dwóch otworów płciowych wytworzyło nasamprzód ten skutek, że pomimo obojności płci spotykają się zazwyczaj tylko w ten sposób, że jedno występuje jako samiec, a drugie jako samica. Więc tu nie zapładniają się osobniki nigdy tak, że każdy ślimak daje coś z siebie towarzyszowi, a wzamian od niego coś otrzymuje. Tu jeden ślimak obejmuje drugiego tylko w ten sposób, że przyciska swój męski (bardziej ku przodowi leżący) otwór do kobiecego otworu (bardziej ku tyłowi umieszczonego) drugiego ślimaka i zapładnia go, jak samiec samicę.

To byłoby prostsze, niż owa historia w winnicy. Ale zważcie z matematyczną ścisłością ciąg dalszy. Jeden ślimak znajduje się w stosunku do drugiego, jak samiec do samicy; jego własny żeński otwór płciowy, leżący bardziej ku tyłowi, nie bierze oczywiście udziału w tej czynności. Ale oto zjawia się obok niego trzeci ślimak, również do męskiej funkcji płciowej przygotowany, znajduje wolny otwór żeński i rozpoczyna tu swe dzieło. Z konieczności więc ów drugi ślimak, zgodnie z wolą swą czynny tylko jako samiec, staje się teraz jeszcze samicą dla trzeciego. W tym akcie z kolei otwór żeński w tym trzecim ślimaku pozostaje wolny, i tu znów zjawia się dla załatwienia czynności samiczej czwarty ślimak. W ten sposób powstaje wreszcie cały łańcuch. Dopiero ostatni ślimak pozostaje istotnie wolny pod względem żeńskim i, jako jedyny wyłącznie po męsku czynny ślimak, zamyka szereg, którego pierwsze ogniwo, jak biegun przeciwległy, jest wyłącznie samicą, podczas kiedy wszystkie ogniwa pośrednie biorą udział w akcie płciowym czynnie jako samiec i biernie jako samica.

Jeżeli w tej dziwacznej arabesce dodamy jeszcze jedno pociągnięcie pędzla; jeżeli pomyślimy sobie, że może w każdym z tych ślimaków rozgrywa się jednocześnie ów okropny dramat włożenia wzajem w siebie, jak w młodych motylicach—będziemy mieli wtedy piękne pojęcie o tym, co istotnie oznacza ów stary zwrot o „dzikiej sile przyrody twórczej“. Jeżeli jesteście dość silni, ażeby spojrzeć przyrodzie w oblicze, musicie poczuć tu dreszcz, jak przed czymś wzniosłym, dreszcz tak potężny, jak kiedy szaleje ocean lub kiedy grzmi lawina śnieżna. Ten ocean, co w oczach twych szaleje—to ocean życia; a lawina, co stacza się ponad twą głową — to lawina nieskończonego stawania się.

Weż pająka; osadź mu w głowie nieruchome szklane oczy łupaka; nadaj ciału jego wilgoć, oślizgłość, miękkość i tę absolutną nagość ślimaka; wyciśnij z kończyn stawy, ażeby stały się wreszcie jelitami, ażeby mogły się zwijać, jak jelita, w kłębek nieruchomy i wlokły się tylko z miejsca na miejsce wraz z grubym ciałem workowatym pająka dzięki jakiejś tajemniczej sile ssącej, która im pozwala przylegać to tu, to tam, gdzie się poruszają na podłożu. A pozatym pozostaw pająkowi wszystką dzikość, napastniczość i drapieżność jego natury, pozostaw mu jego siłę i wytrwałość, jego inteligencję, która pozwala mu zapanować nad każdą sytuacją. A w końcu zrób go jeszcze wielkim, jak pieść, jak głowa, jak wół, jak wieloryb wreszcie— i oto będziesz miał mątwę.

Jest ona niezaprzeczenie ogromnie podobna do pająka. Ale nie jest pająkiem, nie jest mu nawet zwierzęciem pokrewnym, jak również nie jest rybą.

Jest to mięczak, bezpośrednio zbliżony do owych muszel i ślimaków, z tego samego pnia, co ostryga i ślimak z winnicy. Jest między nimi tylko ta różnica, że mątwa w znacznym stopniu towarzyszów swoich prześcignęła.

Rozłup jajko z załęgłym dopiero co kurczęciem i wyrzuć tę masę na talerz. Masz oto przed sobą jakąś dziwną, o nieokreślonej postaci grudkę galaretową, która leży, jak martwa. Porównaj z kurą dorosłą, jak spogląda na ciebie wzrokiem, który pochodzi z mózgu i w innym mózgu tonie; jak biega, szpera, gdacze i lata. Taki mniej-więcej istnieje kontrast pomiędzy marnym i jeszcze prócz tego zwyrodniałym mięczakiem-ostrygą z jednej strony a wysoko stojącą na drabinie rozwojowej czernicą z drugiej.

Mątwa — to korona swego rodu.

Silny mózg w głowie — to ognisko jej sił duchowych. I chociaż naogół w miękkim jej ciele kości jest bardzo mało, jednak mózgowi temu jako ochro-

na służy, jak u wyższych zwierząt kręgowych—u żaby, ptaka lub człowieka—czaszka, która napewno nie byłaby się rozwinęła, gdyby tu nie było do ochrania-
nia czegoś poważnego i kosztownego. A intelekt zwią-
zany jest zawsze — można to uważać prawie za pra-
wo — ze znaczną ruchliwością. I w tym względzie
ostryga pozostała znacznie w tyle: mątwą pływa, bie-
ga, łązi, nawet ma zdolności budownicze, umiając
urządzać dookoła siebie barykadę z kamieni—w mo-
rzu nie ma w tym kierunku spóźzawodnika. Tylko
w postaci zewnętrznej pozostało na niej piętno dzie-
dzictwa rodowego; jest coś dziwnego, warjackiego
w jej budowie: ramiona wyrastają z głowy ponad
oczami i dookoła żarłocznej gęby i chwytają zdobycz,
wpijając się w nią z całą niewzruszoną mocą przy
pomocy szeregu pijawek. Przez wielkość swą, która
granicy z kolosalnością, potwór tym bardziej zwraca
uwagę.

Największe gatunki mątw—to „potwory“ legend
rybackich; osobniki tego rodzaju mają po 20 metrów
długości.

Pająk tej wielkości byłby bezsprzecznie najstrasz-
liwszym zwierzęciem lądowym i przedmiotem okrop-
nych bajek dla wszystkich narodów.

Mątwy istnieją już od czasów prastarych. Zja-
wiają się w liczbie olbrzymiej już w miejscu, gdzie
w biegu historii ziemi wiedza nasza podnosi zaledwie
zasłonę z ponad życia. Już z samego początku, jak się
zdaje, ześrodkowała się w nich cała inteligencja ro-
du mięczaków. Są one wogóle najbardziej „uducho-
wione“ ze wszystkich postaci zwierzęcych, jakie do-
tąd rozpatrywaliśmy. Atoli napotykamy tu duszę dzi-
ką i drapieżną, cały intelekt zogniskowany jest na
walce bezwzględnej, którą toczą zarówno z obcemi,
jak i pomiędzy sobą. Daje się też przewidzieć, że
u istot tak mądrych i wojowniczych i miłość nie mo-
że być idylą. W samej rzeczy wydaje się ona pro-
bierzem całej charakterystyki zwierzęcia, ujawnia się

bowiem w niej intelekt, natura drapieżna, wreszcie i wspomniane już dziedzictwo mięczakowe, mające w sobie coś szalonego, skleconego z kawałków nie-
możliwie dopasowanych.

Wyobraźcie sobie, że cel ostateczny aktu płciowego nie polegałby tylko na tym, ażeby płyn nasien-
ny męski dostał się do wnętrza macicy, ale że ka-
tastrofa końcowa raczej przebiega w ten sposób, że
członek męski ze strasznym impetem odrywa się od
ciała samca i ginie na zawsze w pochwie samicy.
W takiej sytuacji znajduje się samica.

Właściwie małwa i pod względem płciowym stoi
na wysokim stopniu rozwoju. Niema w niej nic ani
z płciowego obojnactwa, uprawianego w takim sze-
rokim zakresie przez ślimaki, ani z nieokrzesanego
rozzrucania nasienia na chybi-trafi, jak to się dzieje
u ostryg. Małwa jest stale prawdziwym zwierzęciem
dwupłciowym: jest małwa-samiec i małwa-samica.

I wydaje się, jakoby obie płci stworzone były
ze swemi długimi ramionami do prawidłowego za-
płodnienia w chwili najściślejszego zespalandia się wz-
ajemnego. I w samej rzeczy, wewnątrzne zapłod-
nienie zwierząt, jak już wiecie i jak już w toku na-
szego opowiadania wielokrotnie u zwierząt niższych
mieliście sposobność spostrzegać, odbywa się w prze-
ciwienństwie do innych postaci zapłodnienia w ten spo-
sób, że część ciała samca wprowadzona być musi do
ciała samicy. Niema wątpliwości, że dla samego celu
zapłodnienia metoda ta jest dość pewna. Ale ma ona
również niezaprzeczalnie ciemne strony.

W miarę tego, jak zwierzęta stawały się coraz
bardziej złożonemi, jak stawały się wielkiemi, wolne-
mi, poruszającemi się maszynami, ten sposób rozmna-
żania okazywać się począł coraz mniej wygodnym.
W całym wyższym rozwoju zwierzęcym zauważyć
się daje tendencja ku oddaleniu zwierząt od wszyst-
kiego, co jest związane z umacnianiem się na jednym
miejscu na stałe. I dlatego stawiamy małwę o wiele

szczebli wyżej ponad ostrygą, bo nie jest już ona przytwierdzona do ziemi, ale w ciągu całego życia porusza się, jako wolne indywiduum, mając własny cel, odpowiednio do tego, z jakiego w danej chwili korzysta bezpieczeństwa. W najwyższym stojącym rodzie całego królestwa zwierzęcego, u kręgowców, wogóle nie ma zupełnie istot, któreby stałe były z jednym miejscem zrosnięte. A właśnie akt rozrodczy jest owym momentem, gdzie w każdym razie powinno mieć miejsce przynajmniej na krótką chwilę takie zrosnięcie się. Wobec tego zrozumiałym się staje, że to wywołuje całą masę możliwie największych niewygod, niemożliwych aktów i pozycji. Człowiek ma prawo powiedzieć o tym intermezzo wyższego życia zwierzęcego, co mówił Helmholtz o oku ludzkim, że gdyby jakiś mechanik przyniósł mu aparat z tylu brakami i z tylu zbytecznymi utrudnieniami, to pomimo wyrazów uznania, które należałyby mu się za całość wykonania, odprawiłby go jednak, jako partacza, wraz z jego dziełem. Takie „niepraktyczności“ w przyrodzie są wszak pouczające ze stanowiska wyższego. Dowodzą one, że świat zwierzęcy nie jest uplanowaną z góry mądrością twórczą, ale wynikiem nieskończonego, trudności najeżonego „stawania się samoistnego“ w okresie niezliczonych pokoleń. Atoli w życiu praktycznym mimo to odczuwa się ten chochlik niewygody.

W małtwe widzimy ruchliwość indywiduum posuniętą o krok olbrzymi w porównaniu z taką np. ostrygą; a dlatego właśnie ujawnia się podwójna, potrójna trudność prawidłowego zakorzenienia się samca w ciele samicy przy zapłodnieniu.

Właściwe narządy płciowe, gdzie odbywa się cała sprawa rozrodcza, mają małtwa-samiec i samica w głębi swego workowatego ciała związane ściśle z resztą jelit. Samiec ma tu swe jądro (jedno tylko), gdzie wytwarzane są ciałka nasienne; samica swój jajnik (również o jednej podziałce), który dostarcza niezapłod-

nionych jajek. Każdy warsztat, zarówno nasienny, jak jajowy, ma oddzielny otwór zewnętrzny, przez który wytwory mogłyby pójść w obieg; i byłoby oto najzrozumialszym, gdyby samiec podczas owych dzikich obejmowań, które były powyżej opisane, dosuwał swój otwór nasienny do żeńskiego otworu jajowego i w ten sposób dokonywał zapłodnienia.

Ale, niestety, nie odbywa się to tak prosto. Tu właśnie trzeba wziąć pod uwagę całą szaloną dziwaczność w budowie ciała mątwy. U góry ma ona prawidłową głowę, widoczną dzięki dwojgu wytrzeszczonym oczom i gębie; dokoła gęby są ramiona; resztę ciała stanowi zwykły, zzewnątrz niezróżnicowany już worek, który wydyma się ku górze, jak jeden wielki odwłok, kiedy zwierzę biega na swych nogach, głową zwrócone ku dołowi. Wzorem innych zwierząt wyższych należałoby oczekiwać, że na końcu tego workowatego ciała znajduje się drugi otwór, który służyłby jako otwór odchodowy lub płciowy. Ale od tyłu jest tu wszystko okrągłe i gładkie, jak w jabłku. Natomiast pod głowę na stronie brzusznej znajdujemy szparę, podobną do skrzelowej, jaką ma ryba w celu oddychania. Obok szpary widać jeszcze jeden osobny mały otwór, jakby otwór jakiejś rury. Zarówno szpara, jak i rura, prowadzą niezależnie od siebie wewnątrz do dziwacznego wgłębienia, które widać u brzucha, jako zewnętrzną torbę. Kiedy się ją otwiera, okazuje się, że cały worek mątwy składa się właściwie z dwóch worków: z wewnętrznego, rzeczywistego worka, stanowiącego ciało i zawierającego jelita, jądro, jajnik i t. d., i z zewnętrznego worka skórniego, który otacza worek wewnętrzny jakby płaszczem luźnym. To, co napozór wydaje się torbą, nie jest niczym innym, jak otwartą wnęką na stronie brzusznej pomiędzy istotnym workiem-ciałem a płaszczem zewnętrznym. Dopiero z tą przestrzenią przy pomocy prawdziwych otworów komunikują się przez worek wewnętrzny leżące w głębi warsztaty płciowe. Gdyby więc pod-

czas zapłodnienia nasienie męskie przy pośrednictwie jakiegoś narządu samca miało być przeniesione do miejsca, gdzie są istotnie jajka żeńskie, musiałyby nasamprzód odnośny narząd męski być wprowadzony przez wspomnianą szparę lub lejek do wielkiej owej przestrzeni pustej. Wyobrażacie sobie, że trzebaby było w tym celu olbrzymiej długości członka rozrodczego. Kiedy nastaje odpowiednia chwila, spozstrzec można, jak do tego przystępują. Ale już dość dziko wygląda to zzewnątrz.

We wspaniałych basenach na stacji zoologicznej w Neapolu, gdzie tyle trwożliwych zwierząt głębin morskich musiało ujawnić najdyskretniejsze serc swych tajemnice, spostrzegano również od czasu do czasu noc weselną mątwy.

Tuż u wewnętrznej powierzchni okna w akwarjum pochwyciły się dwa z miłości oszalałe „potwory“ i rozpoczęły—opowiada widz naoczny—taniec, że miało się wrażenie, jak gdyby szło o śmierć i życie. Zwierzęta kołyszają się nawpół swobodnie w wodzie na podobieństwo pająka, który chwieje się na pajęczynie. Tu sieć, służącą jako podparcie, stanowią niektóre z samych ramion, które przy pomocy swych przyssawek przytrzymują się z jednej strony szyby szklanej, z drugiej—kamiennej ściany basenu, i w ten sposób kołyszają się swobodnie dwa grube ciała. Pozostałymi ramionami obejmują się wzajem, tworząc nierozzerwalny kłęb, jak gdyby chodziło o skrępowanie ofiary, która ma być pożarta. Oczy błyszczą; okrągłe brzuchy, które u mątwy, jak u kameleona, mają właściwość przybierania rozmaitych barw, stają się ciemnobrunatnymi i kręcą się i nabrzmiewają tak potężnie, że woda zaczyna się burzyć okropnie. To miłosne baraszkowanie trwa przeszło godzinę. Bywa tak, że jedno z nich nieomal pęka od uścisków; to znów przylgłe ramiona odrywane bywają z taką gwałtownością, że skóra rwie się w strzępy.

Atoli w tych wszystkich okropnościach niema

nie dziwnego, akt rozrodczy bowiem u mątwy, jeżeli analizować jego szczegóły anatomiczne, czyni niemożliwe możliwym — jak mówi Ibsenowski mistrz Solness. Sprawa staje się jeszcze bardziej skomplikowaną, jeżeli się przekonywamy, że ta przestrzeń i jej otwór zewnętrzny służą zwykle swemu właścicielowi jeszcze i do innych celów. Nasamprzód pośredniczą w jego oddychaniu: do tej przestrzeni otwierają się jego skrzela, które opłókuje woda morska, przedostając się przez szparę, w ten sposób dostarczając im tlenu. Ponadto ta przestrzeń pusta służy jako niezwykle mądrze pomyślany aparat do pływania: woda przez szparę przedostaje się do wnętrza tej przestrzeni; potem szpara mocno się zaciska, a woda przez wspomnianą wyżej małą rurkę obok szpary umieszczoną wypierana bywa z siłą, i w ten sposób wytwarza się mocne uderzenie, które odpycha z szybkością strzały lekką mątwę w tył.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, jak gdyby samiec-mątwa nie tylko nie miał odpowiedniej wielkości członka płciowego, ale jak gdyby go wcale nie posiadał. Jego ciało workowate wydaje się takim samym całkowitym jabłkiem, jak u mątwy samicy: ze szparą i rurką, ale bez znaku jakiegokolwiek specjalnego narządu męskiego. Atoli spostrzegacz owej dzikiej walki małżonków doznaje wrażenia zupełnie nieoczekiwanego.

W chwili kiedy namiętność, z jaką się obejmują te zwierzęta, dosięga szczytu, samiec nagle jedną ramię wkłada w szparę, prowadzącą do pustej przestrzeni wewnątrz samicy, a ta przyjmuje w siebie całe ramię, jak gdyby chodziło o członek rozrodczy.

Jest nim tutaj ramię właśnie.

W braku takiej części ciała w zwykłym sensie po prostu jedno ze zwykłych ramion samca-mątwy jest przystosowane do przechowywania ciałek nasennych w specjalnych fałdach skóry albo wgłębieniach. W odpowiedniej chwili pogrąża się ono, niby olbrzy-

mia łyżka aptekarska, w przestrzeń pustą samicy i wylewa cenną materję życiową w odpowiednim miejscu, tam, gdzie się znajdują otwory jajnika. O ile ten akt przenosin łączy się po obu stronach z duchowym uczuciem rozkoszy zmysłowej, trudno oczywiście orzec stanowczo; to pewna tylko, że natychmiast po wprowadzeniu ramienia następuje spokój, który pozwala przypuszczać, iż wtedy następuje również uczucie wyzwolenia, uczucie przewyciężenia. Wątpić jednak należy, czy akt ten może wywoływać uczucie przyjemności, biorąc rzecz mechanicznie: wszak fakt pozostaje faktem, że ramię włazi wprost samicy przez tchawicę do wnętrza.

Nasuwa się myśl, że byłoby przynajmniej nadzwyczaj korzystnym, gdyby zamknięte drogi oddechowe możliwie prędko znów były wolne. I w tendencji do zdobycia tej korzyści tkwi bezsprzecznie właściwa przyczyna tego, że akt płciowy dosięga tu takiego napięcia, które stanowi dopiero szczyt wszystkiego, co było dotąd.

U niektórych gatunków mątw w chwili, kiedy samica ma już w swym wnętrzu ramię zapładniające, ostatecznie po prostu odrywa się u nasady i wpada, jak połknięta zdobycz, w jamę; a podczas tego okaleczony samiec idzie spokojnie swoją drogą, jak gdyby tak właśnie być musiało.

Romans miłosny, od którego włosy stają dęba, nie kończy się jeszcze na tym. Oderwana część ciała samca wije się w jamie ciała samicy, jak robak; i pierwsi spostrzegacze, pomiędzy niemi i wielki Cuvier, uważali go też w naiwności ducha za takiego robaka, który wiedzie tam w głębi jelit żywot pasorzytniczy, i nadali mu piękne miano *Hectocotylus* — robak o stu przyssawkach.

I oto teraz na dole ma przed sobą ów *Hectocotylus* do rozporządzenia żeński otwór jajowodowy i w chwilach wolnych może rozpocząć pracę zapłodnienia. Ma się wrażenie, jak gdyby on wyobra-

żał we wnętrzu samicy małą armatkę, która automatycznie wydaje strzał za strzałem; jest to niby mitraljeza miłosa, którą samiec tylko nastawia jako dobry mechanik, a potem pozostawia ją sobie samej. I w samej rzeczy, podobnie jak spólczesna armata wyrzuca nie tylko zwyczajne kule żelazne, ale i eksplodujące szrapnele, które z każdego strzału czynią deszcz ulewny niszczących pocisków żelaznych, tak samo i owa erotyczna armata Hectocotylusa wyrzuca nie tylko poszczególne ciała nasienne, ale istne kartacze nasienne — podłużne twory, wypełnione ciałkami nasienne.

W chwili kiedy taki kartacz nasienny uderza, rozwiera się z przodu wysoce artystycznie utworzone zamknięcie, i ładunek nasienia dzięki elastyczności ścianek wybuchowo bywa wyrzucany.

Takiej świadomej celu kanonadzie przy pomocy szrapneli nie może się oczywiście oprzeć żadne dojrzale jajko żeńskie: pomimo nieskończonych manowców, jakimi szła cała sprawa, i tu wreszcie wypełnia się wielkie misterjum, którego świadkami bywaliśmy teraz tak często; owo *Mysterium magnum* przyrody, do którego jednak mimo najniemożliwszych powikłań prowadzą w końcu wszystkie drogi; misterjum, dzięki któremu indywiduum przeskakuje do gatunku i wkra-
cza w życie tysięcy.

Oto obraz zupełnie nowy. Ponad wonnym kobiercem swawolą różnobarwne motyle, podobne do okwiatów, co w górę się uniosły i dzięki sile zwierzęcej poruszają się swobodnie w przestworzu niebieskim. A pod cienistym sklepieniem lasu, w tajemniczym półmroku starych sosen, mrowie małych tworów o dziwnie delikatnej budowie; tworów, co mieszkają w miastach, bór swój przerzynają ulicami, posiadają coś w rodzaju mowy i moralności, żyją nie pojedynczo, ale w trwałej spólnosci państwowej, prowadzą społem wojny; tworów, co wzniosły się do tego stopnia kultury, na którym istnieje hodowla bydła i rolnictwo...

Majaczy nam się coś, jak gdybyśmy się zbliżali do owej wielkiej smugi świetlanej w ciemnym obłoku, do miejsca, gdzie zwierzę staje się człowiekiem. Ale to nie człowiek jeszcze. Nawet nie kroczymy dalej po tej linii, na której przedłużeniu człowiek się wyłonił. Idziemy obecnie wzdłuż owego trzeciego korytarza bocznego w górnej kondygnacji królestwa zwierzęcego, w tej najwyższej kondygnacji, która wyłoniła się obok ostatniej, stanowiącej szczyt wszystkiego, szczyt, gdzie wyrosnąć miał człowiek — wyłoniła się zwolna w nieskończonym szeregu lat, w ciągu których ta stara planeta-ziemia istnieje i życie na swej powierzchni posiada.

Mam na myśli linię, kończącą się m r ó w k ą.

Gdyby pominąć na ziemi człowieka i ów ściślejszy łańcuch zwierzęcy, który do niego należy, jako to: rybę, salamandrę, jaszczurkę, ptaka oraz niższe i średnie zwierzę ssące, to prawdopodobnie okazałoby się wtedy, że mrówka stanowi pod względem intelektu szczyt wszystkiego, co jest na ziemi. Można byłoby doskonale wyobrazić sobie planetę, gdzieby istniał taki właśnie stan rzeczy. Cały ład stały tej planety przez pracę lat milionów wyobrazić sobie przekształconym w krainę kulturalną: olbrzymie miasta, najeżone kopułami i budowlami o najrozmaitszej po-

staci; sieć prostolinijnych dróg, rozchodzących się promienisto; aż pod widnokrąg sięgają nieskończone jednostajne pola, zasiane roślinami pewnej określonej hodowli, poprzerzynane tylko miejscami przez ogrodzenia, gdzie pasie się dziwaczne jakieś bydło i w odpowiednim czasie bywa dojone. A panami tej planety kulturalnej wyobrazić sobie nie dwunożnych pionowo trzymających się ludzi, ale twory o wiele mniejsze, o sześciu nogach i dziwnie poczęłkowanym ciele, mianowicie mrówki; mrówki tego najwyższego, dziś jeszcze istniejącego u nas gatunku, które, żyjąc w związkach społecznych z szeroko zakreśloną działalnością, budują wspaniałe budowle, umieją hodować pewne miłe dla nich gatunki traw i sprzyjać ich rozmnażaniu, umieją więzić mszyce, niby krowy, ochraniać je i przez dojenie pozbawiać je soku cukrowego; mrówki, którym niczego nie było trzeba poza absolutnie wolną konkurencją i poza czasem, potrzebnym po to, ażeby całą swą planetę ujarzmić, jak to od kilku lat tysiący począł czynić energicznie człowiek kulturalny.

Znasz mrówkę, choć nie wiesz może, że stoi ona na tak wysokim stopniu rozwoju; znasz również i motyla. Zarówno mrówka, jak i motyl, są owadami. Są to zwierzęta, których ciało jest pokarbowane, podzielone na kilka części oddzielnych. Do owadów, prócz mrówki i motyla, należą zwierzęta, otaczające cię na każdym kroku. Oto mucha siadła ci na nosie—to również owad. Owadem jest świerszcz, co brzęczy u komina twego, zarówno jak i upiorny czarny karaczan, co nocą plądruje ci w spiżarni; owadem jest pchła wierna, której nic ludzkiego obcym nie jest, i pluskwa, co chciałaby dzielić z tobą łożę. Owadami są też mszyce, co wysysają soki z kwiatów twych u okna, i ładniutka czerwona biedronka, która zjada te mszyce—a jednak, jako rzekomego „wroga kwiatów“, miążdżysz ją bezlitośnie znakiem krzyża, ruchem, którym ludzie witają swych dobroczyńców. Jako pszczelarz, hodujesz owady w ulu. Owadem jest

również szarańcza zielona o barwie trawy, stanowiąca co najwyżej postrach dla rozpieszczonej panienki, tak samo jak szerszeń, o którym mówią, że para ich wystarczy, ażeby człowieka uczynić niezdolnym do walki. I grube termity, co w krajach podzwrotnikowych wznoszą swe grody na wysokość 5 metrów — to również owady; i delikatna ważka, co, jak duch błękitny, towarzyszy ci w przejażdżce łódką po stawie, obramowanym kwiatami — to owad tak samo, jak i straszna filoksera, co zagraża twej butelce, umieszczonej troskliwie w cichym kąciuku.

Wszystkie te owady bardzo podobne są do siebie pod względem budowy wewnętrznej, jakby na jedno stworzone kopyto. Atoli przyznać trzeba, że kopyto to prawie zupełnie odmienne jest od tego, według którego zbudowana jest twoja drogocenna osoba.

Człowiek jest t. zw. zwierzęciem kręgowym i przedstawia typ zupełnie inny, niż owad. Najmniejsze znaczenie ma tu wielkość. Nietoperz, który tak samo, jak człowiek, jest kręgowcem najczystszej wody, przeważnie nie jest większy od olbrzyma w rodzie motylim, owego chińskiego przędnika atlasu o barwie cynamonu, pokrewnego jedwabnikowi i mającego 23 centymetry długości. Gdyby wyobrazić sobie owad tej wielkości nawet, co człowiek, to jednak odnaleźlibyśmy w nim zasadnicze rysy jego budowy.

Człowiek ma wewnątrz ciała swego mocne rusztowanie kostne, które podtrzymuje części miękkie, niby staluga drzewna w miękkiej figurze glinianej. Mięśnie przyczepiają się do zewnętrznych części kości. I wszędzie widzimy to samo: zarówno u nietoperza, jak u psa, kota, koguta, spacerującego po podwórzu, u jaszczurki, łącej się po błocie ogrodowym, u karpia, pływającego w sadzawce. Wszystko to są narówni z człowiekiem kręgowce, nazwane tak od najważniejszej części owego wewnętrznego szkieletu — od kręgośłupa.

Ale owad nie posiada nawet najmniejszego śladu

takiego wewnętrznego szkieletu kostnego. Natomiast cała jego zwierzchnia powłoka skórna odznacza się specjalną jakąś trwałością, dla której trzeba było wyszukać wyraz: „szkielet zewnętrzny“ lub „szkielet skórny“. Tam osadza się pewna niezniszczalna substancja, coś w rodzaju drzewa, mianowicie chityna; ten pancerz chitynowy wraz z powłoką skórną wdraża się nawet w głąb, w system rurkowy wewnątrz ciała owadu, i nadaje całemu ciału znaczną moc, którą stwierdzić można i wtedy nawet, kiedy owa powłoka chitynowa nie wydaje się nam bezpośrednio „twardą“ na dotyk.

Komar jest dla nas prawie wzorem nadzwyczajnej miękkości, a mimo to i on powleczonej jest takim szkieletem-skórą, dość mocnym względnie do małych rozmiarów samego owadu.

A dalej, człowiek posiada rdzeń kręgowy, który poza gardzielą bezpośrednio przechodzi w mózg. U owadu odpowiedni sznur rdzeniowy leży po stronie brzusznej: jest tu więc rdzeń brzuszny zamiast kręgowego, rdzeń, który od przodu otacza, niby pętlica, otwór gardzieli i dopiero powyżej tworzy coś w rodzaju mózgu. U zwierzęcia kręgowego serce leży w piersi od przodu, kiedy natomiast u owadu widzimy prawidłowe serce po stronie przeciwnej. Jeżeli nadto zważymy, że my, ludzie, mamy tylko cztery kończyny (żaden ssak ani ptak ani gad nie posiada więcej kończyn), owad zaś zawsze ma kończyn sześć, mianowicie 3 pary prawidłowych nóg, to będziemy musieli przyznać, że naogół pomiędzy człowiekiem a owadem istnieje różnica olbrzymia, różnica, która po prostu wyłącza myśl o tym, że człowiek mógłby kiedykolwiek powstać z owadu, chociażby ten był nawet tak mądry, jak mrówka (posiadająca olbrzymi mózg). Z mrówki powstaćby mogła zawsze tylko „nadmówka“, która posiadałaby może mózg tak subtelny, jak ludzki, ale skądinąd miałaby szkielet-powłokę, rdzeń brzuszny i serce od strony pleców; nato-

miast mała ze swym szkieletem wewnętrznym, rdzeniem kręgowym i sercem już zupełnie zbliżała się do człowieka i potrzebowała tylko jeszcze dzielniejszego mózgu, ażeby się stać w rzeczy samej człowiekiem.

Natomiast istnieje jak najściślejszy związek pomiędzy owadami a innymi zupełnie grupami zwierzęcymi.

Siedzisz przy poważnej pracy — i nagle spoglądasz w górę: z sufitu twojej pracowni spuszczają się ku tobie wesoło dwa zwierzątka. Spuszczają się po długich nitkach i nie troszczą się ani o Boga, ani o ludzi, zajęte widocznie bardzo poważną pracą. Przez sekundę są razem — a oto znowu poruszają się osobno, niby dwa wahadła. Nagle jedno z nich, jak strzała, mknie ku górze, przyczym ma się wrażenie, jak gdyby połykało ono własną nitkę i w ten sposób unosiło się z brzękiem pionowo ku sufitowi. Po pewnym czasie i drugie idzie w ślady towarzysza.

Mamy tu parę pajaków, uwikłanych w grę miłosną.

Pająk nie jest owadem. Pozwala sobie mieć 8 nóg zamiast 6-ciu i pozatym pod innymi względami jest wybitnym indywidualistą. Ale jeżeli mierzyć go miarą kręgowca, to ze względu na jego rdzeń brzuszny, na serce, umieszczone na plecach, i na szkielet chitynowy tak zupełnie przypomina typ owadowy, że trzeba go co najmniej pomieścić bardzo blisko owadów. To samo dotyczy zwierzęcia, które u nas jest nieszkodliwe, ale w krajach podzwrotnikowych dość często z natrętną uprzejmością spada z wysokości sufitu, wynoszącej więcej, niż ćwierć metra, prosto w jadło, spożywane przez podróżnika, a pozatym kąsa jeszcze trująco — mówimy o stonogu. Dalej, to samo powiedzieć można o skorpionie, dostatecznie chyba znanym, i wreszcie o jednym z największych humorystów pośród zwierząt — o raku.

Rak należy do tworów, z którymi profan najmniej radzić sobie umie pod względem systematyki zoologicznej. Uważa się go za coś samoistnego. I w rzeczy samej pod wielu względami jest on też tak samodzielny i jęgomościem, że można byłoby nie mieć nic przeciwko temu, ażeby tę godność swą zachował. Atoli z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że i rak ma najważniejsze cechy wspólne z owadami, pająkiem, skorpjonem i stonogiem. Jego wodny sposób życia, pozornie tylko wyłączający inne sposoby, traci swe znaczenie, skoro uprzytomnimy sobie, że zwierzęta rakowate odnaleźć można nie tylko w źródłach, na skrajach ogrodów ludzkich, ale również poza beczkami i pakami w wilgotnych piwnicach. Kryje się tu stary, wierny przyjaciel domu o niepozornej szarej barwie, nie przejawiający żadnej chęci zapoznawania się z człowiekiem przy świetle. Mowa tu o t. zw. ośliczce piwnicznej. Nie jest to ani nic lepszego, ani nic gorszego od raka-karzełka, co zabłąkał się na ląd i z trudnością tu oddycha; należy on do najdziwniejszych zwierzątek w naszych domach, choć mało nań zwracamy uwagi. Nie trudno nam będzie ośliczkę piwniczną zaliczyć do zwierząt, zbliżonych do owadów albo przynajmniej do stonogów. To też poprobować możemy to samo uczynić z rakiem, który nadto szczególnie wyraźnie wyświeśla pojęcie szkieletu-skóry u tych zwierząt: u raka powłoka chitynowa w samej rzeczy dzięki złogom węglanu wapnia nabrała takiej twardości „kostnej“, że u wielkich homarów potrzeba użyć toporka, ażeby dostać się do wewnętrznych części miękkich. Pozatym u tych samych właśnie homarów cząstki chitynowe sięgają aż do żołądka; powiedziećby można, że te zwierzęta posiadają jeszcze szkielet w samym żołądku, dzięki czemu przełknięty pokarm podlega wewnątrz jeszcze raz rozgryzaniu, jakby przy pomocy zębów.

Ponieważ owady, pająki, skorpjon, stonóg i rak wykazują między sobą tak dokładne podobieństwo

w budowie, połączono je wszystkie w systematyce zwierzęcej w jeden ród czyli w jedno grono stawonogów, tak samo jak pod ogólną nazwą kręgowców łączymy ssaki, ptaki, gady, minogi i ryby. Owady stanowią przytym najwyższą latorośl rodu, raki zaś—najniższą. Nie należy sobie jednak wyobrażać, że wszystkie główne grupy danego rodu szeregowały się historycznie jedna za drugą i w prostej linii jedna z drugiej się rozwijały. Naogół będziemy musieli bezsprzecznie uznać, że i stawonogi wywodzą się z robaków; owa gromada robaków-pierścienic, do której należy nasza dżdżownica i pijawka, i dziś nawet jeszcze stoi tak blisko stawonogów, że niektórzy badacze z dużą słuszością łączą je po prostu w jedną spólną grupę główną zwierząt „członowatych“. Z takich robaków rozwinęły się może już w odległej przeszłości raki, a potem już niezależnie powstały stonogi, które też w postaci swej zewnętrznej wykazują stanowczo pewne cechy podobieństwa do robaków.

Bezpośrednia bardzo pouczająca postać przejściowa od robaka do stonoga żyje jeszcze teraz w pasie podzwrotnikowym; jest to *Peripatus*. Ze stonogów rozwinęły się prawdopodobnie, znowu jako równoległe wzajem gałęzie, skorpjony (niedźwiadki), pająki i właściwe owady.

To, co powiedzieliśmy dotąd, niechaj służy nam jako nić Arjadny pośród labiryntu najdziwaczniejszych postaci zwierzęcych, jaki przejść musimy teraz na drodze naszych poszukiwań miłosnych.

Zaczynamy od dołu—od raka.

Przypuszczam, że znacie cztery gatunki raków i umiecie je odróżniać. A więc rak rzeczny, po prostu „rak“, ten czerwony bohater naszych biesiad od maja do sierpnia; dalej homar, który właściwie nie jest niczym innym, jak bardzo powiększonym rakiem rzeczny morza; t. zw. krab, ów ładniutki prawie przezroczysty elf rakowaty, który jednak smakoszowi dostarcza swym ogonem tak solidnego kąska, i wreszcie

okrągły rak kieszonkowy, krab właściwy, który ożywia wszystkie wybrzeża morskie jako zabawny djabłek i stanowi przeważnie strawę ludową, brak go zaś w handlach delikatesów.

Cztery gatunki. Zgodnie z nauką jest ich mniej więcej osiem tysięcy. I wszystkie one uprawiają miłość lub też — jeżeli wymarły teraz — uprawiały ją niegdyś w zamierzchłej przeszłości w zapomnianych źródłach i zatokach morskich...

Zasadnicza melodia miłości raków, jak wogóle miłości wszystkich zwierząt członowatych aż do najwyżej uorganizowanych owadów, jest oczywiście ta sama, jaką spotykamy wszędzie prawie. Mamy tu miłość dwupłciową: samca i samicę. Samiec posiada jądro, gdzie wytwarza się męskie nasienie z komórkami nasiennymi, samica zaś — jajnik, gdzie tworzą się komórki jajowe. Przy zapłodnieniu nasienie styka się z jajeczkiem, a z zapłodnionego jajka powstaje nowe stworzenie. Ten ciągle powtarzający się szablon nuży po prostu; zdawałoby się, że znudzić się może wreszcie ten odwieczny motyw zasadniczy. Atoli przyroda wyczarowuje z tego prostego tematu wciąż nowe cuda świetlane. Osiem tysięcy gatunków! Gdyby można było zbadać w każdym z nich najbarwniejszą, najbajeczniejszą część życia — proces rozmnażania się, otrzymałoby się nie tysiąc i jedną bajkę, a osiem tysięcy bajek tak zajmujących, że żaden sułtan nie mógłby zasnąć, słuchając ich.

I jeszcze jedna bardzo ważna rzecz przybývá, coś, co odtąd, w miarę jak posuwamy się dalej, staje się już cechą ogólną wszystkich zwierząt i dotyczy nie tylko raka.

Chodzi o to, że wzruszenia miłosne indywiduów, biorących udział w zapłodnieniu, nabierają większego ożywienia w sensie t. zw. „duchowości“. Rak lub nawet mrówka — to istoty zupełnie inaczej reagujące na wzruszenia miłosne, niż pijawka lub jakiś tasemiec. Byliśmy już świadkami przebudzenia się takich

uczuc u mątwy. Miłość staje się teraz, słowem, coraz bardziej sprawą mózgową.

W życiu ludzkim powiada się wprawdzie, że mózg i szal miłosny wzajem się wyłączają, że miłość czyni człowieka głupim i jest w istocie upojeniem, pod którego wpływem słabną najlepsze zdolności ludzkie. Ale te sentencje mają najwyżej wartość w stosunku do człowieka, w którym świadoma władza nad wszystkim i ślepy popęd naturalny od paru tysięcy lat zmagają się niejako z sobą; a nawet i w stosunku do człowieka wszystko to właściwie ma znaczenie jednostronne i połowiczne.

Atoli w całym biegu rozwoju zwierzęcego mózg i narządy płciowe znajdują się do siebie w zupełnie nierozzerwalnym i wysoce płodnym w następstwa stosunku. Miłości właśnie potrzeba w pierwszym rzędzie mózgu; i naodwrot, niema żadnej wątpliwości, że w miarę jak życie płciowe u zwierząt wraz z wszystkim, co tej strony życia dotyczy (opieka nad potomstwem i t. d.), staje się bardziej ożywionym, dzielniejszym i przenikliwszym, tym widoczniej kształtuje się „mózg“ jako jednolita instancja kierownicza dla wszystkich tych czynności, instancja najwyższa, która na najrozmaitsze zapotrzebowania zzewnątrz płynące za każdym razem reaguje możliwie najbardziej celowo.

Zwierzęta mózgowe są zarazem zwierzętami miłości w sensie subtelniejszym. Jest to twierdzenie niezbite.

A więc teraz, kiedy wznosimy się do sfer, gdzie mózg zaczyna rosnąć w potęgę, oczekiwać wypada całej masy nowych, bardziej interesujących wzruszeń miłosnych.

Nie można znaleźć bardziej odpowiedniego i miłego przykładu dla zobrazowania życia miłosnego raków, jak stworzenie, które na wyżynie swego istnienia jest miłością samą. Przyznać trzeba, że dzieje

się to w formie, która nie każdemu przypaść może do gustu.

Mówimy o raku korzeniowym.

Należy on do tych zwierząt, które trudno tak po prostu opisać; trzeba się weń poniekąd „wmyślić“.

A więc wyobraźmy sobie nasamprzód coś w rodzaju czerwonej kiełbaski frankfurckiej bez członków i kończyn, opatrzonej tylko dziurą. Wewnątrz niema ani jelit, ani serca — są tylko jajniki; dziura wydaje się żeńskim otworem płciowym.

Ta komiczna kiełbaska płciowa nie pływa bynajmniej sama po morzu. Ażeby ją upolować, należy nasamprzód zorganizować połów pewnych raczków najpospolitszych, np. zwykłych krabów nadbrzeżnych u morza Północnego. U spodu tego lub innego kraba zauważyć wtedy można naszą czerwoną kiełbaskę-straszydło, uczepioną u krótkiego pod brzuch zawiniętego ogonka (to, co zazwyczaj zwie się ogonem, jest właściwie odwłokiem raka). Wygląda to, jak gdyby z ciała kraba wyrastał jakiś specjalny narząd płciowy żeński. Atoli w rzeczy samej krab posiada swój własny narząd płciowy w głębi swego ciała, mianowicie jeden jedyny, męski lub żeński, zgodnie z obowiązującym tu porządkiem. Kiełbaska zewnętrzna jest stanowczo czymś obcym.

Przyglądamy się, jak mocno uczepiła się ona kraba. I oto nastaje chwila pod każdym względem obrzydliwa.

Z jednego boku kiełbasy wdraża się w ciało kraba splot jakiś, z wyglądu zupełnie podobny do korzenia roślinnego. Korzeń wplata się głęboko w ciemnie brzucha krabowego, docierając aż do jelit i wątroby, i ssie soki kraba zupełnie tak samo, jak to widzieliśmy u tasiemca. Wprawdzie przez to oczywiście odżywianie kraba samego cierpi; ale, jak się zdaje, ten korzeń niebezpieczny, który niby dziób orła pro-

meteuszowego tkwi w wątrobie kraba, nie zagraża poważnie jego życiu, tak samo jak nie zagraża życiu większości ludzi ich olbrzymi spółbieszczadnik—soliter.

Kiełbaska wraz z owym splotem żarłocznym — wszystko to razem tworzy raka korzeniowego.

Jest to więc rak zupełnie taki sam, jak krab, tylko że pierwszy wiedzie na drugim żywot pasorzytniczy. Dla porównania wyobraźmy sobie człowieka, w którego brzuch wgryzł się mocno zębami drugi mały człowieczek. Wyżarł dziurę w dużym brzuchu ludzkim i owinał się wokoło jelit olbrzymim językiem, którym żłapie ożywcza krew amfitrjona. Ani własnego żołądka, ani jelit, wogóle jakichkolwiek własnych narządów dla odżywiania nie potrzebuje ów człowieczek-pasorzyt i nie posiada też ich w rzeczy samej. We własnym workowatym ciele ma tylko własny narząd płciowy.

W powyższym obrazie porównawczym wspominałem o „języku“. W rzeczywistości okropny splot, wpuszczony przez sakkulinę (nazwa łacińska naszego raka) w biednego kraba nadmorskiego, niby rura, która niestrudzenie w ciągu całego życia wciąga pożywienie, stanowi wprawdzie kanał odżywczy sakkuliny, nie zaś język właściwy. Szlachetne to stworzenie tak samo, jak nie ma właściwego żołądka, nie ma również i prawidłowego otworu ust ani też języka. Ażeby zrozumieć, jak ów korzeń żarłoczny powstaje, należy przyjrzeć się, do jakiej szczuplejszej kategorii raków zaliczyć wypada raka z korzeniem, a wtedy wyjaśnia się również, dlaczego można go wogóle uważać za rzeczywistego raka w tych jego stadjach, kiedy podobny jest do kiełbaski i kiedy posiada już korzeń.

Rak z korzeniem należy do tej grupy rakowatych, którą oznacza się mianem wąsonogów. W młodości swej niełatwo dają się one odróżnić od innych młodocianych raczków. Pływają wesoło po otwartym morzu. Poznać wprawdzie, że nie są jeszcze dojrzałe,

że są jeszcze czymś w rodzaju poczwarki; ale wszystko w tej poczwarce przemawia za tym, że rozwinie się z niej prawdziwy rak. Aliści pewnego dnia staje się z niemi coś niezwykłego.

Młody, dotąd tak ożywiony rak-wąsonóg wyszukuje sobie odpowiednie miejsce, momentalnie staje na głowie i ze specjalnego gruczołu, umieszczonego na mackach u głowy, z t. zw. gruczołu cementowego wypuszcza mocny kit; przy pomocy tego kitu przyklepia się w literalnym znaczeniu do podłoża głową na dół, ażeby już odtąd stale pozostać na raz obranym miejscu na podobieństwo rośliny. Po większej części podłoże to stanowi kawał drzewa lub koral, albo też po prostu, nie krępując się, obiera sobie taki raczek miejsce stałego zamieszkania na grubej skórze żywego wieloryba. W wielu wypadkach miejsce, gdzie wydziela się kit, wydaje się wydłużonym w postaci łodygi, powstaje tedy coś w rodzaju grubego pączka kwiatowego, z którego szpary (stanowiącej w istocie szparę w otoczce stojącego na głowie i tak przyklejonego raczka) wyłazi cały pęk nóżek rakowych, powyginanych na podobieństwo wąsów, niby w rozkwitającym kwiecie wystające nazewnątrz pylniki.

Było niezgodną łamigłówką wykryć w tym umocowanym wąsonogu raka.

Zdawna znano cały ten twór w jego stadium końcowym, ale nawet nie przypuszczano, czym on jest właściwie.

W naiwnej ludowej zoologii powstał, Bóg jeden raczy wiedzieć, skąd, i tkwi dotąd uporczywie pogląd, że owe mistyczne pączki z czerwoną szypułą i niebieską koroną, zwieszające się w grubych wiązankach na deskach rozbitych przez burzę okrętów— to jakieś jaja ptasie tajemniczego gatunku, z których dzięki samoródtwu powstają gęsi z obwódka na szyi. Wydaje się, jakby te dziwaczne zwierzęta do worka swego schowały i rozum ludzki. Atoli trzeźwe badania wykryły w nich wreszcie raka, i tylko nazwa

„muszla kacza“ zachowała dawny mistyczny charakter.

I nasz rak z korzeniem stanowi tylko poszczególny wypadek tego żywota wąsonogów z opuszczoną na dół głową. I on pływa sobie po otwartym morzu jako prawidłowa poczwarka raka, z której równie dobrze rozwinąćby się mógł maluchny raczek morski. Ale pewnego dnia nastaje i dla niego chwila krytyczna—staje na głowie. Tylko zamiast deski okrętowej lub grubej skóry starego wieloryba, nie ustępującej nazbyt drzewu co do twardości, szuka sobie nasz rak z korzeniem bliższego krewniaka: kraba. Nie tylko o przyrośnięcie mu chodzi. Zamiast przylepić się przy pomocy cementu, wchodzi krabowi—a wybiera sobie stale jeszcze bardzo młodego—pod ogon i wstępuje z nim w najściślejszy, okropności pełen związek. Pograża mianowicie we wnętrzu kraba coś w rodzaju pustej szypuły i przez tę szypułę sam później niejako wślizguje się do wnętrza, wydobywszy się ze swej dotychczasowej otoczki.

Wyobraźcie sobie człowieka, który splata się z kimś drugim w serdecznym pocałunku, a potem sam wyłazi ze skóry i jednym susem wszystkich wślizguje się w usta tego drugiego i tam znika. Nie tak łatwo sobie to wyobrazić—nieprawdaż? Proszę przynajmniej o dobre chęci w tym kierunku.

Dotarszy do wnętrza, nasz mały złośliwy korzeniowiec wytwarza ów grozą przejmujący splot, o którym mówiliśmy już poprzednio: po prostu „opajęcza“ jelita swego mimowolnego gospodarza i tam jak najlepiej się najada. Dwa lata prawie trwa takie życie wewnętrzne. Właściwych narządów do tego mu nie potrzeba. Krab zdobywa sobie pożywienie, żre, trawi i w ten sposób z trudem wytwarza w sobie soki odżywcze, które niejako przelewa w swego gościa. Krab poluje, żre i trawi i za niego już. I tylko jedna jedyna pozostaje mu czynność samodzielna: kochanie.

To nie odbywa się wewnątrz kraba. Wprawdzie

nasz raczek posiada narządy płciowe, nawet zrazu ma załączki dlu obu rodzajów: męskiego i żeńskiego. Atoli znacie przecież stare niewzruszone prawo, które głosi: „niema samozapłodniania“. I w rzeczy samej narząd męski zanika w nim jeszcze na długo przed okresem jakiegokolwiek możliwości korzystania z tego narządu, a w rozkwicie ery miłosnej czuje on w sobie wyłącznie przynależność do rodu żeńskiego.

Cóż czynić? Pcha się teraz znowu w tył i wysuwa większą część swego bezkształtnego ciała z wnętrza kraba. Wewnątrz pozostaje tylko owo ssące przędziwo korzeniaste, a zzewnątrz ukazuje się teraz owa zabawna czerwona kiełbasa frankfurcka. Ona przechowuje w swym wnętrzu jego jajniki, i w niej znajduje się żeński otwór płciowy.

Ale oto następuje się nowe pytanie: skąd wziąć samca? Dotychczas rozmyślnie nie mówiliśmy nic o samcu rakiem-korzeniowca.

Jeżeli wyobrazić go sobie również przyczepionym do odwłoka jakiegoś kraba, to kwestja staje się rzeczywiście bardzo poważną: jak też teraz jeden pasoryt ma zetknąć się z drugim, ażeby dokonało się zapłodnienie? Tak, musiałyby nasamprzód do aktu płciowego przystąpić dwa kraby, i podczas kiedy oba duże ruchome stworzenia dokonywałyby aktu miłosnego, musiałyby również uczynić to samo owe małe, uczone od tyłu stworzonka. Dobrze pomyślany sposób. Ale na przeszkodzie staje nowe nieszczęście. Krab, obarczony rakiem-korzeniowcem, nie ginie wprawdzie, jakeśmy to już zaznaczyli, ale jednak jego chęć do życia oraz siła życiowa zostaje w tym stopniu upośledzona, że bynajmniej nie zwykł on uprawiać zagonu miłości. I sytuacja byłaby ostatecznie rozpaczliwa, gdyby właśnie nie ratowała jej ogólna dziwaczność tych wąsonogów, z której jako logiczny wniosek poszczególny wypłynąć może ów ratunek.

Wąsonogi wraz ze swym najbardziej leniwym bratem, rakiem-korzeniowcem, stanowią bajeczną ja-

kaś rzeszę, która nie nadarmo przez najlepszą część życia swego ma głowę zwróconą ku dołowi. A ich życie miłosne jest w nich najbardziej podziwu godnym. Trudno byłoby temu dać wiarę, gdyby podstawy naszych wiadomości w tym względzie nie dał stary Darwin, tak nieskończenie ostrożny spostrzegacz.

Naogół wąsonogi są obojniakami, jak to również, przynajmniej w zarodku, widać u korzeniowca. Pomyslećby można, że u tych zwierząt, przyrośniętych na podobieństwo dojrzałych osobników w rodzaju muszel-kaczek, proces zapłodnienia odbywa się, jak u ostryg: plemniki i jaja wydostają się naprzemian i odszukują się wzajem w wodzie albo pod rozwartą muszlą. Ale najwidoczniej ta metoda nie była wystarczająca. Zaniepoznavania doboru naturalnego przez samozapłodnienie należało oczywiście również unikać, o ile się dało. I oto ukształtował się następujący przepyszny wzór erotyczny:

W całym szeregu wąsonogich raków istnieją obok podwójno-płciowych obojniaków jeszcze specjalne samce, które wytwarzają w y ł ą c z n i e nasienie. Samce (podobnie jak u owej sławetnej Bonellii) są maleńkie, tak maleńkie w stosunku do obojniaków, że mogą się na nich ulokować jako pasorzyty, niby coś w rodzaju wszy rybich. „Siedzą na obojniakach“ — wyraża się o tym obrazowo przyrodnik. Co dotyczy budowy, to często składają się one prawie wyłącznie z samodzielnie żyjącego narządu płciowego męskiego; są to męskie istoty erotyczne w najśmielszym znaczeniu tego wyrazu. Niekiedy na dużym osobniku-obojniaku sadowi się nie jeden tylko, ale dwa i więcej takich karzełków, w trosce serdecznej, ażeby tego starczego brata uchronić od niebezpieczeństw kazi-rodztwa, które dojść może wreszcie do wyłącznego samogwałtu.

Zachowanie się tego brata obojniaka, który jednocześnie jest gospodarzem, tragarzem i towarzyszem pod względem płciowym swych usługowych małżonków, jest rozmaite u różnych gatunków. Albo wytwarza on w dalszym ciągu jaja i plemniki i po prostu zezwala tylko na to, ażeby samce przez otwór w twardej pokrywie jego ciała przysparzały jeszcze samodzielnie trochę obcego nasienia męskiego i w ten sposób zmniejszały przynajmniej w znacznym stopniu niebezpieczeństwo kazirodztwa—w tym wypadku samce noszą nazwę „samców dodatkowych, kompletujących“; albo też zdaje sobie sprawę z tego, co mu przez otwór w dachu jego domostwa wspaniałomyślnie bywa dostarczane, i wtedy do połowy zmniejsza swą produkcję—przynajmniej co dotyczy nasienia.

Wszystkie jego jaja korzystają teraz z zapłodnienia przez obcych karzełków. A że bezczynny narząd nasienny dużego obojniaka wkrótce zupełnie zanika, więc pierwotny obojniak właściwie staje się rzeczywistą samicą, olbrzymią samicą z głową w dół opuszczoną, samicą, którą, na podobieństwo wszy, obsiedli wielbiciele.

Zupełnie tak samo sprawa ma się i u żeńskiego raka-korzeniowca.

U wejścia do wnętrza jego ciała, mającego kształt czerwonej kiełbaski frankfurckiej, lokuje się 3—6 karzełków-samców i zapładnia mu jaja pod koniec drugiego roku jego interesującego i pracowitego żywota. Z tych jaj—i tu rozpoczyna się jeszcze jedna osobliwość—nasamprzód rozwija się pokolenie młodych, które wyłącznie wyrasta na prawdziwych żeńskich raków-korzeniowców. Na wiosnę i lato roku następnego jeszcze kilka razy składane bywają jaja, o których nie wiadomo napewno, czy wogóle są zapłodnione, czy nie. A z tych późniejszych jaj rozwijają się teraz wyłącznie owe karzełki-samce, nie osadzone na jednym miejscu—jest to tajemnicza zmiana, której przyczyny do dziś jeszcze nie są wyjaśnione. W tym

względnie poczynimy jeszcze niektóre uwagi poniżej, kiedy będzie mowa o pszczołach.

Dopiero na zimę w czwartym roku życia swego obumiera wreszcie z powodu starczej słabości matka-korzeniówka i spada ze swego kraba w wielki grób-morze.

Miły szmat życia zwierzęcego — nieprawdaż?

Nowy obraz... Po tragedji, rozgrywającej się we wnętrzu kraba, mamy oto teraz komedję wewnętrzną, bardziej niewinną, ale nie mniej romantyczną, o której opowiemy obszerniej, posłużyć bowiem może jako przykład, w jakie awanturnicze perypetje zawikłać się może akt rozrodczy, choć pozornie, zdawałoby się, przebiega zupełnie prosto.

Dorosły rak-korzeniowiec złączony jest, jak to widzieliśmy, z krabem pod postacią czerwonej kiełbasy i wżerającego się korzeniowego splotu i otoczony rojem drobniotkich samców dodatkowych. Ale teraz w tę kiełbasę znowu wpija się często jeszcze trzeci rak.

I to jest pasorzyt. I on wżera się jakby gąbką (tym razem jest to prawdziwa głowa) w raka-korzeniowca i znowu wysysa z niego tę krew odżywczą, której ten pozbawił kraba zdradnie. I w nim zanikają wszystkie narządy; wisi on na zewnętrznej powierzchni raka-korzeniowca, niby na jednej kiełbasce druga mniejsza, również nie posiadająca wewnątrz nic prócz jajników. A na nim znów siedzi wreszcie jego własny samiec dodatkowy, mający widoczną jeszcze postać raka.

Czy nie wydaje się wam, że macie przed sobą piramidę zwierzęcą, w której rodziny i pokolenia ugrupowane są jedne nad drugimi w trzy i więcej kondygnacji, jak ludzkie mieszkania w wielkomiejskiej kamienicy — koszarach?

Ten pasorzyt trzeciego rzędu, o którym teraz mówimy, sam nie należy już jednak do raków-wąsonogów, ale do grupy owych dziwnych raków-stonogów, o których była już mowa powyżej i do których należy nasz poczciwy stonóg.

O nim, jeżeli pozwolicie, pomówię tu obszerniej. Stonóg, ów „rak lądowy“, jak bywają brzmieć jego nazwa racjonalna, nie pozwala sobie samemu na żadne wybryki erotyczne w sensie obojactwa i uzu-

pełniających kadrów samców, jak to widzieliśmy u wąsonogów. Pozostaje on wytrwale przy starej zasadzie: samiec-samica, prawidłowe zapłodnienie. Atoli w tym filisterskim, że tak powiemy, zakresie swoim ma to dziwaczne stworzenie swoje wysoce konsekwentnie uwydatnione cechy swoiste.

Stonóg, jako rak, oddycha jeszcze przeważnie przy pomocy skrzeli, jak prawdziwy mieszkaniec morza, i życie jego na lądzie nie o wiele różni się od tego, jakie wie dzie ryba, rzucona gdzieś w miejsce suche. Przy pomocy swego narządu oddechowego gromadzi on sobie z olbrzymim trudem i męką potrzeby do oddychania tlen, i udaje mu się to zupełnie tylko w wilgotnych, oparami przesiąkniętych miejscach, jak np. w głębokiej piwnicy. Tam jest on w swym żywiole, i tam też spotykają się samiec i samica.

Akt weselny po największej części odbywa się w kwietniu i maju. Nasienie męskie bywa zupełnie prawidłowo przenoszone na samicę; na stronie brzusznej piątego pierścienia piersiowego znajduje się najodpowiedniejsze po temu miejsce, mianowicie nawet dwa otwory płciowe zamiast jednego. Dotąd nie byłoby w tym wszystkim nic uwagi godnego. Ale gdyby stonóg mógł przejąć ostrym spojrzeniem wnętrze swej małżonki, zapewne po dokonanej akcji opadłyby go pewne wątpliwości, azali cały jego trud miłosny nie poszedł na marne.

Wspomniane bowiem otwory u samicy stonoga nie wiodą wcale do właściwego narządu płciowego, do jajowodu, któredy sstępować mają jaja z jajnika. Są to po prostu ślepe pochwy, zarośnięte u góry jakby błoną dziewiczą, nierozzerwalną nawet podczas aktu płciowego.

Właściwego stonoga nic to nie obchodzi; załatwia on swoją sprawę bez skrupułów anatomicznych. Ale stonóg-samica spokojnie wyczekuje wydarzeń, które tu nastąpić mają.

Plemniki poruszają się w ciągu kilku dni w pustych wnękach ciała, jak więźniowie przed zaryglowanymi drzwiami. Aż nagle pęka ścianka tylna więzienia, i całe dziedzictwo męskie wlewa się we wnętrze brzucha o jedną kondygnację dalej, tym razem już tam, gdzie należy, t. j. do jajowodu. Teraz już oczywisty jest kierunek drogi do jajnika, gdzie jajka czekają na zapłodnienie.

Dzielnie prą plemniki ku górze — ale — o zgrozo! — jajnik od jajowodu zamknięty jest nowymi drzwiami! Wszystko znowu zakorkowuje się — i nowe oczekiwanie!

I znowu po pewnym czasie i ta zapora się rozwiera. I teraz wreszcie nastaje akt właściwy, przynajmniej dla jajek, które właśnie są już doń zupełnie przygotowane. Nieco później zapłodnione już jajka tłoczą się ku dołowi; zdawałoby się, że przez szparę, którą wytworzyło sobie nasienie, sstępują one po prostu z powrotem do pochwy i w ten sposób drogą, odwrotną do przebytej przez nasienie, na światło dzienne wychodzą.

Atoli—o nowa zgrozo!—cała matka-stonóg tymczasem zmieniła powłokę skórną, a w nowej powłoce niema już otworów pochwowych!

Tam, gdzie były one rozwarte dla samca, teraz jest twarda ścianka brzuszna bez najwęższego chociażby przejścia. W innym miejscu, pomiędzy piątym a szóstym pierścieniem piersiowym, jest wprawdzie teraz nowy otwór, którego pierwaj nie było, otwór jakby stworzony specjalnie w tym celu, ażeby przezeń wychodziły dojrzałe jaja. Ale jak dostać się teraz do niego z zamkniętego od dołu workowatego przejścia?

Znów nastąpić musi akt gwałtu: jeżeli przedtem pochwa pękła w kierunku wewnętrznym, to teraz ścianka jajowodu pęka jeszcze bardziej ku wnętrzu; pęka ona w stronę jamy brzusznej samicy, i tam wpada jaje za jajem. U człowieka byłby to szczyt

zgrozy, ażeby macica pękła i płód miał przedostać się do wnętrza brzucha, gdzie znajdują się jelita. Ale naszemu stonogowi najwidoczniej nic a nic to nie przeszkadza.

Ma ona teraz swoje jaja tam, gdzie jej potrzeba. Właśnie bowiem w tę jamę brzuszną prowadzi ów świeżo powstały zewnętrzny otwór płciowy, i z chwilą kiedy jaja przedostają się do jamy brzusznej, wydzielają się one tędy nazewnątrz. Wprawdzie nie wychodzą jeszcze zupełnie na wolność: na pięciu pierwszych parach nóg samicy powstały tymczasem w liczbie pięciu t. zw. płytki załączkowe, razem tworzące zewnętrzny uchyłek, w którym teraz dopiero jaja wygodnie dojrzewać mogą. Stonóg w samej rzeczy stał się czymś w rodzaju kangura: ma on woreczek, w którym włóczy z sobą jaja, dopóki młode nie dojrzeją do tego stopnia, ażeby mogły wyleźć. Po krótkiej chwili już to następuje. Rój pełnych nadziei latorośli stonożnych opuszcza kołyskę matczyną i na własną rękę rozpoczyna życie w wielkim kosmosie stonogów.

A kołyska nie opróżnia się jeszcze zupełnie. W jajniku tymczasem rozwinęły się nowe jaja. Część plemników, „jako rezerwa“, pozostała jeszcze w jajniku i zapładnia nowy przychówek. Po raz wtóry zdolne do rozwoju jaja wpadają w otwartą jamę brzuszną matki i przez otwór rodny zaraz dostają się do próżnej kołyski, gdzie dają życie nowemu pokoleniu stonogów. A kiedy i te już poszły w szeroki świat, samica czuje się wolną od wszelkich obowiązków, raz jeszcze linieje na czysto i wpada wtedy w sen zimowy.

A oto teraz pora na nagrodę za sumienne spełnienie obowiązku. Z wiosną, która wprawdzie piwnicy nie oświetla, ale zapewne w jakikolwiek sposób i tam znać o sobie daje, wstaje ze snu ten sam stonóg, co dwukrotnie był żoną, matką i kanguru rodzinnym, wstaje znów jako niepokalana dziewica.

Podczas tego ostatniego jesiennego linienia spadła znów kołyska dziecięca, otwór rodny, jak i otwór jajowodowy, znowu zarosły, odnowa natomiast rozwarły się pierwotne pochwy brzuszne: nowa narzeczona czeka nowego stonoga-samca.

W domu rodzica mego nad pięknym Renem stała na starej zakurzonej półce od książek w nawpół zapomnianym kąciku stara, pożółkła czaszka ludzka.

Znaleziono ją przed laty w pobliżu rzymskich terakot i przyjmowano na dobrą wiarę jako czaszkę rzymską. Całe pokolenia wesołych pokojówek bały się zdejmować ją do okurzenia. I dzięki temu stała się ona królestwem dla równie długiego szeregu pokoleń szarych ośmionogich zwierzątek, które wylazły w tyle z poza węgla ciemnego i w niej gniazda swe zbudowały. Ponad staremi, ponuremi oczodołami budowały nowe delikatne, mięciutkie powieki, a poza niemi miały swe łoża weselne i swą kołyskę.

Kiedy myślę o pająkach, znów widzę przed sobą ową wesołą karczmę pajęczą pod godłem „czaszka trupia“.

Jestem dzieckiem i nic nie wiem jeszcze o miłości ani ludzkiej, ani pajęczej. Tylko czaszka wydaje mi się prastarą, a małe ośmionogie zwierzątka, rojące się poza ich szaremi o barwie pyłu jedwabnemi chorągiewkami, wydają mi się młodziutkiemi chochlikami, których nic nie obchodzi starość czcigodna.

Dziś zaprzętałbym się innemi kwestjami. Myślałbym, azali człowiek, do którego ta czaszka należała, również już przed tysiącem ośmiuset laty kochał istotnie, czy kochał, jak człowiek, jak człowiek kulturalny. Pająk atoli ma twarz prawdziwie starczą, jego miłość jest szara i jak lód chłodna, niby z innej zupełnie planety. Jest w tym jakieś prastare nierozwiązane zawikłanie.

W życiu miłosnym pająka, które wraz z nim samym sięga może aż okresu węgla kamiennego, tkwi nierozwiązany jeszcze dotąd problemat, który właściwie sięga dna wszelakiej miłości: problemat różnicy pomiędzy odżywianiem się a miłością.

Przypomnijmy sobie, co niedawno słyszeliśmy — przypomnijmy sobie historję o karłach. Pamiętacie, jak miłość wogóle się poczęła. Odżywianie się było koniecznością już dla komórek pierwotnych. Kompensowało ono w komórce wieczne spotrzebowywanie, umożliwiała materji przemianę, przy której ciało pozostawało jednakim. Pozatym umożliwiała również prócz zwyczajnej kompensaty i pozytywny wzrost: ciało rosło. A ten wzrost znów prowadził do rozpadania się jednego indywiduum na dwa, prowadził do najprostszej postaci rozmnażania się.

W tym sensie pojmować należy zdanie, że odżywianie się stanowi pierwszy warunek miłości, że nie jest jej przeciwieństwem, owszem, czystą przesłanką logiczną.

Ale potem nastąpiła miłość płciowa, miłość, w której jedno życie stapia się z drugim, jedna komórka z drugą, komórka jajowa z plemnikiem. Z tej spójni wziął początek wzrost intensywniejszy, i w ten sposób stała się owa miłość płciowa istotnie jakimś wyższym poniekąd odżywianiem się.

Wyższym odżywianiem się — ale ze specjalną wybitną różnicą. Przy zwykłym odżywianiu się wchłaniało w siebie stworzenie bezsprzecznie „martwy“ pokarm. Bądź wchłaniało i przetwarzało substancje po prostu nieorganiczne, mineralne, na wzór dawnych roślin, bądź też, zgodnie z metodą zwierzęcą, niszczyło życie w danym już żywym materjale roślinnym i wchłaniało go. W każdym razie i tu ustrój posiadał dość siły, ażeby znów samodzielnie przetwarzać na żywą materję budowlaną nagromadzony materiał martwy.

Ale to znów nie było niczym innym, jak wtórnym samodzielnym stwarzaniem życia na nowo, stwarzaniem, które ściślej wiązało się znów z tajemnicą przemiany materji i wzrostu. Fakt zasadniczy pozostawał ten sam: „martwe“ w znaczeniu popularnym służyło jako materiał odżywczy.

Natomiast w życiu płciowym jedno życie bez reszty stapiało się z drugim, jedno życie pożerało drugie jako takie, jeżeli wolno mi użyć tego wyrazu (przy którym pragnąłbym pozostać przynajmniej dla obrazowości). Albo też jedno życie dawało się przez drugie pożerać, co w danym wypadku na jedno wychodzi: ani jedna, ani druga strona nie była przytym zniszczona, ale obie stapiały się dla bardziej intensywne go życia.

Oto i tutaj, jak widzimy, jest pewien łańcuch logiczny, jednocześnie zaś spoczywa tu jądro pewnego przeciwieństwa. A teraz wyobraź sobie te rzeczy, sięgając myślą wzwyż po drabinie zwierzęcej: tu przeciwieństwo to musiało się zaraz uwydatnić w sposób wybitny.

Roślina odżywiała się naogół tylko minerałami, natomiast dla „pożywienia miłosnego“ używała żywej materji, zawartej w komórce rośliny pokrewnego gatunku. W obu materjach istniała tu wprawdzie różnica, ale nie było jeszcze możliwości konfliktu. Ale oto nastaje chwila w królestwie zwierzęcym, kiedy w życie wchodzi owa odmienna metoda zwykłego odżywiania się: zwierzęciu nawet w prostym pożywieniu potrzeba już substancji komórkowej (pomijam tu oddychanie, a myślę teraz tylko o żołądku). Wprawdzie substancja ta może nie być żywą, ale jednak niedawno dopiero życia pozbawioną. Kiedy są rośliny, wtedy droga jest najprostszą, zwierzę spożywa bowiem właśnie materiał roślinny: ssie go, zrywa, rozgryza i trawi rośliny jako zwykłe pożywienie i staje się zwierzęciem roślinożernym.

I teraz jeszcze zrazu niema wciąż konfliktu z miłością, chociaż różnica w stosunku do metody odżywiania się, uprawianego przez rośliny, jest już sama przez się olbrzymia.

Zwierzę dla celów zwykłego odżywiania się zje rośliny, przywykając powoli do gwałcenia ich własnego życia. Natomiast w celach miłosnych „pożera“

pokrewną sobie żywą materję zwierzęcą, która jednak nie może być zniszczona; owszem, następuje tu zupełnie pokojowe zespolenie, przyczym obie strony pozostają przy życiu. Widzicie oto tutaj, że kontrast jest już olbrzymi, ale niema jeszcze konfliktu.

Konflikt występuje dopiero w chwili następnej. Niezliczone mnóstwo zwierząt przywyka powoli do brania również owego organicznego, ale martwego „pożywienia zwykłego“ już nie od roślin, a od zwierząt samych. Zwierzęta nie tylko miłość uprawiają z innymi zwierzętami, ale, czując zwykły głód, chwycić zaczynają również zwierzęta, niszczą je przez rozgryzanie lub w jakikolwiek inny sposób i pożerają, jako zwykły, odpowiadający celowi swemu materiał odżywczy. I oto mamy przeciwstawione sobie dwa fakty: zwierzę szuka zwierzęcia, ażeby w żywym połączyć się z nim uścisku dla harmonji najwyższej, z absolutnym poszanowaniem cudzego życia. A z drugiej strony zwierzę szuka zwierzęcia, ażeby wchłonąć je w siebie jako materję, organiczną wprawdzie, ale taką jednak, którą najprzód należy uśmiercić—tu panuje absolutna dysharmonja i następuje zniszczenie cudzego życia.

Aliści królestwo zwierzęce nie znikło, owszem, rozwinęło się wzwyż aż do przepychu, którego wyobraźnikiem jest duch ludzki. Jest to dostateczny dowód, że ów konflikt nie mógł być dla królestwa tego istotną przepaścią. Powstały mianowicie, ogółem biorąc, pewne konjunktury pomocnicze, podobnie do tego, jak to miało miejsce w owym niebezpiecznym konflikcie, wynikającym z nieprzestrzegania prawa doboru, o czym mówiliśmy powyżej.

Im wyraźniej wyodrębniały się zwierzęta w oddzielne gatunki, tym silniej utrwalalo się w sprawach miłosnych owo podrzędne prawo, głoszące, że dla „żeru miłosnego“, t. j. dla związków płciowych, unikać wprawdzie należy rodzeństwa, a szukać „obcych“ — ale ci obcy muszą jednak zawsze należeć do tego sa-

mego gatunku zwierzęcego: żaba nie może miłować muchy ani rozgwiazda morską ostrygi!

Tu nastęczał się pewien sposób rozwiązania kwestji. Miłować się mogą wzajem tylko ostryga z ostrygą, rozgwiazda z rozgwiazdą, mucha z muchą, żaba z żabą. Natomiast rozgwiazda może bez przeszkód pożerać w zwykłym znaczeniu tego wyrazu ostrygę, jako też żaba—muchę. A więc niechaj istnieje prawo: nigdy żaba niech nie pożera żaby ani rozgwiazda rozgwiazdy, ażeby nie powstał konflikt pomiędzy odżywianiem się a miłością. Natomiast rozgwiazda może spokojnie spożyć ostrygę, a żaba—muchę. Innemi słowy: przedstawiciele jednego gatunku ograniczają swój stosunek wyłącznie do pięknej harmonijnej postaci pożerania się miłosnego, ale co dotyczy przedstawicieli odmiennych gatunków, to wśród nich niechaj panuje zwykle niszczące pożeranie się wzajemne—wszak tu nie może ono wpaść w konflikt z miłością, i tak bowiem jej prawa tutaj nie obowiązują.

Ale pamiętać należy, że i takie prawa nie spadają pewnego pięknego dnia z nieba. Musiało się to dopiero skryształizować pośród tysiącznych przeszkód, zrazu często chwiejnie, niedostatecznie. Powiedzieć można po prostu, z pewnym zastrzeżeniem wprowadzie, że „prawo“ to istniało tylko dla całego szeregu grup zwierzęcych mniej lub więcej teoretycznie: przynajmniej połowa faktów konkretnych stanowiła „wyjątek, który potwierdza regułę“. Jeszcze dziś istnieją zwierzęta, które niejako w nawyknieniach swoich skamieniały na rubieży i stanęły w rozwoju. Niema nic bardziej dziwaczego, jak takie pod względem nawyknień swych twory kopalniane.

Zamiast starych kości znajdujemy w skale twory żywe, snujące w dalszym ciągu starannie nić żywota swego. A mimo to w tym życiu, w tym określonym, wytrwale przechowywanym sposobie życia przebłyskuje twarz Ahaswera, która patrzy dopiero w głębię stawania się wszechrzeczy. Wydaje się, jakoby wybud-

wany został most. Przy pierwszym ruchu motyką był obecny człowiek, którego ktoś zahipnotyzował. Dziś stoi most w całym blasku swoim jako budowla skończona. A u dołu przy słupie wciąż jeszcze stoi ów człowiek i pcha rydel w ziemię i wiecznie odnowa pierwszy wykonywa ruch...

Pająk — to taki zahipnotyzowany pan.

Dziś jeszcze nie zrozumiał dobrze, że nie należy na przedmiot miłości swej, z którego życiem zlać się powinien dla nieśmiertelności gatunku pośród najidealniejszej uczyty miłosnej, rzucać jednocześnie lubieżnych spojrzeń jako na tłusty kąsek, przeznaczony dla powszedniego profana-żołądka.

Przadź, córuchno, nie próżnuj, jutro przyjdzie luby twój“.

Dziwaczna, zaiste, córeczka i dość niebezpieczne zaloty!

To samica i samiec—pająki z rodu krzyżaków. Samiec słusznie wymieniony jest tu na drugim miejscu, jest bowiem o wiele mniejszy od samicy — prawie o dwie trzecie...

Piękny poranek wrześniowy... W ogrodzie dojrzale, rozświetlone kwiaty prężą swoje złote ramiona ku jasnemu błękitowi jesieni. Płoną astry pośród trawy, jak gwiazdy podwójne, czerwone i błękitne. Ponad starym, spróchniałym płotem zielonym stoi pełen powagi las sosnowy, korony drzew spowite w szary dym — jakaś w mrok przeszłości zapadająca się bajka. Na płocie gdzieniegdzie wielka siatka. Od wielu miesięcy snują tu swe życie pająki, samiec i samica, ale każde z osobna dla siebie, nieprzystępne jedno dla drugiego, z zapamiętałą nieprzyjaźnią nawet względem sąsiada z własnego rodu.

Każdy z tych pajaków jest już u celu życia swego. Ma on poza sobą życie długie, życie silne i pracowite. Długie jest ono wprawdzie tylko w rozumieniu pająka, który z innego punktu widzenia mierzy życie, aniżeli my. Dla nas nie jest to nawet rok jeden, jedna wędrówka ziemi dookoła słońca.

Atoli dla pająka był ten rok światem całym. Okres ten dzielił się na dwie wielkie epoki kosmiczne. Nasamprzód była epoka lodowa — zima, kiedy wszystkie pająki spoczywały jeszcze nawpół senne w małym jajku; takich żółtych jajeczek było ze sto w jednym ciepłym gniazdku.

A później nowe nieprawdopodobne przeobrażenie—i oto nastał nowy okres. Stopniała ciężka opona śnieżna, pękły pączki zielone. Wiosna! Promień słońca zawadził o gniazdo jajek, i pajęczki rozsadziły swą błonę jajową. Jeszcze w ciągu 8-miu dni gniazdo udzielało gościny wesołej gromadce. Później roz-

leciał się w różne strony rój sióstr, i żadna już nie zwracała uwagi na drugą.

Pajak nie zna życia w postaci poczwarki — na wzór wyższych owadów, jak mucha-jednodniówka lub motyl. Pajak wyłazi z jajka takim, jakim jest, tylko bezbarwny i drobniutki; potem rośnie w swej sieci — i w ciągu jednego lata dosięga rozmiarów straszego drapieżnika, staje się owym grubym krzyżakiem, który oto przeraża ciebie samego. Oczywiście, taki szybki wzrost ma swe źródło tylko w niesłychanej żarłoczności.

Smagany biczem głodu, pajak w ciągu paru miesięcy letnich staje się prawdziwym artystą w mordowaniu zwierząt. Przędzie wspaniałą sieć — ale jedynie w tym celu właśnie. Ginie w niej ofiara za ofiarą. Całe to życie od maja do września — to jedna orgja mordercza, orgja żarłoczności w sensie „zdobywania pożywienia“. Przejawia się tu olbrzymia działalność intelektu, skierowana wyłącznie na ten jeden punkt. Po części jest to intelekt odziedziczony po przodkach, jeżeli chodzi o ogólne uzdolnienie w budowaniu gniazd; ale pozatym widzimy tu najwyższe napięcie sił intelektualnych w każdej oddzielnej jednostce, ona bowiem obrać sobie musi należyte miejsce dla takiej sieci i w tysiącnych przypadkach poszczególnych zmieniać odpowiednio to, co jest w budowie najlepiej przystosowane, oraz nowe rzeczy wymyślać. Jest to inteligencja, co potrafi zdobyć, ocenić, co zna własne siły; inteligencja, która umie liczyć się z pogodą i kierunkiem wiatru: prawdziwa mała aureola ducha lśni dookoła tego drobnego a ściśle na jednym punkcie ześrodkowanego mózgowia. A wszystko dzieje się siłą jednego zaklęcia: pożeranie na usługach zwykłego wzrostu, pożeranie w tym rozumieniu, które skazuje nasamprzód bezlitośnie na zagładę drugi twór, cudze życie najpierw morduje, niszczy...

Dzika naganka. Wciąż przed oczyma stoi nam rycerz-drapieżnik, co na zamku swym zdobyczy wy-

czekuje. Cokolwiek się zjawi, bywa chwywane, o ile tylko siły na to pozwalają. Naprzód, wciąż naprzód, wzwyż, aż do pewnego stopnia wznieść się pod względem wzrostu! Oto była przed chwilą w sieci mucha, która musiała uwierzyć w to i oddać za tę wiarę swoją krew serdeczną. Teraz wpada mniejszy pajęczek tego samego gatunku. Co tam pokrewieństwo! I jego chwyta się tak samo, jak wszystko inne, oplątuje się go w łąso, knebluje gębę i wysysa. To był pajęk-samiec — samce są wszak mniejsze. Wszystko jedno, co tam płeć! Głód! A więc żreć i rosnać! W ciągu pięciu miesięcy z komicznego żółtego karzełka wyrasta wielki potwór. I ten cel uświęca i wyjaśnia wszystko.

Jesień złota. Błękit wrześnieowego nieba. Nastaje chwila wielkiego przeobrażenia, wielka chwila, kiedy się spełnia przeznaczenie.

Cóż takiego? Wzrost? Wszak pajęk już wyrósł — a stało się to w ciągu dnia jednego. Więc cel, zda się, osiągnięty, pozycja obroniona. Żołądek zrobił wszystko, co do niego należało. Ale cóż się okazuje? Cały wzrost nie był zupełnie zamkniętym w sobie i ostatecznym celem; było to tylko stopniem, wiodącym do czegoś wyższego. W tej samej chwili, w której cel ów został osiągnięty, już wyłania się z niego coś zupełnie innego.

Ciało dorosłego, dojrzałego pajęka nagle w narządach płciowych wytwarza plemniki i jajka. Pierwsze wytwarza samiec, drugie samica.

I nagle snuć się poczyna pomiędzy plemnikiem a jajkiem zupełnie nowa niewidzialna nić niezbędnego pożądanja. Nagle jako rezultat wszystkjej tej żarłoczności i całej owej dzikiej pogardy cudzego życia wyłania się tęsknota miłosna za życiem cudzym, jako za życiem właśnie...

Tu zaczyna się w małżeństwie pajęczym to, co w myśl tragjedji w wielkim stylu nazwać byłoby można walką obowiązków. Zarówno samiec, jak i sami-

ca przywykły do tego, że pożera się bezlitośnie każde zbliżające się mniejsze stworzenie, choćby to był nawet pająk-samiec. Co dotyczy tego ostatniego, to pająk-samica orientuje się niejako czynnie, a pająk-samiec biernie. Pająk-samica wie, że i takiego maleńkiego pajęcza oplątuje się w sieć, jako dobrą zdobycz, i pożera się go, jeżeli śmiałek zbyt blisko odważy się podejść. Samiec zaś wie, że należy się porządnie strzec grubej pani samicy i trzymać się możliwie najdalej od jej energicznego sąsiedztwa. Ale oto wyłania się konflikt: miłość. Oboje powinni naraz spotkać się w „miłości“, po prostu szukać się wzajem powinni.

Samica i samiec krzyżaków, jak wogóle cała rzesza pajęcza, wykazują bardzo ścisły podział płci. On posiada dwa długie przewody nasienne w ciele, ona dwa jajowody, podobne z formy do gron. Niema tu zapłodnienia na chybi-trafi po prostu, jak to bywa u leniwych ostryg, to bowiem jest wogóle możliwe tylko w wodzie i pozatym u takich zwierząt, które już same przez się wiodą życie stowarzyszone, sąsiedzkie. Tu nic nie pomaga — tu oboje zetknąć się muszą.

Narządy płciowe, ukryte głęboko w odwłoku pajęczym, kończą się zarówno u samca, jak i u samicy, zwykłym otworem po stronie brzusznej. Byłoby więc najodpowiedniej, gdyby samiec i samica w tym wypadku wyjątkowym raz przynajmniej zawarli pomiędzy sobą na serjo pokój i zetknęli się w sieci, należącej do jednej ze stron, w ten sposób, ażeby otwór dotykał się otworu. Byłoby to odpowiednim, gdyby tylko nie było tak niebezpiecznym. Pająk-samiec oczywiście boi się najbardziej.

Jeżeli w istocie odważa się uczynić propozycję miłosną i włazi w cudzą siatkę, to wtedy otrzymany kosz znaczy tu więcej, aniżeli rana prosto w serce zadana.

Kto tu zostaje odpalony, tego oplątują nie mi-

łosne nici sercowe, ale bardzo realne powróła konopne; a wtedy nie czeka go pocałunek z usteczek różowych, lecz prawdziwe uderzenie nożem, osadzonym w okropnej gębie, który szybko z ofiarą swą się załatwia.

Ale oto śmieje się słońce jesienne, wre wszystko od tęsknoty. Oto tam kołysze się w swej srebrnej sieci najbardziej miłości godna królowa — pajak; on musi popróbować, musi iść na śmierć i—miłość. Ale zanim się ruszyć zdoła, odbyć się musi jeszcze, jako niezbędny akt przygotowawczy, jedna z rzeczy najtrudniejszych.

Widzieliśmy mątwę, która miała naboje nasienne w jednym ze swych ramion dokoła głowy umieszczonych.

Na brzegu morskim istnieje zwierzątko o zabawnym wyglądzie, podobne do pajęczaków, t. zw. rączek-pajak, u którego również kończyny grają rolę decydującą dla narządu płciowego do tego stopnia, że tu samiec i samica mają w każdej z 8-miu kończyn po jednym narządzie płciowym, a więc razem 16. A ponieważ zarówno jajko, jak i plemniki, wytryskują bezpośrednio z długich nóżek pajęczych, można więc o tych dziwacznych wielonózkach (naukowa nazwa tej grupy brzmi *pantopoda*, t. j. całonogi) twierdzić z zupełną pewnością, że cały akt rozplodowy odbywa się u nich prawidłowo noga za nogą. I nasz pajak na płocie ogrodowym obrał sobie niejako ten sam dziwaczny sposób, z tą tylko różnicą, że on dopiero przygotowuje się do tego czynnie, podczas kiedy tamte stworzenia posiadają już wszystko z natury.

Popatrzcie, co on robi. Jeszcze nie posuwa się ku samicy; nasamprzód jeszcze zapobiegliwie jest sobą samym zajęty. Jego otwór płciowy — to zwykły otwór, bez jakiegokolwiek śladu członka rozrodczego. I oto gdy tak siedzi sobie i ciało na prawo i na lewo kołysze, namyślając się w tęsknocie swojej, azali przejść ku kochance, czy też nie—nagle płyn nasien-

ny sam przez się wypływa z małego otworu na siatkę w postaci drobniutkiej kropelki. Natychmiast potem bohater nasz zmienia położenie i w ten sposób się wywraca, że spodnia część głowy z okolicą gęby dotknąć się może owej kropelki. Wygląda tak, jak gdyby chciał ją połknąć. Taki fakt dałby początek możliwie największemu zamieszaniu w sprawie antagonizmu pomiędzy pożeraniem w sensie odżywiania się a stapianiem się w jedno, albo „żarciem wyższego rzędu“ w sensie miłosnym.

Aliści do tego nie dochodzi.

W każdym razie wszakże kropelka najoczywistej znikła u otworu gęby, jak gdyby w istocie była wchłaniana. Ale sprawa tak się przedstawia. Należy sobie jeszcze przedtym uprzytomnić dziwaczne urządzenia dookoła gęby takiego pająka.

Gęba sama przez się jest prawidłowym otworem przednim narządu odżywczego, przez który pokarm dostaje się, jak u ludzi, do żołądka—jest to więc dziura. A około tej dziury są silne, jak dłoń, ruchome szczęki (żuchwy) do chwytania, zabijania i opanowywania pokarmu, zupełnie tak samo, jak człowiek posiada do tego celu ruchomą żuchwę i dwa rzędy mocnych zębów.

Tylko żuchwy pająka wyglądają nieco dziwnie i bardzo odmiennie w porównaniu z ludzkiemi, a to po prostu dlatego, że zupełnie jawnie zdradzają jeszcze swe pierwotne pochodzenie od kończyn. Tak jest: od kończyn. Górna i dolna szczęka takiego pająka nie są właściwie niczym innym, jak parą małych nóżek, które umieszczone są z przodu na głowie, nieopodal otworu gęby, zupełnie w ten sam sposób, jak bardziej ku tyłowi istniejące cztery pary t. zw. zazwyczaj prawdziwych nóżek pajęczych. Trzeba wyobrazić sobie, że pająk, jak wszystkie wyższe stawonogi, pochodzi od pewnych tworów do robaków podobnych, których całe ciało wespół nawet z głową rozpadało się na pierścieniowate, „zakarbowane“ czę-

ści, a u każdego z tych pierścieni umieszczona była para nówek. Jeszcze stonóg bardzo dosadnie odtwarza wam ten stopień rozwoju, choć nie jest już robakiem, a stoi już blisko naszych pajaków, może nawet po prostu jest ich przodkiem. U wyższego stawonoga, jakim jest pajak, to długie ciało robaka — że się tak wyrazimy — ściągęło się. Sam pajak właśnie nie posiada już nawet głowy, oddzielonej od tułowia, ale wszystko to u niego zrosło się w jedną część, i tylko pomiędzy tym „głowotułowiem“ a resztą ciała pozostało dawne zakarbowanie, jak u robaka — coś jakby w rodzaju „przerwy“.

Ale nówek pozostała i tak jeszcze liczba dostateczna. Wprawdzie głowa i tułów zlały się w jedno, ale jednak na tej jednej części było jeszcze sześć par nówek. Wobec faktu ścisłego skupienia się ciała, wobec tego, że z długiego robaka powstał w ten sposób krótki a gruby pajak, ta liczba nówek okazała się do biegania zbyt wielką. I oto w ten sposób stopniowo cztery pary nówek w rzeczy samej używane były od-tąd do biegania, dwie zaś pierwsze pary ściślej zespoliły się w swych czynnościach z sąsiadującą z nimi gębą: z długich nówek, które dawniej służyły do chwytania zdobyczy i biegania, powstały drogą skrócenia się narządy gębne do chwytania i gryzienia — po prostu nóżki te przekształciły się w szczęki.

Przyjrzyjmy się innemu, dziś wyżej jeszcze pod względem rozwoju stojącemu stawonogowi, który zapewne powstał równoległe z pajakami ze stonogów, a przedtym jeszcze z prawdziwych pierścienic (robaków) — mamy tu na myśli chrabąszcza. Tam widzimy, że proces wyżej opisany poszedł dalej jeszcze: z 6-ciu par nówek aż 3 zużytkowane zostały jako szczęki, a zamiast czterech zostały jako nóżki do biegania tylko 3 pary; i oto chrabąszcz ma sześć nówek zamiast ośmiu, jak pajak, ale za to ma trzy rodzaje szczęk zamiast dwojakich szczęk pajęczych.

Ta krótka wycieczka darwinistyczna ułatwi wam

już zrozumienie tego, co robi nasz pajak-samiec; a jest to rzecz sama przez się niezmiernie dziwna.

Chociaż owe szczęki u gęby pajęczej przede wszystkim działają jak prawdziwe szczęki w celach odżywczych, jednak zachowały one jeszcze w dokładnej minjaturze swój kształt ogólny kończyn. Można by pomyśleć, że zdałyby się one przy okazji jeszcze i do innych celów. Wyobraźcie to na sobie samych: zamiast szczęk z zębami macie, przypuśćmy, dookoła ust cztery małe ramiona: dwa u góry i dwa u dołu. Te małe ramiona przystosowane są, przypuśćmy, do ramion prawdziwych, jak górne i dolne zęby pomiędzy sobą, i działają również mniej-więcej w ten sam sposób, jak zęby—trąc się jedne o drugie. Natomiast małe ramiona dolne i rączki kończą się ku przodowi swobodnie i mogłyby zapewne mieć jeszcze czynność specjalną.

Zupełnie tak samo jest i u pająka. Małe nóżki ustne, czyli szczęki, pocłonkowane są, jak ludzka ręka, nawet jeszcze w bardziej zawikłany sposób. Części najbardziej ku dołowi umieszczone (powiedzmy: górne części ramienia—przenosząc to na stosunki ludzkie) przylegają do siebie ściśle, jak prawdziwe szczęki. Następne części (powiedzmy obrazowo: przedramię i ręka) wystają u dołu i u góry właściwych szczęk w postaci cieniutkich ostrych koniuszczków ku przodowi. U góry ma pająk dzięki temu po małym ostrym zębie z każdej strony, gdzie wylewa się trująca zawartość gruczołka, mająca na celu obezwładnienie ujętej ofiary; u dołu natomiast wystają te ostre końce z każdej strony, jak dłuższe macki, niby dwie wysunięte w dziób wargi ludzkie (trawestujemy to na stosunki w układzie ust ludzkich, choć porównanie może być tylko bardzo niedostateczne). Końce te swobodnie sobie macają dookoła, podczas kiedy głębiej odbywa się energiczne żucie.

A więc dobrze. Cóż z tego? Oto tym koniuszczkiem dolnej szczęki pająk-samiec chwyta swą własną

w samotności wydzieloną kropelkę i wsysa ją w siebie. Te „wargi w dziób“ są specjalnie do tego przystosowane: wsysają nasienie do wydrążenia, jakby do małego tymczasowego rezerwuaru, nie uchybiając przy tym zupełnie wielkiej gębie pajęczej na tylnym planie. Wyobraź sobie, czytelniku, bardzo zgruba, żeś wywinął wargę ku dołowi i trzymasz, przypuśćmy, ołówek pomiędzy wargą a podbródkiem. W taki mniej-więcej sposób trzyma pająk-samiec nasienie w najbardziej nazewnątrż wystającym na podobieństwo warg koniuszczku szczęki dolnej; oczywiście czyni to jedynie z tym szlachetnym zamiarem, ażeby przenieść je naprzeciwko pani swej w ten sposób jakby na tacy i jednocześnie w możliwie uprzejmej postawie, z uśmiechem.

Zaraz przekonać się możecie, że na tym polega jego zamiar i jak on go w czyn wprowadza.

Śmiało kroczy naprzeciwko na brzeg drugiej siatki. Gruby wielki pająk po środku siatki spostrzega przybysza. I teraz możliwe są różne ewentualności.

Możliwe jest, że on jako indywiduum nie podoba się samicy. Może jest za mały, nieładny, z rysunkiem na ciele nie dosyć wyraźnym—słowem, z jakiegokolwiek powodu nie przypada jej do gustu. Wtedy z góry cała sprawa przedstawia się rozpaczliwie. Samica czatuje na niego zupełnie, jak na muchę.

Ale sprawa może nie wziąć takiego obrotu. Pająk-samica ogląda konkurenta, i on jej się podoba. Wtedy powoli schodzi ze swego tronu ku brzegowi siatki, gdzie czeka potulny samiec. Niewątpliwie i ona sama odczuwa tęsknotę za miłością.

Przemożne, po świecie całym rozlane uczucie tłumi na godzinę indywidualne pragnienie odżywiania się. Z plecami odwróconymi ku dołowi, z głową wysuniętą naprzód, z nogami jakby przykurczonymi wiesz się pająk-samica na pajęczynie — i czeka na samca... Czy będzie Zygfydem? czy też spotka go

los biednego króla Gunthera, którego Brunhilda w noc ślubną związała i powiesiła u sufitu?...

Ale jeszcze ostateczny rezultat daleko. Jest jeszcze inna możliwość. Na jedną samicę czekać może z nadzieją w sercu u rąbka pajęczyny kilka samców. Naogół stosunek procentowy przedstawia się w ten sposób, że jedna samica przypada na tuzin samców. Wtedy występuje niebezpieczeństwo konkurencji. W chwili kiedy kochanka trapią jeszcze, zda się, pewne wątpliwości co do dobrych lub złych zamiarów bohaterki romansu, nagle ni stąd, ni zowąd spostrzega on atak ze strony rywala. Chwila kłótni, obrony, zapasów. Bohaterka czeka, kto zwycięży. Zwycięzca—to najniezawodniej osobnik najenergiczniejszy. Jest to więc wyrok boski. I oto, przypuśćmy, silniejszym jest w rzeczy samej nasz pająk. Rywal cofa się. A teraz—od walki ku miłości!

Wciąż jeszcze ostrożnie zbliża się pająk ku swej pani z plecami ku dołowi, jak i ona sama. Teraz dotyka się nóżkami jej ciała, a ona zezwala na to. Z kwadrans głaszcze ją tylko — jak człowiek, który powoli uspokaja i niewoli sobie tchórzliwe zwierzę. A jednak wiarogodni uczeni byli jeszcze podczas tego ostatniego kwadransa pieszczot świadkami nagłej katastrofy: zupełnie nagle, jak gdyby pierwotny popolity instynkt żeru jeszcze opanował jednak w końcu subtelniejszy głód miłości i pogrążył go na dno, jak kłodę, samica zrywa się i w mgnieniu oka chwyta, omotuje, nagryza i wysysa biednego grzesznika-pająka.

U pewnych gatunków pająków, gdzie samiec jest bardzo mały, można zauważyć nawet, jak mały pajączek-Gunther przezornie wskakuje sobie po prostu jednym susem na plecy grożącej mu niebezpieczeństwem Brunhildy i stamtąd dopiero ją pieści; jest to miejsce najpewniejsze, gdyż samica już wtedy ująć go nie może, gdyby nawet nagle przyszła jej ochota ku temu.

Oczywiście ta krańcowa sytuacja przedstawia

właśnie najwięcej niebezpieczeństwa. Jest ona absolutnie nieobliczalna; jest to moment, gdzie najjaskrawiej występuje to, o czym wspomniałem poprzednio, mianowicie ów właściwy konflikt, owa problematyczna, niezdecydowana chwila całego życia pająka, chwijającego się na rubieży dwóch instynktów.

A mimo wszystko u szczytu tego momentu krytycznego samiec odważa się na krok najbardziej stanowczy — oczywiście pod wpływem popędu, którego opanować już niepodobna. W szybkim obrocie rzuca się na drugą stronę i, prześlizgując się poprzez wiszącą na pajęczynie samicę, wskakuje na nią z góry. W tej samej chwili również wsuwają się owe ostre macki jego żuchwy, dzwigające na sobie ładunek nasienia, w pochwę samicy. W tej pochwie jest dość dziwne narzędzie: coś w rodzaju prawidłowego wysuwalnego członka zapładniającego, który nasienie odbiera.

Oto jest moment istotnego zapłodnienia, który trwa około pół minuty. A potem pająk-samiec zeskaakuje natychmiast od tyłu tak samo szybko, jak przyszedł, i wogóle zupełnie odsuwa się teraz od pani Brunhildy. Dopiero po kwadransie zabawa powtarza się znowu, a potem jeszcze częściej, prawdopodobnie dopóty, dopóki ostatnia resztką nasienia samca nie będzie złożona we właściwym miejscu.

Oczywiście, pająk-samica może znieść tyle, ile tylko jej będzie dostarczone. Nasienie bowiem zupełnie lub też częściowo spływa w jej ciele znowu do jednego z owych doskonałych rezerwuarów czy składów, do t. zw. kieszonki nasiennej, w której plemnikowa „rezerwa“ tak długo mieć może schronienie, aż dojrzeją wszelkie jajka, a nawet może tak długo, aż będą złożone. Widujemy przecież, jak samice pajaków po złożeniu jajek jeszcze potem czymś je opryskują; jest to prawdopodobnie to rezerwowe nasienie. Stanowi to zabawną analogję do owego aktu przygo-

towawczego, podczas którego samiec dopiero co dla siebie samego nasienie wydzielił.

Ten akt ostatni zresztą albo właściwie epilog całej tej tragikomedji — stosunek samicy do potomstwa—jest wzruszający nad wszelki wyraz. O ile miłość i małżeństwo w tym chaotycznym życiu pająka były pełne problemów, o tyle macierzyństwo odznacza się czystością absolutną.

Krótką resztą jesiennego okresu w życiu pająka spływa na pełnieniu obowiązków macierzyńskich. Z nadzwyczajną zręcznością przygotowuje matka dla jajek gniazdko z najsubtelniejszych nitek pajęczych. Po złożeniu w nim jajek i po sumiennym zapłodnieniu ich we wspomniany wyżej sposób wszystko to razem matka omotuje pajęczyną i potem strzeże i broni z niezwykłą troskliwością. To stanowi ostatnie zadanie życiowe starej samicy-pająka.

Wylęganie się młodych nie wchodzi już do ziemskiego programu matki. Kwiaty słoneczne więdną i uginają się; astry pewnego dnia się kurczą. Znowu nastaje „epoka lodowa“—zima i koniec świata.

Młode nie potrzebują już żadnej obrony przeciwko zimie. Drzemiąc w swym gęstym futrze-pajęczynie, same zimna nie czują i drzemią tak swobodnie aż do wiosny; natomiast wrogowie, którzyby mogli mu czymś grozić, giną wszyscy od mrozu, który zabija również starą zwiędłą matkę-pająka. Niby zgłodniały, zmarznięty liść jesienny, znajduje się ją pewnego dnia obok potomstwa, które jej już nie potrzebuje...

Czy widzicie blask oczu Madonny ponad starym zielonym płotem ogrodowym? blask, co obejmuje w swej wędrówce nieskończoną miliony lat, rozpięty ponad drogą, wiodącą od krwi do ducha?

Oto dzika samica pająka, co wzrosła ponad pełną grozy jaskinią morderczą, co waha się jeszcze, czy nie pożreć z zimną krwią samca, który jej swą miłość ofiaruje, jak to uczyniła ze wszystkimi jego

poprzednikami, spoczywającymi w dole morderczym...
A oto matka, co do ostatniego tchnienia czuwa nad
kołyską... Z takich kontrastów ukuła przyroda to,
co dzisiaj zwie się miłością.

zajączy się musiał tym obcym dla siebie światem. Ale—istotnie czyniłby to tylko z przykrego obowiązku — zużywałby na to możliwie mało czasu. Potym wracałby znów do domu, do prawdziwego wielkiego królestwa ducha, jak wraca człowiek kulturalny z bieguna północnego. Wychowanie dzieci należałoby wyłącznie do mężczyzn. Przyszłość musi przynieść coś w tym rodzaju — niewątpliwie. Przynajmniej było w tym wszystkim wielkie pragnienie przejrzania mgły, przesłaniającej przyszłość...

Jeszcze go widzę, jakby to było dzisiaj, kiedy mi wywodził to wszystko w szarych barwach ten szary, bezbarwny człowieczek. Był dzień dżdżysty, woda się lała. A ja myślałem o metamorfozach Owidjusza i o tym, w co przeobraziłby tego żółcią przeпоjonego syna ziemi ów duch starego pogodnego poety.

Ciało twoje, kochanku (myślałem sobie), i tak już przez żółć skurczone, zmniejszyłoby się do rozmiarów drobniotkich—do 8 centymetrów. Z tyłu wyrósłby ci zgrabny ogonek rybi, kończyny twoje stałyby się pletwami, plecy twoje i brzuch połyskiwałyby delikatną srebrno-zieloną łuską.

A wszystka szorstkość twego ducha i pogarda dla kobiet wyobrażona byłaby przez parę długich, ostrych, jak włos, kolców, które sterczałyby z ciała jako mordercze ostrze, tak że najsroższy szczupak byłby cię z przyjemnością wypluł, gdyby mógł to zaraz uczynić, bo wpijałbyś mu się w podniebienie, jak jeż wpija się kolcami w psią mordę.

Słowem, byłbyś naszą najswawolniejszą rybą—ciernikiem. A spotkałoby cię to nie tylko jako kara za twoją duszę kolczastą, ale i dlatego, że ten ciernik tam w milczących głębiach wód urzeczywistnił już wszystko, czegoś ty się spodziewał od przyszłości, przeпоjonej nienawiścią dla kobiet.

O jakżeż kruche są nasze sny ludzkie! Tworzymy najwspanialsze utopje, rozpinamy nowe sklepienia niebieskie ponad tajemnicą obłoków, sięgamy 3000-go

roku i lat jeszcze wcześniejszych. A przyroda w istocie oddawna już nas w tym wszystkim wyprzedziła, wszystko to wypróbowała skrupulatnie przez doświadczenie, zdobyte w ciągu dawno minionych stuleci; sądziła jednak, że jest to zbyt łatwe, ażeby móc to wcielić w wielką linię świetlaną, łączącą zwierzę z człowiekiem. I oto dziś ma to tylko dla nas znaczenie jakby relikwji, czegoś w rodzaju urokliwych oczu, wytrzeszczonych na nas z zapadłego jakiegoś bagniska...

Samiec, po trzykroć samiec jest bohaterem całego eposu życiowego ciernika. Samica jest tam w najlepszym razie tylko epizodem. Samiec jest wyobrazicielem całej moralności gatunku i istnieje nie tylko jako indywidualium dla celów własnych, ale jest niejako obywatelem wyższej społeczności, która jako gatunek trwa poprzez tysiącolecia. Samica jest wobec tego rzeczywiście niczym innym, jak cyganką-tułaczką, co żyje z dnia na dzień bez poczucia jakichkolwiek obowiązków. Ażeby tak być mogło, potrzeba w każdym razie powikłanej historii romantycznej, która snuje się w zielonych głębiach wód.

Pan ciernik ma z natury w swym charakterze coś gderliwego, despotycznego, niesympatycznego. Swarzy się bezustanku ze swojemi towarzyszami; i tylko wtedy, kiedy w pobliżu ukaże się nagle jakiś wróg spólny, np. jakaś ryba drapieżna, która nie boi się lub nie zna zgoła kolców małych potworków naszych, wtedy całą bandę takich swarliwych cierników ogarnia przemijające uczucie solidarności w celu wspólnej obrony.

Dla kolczastego indywidualisty o zakusach zbójnika nie istnieje wcale samica w sensie istoty miłości godnej lub w charakterze wiernej towarzyszki w godzinach walki i pracy.

Zdarza się niekiedy, że podczas wyprawy na łup dostaje się pomiędzy „kobiety“, które trzymają się zazwyczaj zdaleka w postaci wyodrębnionej grupy, po większej części w pobliżu powierzchni wodnej, pod-

czas kiedy samce zamieszkują głębie. Ale i podczas takiego przypadkowego zetknięcia zamiast miłości natychmiast wybucha kłótnia, bijatyka i kłucie się wzajemne, które trwają tak długo, dopóki samiec nie rozpędzi samicy i nie odbierze im łupu albo też dopóki jakaś specjalnie dzielna samica nie zada porządnego ciosu natarczywemu samcowi i ten, jak marny strzelec, któremu nabił guza jeleni, nie cofnie się do swego powiatu.

Tak bywa w dni powszednie. Ale nastaje chwila, kiedy ciernik-samiec odczuwa jakieś dziwne podniecenie wewnętrzne, podniecenie, które w życiu tworów zwierzęcych tak bezwzględnie przejawia się na zewnątrz. Z wielkiego związku komórek, stanowiących ciało samca, oderwały się pewne komórki: w oznaczonym miejscu wewnątrz ciała samca nagromadziła się substancja, w której niezliczone małe indywidua komórkowe dążą ku wyzwoleniu: nasienie posiadało swą siłę rozpędową i chce się wydostać na zewnątrz, ażeby również i istnienie indywidualne ciernika przedłużyć w życie gatunku, nadać mu cechę nieśmiertelności z gatunkiem związaną.

Jest to święta chwila, chwila, kiedy czasy młodzieńcze bezwzględnej dewizy: „pogardzaj kobietą“ zwykle przeobrażają się w okres wielkiej namiętności, w pełen radości i smutków okres szukania i odnajdywania cech wiecznej kobiecości.

Ale u naszego ciernika dzieje się zupełnie inaczej. Ferment i jego również wyprowadza z równowagi. Już przedtym, w chwilach silnego afektu, w gniewie i w największym zapale walki posiadał on zdolność nagłego przeobrażania bladych, zielonych i srebrnych barw swego ciała w barwy, błyszczące jaskrawo; wtedy brzuch przez błyskawiczne przemknięcie się fali barwnej stawał się purpurowym, plecy przybierały barwę szmaragdową, a tęczówka oka ciemnozieloną. Teraz, kiedy pod wpływem stałego podniecenia wibrują wszystkie nerwy, te wspaniałe barwy stają

się strojem zwykłym: nastaje okres, zwany „strojem weselnym“. Ale ciernik zdaje się teraz być jak najdalej od myśli o weselu.

Jeżeli przedtym był mąciwodą i niepoprawnym zawadką, to teraz, kiedy wdział ową pstrą szatę, owładnęła nim jakby najzupełniejsza pogarda dla świata i spółtowarzyszów rybiego rodu. Jego żółciowy temperament teraz znajduje sobie ujście istotne, i owa barwa czerwona, niby cecha weselna, wyobrażać ma tylko rozindyczonego na stałe fanatyka indywidualizmu, fanatyka, którego wścieka już sam widok innego stworzenia.

Naraz zaprzestaje on swobodnego bujania po wodzie. Szuka sobie stałego miejsca, skąd, jak się zdaje, nie ma już zamiaru ustępować. Ktokolwiek się zbliża, bądź samiec, bądź samica, tego przepędza z wściekłością. Ale kiedy teren jest wolny, kiedy dookoła panuje cisza, pozwalająca na pracę w zupełnej samotności—rozpoczyna on swe dzieło tajemnicze.

Zrazu gromadzi wszelki materiał, jakiego dostarczyć może dno morskie: korzenie, kawałki roślin wodnych, trzcinę i źdźbła rozmaite. Niejedną rzecz odpowiednią wyrywa dopiero siłą stąd czy zowąd i na próbę raz jeszcze wypuszcza z łap, chcąc się przekonać, czy jest materiałem zbyt lekkim, który unieść może płynąca woda, czy też padnie na dno i sama własnym ciężarem utkwii gdzieś mocno w ziemi.

Bierze tylko rzeczy cięższe — liść ciężki lub takąż trzcinę, bo takie tylko przydać mu się mogą. I podobnie jak szpak wlecze za sobą nitki słomy, jakby chorągiewkę, tak samo i ciernikowi nie robi żadnej różnicy wędrować z kawałami roślin w gębie o większej długości, niż całe jego ciało.

Zdobyty materiał surowy nagromadzany bywa w odpowiednim miejscu, w wodzie słodkiej (żyje on bowiem tak samo tu, jak i w morzu), przeważnie na dnie piaskowym, gdzie woda nie stoi, a płynie szybko i przezroczo, i tam z niezmierną skrętnością cier-

nik stopniowo z jego materiału tworzy kunsztowną i trwałą budowlę.

Fundament stanowi zagłębienie w piasku; ziarnka żwiru służą za podporę. Na tym wznosi się stopniowo okrągławe sklepienie z materiału roślinnego. Ściany rosną wciąż dzięki temu, że mały budowniczy (ciernik wszak nie ma przeważnie nawet 10 centymetrów długości, a często daleko mniej) układa korzenie i źdźbła — warstwę za warstwą — i zlepia je kitem, jak prawdziwy mularz.

Wapno czyli kit ma on we własnym ciele. Kiedy warstwa surowego materiału leży niezlepiona z resztą, rozciąga się on na niej swym ciałem i skrapia ją grubą kroplą lepkiej jakiejś substancji, która zaraz mocno zlepia materiały pomiędzy sobą i z podstawą. Od czasu do czasu, kiedy stanęła już szczęśliwie część ściany skupionej, rzuca się całym ciałem na swe dzieło, próbując, azali może być jeszcze zniszczone przez nacisk; albo też gwałtownym ruchem pletw burzy ponad swą budowlą wodę, ażeby mocą pewnego rodzaju doboru porwane zostały przez wir wszystkie niezupełnie jeszcze umocowane części, niby plewy, i ażeby w ten sposób ujawniły się miejsca, gdzie należy użyć jeszcze kitu.

Cała praca wyda się tym cudowniejszą, jeżeli zważymy, że mularz jest przecież rybą, która nie ma rąk, a niezręczne pletwy; że właściwie chwyta on literalnie całym ciałem; że łączy wszystko pomiędzy sobą, przesuwając się, naciskając, wywijając i wirując, albo najwyżej pomaga sobie gębą, gdzie w szczękach przeprowadzony jest bardzo delikatny ścieg miękkich, jak aksamit, zębów.

Tak upływa godzina za godziną naszemu samotnikowi w niestrudzonej czynności. Potrzeba tylko czterech godzin, ażeby budowla stanęła, kilka zaś dni pełnych trwa obrobienie szczegółów.

Wreszcie dzieło sztuki jest gotowe: jest to teraz mocne sklepienie mniej-więcej wielkości pięści, od

góry zupełnie zamknięte, natomiast z boku posiada otwór szerokości ciernika. W końcu jeszcze obsypuje on swoją budowlę wielokrotnie iłem lub piaskiem, tak że za tym otworem wogóle niema do niej żadnego dostępu ani nawet jej widać.

Ciernik budował nie tylko dla siebie. Celem istotnym jego pracy nie była cela pustelnika. Zbudziła się w nim owa zagadkowa struna, owo tajemnicze przecucie jakiegoś istnienia poza własnym, przecucie tych młodych istot, które jego nasienie ma dopiero stworzyć i w których przetrwać ma gatunek.

Owa cela na dnie stawu, z takim trudem sporządzona, jest gniazdem, przeznaczonym na to, ażeby ochraniać tam młode w okresie najwcześniejszym ich rozwoju.

To tylko jest właściwością ciernika-samca, że, jako przyszły ojciec, buduje to gniazdo zupełnie niezależnie od samicy.

Jej nigdyby to na myśl nie przyszło. Samice ciernika z cygańską swobodą wałęsają się w dalekich głębiach wód, a tym samym samotnikowi w tajemniczej wizji wyłania się pojęcie „potomstwa“. I oto bierze się on do pracy dla gatunku, posłuszny głosowi wewnętrznego obowiązku. A teraz, ponieważ gniazdo jest już gotowe, już same cele zachowania gatunku wymagają, ażeby, chcąc nie chcąc, chociaż na pewien czas zająć się „samicą“. Tu modlitwa nie pomoże — jak mówi Falstaf.

I oto teraz musi ciernik zakosztować trochę kwaśnego jabłka, okrzesać trochę na pewien czas swą szorstkość pustelniczą i sam zdobyć w jakiejkolwiek postaci owo przykre, ale niezbędne uzupełnienie — „samicę“. Postępowanie jego w tym względzie niepodobne jest, co prawda, do uczciwych konkurów, a raczej ku wielkiej rozpaczypomina niezmiernie zachowanie się rozpustnego kawalera, który zapalił sobie w piecu w swym ładnym pokoiku i szuka na ulicy kobiety dla celów bardzo przemijających...

Ciernik odpływa od swego gniazda i po pewnym czasie wraca do domu z jakąś samicą. Zdobywa ją bądź w ten sposób (tu zdania uczonych się rozcho-
dzą), że wykrył ją gdzieś, kiedy przepływała w po-
bliżu, i zwabił swą budowlą, bądź też, inaczej, że
wdarł się w sam środek obozu niewieściego i tam wy-
jątkowo (być może ze względu na swe barwy wesel-
ne) nie został, jak to bywa zwykle, obity, a znalazł
uprzejme przyjęcie ze strony jakiejś bardziej zgodli-
wej istoty. A kiedy już wreszcie zostaje na cztery
oczy z cyganką, idzie mu to oczywiście w smak. Ra-
dośnie pieści ogonkiem samicę, która, jak się zdaje,
sama jeszcze nie wie dobrze, na czym polega jej rola
przed ową pustelnią.

Samiec w jej obecności wpada przez otwór w gniaz-
do, zamiata dokładnie wewnątrz jeszcze po raz ostat-
ni i przy pomocy rozmaitych ruchów daje jej do zro-
zumienia, że byłoby do życzenia, ażeby sama pani
Ciernicka we własnej osobie raczyła wnijsć. Jeżeli
teraz ona udaje głupią, to w samcu ujawnia się po-
niekąd jego dawna szorstkość: dość obcesowo napiera
na nią, łechcze ją kolcami i bije ogonem. Powinna
i musi wejść do wnętrza gniazdzka.

Jeżeli i to nie pomaga, wtedy cierpliwość nar-
zeczonego z obowiązku się wyczerpuje: może mieć
„więcej kobiet“, jeżeli zechce, więc wygania brutal-
nie idyotkę i sprowadza sobie drugą samicę.

Ale w końcu pierwsza czy też któraś następna
nabiera rozumu, wślizguje się do gniazda — i wtedy
naraż pojmuję oczywiście właściwy sens tego wszyst-
kiego: tam złożyć powinna swoje jajka...

Jak u wszystkich ryb, tak i tu potrzebny jest
u samicy pewien stopień pobudzenia płciowego, któ-
re miało dość czasu się nagromadzić w ciągu dłu-
giego okresu, poprzedzającego właściwe odwiedziny gniaz-
da, i oto teraz wyładowuje się ono w normalny spo-
sób. Prawdopodobnie i samiec daje jeszcze ostatni
impuls płciowy, wsuwając się za samicą do gniazda

i z boku trąca ciało swoje o jej ciało. W każdym razie samica rzuca gwałtownie dwa albo trzy jajka; wtedy dzikim rzutem wydostaje się z gniazda po przeciwnej stronie, które w ten sposób ma już teraz drugi otwór, i ucieka do domu do swych towarzyszek, do swobody cygańskiego obozu samiczek-Ciernickich.

Tymczasem samiec również dosięgnął szczytu w swych uczuciach miłosnych. Zaledwie samica złożyła jajka i uciekła, on już jest na nich i wylewa na nie potrzebną ilość nasienia, ażeby je zapłodnić. Losy samicy samej od tej chwili zupełnie go już nie obchodzą.

Z jednego tylko zdaje sobie sprawę: że z tą parą jajek daleko mu jeszcze do wypełnienia obowiązków względem gatunku. Nie tylko może, ale musi mieć jeszcze więcej samic. Nazajutrz znowu udaje się na wyprawę, znów według tej samej zupełnie modły sprowadza sobie odpowiednią narzeczoną, która mu też składa większą liczbę jajek. Pojęcia monogamiczne są mu najzupełniej obce. „Kobieta“ (w cudzysłowie) ma dla niego jedno tylko przeznaczenie, mianowicie: składanie jajek; jakowaś *i n d y w i d u a l i z a c j a* tych istot cygańskich nie wchodzi zupełnie w rachubę, jeżeli pominiemy fakt, że niektóre z nich są tępione jako zupełnie nieudolne, co nie nadają się nawet do składania jajek. Z chwilą kiedy uzyskana została dostateczna liczba jajek, ustaje wogóle wszelka przyjaźń z samicami.

Biada samicy — bez względu na to, czy to jest ta posiadana, czy też obca — biada tej wogóle, co chce się zbliżyć do gniazda, które odtąd znów jest wyłączną posiadłością samotnika. Wygania się ją wtedy z bezwzględną brutalnością. Brutalność ta nabiera zresztą łagodniejszych odcieni, skoro się zważy, że samice, mianowicie te, które samiec był posiadł, pozbawione są zupełnie uczuć macierzyńskich i o nic nie starają się tak usilnie, jak o to, ażeby potym jeszcze raz zdobyć siłą gniazdo, zrabować jajka zwyczajem cy-

gańskim i pożreć je, co przewyższa już nawet sposób obchodzenia się z dziećmi cygańskimi...

Jeżeli takie niebezpieczeństwa nie grożą, znowu rozpoczyna się dla ciernika, który już teraz jest ojcem, okres cichego, poważnego, ale oględnego pełnienia obowiązków, podobnie jak to miało miejsce wtedy, kiedy w samotności budował gniazdo swoje.

Jajka spoczywać muszą około dziesięciu dni w sklepieniu iłowym, ażeby dać życie drobnym młodym rybkom.

W ciągu całego tego czasu ciernik stary ani przez chwilę nie opuszcza gniazda. Czujnym wzrokiem spozstrzega najdrobniejsze uszkodzenia w małej kuli kunsztownej, stwarzane przez wir wodny, i naprawia je natychmiast. Często zjawia się u któregośkolwiek otworu w gnieździe albo wewnątrz i scicha podryguje tam swemi płetwami piersiowymi i, w ten sposób poruszając wodę, dostarcza jajeczkom tlenu, którego potrzebuje ich ukryte życie zarodkowe. Ma się wrażenie, jak gdyby każdy taki ciernik-rodzic ujawniał w swym postępowaniu nieskończony łańcuch zbawionych doświadczeń, doświadczeń, których sam w swym bytowaniu indywidualnym zdobyć żadną miarą nie mógł i które przydadzą się nie jemu samemu, ale dopiero nowemu pokoleniu osobników, pozostających w okresie tajemniczego stawania się...

Wreszcie pewnego dnia zjawiają się młode, nieskończone małe istoty, widoczne tylko przy pomocy szkła powiększającego, istoty, którym zrazu więcej jeszcze potrzeba opieki, aniżeli jajeczkom, ukrytym w gnieździe z ładu. W tej porze zachowanie się ojca wykazywać poczyna rysy wzruszające. Z trudem niszczy on dach gniazda ponad wylęgłym już maleństwem, ale nie puszcza ich jeszcze na wolność w wir życia wodnego. Jeżeli one same, nabierając stopniowo sił, odważnie puszczają się w świat szeroki, sprowadza je ojciec ostrożnie z powrotem do domu, a czyni to

w ten sposób, że płynie za nimi, połyka je po prostu i po powrocie znów wypływa do wnętrza gniazdka.

Jeszcze przez dłuższy czas małe, skupione gęsto w jednym miejscu, wydają się na fali jakby srebrnym płatkami, troskliwie strzeżonym przez starego grubego ciernika z czerwonym brzuchem.

Dopiero kiedy młode dosięgają pewnej wielkości i umieją same dostatecznie się wyżywić (bardzo młode rybki w pierwszych czasach spożywają zawartość woreczka z żółtkiem, który zawlokły z sobą), wtedy słabnie dbałość starego ciernika, i kolonja rybek rozprasza się po szerokim wód obszarze.

Moc uczuć ojcowskich, które ożywiają ciernika w ciągu całego tego czasu, uzupełniona została przez najlepszych badaczy szeregiem długim rysów poszczególnych.

Ciernik, który obrał sobie nierozumnie takie miejsce dla swego gniazda, gdzie bywa odpływ morza, i wraz z uciekającą falą musiał ustępować, wracał za każdym razem wraz z przypływem i naprawiał uszkodzenia w gnieździe. Inny znów, którego gniazdo przeniesione zostało z jednego basenu do innego, odnajdywał je i w dalszym ciągu dbał o nie. Ten sam wierny ojciec zapracował się na śmierć, walcząc z innymi samcami, chciwymi zdobyczy, podczas kiedy od tyłu jego własne obrzydliwe samice zniszczyły mu gniazdo i pożarły jajka. „Marną jest kobieta“.

Rozumiesz teraz, dlaczego opowiedziałem ci o cierniku bezpośrednio po pająku.

Tam byliśmy świadkami spółzawodnictwa pomiędzy zwykłymi niejako instynktami drapieżnymi a uczuciem miłosnym; widzieliśmy, jak samica jeszcze w chwili szału miłosnego żywi względem samca zamiary krwiożercze. A później ta sama samica jest idealną matką.

Tu natomiast u ciernika spotykamy się z konfliktem pomiędzy instynktami drapieżnymi a uczuciami matczynymi: widzieliśmy tu matki, które gotowe są pożreć własne potomstwo.

Ale, jako kontrast, jesteśmy tu świadkami takiego krańcowego wzmożenia uczuć ojcowskich, że fakt ten pokrywa wszystko inne.

W obu wypadkach płci stoją bardzo daleko od siebie do tego stopnia, że, pomijając jedną krótką chwilę, zachowują się wobec siebie, jak wrogowie, jak bezwzględni konkurenci albo nawet, jako przedmiot zdobyczy w walce o byt.

Zdajcie sobie sprawę z odległości, jaka dzieli was od zabawnego Syngamus'a—przypominacie go sobie? — zamieszkującego w przewodzie oddechowym kaczki, gdzie małżonkowie w ciągu całego życia trwali w najściślejszym zespoleniu płciowym; przypomnijcie sobie również owo dziwaczne Diplozoon (zwierzątko podwójne), gdzie dwa obojniaki zrosły się na krzyż...

Zarówno pająk, jak i ciernik, zajmują w łańcuchu rozwojowym miejsce niezmiernie wysokie ponad Diplozoon i Syngamus. Czy nie mogłoby się wydawać, że w miarę rozwoju zwiększa się rozdział pomiędzy płciami, że małżeństwo i ściśle zespolenie płciowe coraz bardziej chylą się ku upadkowi? Aliści jest to tylko złudzenie.

Właściwie pająk i ciernik stoją jeszcze poniżej tego punktu w rozwoju wszechświata, gdzie się zaczyna rzeczywiste małżeństwo. Wprawdzie już przebłyskuje niewątpliwie idea małżeństwa pośród świata zwierzęcego gdzieś daleko poniżej człowieka. Atoli ucieleśnić się mogła ona tylko jako następcze ponowne zezpolenie się dwojga osobników duchowo w sobie niejako zamkniętych, zupełnie samodzielnych pierwotnie. A takie indywidua były dopiero możliwe, począwszy od pewnego stadjum w rozwoju duchowym.

Z chwilą nastania takiego okresu zrazu pierw-

szym jego przejawem musiało być wyodrębnienie zewnętrznie przedstawicieli obu płci.

Od bezmyślnego zrastania się Diplozoon'ów i Syngamus'ów do prawdziwego związku małżeńskiego dwojga wyższych osobników zwierzęcych, gotowych nieść sobie pomoc wzajemną, gdzie podział pracy sięga daleko poza sferę płciową i wkracza w szerszą dziedzinę społeczną, prowadzi droga poprzez otoczone zewsząd tajemnicą stadjum różnicowania, kiedy indywidua — i te nawet, które pod względem płciowym wzajem od siebie zależą — wyodrębniły się od siebie, uzyskały pewną samodzielność. Dopiero kiedy utrwaliła się taka ściślejsza indywidualizacja, mogła znów mocą postępu ukształtować się postać wyższego zespalania się.

I nie ulega wątpliwości, że dziwaczne komedje miłosne zarówno u pająka, jak i u ciernika, noszą na sobie ślady tego stanu przejściowego.

Zastrzec się jednak należy, że widzimy tu tylko stężyły kraniec tego niezbędnego okresu przejściowego; tu mamy do czynienia z tą krańcową ostatecznością, gdzie dwie płci jednego gatunku pająków, wyodrębniając się indywidualnie, tak daleko odbiegły od siebie, że wreszcie, kiedy się jeszcze z konieczności zetknąć muszą, następuje konflikt dwu instynktów: odżywczego i miłosnego.

Atoli oba wypadki (pająk i ciernik) pomimo to wszystko zbliżają nas bardzo ku owemu wyższemu związkowi małżeńskiemu w świecie zwierzęcym, związkowi, który właśnie znów idealniej łągodzi owo spotęgowane przeciwieństwo pomiędzy indywidualnościami płciowymi. Najlepiej wyrozumieć się to daje, kiedy zważymy na nadzwyczajne spotęgowanie uczuć rodzicielskich, po prostu z siłą żywiołową szukających sobie ujścia. Zgoda, że w każdym wypadku uczucia te dotyczą tylko wyłącznie jednej płci, ale znamienym jest fakt, że w każdym wypadku chodzi o inną: raz chodzi o samicę-pająka, a drugi raz o ciernika. Przy innej sposobności pomówimy jeszcze

słów parę o tych uczuciach; uczynimy to wtedy, kiedy w miarę zbliżania się do człowieka cały szlak rozwojowy tych uczuć zaznaczać się będzie coraz intensywniej i dosięgnie wreszcie najwyższego stopnia stężenia. A teraz przypuśćmy tylko, że chodzi o zasadnicze zjawisko życiowe, wprawdzie już teraz zjawisko o bardzo uduchowionym obliczu, które staje się dopiero wyraźnym u zwierząt od chwili, kiedy przejawiać się poczyna duch ludzki.

W każdym razie przez wyłanianie się tego nowego powołania dla indywiduum przerzucony został nowy most do wyższej małżeńskiej lub przynajmniej cechy takiej posiadającej pracy wspólnej i bardziej idealnego ponownego zespolenia się dwóch płci poza właściwym aktem płciowym, i to samo przez się musiało działać jako czynnik regulacyjny przeciw ich nadmiernej indywidualizacji i wyodrębnianiu się.

Pająk i jego samica, ciernik i pani Ciernicka, stanowią każde najściślej wyodrębnione indywidua do tego stopnia, że dochodzi tu do zaparcia się wszelkich uczuć miłosnych, wszelkich stosunków płciowych, wszelkiego „głodu miłosnego“, który hamuje lub niweczy drapieżne instynkty żołądka wobec towarzysza innej płci. Akt płciowy i tu wprawdzie jest nieunikniony, w przeciwnym bowiem razie runęłoby całe ich dalsze istnienie, ogranicza się jednak do jednego odstręczającego momentu, już pomijając to, że w jednym wypadku na skutek konfliktu sprzecznych instynktów związany jest ten moment po prostu z niebezpieczeństwem dla życia. Wydaje się, jakobyśmy tu stali na przeciwległym zupełnie krańcu tego, co rozumiemy pod rozwojem małżeństwa. A jednak i tu pośród takiej fazy krańcowego rozdziału płci wyłaniają się w stosunku do potomstwa gorące uczucia macierzyńskie u samicy pająka, u ciernika zaś odpowiednio silne i trwałe uczucia ojcowskie.

I oto indywiduum dotarło w swym rozwoju do

takiego punktu, kiedy mogłoby się wyzwolić z więzów płciowych, i oto pod pewnym względem, mającym znów przynajmniej pośredni związek z płcią, czuje się z czymś zespolone, co sięga poza samodzielność indywidualną. A co by się stało, gdyby stąd jednak znowu wyłoniła się nowa potrzeba spółzycia? Gdyby się okazało, że samica pająka i ciernik same nie umiałyby dostatecznie sprostać swym obowiązkom rodzicielskim i drugiej potrzebowałyby do tego istoty?

Oczywiście, druga płć byłaby i tu naturalną towarzyszką. Gdyby się więc stało, że budową gniazda zainteresowałyby się również pająk i samica ciernika, zamiast żeby ta czynność spoczywała wyłącznie na barkach samicy pająka i ciernika?

Czy widzisz, jak rozprasza się gęsta mgła poranna, a w tym miejscu jawi się szlak purpurowy?...

Nie będzie to nowy jakiś związek syngamusowy, gdzie małżonkowie w ciągu całego życia złączeni są cielesnie, jak dwie zrosnięte kiełbasy. Będzie to zupełnie nowy związek obronny pomiędzy dwoma osobnikami, zrazu zupełnie ściśle wyodrębnionymi indywidualnie, związek, zawierany w celu obrony małych, budowania gniazda i jego ochrony.

A potem z tego nowego idealnego związku, który sam stanowiłby krańcowe przeciwieństwo ponownego zrastania się i skłębiania cielesnego, wyłoni się zwykły popęd miłosny mężczyzny do kobiety, niejako na drodze rozwoju wstecznego, ale też nową siłą brzemiennej, wywyższonej, uduchowionej popędu, któremu towarzyszyć będzie zupełne poszanowanie wzajemne dla obu indywidualności płciowych — powstanie wyższe małżeństwo w świecie zwierzęcym. A to wyższe zwierzę—to człowiek!

Rzućcie raz jeszcze przelotne spojrzenie na całą drogę przebytą — wstecz aż do mgławicy, która spowija starą bajkę o karzełkach. Na początku wogóle nie było zupełnie rozdziału płci; pierwsze rozmnaża-

nie się przychodziło do skutku przez podział komórki. Później niejako z potrzeby przewyciężenia tego zwykłego podziału następuje w drodze powikłanego rozwoju okres zlewania się, stanowiącego etap wyższy w rozmnażaniu się istot żywych. Dwie komórki szukają się—i stapiają się z sobą; jedna mała—męska—i jedna wielka—żeńska. Komórki poszczególne tworzą później zrzeszenia komórkowe; każde z tych zrzeszeń wytwarza pewną liczbę męskich albo żeńskich komórek w celach następczego zlewania się wzajemnego — i oto powstają męskie i żeńskie osobniki wielokomórkowe, jakby ustroje drugiego stopnia.

W tych samcach i samicach walczą teraz dwie zasady. Jedna — to wciąż naprzód postępująca sprawa indywidualizacji, która wyodrębniła jedno zwierzę od drugiego, jedno indywiduum od drugiego, wreszcie samca od samicy. Druga zasada — to prastary instynkt miłosny, który zniewala oboje wzajem do siebie conajmniej do jednego aktu, do aktu zapłodnienia, ale i naogół musi od czasu do czasu budzić w nich uczucia pewnej sympatji wzajemnej, której wynikiem ostatecznym będzie całkowite, trwałe zespolenie się. Niekiedy w biegu rozwoju spotykamy się z przewagą ostatniej zasady; widzimy przypadki, gdzie dochodzi do ponownego zrastania się dwu istot: oto Diplozoon, które już przedtym było hermafrodytycznym stworzeniem, dalej Syngamus — i wiele innych jeszcze. Atoli w tych próbach prostackich w jednym widzimy kierunku jakiś pierwiastek wsteczny: widzimy upadek indywidualności ściśle wyodrębnionej. Jakże mizerne są np. owe samce dodatkowe u raków-wąsowców, jakże śmieszne są te tanhojzery w zielonej Bonellii! To krok wtył! Wszakżeż właśnie ta druga zasada, mająca przede wszystkim na celu odgraniczać i indywidualizować, jest niewątpliwie wyższa. Naogół biorąc—tak! Ale jeżeli staje się zbyt krańcową, to i ona ma złe strony. Niekiedy rozgraniczanie płci sięga tak daleko, że prawie zupełnie odbiegają od

siebie. Wtedy niema zupełnie miłości pomiędzy nimi, zdarzają się tylko wstrętne podstępne chwile, w których odbywa się zapłodnienie. Widzieliśmy małżeństwo pajęczę, które się wzajem pożera; widzieliśmy, jak ciernik sprowadza sobie samicę, niby prostytutkę, ażeby ją zaraz potym wypłoszyć. A więc i tu jest coś nienaturalnego. A jednak jest to pomost ku czemuś wyższemu wiodący. Poprzez usprawiedliwiony system indywidualizacji i nawet wyodrębnianie osobników dwóch płci przechodzi przyroda do nowej postaci spółzycia. Oto pielęgnowanie dzieci! Uczucia rodzicielskie nakazują rodzicom przestawać z sobą dłużej, niż tego wymaga sama chwila zapłodnienia. Chwila ta podporządkowuje się nowej, wyższej, idealnej sile tego dobroczynnego pierwiastka, który stanowił jednak jądro i owej drugiej zasady (zespolenia płciowego). I na tym podłożu rozwija się spółzycie rodziców również i w okresie właściwego obcowania płciowego, kiedy dzieci jeszcze niema, spółzycie, które pozostawia jeszcze swobodę indywidualności; następuje wreszcie zupełnie pokojowy związek pomiędzy płciami, który jednak jest tak daleki od wszelakiego zrastania się, jak niebo od ziemi, a raczej zachowuje charakter wyższego, uduchowionego związku społecznego. I powstaje małżeństwo.

Jeżeli w ten sposób — w perspektywie rozwoju historycznego — spoglądać na małżeństwo, to natychmiast również spostrzec można niebezpieczeństwa ruchu wstecznego, które dziś jeszcze i nad nami wciąż wiszą. Największe z nich — to niebezpieczeństwo znów wzbierającego prądu, którego treścią jest pogwałcenie jednej płci, niebezpieczeństwo powrotu do typu, którego wyobrazicielami są Bonellia i rak-korzenio-wiec. Tam samce były zwyrodniałe; ale i samica może przejąć na siebie tę rolę. U pająka samica jest jeszcze silniejsza fizycznie, a u ciernika już nie. Wyobraźmy sobie teraz chwilę, kiedy rozwój zwierzęcy wstąpił w krąg świetlany, na którym widniał napis:

„człowiek“—z samicą słabszą! Czy wyobrażacie sobie tę wielką walkę, którą przeżyć musiała ludzkość?

Wraz z ludzkością w s z y s t k o wypłynęło na światło dzienne, wszystko, co się wywyższyło, zostało uświęcone wśród walk tysięcznych; i uświęcone zostało małżeństwo, otoczone aureolą tego, co jest najwyższym wyrazem człowieczeństwa. A w małżeństwie został jednocześnie przyłożony topór do owego starego korzenia, z którego tyle wyrosło nieszczęść: starano się uniknąć pogwałcenia w małżeństwie jednej indywidualności płciowej. Zostało uratowane małżeństwo samo, ale zarazem uratowana została absolutna indywidualność kobiety jako człowieka, żyjącej obok człowieka.

Z pająka-samicy, która pożera samca, oraz z cieniaka, którego samica prowadzi gnuśny żywot cygański, powstało małżeństwo pomiędzy człowiekiem a człowiekiem, oparte nie na jakichś małostkowych prawidłach chwilowo obowiązującego kodeksu moralnego, ale na potężnym motywie użyteczności, na zasadzie idealnej stowarzyszania się w celach obrony. Obowiązuje w nim jednak niechybnie jeden niezbędny warunek: absolutna swoboda wewnętrzna obojga indywidualności jako takich, zarówno mężczyzny, jak i kobiety; najśłabsze uchybienie temu warunkowi niszczy całą budowlę. Wiadomo wszak, do jakich nieskończonych zawikłań to dziś jeszcze prowadzi. Prastary konflikt nie znalazł jeszcze w nas, ludziach, ostatecznego rozwiązania. Istotne małżeństwo po większej części dopiero zdala nam przyświeca, niby prawdziwa gwiazda przyszłości, zamiast być prastarą, uświęconą tradycją, w którą „wierzyć“ tylko należy, ażeby ją osiąść. Nie wstecz, a przed siebie patrzeć musimy, ażeby takie małżeństwo zrozumieć. A dziś zwłaszcza oszałamia nas potok sprzeczności, bardziej wezbrany, niż kiedykolwiek, potok, którego źródło sięga poprzez miliony lat do najodleglejszych początków świata zwierzęcego i jest o wiele starszy, aniżeli człowiek wogóle.

Na podłożu epoki historycznej, która usiłowała raz jeszcze pogwałcić, poniżyć godność kobiecą, piętrzyć się znów zaczyna przed oczyma waszemi protest, domagający się wolności indywidualnej. Reakcja ta sroży się z taką siłą, że, zda się, pochłonie małżeństwo całe. Ale szął minie, przeciwieństwa znów się zrównoważą. Przyjdzie czas, kiedy się to wszystko ułoży, a wtedy wy, ludzie dzisiejsi, będziecie znów tylko tym, czym są dla was obecnie Diplozoon i Syngamus, Bonellia i rak-korzeniowiec, pająk i ciernik. Dlatego też nie pogardzajcie temi starymi bojownikami. Uczcie się od nich. Nie zakrywajcie sobie oczu, jak gdyby to był dawny jakiś obłąd przyrody, któremu się przyglądacie. To w a s z własny obłąd—jeżeli to jest obłądem. Atoli, jeżeli wierzycie w światło nieskończonego następstwa wszechrzeczy, z którego, niby pył srebrny, padają światy; jeżeli wierzycie w światło w samych sobie, w oczach swoich przesłonecznionych, słońcem pijanych — zrozumiecie, że i to, co tam żarzy się cicho, niby gwiazdka błękitnawa, jest już waszym światłem...

Ciernik jest rybą, należącą do klasy t. zw. ryb cierniopletych. Niedaleko poniżej tej klasy odchyliło się drzewo genealogiczne człowieka od takiegoż drzewa ryb, ażeby poprzez trytona, płazy i gady wytworzyć ssaka. A ryba stanęła na etapie rozwojowym ciernika, z ssaka zaś powstał człowiek. Dziś odległe gałęzie wielkiego pnia rodowego znów naginają się ku sobie. Jeden jest panem ziemi i prędszej czy później rozstrzygnie o losach drugiego według swego widzimisie. Mały ciernik nie przedstawia nic dla podniebienia ludzkiego—niektórzy uważają go po prostu za coś niezdrowego; więc zapewne pewnego dnia człowiek wytepi go wraz z jego dziwacznymi tradycjami miłosnemi.

Atoli mimowoli wyobrażamy sobie taki moment:

gdyby, przeciwnie, w stawaniu się człowieka sam ciernik był jednym z licznych ogniw? Gdyby dziś nie człowiek był panem ziemi, jak to jest w istocie, ale jacyś potomkowie cierników, mieszkańców wód modrych?

Ciernik, przeobrażony w zwierzę pierwszego rzędu, zwierzę uposażone duchowo, byłby może pośród innych przemian przekazał kulturze swoją zawiłą metodę miłosną. Jakżeby to na pozór zmieniło sytuację! U podłoża historii kultury stanąłby kodeks moralny, który uważałby matkę za naturalnego wroga jej dzieci. Prawo, które ujęłoby to w formę lapidarną, musiałyby ściśle przestrzegać dwóch zasad odrębnych: czcisz ojca swego i — nienawidź matki swej. A mędrzec nad jeziorem Gienezaret w tej ludzkości z ciernika powstałej, mędrzec, który pragnąłby tak szeroko pojąć miłość, jak nikt jeszcze przed nim tego nie uczynił, któryby dla miłości zechciał odwrócić wszystkie obowiązujące dotąd prawidła moralne, doprowadzając je do ich ostatecznego przeciwieństwa, nie mógłby znaleźć bardziej jaskrawego, bardziej potwornego przykładu ponad aforyzm: kochajcie nawet matkę swoją...

Prądy ówczesne wezbrałyby wtedy zapewne z siłą szaloną i pochłonęły owego mędrca za takie żądanie kacerskie. Ale później, stopniowo, z trudem, prawie z rozpaczą przyzwyczajając się do tego, społeczeństwa byliby wreszcie uwierzyli, podobnie jakżeśmy zrozumieli albo przynajmniej rozumieć poczynamy, że należy kochać wszystkich ludzi.

Atoli najbardziej interesującym w takich marzeniach — to świadomość, że na ogół rzeczy jednak w końcu byłyby się ukształtowały tak samo, jak dziś.

Walka ludzkości o wolność toczyłaby się może musiała u jednej krawędzi o parę tysięcy lat dłużej. To, co nasza ludzkość odziedziczyła już po zwierzętach, tamta musiałaby dopiero zdobywać w zakresie

własnej kultury. Ale jednak zdobyćby to musiała — z absolutną pewnością! Rzeczywiście zjawiłby się pewnego dnia ów wielki zwiastun miłości macierzyńskiej. Miłość macierzyńska — to etap po drodze ku wszechludzkiej miłości. My mieliśmy tę miłość macierzyńską za punkt wyjścia — tam trzeba byłoby dopiero ten etap zdobywać; ale nastąpićby to musiało tą samą drogą logicznego rozwoju.

Na tym właściwie polega cała pouczająca strona tego procesu myślowego, i oto dlaczego zaprzętnąłem nim tutaj waszą uwagę. Oczywiście, w przebiegu historycznym było koniecznością wewnętrzną, że „człowiek“ wywiódł się nie z ciernika i jego potomków, a z innej linii kręgowców, stanowiącej wcześniejsze rozgałęzienie tego pnia ogólnego. Musiały istnieć po temu pewne poszczególne przyczyny w przebiegu rozwojowym. Atoli często właśnie się zdarza dziś, że ktoś powierzchownie obznajmiony z pojęciami darwinistycznymi chętnie uważa „wypadki“ w takim rozwoju jako coś bezwzględnie. Co więcej — poczytywane bywa za rzecz wypadkową wszystko, cokolwiek w procesie stawania się człowieka przekazane było dziedzicznie tą drogą, a nie tamtą, t. j. poprzez salamandrę zamiast przez ciernika: kawałek giętkiej materji kostnej, kawałek substancji nerwowej lub wreszcie jakaś odmienność w sposobie oddychania! I gdyby nie było tego nikłego cienia przypadkowości, to według tego rozumowania wystrzeliłby u szczytu inny zupełnie fajerwerk!

Ale ile jest w tym prawdy? Przecież koniec końców wszelkie opóźnienie musiałyby być powetowane, i rezultat byłby jednak ten sam. Gdyby „przypadek“ pokierował inaczej, naogół nie zmieniłby się zupełnie właściwy bieg rzeczy, mógłby tylko pewien szereg porządkowy zjawisk ulec pewnemu kalejdoskopowemu przesunięciu. Pewne rzeczy, które w innych warunkach stałyby się wcześniej, musiałyby być póź-

niej powetowane, natomiast w innych rzeczach znowu działałyby się przeciwnie.

Rozumiecie, o co mi chodzi — nieprawdaż? Właśnie tak krańcowo odmienne wyobrażenie sobie wszechrzeczy, jak w przykładzie z ciernikiem, może raczej wszystko inne mieć jako rezultat, niż zachwianie pod nogami naszymi gruntu, na którym oparte są nasze rzeczywiste ludzkie zdobycze kulturalne. Owszem, grunt ten umacnia się właśnie dzięki temu. Dopiero wtedy poza wszystkimi możliwymi zmianami, zależnymi od przesuwania się kalejdoskopu zewnętrznych zjawisk i „przypadków“, uświadamiamy sobie dokładnie i niewzruszenie to niezmiennie, nieubłagane logiczne „wzwyż“. Tylko w jednym wypadku doznacie niezadowolenia: jeżeli, zamiast przysięgać na ideę rozwoju, uczepicie się jakiegokolwiek zewnętrznej formułki moralnej, jakiegoś zjawiska etycznego na drodze, którą przebyła kultura ludzka, i w czym zechcecie gwałtem doszukiwać się jakiejś gwarancji absolutnego „porządku świata“ przez stałe zespolenie się z tym zjawiskiem.

Zaprzepaść głowę swą w dziko rosnącym wrzocie, niby w czerwonej koronie cierniowej; tę swoją umęczoną głowę ludzką, na której ciąży tyle filozofji; tę głowę, która ma pojąć wszystko: od płomienistego pasa Orjona aż do kuli Volvox, toczącej się, niby cały świat odrębny, po kropli wody ziemskiej.

Zaprzepaść głowę swą w tym wrzocie—i słuchaj. Słyszysz cichy brzęk pszczoły, co śpieszy z kwiatka na kwiatek? Oto rozpływa się w poświacie jako błyszczący pyłek słoneczny, i delikatna melodia jej skrzydełek dźwięczy w oddali. I tu filozofja, wszędzie filozofja... I tu znów, w tej małej pszczołce we wrzocie, odkrywa się przed oczyma naszymi cały świat problemów i cała głębia filozofji miłości.

Czy znacie legendę o tym świętym, który skar-

żył się swemu Bogu, że świat jest za ciasny dla szerokiej myśli jego? Wtedy Bóg odsłonił przed oczyma jego tajemnice w pyłku słonecznym zawarte. Minęły lat tysiące, zanim Bóg ów zjawił się znowu za ziemi, a święty wciąż jeszcze siedział z oczyma wlepionymi nieruchomo w pyłek słoneczny—dopiero był na początku samym...

Idźcie myślą swą w ślad za pszczołą. I jej ciche, senne, delikatne brzęczenie stanie się dla was potężną melodją. Naraz owionie was atmosfera miłości, która stała się państwem miłości, co w państwie weszła i, choć spojona trwałemi więzadłami „państwa“, w końcu mimo to napotkała mur nieprzebyty...

Smutna to właściwie melodja, ale potężna za to, jak mało jaka. Znasz ją zaledwie trochę. Zapewne słyszałeś o pszczole i jej państwie, o trutniu i o matce-królowej. Słyszałeś pobieżnie, jak się słyszy dziś o tysiącach rzeczy. Przecież to jest właśnie cechą charakterystyczną społecznego wykształcenia, że wrzuca ono w głowę niezliczoną masę rzeczy, od Orjona począwszy aż do wymoczka—ale wszystko, jako wyraz.

I wszystko, zdaje się, kończy się na wyrazach, ale istota rzeczy pozostaje obcą, jak gdyby zabił ją wyraz.

O właściwej miłości u pszczoły nic nie wiesz i nie przypuszczasz, że rozpoczyna się tu znów niezmiernie pouczający rozdział, który sięga również sedna najpoważniejszych kwestji ludzkich. Posłuchaj więc.

Oto idzie jedna z tych małych włochatych ślicznotek; oto druga i trzecia. Przechodzi z kwiatu na kwiat według znanej każdemu dziecku metody pszczoły. Nie jest to jednak bezpożyteczne przyzwyczajenie ani też tylko łakomstwo. One coś zbierają, one „pracują“. Tu wchłaniają miód z kwiatów, tam wodę; tu pył kwiatowy (nasienie) przykleja się w postaci spodenek do nówek tylnych, które specjalnie są do

tej czynności przystosowane, tam znów wosk. Ale nasamprzód wiedzieć trzeba, czym jest wogóle taka pszczoła.

Jest owadem.

Jeszcze raz zbiegnij w dół po tej wielkiej drabinie. Z jednokomórkowego prazwierzątka powstała gastrea, gdzie pierwszy raz napotykamy coś w rodzaju żołądka. Stąd na lewo droga wiodła do polipa, a na prawo — do robaka. Z robaków rozwinęło się kilka wielkich rodów zwierzęcych, z których jeden wydał kręgowce i człowieka, a drugi poprzez dżdżownicę poprowadził do raka, stonoga i pająka. Aż wreszcie w tej linii ostatek znalazły się i owady.

Owad stanowi najwyższy wytwór swego rodu, t. zw. rodu stawonogów.

Prawdopodobnie rozwinął się też koniec końców ze stonoga, jak pająk. Liczne nogi stonoga zlały się i utworzyły 6 par nóg — jakieśmy to już wzmiankowali, mówiąc o pająku. Z liczby tych 6 par 3 stopniowo stały się narzędziami do chwytania i przetwarzania pokarmów, a reszta służy do biegania. Właściwych nóg jest więc 6, i po tym poznać też można każdy prawdziwy owad. Skrzydła, jakie poza tym widzimy u wielu owadów, nie mają gienetycznie nic wspólnego z temi nogami; powstały one z fałd na skórze grzbietu — w zupełnym przeciwieństwie do skrzydeł u kręgowców, np. u ptaków albo nietoperzy, gdzie skrzydła są zawsze prawdziwemi nogami przedniemi, przekształconemi tylko nieco w zastosowaniu do latania.

A teraz wyobraź sobie jeszcze poszczególnie, że te owady od samego początku swego istnienia dzieliły się na cały szereg grup, dość różnych pomiędzy sobą. Takie grupy stanowiły motyle, bąki, muchy, pluskwy, szarańcze, ważki i muchy-jednodniówki. Wreszcie jedną taką grupę obok innych tworzyły t. zw. błonkoskrzydłe czyli pszczoły.

Zwykła w mowie potocznej używana nazwa

„pszczoła“ obejmuje dla przyrodnika i to, co nosi nazwę pszczoły, trutnia i szerszenia; a i mrówka wreszcie również dodatkowo tu należy.

Bez wahania możecie te wszystkie błonkoskrzydłe uważać istotnie za najwyższy wytwór pokolenia owadów. A że owad już sam przez się stanowi szczyt rozwoju dla stawonogów, więc brzęcząca pszczołka stanowi najwyższy szczebel tej wieży, ponad który nic u tej krawędzi nie wybiegło. Można sobie nawet pozwolić na śmiałe porównanie, że pszczoła i ściśle związana z nią mrówka—jest to „człowiek“ swego pokolenia; jest ona w rzeszy swych sześcionogich przodków takim samym szczytem, jakim jest dwunogi człowiek w rodzie kręgowców (ryb, płazów, gadów, ptaków i ssaków). Jest tylko ta różnica, że człowiek naogół wywyższył się nieskończenie dalej, aniżeli nawet najmędrsza pszczoła.

Tu przerwiemy naszą ponowną wycieczkę w dziedzinę darwinizmu. Teraz przejdźmy znów do spraw miłosnych. A więc pszczoła jest owadem takiego a takiego rzędu. Ale czymże jest ona w danym wypadku właśnie pod względem płciowym? Czy jest tu samcem czy samicą? czy jest jedną z owych potwornych postaci hermafrodytycznych? I oto, widzicie, zaraz po drodze mamy coś z dziedziny cudu.

Niedawno badaliśmy erotyzm pająka-krzyżaka. Byliśmy wtedy jeszcze na bardzo niskim szczeblu w rodzie stawonogów, a mimo to już tam zarysowały się pewne cechy bardzo wyraźnie. Widzieliśmy już nadzwyczaj ścisły rozdział płci na samca i samicę. A każde z nich, zarówno samiec, jak samica, stanowiły już dwa biegunowo różne od siebie indywidua. Przeciwnieństwo pomiędzy nimi zarysowało się tak wybitnie, że nie było mowy o „małżeństwie“; były tylko przelotne spotkania w celach zapłodnienia—a pozatym płeć jedna wobec drugiej zachowywała się wrogo.

Atoli podaliśmy to właśnie jako przykład krań-

cowy. Mówiliśmy wtedy, że ścisła indywidualizacja obu płci była sama przez się czymś niezbędnym, częścią wewnętrznego postępu, zapowiedzią wolności wogóle. Musiała ona nasamprzód nastąpić kiedyś, a wtedy dopiero niejako „dojrzało“ ponowne ciążenie obu płci ku sobie—dopiero pod warunkiem owej indywidualizacji mogła rozwinąć się pomiędzy samcem a samicą wyższa, wolna postać stowarzyszenia obronnego, mogło rozwinąć się małżeństwo w naszym wysokim rozumieniu.

Ale wtedy też powstać to musiało. Już wzmiankowaliśmy, gdzie prawdopodobnie leży punkt wyjścia dla tego powtórnego pojednawczego postępu, że tym punktem wyjścia jest piecza nad potomstwem. Wdzieliśmy samotną samicę-pająka oraz samotnego ciernika-samca. Teraz przypomnijmy sobie parę ptaszęcą, gdzie owa wyższa postać małżeństwa zarysowuje się wybitnie, gdzie oboje rodziców karmi tu swoje małe i opiekuje się nimi— a będziemy mieli przed sobą całą drogę, która musiała obie płci doprowadzić znów do pojednania.

Atoli, zatrzymując się na pszczole, dalecy jesteśmy jeszcze nawet od jaskółki lub słowika, choć podnieśliśmy się już o spory kawał ponad pająka-krzyżaka. Wiecie też zapewne, że pszczoły i mrówki żyją gromadnie, w czym oczywiście daleko wyprzedziły pająka na drodze pojednania się obu płci, i że troskliwie dbają o dzieci swoje. Spodziewam się przeto, że już tutaj przynajmniej blizcy jesteśmy owego wyższego etapu rozwojowego małżeństwa. Pszczoły, jakieśmy widzieli, „zbierają“ coś tam we wrzosie, chcą coś dokądś ponieść. Cóż prostszego, że przynoszą one to coś, co uzbierają, swoim młodym, swoim larwom?

Przypadkowo już sam proces zbierania jest stałym aktem miłosnym—nie dla samych pilnych pszczoł, ale dla odwiedzanych przez nie kwiatów. Już wspominaliśmy kiedyś o skrzyżowanym zapładnianiu się roślin. Mówiliśmy, jak zakaz gwałcenia doboru naturalnego w przyrodzie nie pozwala im zapładniać się samym, nawet kiedy w jednym okwiecie posiadają oba rodzaje narządów płciowych (męskie pylniki i żeńskie słupki), i jak we fruwających tam i sami owadach znalazły szczęśliwie pocztę miłosną, z której korzystają z konieczności, same bowiem dla dopełnienia aktu miłosnego zbliżyć się ku sobie nie mogą. Otóż obładowują one w jednym miejscu gościa pyłem nasiennym, a gdzieindziej znów wyciągają ku niemu gotowe do zapłodnienia żeńskie narządy, które chciwie odbierają, niby mannę życiową, to obce nasienie. I pszczoła — to taki wieczny *postillon d'amour*, co mimowoli unosi z sobą cząsteczki pyłne i, zrzucając je w odpowiednim miejscu, przysługuje się w ten sposób roślinom. A obok tego dla własnego użytku gromadzi w sobie całe składy pyłu kwietnego i miodu i zabiera je z sobą. Ale to wszystko po to tylko nadmieniliśmy tu w nawiasie, ażeby zwrócić uwagę, jak pszczoła po drodze swej codzien-

nej, szarej pracy na chleb pozostawia za sobą smugę świetlną miłości — dla innych.

A jak z jej własną miłością? Jeżeli ta skrzętna zbieranina dokonywa się dla młodych, które z rozdziawionymi, głodnymi pyszczkami w domu czekają, to należy przypuścić, że sama ona ma już poza sobą żywe uczucia miłosne...

Schwyć jedną. Broni się, kłuje. Ale oto jednak właśnie zginąć musi, na niechybną skazana jest śmierć, ostry bowiem sztylet, którym się broni i który zostawia w ranie, zadanej człowiekowi, nie był jakimś przyrządem zewnętrznym, lecz członkiem jej ciała własnego, a z chwilą kiedy on odpada, pszczoła rannona jest śmiertelnie. A więc poświęćcie ją już, rozejrzyjcie się w jej narządach wewnętrznych, jej narządach płciowych i odpowiedzcie sobie na wielkie pytanie, z czym macie do czynienia: z samcem czy z samicą?

I znajdujecie rzecz dziwną. Prawie że żal wam waszej ofiary. Oczywiście, napotkaliście na biedną męczenniczkę w sprawach miłosnych, którą już życie samo dość niemiłosiernie napiętnowało.

Jeszcze po ogólnym składzie ciała poznać można, że to samica, ale właśnie samica pod względem płciowym zupełnie nędzna. Narząd, gdzie wytwarzają się jaja, tak jest zniszczony, że zaledwie poznać w nim można jeszcze jajnik, opatrzone parą pustych wyrostków w miejscu, gdzie można było oczekiwać licznych grubych przewodów.

Zanikłym i niedrożnym znajdziecie wszystko, co mogłoby służyć do zapłodnienia. Jest to więc westalka z przymusu, pozbawiona wszelkich małżeńskich i macierzyńskich rozkoszy. A mimo to biedne to stworzenie zajęte było zbiorem! Dla kogo ono zbierało?

I wzruszenie ogarnia na myśl, że, może samo macierzyństwa pozbawione, pracuje dla cudzych dzieci—w bezwiednej tęsknocie ku drodze do Madonny...

Ale cóż się dzieje? Chwyćcie drugą, trzecią z tych szperaczek po wrzosie. Wciąż ta sama smutna zagadka. Wszystkie wydają się, jak gdyby były w stanie zaniku; wszystkie prawie bezpłciowe. Wszystkie te tam setki, tysiące, co wciąż brzęczą po lesie, nad miedzą waszą, po waszym ogrodzie kwietnym—wszystkie to bezpłodne, do życia płciowego niezdolne.

Pełen wesela obraz przesłania się jakby mgłą. Wszędy miłości szal; każde odwiedziny pszczoły w dojrzłym kwiecie — to uroczystość tworzenia; wszędy bąki, muchy, ważki znajdują się wzajem, chwytają i zapładniają; różnobarwny motyl—to tylko wyzwolony elf miłosny; błękitne przestworze przepojone złotym pyłem miłosnym od przepylonych kwiatów, które z upragnieniem żarliwym wyczekują owadów dla stosunków płciowych. A pośród tego wszystkiego kładzie się cień. Najmilszy dla nas, najbliższy nam, najzwawszy rój pszczół stanowi biedne, samotne, szare zrzeszenie istot wydziedziczonych, które nigdy nie brały i nie będą brały udziału w miłości... Ale następuje się oto teraz pytanie jeszcze poważniejsze: dla kogo one zbierają? Jeżeli wszystkie są istotami bezpłciowymi, to dla jakiego, dla czyjego potomstwa owe zbiory? Jakim sposobem wogóle ród ich się rozmnaża?

Poniechajcie mordowania tych istot i idźcie w ślad za jedną taką westalką w jej wędrówce życiowej. Oto już zbierała dosyć; obciążona, unosi się w górę i leci do domu. W bliskości zielonego płotu, gdzie czyniliśmy spostrzeżenia nad parą pajęczką, stoją ogólnie znane ule, owe domostwa sztuczne, pozostawione przez człowieka pracowitej pszczole, które ona wewnątrz oporządza.

Człowiek nawiązał z pszczołą taki sam stosunek, w jakim ona sama pozostaje do wydzielających pył kwiatów. Człowiek okazuje pszczole pomoc w za-

kresie jej potrzeb życiowych, a wzamian odbiera jej wciąż pewien nadmiar owoców jej pracy w postaci smacznego miodu dla swych celów osobistych.

W otworze takiego ula znika nasza obładowana westalka. Jest u siebie w domu. Dom ten — to odrębny cudowny świat, który rozwiązuje również zagadkę jej własnego biednego bezpłciowego życia. W porównaniu z tym cudem przyrody wszystko to, co opowiedzieliśmy dotąd z dziedziny miłości, stanowi zabawkę dziecięcą. Nawet tasiemiec nie może tu iść w porównanie. Jest to po prostu wyjątek. I gdyby planeta nasza nie wytworzyła nic ponad to, gdyby nie było człowieka, ludzkiego raję ani ludzkiego obłędu, byłaby już nosiła znamiona planety, wyobrażającej szczyt cudu.

A więc westalka wsuwa się do wnętrza ula. W tym sztucznym domku żyją tysiące pszczoł w najściślejszym zrzeszeniu. Gdyby nie miały domku od człowieka, musiałyby zadowolić się dziupłem w drzewie lub czymś podobnym. Atoli człowiek od lat tysiąca tak konsekwentnie tych mieszkań im dostarcza, że osiedlanie się dowolne prawie zupełnie w rachubę nie wchodzi. A to, co poczyna sobie pszczoła w tym domku sztucznym, jest w każdym rysie równie konsekwentne i stanowi znów jej najosobistszą własność. I dlatego tylko warunkowo można ją nazywać „zwierzęciem domowym“. Pies, który służy wiernie człowiekowi i zdaje się mieć odpowiedni spryt, przystosowany do wszystkich celów ludzkich, ten pies w pewnej mierze istotnie „stworzony“ został przez człowieka.

Pszczołę człowiek otaczał opieką, ale nie mógł wpływać na jej ustrój wewnętrzny. Ze swemi bajecznemi, szalonemi zwyczajami miłosnemi, ze swą próbą stworzenia państwa własnego stanowi pszczoła dla człowieka prastarą a ciągłą tradycję, która jako taka spogląda na jego parę tysięcy lat kultury, jak na drobniutki ułamek czasu. On stanowi młodzież na

planecie naszej, młodzież najmłodszą, ona zaś wyobraża czasy najdawniejsze. Owe rośliny kwiatowe, którym dla zapłodnienia potrzeba odwiedzin owadów, istnieją conajmniej od epoki kredowej, kiedy były dopiero dziobaki i workowate, a może pożerały owadów do jeżowców podobne, ale nie było jeszcze małą ani zwierząt. I tak dawno zapewne istnieją również i pszczoły. Napewno były one już w epoce trzeciorzędowej, kiedy człowiek łaził jeszcze po drzewach jako małpolud. I oto jak potężną może być tradycja ich obyczajów! Czymże są wobec tego państwa ludzkie, czym te parę tysiącoleci, które w gruzy zamieniły Persepolis i Palmirę, a Ateny i Rzym przeobraziły w muzea archeologiczne?...

Ale do rzeczy... Nasza mała westalka wchodzi do ula. Dookoła niej po celach i korytarzach gwar, szum. Szczupłe, po prostu niepokój budzące, jedno na drugim spiętrzone zabudowania czynią prawie wrażenie starej Troi, odkopanej przez Schliemanna. Komora przy komorze, cela przy celi. Oto komory zapasów pełne; gdzieś leży ów chleb słodki, ubity starannie z pysznego pyłu kwiatowego, bądź przelewa się niemal złoty miód pachnący. I wydaje się, jakobyśmy istotnie patrzeli w głąb jednej z owych olbrzymich kruż w grodzie trojańskim, które większe były od człowieka. A tam znów pokoje dziecięce, gdzie budzą się do życia małe głodne „robaczki“ albo śpią w białej kołysce jedwabnej. Dzieci! Ale skądże się one wzięły?

Przecież wszędzie, gdziekolwiek spojrzysz lub staniesz: u wejścia do celek, we wnękach wszelakich, u wielkiej bramy, wiodącej do grodu pszczelego — wszędzie widzisz tylko westalki same, które przylatują i odlatują bez przerwy. Naliczyć ich można na dziesiątki tysięcy; zwykle w jednym ulu jest ich od 10 do 30 tysięcy. I przekonać się można teraz dosadnie, że mimo ich płciowości zanikłej jedno istnieje jeszcze niezapreczenie: uczucia macierzyńskie. Wzru-

szenie ogarnia po prostu na widok troskliwości, z jaką karmiona jest i podejmowana w pokojach dziecięcych liczna rzesza maluczkich w ulu, dopóki one same wreszcie, jako pszczołki małe, nie opuszczają swych kołysek. Ale te młode są znowu westalkami; są to znów westalki, absolutnie bezpłciowe istoty. Wypełniają one luki, stwarzane przez śmierć w szeregach już istniejących. Z chwilą kiedy dojrzewają zupełnie, wylatują one z ula, znoszą zapasy do domu, opiekują się najmłodszym pokoleniem, które tymczasem się narodziło. Ale wciąż powstaje to samo pytanie: skądże się wzięło nowe błogosławieństwo?

Najwidoczniej bocian spełnia tu swe czynności bez żadnego spółdziału samych pszczoł-westalek. W ciągu okresu letniego życie takiej pojedynczej westalki nie trwa przeważnie dłużej, niż sześć tygodni. Ale w ciągu tych sześciu tygodni jest ona świadkiem nieprzerwanego naradzania się pokoleń dziecięcych w ulu, które natychmiast stają na miejsce zmarłych.

Dzięki krótkiemu okresowi czasu można dokładnie zorientować się w sytuacji. Nie odbywa się to tak, że wszystkie czy też część westalek przed końcem sześciotygodniowego żywota nagle płęć swą odzyskują. Ani mowy o tym niema. Dorastają one w którejkolwiek celce dziecięcej, starsze westalki opiekują się nimi, potem przechodzą one drogę swego naturalnego rozwoju—przez okres gąsienicy o wyglądzie robaczka i otulonej larwy, po upływie mniej więcej 3 tygodni zjawiają się już w ulu gotowe i przystępują do pracy, ofiarując swój spółdział w pielęgnowaniu młodszych pokoleń, poczym umierają; urodziły się, jako westalki; jako westalki, złożyły danię na ołtarzu życia i, jako takie, umierają. Niewątpliwie są one pierwszorzędnej wartości pielęgniarkami dziecięcymi i to najwidoczniej z najwewnętrzniejszego powołania, ale mimo to z rodzeniem dzieci nie mają absolutnie nic wspólnego. Rozmnażanie od-

bywa się bez ich bezpośredniego spółudziału, odbywa się, niby misterjum, w ciemni zakulisowej.

Po długich dociekaniach w tej sprawie rozumowi ludzkiemu udaje się wykryć, co następuje.

Nasamprzód zwraca uwagę spostrzegacza pewna garstka pszczoł w ulu, które różnią się od całej rzeszy wyglądem i rozmiarami. Jest ich dwie lub trzy setki pośród wielu tysięcy innych; wydaje się, jak gdyby nie wylatywały, nie pracowały wcale, a dawały się tylko karmić, a dzieje się to wszystko pomimo to, że są zupełnie rozwinięte, a nawet wyróżniają się wzrostem i siłą. Dziwną gromadę leniuchów stanowią one w olbrzymim gospodarstwie, gdzie zresztą wszędzie kipi i wre praca.

Jeżeli schwycić jednego takiego darmozjada i przyrzec mu się dokładnie, stwierdzić można ze zdziwieniem, że istotnie jest to samiec, t. zw. truteń, zupełnie normalny samiec z całym aparatem męskim. Oczywiście postąpiliśmy już o krok ku wyjaśnieniu sprawy. Pośród dwudziestu tysięcy westalek wykryliśmy teraz dwieście zdolnych do życia płciowego samców! Ale zagadka nie jest jeszcze całkowicie rozwiązana. Dobrze, samce. Ale przecież te samce i westalki nie mogą nic wzajem z sobą począć! Czyż mamy tu przypuścić taki wypadek monstrualny, że samce pozbawione samiec płodzą same przez się młode? Po prostu niemożliwe! I też nic podobnego się nie dzieje. Te leniwe trutnie nie robią faktycznie nic. Nawet nie ubiegają się za życiem płciowym ani dbają o powstawanie i przeżycie młodych—po prostu lenią się w najdosłowniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Atoli pewnego pięknego dnia czeka skrzętnego poszukiwacza nowa niespodzianka. Jest chwila, kiedy spostrzec można, że taka pojedyncza pszczoła, wykazująca w swej postaci zewnętrznej zaledwie nieznaczne różnice w porównaniu ze zwykłą westalką, krząta się jakoś około pustej celki dziecięcej. Wydaje się, jakoby działało się z nią coś niezwykłego. Inne pszczo-

ły otaczają ją gorliwie dokoła, głaszczą, pieszczą, karmią i zachowują się wogóle przyjaźnie i ulegle; aż tu nagle owa pszczoła podejrzana wsadza swój odwłok do celi i składa ładne małe mleczno-białe jajko. Oto mamy przed sobą owo tajemnicze stworzenie, zwane „królową“. Wobec świeżo złożonego jajka okazuje się, czym ona właściwie jest: jest to pszczoła-samica. Napróżno szukalibyśmy w całym ulu stworzenia tego samego rodzaju.

Mamy teraz na dwadzieścia tysięcy skromnych z konieczności westalek i na dwieście samców jedną jedyną prawdziwą samicę.

Wszystka progienitura rodu całego, wszystkie zastępcze młode westalki—wszystko to pochodziło wyłącznie od tej jednej nie-westalki, od tej prawdziwej samicy, tej jednej i prawdziwej matki. I podczas kiedy owe biedne bezpłodne dziewice zjawiają się wokoło niej tysiącami i tysiącami giną, jak liście na drzewie, ona siedzi, pewna swej egzystencji, pełna wybujałej siły samica, siedzi już od wiosny wciąż ta sama i kładzie wciąż jaja w nieskończonej liczbie.

W ciągu jednej wiosny i lata złożyć może do 60 tysięcy jajek. Wobec takiego rozmnażania się, które nasuwa myśl o piasku w morzu, nie ma żadnej możliwości pielęgnować osobiście młode. Ale tym właśnie zamiast niej zajmują się ze wzruszającą troskliwością westalki z pokolenia w pokolenie. Ona może tylko kłaść jajka i pozwalać się karmić, ażeby jej sił starczyło—wszystko inne odbywa się samo przez się, jak w automacie.

Atoli to karmienie — to nie taka prosta rzecz, jakby się zdawać mogło. Kładzenie jajek jest samo już czynnością dość wyczerpującą i wymaga dobrego odżywiania się królowej, która w ciągu połogu stale zajmuje jedną celę. Ale przypominacie sobie, że wyraz: „karmienie“ w sprawach miłości ma jeszcze znaczenie zupełnie specjalne. Jako prawidło uznawaliśmy przynajmniej dotychczas, że dla powstawania

nowego tworu każde jajko żeńskie potrzebuje jeszcze jakiegoś specjalnego pożywienia, mianowicie męskiej komórki nasiennej.

A tej tajemniczej biesiadzie sprzyja tylko jedna okoliczność: proces zapłodnienia. To też mamy wszak w naszym państwie owych dwieście samców; przecież powinno ich starczyć dla jednej jedynej samicy... Mimowoli żywa wyobraźnia czytelnika przedstawia sobie, że w tej olbrzymiej świątyni Westy, wypełnionej dwudziestu tysiącami starych i młodych dziewic, istnieć musi przynajmniej w jednym kąciku specjalne małe sanktuarjum Afrodyty, gdzie oddawanoby żarliwie hołd miłości pośród tego olbrzymiego rozpasania sił rozrodczych...

Ale nic z tego, próżną byłoby pracą starać się dojrzeć coś podobnego. Ani jeden z owych leniuchów nie rusza się.

I królowa, która narówni z wszystkimi innymi mieszkańcami ula stanowi wszak w swej pożytecznej działalności wzór pilności, zdaje się, również nie interesuje się zupełnie leniwym odłamem pracowitej rzeszy. A więc i tu nic? I tu nie znajdujemy rozwiązania dręczącej nas zagadki?

Kiedy coraz dalej badać będziemy—a lat całych będzie nam już teraz potrzeba dla tych badań—co raz nowych dowiadywać się będziemy rzeczy.

Nasamprzód przypatrujemy się uważnie królowej podczas jej samotnej i beznadziejnej czynności.

Oto leży znów świeżo złożone jajko. Weźmy je pod mikroskop. Widzimy komórkę jajową, którą wydał jajowód królowej samicy bez obcej pomocy. Ależ oto widzimy tuż i ciałka nasienne! Niewątpliwie w chwili, kiedy jajko zostało złożone, spadł na nie po prostu deszcz nasienia męskiego. Skądżeż się ono wzięło?

Kiedy weźmiemy królową i rozetniemy jej brzuch,

zagadka się wyjaśnia. Obok jajowodu znajdujemy duży gruby „worek nasienny“, wypełniony nasieniem męskim. Przypominamy sobie ślimaki w winnicach i pająki. One zaopatrywały komórki jajowe w nasienie nie tylko wprost podczas zapłodnienia, ale miały jakby w rezerwie specjalne worki w ciele swoim, wypełnione nasieniem, które później w miarę potrzeby wydzielały na dojrzałe jajka. Zagadka się wyjaśnia.

Królowa nasza może złożyć nawet sześćdziesiąt tysięcy jajek w ciągu jednego roku; wystarczy jej w tym celu być zapłodnioną raz jeden na samym początku. Wtedy napełniony został jej rezerwuar nasienny. I od tego czasu jest ona dwupłciową w najidealniejszym sensie tego wyrazu: wobec tego, że owe obce raz przyjęte ciała nasienne żyją sobie swobodnie w tajemniczym uchyłku jej wnętrza, ma ona każdej chwili pod ręką dość pierwiastku męskiego, ażeby „zapłodnić“ samodzielnie bez dalszej prawdziwej pomocy męskiej wszystkie swoje 60 tysięcy jajek w miarę tego, jak jej w kolei dojrzewają i wyłaniają się z niej w szeregu miesięcy; może zaopatrzyć je w potrzebny pokarm na drogę życia w sensie naszej prastarej bajki o karłach.

I tak jest w rzeczy samej. Był na wiosnę dzień jeden, kiedy królowa, podówczas panną jeszcze będąc, opuściła gród swój. „Kiedy wszystkie pąki się rozwierały“, bujała ona wysoko po przestworzach. Wtedy i leniwe trutnie poleciały wraz z nią i towarzyszyły jej. Aż do tej godziny weselnej była i ona westalką, ale tylko ze względu na brak chwili sposobnej, a nie, jak owe inne tysiące w państwie, ze względu na niezdolność cielesną, na którą skazane zostały przez niezłomny wyrok natury. I była westalką aż po ową godzinę—ale nie dłużej. Po powrocie ze swej wycieczki szalonej królowa była już na zawsze samicą zapłodnioną. Atoli już nigdy więcej, raz na zawsze, nie trzeba jej było samca. Jej worek nasienny, raz wypeł-

niony po brzegi, dostarczał już materiału zapładniającego dla niezliczonej liczby jajek.

Istnieje przypuszczenie, że i wewnątrz ciała kobiecego przechowywać się może przy pewnym zespole okoliczności nasienie męskie, nie tracąc swej siły żywotnej. Jeżeli teraz wyobrazić to sobie na przeciąg miesięcy i lat, to wyrozumieć zdołamy sytuację, w jakiej znajduje się „raz na zawsze“ zapłodniona królowa-pszczoła.

Tak, to może trwać lata. Życie tego cudu przyrody, zwanego „królową-pszczołą“, nie ogranicza się wcale do jednego lata, o którym mówiliśmy dotąd. Królowa przeżywa okres miłości, napełnia swój worek nasienny, kładzie jaja.

Westalki, które otaczały ją jeszcze przed dokonaniem się aktu miłosnego, wykarmiły pierwsze pokolenie i powoli same zamarły po upływie 6-tygodniowego okresu ich biednego, pracowitego żywota. Znikło pierwsze pokolenie westalek—pozostało nowe. I pozostała również Afrodyta. A obok niej ostały się i trutnie, choć odtąd już w najwyższym stopniu bezcelowo. Nastaje nowy okres kładzenia jaj. I tak dalej. I tak upływa całe lato: z jednej strony niewyczerpana a dostojna potęga macierzyńska królowej, z drugiej zaś—ofiarna pieczołowitość, roztańczana przez tysiączne rzesze miłych biednych dziewczic o efemerycznej egzystencji oraz wielmożne próżnowanie trutniów-samców. A cóż dalej?

Wydaje nam się, że sam czytelnik podczas poprzedniego opowiadania oczyma duszy zerkał już wstecz, w stronę nowej kwestji, mianowicie kwestji, dotyczącej początku całej sprawy. Tysiące bez przerw wyłaniających się westalek—to dzieci jednej konsekwentnej pszczoły-samicy w całym ulu, dzieci królowej. To zrozumiałe. Nasienia dla tak olbrzymiej masowej produkcji dostarczyły królowej trutnie. Przy-

puścimy, że i to jest jasne, choć tu już uderza pewna nieokreśloność, sumaryczność tego zjawiska. Ale oto konsekwentnie następuje się nowa kwestja, wymagająca sumiennego zbadania. Skąd pochodzi królowa? Skąd powstają ojcowie-trutnie, których istnienie na wiosnę było po prostu założone, jako coś zrozumiałego? I skąd wreszcie się bierze pierwsze pokolenie westalek? Wszak zrozumiałym jest, że jedno takie pokolenie musiało istnieć, zanim wogóle mogła rozpocząć się owocna czynność znoszenia jaj przez królową. To pierwsze pokolenie musiało nasamprzód pobudować cele dziecięce, dokąd nasza pani-matka miała składać jaja. A przy pierwszej serji jajek musiały owe pierwsze westalki nakarmić awangardę wykluwających się bezradnych robaczek, w przeciwnym bowiem razie cały ten piękny mechanizm byłby wogóle utknął na samym początku.

Ażeby odpowiedzieć na te trzy pytania, powinniśmy właściwie teraz badać wszystkie zjawiska po drodze wstecznej. Ale w tym świecie cudów nie robi to żadnej różnicy, jeżeli po prostu pójdziemy dalej. Wąż znów uchwyci się zębami za ogon. Tak samo rok rozpoczyna się od wiosny i poprzez lato, jesień i zimę znów do wiosny powraca.

A więc prostą drogą dalej! Około jesieni następuje w ulu nasamprzód straszna katastrofa. W jedną noc—istną noc św. Bartłomieja—leniwe trutnie masowo padają z rąk westalek. Napadają one na nie brutalnie, pędzą przed siebie, głodzą i wreszcie zakłuwają. Precz z niemi! Pracowite dziewice ula opanowuje jakby jakiś nagły szal czyścicielski—wprawdzie dość ordynarny.

„Precz ze wszystkim, co zbyteczne!“—brzmi hasło. Wszak nie następuje się wcale myśl, że opasłe darmozjady mogą się jeszcze na coś przydać. Przeciwnie, nastanie zima, kiedy i tak dość trudno będzie przebiedować najważniejszym członkom wielkiej rodziny. Po cóż tu jeszcze spółbiesiadnicy bezcelowi!

Po tych strasznych ofiarach, które padły z racji czysto ekonomicznych, nastaje istotnie zima. Dobrze schowany ul i ciasnota pomieszczenia chronią od zmarznięcia, a zapasy nagromadzone — od śmierci głodowej. Rozmnażanie się, oczywiście, ustaje. Atoli królowa i ostatnie pokolenie bardziej wytrzymałych westalek, których życie, jak się zdaje, nie jest tak ściśle ograniczone do okresu 6-tygodniowego, szczęśliwie ostają się do nowej wiosny. Cóż dalej? Teraz właściwie następuje to najdziwniejsze ze wszystkiego.

Słońce, kwiaty... Westalki, które zimę przetrwały, znów wylatują z ula i znoszą świeże pożywienie z nowootworzonego targu. A królowa odnowa zaczyna składać jaja, wciąż jeszcze te same normalne jaja. Wciąż jeszcze korzysta macierz z owego niewyczerpanego źródła, owego starego worka nasiennego, który jest dla niej tym, czym była dla Fortunata jego złotem brzemienna sakiewka. Wciąż jeszcze wylewa ona stamtąd na każde jajko potrzebną ilość siły męskiej. Jest to siła żywa, pozostała po owych dawno zapomnianych i pogrzebanych trutniach z roku ubiegłego; są to owe ciała nasienne, które przetrwały teraz o rok cały dłużej, niż sam akt miłosny, a przeszło o pół roku, niż ostatnie trutnie... Wyrastają nowe westalki—i wszystko, zda się, rozpoczyna się odnowa w tym samym porządku. — Aż tu naraz coś absolutnie nowego.

Westalki nasze, które nie tylko chleb i nektar znoszą, ale czynne są nieprzerwanie w ulu samym jako zmyślni budowniczości, cichutko przygotowały cały szereg przegródek dziecięcych, większych, niż zwykłe. I kiedy nasza kochana królowa zajęta jest zaopatrywaniem celek w potrzebny materiał życiowy, jednocześnie dokonywa ona jakiejś wręcz nowej czynności.

Składa wprawdzie swoje zwykłe jaja w każdą z owych przegród olbrzymich. Ale jeżeli wziąć takie jajko pod szkło powiększające, to łatwo się przeko-

nać, że nie zrobiła ona czegoś, co zwykle czyni niechybnie. Jajo nie otrzymało swego niezbędnego chrztu nasiennego! Widocznie, panując zupełnie nad zamykaniem i otwieraniem swego worka nasiennego, pani nasza po prostu tym razem rozmyślnie rygielek zasunęła. I mamy jaja niezapłodnione.—Toż to wydaje się zabawką dziecięcą. Więc wielkie przegrody mają według planu pozostać puste zapewne.

Atoli cóż widzimy? Westalki nasze, jak wszędzie, tak i tu, około tego niezapłodnionego jajeczka gromadzą słodkie pożywienie, więc najwidoczniej, pomimo wszystko, spodziewają się i tutaj rozwoju. I w rzeczy samej, wykluwa się robaczek (gąsienica); one karmią go dalej; powstaje larwa — i na dwudziesty czwarty dzień wychodzi z przegródki dziecięcej tłusty truteń.

Zagadka nad zagadkami. Królowa dowolnie panuje nad zapładnianiem swych jaj przy pomocy nasienia męskiego. Jeżeli nie chce, to nie zapładnia pewnych jaj w specjalnie wielkich przegrodach dziecięcych ula — i z tych niezapłodnionych jaj wykluwają się wtedy zawsze, zgodnie, jak się zdaje, z żelaznym prawem natury, prawdziwe, do płciowego życia zdolne trutnie, a więc s a m c e, zamiast niedorozwiniętych płciowo westalek.

Na chwilę odwróćmy wzrok swój od państwa pszczół i zastanówmy się tylko nad tym jednym interesującym faktem, na któryśmy się natknęli.

Partenogenezą (dzieworódtwem) zwie się on według terminologii przyrodniczej. Wyraz ten pochodzi od greckich słów: *parthenos*—dziewica i *genesis*—powstawanie albo płodzenie. Atoli dla naszego przykładu wyraz ten nam się nie przyda.

Królowa-pszczola bowiem już oddawna oczywiście pozbawiona jest dziewiczości: w ciągu jednego roku złożyła około sześćdziesięciu tysięcy prawidłowo-

wo zapłodnionych jaj, a we wnętrzu swoim nosi jeszcze od czasu zeszłorocznego zapłodnienia olbrzymi worek z zapasami nasienia, którego starczy jeszcze na zapłodnienie przynajmniej miliona jaj. Jedno tylko jest faktem niewzruszonym: że jaja trutniów, które ona składa, stanowią niejako jaja dziewicze, których, jako takich, nie tknęło nasienie męskie.

Ale to jedno wystarcza aż nadto, aby mówić tu o cudzie.

Mamy tu do czynienia z jednym z tych faktów, wobec których przyrodnikowi wyrwać się może ów stary paradoksalny okrzyk rozpacz: widziałem, ale nie wierzę temu! A co do samego faktu niema już dziś żadnej wątpliwości. I stwierdzony został wielokrotnie przez najskrupulatniejsze badania. I u innych stawonogów wykazano szereg faktów pokrewnych, które nadają temu zjawisku u trutnia pewne znaczenie ogólniejsze.

Jeżeli brać rzeczy, jak są w istocie, to napozór mamy tu do czynienia z najjaskrawszym odstępstwem od wszystkiego tego, co zresztą w całym wyższym świecie zwierzęcym i roślinnym stanowi „żelazne prawo zapłodnienia“. Jest to wyjątek z tego prawa, według którego w akcie zapłodnienia, mającym swe źródło w normalnym narządzie płciowym (jajniku samicy), musi jako moment nieodzowny istnieć zlanie się komórki nasiennej z komórką jajową. Prawo to opiera się na tradycji mirjady istot żywych, które niezliczenie same tak powstały i w dalszym ciągu tak tworzą dalsze pokolenia. Wywody nasze wykazały, jak to się stało i że się tak stać musiało, a dowiodła tego nasza historia o karłach. A jednak właśnie w tym względzie istnieje wyjątek!

Trudno to sobie dobrze uprzytomnić.

W pierwszej chwili powiedzieć można jedno: więc jeżeli coś podobnego możliwe jest jednak jeszcze u tak wysoko uorganizowanego zwierzęcia, jakim jest pszczoła; jeżeli możliwe jest prawdziwe wytwarzanie

się potomstwa z jajek żeńskich bez udziału nasienia męskiego—to po co ta cała wielka komedia z podziałem płci, z wyodrębnianiem mężczyzny i kobiety, z prawdziwą dziewiczością i zapłodnieniem? po co, słowem, ta nieskończenie splątana sieć, z której wysnuwa się tak kunsztownie całe wyższe życie miłosne w swych tysiącznych przejawach? Dlaczegoż nie odbywa się to wszystko o wiele prościej? Atoli po chwili namysłu odrzucić należy takie rozumowanie powierzchowne bez względu na całą dziwaczość kwestji. Nasamprzód przypomnieć sobie należy o jednej rzeczy.

Widzieliśmy jeszcze u stułbi, że rozmnażanie płciowe, którego źródłem jest stapianie się komórki nasiennej i jajowej, stanowi przynajmniej w niższym świecie zwierzęcym (i roślinnym również!) tylko jeden sposób rozmnażania się, wprowadzie sposób wyższy, niejako pomost ku czemuś wyższemu. Ale obok tego istnieje jeszcze sposób prostszy, pierwotniejszy—zwykle „pączkowanie“.

Wiemy, że u stułbi wyrastali jeszcze potomkowie wprost z ciała na podobieństwo gałęzi lub małych latorośli u rośliny—niezależnie od męskich lub żeńskich narządów płciowych danego zwierzęcia. Później u meduzy, a lepiej jeszcze u tasiemca widzieliśmy, jak ten sposób rozmnażania się przez pączkowanie występował naprzemian z rozmnażaniem płciowym. Widzieliśmy zwierzęta, które zapładniały się prawidłowo, gdzie jednak później z takiego prawidłowo zrodzonego potomka wyrastały, niby gałęzie, jedno lub dwa pokolenia przez pączkowanie, później zaś trzecie albo czwarte pokolenie dopiero odnowa powraca do zasady rozmnażania się płciowego.

Ale to wszystko nie zupełnie stosuje się do tego, o czym mówimy obecnie.

Jeżeli zważymy dobrze, to się okaże, że młode trutnie wcale nie powstają z królowej-pszczoły przez pączkowanie zewnątrz jej ciała lub wewnątrz, nato-

miast powstają z prawidłowych „jajeczek“, wytwarzanych w normalnym jajniku i składanych nazewnątrz; a więc powstają niejako już napoły przez rozmnażanie się płciowe, tylko że wyrastają na dorosłe zwierzątka bez spółdziału nasienia męskiego, t. j. nie odbywają drugiej połowy zwykłej drogi, jaką kroczy rozmnażanie płciowe. Zapewne, sprawy te nie są identyczne, ale i tu znowu analogja może być dla czytelnika pouczającą.

U stułbi rozmnażanie płciowe i metoda pączkowania istniały w życiu jednego zwierzątka obok siebie. U tasiemca ta spółrzędność rozciągnęła się niejako do następczości w czasie: u tego samego zwierzęcia następowali po sobie regularnie potomkowie zrodzeni przez obcowanie płciowe i przez pączkowanie. Odrzućmy teraz na chwilę różnicę pomiędzy jednym a drugim sposobem rozmnażania i miejmy tylko na uwadze ową spółrzędność i następczość obu zjawisk.

Oto mamy przed sobą pierwszy lepszy owad. Rozmnaża się on zrazu zupełnie normalnie w myśl wielkiej prawdy, jaką kończy się nasza stara bajka o karzełkach, t. j. w sposób płciowy. „On“ szuka „jej“; łączą się ich dwie komórki płciowe: „nasienna“ i „jajowa“, i z wytworu tego zespolenia się, gdzie nasienie i jajko jakby „wzwały“ się w siebie, wyrasta nowy, młody owad. Ten nowy owad (przypomnijmy sobie bajkę o karłach!) jest znowu albo męskiego, albo żeńskiego rodzaju. Para owadów-rodziców wydaje na świat młode przez stosunek płciowy — i tam wśród tych młodych mamy obok siebie samce i samice.

Ale teraz proszę sobie wyobrazić, że i w tym „płciowym“ wypadku dzięki jakiemuś cudownemu powikłaniu zdarzeń ta „spółrzędność“ zamieniła się na „następczość“. Przypuśćmy, że stało się to w sposób następujący. Dwa owady rodzicielskie, samiec i samica, zapładniają się prawidłowo na sposób płcio-

wy. Jako wytwór tego stosunku jednak rodzi się nie takie potomstwo, wśród którego znajdują się samce i samice jednocześnie, ale natomiast powstają, jak u taśmca, jakby dwa szeregi, rozdzielone pewnym okresem czasu: nasamprzód np. rodzi się samica, która jednak posiada zdolność po pewnym czasie już bez powtórnego zapłodnienia wyłonić z siebie jeszcze samca. Dopiero po tym samcu byłoby nieodzowne nowe zapłodnienie, które rozpoczęłoby łańcuch odnowa.

Rozumiemy łańcuch ten przynajmniej teoretycznie—nieprawdaż?

Ale jeszcze możliwe są oczywiście komplikacje. Najprostsza np. polegałaby na tym: pierwsza samica, posiadająca zdolność bez aktu płciowego stworzyć z jajeczek swoich jednego lub więcej samców, potrafi, przypuśćmy, oprócz tej właściwej sobie czynności jeszcze wejść w prawidłowy stosunek płciowy z jakimkolwiek samcem i rozpocząć w ten sposób poza własnym szeregiem bezpłciowym nowy niezależny łańcuch, którego byłaby pierwszym ogniwem; znaczy to, że znów płodziłby mogła samice, które jako takie (jako ogniwa tego nowego łańcucha) byłyby znowu samowórcze i wydawałyby na świat samce bez zapłodnienia. Wobec tego główny łańcuch przedstawiałby się w ten sposób: akt zapłodnienia pomiędzy samcem a samicą, jako rezultat jego—samica; samica ta może bezpośrednio z siebie przez t. zw. akt połowicznopłciowy (tylko dzięki jajeczkom swoim!) wydać na świat dowolną liczbę samców; ale może też ona stosownie do okoliczności na podobieństwo rodziców swoich zrodzić nowe samice przez akt prawdziwie płciowy (z jajeczek zapłodnionych!); pokolenie samców potrzebuje dla prawidłowego zapłodnienia nowych samic i wraca w ten sposób na początek łańcucha, zajmując stanowisko dziadków, samice zaś, zrodzone z owej pierwszej przez akt płciowy, tworzą natomiast nowy łańcuch i postępują tak samo, jak ona.

Tymczasem wszystko idzie nam gładko—niepraw-

daż? A już teraz jest to dość twardy orzech do zgryzienia. Ale krzepmy się: już wszak jesteśmy w tej samej zupełnie kategorii zjawisk, do której należy nasz wypadek poszczególny z królową-pszczołą. Zastanówmy się. Ma ona oczywiście w sobie moc cudowną wydawania na świat bezpłciowo dwóch następujących po sobie pokoleń.

Jest ona samicą, która rodzić może z siebie bez powtórnego zapłodnienia jeszcze trzecie pokolenie napół płciowo (przez jajka niezapłodnione)—pokolenie samców-trutniów. Może ona to zrobić. Ale obok tego może również sama jeszcze nanowo nawiązać stosunek płciowy z samcem. Widzieliśmy, jak królowa nasza w istocie zaraz na początku swego żywota wesoło spełniła ten akt dnia pewnego z trutniami, które były wtedy w ulu. A potem kładła normalnie jajka, które zostały zapłodnione—i z nich powstały samice. W naszym poszczególnym wypadku były to nasamprzód samice, pod względem płciowym kaleki, niedorozwinięte; były to owe tysiące westalek. Ale to znowu rzecz inna. W każdym razie jednak i tu były samice—a tym samym wypełnione są warunki drugiego, pośredniego pokolenia.

Teraz jeszcze jedna zachodzi kwestja: czy królowa sama powstała z prawidłowego aktu płciowego pomiędzy samcem a samicą? A dalej, czy owe samice przez partenogenezę z królowej zrodzone, owe wiosenne trutnie drugiego roku nawiązują powtórnie prawidłowe stosunki płciowe z samicami, tak że łańcuch ciągnie się dalej? Ale to właśnie doprowadza nas do właściwego punktu, w którym przerwaliśmy nasz wątek, i, jeżeli go tylko nawiążemy nanowo, przekonamy się, że istotnie pod jednym i drugim względem wszystko zgadza się zupełnie z tamtym przykładem teoretycznym.

Ale nasamprzód jeszcze jedno wyjaśnienie.

Dotąd królowa nasza wydała na świat z zapłodnionych swych jajeczek tylko westalki, samice wprawdzie, ale niezdolne do czynności płciowej. Teraz, kiedy powstały jeszcze (bezpłciowo) i trutnie, następuje niejako, jakby korona wszystkiego, trzeci fakt: taż sama królowa rodzi jeszcze samice, pod względem płciowym doskonałe. Rozumieć to jednak należy w pewien określony sposób.

Z chwilą kiedy zbudowane zostały i wypełnione komórki trutniowe, zapędy nowatorskie westalek-pracowniczek przejawiają się niespodziewanie w dziwniejszym jeszcze dziele. Budują one mianowicie przegródki jeszcze większe i trwalsze o formie butelkowatej; przeważnie ograniczają się tym razem do dwóch, ale mają one odegrać najważniejszą rolę w ulu. W nich wyrosnąć mają ni mniej, ni więcej, tylko nowe królowe; przynajmniej jedna, ewentualnie nawet więcej.

Oto są już gotowe te piękne królewskie komórki—prawdziwe pokoje dla królewiatek. Teraz tylko jedno pytanie: skąd się biorą jajeczka, z których rozwinąć się mają królowe? Ale wszak stara królowa dotąd tak sumiennie tu wszystko płodziła i składała, co płodzić i składać należało, że potrafi i z tą ostatnią sztuką się uporać. Niechący musimy zastanowić się nad sposobami, które do tego prowadzą. Wszak taka przyszła królowa będzie znów samicą—nieprawdaż? A więc w żadnym razie nie może tu być mowy o jajeczku niezapłodnionym, bo wtedy byłby się urodził samiec-truteń.

Ale czy wystarczy na ten cel nawet jajeczko zapłodnione? Przecież dotąd każde zapłodnione jajko — a były ich tysiące — wydawało wprawdzie „samicę“, ale zawsze jakąś niezupełną, z niedorozwiniętym jajnikiem i niezdatnymi narządami płciowymi — powstawała westalka. Czyżby królowa posiadała jeszcze

w zanadrzu specjalny jakiś gatunek jajeczek, któreby i ten szkopuł przewyciężyć potrafiły?

Na nic! Ona sama nie ma już żadnej „trzeciej skrytki“, z którejby czerpać mogła.

A jednak niespodzianie występuje na widownię zewnątrz coś jeszcze — to „trzecie“ właśnie. Do komórki królewskiej wpada zwykle jajeczko, z jakiego rozwinąć się powinna w normalnych warunkach westalka. Otrzymuje ono święcenie w postaci deszczu nasienia męskiego z nieśmiertelnego worka Fortunata, i na tym kończą się obowiązki królowej, jako matki. Ale teraz znowu występują westalki-pielegniarki ula. Wszak ich dziełem była już ta odrębna nieco kołyska dla tego uprzywilejowanego dziecięcia. I oto teraz w myśl z góry nakreślonego planu dalej prowadzą one dzieło swoje, podając inne i obfitsze pożywienie owemu pieszczochowi od pierwszej chwili jego narodzin. I w rezultacie tej czynności odżywczej rozwija się prawdziwa, pod względem płciowym nieupośledzona samica...

Zamiast westalki w komórce królewskiej powstaje prawdziwa nowa królowa, t. j. pszczoła-samica z rozwiniętym dostatecznie jajnikiem, z normalnym, zdatnym do zapłodnienia otworem pochwy i normalnym uchylkiem nasiennym. Fakt ten posiada, jak łatwo zrozumieć, nadzwyczajną wagę dla zdania sobie sprawy z całej cudowności, jaką otoczona jest wogóle rodzina pszczół!

Ale też odrazu przez to rozwiązuje się powyższa zagadka: dlaczego z zapłodnionych jajeczek wychodzą westalki, nie zaś dojrzałe płciowo samice? W istocie każde zapłodnione jajeczko królowej posiadało zawsze i posiada załączek prawdziwej, normalnej samicy. Ale stosownie do tego, jak ono w dzieciństwie bywa odżywiane, samica ta albo nie rozwija się dostatecznie i staje się westalką, albo też dojrzewa w samej rzeczy, i wtedy powstaje królowa.

Innemi słowy, westalka, jako taka, jest, ściśle

rzecz biorąc, wytworem sztucznym, powstałym następczo przez rozmyślne niedostateczne odżywianie. W ciągu całego poprzedniego lata westalki uła w charakterze pokojówek rozmyślnie hodowały wciąż westalki, a teraz również naumyślnie po raz pierwszy zasadę tę pogwałciły i dzięki napozór „lepszemu“, a właściwie dzięki stosowanemu po raz pierwszy w normalnej mierze karmieniu dziecięcia pozwoliły wyrosnąć z niego królowej.

I z faktu już teraz wyrozumieć możemy, że istotny bieg rzeczy u pszczół odpowiada najzupełniej naszemu przyjętemu powyżej wypadkowi. Nasamprzód odbywa się tu prawdziwy akt płciowy pomiędzy samcem a samicą, t. j. pomiędzy trutniem a królową; a z tego aktu powstaje nie jedno pokolenie z istniejącymi obok siebie osobnikami męskiego i żeńskiego rodzaju, ale dwa pokolenia o płci rozmaitej, to jednej, to drugiej naprzemian: królowa pszczół, samica, która bez zapłodnienia wytwarza z siebie raz jeszcze trutnie-samce.

Jedną jeszcze tylko — bez zasadniczo sprzecznego znaczenia — komplikację stanowi zarówno u pszczół, jak i w tamtym wypadku, ten fakt, że ta sama królowa, jeszcze zanim przez dzieworództwo, a więc bez ponownego zapłodnienia, wydała na świat samce, również dała się zapłodnić i dzięki temu zrodziła bądź prawdziwe płodne królowe, bądź niedorozwinięte płciowo samice, ale w zasadzie jednak również samice, westalki.

W każdym razie cudowny „akt dzieworództwa“ trutniów przynajmniej z tego stanowiska traci coś ze swego paradoksalnego i wywrotowego charakteru. Zasada zapłodnienia, polegająca na łączeniu się dwóch komórek: plemnika i jajka, ostaje się mimo wszystko: wszak widzimy, jak niezbędne jest zapłodnienie, ażeby nie wstrzymywać ruchu maszyny całej. Zasada ta wydaje się tu tylko raczej rozciągniętą, elastyczniejszą; decydujący rozmach nadawany jest tu kołu

maszyny z perjodycznymi przestankami, podczas których jednak toczy się ono od gwałtownego pchnięcia trochę naprzód samo przez się, jakby pod zaklęciem prawa inercji.

Mamy więc teraz na wiosnę w ulu, po pierwsze, starą, zapłodnioną przed rokiem królową, która dotąd przynajmniej jeszcze wciąż wykazuje żywotność swoją rozrodczą; powtóre, olbrzymio liczny ród westalek, które wciąż jeszcze się mnożą; wreszcie w jednej conajmniej „kołysce królewskiej“ tuczy się nowa królowa — a może być ich i więcej. I co dalej? Logicznie wypływałby jeden bardzo prosty wniosek.

Nowa królowa wyłonić się winna pewnego dnia jako już zupełnie gotowa, zaprzyjaźnić się z trutniami i odtąd sama objąć całą produkcję dalszą: w ciągu lata całego rodzić się będą westalki, następnej wiosny nowe trutnie i nowa królowa. A stara królowa-matka po tak skomplikowanych trudach, związanych z całorocznym wytwarzaniem potomstwa, zabastuje wreszcie i cicho zniknie z widowni, „idąc“ w ślad za wielu pokoleniami westalek, które już przeżyła.

Ale robimy rachunek bez gospodarza. Nie doceniamy w ten sposób dwóch czynników: po pierwsze, niepożytej żywotności tej właśnie królowej-matki, a powtóre, takiejż niepożytości owych zeszłorocznych a żyjących dotąd w jej wnętrzu plemników, które wciąż żyją dalej w jej uchyłku nasiennym, co zdaje się nadal gwarantować powstawanie niezliczonego szeregu westalek i królowych. Pierwsza część naszego łańcucha logicznego istotnie się spełnia; tylko wobec dalszego pomyślnego istnienia królowej-matki musi to doprowadzić do wypadków trochę burzliwych.

Nie może wszak być dwóch królowych o pełnej sprawności rozrodczej w jednym państwie. Liczba westalek musiałaby natychmiast wzrosnąć olbrzy-

mio, i musiałyby wogóle powstać nadmiar wszystkiego, co związane jest z macierzyństwem—a to zakłócałoby wszelki porządek. Już i teraz wobec ostatnich częstych powodzeń wiosennych starej królowej ul jest przepełniony. Co robić? Musi wszak nastąpić podział całego personelu na dwa roje, z których jeden tylko może zostać na miejscu, a drugi musi wywędrować. Oczywiście, każdy rój miałby swoją królową: jeden pozostałby z dawną, drugi wziąłby z sobą nową. Na podobieństwo starych rodów italskich, które w czasach ciężkich oddawały bogom całe pokolenie dojrzewających młodzieńców i dziewcz, jako „wiosnę świętą“, zmuszając ich do opuszczenia ojczyzny, i tu musi jeden z rojów, jako „wiosna święta“, poddać się niepewnym losom wygnania i szukać nowej ojczyzny.

Różnica tylko polega na tym, że, według starodawnego zwyczaju w świecie pszczół, porozumiewa się z sobą w tym względzie nie niedojrzałe i młode pokolenie, ale właśnie to rozumne i starsze.

Pewnego dnia okres poczwarkowy młodej królowej dobiega końca. Z zamkniętej jeszcze kołyski królewskiej odzywa się dziwnie dźwięczący ton. To sygnał. Dokoła starej królowej gromadzi się rój, złożony z 10—15 tysięcy westalek—i w drogę! „Główny“ rój porzuca ul — jak mówi hodowca pszczół. Dobrowolnie daje się ten rój schwytać przez pszczołarza i zamknąć do nowego domu, gdzie natychmiast zajmuje się urządzeniem wewnętrznym i zaludnia go na przeciąg jednego roku szybko narastającą liczbą domowników.

A tymczasem w starym ulu odbywa się wszystko zgodnie z prawami najściślejszej logiki. Jeżeli wykłula się tylko jedna młoda królowa, ona otwiera po prostu cykl cały: ona wyfrunie, wstępować będzie w związki płciowe z trutniami, płodzić dzięki temu w ciągu lata tysiące samic, które ze względu na nie-

dostateczne odżywianie wciąż jednak tylko będą westalkami, i t. d.

Jeżeli natomiast wkrótce po zjawieniu się pierwszej młodej królowej w sąsiednich kołyskach królewskich dają znać o sobie inne jeszcze małe królowe, to staje się zaraz potrzebną nowa „wiosna święta“: pierworodna młoda królowa, zamiast objąć władzę w ulu, zwołuje do siebie natychmiast znowu część pozostałego roju i jako „rój następczy“ udaje się wraz z nim na wygnanie, w daleką dal, szukać nowej przystani. Ale może się też zdarzyć, że rój jest za mały, ażeby móc powtórzyć taki eksperyment; wtedy owe królowe ponad liczbą zrodzone bywają bezlitośnie zgładzane przez westalki, zupełnie tak samo, jak później ku końcowi lata leniwe trutnie padają od ukłuc śmiertelnych, jako ofiary bezradne.

Bardziej jednak uwagi godnym, niż to wszystko, jest fakt, kiedy owa pierwsza kolonja macierzyńska opuszcza ul ze starą królową. Wtedy dopiero ujawnia się w pełnym świetle cała sprawność życiowa tej dostojnej matrony. Z nową kolonją wstępuje ona teraz w okres nowego lata, wciąż jednak kładąc bez przerwy jajka tysiącami; a w ciągu całego lata zapładnia powtórnie wszystkie te tysiące jajeczek z zasobów swego starego, teraz już $1\frac{1}{2}$ roku istniejącego uchyłka nasiennego.

Nie następuje już żadne zapłodnienie nowe — już teraz nie tyka tej skromnej wdowy żaden samiec. A jednak jeszcze wciąż ma ona w tym uchyłku dość nasienia z czasu owego dawnego wiosennego zapłodnienia, tak że każde jajeczko może dostarczyć po jednej westalce.

I znowu nastaje zima, znowu przezimowuje ona z resztką najodporniejszych westalek. Ale na wiosnę znowu — a więc już na trzecią wiosnę życia — ma jeszcze w sobie dość owej siły dzieworódczej, przekazanej od urodzenia, ażeby teraz wydawać na świat niezapłodnione trutnie; a potem w ciągu tej samej

wiosny starczy znowu zawartości jej uchyłka nasien-
nego dla wyprodukowania jednej lub kilku prawdzi-
wych zapłodnionych królowych. Na skutek tego na-
stąpi znowu wyprawa „wiosny świętej“: prastara
królowa stanie po raz drugi na czele drużyny wy-
gnanych westalek.

Na trzeci rok powtarza się cały przebieg po raz
trzeci. Potęga starej matrony staje się widocznie tro-
chę mniejszą: już nie kładzie, jak w pierwszym ro-
ku, 60000 jajeczek, ale wciąż jeszcze czyn-
ność tę spełnia. I mija rok trzeci — po raz czwarty
zaczyna się to samo!

Zastanawiając się nad tym wszystkim, docho-
dzimy do przeświadczenia, że oto znów stoimy wo-
bec jednego z największych cudów tak nieskończe-
nie cudownego życia płciowego pszczół... I na tym
cudzie kończy się bajka pszczela. Niekiedy taka kró-
lowa-matrona żyje jeszcze przez rok piąty z rządu. Ale
wtedy (a przeważnie już wcześniej) wreszcie dobiega
kresu swego: niewyczerpane, cudowne źródło życia
wysycha, uchyłek nasienny pustoszeje, i zamiera siła
dzieworódtwa — ginie wreszcie właściwy nerw życia
—koniec.

Ale pofilozofujmy jeszcze trochę na temat państwa pszczół.

Wyraz „państwo“ stanowi właściwie, jak wiemy, niebezpieczne źródło nieporozumień, tym bardziej, że przywykliśmy tu mówić wciąż o „królowej“. W wyobraźni powstaje obraz pewnej monarchicznej formy państwowej na wzór ludzki: królowa stoi na czele rządu, trutnie — to rodzaj arystokracji próżniaczej, a wielką masę narodu stanowi mniej lub więcej uciskany proletarijat roboczy; rzeź trutniów czyni wrażenie istotnej rewolucji, dokonanej przez ścieśnioną po samo gardło warstwę społeczną. I oto w ten sposób gromadzić można jeszcze więcej analogji. Ale przy pomocy takiej luźnej analogji dotrzeć nie można do jądra kwestji; zdawać sobie można sprawę wprawdzie z rzeczy głównych, ale nie z tego, co wywnioskować byłoby można w sposób istotnie pouczający z takiego państwa pszczelego w zastosowaniu do spraw ludzkich.

Należy jasno sobie wyrozumieć, że państwo pszczół — nazwijmy je mimo wszystko państwem (boć jest ono niewątpliwie zjednoczeniem wielu osobników) — opiera się zgodnie z całą istotą swoją na jednej jedynej zasadzie: na miłości. Jest ono „państwem miłości“ w najistotniejszym znaczeniu tego wyrazu. O prawdziwym samowładztwie z prawdziwą samowładczo-panującą królową nie może tu być zupełnie mowy; wyraz „królowa“ nie daje należytego obrazu rzeczywistych stosunków.

Tak samo i trutnie nie stanowią bynajmniej panującej, wyzyskującej, próżniaczej kasty ani „pracownicy“ nie są wyzyskiwanymi proletarijuszkami z punktu widzenia takich kast i klas społecznych.

Rzekoma „królowa“ jest niczym więcej ani niczym mniej, tylko „samicą“ państwa całego. Jedną samicą. Rzekomi arystokraci, owe trutnie są to samce państwa. Rzekome pracownicy natomiast są to „piastunki dla dzieci“ w państwie, rodzice-opiekuno-

wie, którym przypada w udziale wyłącznie troska o młode pokolenie; niejako dodatkowo objęły one również jeszcze opiekę nad rzeczywistymi rodzicami— nad trutniami i królową, tak że w samej rzeczy noszą one na swych barkach całą pracę w ulu, z wyjątkiem tylko zapładniania i składania jajeczek.

A więc samica, samce, opiekunki dzieci i dzieci same. Z zespołu tego widzimy, że zasadniczy motyw tego państwa stanowią po prostu najistotniejsze części składowe pojęcia „rodzina“. Całe to olbrzymie skupienie wielu tysięcy zjednoczonych społecznie zwierząt nie stanowi w najwewnętrzniejszej budowie swej nic innego, jak jedną olbrzymią rodzinę. W każdym razie szczegóły są jednak w wysokim stopniu dziwne. Przedstawiają nam one pszczołę jeszcze raz jako dziwną indywidualnie eksperymentatorkę w stosunku do wielkiej sprawy, która kryje się poza wyrazami: miłość, małżeństwo, rodzina. Jest ona do szaleństwa śmiała, ale właściwie nieszczęśliwą.

Nasamprzód niezbędnym jest dla jasnego rozwiązania następczących się tu zagadek ustalić sobie jakiś punkt wyjścia, w myśl którego dokonywano eksperymentów. Przypomnijmy sobie stonoga i pająka. Oba są stawonogami, które pod względem organizacji stoją znacznie niżej od pszczoły, znajdują się w pewnej łączności z jej przodkami. Cóżśmy tam widzieli? Był samiec, samica i dziecko, ale nie było specjalnej „piastunki“. Natomiast rzecz się miała tak: samiec i samica łączą się z sobą przygodnie dla dokonania aktu płciowego, poczym samiec znika, nie troszcząc się o następstwa, a samica płodzi młode i troszczy się o ich dobro, o ile może: bądź że, jako samica stonoga, tuli je w swym worku brzuszny, jak kangur, bądź że, jak to czyni pająk, buduje przynajmniej zabezpieczone gniazdko dla jajeczek i strzeże go wiernie aż do końca dni swoich w jesieni.

A więc piastunka istnieje jednak, tylko że jest zarazem żoną i matką w jednej osobie.

W innym, ale co do treści zbliżonym wypadku, u ciernika, widzieliśmy, że i ojciec czasami może objąć dozór opiekuńczy nad dziećmi, i zaznaczyliśmy wtedy już wszystko, co dało się z tego faktu wywnioskować dla kwestji małżeństwa w sensie wyższym. Ale to nas w danej chwili nie obchodzi. Jeszcze raz teraz przebiegamy tę samą drogę poprzez pająka i stonoga, ażeby zobaczyć, co pszczoła uczyniła z zasady, którą znajdujemy już u tych zwierząt.

Najoczywieściej oparła się na panującej tam zasadzie, niby na programie pierwotnym.

Truteń-samiec również nie opiekuje się zupełnie pielęgnowaniem dzieci; więc też niema tu mowy ani o stosunkach, panujących u ciernika, ani tym mniej o tej doskonałej harmonji, gdzie oboje rodziców poświęca się dzieciom. I tu sprawa ta należy wyłącznie do samicy. Widzieliśmy wszak, że i westalka była pierwotnie „samicą“, choć „samicą“ niedojrzałą, a mimo to dzieje się rzecz nader dziwna: ta sama westalka pielęgnuje nie własne dzieci, ale dzieci królowej. Mamy tu właśnie dwa rodzaje „kobiet“.

Jedna królowa jest matką tylko w tym sensie, że daje się zapładniać i kładzie jajka; druga jest, naodwrot, matką tylko w tym sensie właśnie, że owe jajeczka, złożone w rzeczy samej przez tamtą, oraz wykłute z nich młode pielęgnuje.

To, co samica pająka łączyła w sobie samej: miłującą i płodzącą dzieci małżonkę oraz matkę-opiekunkę, podzielone zostało na dwie osoby: jedna—to „kochająca i płodząca dzieci małżonka“-królowa, druga zaś—to pielęgnująca matka-westalka.

Ten prosty fakt jest oczywiście kluczem do zrozumienia całego ustroju w państwie pszczół. U pająka i stonoga mamy zrazu dwa osobniki z pewnym podziałem pracy w sprawach płciowych: z jednej strony samica z nasieniem, z drugiej samica z jajeczkami. Miłość macierzyńska następczo już wyłoniła się z tego, jako jednostronna praca specjalna samicy.

U pszczoły pierwszy podział pracy pozostał zachowany wobec istnienia trutni i królowej; ale poza tym mamy tu jeszcze nowy podział pracy, dotyczącej samej już strony kobiecej: owa „praca specjalna“ samicy, jako opiekunki dzieci, wtłoczona zostaje na barki pewnemu podrzędnemu typowi „kobiecu“, który całkowicie poświęca się tej pracy. I oto powstaje nowy typ niezapłodnionej i zazwyczaj samodzielnie jajek nie kładącej westalki, która natomiast aż do ostatnich sił swoich poświęca się pielęgnowaniu obcego potomstwa.

Widzimy teraz, co stanowi zasadniczą cechę ustroju państwowego u pszczół. Ale oto nastroczają się natychmiast dwa dalsze pytania: po pierwsze, w jaki sposób coś podobnego mogło powstać? i powtóre, czy to, co się stało, było bardzo pożyteczne i dokonało się w duchu postępu?

Na pierwsze pytanie łatwo odrazu odpowiedzieć, jeżeli się tylko zastanowimy, jak teraz jeszcze w istniejącym ulu westalki powstają. Każda westalka należy właściwie z natury swej do prawdziwego rodzaju żeńskiego; jedynie jej strona płciowa jest niedorozwinięta. Atoli ten niedorozwój jest, jak widzieliśmy, nie wrodzonym brakiem organicznym, ale rezultatem niedostatecznego pożywienia w stanie niemowlęctwa. To otwiera przed nami głęboką bardzo perspektywę historyczną. Pomyślmy tylko.

Była sobie kiedyś jakaś prapszczoła, która posiadała owadom właściwą cechę normalną: przez zapłodnienie (a poza tym jeszcze dzięki wrodzonej owadom specjalnie zdolności dzieworódtwa) kładła olbrzymią masę jajeczek. Poczwaraki, które się z tych jajek wykłuwały, wymagały pewnej opieki. Stara pszczoła miała również dosyć uczuć miłosnych, ściągając też dla pożywienia wszystko, cokolwiek mogło tę masę potomstwa przy życiu utrzymać.

Ale istniał jeden fatalny plus.

Jej siła rozrodcza przewyższała o wiele umiejęt-

ność opiekowania się dziećmi. Mąż nie dopomagał— więc cóż było robić? Mimo największej gorliwości było niemożliwym zatkać w dostatecznej mierze te głodne gardziołki. Po pewnym czasie zjawiał się pierwszy transport młodych pszczołek. Ale—o zgrozo! Niedostateczne pożywienie sprawiło, że się nie rozwinęły należycie; ich narządy płciowe stały się zupełnie do zapłodnienia niezdatne i były jakby nazawsze pozbawione własnych rozkoszy płciowych. Siedziały oto te biedne „dziewczęta“. Co było z nimi począć? Widziały, jak stara matka, która miała jeszcze taką masę dzieci w powijakach, mimo to wszystko dokładała wszelakich starań, ażeby im pomóc. I wtedy oto, wyzbywszy się zupełnie same tęsknoty miłosnej, „dzieweczki“ te zabrały się, ażeby pomagać matce. I one znosić zaczęły pożywienie. Nie wiadomo, czy to robiły przez naśladownictwo, czy też dlatego, że zbudziły się w nich uczucia macierzyńskie i przez nie również w dziedzictwie otrzymane, choć dzieci przez nie karmione nie były ich własnymi dziećmi. Wszystko jedno, dlaczego; dość, że matce ujęły pracy, wszędzie jej pomagały energicznie i wreszcie sprawiły, że jednak obok niedorozwiniętych znowu od czasu do czasu wiele pszczoł dojrzywało płciowo, przez co zapewniona była trwałość gatunku.

Do doskonałego „państwa pszczoł“ pozostaje nam jeszcze krok pokaźny. Ale jednak już można wyrozumieć, że od tego punktu sprawy mogły pójść drogą wiadomą. Przynajmniej domyślać się można, że pierwotnie ongi możliwym się stało owo zróżnicowanie pomiędzy płodzącą królową a westalką, poświęcającą się wyłącznie wychowaniu dzieci.

Los samców z czasem również wreszcie układa się według pewnej reguły: zamiast marnie ginąć w przestrzeni, przez pewien czas są jeszcze na łaskawym chlebie, ażeby jednak wreszcie paść podczas rzezi ogólnej, dokonywanej z tym większą bezwzględnością. I pewnego dnia mamy wreszcie państwo pszczoł.

Teraz jeszcze potrzeba tylko, ażeby człowiek dostarczał domków wygodnych—i jesteśmy u celu.

Należałoby omówić jeszcze kwestję drugą. Z pewnością, interesującą jest historia o pszczole. Ale oto pytanie, azali tkwi w niej istotnie zasada postępowania? Chciałoby się wierzyć, że musi to być istotnie jakiś wielki postęp, skoro się widzi tak wielkie zjednoczenie społeczne.

Nie jest to zjednoczenie według znanej zasady, która legła u podstawy zrzeszenia cewiopławów. Pamiętamy wszak, jak chęłbie zrosły się na podobieństwo króla-szczura i utworzyły coś w rodzaju nadzwierzęcia. Wtedy nie zastanawialiśmy się dłużej nad krytyką tych stworzeń. Były one zbudowane na podstawie doskonałego podziału pracy. Całkowite indywidualia zwierzęce stawały się znów „narządami”: jedne stawały się żołądkami, inne dzwonami płodnymi i t. d. W całym wyższym świecie zwierzęcym powyżej robaków nic podobnego nie było możliwe; i miało to oczywiście swoją przyczynę, której zresztą łatwo dociec. Przyczyna polega na coraz większej indywidualizacji. Im osobniki są bardziej trwałe, tym trudniejszym staje się ten rodzaj jednoczenia się społecznego przy pomocy zrastania się cielesnego, aż wreszcie staje się to niemożliwym zupełnie.

Więc jeżeli powrócimy do pszczoły, to, jak już powiedzieliśmy, i ona również nie sięgnęła napewno wstecz od typu państwa cewiopławów. Po prostu nie mogła tego zrobić; nie można już było wyobrazić sobie pszczoł, zrosniętych z sobą jako oddzielne indywidualia. Ale czyż z tego wypływa, że przez pszczoły wykryta już została droga ku owemu wyższemu wolnemu zespolowi społecznemu? Odpowiedź musi być przecząca. Państwo pszczoł stanowią tysiące „osobników”, nie zrosniętych wprawdzie z sobą na wzór cewiopławów; a jednak nosi ono w sobie cechy wsteczne.

Państwo pszczoł oparło się na płciowości, i na tym polega zarówno jego rozmach, jak i jego tragedja.

Oparło się ono na tym czynniku, który w całości kształcie rozwoju zwierzęcego stanowił kamień węgielny małżeństwa. O wiele później, u człowieka, małżeństwo miało odegrać rolę wybitną na drodze ku idei państwowości. Ale pszczoła utworzyła państwo na takim stopniu rozwoju, kiedy samo pojęcie małżeństwa nie było jeszcze zupełnie wyświetlone. I to właśnie było jej nieszczęściem.

W chwili zawiązku państwa pszczół istniała zasada zupełnego zróżnicowania osobników męskich i żeńskich i wiernie przechowana została, choć nie znać było najmniejszej tendencji do jej pogłębienia. Zapłodnienia dokonywa samiec i samica w jednej i tej samej chwili — i na tym polega „małżeństwo“; zupełnie tak samo, jak u pająka, tylko bez instynktów pożerania się wzajemnego. Uczucia rodzicielskie pozostają po stronie żeńskiej. Na samca-trutnia przypada rola małoznaczna — tylko chwilowy udział w zapłodnieniu. Całe życie zresztą pędzi on próżniacze i bezcelowe; jego śmierć gwałtowna jest równie nędzną, jak śmierć samca-pająka, którego pożera większa samica, i jest to nawet u trutnia prawidłem stałym. A więc tu nie widzimy żadnego postępu, raczej już objaw upadku.

Ale teraz zwróćmy się do samicy. Wyobraża ona jakby indywiduum podwójne: z jednej strony królową, z drugiej — westalkę. Jeżeli rozpatrzeć to bliżej, to przy tym rozdwojeniu ciężko ucierpiał każdy z osobników żeńskich. Królowa postradała zupełnie uczucia macierzyńskie (ale tu właśnie napotykamy olbrzymi postęp duchowy); i pozatym pozbawiona została poniekąd wolności: musi być np. karmiona przez innych. Natomiast westalka wyzbyła się całej najszlachetniejszej strony życia płciowego, wogóle wyrzucona została poza widnokrąg małżeństwa, jako zrzeszenia wyższego rzędu: zna ona tylko samca, jako gościa darmozjada, którego się w odpowiedniej chwili zabi-

ja; jej życie jest skrócone—słowem, na każdym kroku widzimy strony ujemne.

Jako rezultat tego wszystkiego otrzymujemy zużożenie osobnika w kaźdym kierunku. Nędzny jest truteń, nędzna królowa, nieskończenie nędzna westalka. Państwo pszczół, z urządzeniami społecznymi, jak dla owadów, bardzo doniosłego znaczenia, oparte zostało całe na życiu płciowym, na rozmnażaniu się, na miłości; a mimo to wyobraża ono krok wstecz w obrębie tej miłości, stopień niższy na drabinie jej uduchowienia. Jest to ogromnie pouczające i wybiega daleko poza pszczołę, brzęczącą we wrzosie. Jeżeli państwo pszczół dalekie jest od typu państwa w zwykłym rozumieniu ludzkim, stanowi jednak nader wymowny przykład tego, co nazwałoby można „upaństwowieniem stosunków płciowych“. Atoli jednocześnie jest to przykład złowróżbny. Widzimy tu, jak z pojedynczych miłości żądnych osobników państwo tworzy jednolite, samo przez się niewątpliwie wysoce kunsztowne zrzeszenie. A że jako podstawa dla tego zrzeszenia przyjęta zostaje wadliwa metoda miłosna, więc, zamiast torować drogę prawdziwemu postępowi, wytwarza ona olbrzymie więzienie, którego postać ściśle skryształizowana niejako zdumiewa pod względem estetycznym, ale natomiast osobnik sam i jego droga świetlana wzwyż są tu w najokrutniejszy sposób gwałcone. Wyłania się tu przed nami coś w rodzaju tablicy z napisem ostrzegawczym. Z jednej strony mamy wielki niezaprzeczone plus w zrzeszeniu społecznym, zawiązanym w celach najszerszej samoobrony, gdzie kaźdy osobnik oprzeć się może na wielu tysiącach takich osobników i gdzie w poszczególnych kwestjach gospodarstwa domowego możliwy jest jak najpomyślniejszy podział pracy; z drugiej zaś strony czujemy wielkie niebezpieczeństwo, że pewne urządzenia (jak tu np. wadliwe i prostacze uregulowanie stosunków płciowych) mogą być podnoszone do godności racji stanu, tym samym tracą swoją tendencję

do dalszego rozwoju i wreszcie, jako coś skamienia-
łego, bezdusznego, ciężą nad stowarzyszonymi, tamu-
jąc i paraliżując ich rozwój osobniczy.

W każdym razie pszczoła sama nie znalazła już
wyjścia ze swej własnej pagody miłosnej; tu zatrzy-
mała się, jakby stężała. Oczywista, że podobne „two-
rzenie państwa“ było w całym rodzie stawonogów
jakby szczytem wszelkiego rozwoju, szczytem, który
upierał się w twarde, nieprzenikliwe sklepienie.

Obok państwa pszczelego mamy jeszcze w świe-
cie owadów dwa przykłady, gdzie istnieje wyraźna
tendencja do tworzenia państwa. W obu wypadkach
są to w mniejszym lub większym stopniu państwa
„na miłości“ oparte i jako takie w obydwu wypad-
kach bezpłodne.

Jedno—to państwo mrówek. W przeciwieństwie
do państwa pszczół brak tu nawet jakiegokolwiek cie-
nia konstytucji monarchicznej. Zresztą jak tam, tak
i tu, widzimy trzy kategorie obywateli: samce, sami-
ce i pod względem płciowym zupełnie niedorozwinię-
ci „robotnicy“. Często ostatni dzielą się jeszcze na
prawdziwych robotników, opiekujących się dziećmi,
i na żołnierzy-obronców o wielkich głowach. Ale dla
sprawy miłości jest to rzeczą drugorzędną. I tu wi-
dać ów olbrzymi kontrast pomiędzy osobnikami. Ma-
my samce, których całe zadanie kulturalne (a takie
państwo owadów jest bezsprzecznie już objawem pew-
nej „kultury“) sprowadza się do jednej jedynej chwili
zapłodnienia; dalej samice, które naogół nic nie ro-
bią poza tym, że się dają zapładniać i kładą jajeczka.
Ostatecznie obie strony wiodą życie haremowe. A ca-
ła właściwa praca państwowa spoczywa w rękach
dożywotnich przyrodzonych eunuchów, dla których
miłość stanowi świat absolutnie nieznaną.

Drugi przykład — to państwo t. zw. termitów.
Widzieliście zapewne w spiżarni owych czarnych nic-
poniów, zwanych karaluchami lub prusakami. Gos-
podyni uważa je za „chrabąszcze“. Ale nie są one

chrabąszczami, choć są, jak i tamte, owadami. Stanowią one grupę owadów, bliższą szczypankom i szarańczom, niż chrabąszczom. Obok tych prusaków umieścić należy również termitów, do mrówek podobne zwierzątka, które tak samo nie są mrówkami, jak prusaki nie są chrabąszczami. Słyszeliście zapewne o budowlach podzwrotnikowych termitów, o tych kolosach, jakich żadna mrówka nigdy nie jest zdolna wybudować. Tam właśnie istnieje całe państwo termitowe. I ono jest państwem miłości. Są tam samce, które zapładniają; jest „królowa“, kładąca jajka, która w pełni rozwoju sił swoich nabrzmiewa, jak kartofel, od nadmiaru jajek; a dalej, dwie kategorie zupełnie bezpłciowych osobników, stanowiących rdzeń właściwy całego państwa: „robotnicy“ i „żołnierze“. Jak tam, tak i tu atmosfera haremu i eunuchów. I we wszystkich trzech wypadkach, zarówno u termitów, jak u mrówek i pszczół, u szczytu całego rodu stawonogów widzimy zatamowanie rozwoju miłosnego.

To też rodowi temu nie sądzone było odegrać roli doniosłej.

Nie stawonóg, lecz zwierzę kręgowie miało świat ruszyć z posad; zwierzę kręgowie, które wzniosło się do człowieka.

Ale tu dźwięczy już nowa melodia...

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

BRODOWSKI FELIKS

DRZEWA

broszur. 1.—, w oprawie 1.50

BURCKHARDT J.

KULTURA ODRODZENIA WE WŁOSZACH

tłómaczenie według VIII wydania, opracowanego
przez L. Geigera, przez L. M. 2 tomy, w oprawie . 4.—

GARSKI STANISŁAW Dr.

SYSTEM FILOZOFII

tom I, broszur. 1.50

HANDELSMAN MARCELI

ŻYWOT CHŁOPA POLSKIEGO NA POCZĄTKU XIX STULECIA

broszur. —.60

KARPOWICZ STANISŁAW

IDEAŁY I METODA WYCHOWANIA SPÓŁCZESNEGO

broszur. —.60

MATUZEWSKI IGNACY

WEYSSENHOFF I „LAURY” WYSPIAŃSKIEGO

broszur. —.25

MINKIEWICZ ROMUALD

O PEŁNI ŻYCIA I O KOMUNIE DUCHOWEJ

broszur. —.60

MY — LUDZIE I PRZYRODA

(DLA PRZYSZŁOŚCI, cz. I)

ułożyły SEMPOŁOWSKA I BERNSTEINOWA

broszur. —.40, w karton. —.60

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

SEMPOŁOWSKA I UNSZLICHT-BERNSTEINOWA
PO PRACY
w karton. oprawie. —.20

RELIGIA W ŻYCIU LUDZKOŚCI
(DLA PRZYSZŁOŚCI, cz. II)
ułożyły SEMPOŁOWSKA I BERNSTEINOWA
broszur. —.60, w karton. —.80

RENAN ERNEST
ŻYWOT JEZUSA
w przekładzie ANDRZEJA NIEMOJEWSKIEGO
wydanie drugie przez tłumacza przejrzone,
wyd. tanie —.60, na lepszym papierze 1.20

SCHLAF JOHANNES
WIOSNA
przekład ST. PRZYBYSZEWSKIEGO
broszur. 2.—

SMOLEŃSKI JERZY
KRAJOBRAZ POLSKI
broszur. 2.—

VERLAINE PAWEŁ
WYBOR POEZJI
w przekładzie BARBARY BEAUPRÉ
broszur. 1.—, w oprawie 1.50

* * *

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

POLSKA EDYCJA DZIEŁ FRYDERYKA NIETZSCHEGO W WYD. CAŁKOWITEM

[BEZ SKRÓCEN]

TAKO RZECZE ZARATUSTRĄ

Cztery części. Przetłóżył WACŁAW BERENT

wydanie ozdobne z portretem Nietzschego — akwa- fortą oryginalną F. Siedleckiego	3.—
wydanie ozdobne w oprawie	3.50
„ wytworne w 25 numer. egzemplarzach	7.50
„ zwykłe tania	1.60

POZA DOBREM I ZŁEM

przetłóżył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 2.—, w oprawie	2.50
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach	5.—

Z GENEALOGII MORALNOŚCI

przetłóżył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 2.—, w oprawie	2.50
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach	5.—

DYTYRAMBY DYONIZYJSKIE

przetłóżył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne —.60, w oprawie	1.35
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach	1.10

ZMIERZCH BOŻYSZCZ

przetłóżył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 1.20 w oprawie	1.70
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach	2.75

WIEDZA RADOSNA

przetłóżył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 2.50 w oprawie	3.—
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach	6.—

JUTRZENKA

przetłóżył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 2.50, w oprawie	3.—
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach	6.—

PRZEMIANA WSZYSTKICH WARTOŚCI

przetłóżył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.—, w oprawie	1.50
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach	2.50

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

NARODZINY TRAGEDYI

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.60, w oprawie 2.10

„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . . 4.—

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE

Część pierwsza. Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.50, w oprawie 3.—

„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . . 6.—

WĘDROWIEC I JEGO CIEN

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE Część druga.

Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.50, w oprawie 3.00

„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . . 5.—

WOLA MOCY

przełożyli K. DRZEWIECKI I STEFAN FRYCZ

wydanie ozdobne 3.—, w oprawie 3.50

„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . . 7.—

NIIEWCZESNE ROZMYŚLANIA

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 2.—, w oprawie 2.50

„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . . 5.—

ECCE HOMO (Autobiografia)

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.50, w oprawie 2.—

„ wytworne na czerpanym papierze 4.—

*

WACŁAW BERENT

ŹRÓDŁA I UJŚCIA NIETZSCHEANIZMU —.80

*

Portret FRYDERYKA NIETZSCHEGO

akwaforta oryginalna Franciszka Siedleckiego

na papierze grubym 1.—

na papierze japońskim 3.—

*

DZIEŁA H. POINCARÉ'GO:

NAUKA I HYPOTEZA przekład M. HORWITZA brosz. 1.50

WARTOŚĆ NAUKI przekład D-ro LUDWIKA SILBERSTEINA . . . 1.50

NAUKA I METODA przekład M. HORWITZA brosz. 2.—

*

*

*

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

STANISŁAW KORAB-BRZOZOWSKI:

NIM SERCE UCICHŁO

brosz. Rb. —80, w oprawie płócienn. 1.30, w oprawie wytw. 2.30

WINCENTY KORAB-BRZOZOWSKI:

DUSZA MOWIĄCA

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócienn. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

LIRYKA FRANCUSKA (Serya pierwsza)

Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócienn. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

CHUSTY OFIARNE

brosz. Rb. 1.20, w oprawie płócienn. 1.70, w oprawie wytw. 2.70

ZYGMUNT KRASIŃSKI:

POEZYJE WYBRANE

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócienn. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

JULIUSZ SŁOWACKI:

UTWORY LIRYCZNE

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócienn. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

LIRYKA FRANCUSKA (Serya druga)

Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócienn. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

JAN KASPROWICZ:

WYBÓR POEZYI

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócienn. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

A. SZCZĘSNY:

TO, CO SIĘ STAŁO

brosz. Rb. —80, w oprawie płócienn. 1.30, w oprawie wytw. 2.30

JÓZEF JEDLICZ:

NIEZNA NEMU BOGU

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócienn. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

ZDZISŁAW DĘBICKI:

OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE

brosz. Rb. —80, w oprawie płócienn. 1.30, w oprawie wytw. 2.30

BOLESŁAW LEŚMIAN:

SAD ROZSTAJNY

brosz. Rb. —80, w oprawie płócienn. 1.70, w oprawie wytw. 2.70.



WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

STANISŁAW KORAB-BRZOZOWSKI:

NIM SERCE UCICHŁO

brosz. Rb. —80, w oprawie płócien. 1.30, w oprawie wytw. 2.30

WINCENTY KORAB-BRZOZOWSKI:

DUSZA MOWIĄCA

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

LIRYKA FRANCUSKA (Serya pierwsza)

Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

CHUSTY OFIARNE

brosz. Rb. 1.20, w oprawie płócien. 1.70, w oprawie wytw. 2.70

ZYGMUNT KRASIŃSKI:

POEZYJE WYBRANE

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

JULIUSZ SŁOWACKI:

UTWORY LIRYCZNE

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

LIRYKA FRANCUSKA (Serya druga)

Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

JAN KASPROWICZ:

WYBÓR POEZYJI

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

A. SZCZĘSNY:

TO, CO SIĘ STAŁO

brosz. Rb. —80, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.30

JÓZEF JEDLICZ:

NIEZNANEMU BOGU

brosz. Rb. 1.—, w oprawie płócien. 1.50, w oprawie wytw. 2.50

ZDZISŁAW DĘBICKI:

OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE

brosz. Rb. —80, w oprawie płócien. 1.30, w oprawie wytw. 2.50

BOLESŁAW LEŚMIAN:

SAD ROZSTAJNY

brosz. Rb. —80, w oprawie płócien. 1.70, w oprawie wytw. 2.70.

